



Na skrzydłach losu

„Pisarze wymyślają różne historie. Ja zmyślać nie muszę. Ja to wszystko przeżyłem!”

Wiesław Cygański



Od autora.

Godząc się na opublikowanie swych wspomnień i osobistych refleksji winien jestem czytelnikom kilka zdań wyjaśnienia. Nie miałem zamiaru pisać ogólnodostępnej biografii. Zachęcony i poniekąd sprowokowany, postanowiłem zostawić po sobie skromną pamiątkę dla dzieci, wnuków i przyjaciół. Jednak los pobierał irracjonalnie. Tak jak 5 lat wcześniej z okazji 50-lecia Aeroklubu Ziemi Mazowieckiej zabrałem głos na stronach albumu p.t. Ptóckie Skrzydła, tak teraz powtórną dzieję się wrażeniami sprzed lat z bracia, lotniczą młodszą wiekiem, chociaż niejednokrotnie bogatszą, pod względem wiedzy, wykształcenia i doświadczeń lotniczych. Dzieję się dlatego gdyż dane mi było należeć do AŻS od początku jego istnienia, służyć się tu, a nawet pracować zawodowo. Pamiętam swój zachętę pisać mając 74 lata. Dzisiaj mam 77 i nadal notuję wszystko co godne jest pióra i kartki papieru. Zapiski te dedykuję swym najbliższym, a zwłaszcza żonie, która stworzyła domową przystań, wychowywała dzieci i borykała się samotnie w latach gdy mnie nosiło po świecie. Moje spostrzeżenia i przeżycia są subiektywne. Napewno nie wszyscy muszą się z nimi godzić. To jest tak jakby jednej rzeczy zrobić kilka zdjęć w wykonaniu kilku fotografów. Każdy zwróci uwagę na coś innego. Żołnierzka jeśli sprawa dotyczy sugestii natury politycznej, religijnej lub moralnej. Ja opisuję fakty, które przeżyłem i które utrwaliły się w mojej pamięci. Nie mam zamiaru narzucać swego punktu widzenia, ale też nie mam zamiaru nikomu kłaskać wbrew swej woli.

Na zakończenie składam serdeczne podziękowania
Pani dr. Hannie Hejke-Mojzesowicz. Bez dopingu
z Jej strony pamiętnik ten nigdy by nie powstał.
Dziękuję też Panu Jackowi Lupińskiemu za doprowa-
dzenie moich rękopisów do formy książkowej.

Specjalne podziękowania kieruję do Pana Artura
Wielickowskiego z A.L.M., dzięki któremu moje przygody
zostały udostępnione szerokiemu gronu przyjaciół
poprzez internet. Wszystkim czytelnikom zaś
przesyłam wyrazy szacunku i prośbę o niezbyt surową
krytykę. Wszystkie uwagi przyjmę z wdzięcznością.

Mój adres: Wiesław Gyganski
ulica Sierpecha 6
09-412 Proboszczewice Płockie.



„Składam serdeczne podziękowania Pani dr. Hannie Hejke-Mojzesowicz.
Bez dopingu z Jej strony pamiętnik ten nigdy by nie powstał.”

Zamiast wstępu

Pisać czy nie pisać?

Czasami w rozmowie z przyjaciółmi, gdy dla przykładu opowiem coś ze swych licznych przygód, pada propozycja: „Powinieneś to opisać”. Możliwe – tylko na co to i komu? Wszyscy piszą wspomnienia, są tysiące grafomanów, którym się wydaje, że mają coś do powiedzenia, czy mam być jednym z nich? „Masz rację, ale Twoje przeżycia są różnorodne i ciekawe. Szkoda byłoby wyrzucić je na śmietnik zapomnienia. Pytasz komu się to przyda? Może wnukom, które dzisiaj jako dzieci interesują się tylko zabawą, ale kiedyś zechcą wiedzieć coś o swych dziadkach i pradziadkach, znać ich nie tylko z nazwiska. Nasze czasy przeminą i nie wrócą. Warto zostawić jakiś ślad po sobie”.

Argument ciekawy i godny przemyślenia, ale wymagający wiele pracy i czasu. Czy dla mnie wystarczy? Dopóki człowiek żyje musi pracować – resztę pozostaw Bogu. No to pisać czy nie pisać?

– Pisać – Pani Hania A. koleżanka z lat szkolnych Małachowianki nie zna sprzeciwu.

– To nie jest temat do dyskusji. Jutro siadasz i zaczynasz pisać. Teraz czekam na Twoje zobowiązanie.

Dobrze! Zacznę pisać lecz nie wiem, czy skończę. Nie posiadam ani zdolności ani ambicji pisarskich. Pisarze wymyślają różne historie. Ja zmyślać nie muszę. Wszystko o czym piszę jest wynikiem z przeżyć i szczerą prawdą. Ze wszystkich przygód, często dramatycznych, a nawet tragicznych, wychodziłem obroną ręką.

Dlaczego? Jeżeli będziemy rzucać monetą to raz wypadnie orzeł, innym razem reszka. Dlaczego u mnie zawsze wypada orzeł? Zawsze wypada życie. Kto tym kieruje? Fakty te dają pod rozwagę szczególnie swym dzieciom i wnukom. Nie przechodź nad nimi do porządku. Nie spiesz się. Zastanów się i pomyśl, odpowiedź przyjdzie sama.

W naszym coraz bardziej zepsutym świecie, w którym rządzi nie prawo i sumienie lecz mafie, nar-



Ślubna pamiątka rodziców



kotyki i zło łatwo się zgubić. Mały Jasio na złość matce odmroził sobie uszy. Nie rób Matce na złość. Matka cię obroni i wskaże drogę. Kto się na Nią obraża i rezygnuje z Jej opieki musi być bezgranicznie odważny, bezgranicznie ślepy lub bezgranicznie głupi.

Zacząłem pisać. Argumentem, który przeważał moją decyzję jest chęć, a raczej potrzeba wyrażenia swej wdzięczności Matce.

Matki miałem dwie. Jedna mnie urodziła, wychowała, wykarmiła. Dzielila moje troski, wystawała na mrozie u bram więzienia, płakała gdy przed kopalnią ledwo poznała w czarnym oberwańcu swego syna. Druga Matka zasłaniała mnie setki razy przed śmiercią. Wszystkich przypadków nie będę opisywał bo było by to nudne – wystarczy co drugi. Gdy miałem rok życia rodzice zaprowadzili mnie do kościoła aby dokonać Sakramentu Chrztu Świętego. Sanktuarium Maryjne w Leśnej Podlaskiej jest piękną i historyczną świątynią. Opiekują się nią o. Paulini. Tutaj przed cudownym obrazem Matki Bożej zostałem ofiarowany pod opiekę swej drugiej Matce Maryi. Na pierwszą Jej interwencję nie trzeba było długo czekać.

Przyszedł maj 1937 r. rodzice wybrali się ze mną w odwiedziny na wieś do dziadków. Była niedziela, piękna i ciepła pogoda. Dorośli zajęci w chacie (dzisiaj już takich chat nie ma) nie zauważyli, że ja półtora letni psotnik, pozwoliłem sobie na małą wycieczkę. Nie daleko, tylko na pobliską drogę, pobawić się w piaseku. W tym czasie drogą jechał zaprzężony w dwa konie i naładowany kamieniami ciężki wóz. Woźnica szedł przy wozie po jego lewej stronie i poza końmi nie widział bawiącego się w koleinach dzieciaka. Tymczasem w domu zauważono brak mojej małej osoby. A gdzie Wiesio? Ojciec tknięty jakimś przeczuciem wybiegł na dwór. Konie już przeszły przede mną przednimi nogami i przekraczały tylnymi. Jeszcze sekunda i kute żelazem koła zetrą mnie na kupkę zakrwawionego mięsa. Okazuje się, że se-



Kąpiel w wodzie Klukówki, w tle mokradła Wyżarów

kunda to dużo czasu. Prrrr..... Przeróżliwy głos ojca wstrzymał konie na miejscu.

Powie ktoś: – przypadek, takie rzeczy zdarzają się nic nie ma w tym nadzwyczajnego. Jednak jeżeli za każdym razem wypada orzeł, to przeczy to zdrowemu rozsądkowi i matematycznym regułom. Minał miesiąc. Którejś niedzieli czerwca przyjechała do nas do Białej Podlaskiej chrzestna z Warszawy. Przyjechał też brat mamy, mój chrzestny wujek Mietek. Aby nie siedzieć w domu, całe towarzystwo wybrało się nad rzekę Krznę. Mała plaża, trochę piasku, czysta woda, no to trzeba się wykapać. Krzna nie jest dużą rzeką, ale do utonięcia wystarczy. Dzika, nie uregulowana, obrośnięta krzakami, przy brzegu wiry wodne. Pierwszy w wir dostał się ojciec. Gdy mama to zobaczyła krzyknęła do chrzestnej: „Lusia – Paweł tonie” i buch w wir. Wir porwał ją i rzucił aż na dno. Woda była czysta więc zobaczyła białą rękę i już jej nie puściła. Chrzestna na brzegu podniosła alarm. Mietek...Mietek – oboje utonęli – gdzie?

Tutaj w tym wirze. Mietek, który dobrze pływał skoczył do wody, dał się ponieść na dno, natrafił na ojca, a razem z nim wyciągnął uczeponą ręką mamę. I znowu orzeł – a to dopiero początek.



Rodzice na ulicy w Białej Podlaskiej



Spacer z mamą



Wycieczka rowerowa z rodzicami



W warszawskim ZOO



Przed domem

Część I

Wojna 1939/1945

Zanim z pogodnego wrześnieowego nieba posypały się bomby. Zanim w ciszę słonecznego poranka wdarły się serie karabinów maszynowych i salwy dział, poszedłem z rodzicami na cmentarz. Był jeden z ostatnich wieczorów sierpnia. „A lato było piękne tego roku”. Mieszkaliśmy przy ul. Janowskiej vis a vis cmentarza, wycieczka więc nie była długa.

Na środku głównej alei stał okazały postument, który mnie zatrzymał. Miałem niecałe cztery lata, ale obraz ten widzę do dzisiaj. Na cokole stał czy też klęczał przywalony wielkim krzyżem Jezus Chrystus. Pobity i zakrwawiony, korona cierniowa raniła skronie. Na twarzy malowało się niewymowne cierpienie. Nie wytrzymałem. Wrażenie było zbyt silne. Dla mnie w tym momencie nie był to posąg lecz żywy cierpiący człowiek. Płaczącego zabrali mnie rodzice. Nadchodziły lata gehenny, cierpień i poniżenia. Wkrótce cała Polska wyglądała jak ten sponiewierany Chrystus. Wtedy jednak nikt o tym nie wiedział. Takie refleksje przyszły znacznie później. Wiele dzieci i osób dorosłych chodziło koło tego pomnika, ale takich uczuć nie doświadczył chyba nikt. Łzy małego dziecka wystarczyły za wszystkie modlitwy, toteż Pan Bóg musiał się nimi wzruszyć, bo w całym życiu o co tylko poprosiłem, zawsze zostałem wysłuchany.

Biała Podlaska była garnizonem wojskowym. Posiadała duże lotnisko i fabrykę samolotów – słynne PWSy. Obiekty takie zostały zbombardowane najpierw. Pierwszego września rano, słońce już wzeszło, ale było jeszcze nisko nad horyzontem. Ze snu wyrwał mnie jęk syren i wybuchy. Niemieckie samoloty atakowały lotnisko, a nasi się ostrzeliwali. Mnie ojciec chwycił za rękę i biegiem przez szosę na cmentarz. Z boku biegła mama. Na cmentarzu przygotowane były schrony. Niemieckie samoloty strzelały z broni pokładowej. Strzelali do wszystkiego. Bałem się. Jazgotu karabinów maszynowych, świstu kul i rykoszetów. Oczami wyobraźni widziałem kulę, która przebija strop ziemianki i trafia we mnie. Potem wszystko ucichło. Za kilka dni odwrót. Szosy zatłoczone wojskiem. Ojciec tak jak większość mężczyzn

uciekał na wschód. Nie wiedział, że pakuje się z deszczu pod rynnę. Mama będąc w trzecim miesiącu ciąży wzięła mnie na plecy i szukała schronienia na wsi u dziadków. Kiedy już nie dała rady iść poprosiła oficera polskiego aby ten znalazł jej miejsce na jakiejś furmance.

Wkrótce „pośród szczerych przyjaciół psy zająca zjadły”. Na nic zdały się układy, deklaracje, przymerza. Polska otoczona przez wrogie mocarstwa przestała istnieć, a właściwie zeszała do podziemia bo przecież „nie zginęła póki my żyjemy”. „Święta miłości kochanej Ojczyzny, czują cię tylko umysły pocziwe. Dla Ciebie zjadł smakuja trucizny. Dla Ciebie więzy, pęta nie zelżywe”. W imię tych hasel tysiące, miliony patriotów poświęciło życie. „Jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec”. Do walki stanęli następni – rodzice, wujkowie, stryjowie. Ja wtedy byłem dzieckiem, ale gdy Polskę zajął drugi okupant, dołączyłem do grona niepokornych. W wieku 18-22 lat odniosłem parę „blizn” na ciele i duszy, z których jestem dumny ponieważ są one związane ze sprawą, którą zaczęli rodzice. Ale po kolei.

Kilka zdań poświęcę swoim dziadkom, gdyż to oni zaszczepili w nas miłość do ziemi, języka i wiary. Zabór rosyjski wycisnął piętno na psychice Podlasiaków. Szykany i zbrodnie dotknęły wszystkich, którzy nie poddali się rusyfikacji. Wtedy powstał termin „Męczeńskie Podlasie”. Ostoją Polskości była wiara i kościół katolicki. Jakże trafne są słowa wieszczki: „Tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem Polska jest Polską, a Polak Polakiem”. Jakże wielu ludzi dzisiaj o tym zapomniało. Gdy żandarm ruski, uderzył matkę dziadka nahajką za to, że nie chciała ochrzcić dziecka w cerkwi. Pięcioletni chłopiec widząc zapłakaną matkę podszedł niezauważony i mocno ugryzł żandarma w dupę. W szkole ruski nauczyciel ośmieszał przed klasą sposób żegnania się całą ręką. Tłumaczył, że żegnać się trzeba trzema palcami na pamiątkę Trójcy Świętej. Powiedział, że całą łapą małpa od pyska muchy odgania. Dziadek, siedmioletni chłopak odpalił mu natychmiast: „U nas troma palcami muzyki z kormana tabaku wytąskiwajut”. Dostał za to nahajką po siedzeniu ale nawet nie zapłakał, nie pozwoliła mu na to duma. Gdy po latach niewoli Polska odrodziła się, a na młode państwo ruszyła w 1920 roku nawała bolszewicka, dziadek widział i opowiadał mi o palonych kościołach, dworach i mordowanych ludziach.

Drugi dziadek Grochowski Aleksander został przymusowo wcielony do carskiej armii. Walczył całą I wojnę. Cztery lata taplania się w błocie okopów, pośród trupów, szczurów i wszy. Można oszaleć. Wątpię, czy człowiek jest w stanie coś takiego sobie wyobrazić. Cztery lata świstały kule i żadna go nawet nie raniła, ale zginął po powrocie do domu z ręki własnego syna. Był to wypadek. Wypadek spowodowany pośpiechem i bezmyślnością. „Jak się człowiek spieszy, to się Diabeł cieszy”. Pan Bóg dając człowiekowi wolną wolę, dołożył do niej dar myślenia. Dzięki temu posłuszne są mu wielkie i małe zwierzęta. Dzięki temu możliwy jest postęp. Z myślenia nikt nas nie zwolnił. Jeżeli ktoś nie ma czasu na myślenie, albo mu się nie chce, to dochodzi do takich właśnie wypadków. Dziadek był kowalem. Znał bardzo dobrze swoje rzemiosło. Spojrzał i wiedział co trzeba zrobić. Nie lubił jak doradza mu ktoś, kto się na tym nie zna. Pracował w dworskiej kuźni w Witulinie. Był człowiekiem szanowanym i 100% mężczyzną. Przystojny, z czarnym sumiastym wąsem, nie znosił sprzeciwu i dwa razy nie powtarzał. Znał cechy ojca jego najstarszy z synów Mieczysław, który miał wtedy 16 lat. Pracował z ojcem w kuźni i uczył się zawodu kowala. Zawód ten cieszył się dużym poważaniem i był bardzo potrzebny.

Była grudniowa sobota. Wieczór w grudniu zapada wcześniej, światła elektrycznego nie było. Jak się nie zrobiło w dzień, to po ciemku lub przy lampie praca była niemożliwa. Trzeba było wyszykować na niedzielę bryczkę panu dziedzicowi. W kuźni mrok, a pracy jeszcze dużo. Mietek grzał na ogniu długie żelazo, a dziadek czekał przy kowadle. Widząc, że żelazo jest już rozpalone do białości krzyknął na syna. Ten w pośpiechu chwycił pręt i biegiem do kowadła. Oczy wpatrzone w ogień niewiele widziały w mroku kuźni, ale dziadek syna widział dobrze i nie pomyślał, że on biegnie prawie po omacku. Schylił się po młot, a rozpalone żelazo trafiło go w szyję. W pierwszym odruchu chciał go uderzyć, ale uniesioną ręką chwycił się za gardło. Wiedział, że to koniec. Powiedział tylko „Żegnaj” i wyszedł z kuźni. Zmarł z wykrwawienia. Rozpacz prowadząca do obłędu. Chłopak chciał się powiesić. Tygodniami nocował na grobie ojca. Gdy w następnych latach, któreś z rodzeństwa podczas kłótni rzuciło mu w twarz: „Tyś zabił ojca” uciekał w pola i płakał.

Trudów i okropności wojny nerwy nie wytrzymały. Ale o tym później.

Dziadek Grochowski osierocił pięcioro dzieci. Wymienię je w kolejności, ponieważ wszystkie odegrały



Z dziadkami – rodzice ojca – Anna i Piotr Jakimiuk

ważną rolę w naszej rodzinie. Najstarszą córką była moja mama Janina. W chwili śmierci ojca miała osiemnaście lat. Była piękną dziewczyną, pracowitą i inteligentną. Była najlepszą matką. Mietetek, szesnaście lat, człowiek skromny i niepozorny. Po tragedii z ojcem uczył się w szkole zawodowej w Warszawie, gdzie zdobył ogładę i wyrósł na przystojnego mężczyznę. O jego przygodach życiowych można napisać książkę. Janek, czternaście lat. Urodził się gdy ojciec odchodził na wojnę. Mając dwadzieścia lat powołany do wojska w szeregi ułanów, a tam chuderlaków nie brano. Silny, 180 centymetrów wzrostu i bardzo proporcjonalnie zbudowany – wzór mężczyzny. Ostatnimi dziećmi była Marysia, dwa latka i Tadzio, w kołysce. Gdy babka Teresa Grochowska została bez męża, otrzymała rentę na utrzymanie i wychowanie dzieci. Z tej renty kupiła działkę w Białej Podlaskiej i wybudowała dom. W porównaniu opieki socjalnej Polski Sanacyjnej z czasami zakłamanego, nadętego jak indor PRLu lub katastrofą gospodarczą III RP, te dwa systemy wypadają nader blado. A to jest właśnie nasze życie i nasza młodość.

Troszkę się rozgadałem. A co z mama zostawioną na drodze zatłoczonej wycofującym się wojskiem, z jednym dzieckiem śpiącym na plecach i drugim w brzuchu. Oficer zatrzymał furmankę i kazał mamę zabrać. Chłop daleko nie jechał, ale i ta pomoc okazała się istotną. Gdy mama odpoczęła, resztę drogi do Jagodnicy przebrnęła pieszo. Jagodnica – typowa biedna podlaska wieś. Tak zwana Polska B.

Nawet na mapie jej nie ma. Położona 10 km na północ od Białej, 4 km od Leśnej.

Z boku Witulin. Po jednej stronie piaszczystej drogi chaty pod strzechą, po drugiej stodoły, za chatami niewielkie ogrody, trochę drzew owocowych i teren obniżający się do rzeki Klukówki. Mała rzeczka, ale gdybyś ja widział wiosną jak rozleje swe wody po wielokilometrowych równinach, jak zakwitną kaczeńce i przylecą bociany – czar. Dlaczego o tym piszę? Bo to jest kraj lat dziecińczych. Jeśli chcesz wiedzieć co to znaczy to zajrzyj do Epilogu Pana Tadeusza. Z Mickiewiczem konkurować nie myślę dlatego zamiast wysilać się samemu, przytoczę jego słowa: „Kraj lat dziecińczych! On zawsze zostanie święty i czysty, jak pierwsze kochanie...Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny! Jak świat jest Boży tak on był nasz własny!”

Przeczytaj ten wiersz w całości, a jeżeli ci się lza nie zakręci, to znaczy, że masz serce z kamienia.

W Jagodnicy mama wynajęła pokój w ładnym domu naprzeciw chaty dziadka Jakimiaka i tutaj w końcu września znalazł nas ojciec.

Uciekając przed Niemcami przeszedł na drugą stronę Bugu. Najprościej w Brześciu, duże miasto, mosty, drogi, koleje, prosto przed siebie Polesie w prawo Podole, w lewo Litwa. Wszędzie Polska jest dokąd uciekać, jest gdzie się skryć. Nikt tu o Niemcach nie słyszał. Nie słyszał nikt również o pakcie Ribbentrop- Molotow, o czwartym rozbiorze, który odwieczne ziemie polskie podzielił na kolejne zabory. Do Bugu Faterland, poza Bugiem czerwona zaraza – bolszewicki terror, który nie oszczędzał nikogo. Siedemnastego września Armia Czerwona, wyzwalając uciemiężonych Białorusinów i Ukraińców spod tyranii polskich panów zajęła co miała zająć, spotkała się w Brześciu z armią niemiecką gdzie oba mocarstwa urządziły paradną defiladę zwycięzców. Sowietci rozpoczęli polowanie z nagonką na Polaków.

Polscy mieszkańcy ziem zabużańskich jechali w stepy Kazachstanu lub na Sybir. Pociągi śmierci wywoziły setki tysięcy ludzi. Przeżyli tylko młodzi i zdrowi. Gorszego losu nie można sobie wyobrazić. A jednak – uciekinierzy jak mój ojciec traktowani byli jako przestępcy nielegalnie przekraczający granicę. Dla tych nie było miejsca nawet w wagonach śmierci. Zamykani byli do więzień, a potem masowo likwidowani. Była jeszcze trzecia grupa – to żołnierze i oficerowie wzięci do niewoli. Ich los zna historia, ale ja historii nie piszę. Historia beznamytnie przedstawia fakty. Jedne słyca, inne przekręca a jeszcze inne pomija tworząc tzw. białe plamy. Moje wspomnienia są na pewno subiektywne i fragmentaryczne, o dużym zabarwieniu emocjonalnym, ale są to wspomnienia dziecka, które tym więcej zapamiętywało im było starsze.

Aby nie dostać się w łapy NKWD (Narodnyj Komisar Wnutrennych Dieł) trzeba było uciekać dalej, kryjąc się jak złodziej. Na nic się to jednak nie zdało. We wsiach czekali na Polaków mołojcy ukraińscy. Nawet Lwów wydany był na parodniową pastwę ukraińskich i żydowskich nacjonalistów. Do tematów tych powrócę w odpowiednim czasie, ponieważ wtedy nikt nie miał o tych sprawach pojęcia. Ojciec dostał się w ręce takiej zbrodniczej bandy. Z pomocą przyszła znowu Matka Boża. Gdy zdawało się, że znikąd nie ma ratunku, rozpoznał ojca pewien stary człowiek, mieszkaniec wioski. Ojciec był lekarzem. Przed wojną pracował w Starostwie Powiatowym w Bialskiej służbie zdrowia. Kiedyś pomógł temu Ukraińcowi w załatwieniu jakichś spraw rentowych. Człowiek ten powstrzymał mołojców. Powiedział, że ten lach nie jest wrogiem Ukrainy, że on go zna i mają go puścić. Ojcu zaś powiedział żeby dalej nie szedł, bo w następnej wsi nikt go nie obroni. "Do Bugu niedaleko – wracaj do swoich", i Bóg dał, że ojciec wrócił. Niemcy szybko zaprowadzili swój ordnung na podbitych terenach. Wydali własne dowody osobiste tzw. kenkarty, założyli biura pracy arbeitszanty i zapędzili wszystkich do roboty. Chłop do pługa, bo wojsko na froncie potrzebuje jeść, a lekarze do szpitala bo na zapleczu musi też ktoś walczyć z tyfusem. Ojciec szybko zdobył uznanie władz. Her doctor to był Her doctor, ale równie szybko zdobył inne uznanie. Polacy zeszli do podziemia. Jeszcze nie ostygły lufy karabinów, a już powstały pierwsze organizacje bojowe jak Służba Zwycięstwa Polski. Organizacje te przekształciły się na polecenie rządu w Związek Walki Zbrojnej, a następnie w Armię Krajową. Polska żyła nadal, chociaż zniewolona i pobita, ale walcząca. Był oficjalny rząd, była silna armia, która wkrótce zadziwiła świat no i były setki tysięcy ludzi pod bronią w kraju.

Ludzie ci szybko znaleźli ojca, oprócz karabinu potrzebny był lekarz i dostęp do szpitala. Wojna rodzi brud, brud rodzi wszawicę a wszawica śmierć. W 1940 roku wybuchła epidemia tyfusu. Niemcy bali się go okropnie, nie było leków, nie umieli z tym walczyć. Ojciec wprowadził surową dyscyplinę sanitarną i tyfus przestał się rozprzestrzeniać, ale matki swojej i teściowej nie zdołał uratować. Pierwsza zachorowała babka Jakimiakowa Anna, kobieta o anielskiej dobroci, nie znająca złości i zawiści. Kiedyś była piękną złoto-blond dziewczyną i pokojową we dworze. Zakochał się w niej młody dziarski pomocnik ogrodnika pracujący dla tego samego pana. Dziedzic młodych pobłogosławił i wyposażył na dalszą drogę życia dając im w prezencie ślubnym jeden hektar ziemi w Jagodnicy. I tak zaczęło się klepanie biedy i dzieci. Jak można utrzymać rodzinę na jednym hektarze ziemi? Oto trzeba by zapytać mojego dziadka. Dzieci mieli sześcioro, czterech chłopców i dwie dziewczyny. Obie, Maryla i Kazia, urodę odziedziczyły po matce, ale i chłopcom niczego nie brakowało. Najstarszy Franek i najmłodszy Czesław od matki wzięli dobroć, życzliwość i opanowanie. Nigdy żadnych klątw czy wyzwisk, żadnych wulgaryzmów, za-

wsze spokojni i pogodni, a przecież byli prostymi wiejskimi ludźmi – rolnikami. Felek i Paweł więcej cech wzięli od swojego ojca. Obaj słusznego wzrostu, obaj energiczni i czupurni, ale Paweł czyli mój tata przewyższał wszystkich swych braci inteligencją i chęcią do nauki. Nie był nad miarę pracowity czy zdolny, dwójce w szkole zbierał również, jednak zdawał sobie sprawę, że stanowisko, zawód i pozycję społeczną może dać mu tylko szkoła. W porwanych butach (inni takich nie mieli) w połatanym ubraniu brnął 8 kilometrów dziennie do Leśnej po naukę. Bywało, że wiosną gdy wylała Klukówka, drogę do domu pokonywał po krze lodowej.

Co może mi powiedzieć dzisiejsza młodzież, która ma autobusy, szkołę pod nosem, ciepłe ubrania, dobre wyżywienie, komputery i Internet a uczyć się nie chce. Po skończeniu Seminarium Nauczycielskiego w Leśnej, po dalszą naukę poszedł w świat. Ojciec nie mógł mu zapewnić utrzymania. Na wszystko trzeba było zapracować samemu. Pracował więc jako policjant w Chełmie i Cieszynie, jako urzędnik we Lwowie gdzie studiował i w Białej jako kontroler sanitarny. W tym czasie poznał moja mamę. Dziadkowi Grochowskiemu podobał się wytworny, zaradny i wykształcony młodzieniec ale babka była mu przeciwna. Widziała w nim lekkoducha podobnego do swawolnego wiatru lub motyla przeskakującego z kwiatka na kwiatek. Czego może szukać światowy chłopak, taki co to z niejednego pieca chleb próbował u skromnej wiejskiej dziewczyny? No czego? Sprawa prosta: urody, cnoty i skromności. Wszystkie te niemodne dzisiaj cechy posiadała córka kowala Grochowskiego z Witulina. Zakochała się ona w Pawelku na całe życie. Tylko w nim i na nic się zdały matczyne uprzedzenia. Po śmierci dziadka, gdy Grochowscy mieszkali w Białej, o rękę mamy starał się kapitan Wojska Polskiego Wilhelm Wysocki. Szlacheckie nazwisko, ranga, pozycja społeczna podobały się matce, ale nie córce. Dla niej nikt na świecie z Pawelkiem nie mógł się równać. To nic, że Wiluś dla miłości zrezygnował z wojska, ponieważ oficer nie mógł się żenić z panną bez matury, to nic, że złamał sobie życie, że płakał jak nie mężczyzna. Z Pawelkiem nie wygrał, chociaż okazało się, że to babka Grochowska miała rację. Matczyne serce wie lepiej.

„A gdy powrócisz do domu żołnierzu. Nie bądź za dumny ale w podzięce ucałuj czule matczyne ręce. One cię co dnia do snu układały, aż na Ojczyzny syna wychowały, w łzach i rozterce matczyne serce”. Niedługo przed ślubem rodziców zmarły obie siostry ojca. Maryla miała 24 lata, a Kazia 16. To dopiero był ból i tragedia. Pożegnać ukochane córki, piękne jak kwiaty, zaledwie wychowane, na progu życia. Zmarły jedna po drugiej. Dziadek mówił, że Kazia zaziębiła się na pogrzebie Maryli. Mama moja twierdziła, że przyczyną była gruźlica. Gdy patrzę na stare portrety mych ciotek, to widzę olbrzymie podobieństwo mojej siostry rodzonej Hani do Maryli, natomiast do Kazi łudząco podobna jest siostra stryjeczna, również Kazia, córka stryja Felka. Nie jest to dziwne zważywszy na fakt, że wszystkie te dziewczyny pochodzą w prostej linii od swojej matki i babki Anny Jakimiuk z domu Halimoniuk. Rodzice moi pobrali się w maju, a ja urodziłem się w grudniu 1935 roku. Babka Grochowska nigdy tego związku nie zaakceptowała. Nie okazywała również uczuć mnie i siostrze Hani, jedynym aż do jej śmierci wnukom. Hania urodziła się 21 marca 1940 roku jako typowe dziecko wojny. Rozwijająca się i wzrastająca w okresie największego zamętu, w stanie ciągłego zagrożenia. Trwający nieprzerwanie stres matki odcisnął piętno również na dziecku. Ojciec powrócił, ale strach i niepewność jutra pozostały. Terror niemiecki szalał. Nad głową jak miecz Damoklesa wisiała groźba zdemaskowania. Mieszkaliśmy na wsi, ojciec pracował w mieście. Nie co dzień wracał do domu. Nigdy nie było wiadomo kiedy i czy w ogóle wróci. Babcia zmarła w dniu Barbary 4 grudnia 1940 roku. Przed śmiercią chciała widzieć moja mamę, a gdy ta podeszła, babcia z radością w oczach powiedziała: „czekałam na ciebie jak na zbawienie, teraz mogę odejść”. Nie znam drugiej teściowej, która obdarzyła by synową taką miłością. Pamiętam ten dzień. Była słoneczna pogoda, lekki mróz ale śniegu nie było. Rozlewiska Klukówki zamarzły. Ludzie zwali je wyzarami. Lód był mocny więc ślizgało się tam wielu chłopaków, głównie z Jagodnicy i Witulina, ale byli też z innych wiosek. Niektórzy, zwłaszcza starsi, mieli swojej roboty łyżwy. Były to klocki drewna podkute drutem lub prętami ze zużytej kosy. Niektórzy mieli małe saneczki na których stali i odpychali się okutym żelazem kijem.

Łyżew takich jakie mają dzieci obecnie nie miał nikt. Nikt takich łyżew nie widział i nie wyobrażał sobie nawet jak wyglądają. Chciałem biec do kolegów ale dziadek nie pozwolił. Babcia leży w trumnie

a ty chcesz się cieszyć i bawić. Nikt cię już nie zawoła, nikt nie da owocu ani chleba posypanego cukrem. Jeżeli nie potrafisz się smucić to przynajmniej nie ciesz się. Za parę dni zmarła druga babcia. Wiedziałem już, że należy zachować powagę, ale szacunek jakoś przyjść nie chciał.

Potem zaczął sypać śnieg, sypał i sypał. Po Świątach Bożego Narodzenia i Nowym Roku 1941 przeprowadziliśmy się do większego mieszkania w sąsiedniej wsi. Wieś Zaberwecze położona była w lasach. Po obydwóch stronach leśnej drogi stały między starymi sosnami domy, głównie drewniane. Mieszkał tam brat ojca Felek z rodziną. My zajęliśmy pokój z kuchnią w sąsiednim domu u jego przyjaciela Franka Matejuka. Na końcu wsi, za lasem, na płaskiej niewielkiej górze stała rozwalająca się drewniana rudera. Trudno było to nazwać domem. Połączona była ze stajnią i oborą w jeden budynek. Kiedyś często budowano tak aby zwierzęta ogrzewały ludzi. Okna wybite, zamiast mebli słomiane barłogi. Mieszkał tu dziwny chłop, nazywał się Franio Szewczuk. Miał żonę, kilkoro dzieci, bardzo chudego starego konia, krowę, kozę i około 2 hektarów ziemi. Dziwactwo jego polegało na tym, że po prostu nie mył się, nie golił i nie strzygł. Chodził stale w tych samych łachmanach, które ubraniami chyba nie były nigdy. Żona nie wpuszczała go do chaty i niczego mu nie gotowała. Powiedziała, że dopóki nie stanie się człowiekiem, dopóty nie chce go widzieć.

Chodził więc Franio po wsiach i żywił się tym co dostał od ludzi. Zarośnięty jak niedźwiedź. Specjalnie nawet nie żebrał. Przyszedł u, usiadł, pogadał, a jak nic nie dostał odchodził. Przyglądałem mu się uważnie i trochę się go bałem, ale on był zawsze spokojny. Nie wiadomo ile mógł mieć lat bo pod warstwą kudłów i brudu ciała nie było go widać. Wkrótce i na Frania przyszedł kres i wtedy się zaczęło. Po wsiach poszła wieść, że Franio straszy. Nie wszystkich, tylko żonę, ale ona się go wcale nie boi. Za życia zdechł mu koń, a że Franio nie był w stanie wykopać dużego dołu, to porąbał konia na kawałki i dość płytko zasypał. Nocą duch Frania składał konia, jechał na nim do żony i robił jej awanturę. Klótnia była obustronna i pretensje obopólne. Następnie konia demontował, wrzucał kawałki przez okno do chaty i wszystko cichło. Rano nie było żadnych śladów. Podobno niektórzy odważni usiłowali zobaczyć to osobiście. Nikt jednak nie wytrzymał nerwowo. Podobno władze niemieckie przeniosły gdzieś żonę Frania z dziećmi. Miałem wtedy sześć lat. Frania widziałem kilka razy i pamiętam go, ale co spowodowało ludzi do takich opowieści nie mam pojęcia. Opowiastkę tę przytaczam jako ciekawostkę tak jak ją słyszałem od innych. Rudera Frania stała opuszczona do końca naszego pobytu, widziałem ją wiele razy. W dalszym życiu spotkałem się z bardzo nieprawdopodobnymi faktami, o których opowiem w kolejności.

Tymczasem nadszedł czerwiec 1941 roku. Niemcy napadli na Sowietów. Historia tego konfliktu jest białą plamą do dziś. Ja nie będę jej wyjaśniał gdyż nie jestem historykiem i nie taka jest moja rola. Kto chce wiedzieć coś na ten temat niech zajrzy do książki Wiktora Suworowa p.t. „Lodołamacz”. Książka jest wstrząsającym rozrachunkiem historycznym a jej autor pułkownikiem wywiadu wojskowego GRU i wie o czym pisze. Hitler na Stalina, czy Stalin na Hitlera? Dla nas Polaków jest to nieistotne, ważne, że mordercy wzięli się za łby co daje nam pewne szanse. Niemcy przydusili bolszewicką bestię jak pies szczura. Setki tysięcy sowieckich jeńców szło do niewoli. Obozy wypełniły się po brzegi i potrzeba była tworzenia nowych. Jeden z takich obozów powstał w Białej Podlaskiej. Tak jak w syberyjskich gułagach konających Polaków trzymano pod gołym niebem o głodzie na mrozie, tak teraz podobny los spotkał żołnierzy rosyjskich.

Dlaczego nagle zmieniłem ton?

Dlaczego słowa mordercy i bestie zastąpiłem słowem żołnierze?

Zbrodniczy i potworny był system stalinowski, który niszczył człowieka bez względu na jego narodowość. Ofiarą tego systemu padali również Rosjanie w takim samym, a może jeszcze większym stopniu niż Polacy. Ale gdy stali się nagle potrzebni, zamieniono im więzienne ubrania na mundury i pognano pod groźbą śmierci na niemieckie pozycje. Z ich życiem nikt się nie liczył, były to kompanie karne, gnane często bez broni – „karabin weźmiesz od kolegi jak padnie, a tiepier wpierjod”.

Mało tego – ludzie ci przelewali krew i oddali Życie również za nas. Dlatego należy im się poszanowanie i wdzięczność. Krew bohaterów polskich, ruskich czy nawet żydowskich ma kolor jednakowy. Tych ostatnich było niewielu, ale byli.

– Na cmentarzu pod Monte Cassino obok grobów polskich są także groby z Gwiazdą Davida. Nie wszyscy wysiedli z pociągu generała Andersa na przystanku Palestyna i dali drapakę. Zostali, chociaż mogli uciec. Nie wszyscy byli również Ubowcami w polskich mundurach, o polskich nazwiskach i mordujący polskich patriotów. Tych, którzy byli dobrymi synami polskiej ziemi i polskiego narodu uznają za swoich choćby nie zmienili nazwisk. Komunistów i komisarzy Niemcy rozstrzeliwali natychmiast. Za drutami obozów zostali więc tylko ci, którzy sami byli ofiarami. Los ich był beznadziejny. Jeżeli nie zginęli z ręki Niemców to rozstrzeliwali ich sami za to, że oddali się do niewoli. Tym ludziom bez możliwości ratunku należała się przynajmniej litość. Lecz stalinizm litości nie znał. Nie chronił nawet swoich wiernych sługusów. Nie podpisał międzynarodowej konwencji dającej jeńcom wojennym jakieś prawa, dlatego Niemcy robili z nimi co chcieli. Leżeli więc ludzie pod gołym niebem na ziemi, gryzły ich wszy, głód i tyfus, wielu było rannych a miał przyjść mróz i odmrożenia. W tej sytuacji znaleźli się śmiałkowie, którzy jakimś sposobem przerwali druty i uciekli w lasy. Skąd zdobyli broń tego nie wiem, ale była to broń radziecka, gdyż ruska pepeszę od niemieckiego szmajsera odróżnić umiałem, a to widziałem na własne oczy. Rosjanie utworzyli własną partyzantkę mającą na celu nie tyle walkę co przetrwanie. Na naszym terenie działał oddział Miszki, tak nazywali go ludzie w okolicznych wsiach. Czy był to pseudonim, czy imię Misza nie wiem. Widziałem go i pamiętam. Zasłynął on wkrótce nie jako żołnierz lecz rabuś. Coś jednak musieli jeść. Niemcy zaczęli urządzać nocne obławy. Otaczali wsie, robili rewizje i szukali partyzantów zarówno ruskich jak i polskich, bo w lasach były oddziały ZWZ, a we wsiach Bataliony Chłopskie, które wtedy istniały jako formacje od siebie niezależne. W następnym roku połączyły się na rozkaz naczelnego wodza i utworzyły Armię Krajową.

Po śmierci babci Grochowskiej najmłodsze jej dzieci zostały na łasce Boga i obcych ludzi. Ojciec mój nie chciał się nimi zająć, a mama nie miała nic do powiedzenia, mąż był człowiekiem brutalnym i apodyktycznym. Zapomniał jak sam był w biedzie. Czternastoletnia Marysia chciała się otruć jodyną. Poparzyła sobie przelyk, a ojciec doradził jej tylko, żeby na drugi raz zrobiła to skuteczniej, ale najpierw niech sobie zarobi na trumnę. Problem rozwiązali Niemcy: złapali ją podczas łapanki i wywieźli na roboty do Niemiec. Do Polski już nie wróciła. Tadzio miał dwanaście lat kiedy rozpoczął ciężką pracę w piekarni. Był pomocnikiem do wszystkiego. Zaopiekował się nim Wilhelm Wysocki, który był w konspiracji. Mietek jako kowal – mechanik zatrudniony został przez Niemców w lotniczych warsztatach naprawczych, a Janek w granatowej policji. Niemcy wiedzieli kto nadaje się do jakiej pracy i każdy był im potrzebny, sami zaś tylko rządzą. Mają to chyba we krwi, bo już w państwie krzyżackim zarządzali stanowili nieliczni rycerze, a resztę maszyny administracyjnej czy gospodarczej stanowili wybrani lecz zdolni poddani. Nawet w gettach, które w tym czasie zaczęli zakładać, policję tzw. Judenrat i administrację stanowili żydzi. Pracowali na własną zgubę, brutalnością często prześcigali Niemców. Tylko Polacy zawsze byli nieposłuszni, zawsze buntowniczy i niepokorni.

Na każdym kroku jak mogli i jak umieli, przeciwstawiali się władzy. Nie wolno jeść mięsa, masła, cukru i wielu innych produktów poza kartkowych, ale nielegalny handel rósł jak „grzyby po deszczu”. Nawet mój ojciec z braćmi nocami prowadzili nielegalny ubój i wywóz mięsa w sposób zorganizowany do ustalonych miejsc. Nie wolno było mieć radia ani rozpowszechniać nielegalnych informacji, lecz radia były i wszyscy wiedzieli, że na zachodzie walczy polska armia, tłuką Niemców polskie dywizjony lotnicze, a Dywizjon 303 jest najlepszy i że Niemcy na samym początku wojny poniosły pierwszą klęskę nad Anglią. „Nigdy w historii konfliktów międzyludzkich, tak wielu nie zawdzięczało tak wiele, tak nielicznym”. A przecież ci nieliczni w znacznej mierze składali się z Polaków. Wiadomości takie, zakazane dowcipy i piosenki napępniały serca otuchą i nadzieją. Nie wolno było oczywiście pomagać żydom, pod karą śmierci, ale żydów przechowywano wszędzie i wielu ocalono itd., itd.

Jak w każdym narodzie, tak i u nas zdarzały się ludzkie śmieci, ale proporcjonalnie do ogółu był to wąski margines, o takich rzeczach jakie teraz zdarzają się nagminnie wtedy się nie słyszało. Oddziały leśne potrafiły unieszkodliwić zdrajcę, prowokatora czy opryszka. Częściej słyszało się o folksdojczach. Były za to wpadki za łamanie niemieckich praw, zsyłki do obozów, egzekucje uliczne, łapanki, wywozili na roboty, obowiązkowe prace na wezwanie sołtysa. tzw. szarwarki i podwody. Rolnik obowiązkowo oddawał kontyngent czyli podatek w naturze. Kilka kilometrów na wschód od Janowa Podlaskiego leży

wieś Błonie, za wsią rozciągają się porośnięte lasem moczary i Bug. W Błoniach prowadził mleczarnię p. Jakubowski. Był on przyjacielem ojca i współtowarzyszem w walce. Obaj należeli do tego samego oddziału. Jako mleczarz miał obowiązek zbierać od rolników mleko na kontyngenty i odstawiać je do zlewni. Mleko to bardzo często trafiało do oddziału partyzanckiego. Jak Jakubowski rozliczał się z braków nie wiem, ale swoje sposoby mieli. Podobnie piekarnia, w której z polecenia kapitana Wysockiego pracował Tadzio. Załadowali mu wózek lub rower chlebem i o umówionej godzinie kazali zawieźć w ustalone miejsce. Chłopak oddalał się załatwiając jakieś sprawy, a gdy wracał chleba już nie było. Różni więc byli partyzanci i różne rodzaje walki. Akcji zbrojnych też nie brakowało. Była prowadzona dywersja, egzekucje, odwet. Ataków zbrojnych dokonywali bojowi żołnierze, nie ci od chleba i mleka. Pamiętam braci Wadowskich z Jagodnicy, porucznika Kortusa, Franka Jakimiaka brata stryjecznego mego ojca, który otoczony przez obławę bronił się do wyczerpania amunicji i granatów. Wzięty żywcem był torturowany a następnie rozstrzelany publicznie.

W Białej Podlaskiej oprócz normalnej linii kolejowej Warszawa – Brześć były w tym czasie dwie linie wąskotorowe. Jedna przez Leśną do Konstantynowa, druga do Janowa, gdzie znajduje się do tej pory słynna stadnina koni arabskich. Linie te były bardzo popularnym środkiem lokomocji. Pewnego razu jechał tym pociągiem pluton wojska do Leśnej na akcję egzekucyjną czy pacyfikacyjną. W drugim wagonie jechało czterech granatowych policjantów i oficerowie. Dowódcami w takich „impresach” byli SS – mani lub gestapowcy. Nasi postanowili w akcji przeszkodzić. Przed Leśną były dwa ostre zakręty, na jednym trzeba było wskoczyć do pociągu, a na drugim wyskoczyć. Czasu na załatwienie sprawy było około 3 minut. Maszynista był swój, ale bardziej przeciągnąć nie mógł bo było by to podejrzane. Do wagonu wojskowego wskoczył podobno Kortus bo dobrze mówił po niemiecku. Zatrzymał on w szachu trzydziestu żołnierzy, tłumacząc im, że mają spokojnie siedzieć a nie się im nie stanie. Do drugiego wagonu wskoczyło kilku. Zabili oficerów i pobili policjantów. Gdy wyskakiwali pociąg nabierał prędkości. Ostatni z naszych zawahał się i o pare sekund opóźnił skok. Ścięła go seria jednego z żołnierzy, który zdążył ochłonąć po wizycie nieproszonego gościa. Partyzant pochowany został tam gdzie padł, w lesie, niedaleko toru na burcie nasypu. „W szczerym polu biały krzyż nie pamięta już kto pod nim śpi”.

Kolejki już nie ma dawno. Rozmontowano ją w latach 50 – tych. A mogiła?

Jeżeli nawet nie istnieje, to i tak bym ją znalazł.

Jesienią kupił ojciec na Zaberweczu działkę rolną o powierzchni 1 hektara. Nie była to ziemia uprawna lecz wycinka leśna po wyrębie drzew. Kilkaset pni sosnowych starego lasu należało wykarzcować aby działka przedstawiała jakąś wartość. Nie było wtedy traktorów, spychaczy czy koparek, pracę wykonywało się ręcznie. Nawet bale i deski na budowę cięli dużymi pilami tzw. tracze. Ile trzeba mieć siły, samozaparcia i miłości do ziemi aby pień po pniu wykopać, wyważyć dragami i wywieźć. Tą niewyobrażalną wręcz pracę wykonali sami rodzice, tylko we dwoje. Do zimy działka była oczyszczona a wiosną zazieleniła się zbożem Trudno uwierzyć własnym oczom. Zimą 1942 roku zaczęli nas odwiedzać dziwni goście. Dziwni ponieważ przychodzili tylko nocą gdy wszyscy spali. Pierwszy raz złożyli nam niezapowiedzianą wizytę około Bożego Narodzenia, ale nie o święta im chodziło. Gdy w ciemności rozległo się niezbyt głośne pukanie do okna wszyscy w domu obudzili się, zwłaszcza, że spaliśmy w jednym pokoju, który służył nam do wszystkiego.

– Kto tam?

– Nie bojsa atkroj – głos zza okna był spokojny ale zdecydowany.

Ojciec pytał dalej:

– Czego chcecie?

– My żdiom wracza, nam nużen wracz

Wiadomo, że tacy goście w dzień przyjść nie mogli. Ojciec zapalił lampę naftową, mama wstała również. Do izby weszło czterech obcych mężczyzn. Ubrania mieli cywilne, na nogach filcowe walonki, a na głowach papachy. Jeden miał rękę na jakimś ręczniku zawieszonym wokół szyi, drugi głowę owiniętą zakrwawioną szmatą. Dwaj pozostali byli zdrowi, na ramionach wisiały pepesze. Nikt ich nie pytał kim są i skąd przychodzą, gdyż w tej sytuacji wszelkie pytania byłyby nie na miejscu. Najlepiej nie wiedzieć. Przyszli do lekarza, zostali przyjęci, opatrunki zmienione, rany zabezpieczone.

– Spasiba – i poszli.

I co z takim fantem zrobić? Na razie zachować spokój, jechać do pracy jak gdyby nigdy nic i nikomu ani słowa. No i oczywiście skontaktować się z dowódcą polskiego oddziału – Zenonem. Zenon po wysłuchaniu rozkazał opisać całe zajście i złożyć meldunek na posterunku granatowej policji. Również na policji miał swoich ludzi. Meldunek ten ukryto aby służył jako zabezpieczenie na wszelki wypadek. Wkrótce okazało się, że była to mądra i przewidująca decyzja.

Rok 1942 od początku obfitował w niespodziewane wydarzenia, które zmieniły nasze Życie. Wizyty rosyjskich partyzantów trwały aż do wiosny. Czy byli to ludzie Miszki, czy inny oddział tego nie wiem.

Zimą na Podlasiu chaty ocieplano z zewnątrz tak zwaną zagatą. Przed ścianami umieszczano drągi, za które kładziono słomę i jesienne liście – aż pod dach, zostawiając nie zakryte tylko okna. Na takiej zagacie mógł ukryć się nawet człowiek. Misza miał na Zaberweczu kochankę. Była to samotna, jeszcze młoda kobieta. Przychodził do niej Misza czasami, zupełnie jak w piosence: „dzisiaj do ciebie przyjść nie mogę. Zaraz idę w lasu mrok. Nie wyglądam za mną oknem, w mgłę utonie próżno wzrok. Po cóż ci kochana wiedzieć, iż do lasu idę spać. Dłużej tu nie mogę siedzieć, czeka na mnie leśna brać”.

Jeżeli nie szedł do lasu to nocował u swojej dziewczyny, ale nie w domu bo było zbyt niebezpiecznie, a Misza był cwany i czujny. Wtedy akurat nocował na zagacie.

Sam był niewidoczny, ale wszystko słyszał i widział. W ten sposób uciekł już z niejednej obławy. Żołnierz czasami lubi wypić szklankę wojennej wódki czyli samogonu, a jak sobie popije to i chętnie zapali. Zamyślił się Miszka i rozmarzył, był przecież młody, o domu, o swych bliskich a może o wojennej doli, niedoli i niewoli. Dość, że usnął. Obudził go żar i blask ognia. Sucha zagata paliła się jak siarka. Dom był drewniany, kryty strzechą. Szans na uratowanie nie było żadnych. Obudziła nas olbrzymia czerwona łuna, wyglądało jakby paliło się niebo. Cud, że nie zginęli ludzie, ale gospodarstwo spłonęło doszczętnie wraz z całym dobytkiem. Za dwa dni szedłem ze święconką na Wielkanoc. Przyjechał ksiądz z Witulina. Na dymiącym jeszcze pogorzeliisku tliły się resztki belek po zabudowaniach i coś co pozostało po zwierzętach. Na drodze było błoto i kałuże, w lesie i na polach brudne resztki nie stopionego śniegu. Zima odchodziła do morza, a jej miejsce zajęła ciepła słoneczna wiosna. Pola z końcem marca zazieleniły się i świat zmartwychwstał do nowego życia. Coroczne misterium, jakiś cudowny symbol Pańskiego odrodzenia – właśnie na Wielkanoc. Czyż kraj nasz również podobnie się odrodzi po zimie wojny? Czy my tego dożyjemy?

Na razie rodzice zdecydowali, że mam iść do szkoły. Powinienem iść od wakacji, ale tata pomyślał, że zamiast siedzieć beczynnie w domu lepiej będzie jak do obowiązków szkolnych przyzwyczaję się wcześniej. Po wakacjach jako obeznany ze szkołą uczeń na pewno zostanę prymusem. Nie wziął pod uwagę psychiki dziecka, na pewno nie najzdolniejszego, ale za to ambitnego i wrażliwego. Z Zaberwecza do Witulina jest trzy kilometry polnej piaszczystej drogi. Co dzień tam i z powrotem przemierzałem po sześć kilometrów zupełnie niepotrzebnie. Dłużyła mi się ta droga okropnie i dość szybko mi zbrzydła, a wraz z nią szkoła. Sytuację pogarszał fakt, że czułem się wyobcowany i poniżony. W Generalnej Guberni do której należał rejon Białej Podlaskiej, Niemcy pozwalali dzieciom uczyć się do trzech klas. W innych województwach wcielonych do Rzeszy nauka była całkowicie zakazana. Do szkoły pierwszy raz zaprowadziła mnie mama, trwała jeszcze lekcja. Kierownik szkoły a zarazem jedyny w niej nauczyciel kazał mi usiąść. Szatni nie było. Paltka dzieci leżały na ostatnich ławkach lub wisiały na prowizorycznych wieszakach. Nikt nie kazał mi się rozebrać więc usiadłem w palcie i czapce. Trzydzieści kilka par oczu gapiło się na mnie, a ja czułem się bardzo nieswojo. Nauczyciel coś mówił, coś tłumaczył ale ja tego nie rozumiałem, nie wiedziałem też dlaczego dzieci podnoszą dwa palce do góry. Wreszcie pan kierownik przypomniał sobie o nowym uczniu.

– Wiesiu, czy ci nie zimno?

– Nie.

– No to się rozbierz. Ty jesteś pewnie z tych co to bez mamy nie potrafią?

Wyczułem ironię i było mi przykro. Onieśmieliło mnie to jeszcze bardziej, ale się rozebrałem. Usiadłem na końcu. Dzieci coś pisały, ale ja tego nie potrafiłem, odpowiadały na pytania, których nie rozumiałem. Pan podchodził do dzieci w ławkach, coś im pokazywał ale mnie omijał. Wiedziałem już, że jestem naj-

głupszy. Podobnie było na drugi i trzeci dzień. Czwartego nie poszedłem do szkoły. Zatrzymałem się na moście przez Klukówkę i patrzyłem jak dorośli młodzi ludzie łapią raki i ryby. Było to dużo ciekawsze niż bierne siedzenie w ławce. Kilka godzin upłynęło szybko i nawet się nie spostrzegłem jak dzieci wracały ze szkoły. Jedna z mych nowych koleżanek zawołała:

– Jakimiuk! Czekać czekać powiem twojemu ojcu żeś w szkole nie był tylko na wagarach”

Z duszą na ramieniu wracałem do domu. Jak poskarży dostanę tęgie lanie. Tata się nie dowiedział, a za kilka dni już go z nami nie było. Zostaliśmy sami.

Był początek maja, przyroda rwała się do życia, wszędzie kwieście, ciepło, zielono – jakby na świecie nie było wojny.

Przed dom zajechała dwukonna bryczka, a w niej oficer, trzech żołnierzy z bronią automatyczną i pies – duży alzacki owczarek. Złakłem się psa i uciekłem na stóg. Stąd widziałem co się dzieje. Z domu wyszła mama, podszedł do niej oficer. Nienagannie skrojony mundur, lśniące buty z cholewami, bryczesy, czapka oficerska z trupią główką, przy pasie z prawej strony pod ręką kabura z pistoletem. Elegancji dopełniały dystynkcje. Czystą polszczyzną zagadnął:

– Czy zastaliśmy męża?

– Nie, jest jeszcze w pracy, powinien wrócić przed wieczorem.

– Wobec tego proszę mu powiedzieć aby jutro stawił się u nas.

Nie trzeba było pytać co znaczy „u nas” – wiadomo, gestapo, niemiecka policja polityczna. Między tą formacją a SS nie było praktycznie żadnej różnicy. Wehrmacht to było wojsko do walki frontowej natomiast gestapo i SS do szykanowania, terroru i tortur. Wizyta taka niczego dobrego nie wróżyła, ale powodów do paniki jeszcze nie było. Nigdy nie wiadomo czego władza może chcieć. Należało się najpierw o tym przekonać. Nazajutrz ojciec udał się na komendę i został aresztowany.

Niemcy nie byli ani głupi ani tak naiwni, aby wierzyć w pierwszą lepszą bajkę. Folksdojcz Grube doniósł na ojca, że ten leczy ruskich partyzantów. Ojciec tłumaczył się, że mieszka na wsi w lesie, że dostęp do niego jest otwarty, że przychodzili z bronią i go zmusili. Jednak Niemcom nie chodziło o sam fakt leczenia. Jest człowiek potrzebujący pomocy i lekarz ma obowiązek mu jej udzielenia. Jest do tego zobowiązany etyką i przysięgą lekarską, więc nie o to chodzi. Dlaczego ojciec nie zameldował władzom? Nie pomogły tłumaczenia, że meldunek został złożony od razu po pierwszej wizycie. Owszem znaleźli go bardzo szybko, ale policja granatowa złożona z Polaków jest tylko od drobnych spraw kryminalnych lub porządkowych. Od spraw politycznych jest policja polityczna i ojciec jako lekarz, a nie prosty wieśniak, wie o tym dobrze. Kto więc za tym stoi i dlaczego sprawa nie trafiła do władz niemieckich? Śledztwo trwało prawie cztery miesiące. Tortury i przesłuchania. Przesłuchania i tortury.

Po trzech miesiącach ojciec wyglądał jak cień człowieka, jak muzułmanin z obozu zagłady. Odstąpić od wytyczonej linii obrony i przyznać się do czegokolwiek oznaczało pewną śmierć pod murem. Ojciec złamać się nie dał i ciągle powtarzał:

– Nie jestem wtajemniczony w struktury niemieckiej władzy. Byłem pewien, że policja granatowa jest organem kompetentnym i uważam, że swój obowiązek wypełniłem prawidłowo. Żadnych znajomości bezprawnych nie posiadam.

W końcu postanowili wykorzystać podstęp. Wypuścić i pilnować. Ale nie upilnowali. Chłopcy leśni byli lepsi. Po wyjściu z rąk oprawców pokazał się w domu aby zobaczyć rodzinę po długiej rozłące i tyle go widzieliśmy. Poszedł do lasu. Nami zaopiekowali się ludzie z oddziału Zenona. Zrobili to tak dyskretnie, że ja nie widziałem żadnego. Przeprowadziliśmy się do miasta na ulicę Grabanowską numer 25. Zmieniono nam nazwisko na Cygański, wyrobiono lewe kenkarty. 17 września 42 roku do konspiracji wciągnęli mamę. Wozila tajne rozkazy i broń. Była łączniczką w organizacji Armii Krajowej. Ja poszedłem do pierwszej klasy Szkoły Podstawowej w Białej Podlaskiej. Zacząłem od początku uczyć się pod okiem najlepszego nauczyciela i najwspanialszego człowieka pana Kazimierza Bednarza. Wszystkie oceny miałem bardzo dobre. Pojawienie się mego taty na wolności zaniepokoiło Rosjan. Z rąk Niemców nie wychodziło się żywym, a skoro tak to znaczy, że został konfidentem i człowiekiem niebezpiecznym. Znał ich przecież i dużo o nich wiedział, w rezultacie wyrok i likwidacja. Zadania tego podjął się sam Misza ponieważ najlepiej znał ojca. Na



W pierwszej kabynie pułkownik Łobanow, w drugiej porucznik Cygański.

łąkach i wyżarach dosychał ostatni tegoroczny zbiór siana. Za jedną z kopek ukrył się Misza i czekał na swoją ofiarę. W tych dniach tata ukrywał się gdzie się dało.

Obawiając się tak zwanego „ogona” to znaczy śledzącego go szpiega, do domu nie przychodził, nie poszedł też od razu do oddziału. Musiał zniknąć i zatrzeć za sobą ślady. Pomagali mu bracia Wadowscy. Chodził tylko nocą, w dzień spał w ukryciu. W jaki sposób Misza wpadł na trop i skąd wiedział, którędy będzie szedł ojciec, tego nikt mi nie powiedział. W połowie drogi między Jagodnicą i Zaberweczem zastąpił ojcu drogę, ale tata zauważył go również, uskoczył w bok za następną kopkę – padł niecelny strzał. Zajęty pościgiem nie zauważył nocą podążającej z tyłu obstawy. Wadowscy otworzyli ogień. Misza zginął na miejscu. Idąc w stronę Zaberwecza po prawej stronie w odległości ok. 500 metrów od drogi jest las, podmokły i bagnisty, nazywają go Florią. Tam w moczarach Florii znalazł swój grób Misza i tam do dzisiaj spoczywają jego kości.

Trzydzieści kilometrów na północny zachód od Białej leży wieś Czeberaki. Niedaleko stąd w nadburzańskich bagnach koło miejscowości Sarnaki Niemcy zgubili swoją rakietę V-2. Jest to fakt znany z historii, dlatego opisywał go nie będę, ale że w okolicznych lasach zgubił się oddział Zenona, w którym mój tata był lekarzem, to jest już historia osobista. W majątku Czeberaki w dworskich piwnicach powstał partyzancki szpitalik. Wszystkie funkcje medyczne pełnił w nim jednoosobowo porucznik Cygański, który po wstąpieniu do oddziału otrzymał awans oficerski. Aby zaspokoić ludzką ciekawość otrzymał również w majątku posadę zarządcy. Przecież dziedzicowi wolno jest zatrudniać u siebie każdego kogo mu się podoba.

Kamienica przy ulicy Grabanowskiej nr 25 jeszcze niedawno należała do żydów. Żydzi zajmowali się głównie handlem, ale drobni producenci i rzemieślnicy również nie należeli do wyjątków. W dużych miastach byli bankierami, fabrykantami, wielu zdobyło wykształcenie i stanowiska. Byli tu zawsze, szewcy, krawcy, sklepikarze, karczmarze. Często do wsi zajeżdżał wozem zaprzężonym w chudego konia szmatnik. Zapytasz „co to takiego?” Nie dziwię się dzisiaj nikt szmat nie zbiera.

Toniemy w brudzie. Wszystko co w domu przeszkadza wywozi się obojętne gdzie, do lasu, do rowu, gdzieś na wieś. Kiedy jechał przez wieś stary brodaty i pejsaty żyd, w wytartej mycce, w zniszczonym chałacie i darł się na całe gardło:

– Szmaty, chodaki, ja tobie wigul dam.

Znosili mu ludzie stare podarte buty, makulaturę, stłuczki, szmaty. Dostawali za to szklanekę, talerz, parę igieł, jakiś garnuszek. Nikt inny tej pracy nie chciał wykonywać, a biedny żyd potrafił się z tego utrzymać. Nikomu ci ludzie nie przeszkadzali. Nigdy nie zdarzyło się aby ktoś szmatnika pobił lub zrobił krzywdę żydowskiemu dziecku. Nawet nie musieli zmieniać nazwisk na polskie jak teraz. Dopiero później znaleźli się specjaliści od zamętu, którzy postanowili dla własnych tajemnych celów, zasiać niezgodę.

Polityka jest brudna i bezwzględna. Na euforię Berlinga Stalin odpowiedział – „w polityce niet sentymentów” – kto jak kto, ale on się na tym znał. Dopiero później znaleźli się ludzie, którzy zaczęli szczuć jednych na drugich, prowokować awantury i jednostronnie je nagłaśniać. Jednym z takich specjalistów był właśnie towarzysz Josif Wisarionowicz Dżugaszwili i cały jego zakłamany system. Jakie mieli i nadal mają cele? Jest to sprawa historii i polityki, ja stwierdzam fakty. Rozwiązując po swojemu sprawę Narodu Żydowskiego utworzyli getta. W dużych miastach były to otoczone murem dzielnice śmierci. W takich jak Biała były to często tylko grupy wydzielonych domów.

Takie getto było właśnie przy ulicy Grabanowskiej, po drugiej stronie jezdni vis a vis naszych okien. Widziałem wiele i nikt mi tego nie odbierze. Opuszczone przez Żydów mieszkania zasiedlili Polacy. Z ulicy wchodziło się do bramy, stąd brukowanym przechodniakiem do podwórka gdzie stały ustępy i gospodarze komórki. W połowie przechodniaka skręcało się w prawo na klatkę schodową. Wszystko co opisuję ma znaczenie dla zrozumienia dalszego toku mego opowiadania. Z korytarza w prawo wchodziło się do naszego mieszkania, na lewo był zakład fotograficzny pana Chwedczuka. Prosto po schodach na pierwszym piętrze mieszkanie zajmowała młoda kobieta. Była ona folksdojczką, przyjmowała u siebie niemieckich oficerów. Często zakrapiane alkoholem wizyty ciągnęły się długo. Przyjaźniłem się z jej synem, moim rówieśnikiem.

– Wiesz co? – tłumaczył mi kiedyś.

– Niemcy bardzo lubią jak podniesiesz rękę i powiesz hail Hitler, wtedy na pewno dadzą Ci czekoladę. Ja dostaje prawie zawsze.

Czekolada dobra rzecz. Co mi szkodzi. Czekolady jednak nie dostałem, ani od kolegi, ani od gości jego mamy.

„Co użyjem to dla nas, bo za 100 lat nie będzie nas” – słychać było u góry, a mama na to: „Da Bóg, że nie będzie was dużo prędeży. Kto by czekał 100 lat”.

Z korytarza wchodziło się do kuchni, prosto do jadalni i dalej prosto do sypialni. Okna kuchni i jadalni wychodziły na brukowany przechodniak, ale z sypialni na ulicę. Mieszkanie było wysokim parterem, zajrzeć z zewnątrz do środka było trudno. Wszystkie okna posiadały okiennice, które po zmroku należało zasłonić. Taki był nakaz władz.

Czasami odwiedzał nas ojciec. Najpierw cicho i powoli otwierały się drzwi, potem ukazywał się wskazujący palec prawej ręki, następnie ten sam palec ale na ustach. Chodziło o to aby nie wydawać żadnych okrzyków powitania czy radości. Tata coś poszeptał z mamą, parę minut i już go nie było. Po takich wizytach mama przeważnie gdzieś wyjeżdżała. Ale wtedy przyjechał na całą noc. Przyjechał nie sam. Towarzyszył mu jego stryjeczny brat Franek Jakimiuk. Mężczyźni poszli do sypialni, a ja z siostrą Hanią i mama byliśmy w kuchni. Mama smażyła na kolacje placki ziemniaczane. Nagle jakiś hałas, buch, buch do drzwi i drzwi się otworzyły. Jak to dobrze, że Niemcy wchodzili z takim hałasem.

Do kuchni weszło dwóch żandarmów z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału i oficer. Jeden żandarm został w kuchni, a oficer z drugim bez słowa poszli dalej. Ojciec z bratem już się położyli. Na szafce oddzielającej łóżka leżał pistolet rozłożony na części gdyż stryj go czyścił. Drugi pistolet gotowy do strzału trzymał pod poduszką. Słyszając hałas zdażył jednym ruchem zgarnąć wszystko do siebie pod kołdrę. Na nic więcej nie było czasu. Niemcy byli już w pokoju. Oficer zaczął coś gniewnie mówić, ale nagle twarz mu złagodniała, a miejsce złości zajął szczerzy – od ucha do ucha – uśmiech.

– Och, herr doctor, guten Tag – czen topry.

Okazało się, że był to zwykły patrol uliczny, a przyszli ponieważ nie domknięte były okiennice i światło sączyło się na ulicę. Oficer ten widział ojca na gestapo podczas przesłuchań, zwolnienie było dowodem

lojalności wobec władz. Oficer gestapowcem nie był, ot zwykły żandarm pilnujący porządku po godzinie policyjnej. Powiedział, że po znajomości konsekwencji nie wyciągnie, ale następnym razem będzie musiał ukarać. Wychodząc powiedział mamie w kuchni – „smacznego”.

Mama zaproponowała – Może się pan poczęstuje?

Dziękuję, żona w domu usmaży takie same – odpowiedział stojąc w drzwiach

Mówił łamaną polszczyzną, ale nawet ja go zrozumiałem.

Jak niewiele brakowało. Ojciec zapytał:

– Franek, co byś zrobił, gdyby kazał ci wstać?

– Strzelał bym!

Sytuacja była beznadziejna. Wkrótce stryj Franek zginął.

„Na dworze jest mrok, w pociągu jest tłok, zaczyna się więc sielanka. Gdy on się przekona, czyn handluje ona, to pociąg na stacji staje. Żandarmi wsiadają i wszystko wygarniają, co tylko im się daje...”

To fragment jednej z zakazanych piosenek i scena z filmu pod tym samym tytułem. Ale takie sceny były na porządku dziennym w okupacyjnej rzeczywistości. Gdy żandarmi wskoczyli do pociągu i rozpoczęli rewizję rodzice przewozili paczkę z bronią. Zupełnie jak na filmie. Zaczęła się loteria, w której stawką było życie. Nerwy napięte do ostateczności. Czy wyobrażasz sobie siebie w takiej sytuacji? Kontrola dokumentów, grzebanie w bagażach. Znajdą, czy nie znajdą? Tym razem udało się – nie znaleźli.

– Co zrobiłaś z paczką?

– Wyrzuciłam.

– Jak mogłaś? Teraz trzeba wysiąść i....

– Nie martw się, schowałam w ubikacji, zaraz przyniosę – że też w takim momencie trzymają się ciebie żarty, bardziej mnie zdenerwowałaś niż żandarmi.

Mama często wyjeżdżała w podobnych misjach, czasem polecenia przynosili posłannicy, czasem jeździła do ojca i tam otrzymywała przesyłki i instrukcje. Z opieką nad dziećmi bywało różnie. Przeważnie małą siostrą opiekowałam się Ja, a miałem już prawie siedem lat. Gdy wyjeżdżała na dłużej Hanię zostawiała u znajomych lub przychodził z piekarni Tadzio przynosząc ze sobą bochen razowego chleba. Z margaryną, marmolada i kawą zbożową osłodzoną sacharyną smakował nam ten chleb bardzo, zwłaszcza, że był świeży i wcale go za dużo nie mieliśmy.

Istnym rarytasem wśród tych kartkowych produktów był kawałek końskiej kielbasy. Cokolwiek by nie mówić, to mimo wszystko trzeba przyznać, że przydział kartkowy był w sklepie dostępny zawsze. Czasy PRL u dopiero miały nadejść.

Zdarzało się, że mama zabierała dzieci ze sobą gdy jechała kolejką do Janowa. Zostawiała nas pod opieką bardzo ciekawego starszego pana, właściciela młyna.

Młyn ten był od dawna nieczynny, położony przy drodze pomiędzy dwoma stawami i płynącą rzeczką. Jeden staw, większy, położony był wyżej. Woda przelewając się do niższego napędzała turbinę. Właściciela uważano za dziwaka. Zawsze tak jest gdy ktoś przerasta swe otoczenie. Był on mężczyzną szczupłym, niewysokim, lat około siedemdziesięciu. Wieku dodawała mu jeszcze długa siwa broda, wąsy i dość bujne siwe włosy. Podobny był do Świętego Mikołaja. Pochodził ze starego rodu ziemiańskiego, wykształcony i inteligentny. Rodziny żadnej nie posiadał, z ludźmi kontaktów nie utrzymywał. Wiódł życie pustelnicze i w swym starym młynie wyglądał jak pustelnik. Głównym jego zajęciem były jak sam twierdził badania naukowe, a zajmował się parapsychologią, radiestezją, starą wiedzą tajemną. Często chodził po polach, coś mierzył, czegoś szukał. Jak mama go poznała i zyskała jego zaufanie nie wiem, ale był to staruszek życzliwy i sympatyczny. W swej pustelni pozwalał nam na zabawę niczym nie skrupowaną.

Pewnego razu Hania wzięła z biurka kolorowe ołówki i zaczęła się malować. Podobało się jej bardzo kiedy pośliniony ołówek barwił intensywnie. Wkrótce cała twarz, nos, buzia, usta, oczy, policzki – wszystko to wyglądało jak wielkanocna pisanka. Pociąg do Białej odchodził około szesnastej. Mama przybiegła w ostatnich minutach, piętnaście minut przed odjazdem pociągu, a do stacji był kilometr

drogi. Czasu na mycie nie było. Wilgotną chustką wytarła buzię, ale efekt był taki, że z kresiek zrobiły się plamy. Kolejarze widząc biegnącą kobietę z dwojgiem dzieci wstrzymali trochę odjazd i tak wpadliśmy do ostatniego wagonu. Powitał nas jeden wybuch śmiechu. Wagon był pełen żołnierzy niemieckich. Żartom nie było końca. Podawali ją sobie z rąk do rąk i śmiali się. Hania się nie bała, pewnie dlatego, że jeden z żołnierzy mówił po polsku. Myślę, że był ślązakiem, gdyż akcentu z jakim mówił nigdy wcześniej nie słyszałem. Powiedział, chyba do mamy, gdyż inni żołnierze polskiego nie znali:

– Ja piję wódkę, ale nos czerwony ma moja żona, a twój tata pije wódkę?

– Taty w domu nie ma.

– To nie mów nikomu gdzie jest tata.

Chyba jednak był ślązakiem, być może przymusowo wcielonym do Wehrmachtu. Ludzkie losy poplątane były tak jak frontowe drogi.

W miejskiej szkole poznałem nowych kolegów i nowe zabawy. Było oczywiście kopanie szmacianki, dwa ognie, gra w palanta czy w klipę, chętnie ganiałem za fajerką popychaną wygiętym drutem, ale zabawy w których uczestniczyły dziewczyny nie interesowały mnie. Dziewcząt wstydziłem się i unikałem ich towarzystwa, a zapraszany do wspólnej zabawy odmawiałem niezbyt grzecznie. Maniery gentelmana były mi zupełnie obce jeszcze przez długie lata. Jeden z bliższych mi kolegów był gazeciarem. Ciężar obowiązków zmuszał go do pracy. W ten sposób pomagał swojej samotnej mamie w utrzymaniu młodszego rodzeństwa. On nie miał czasu na bez troska dziecięcą zabawę, on musiał zarabiać. Energetyczny i przedsiębiorczy, wiedział gdzie o jakiej porze sprzeda się najwięcej, jak zareklamować swój towar, jak zwrócić na siebie uwagę.

Był przy tym bardzo koleżeński. Rodzaj paryskiego urwisa Gawrosza, dziecię ułicy o rozumie dorosłego. Przez trzy lata przyjaźni nigdy się nie posprzecaliśmy, nigdy nie wyrządził mi najmniejszej przykrości, a w ulicznym biznesie zawsze rozliczał się skrupulatnie i uczciwie. Najpierw dał mi 20 ze swoich gazet. Jak sprzedasz to zarobek twój. Ja nie potrafiłem biegać po ulicach i krzyzczyć „Kurier, Kurier poranny, najnowsze nowiny”. Stałem skromnie pod murem i czekałem na klienta jak panienka znajomej profesji. Różnica była taka, że on sprzedał 200 gazet a ja za ledwie swoje 20. On zarobił dwadzieścia złotych i więcej, a ja ledwie dwa złote. On pracował co dzień, często opuszczając lekcje, a ja od przypadku do przypadku i tylko po szkole. W gazety zaopatrywaliśmy się u jednej pani, która zawodowo prowadziła dystrybucję prasy, z nią też rozliczał się kolega, zwracając jej pieniądze i nie sprzedane gazety. W ten sposób dowiedziałem się, że pieniądze nie spadają z deszczem, lecz trzeba na nie ciężko pracować. Gdy mama odkryła u mnie kasę niewiadomego pochodzenia, musiałem przyznać się. Zachwycona nie była, ale gdy z dumą oddałem jej 10 złotych swego zarobku pieniądze przyjęła, zwłaszcza, że był to okres ciężki do przeżycia. Dobrze, że mleko mieliśmy swoje. W komórce na podwórzu mama hodowała kozę. Istnieje porzekadło: „Gdy trwoga to do Boga, gdy bieda to do Żyda”. Ja do tego dołożyłbym jeszcze kozę. Jest to stworzenie po prostu niezwykle. Wyżywi się byle czym, potrafi egzystować w warunkach jakich inne zwierzę nie wytrzyma, jest czyste, łagodne i posłuszne, daje przy tym człowiekowi tłuste i pożywne mleko, szczególnie przydatne dla dzieci. Tak dobiegał końca 1942 rok, trzeci rok wojny. Krótco przed Bożym Narodzeniem wpadł do nas wuj Mietek, był zdenerwowany, mówił coś o zniszczonym samolocie, o tym, że musi uciekać. Mama szykowała kolację, zbliżała się godzina policyjna. W kuchni palił się ogień. Mietek zdjął z rąk ciepłe podszyte futrem skórzane rękawice i wrzucił je w ogień, mówiąc, że to jest dowód rzeczowy świadczący przeciw niemu, że dostał je od pilota, ale Niemcy nie mogą ich znaleźć. To mówiąc wybiegł w zimną grudniową noc i słuch po nim zaginął. Do końca wojny ukrywał się, co jadł, gdzie nocował? Tego nie wie nikt. Ranny w udo podczas oblawy, uciekł do lasu. Trafił do oddziału Zenona. Zaczęła się choroba nerwowa. Zenon polecił memu ojcu zaopiekować się swym szwagrem, ale Mietek uciekł. Wiadomo jak w takich warunkach karze się dezercję. Fakt choroby nerwowej stwarzał dodatkowe zagrożenie w wypadku złapania przez Niemców. Mietek po prostu za dużo wiedział i mógł nie wytrzymać przesłuchań – musiał zginąć.

Ale nie zginął. Uciekał przed Niemcami, przed Rosjanami i przed swoimi. Uciekał przez następne dwa lata i Pan Bóg dopomógł. Tylko pomocą Opatrzności można tłumaczyć to, że przeżył.

Wiosną Niemcy zlikwidowali bialskie getto. We wspomnieniach swych ograniczę się tylko do faktów, które widziałem.

„Ojciec narodów” Stalin powiedział kiedyś, że śmierć człowieka jest tragedią, ale śmierć milionów to tylko statystyka. Statystykę zostawiam historii. Sieć obozów zagłady, tysiące transportów z całej Europy, krematoria i największe fabryki śmierci nie wyczerpują rozmiarów zbrodni. Poza tą „statystyką” rozgrywały się tragedie pojedynczych ludzi, tragedie przerażające, zostawiające na całe życie bliznę na duszy i obrazy nie do zatarcia w oczach. Widziałem ze swego okna jak na ulicy Niemcy ustawiali czwórkami mężczyzn ze szpadlami. Wiedziałem, że byli to żydzi ponieważ wyprowadzono ich z getta a ponadto oznakowali byli gwiazdą. Niektórych znałem z widzenia, mieszkali przecież zaledwie po drugiej stronie ulicy. To, że Niemcy prowadzili młodych mężczyzn do pracy nikogo nie dziwiło, jakiego rodzaju była to praca przekonaliśmy się niebawem.

Jeszcze na drugi dzień kolumna z łopatami ruszyła Grabanowską w stronę placu rynkowego i przystanku kolejki. Szli śpiewając, bo tak życzyli sobie ich oprawcy, uważam, że śpiew ten miał upodlić ich człowieczeństwo i odebrać resztkę nadziei. Następnego dnia w tym samym miejscu uformowano inną kolumnę. Były to kobiety, dzieci i ludzie starzy, nie trzymali szyku, szli bezładna gromadą, nieśli jakieś walizki, tobołki i paczki. Małe dzieci płakały na rękach matek. Widocznie dobytek jaki pozwolono im zabrać miał wzbudzać przekonanie o przeprowadzce do innego obozu i uspić ich lęk. Szli więc posłusznie w swą ostatnią drogę. Wyprowadzono ich za miasto gdzie czekały wykopane poprzedniego dnia przez własnych ojców i synów doły. Gdy cisze pierwszych popołudniowych godzin rozdarły serie karabinu marszynowego stało się jasne gdzie przesiedlono mieszkańców getta. Niektórzy twierdzili, że po żydach przyjdzie kolej na Polaków. Któż to wie?

Aby oszczędzić nam dalszego ciągu okropnych wrażeń mama wywiozła nas rano do Jagodnicy, ale około godziny dziesiątej i tu słycać było serie karabinu i pojedyncze strzały. Siostra Hania, która niedawno skończyła trzy latka została w domu dziadka pod opieką stryjenki Heleny a mnie mama zabrała ze sobą. Idąc droga w kierunku Zaberwecza spotkaliśmy tatę. Spotkanie to było na pewno zaplanowane. Rodzice mieli swoje sprawy i sekrety. Od strony Białej, przez pola biegł jakiś chłopiec. Był w moim wieku, trząśł się z przerażenia, z trudnością wymawiał słowa gdy ojciec zatrzymał go. Tłumaczył, że uciekł z getta, że wszyscy jego znajomi i bliscy zostali zabici, a on nie wie co robić i gdzie dalej uciekać. Na drodze oprócz nas nie było nikogo, ale przedłużanie tego spotkania było niebezpieczne i niecelowe. Ojciec kazał mu ukryć się w lesie i czekać do wieczora, miał przynieść mu coś do jedzenia i obmyślić jakiś plan postępowania. My z mamą wróciliśmy do miasta, ojciec do lasu. Jaki był los żydowskiego chłopca nie dowiedziałem się nigdy, ale do dzisiaj widzę jego czarne kręcone włosy, czarne przerażone oczy i trzęsące się ręce.

W mieście Niemcy kończyli swe dzieło. Nieliczni młodzi mężczyźni pochowali się na strychach, w piwnicach i innych różnych miejscach. Na nich urządzono polowanie. Patrole niemieckie chodziły po ulicach, między opustoszałymi domami getta i strzelali do zbiegów. Jeden zabity leżał na ulicy pod naszymi oknami. Leżał na brzuchu z przekreconą na bok głową, a strużka krwi ciekła do rynsztoka. Inny leżał na podwórku, a jeszcze inny w ubikacji, w takiej podwórkowej latrynie. Ofiar było więcej. Pochowano je w dwóch dołach wykopanych między domami przy ulicy obok śmietników. Gdy w lecie 1944 roku Biała Podlaska została wyzwolona, doły te odkryto i ciała ekshumowano. Byłem przy tym i miejsca mogę wskazać. Myślę, że ofiarami nie byli tylko żydzi ponieważ przy ekshumacji wielu ludzi płakało. Aby dowiedzieć się sensacyjnych bredni, że w polskich obozach zagłady Polacy mordowali swych żydowskich sąsiadów, trzeba było poczekać prawie 60 lat.

Nie będę spekulował na ten temat komu taka historia ma służyć, ale niech panowie Grossowie wiedzą, że: „kto sieje wiatr ten zbiera burzę”. Mniej więcej w tym samym czasie, tj. w połowie kwietnia 1943 roku, świat dowiedział się o zbrodni sowieckiej dokonanej na bezbronnych jeńcach, polskich oficerach wziętych do niewoli w czasie bolszewickiej agresji. Trudno spierać się o to, który z systemów był bardziej krwiożerczy i bezwzględny, czy niemiecki faszyzm, czy sowiecka żydo – komuna. Wydana na zachodzie książka p.t. „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów” twierdzi, że z sześciu milionów Polaków, ofiar II wojny, połowa zginęła na wschodzie.

Sąsiadów mieliśmy godnych siebie. Sowieci oczywiście wyparli się, zrzucając swą winę na Niemców, według własnej zasady: „Jeżeli cię złapią za rękę, to mów, że to nie twoja ręka”. Udając przed światem oburzenie zerwali stosunki z polskim rządem, ale prawda była zbyt oczywista. Mama wyjaśniła mi iż była to zemsta za klęskę jaką ponieśli z rąk Polaków w roku 1920. Rozbici pod Warszawą uciekali w bezładzie i popłochu. Mama opowiadała jak wpadli do Witulina i z głodu rwali rosnącą na polu kapustę, jedli ją na surowo uciekając przed nacierającymi ułanami. Przyparciu do Bugu i Niemna skakali do rzeki wpław ścieląc wodę swym trupem.

W 1940 roku wzięli za to odwet na bezbronnych. Nie był to wszakże jedyny powód. Stalin wiedział, że oficerowie polscy będąc wzorem patriotyzmu i poświęcenia nie pozwolą na utworzenie z Polski kolejnej republiki radzieckiej, dlatego najlepiej pozbyć się ich póki czas. W latach zakłamaney propagandy PRLu za takie przekonania groziły represje i wyroki, ale tez pozwalały one znaleźć swe miejsce i nie dać się otumanic. Na końcu ulicy Grabałowskiej były komendy niemieckich służb wojskowych. Oficerowie tych służb mieszkali tam z rodzinami. Po likwidacji getta mieszkań do zasiedlenia było dość. Bawily się już tam inne dzieci. Dziewczeta ładnie ubrane i uczesane skakały przez skakaneki. Chłopcy w krótkich granatowych lub czarnych spodenkach wyprasowanych do kantu, brunatne koszule, pasy z koalicyjkami, na rękawach opaski ze swastykami. Wszystko dokładnie skrojone i dopasowane. Tacy młodzi SS – mani przepojeni nienawiścią do wszystkiego co nie było „nur fur dojczę”. Szedłem kiedyś od strony rynku do domu. Mogłem obejść innymi ulicami, ale Grabanowską było najbliżej. Zresztą początkowo nie widziałem bawiącej się między domami gromady. Gdy znalazłem się naprzeciwko ruszyli za mną niczym stado psów. Chłopcy mieli kije, dziewczyny linki od skakanek. Odległość wynosiła około dziesięciu metrów. Nie spodziewając się napaści opóźniłem o sekundę ucieczkę i dostałem po plecach obcinkiem kija czy sznurka. Uderzenia zadziały jak zastrzyk adrenaliny. Włączył się dodatkowy bieg i tyle mnie widzieli. Więcej tą ulicą nie chodziłem.

Wkrótce przyszły wakacje i promocja do klasy II. Pierwsze świadectwo ze wszystkimi ocenami „scher Gut”, więcej nigdy takiego świadectwa nie otrzymałem. Pierwsze wakacje spędziłem na wsi na Zaberweczu. Mieliśmy tu swoją działkę, chodziłem na spacerki do lasu, zbierałem grzyby, bawilem się ze stryjecznym rodzeństwem – dziećmi stryja Felka. Na wsi było spokojnie i jakby bezpieczniej, jakby poza wojną. Rodzice również mieli ułatwiony kontakt. Ojciec nie pokazywał się, może nocą gdy wszyscy spali, tylko mama wyjeżdżała w wiadomych sobie sprawach.

Stąd do Czeberak było niewiele ponad dwadzieścia kilometrów.

Pewnego dnia, gdy przybiegłem do domu, zastałem mamę płaczącą. Ogarnięty trwogą nie śmiałem pytać, bałem się, że usłyszę coś o czym niechciałbym wiedzieć. Mama otarła łzy i sama zaczęła mi tłumaczyć, że w katastrofie lotniczej zginął ktoś bardzo dla nas ważny. Był generałem i wodzem wszystkich Polaków. Jakiś ciężar spadł mi z serca. Gdzieś zginął ktoś dla nas nieznan. Czy mało to ludzi ginie na wojnie? Skoro jednak mama płacze, to chyba ten ktoś wart jest tych łez. Zacząłem i ja myśleć o nim z dużym szacunkiem i sympatią. Ból po śmierci generała Sikorskiego przyszedł dużo później gdy zrozumiałem jaką naród nasz poniósł stratę.

Generał obiecał: „Ja was doprowadzę do Polski wolnej i sprawiedliwej”

Ale przyszła Polska nie mogła być ani wolna, ani sprawiedliwa, dlatego musiał zginąć, dlatego do dzisiaj śmierć ta otoczona jest tajemnicą. Gdy kilkanaście miesięcy później widziałem również płaczącego ojca, gdy mówił, że poświęcenie i śmierć poszły na marne, że zmienili się tylko okupanci, łzy te głęboko zapadły w serce stając się drogowskazem na życiowej drodze.

Pod koniec wakacji mama zabrała mnie do Warszawy. Jaki był charakter tej wycieczki nie wiem, dzieciom niestety wszystkiego się nie mówi. Zatrzymaliśmy się u mojej chrzestnej. Państwo Ostapczukowie byli wyjątkowym małżeństwem. On wysoki, przystojny brunet, ona filigranowa blondynka. Oboje byli najzaczniejszymi ludźmi jakich znałem. Mąż chrzestnej pracował z moim ojcem jeszcze w czasach Lwowskich. Tam się poznali i zaprzyjaźnili na całe życie. Leos i Lusja kochali się i szanowali jak żadne inne małżeństwo, nigdy żadnej sprzeczki, nigdy nerwów czy dąsów. Powie ktoś, że to niemożliwe. Ja też bym nie uwierzył, gdybym nie widział i nie znał, a przecież wojna i życie nie oszczędzało ich. Mieszkali na Kole, prawie na peryferiach dawnej Warszawy. U nich mieliśmy schronienie i gościnę w każdej

potrzebie. Bywałem u chrzestnych z ojcem jeszcze przed wojną. Wrażenie jakie wywarło na mnie miasto, żywe jest do dzisiaj. Ruch uliczny, duże domy, tramwaje, samochody, wycieczki do ZOO, pamiętam słonie, lamy, papugę, która wchodzących pozdrawiała krzykiem: „jak się masz?”

Wojenna Warszawa była jakby inna. Może to dlatego, że byłem starszy i patrzyłem na wszystko inaczej, może sprawiali to żołnierze niemieccy na ulicach. Lody smakowały tak samo, ale wyczuwało się jakąś obcość, grozę i skrepowanie. Wracając do domu pociągiem widziałem za oknem ślady wojny partyzanckiej. Pozrywane tory, spalone pociągi, rozbite wagony, chociaż front był jeszcze daleko na wschodzie, ale na tyłach toczyła się walka o szyny, o transport i zaopatrzenie.

Wrzesień jak zwykle rozpoczął się ciepły i pogodny. Przyroda kpiła sobie z ludzkich spraw, jej one nie dotyczyły. Jak co roku płynęło nad łąkami babie lato, liście barwiła złota jesień, a w sadach dojrzewały owoce. W szkole zaczęły się lekcje. Mama gdzieś wyszła, może do sklepu. Na podwórku bawiła się Hania, była sama i trochę się jej nudziło. Widząc mnie zagadnęła:

- Gdzie Wiesiu idziesz?
- Ja idę do szkoły, chcesz iść ze mną?
- Tak

Szła chętnie dopóki nie stanęliśmy przed szkołą. Lekcje już się zaczęły, a ona uparła się jak koza, stanęła i ani kroku dalej. Pan Bednarz widząc przez okno klasy mój kłopot, przerwał lekcję i wyszedł na dwór do Hani. Miał w głosie swym tyle dobroci, ciepła i życzliwości, że dzieciak bez lęku dał się wziąć na ręce i zanieść do klasy.

Wątpię czy któryś z dzisiejszych nauczycieli potrafiłby tak postąpić. Hania dumnie siedziała w ławce jako wolny słuchacz, dopóki nie znalazła jej tutaj mama i nie zabrała do domu. Czas w codziennym płynął trudzie, było lato przyszedł grudzień, ulicę za mym oknem śnieżny okrył płaszcz. Grudzień przyniósł ze sobą jak zawsze święta, skromną choinkę i nowy rok 1944. Biegałem z chłopakami na sanki do parku okalającego pałac Radziwiłłów, uczyłem się jazdy na starych łyżwach i razem z kolegą sprzedawałem gazety. Pewnej nocy choinki zapaliły się również na niebie. Wojna zmieniła swe oblicze. Nadal szalał okupacyjny terror ale częściej słyszało się o akcjach dywersyjnych i odwetowych, no i te choinki.

Były to lotnicze flary opadające na spadochronach. Oświetlały one teren aby piloci samolotów widzieli gdzie zrzucać bomby. Bombardowano tylko lotnisko. Niebo przecinały strugi reflektorów, czekały szybkostrzelne działa obrony przeciwlotniczej. Podobnie jak we wrześniu 1939, ale teraz role odwróciły się. Rano koledzy, którzy mieszkali po drugiej stronie Krzyny (na Woli) z przejęciem opowiadali wrażenia z nalotów, pokazywali znalezione odłamki i wystrzelone pociski z CKMów. Nikt nie wiedział czy nalotów dokonywali Rosjanie czy Anglicy a może Polacy, ci najdzielniejsi z dzielnych, którzy w barwach RAF, ale z biało czerwonymi szachownicami, walczyli na obcym niebie ale o nas. Tak czy inaczej niemieckie panowanie dobiegło końca. To było widać. Pojawiły się wprawdzie pierwsze niemieckie samoloty odrzutowe, ale losy wojny były już przesadzone.

Wiosna uczniowie II klasy przystąpili do Pierwszej Komunii Świętej. Drogie prezenty i wystawne przyjęcia nie były wtedy modne. Kogo zresztą było na nie stać? Nie było taty, nie było gości. Była mama i jeszcze coś. Coś trudnego do określenia. Coś czego nie można było dotknąć ale się je czuło. Jakiś wzniosły i uroczysty nastrój.

Odświętnie przystrojony kościół, odświętnie ubrane dzieci, tłum ludzi i ta pieśń.

„Ojczyznę wolną racz nam zwrócić Panie”Wielu płakało, a w ich załzawionych oczach widać było wiarę, nie nadzieję lecz pewność i oddanie. Kościół był zawsze ostoja polskości. W najtrudniejszych chwilach nasi dziadkowie wznosili ręce „pod Twoją obronę”. Już król Jan Kazimierz gdy Szwedzi niczym potop zalali kraj, mordując, kradnąc i niszcząc wszystko na swej drodze, gdy zgasła wszelka nadzieja i została tylko modlitwa, ofiarował swe królestwo Matce Bożej i ogłosił ją Królową Korony Polskiej.

Co było potem? Wiemy, nastąpił cudowny odwrót Szwedów, Polacy zwyciężali na wszystkich frontach aż do całkowitego wypędzenia agresorów. A przecież nie było to jedyne tak bezsprzeczne ocalenie. Przysłowie mówi, że głupców nie sieją, oni sami się rodzą nie wiadomo z jakiej przyczyny i jest ich w każdym pokoleniu dość. Obecnie nie pamięta się o roli kościoła w naszej historii. Wielu bezmyślnie bełkoce jak mały Jasio po dużym piwie.

„Ksiądz nie jest od polityki, niech odprawia swoje modły i zostawi sprawy państwa innym”. Przepraszam, a dlaczego to? Czy księżom odbiera się obywatelstwo?

Czy widząc jak draństwo i robactwo gnieździ się w jego domu, nie ma prawa interweniować tak jak powinien to robić każdy Polak? Ale nie rzadkie są inne głosy: „Dla mnie to może tu rządzić Niemiec, Żyd, czy obojętnie kto, abym ja miał dobrze”. Jakie to jest prostackie i ograniczone – głupców nie sieją.

Nie pisałbym tego gdybym takich zdań nie słyszał. Wiedz błaznie, że nie po to bandyta czy agresor najężdża ci dom abyś ty miał dobrze. Odświętnie ubrany, z gromnicą i obrazkiem w ręku oraz radością w sercu, wróciliśmy z kościoła do domu.

Pan Chwedczuk zrobił mi pamiątkowe zdjęcie i na tym się właściwie uroczystość skończyła. Za parę tygodni otrzymałem promocję do klasy III ciej i rozpocząłem upragnione wakacje, jedyne, niezwykle i niezapomniane. Ostatnie dni czerwca. Huku armat jeszcze słyhać nie było, ale wiadomości, te z poczty pantoflowej, napawały otuchą jak również lękiem i niepewnością. W tej sytuacji mama zamknęła dom, wzięła rower, mnie posadziła na bagażniku, Hanię na ramie i wio przed siebie, do ojca, do Czeberak.

Trzydzieści kilometrów i parę godzin jazdy po piaszczystych wiejskich drogach. Oczywiście wizyta nasza była wcześniej uzgodniona. Taty nie widzieliśmy ponad rok, toteż powitanie było radosne. Na samym wstępie przypomniał mi:

– Nazywasz się Cygański i tylko tego nazwiska będziesz używał

Zamieszkaliśmy najpierw razem z ojcem w jego bardzo skromnie urządzonej sypialni. Proste łóżko, nieduży stół i para krzeseł stanowiło całe jego umeblowanie. Na stole stał krucyfiks. Rano i wieczorem przed spaniem klękaliśmy wszyscy przed tym krucyfiksem i odmawialiśmy pacierz. Na noc rodzice zostawali w tym pokoju, a ja z siostrą w sąsiednim. Po kilkunastu dniach przenieśliśmy się na kwaterę w środku wsi ponieważ znowu musieliśmy zostać sami. Połowa lipca była ciepła i słoneczna, zaczęły złocić się dojrzewające zboża, na łąkach nad rzeczką dojrzewał drugi pokos traw. Rzeczka nazywała się Toczna, podobna była do Klukówki, obie wypływały z tego samego rejonu koło Łosic. Kapałem się z chłopakami w miejscu specjalnie do tego celu poszerzonym i ugruntowanym. Tata znalazł mnie tam i zawołał. Byłem trochę zniecierpliwiony, że przerwał mi przyjemną zabawę, ale tata z bardzo smutnym wyrazem twarzy powiedział:

– Przyszedłem synu pożegnać się z Tobą. Odjeżdżam na wojnę. Nie wiem czy się jeszcze zobaczymy. Jeśli nie wrócę niech to zdjęcie przypomina ci ojca. Wieczorem już mnie nie będzie. Nie odprowadzaj mnie i zostań z Bogiem.

Pocałował mnie i odszedł. Nie wiedziałem co robić, patrzyłem za odchodzącym ale byłem zbyt głupi i dziecinny aby zrozumieć co się stało i co to wszystko znaczy. Nawet zdjęcie gdzieś zgubiłem.

Oddział Zenona wraz z innymi oddziałami AK działającymi na Podlasiu dokonał zgrupowania aby w odpowiednim czasie uderzyć na Niemców w rejonie Białej Podlaskiej. Dwudziestego drugiego lipca sowieci przekroczyli Bug i zdobyli Chełm. W tym samym dniu oddziały AK zdobyły Lubartów, Kock i uderzyły na Białą Podlaską. Trwały walki o Lwów i Wilno. Po zdobyciu tych miast oddziały AK zostały rozbrojone, a oficerowie aresztowani. Sowieckie NKWD działało podstępnie i zdradziecko. Niemcy wyparci z miasta wycofywali się w kierunku północno – zachodnim na Łosice, Przed Czeberakami ustawili baterie ciężkich dział i ostrzeliwali zajęte przez naszych miasto. We wsi pełno było wojska. Różne jednostki i formacje rozlokowały się wzdłuż wsi. Mieszkańcom kazali siedzieć w schronach, domach i stodółkach. Mama w trosce o pozostawione mieszkanie postanowiła pójść do Białej i sprawdzić czy dom przy ulicy Grabałowskiej 25 stoi cały i w jakim stanie znajduje się nasz dobytek. Pomyśl wart odnotowania w księdze rekordów Guineesea. Tam i z powrotem sześćdziesiąt kilometrów na piechotę, dwa razy przez linię frontu pod świszczącymi kulami. W Miście rwały się pociski, ginęli ludzie, każdy żołnierz, czy niemiecki czy swój, mógł do niej strzelić w każdej chwili. Przechodziła dwa razy obok strzelających baterii, niemieckich żołnierzy i zaden jej nie zaczepił. Żaden nie zainteresował się co robi młoda kobieta na linii frontu. Jak to wytłumaczyć, jak to zrozumieć? Ale to jeszcze nie koniec tej przygody.

Gdy wróciła do nas około godziny osiemnastej nie mogła znaleźć Hani. Przerażony dzieciak ukrył się w stogu z sianem czy słomą. Gdy mama ja w końcu znalazła przytuliła się do niej i nie chciała mamy puścić nawet wtedy gdy Niemcy zabrali ją do kuchni polowej do obierania ziemniaków. Do kuchni poszły

obie. W tym czasie poszczególne jednostki opuszczały teren wsi. Wycofywali się kolejno, planowo ale w pośpiechu. Jechały samochody ciągnące działa, transportery i ciężarówki z wojskiem, wozy konne. Wszystko to wzbijało tumany kurzu. Gapiłem się stojąc przy drodze dopóki mama nie złapała mnie za rękę. Zaczął zapadać zmrok, a oni jechali i jechali.

Grupę kobiet obierająca ziemniaki nadzorowała Ukrainka w niemieckim mundurze. Gdy Hania usnęła na rękach, mama zwróciła się do tej Ukrainki aby pozwoliła zanieść dziecko do domu, ta z kolei zapytała niemieckiego oficera. Gdy oficer pozwolił głośno powiedziała:

– Położy rebionka i bystro przychodi. – a zbliżywszy się do mamy cicho dodała – Udiraj i bolsze zdieś nie przychadi.

Uciekliśmy na koniec wsi i ukryli w stodole na sianie. Na dworze zrobiło się ciemno. Na podwórku kolejna jednostka szykowała się do odwrotu, nikt na nas nie zwracał uwagi. Słysząc było głosy komend, pospieszną krzątanicę, warkot silników samochodowych, poczym wszystko ucichło. Zasnąć nie mogliśmy, za dużo wrażeń. O świcie opuściliśmy swoją kryjówkę, po Niemcach nie było śladu.

Ranek wstawał pogodny i ciepły. Nikt nie mógł spać. Ludzie wyszli z domów, spoglądali w stronę pierwszych zabudowań wsi i wyraźnie na coś czekali. Wraz z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca pojawiło się na drodze trzech żołnierzy. Ubrani w jasne zielono-żółte drelichowe bluzy, luźne drelichowe spodnie wkasane w szerokie buty, na ramionach pepesze, na głowach furazerki z gwiazdą.

– Kuda germaniec?

– Nie ma Niemców, uciekli wczoraj wieczorem

Za kilka minut ruszyła lawina ludzi i stali. Dla nas wojna się skończyła. Po drugiej stronie drogi złożyli się pola dojrzewającej pszenicy, za tymi polami był las.

Pierwsza za zwiadowcami szła piechota. Zajmowali kolejne podwórka, myli się przy studniach, wypoczywali po nocnym marszu. Za piechotą ciężkie karabiny maszynowe typu „maxim”. Wyglądały jak małe armatki, na żelaznych kółkach, opancerzone, lufy otoczone wodnymi chłodnicami. Ciągący je żołnierze skręcili prosto przez pole pszenicy do lasu. Za nimi ciężkie wieloosiowe amerykańskie samochody, dodże, sztudebakery, potężne haubice i czołgi. Aż ziemia jęczała. Za kilkanaście minut w miejscu pszenicy powstało twarde klepisko, a oni szli tak aż do godzin popołudniowych.

Nie mieliśmy czego dłużej szukać w Czeberakach. Mama wróciła z nami do Jagodnicy gdzie zatrzymały się polskie oddziały Armii Krajowej, a wśród nich oddział Zenona. Pamiętam dobrze ten oddział. Killkudziesięciu ludzi stało w dwuszeregu, byli bez mundurów, ubrani w cywilne zniszczone ubrania, Ne rekach opaski, broni nie widziałem, widocznie gdzieś ją złożyli. Przed frontem oddziału widziałem ojca na koniu. Od strony Witulina zbliżał się następny oddział w cywilnych ubraniach. Ludzie mówili, że jest to wojsko Wandy Wasilewskiej. Możliwe, ponieważ ci byli uzbrojeni w karabiny. Na czele kolumny było kilka Ręcznych Karabinów Maszynowych typu

„Diegtariew” z charakterystycznymi dużymi okrągłymi talerzami na naboje. Byłem rozczarowany. Widziałem żołnierzy niemieckich, ruskich, ale ci wcale na żołnierzy nie wyglądali, a to że ojciec mój służy w takim wojsku dumą mnie nie napawało.

Nie mieliśmy czasu spotkać się z tatą. Oddziały gdzieś pomaszzerowały a my wróciliśmy do Białej. Lipiec dobiegł końca. Nazajutrz wybuchło powstanie. Dowiedzieliśmy się o nim szybko. Mnie powiedziała mama, powiedziała również, że oddział taty poszedł na pomoc walczącej Warszawie. Daleko jednak nie zaszli. Sojusznicy zawiesili działania przeciw Niemcom, dając tym samym przyzwolenie na krwawe stłumienie patriotycznego zrywu Polaków. Na terenach zajętych przez siebie przystąpili do likwidacji oddziałów AK. Podobnie jak kilka lat wcześniej tak i teraz ginęli polscy oficerowie, więzienia zapleniły się patriotami, na sybir znów wyruszyły pociągi śmierci. Rozpętała się również oszczerca, nie znająca granic, propaganda nienawiści.

W drugiej Polowie sierpnia zmarł brat mamy wujek Janek. Pracując w policji miał kontakt z podziemiem. Niemcy podejrzewali go ale nie mieli dowodów. Pobity podczas przesłuchań zdrowia nie odzyskał. Wkrótce po nim z tęsknoty zmarła jego żona. Osierocili małego Kazia, którym zaopiekowali się, a następnie adoptowali bezdzietni sąsiedzi. Byłem na pogrzebie wuja i widziałem rozpacz jego żony. Mdląła przy każdym odzyskaniu świadomości i serce nie wytrzymało. Drugiego przykładu takiej miłości nie

znam. Rok szkolny rozpocząłem w klasie III. Nic nie wiedzieliśmy o ojcu, czy żyje, czy został wywieziony na „niehumanitarną ziemię” i kona w jakimś gułagu.

Niektórzy ludzie mówili, że zginął, a nawet, że widziano jego ciało. Mama nie wierzyła tym plotkom. Jest piękny wiersz rosyjskiego poety Simonowa p.t. „Czekaj mnie”. Nie wiem czy został on przetłumaczony na język polski dlatego przytoczę początek po rosyjsku: „Żdi mienia a ja wiernuś. Tolko oczeń żdi. Żdi kagda nawodiat gruść żołytye dożdi, żdi kagda sniega mietut, żdi kagda żara. Żdi kagda drugich nie żdut, pozabyw wczera. Żdi mienia a ja wiernuś, wsiem smiertiam na zło.” I mama czekała.

Powstanie upadło, Niemcy zrównali Warszawę z ziemią. Stalin ten „ojciec narodów” czekał, aż dokończą dzieła zniszczenia. Powstańcy cierpieli za drutami lub jechali gdzieś na Kołymę lub do Tobolska. „Aby Polska była Polską”.

Pierwsze przymrozki ścięły wodę na kałużach gdy przyszedłem z mamą na stację kolejową. Właśnie wjechał pociąg towarowy. Malowane na kolor cegły duże bydłecze wagony nie wiozły zwierząt. Przez małe zakratowane okna wyglądali ludzie. Rece chwytaly się drutów kolczastych, a oczy czytały napisy stacji aby chociaż w ten sposób zorientować się co do kierunku podróży. Na wschód kochani! Na wschód!

– Sowietci wywożą AK owców na Sybir – powiedziała mama.

– Może w którymś z wagonów jest tata? Zapamiętaj to sobie.

I ja zapamiętałem! Kilkanaście lipcowych dni przeżytych z mężem w Czeberakach, te krótkie chwile wydarte wojnie zaowocowały na swój sposób. Na świat miała przyjść moja druga siostra i była już w połowie drogi.

Za kilka dni w domu zjawili się nieproszeni goście. Jeden mundurowy w okrągłej czapce z ciemnoniebieskim otokiem i czerwoną gwiazdą. Na pagonach również miał gwiazdki. Dwaj pozostali byli cywilami. Cywile mówili po polsku, oficer wrzeszczał po rosyjsku. Okazało się, że cywile byli żydami, dawnymi właścicielami mieszkania które zajmowaliśmy. Uciekli przed Niemcami na wschód i schronili się w sowieckiej bezpiece, teraz przyszli upomnieć się o swoje rzeczy. Próżno mama tłumaczyła, że mieszkanie było puste, że otrzymała je od ówczesnych władz administracyjnych, ale żadnych rzeczy nie było.

– Łzesz!!! – wrzeszczał sowiet – pójdiesz w Sybir!!!

Mama rozplakała się. Jakbym chciał ugryźć go w dupę, jak kiedyś zrobił mój dziadek w podobnej sytuacji. Cywilom podobało się wszystko w domu, kilimy, żelazko, niklowane metalowe łóżko itd. Itd. Jak można było udowodnić, że rzeczy te należą do nas, że większość z nich mama otrzymała w posagu od babci. Nerwy i strach, przecież oni mogą zrobić co zechcą. Sytuacja rozwiązała się sama. Na kwaterę do naszego mieszkania zostali skierowani dwaj rosyjscy oficerowie, lejtnant i major.

Obaj musieli należeć do starej rosyjskiej szlachty lub arystokracji. Pedantyczni i kulturalni, mundury leżały na nich jak na oficerach niemieckich, maniery bez zastrzeżeń. Major był starszym panem, któremu siwizna już mocno posrebrzyła skronie. Młodszy miał na imię Jura. Był mężczyzną najwyższej trzydziestoletniej, wysoki i przystojny o bardzo ujmującym głosie i sposobie bycia.

Nie byli długo na kwaterze bo w styczniu ruszył front i poszli na wojnę. Czy przeżyli?

Panowie ci powiedzieli kilka słów gdzie trzeba i żydzi przestali nas niepokoić.

W końcu marca 1945 roku mieliśmy jeszcze jedną niezwykłą i niezapomnianą wizytę.

Późnym wieczorem zatrzymała się przed domem rosyjska wojskowa ciężarówka, popularny Zis-5. wysiadł z niej prosty ruski żołnierz, zapukał do drzwi i zapytał o panią Cygańską. Początkowo zaniepokoił się ale zaraz nasza obawa zmieniła się w radość nie do opisanego. Był to posłaniec od taty. A więc ojciec żyje, nie został wywieziony tymi okropnymi pociągami, służy w wojsku, jest oficerem i wraz z armią idzie na Berlin. Żołnierz przywiózł list, w którym tata pisze aby mama zabrała dzieci, zamknęła mieszkanie i niezwłocznie, tak jak stoi, udała się przysyłanym samochodem w podróż do Gniezna. Podczas walk ulicznych o wyzwolenie tego miasta, pierwszej stolicy państwa Mieszka i Chrobrego ojciec niemal własnoręcznie zdobył całkowicie wyposażone mieszkanie. Goniąc uciekającego niemieckiego oficera wpadła za nim do mieszkania. Niemiec nie widząc możliwości dalszej ucieczki, nie chcąc trafić w ręce Rosjan, rzucił sobie pod nogi granat. Po uprzątnięciu zniszczeń przez mieszkających w tej kamienicy Niemców tata mieszkaniem zajął, opieczętował, zgłosił władzom wojskowym chęć przejęcia lokum na własność i nazajutrz za zgodą dowódcy, pułkownika Łobanowa, wysłał samochód po mamę.

Zostawić wszystko natychmiast, wsiąść do samochodu z nieznanym ruskim żołnierzem i udać się nocą w daleką podróż w dodatku będąc w stanie zaawansowanej ciąży. Na to nie zdecydowała by się chyba żadna kobieta. Nawet taka, która pod świszczącymi kulami, bez wyraźnej potrzeby spacerowała sobie po linii frontu jak po jesiennym parku. 24 kwietnia wróciłem ze szkoły około południa. Po mieszkaniu krzątała się nieznana mi pani. Ubrana była w biały fartuch, a na głowie miała jakiś dziwny czepek.

Zakonnica, czy co? Pani ta kazała nam dzieciom, zostać w kuchni, a sama z miednicą podgrzanej wody poszła do pokoju. Oprócz mnie, Hani i tej nieznanej pani w domu nie było nikogo, a gdzie jest mama, co to wszystko ma znaczyć? Po jakimś czasie pani ta poprosiła nas do pokoju. Zobaczcie jaka macie śliczną siostrzyczkę. W pokoju sypialnym w łóżku leżała mama, a obok niej mały dzieciak.

– No i co podoba się wam? – spytała

Spojrzałem na małe zaciśnięte piąstki, okrągłą łysą główkę, zamknięte oczka i nie wiedziałem co powiedzieć. W kuchni zapytałem Hanię:

– Podoba ci się ten dzieciak, bo mnie nie

– Mnie też nie – odparła

Gdzie ta pani dostrzegła tę urodę, nie wiem do dziś, ale fakt – nasza młodsza siostra wyrosła na piękną dziewczynę, Hania zresztą również. Dzieciak na chrzcie otrzymał imiona Ewa, Bożena i tak zostało. Rodzicami chrzestnymi zostali: lekarz dentysta, pani Izbicka i przyjaciel taty pan Jakubowski z Błonia. „I znów zakwitły jabłonie, zielenią okrył się gaj. Świat w blasku słońca tonie, po łączkach chodzi maj”. Często sięgam po słowa wiersza lub nastrojowej, melodyjnej piosenki. Nic na to nie poradzę. Mam sentymentalną słowiańską duszę i romantyczne piękne słowa (nieważne czy ruskie czy polskie) przemawiają do mojej wyobraźni i uczuć. Nie rozumiem dzisiejszej młodzieży, którą podniecają rytmy jakiś murzyńskich tam – tamów, dźwięki rocków czy hip – hopów. Dla mnie są one kulturowo obce. Przetoczyła się wojna, ile pochłonęła ofiar, ilu ludziom zszargała nerwy i odebrała zdrowie, w ilu sercach zostawiła ból i gorzkie wspomnień. Piękne słowa i melodia są balsamem duszy. Poeta napisał: „Nie wiem co to poezja, nie wiem po co i na co. Wiem, że czasami ludzie czytają wiersze i płaczą”.

Ile uczucia tkwi w słowach: „Ciomnaja nocz, tolko puli świszczal po stiepi, tolko wietier hudit w prowodach, tolko zwiozly miercajut. W ciomnoju nocz ty lubimaja znaju nie spisiz i u dzieckoj krawatki Tajkom ty slezy ocirajesz”. Ja widzę tego żołnierza, polskiego czy ruskiego – nieważne, jak siedzi w ciemnej frontowej ziemiance, jak liczy gwiazdy i świszczące kule i jak tęskni za żoną, za dzieckiem w kołysce. Jakie to jest ludzkie i jakie tragiczne

Dzisiaj byliśmy całą klasą powitać żołnierzy wracających z Berlina. Staliśmy przy szosie i rzucaliśmy kwiaty pod koła samochodów i gąsienice czołgów, a oni jechali pospiesznie. Nie zatrzymywali się, bo i po co? Żegnajcie, wracajcie do swych żon i dzieci, które przez długie lata wojny straciły pewnie nadzieję czy was jeszcze zobaczą. My mieliśmy to szczęście, że nasz ojciec wrócił. Koniec maja lub początek czerwca, nie pamiętam. Przyszedłem ze szkoły i ujrzałem go. Był w mundurze, a ojciec w mundurze prezentował się wspaniale.

„Jakiż to piękny i bohaterski strój dla Polaka, mundur żołnierski. Choć jest tak skromny, w szarym kolorze, nic się z nim w świecie równać nie może”.

Teraz byłem dumny. Prawdziwy polski mundur z dystynkcjami porucznika, po lewej stronie nad kieszonką baretki odznaczeń, no i rogatywka, z gwiazdkami, orłem i bordowym otokiem – kolor lekarzy wojskowych. Gdy szedłem z tatą ulicą, oglądali się wszyscy ludzie, żołnierze salutowali, zdawało się mi, że nawet drzewa salutują.

Tata przyjechał na urlop, tylko na kilka dni. Przyjechał zobaczyć się z rodziną, pokazać się, że żyje, jest cały i zdrowy, no i opowiedzieć o swych losach wojennych po rozbrojeniu oddziału i aresztowaniu. Na pierwszym postoju sowieci zaprosili oficerów na naradę wojenną. Zenon chyba nie wiedział, że była to wypraktykowana metoda oddzielenia żołnierzy od dowódców. Gdyby nawet wiedział, to co mógłby zrobić? W walce nie mieli szans. Sowietów w ten sposób zlikwidowali nie jeden oddział AK, który nie chciał się poddać. Zamiast na naradę trafili do cel więziennych. Zaczęły się konfrontacje i przesłuchania podobne do niemieckich. Ilu ludzi liczył oddział?

Gdzie macie resztę broni? Z kim współpracowaliście, skąd zaopatrzenie, gdzie kwaterowaliście? Par-

tyzanci zeznawali różnie, albo wcale, byli bici i torturowani. Na kolejne przesłuchanie zaprowadzono tatę do samego dowódcy jednostki NKWD pułkownika Łobanowa. Pułkownik kazał wyjść wszystkim i zostawić go sam na sam z więźniem. Gdy zostali sami rzekł:

– Paweł Pietrowicz, ja wszystkim pomóc nie mogę, ale tobie pomogę jeśli ty pomożesz mnie. Jestem chory na nieuleczalną chorobę weneryczną. Nasza armia nie ma na to leku, ale na zachodzie wynaleziono takie lekarstwo. Czy ty możesz mi pomóc?

– Mogę – odparł ojciec

Łobanow ukrył ojca u siebie w jednostce i uczynił swoim prywatnym lekarzem. Cygański otrzymał przydział wojskowy, oficjalną funkcję i stopień porucznika. Jako lekarz oddelegowany z Ludowego Wojska Polskiego do bratniej Armii Czerwonej chodził w mundurze polskim i nikogo to nie dziwiło, miał do dyspozycji samochód i kierowcę (tego, który przyjechał do nas do Białej). Tata wyleczył pułkownika i wkrótce się z nim zaprzyjaźnił. Kiedyś w zaufaniu płk. Łobanow powiedział, że on nie jest czerwonym. Jego dziadkowie w carskiej Rosji posiadali majątek ziemski. Za to podczas rewolucji bolszewickiej cała rodzina została rozstrzelana. On jako sierota wojenny wychował się w domach dziecka. Gdy dorósł wstąpił do armii i zaczął karierę wojskową, ale swoje wie.

W ten sposób tata, zamiast na Sybirze, znalazł się na zwycięskim szlaku, który zakończył się w Berlinie. Cały oddział Zenona wywieziono na zatracenie. Po kilkunastu latach wrócił tylko kapłan oddziału, ksiądz Zupko, ale i on wkrótce zmarł. Po oficjalnej kapitulacji Niemców dnia 8 maja 1945 roku hucznie świętowano zwycięstwo. Polacy należeli do rzadkości na ulicach Berlina. Toteż jakiś pijany żołnierz ruski widząc nieznanego sobie mundur, w dodatku oficerski, myśląc, że to Niemiec wygarnął w kierunku taty z pepeszy. Dobrze, że był tak pijany iż nie trafił i kule podziurawiły tylko niebo.

Ostatnimi dniami wojny rządziła nienawiść i chęć zemsty. Sceny jakie wydarzyły się na ulicach były niewyobrażalne. Oficerów i SS-manów rozrywano żywcem. Żołnierzy, a nawet cywilów miażdżono gąsienicami czołgów. Nie nakręcono filmu, który odzwierciedlałby rzeczywiste barbarzyństwo wojny. Opisać się tego nie da.



Pamiątka z pierwszej komunii



Państwo Kęsicy ze swą pierwszą córką – moją przyszłą żoną.

Część II

Szli na zachód osadnicy

Większość rosyjskiego wojska powróciła do swych domów. Zostały wprowadzone duże garnizony sowieckie na ziemiach zajętych, które miały pilnować zdobyczy socjalizmu w okupowanej części Europy, tak zwanych Krajach Demokracji Ludowej.

Pułkownik Łobanow został dowódcą dużej jednostki stacjonującej w Warszawie na Bielanach. Tata pozostawał nadal pod jego rozkazami i opieką. Rozpoczęły się pierwsze powojenne wakacje. Może zdanie to powiedziałem na wyrost, ponieważ w Polsce wciąż trwała wojna o tak zwane utrwalanie władzy ludowej. Ogłoszono wprowadzenie amnestii, ale kto naiwnie się ujawnił zostawał aresztowany. Przesłuchania, tortury, zsyłki i wyroki śmierci trwały nadal. Zmienił się tylko okupant, który do pomocy miał teraz Urząd Bezpieczeństwa.

Ileż perfidii i zakłamania. Walczący o swój kraj żołnierze powinni być witani z wdzięcznością i honorami. Ależ skąd oni byli torturowani i skazywani. Ci którzy zadziwiali świat walcząc z brawurą i poświęceniem, którzy marzyli przez długie lata o powrocie do swej ojczyzny musieli nadal pozostać na obczyźnie bo w domu za który przelewali krew dla nich miejsca nie było. Były ich tysiące, ale przytoczę tylko jeden przykład. Bez komentarza, ponieważ w tym przypadku jakkolwiek komentarz byłby nie na miejscu. Generał Stanisław Skalski, as lotnictwa. Walczył jako pilot myśliwski we wrześniu 1939 roku nad Polską, potem we Francji, po jej upadku w dywizjonach angielskich i polskich, w Afryce był dowódcą skrzydła myśliwskiego, które zasłynęło jako Cyrk Skalskiego. Odniósł najwięcej zwycięstw ze wszystkich polskich pilotów. Jego kunszt bojowy i postawę rycerską uszanowali nawet Niemcy. We wrześniu zestrzelił niemiecki samolot, pilot ranny uratował się na spadochronie ale na ziemi został otoczony przez grupę cywilów, którzy chcieli go dobić. Skalski widząc co się dzieje, wylądował obok zestrzelonej maszyny i obronił niemieckiego majora pilota.

Za tę postawę Niemcy ogłosili, że gdyby pilot Stanisław Skalski dostał się do ich niewoli będzie traktowany z szacunkiem i należnymi mu honorami. Obaj piloci przeżyli wojnę i stali się przyjaciółmi. Przeżyli ale niewiele brakowało aby generał skalski podzielił los tysięcy bohaterów polskich. Aresztowany po powrocie do kraju, oskarżony o szpiegostwo i skazany na karę śmierci, kilka lat czekał na wykonanie wyroku.

Myszę, że wyrok był odwlekany gdyż żydowsko – sowieckie UB nie wiedziało jak wytłumaczyć światu zabójstwo takiego bohatera. Po przemianach politycznych 1956 roku generał skalski został uniewinniony i przyjęty do służby wojskowej. Taki to był koniec wojny w Polsce. Armia Krajowa została oficjalnie rozwiązana lecz pozostający w lesie partyzanci utworzyli nową organizację bojową Ruch Oporu Armii Krajowej tzw. ROAK, walczyli również partyzanci z bratnich organizacji Narodowe Siły Zbrojne oraz Wolność i Niepodległość. Do walki przeciw tym organizacjom rzucono oprócz NKWD, UB i MO również wojsko, specjalnie w tym celu utworzony Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego. W strukturach UB powstały tak zwane Szwadrony Śmierci – specjalne tajne oddziały do likwidowania opozycji politycznej, a szczególnie działaczy Polskiego Stronnictwa Ludowego. Jakby tego było mało do walki ruszyli Ukraińcy. Polaków mordowali przez wszystkie lata wojny. W samej ziemi wołyńskiej wymordowali około dwustu tysięcy Polaków. Jeszcze podczas wojny powstały zbrodnicze organizacje bojowe Ukraińska Powstańcza Armia oraz Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów. Organizacje te współdziałały z Niemcami prześcigając się w antypolskich ludobójstwach, posługując się metodami jakich nawet Niemcy nie stosowali. Do tej pory trzymali się linii Bugu, teraz wyciągnęli ręce po Lubelszczyznę, ziemię Rzeszowską, Bieszczady nazywając to po swojemu Krajem Zakierzońskim. Kraj Zakierzoński zapłonął, ale nie będę poprawiał historii, wracam na swoje podwórko.

Tata załatwił sobie dłuższy urlop aby przeprowadzić swoją rodzinę na zachód. Wynajął w tym celu duży kryty wagon kolejowy, następnie załadował do wagonu cały dobytek wraz z żoną i trójką dzieci. Teraz trzeba było poczekać na okazję podczepienia się do jakiegoś składu zdążającego w odpowiednim kierunku. W tym czasie zaczęła się powojenna wędrówka ludów. Przesiedlano Ukraińców w ramach akcji „Wisła”. Oczyszczano z elementu polskiego Kraj Rad, poszerzony o wschodnie tereny Polski. Kresowiaci jechali gdzieś w stepy Kazachstanu, a ci co mieli więcej szczęścia na Ziemi Odzyskanej. Pociągi składały się z takich wagonów jakimi wywożono jeszcze niedawno na Sybir, tylko teraz jechały one w odwrotnym kierunku i nie były zaryglowane. Dużo czasu traciło się na różnych postojach. Na stacjach przetaczano wagony formując nowe składy. Na bocznicach czekaliśmy na lokomotywy, a czasem w polu niewiadomo na co. Raz nawet trafiło mi się jechać w parowozie. Tata zapoznał przy jakiejś okazyjnej flaszcze samogonu załogę lokomotywy, a ci przez szacunek dla lekarza i oficera zabrali mnie ze sobą. Postawili mnie przy bocznym przednim okienku i kazali obserwować czy tory są całe i proste, czy jakaś krowa na nie nie weszła. Powiedzieli, że to jest bardzo ważna funkcja, „teraz ty jesteś kierownikiem pociągu a my twoją załogą i pomocnikami”. Wiedziałem, że są to żarty, ale podróż z takimi wrażeniami bardzo mi się podobała. Po tygodniu dojechalśmy do Gniezna.

Mieszkanie, które tata zajął wiosną, teraz miało już innego właściciela, a my zostaliśmy na przysiółkowym lodzie.

Zamieszkaliśmy na kwaterze w tym samym domu przy ulicy Tumskiej 11 u niemieckiej rodziny Geislerów, których tata poznał gdy trzeba było uprzątnąć zajęte mieszkanie. Mieli oni dwie córki Marię i Klarę. Młodsza Klara była panną, Maria natomiast wdową po niemieckim oficerze, który zginął gdzieś na wschodzie zostawiając żonę w nieutulonym żalu i małego synka. U Geislerów mieszkaliśmy dopóki tata nie załatwił nowego lokum. Jako oficer będący w służbie otrzymał je szybko w starym rynku na przeciw ratusza. Mieszkanie połączone było z pomieszczeniem sklepowym. Wejście do domu było od strony podwórka, do sklepu od ulicy. Tata urządziwszy rodzinę wrócił do jednostki, a mama zajęła się wyposażeniem i otwarciem restauracji „Pod Cyganką”. Wakacje dobiegły końca i czas było pójść do szkoły. W Białej otrzymałem promocję do czwartej klasy, ale rodzice uważali, że mają tak genialnego syna, który poradzi sobie w klasie starszej. W powojennym bałaganie i nowej szkole przesznułowanie mnie do klasy piątej udało się, ale potrzebnego rozumu nikt mi nie załatwił. Od tej pory do szkoły mia-



W drodze na zachód – transport do Gniezna

łem zawsze pod górkę. Z wojny tata przywiózł mi prezent. Były to narty i wiatrówka. Nie kurtka podszycia wiatrem, tylko prawdziwy sportowy karabinek. Teraz ja wyruszyłem na wojnę. Mając bron strzelałem do wszystkiego co się nie ruszało. Jeden raz postanowiłem zapolować na wróble. Na podwórku leżały jakieś resztki jedzenia, pasło się tam niewielkie stadko tych szarych niepozornych ptaszek. Schowałem się za jakieś beczki, załadowałem wiatrówkę i czekałem. Gdy wróbelki przyleciały i zajęły się jedzeniem, wziąłem najbliższego na cel i trach. To co zobaczyłem w tym momencie jest dla mnie do dziś niezrozumiałą zagadką. Szare, małe, bezbronne stworzonka, coś podobnego spotyka się tylko u ludzi, i to nie wszystkich. Gdy ciężko ranny wróbelek padł po strzale dwaj jego najbliżsi przyjaciele w ułamku sekundy chwycili go dzióbkami pod skrzydła i uniosły ze sobą. Strzał był jednak śmiertelny. Gdy wróble zobaczyły, że ich towarzysz nie żyje, zostawiły go na balkonie i odleciały. Ja dumny ze swojego trofeum postanowiłem pochwalić się swym sukcesem myśliwskim. Wziąłem wróbla z balkonu i zaniósłem do domu. W prowadzeniu restauracji pomagał mamie stryjeczny brat ojca Kazik Jakimiuk, zawodowy kucharz i cukiernik, mistrz w swoim fachu. Gdy stryj wziął na rękę mą zdobycz, myślałem, że mnie pochwali, ale on tylko spojrzał bardzo smutno i rzekł:

– Coś ty najlepszego zrobił. Ten ptaszek miał tatę, mamę i na pewno dzieci, ale on już do nich nie wróci. Na pewno czekają na niego, tęsknią i płaczą. A tobie co przyszło z jego śmierci. Po prostu go wyrzucisz. Weź go sobie.

Nie chciałem go wziąć. Ten ptak po prostu parzył mnie w ręce, tak mi się przynajmniej wydawało. Uciekłem z domu, schowałem się za beczki i bardzo rozplakałem.

Dowodem potwierdzającym słowa stryja było wspomnienie tych zdaje się bezrozumnych ptaków, które same przestraszone i uciekające jeszcze zdążyły pospieszyć na ratunek koledze, do momentu kiedy miało to jeszcze sens. Zrozumiałem, że żywe stworzenie cierpi i reaguje jak my. Wiatrówki więcej do ręki nie wziąłem i nie wiem co się z nią stało. Niedługo nadeszła zima, a ja zająłem się nartami. W Gnieźnie, niedaleko katedry jest jezioro o nazwie Wenecja. Gdy pierwszy mróz skuł powierzchnię wody i poproszył już pierwszy śnieg wybrałem się z kolegą na narty.

Po drugiej stronie jeziora były góry dobre do zjeżdżania, ale śnieg był za mały i za mokry. Lepił się do nart razem z błotem, do tego zapadł zmierzch i kolega mnie zostawił. Bojąc się, że zostanę w ciem-

ności sam postanowiłem skrócić sobie drogę. powrotną przez jezioro. Przy brzegu rosły wmarznięte w lód jakieś trzciny i szuwały, one dodatkowo wzmacniały powierzchnię lodu, ale dalej poza nimi pod nartami zatrzeszczało. Co robić, iść dalej strach, do tyłu jeszcze gorzej bo tam lód jest już popękany. Byłem chłopcem niedużym i raczej lekkim, postanowiłem iść naprzód nie zatrzymując się. Za każdym krokiem lód pękał, a kroków tych na odległości prawie kilometra było ponad tysiąc. Każdy z nich groził pójściem pod lód. To tak jakbyś tysiąc razy rzucał monetą i tysiąc razy wypadł orzeł. A może była to kara za tego wróbelka, może nie miałem utonąć tylko się bać.

W tym czasie zdarzyły się dziwne zaginięcia dzieci, tym dziwniejsze, że wtedy organów do transplantacji jeszcze nie pobierano, przeszczepy medycynie nie były znane. Komu więc potrzebne były dzieci i do czego? A jednak były to fakty, nawet w szkole nauczyciele przestrzegali aby nie zatrzymywać się z nieznanymi, nie wsiadać do obcych samochodów, na pytania o drogę nie odpowiadać i nie chodzić pojedynczo.

Pewnego razu około Świąt Bożego Narodzenia mama postanowiła zrobić niespodziankę ojcu i odwiedzić go w Warszawie. Niespodzianka i zaskoczenie były całkowite. Oficer dyżurny dowiedziawszy się, że do porucznika Cygańskiego przyjechała żona, przyjął mamę bardzo uprzejmie i polecił żołnierzowi zaprowadzić ją na kwaterę. Był zimowy ranek toteż tatę zastała jeszcze w łóżku. Zaskoczenie było obustronne. Tata nie spodziewał się żony. Mama nie spodziewała się, że zastanie go „In flagranti” z kochanką.

Mama była kobietą taktowną i subtelną, zażenowana jakby to ona była stroną winną, przeprosiła towarzystwo i wyszła. W rodzinie zaczęło się coś psuć. Wróciwszy do domu powiedziała nam, że Warszawa praktycznie nie istnieje, wielkie rumowisko, morze ruin, praktycznie jest nie możliwa do odbudowania.

Pułkownik Łobanow został odwołany ze stanowiska i wezwany do Moskwy.

– Słuchaj Paweł – powiedział do ojca

– Ja ciebie zwolnie do cywila, dłużej cię chronić nie mogę. Jak odkryją, że jesteś

Akowcem ukrytym w wojsku to rozstrzelają cię bez sądu. W cywilu obejmiesz dobrą posadę i poradzisz sobie. Tata został zdemobilizowany w stopniu kapitana i objął posadę wojewódzkiego inspektora lekarskiego w Szczecinie. W marcu 1946 roku przeprowadziliśmy się do Szczecina. Zamieszkaliśmy w ładnej dzielnicy willowej na Pogodnie na rogu ulic Przybyszewskiego i Grzegorza z Sanoka. Przy każdym domu był ogród w stylu niemieckim, ale domy były przeważnie puste. Miasto częściowo zniszczone, jednak Pogodno ocalało prawie w całości. W klasie piątej było nas zaledwie dziewięcioro, pięć dziewczyn i czterech chłopców. Stanowiliśmy zgraną koleżeńską paczkę. Buszowaliśmy w opuszczonych domach. Gangi szabrowników rozkradały co się dało. My szukaliśmy zabawek. Dyrygował nami starszy o dwa lata kolega Mariusz Mianowski, ale najsympatyczniejszy z czwórki był Andrzej Łapicki, był jeszcze Maciek Fieweger no i ja.

Mariusz był chłopcem takim co to wie gdzie Diabeł młode chowa. Pochodził z rodziny inteligenckiej, ale pomysły miał niesamowite. Był typem przywódcy – potrafił jakąś wewnętrzną siłą podporządkować sobie innych kolegów. Fizycznie rozwinięty, wysoki i szczupły, zwinny jak pantera. Prowokował bójki z chłopakami z innych dzielnic zawsze wychodząc z nich cało, lanie brali przeciwnicy. Imponował nam młodszymi, w stosunku do nas był koleżeński i opiekuńczy. Szkoła składała się kiedyś z dwóch budynków ale teraz jeden był kompletnie zbombardowany. Za szkołą ciągnął się długi na prawie sto metrów bunkier obronny. Podejrzewam, że atakując bunkier zburzono szkołę. Był to nasz plac zabaw, plac broni i twierdza. Tutaj konstruowaliśmy wynalezione przez siebie granaty. Do puszek po skondensowanym UNRowskim mleku wrzucało się proch artyleryjski. Inne puszki się do tego nie nadawały. Puszki po mleku nie miały odkrojonych wieczek tylko dwie dziurki. Przez dziurki te wrzucało się proch i na końcu zapalony lont. Gdy puszka zaczęła świstać, trzeba było natychmiast rzucać ją do góry. Puszka rozrywała się w powietrzu nie dając odłamków. Odskakiwały tylko dwa denka i cienka boczna blacha. Na ziemię spadały palące się kawałki prochu dając efekt świątecznych fajerwerków. Gdyby taka puszka rozerwała się w rękę, na pewno by mocno rękę pokaleczyła, ale na szczęście to nigdy się nie wydarzyło.

Winienem w tym miejscu wyjaśnienie co znaczy słowo UNRA.



W drodze na zachód – transport do Gniezna

Była to amerykańska pomoc dla krajów Europy dotkniętych wojną. Rodziny dostawały żywność, rolnicy zwierzęta domowe, głównie konie i krowy, zakłady przemysłowe maszyny i urządzenia techniczne. Nawet samoloty sportowe typu „Piper” dostawaliśmy z UNRy. Samoloty te zostały później celowo zniszczone, ale znaleźli się ludzie, którzy dwa egzemplarze zdemontowali i przechowali do lepszych czasów. Czym była UNRA najlepiej opowie humorystyczna piosenka:

*„Ciocia UNRA z wujem Samem, mieli sklep za oceanem.
 Latem mięso się zaczęło psuć. Wzięli wszystko posiekali i do puszek powpychali aby w sklepie im nie było czuć.
 I mówią tak – niech wojna trwa 50 lat, zapasy mamy no to jakoś wytrzymamy.
 To jest Ameryka, zagadka UNRA, to pomysłowy kraj, w pudełeczku raj.
 Ruski kawał im zrobili – wojnę szybko zakończyli.
 Ciotka mówi z zapasami źle. Ale wujek, jak to wujek cos tam liczy kombinuje po łysinie swojej drapie się.
 I rzecze nam, mam już w głowie plan. Pracuj od dziś i na puszkach pisz: UNRA, UNRA z Kaliforni, extra kawa
 bez cykorii, luksusowy z mandarynek dżem.
 Mleko w proszku, jaja w proszku, szynka na zielonym groszku, oryginalny kakaowy krem.
 Wujek przespał się godzinę, potem siada na berlinkę i paczuski za ocean pcha.
 W Europie straszna bida, akuratnie im się przyda no i forszę zrobi się raz dwa.
 I nosa miał, dolary brał i telegramę do ciotuchny takoz ślał.
 Kochana UNRA przysyłaj co się da, tu rejwach na sto dwa, więc żegnaj. Pa.
 Ciotka dniami i nocami zaiwania na trzy zmiany ale widzi towar kończy się.
 Pcha łyżeczki i bibułki, soki, proszki i pigułki. Mydelka tyż, na słodko ryż.
 Na wszystkim witaminy, wypisuje jak na kpiny.
 Bo to Ameryka, zagadka UNRA – to pomysłowy kraj w pudełeczku raj.
 Lecz ja polską kuchnię wolę, takie flaki na rosole, na wędzonce grochóweczka, klops.
 Kurzy owoc, lecz z musztardą, znaczy się jajka na twardo. Pod wódeczkę grzybek lub rolmops.
 A wódki też mam jakie chcesz. Mam stare nowe ale wszystkie luksusowe.
 Co mi tam UNRA. Ja polskie żarcie znam. Gastronomiczny kraj. Wiadomo raj”.*

Do Szczecina z każdym dniem napływali osadnicy. Jeszcze przed końcem roku szkolnego nasza klasa zapełniła się, ale nasza czwórka trzymała się razem.

Andrzej był harcerzem, namawiał mnie usilnie abym i ja zapisał się do harcerstwa. Ideały tej organizacji przypadły mi do gustu. Ojczyzna, Nauka, Cnota a do tego Bóg i Honor oraz mundur. „Matusz moja matusz puść mnie do harcerzy spodobały mi się stroje tych rycerzy. Mundur na nich siwy, miecz u paska błyska. Spodobali mi się z daleka i bliska”.

W harcerstwie przeżyłem wiele niezapomnianych chwil. W każdą niedzielę zbiórka i czwórkami w mundurach ze śpiewem do kościoła garnizonowego. Do kościoła przychodziło również czwórkami w marszu ze śpiewem wojsko. My byliśmy prawie jak żołnierze, a to mi imponowało. Były obozy, biwaki i gawędy, wszystko jak w pieśni:

„Płonie ognisko i szumią knieje, drużynowy jest wśród nas.

Opowiada starodawne dzieje, bohaterski wskrzesza czas.

O rycerstwie znad kresowych stanic.

O obrońcach naszych polskich granic.

A ponad nami wiatr szumny wieje i dębowy huczy las.”

Przy dogasającym ognisku braliśmy się za ręce i żegnali dzień modlitwą:

„o Panie Boże Ojczyzno nasz. W opiece Swej nas miej. Harcerskich serc Ty drgnienia znasz, wysłuchać zawsze chcesz. Wszak Ciebie i Ojczyznę miłując chcemy żyć, harcerskim prawom w życia dniach, wiernymi zawsze być”.

Jakie to piękne i romantyczne – prawda?

Ale komunie to przeszkadzało. Z końcem czerwca przyszły wakacje. Jakoś wymęczyłem promocję do klasy szóstej, ale przeskoczenie jednego roku nauki było bardzo błędną decyzją. W nagrodę za promocję tata kupił mi rower. Takich rowerów jak teraz widuje się w sklepach wtedy nie było. Nie był to więc żaden „góral”, składak czy wyścigówka z przerzutką. Był to zwykły, stary, pamiętający czasy przedwojenne, rower turystyczny. Cieszyłem się nim, naprawiałem i jeździłem. Ściagałem się z tramwajami i samochodami, wyjeżdżałem na wycieczki do lasu Arkońskiego lub za miasto nad jezioro Głębokie. Koledzy znaleźli gdzieś pokrywę od wojskowej kuchni polowej. Odwrócona wypukłością do dołu utrzymywała się na wodzie nawet obciążona jedną małą osobą. Mieliśmy więc łódkę i dodatkową frajdę. Kiedyś kąpiąc się zauważyłem coś co mnie mocno zdziwiło ale równocześnie poszerzyło me doświadczenia życiowe. Do naszej grupy dołączył jakiś chłopiec, był w naszym wieku, bawił się sam więc przyjęliśmy go do gromady. W pewnym momencie podczas zabawy, gdy wsiadł na nasz kuchenny statek, wymknęło mu się przez nogawkę spoderek coś co wyglądało zupełnie inaczej niż u nas. Często kąpaliśmy się nago więc widziałem jak to powinno wyglądać, ale dlaczego ten chłopiec był inny? Dużo później dowiedziałem się o religijnym żydowskim rytuale obrzezania. Nie zrezygnowaliśmy też ze swych niebezpiecznych zabaw. Ziemia Szczecińska nosiła

Wiele ran i blizn wojennych. Broniące niedawno miasta, baterie dział różnego kalibru i przeznaczenia nie były jeszcze uprzątnięte, przy działach były zapakowane w skrzynkach nowiutkie i zakonserwowane pociski. Na to aby załadować działo i strzelić nie mieliśmy odwagi i umiejętności, ale rozebrać ładunek armatni metrowej wysokości, wyjąć z łuski ciężki pocisk i wybrać proch, to już inna para kaloszy.

Proch armatni potrzebny był nam do naszych puszkowych granatów. Oprócz naboju do ciężkich haubic były moździerz z granatnikami podobnymi do małych bomb lotniczych, było wiele amunicji przeciwpancernej. Szczególnie spodobały się nam ładunki z pociskami kumulatywnymi. Te pociski nie rozrywały się, podobne były do okrągłej stalowej choinki. Wewnątrz choinki był twardy stalowy trzpień. Gdy do trafionego pancerza czołgu przylepiała się miękka choinka, trzpień przebijał pancerz rażąc załogę odłamkami. Tego wszystkiego dowiedzieliśmy się sami z rozbijanych pocisków. Jednym słowem byliśmy już saperami samoukami, ale saper myli się tylko raz. Naboje przeciwpancerne były w sam raz do zabawy. Wysokością nie przekraczały czterdziestu centymetrów. Kaliber około siedemdziesięciu milimetrów, łatwo mieściły się pod marynarką, łatwo też można było wykręcić sponkę zapłonową.

W parku za miastem była miękka pulchna ziemia, wpychało się w nią nabój pociskiem do dołu w



*Na Starym Rynku
w Krakowie po ulokowaniu
w szkole o.o. Pijarów*

miejsce spłonki zakładało lont prochowy, podpalało i w nogi za jakiś upatrzony wcześniej nasyp lub okop. To dopiero była zabawa. Pocisk szedł w głąb w miękką ziemię, rozerwana łuska gdzieś w przestworza, na nas sypała się z góry ziemia, a w miejscu eksplozji zostawał pięćdziesięciu centymetrowy lej. Kiedyś znaleźliśmy stalową rurę długości jednego metra, kaliber siedem. Pasowało jak ulał, w sam raz na armatę. Przywiązaliśmy rurę do rosochatej brzoźki, załadowali nabój bez spłonki, założyli lont, podpalili i uciekli. Huk ogłuszył nas, połowa rury gdzieś zniknęła razem z połową brzoźki. Nie było też ani kawałka łuski. W uszach ból, w głowach szum, myślałem, że pękły mi bębniaki, ale po godzinie wszystko wróciło do normy. Nie zawsze jednak takie zabawy kończyły się szczęśliwie. W całej Polsce jak długa i szeroka przez następne lata ginęły dzieci. A u nas?

Rozpoczął się rok szkolny 1946 – 47. w połowie września po przyjeździe do szkoły dowiedzieliśmy się, że zginęło czterech naszych kolegów, wszyscy z klasy szóstej. Trzech było z tych, którzy przybyli do klasy piątej po mnie, ale czwartym okazał się kolega z naszej paczki Andrzej Łapicki. Jadąc tramwajem linii nr 7 w kierunku Pogodna przejeżdża się po wiadukcie, dołem biegnie linia kolejowa. Za wiaduktem na lewo rozciąga się niewysokie zbocze porośnięte drzewami i krzewami, coś w rodzaju zniszczonego parku. W parku tym były transzeje, a w nich duże pociski armatnie. Rozebranie naboju polegało na tym aby uderzając o kamień w miejscu gdzie się kończy ładunek prochowy a zaczyna pocisk doprowadzić do obłuzowania go w łusce. Przy kolejnym uderzeniu zapalnik spracował i pocisk wybuchł. W pogrzebie uczestniczyli wszyscy uczniowie i nauczyciele szkoły. Po kilku dniach wszystko wróciło w swoją kolej, a po miesiącu nikt już o kolegach nie myślał. Tylko ja wciąż widzę Andrzeja, jego jasne włosy, szlachetną buzię, słyszę jak opowiada mi o harcerstwie i chce mi się płakać.

Wkrótce wojsko uprzętnęło pozostałości wojenne, przynajmniej te najbardziej niebezpieczne. W drugiej połowie listopada gdy drzewa zgubiły już liście, a pola pokryły się grudą, klasy szóste i siódme pojechały na wycieczkę do cukrowni.

Kończyła się kampania buraczana, ale cukrownie pracowały jeszcze na pełnych obrotach. Było około godziny dziesiątej, dzień wstał słoneczny ale mroźny. Na polu stały dwa rozbite niemieckie czołgi. Kierujący wycieczką nauczyciel poszedł załatwić wejście do zakładu, my zaś, sześćdziesięciu uczniów i dwie panie wychowawczynie, czekaliśmy przed bramą. Nagle ujrzelśmy ciekawe zjawisko. Na niebie pod kątem około 45 stopni nad horyzontem ukazał się dziwny obiekt. Biała okrągła tarcza, podobna do księżyca w pełni, ale jaśniejsza, większa i bez cieni charakterystycznych dla księżyca. Balon to nie był, gdyż

nie posiadał podczepionej gondoli ani nie odpowiadał kształtem. Obiekt ten przemieszczał się po linii równoległej do horyzontu ze znaczną prędkością. Od momenty gdy wyłonił się zza budynków cukrowni do zniknięcia za horyzontem upłynęło około dziesięciu minut. Nigdy później czegoś takiego nie widziałem, a przecież jako pilot napatrzyłem się na różne latające twory rąk ludzkich.

Zima przyszła mroźna i śnieżna. Po Bożym Narodzeniu temperatura spadła do minus trzydziestu stopni, na jakiś czas zawieszono lekcje. W domu tata prowadził prywatną praktykę lekarską. Często pacjentów w poczekalni było więcej niż czasu na ich przyjęcie, a była to praca dodatkowa do urzędowych obowiązków inspektora. Władze różnych szczebli wiedziały skąd tata przyszedł i z czystej protekcji otrzymał stanowisko. Zarówno towarzysze partyjni jak i ci pracujący w bezpieczeństwie uważali go za swojego człowieka. Dziwili się tylko dlaczego oficer frontowy związany z sowieckim aparatem spraw wewnętrznych nie należy do partii. W drugiej połowie stycznia 1947 roku odbyły się pierwsze powojenne wybory do sejmu. Ojcu zaproponowano udział w Wojewódzkiej Komisji Wyborczej. Była to propozycja nie do odrzucenia. Jako człowiek zaufany dopuszczony został do spraw tajnych polegających na oszustwie i fałszerstwach wyborczych. Regułą jest to, że bezprawie stara się zachować pozory prawa. Mogli przecież nie robić żadnej farsy wyborczej. Mieli siłę, mieli władzę, nie musieli pokazywać narodowi jak bardzo go lekceważą i ośmieszać się przed opinią świata. Nie było żadnych list wyborczych ani kandydackich. Głosowano na dwa bloki polityczne. Jeden skupiał partie komunistyczne PPR, PPS, SL, SD. Liderami tego bloku byli W. Gomułka i B. Bierut. Drugim opozycyjnym ugrupowaniem było PSL ze Stanisławem Mikołajczykiem na czele oraz naród reprezentowany przez Kościół Katolicki. Głosowanie polegało na wrzuceniu do urny kartki o wymiarach 10x10 centymetrów z wydrukowanym dużym numerem. Pod numerem 3 kryła się komuna, ten numer obowiązywał w całej Polsce. Przeciwników politycznych oznaczono numerami 1, 2, 4 i 5. W różnych okręgach wprowadzono różne numery. Jak naiwne i obłudne było to oszustwo wiedziało nawet dziecko. Chodziło o to aby liczbę głosów oddanych na blok patriotyczny rozbić na cztery części. Kartek z numerem 3 wydrukowano wielokrotnie więcej niż pozostałych. Ludzie, którym zabrakło kartek z odpowiednimi numerami pisali je ręcznie, ale te głosy były oczywiście nieważne. Trójek nie brakowało, dosypywano je garściami bez umiaru. Skąd ja to wiem?

Od ojca, który będąc członkiem takiej komisji widział to na własne oczy. Podслуchałem jak opowiadał o tym mamie:

– Wyobraź sobie Nina

Tata nigdy nie używał słów wulgarnych. Nie pozwalały mu na to stanowisko i poszanowanie własnej godności, ale bywają w życiu chwile, że inaczej się nie da. A więc:

– Wyobraź sobie co te czerwone sukinsyny wyprawiają. Przywieźli gromadę żydów, którzy podchodzą po parę razy do urny i wrzucają trójki. Potem tę gromadę przewozili do kolejnych lokali wyborczych.

Pomimo takich oszustw, trójek w urnach było około trzydziestu procent. Naród nie chciał komuny, ale nie miał nic do gadania. Stalin Polakom nie ufał, dlatego wszystkie stanowiska w aparacie władzy obsadził swoimi ludźmi. Przeważnie byli to żydzi wrogo nastawieni do Polaków. Przybrali sobie polskie nazwiska i nawet jeśli oficjalnie nie piastowali najwyższych funkcji, to i tak kierowali nimi jakby z drugiej linii stojąc za plecami swych marionetek. Oni prowadzili terror fizyczny oraz bezwzględną antypolską propagandę. Wytoczyli wojnę polskiej religii, tradycji i kulturze. Ich ulubionym argumentem polityczno – propagandowym stało się słowo antysemityzm. Pluli nim w twarz oskarżając Polaków o wszystko. O jakieś wydumane pogromy które sami prowokowali, o obozy zagłady, o różnego rodzaju fobie, o to, że Polak antysemityzm wyssał z mlekiem matki. Natomiast fakty, że od wieków mieli tu ojczyznę gdy inni ich przeganiali, że tysiące Polaków narażając życie dawało im schronienie, że obsesyjny antypolonizm zaszczepiali gdzie tylko się dało, to trzeba było ukryć bo nie pasowało do ich planów. Jeżeli fakty zaprzeczają teorii – tym gorzej dla faktów. I tak zostało do dziś – „Ny, co nas jest? Trochę w rządzie, trochę w sądzie, parę generały”. Oczywiście gdzie jak gdzie ale w Polsce ich nie ma. Jest tylko antysemityzm. Ale my dzieci wiedzieliśmy gdzie ich szukać. Nie dlatego, że byli żydami, tylko dlatego, że byli wrogami, że mordowali najlepszych synów naszego narodu. Dzieci nieraz występowały przeciwko wrogom. Orleńskie, Lwowskie, harcerze śląscy, dzieci powstańczej Warszawy. My nie chcieliśmy być gorsi. Jak umieliśmy, na swój sposób chcieliśmy zmanifestować swoje nie. Broń też mieliśmy, nie karabiny i pis-

tolety, do tego byliśmy za mali. Mieliśmy zwykle proce, ale podobno procą można pokonać Goliata. Widząc wzmożoną działalność komuny przeciwko wszystkiemu co polskie, akcje zbrojne zwalczające resztki militarne podziemia, wyroki śmierci sypiące się jak z rękawa. Tata zrozumiał, że nie tylko w wojsku groziło mu niebezpieczeństwo. Zagrożenie to trwało nadal, zwłaszcza, że otrzymał ultimatu – Albo partia i stanowisko, albo fora ze dwora. Nie warto ryzykować. Dopóki czas trzeba rozejrzeć się za nowym miejscem i nową pracą. I znowu zostaliśmy sami.

Rok szkolny dobiegł końca. 30 czerwca 1947 roku otrzymałem wymęczoną promocję do klasy siódmej. Saperzy uprzątnęli już nasze śmiercionośne zabawki, trzeba więc rozejrzeć się za inną formą spędzania wolnego czasu. Co może wymyślić dwunastoletni chłopiec jeśli nie proce, puszkę i kamień. Kamień kamieniowi nie równy, jeden większy drugi mniejszy, ten bardziej okrągły tamten płaski. Strzelasz a tor lotu pocisku jest za każdym razem inny. Kiedyś w opuszczonym domu znaleźliśmy foremki do odlewania ołowianych żołnierzy. Każdy żołnierz po wyjęciu z formy miał na głowie ołowiany lejek, który należało odciąć. Wypraktykowaliśmy, że kulki ołowiane są dużo lepsze od kamieni. Prosto lecą do celu i mają większą siłę uderzenia. Jedna z kulek poleciała do sąsiedniego ogrodu robiąc hałas między liśćmi i gałęziami drzewa. Pod drzewem stał wózek ze śpiącym dzieckiem i ławka z odpoczywającym na niej sąsiadem.

Początkowo nie wiedział co spowodowało szelest liści. Ja się schowałem, ale bawiąca się ze mną Hania wyjrzała z kryjówki. Sąsiad przyszedł do mamy na skargę i dostałem lanie. Powiedział, że strzelałem do niego, a to była nieprawda. Powiedział również, że słyszał śmiejącą się kobietę co dowodzi celowej zaczepki. Zdenerwował tym mamę bo oprócz niej żadnej kobiety nie było i chyba dlatego nie poszedłem go przeprosić. Sąsiad był żydem piastującym wysokie stanowisko w jakimś urzędzie. Szewców, krawców i szmatników już wśród żydów nie było. Zostali oficerowie UB, prokuratorzy, sędziowie. O całym zajściu powiedziałem Mariuszowi. Ten chwilę pomyślał i rzekł:

– Dostałeś niesłusznie, wybijemy mu szyby.

I tak to się zaczęło.

Przez ponad pół roku tłukliśmy szyby żydom w różnych dzielnicach Szczecina. Organizatorem akcji był zawsze Mariusz, on też przeprowadzał zwiad i rozeznanie w terenie. Trzeba było po akcji wycofać się i ukryć, a to wymagało za każdym razem innej taktyki. Na miejsce Łapickiego Mariusz przyjął nowego kolegę, więc nadal było nas czterech. Cztery szyby choćby podwójne to trochę za mało, dlatego powtórnie załadowaliśmy proce i poprawiali po innych szybach. Osiem okien i szesnaście szyb, to już było co szklić. Milicja zastawiała na nas pułapki, ale nie wiedzieli kto tłucze, kiedy i jakie miejsce wybierze następnym razem. Trzeba było zaangażować kompanię ludzi i co dzień obstawiać wszystkie dzielnice. W końcu nas złapali. Naprzeciwko upatrzonego domu, po drugiej stronie ulicy był zburzony budynek, za nim ogród. W ruinach można się zacząć, jest ciemno, świecą się tylko okna po drugiej stronie. Wycofujemy się pojedynczo w ogród, każdy na własną rękę. Zbiórka pół godziny po akcji pod kinem Bałtyk. Pierwszą serię strzelamy jednocześnie, poprawiamy każdy indywidualnie i uciekamy. Po brzęku pierwszych tłuczonych szyb padły strzały i głosy – stój,



Szczecin Pogodno, ulica Przybyszewskiego, koło domu z nagrodą za promocję do IV klasy

stój! Rzuciłem się do ucieczki w stronę ogrodu, zaczepiłem nogami o jakieś cegły i upadłem na wznak. Leżałem w jakimś zagłębieniu, przeze mnie przeskakiwał jeden z milicjantów. Był wysoki i tęgi, kawał chłopa, nie widział mnie leżącego w ruinach, strzelał z pistoletu do góry. Lufa dwa razy pluła ogniem i milicjant zniknął za wyłomem w murze. Gdybym leżał to by mnie nie znaleźli gdyż ruin nie przeszukiwali. Zadziałały nerwy i panika. Wskoczyłem do ogrodu.

– O, o jeszcze jeden – usłyszałem

Jakaś silna ręka chwyciła mnie za kark i dostawiła do stojących już w rzędzie kolegów. Kazano nam podnieść ręce i wyprowadzono na ulicę. Funkcjonariuszy, każdy chłop w chłopu było siedmiu, każdy po cywilnemu, a bandytów czterech i o połowę mniejszych. Gdy milicjanci zauważyli czterech chłopców szli za nimi kryjąc się w mroku ulicy. Gdy my wchodziliśmy do ruin, oni rozdzielili się, czterech zrobiło w ogrodzie kocioł pułapkę, a trzech postraszyło od strony ulicy strzałami i krzykiem. Teraz prowadzili nas oświetlonymi ulicami z rękami w górze. Przechodnie gapili się gdyż dziwny to był widok. Siedmiu uzbrojonych drabów prowadziło czterech dzieciaków z podniesionymi rękami. Zaprowadzono nas na komisariat i zamknięto w celi. Rano przewieziono do śródmieścia na główną komendę Urzędu Bezpieczeństwa i rozpoczęto przesłuchanie. Nazwisko, imię, adres, kto namówił nas do takiej działalności, czy rodzice lub inni członkowie rodziny interesowali się naszymi zabawami po szkole. Dużo takich i podobnych pytań zadawano nam kolejno wprowadzając na rozmowę. Nie bito nas i nawet nie straszono biciem, chociaż niewiele do tego brakowało. Zastępcą komendanta urzędu był oficer polski narodowości żydowskiej. Takie zbitki słowne używane są do dziś. Ja podkreślam to z dużą dozą ironii. Otóż oficer ten będąc przekonany, że działaliśmy z czyjejś inspiracji, krzyczał z oburzeniem:

– To jest czysty antysemityzm, dać gówniarzom po parę pasów na dupę to wyśpiewają wszystko.

Zapał do dawania pasów ostudził mu sam komendant:

– Co tam towarzyszu chrzanicie – jaki antysemityzm? To jest zwykła chłopięca fantazja. Ja w ich wieku nie tylko okna tłukłem ale i wystawy.

Tak nam się to upiekło. Rodzice pokryli wyrządzone szkody i causa finta.

Ze szkoły usunięto nas jednak dyscyplinarnie, pewnie dlatego abyśmy wśród kolegów nie krzewili uczuć patriotycznych. Była połowa marca, zbliżała się Wielkanoc, a z nią wiosna. Przyjechał tata aby zabrać nas do miejsca swojej nowej pracy, mnie znaleźć nową szkołę oraz pomóc w dostaniu się do szkoły mamie. Tak więc życie nasze zostało potasowane jak talia kart i ułożone w zupełnie innym porządku.

PRL – Czas obłudy i zakłamania

Tym razem pociąg jechał na wschód. Już nie w bydlęcych wagonach i bez mebli, - te sprowadzono później. Jechaliśmy całą noc z przesiadkami w Poznaniu i Kutnie. Rano pociąg zatrzymał się na niepozornej stacji, jakieś baraki, sporo torów i niski parterowy budynek z napisem Płock – Radziwie. Dalej pociąg nie szedł. Przed budynkiem stacyjnym wsiedliśmy z bagażami do konnej dorożki i pojechali na przystań. Niewielki rzeczny statek czekał już na pasażerów pociągu. Dzień był pochmurny, wiał chłodny wiatr. Mocno wezbrane wiosenne wody Wisły były ciemnoszare, jakieś groźne w swym żywiole, pokryte wysoką falą. Po prawej stronie wylaniały się z wody nienaturalnie powyginane przęsła mostu, miejscami wsparte na filarach ledwo wystających ponad powierzchnię. Po drugiej stronie szerokiej rzeki zwrócił mą uwagę widok, piękny i charakterystyczny tylko dla Płocka – tumskie zbocza z wieżami katedry, zamku książąt mazowieckich i kościołów. Przeprawić się na drugą stronę można było tylko promem. Statek dzielnie pruł spienione grzywy fal, które sięgały mu prawie do burty. Wrażenia z tej podróży nie zatarły się w mej pamięci do dzisiaj. Stare miasto wyglądało jakby nie obudziło się jeszcze z nocnego snu. Stare bo nowego nie było. Wąskie brukowane uliczki, niewysokie domy i cisza przerywana tylko klapaniem końskich kopyt. Żadnych samochodów, żadnego ruchu ulicznego, gdzieś pojedynczy przechodzień spieszący do pracy, a może do sklepu po mleko na śniadanie. Ze Szczecinem było po prostu nieporównywalne.

Tata pracował i mieszkał na wsi. W dawnym szlacheckim dworze należącym kiedyś do właścicieli wsi Sikórz, urządzonego był ośrodek zdrowia, mieszkał zaś w budynku parafialnym pospołu z kościelnym i organistą. Sikórz z Płockiem łączyła zwirowa droga długości 14 kilometrów. W tamtych czasach na prowincji innych dróg nie było, autobusy też nie kursowały. Jedynym środkiem transportu była dorożka, chłopska furmanka lub para butów. Sama wieś prezentowała się jednak uroczo. Na początku stał za-

bytkowy kościół. Stąd do dworu biegła kasztanowa aleja z resztkami stacji Drogi Krzyżowej. W dole u stóp kilkudziesięciometrowej skarpy płynęła rzeka Skrwa z zawieszonym wysoko nad wodą mostem dla pieszych. Furmanki przejeżdżały szerokim i kamienistym brodem. Dalej był młyn wodny, w którym przed wojną kręcono sceny do filmów „Znachor”, „Profesor Wilczur”, mieszkał tu również Dołęga Mostowicz, pisarz i autor wymienionych dzieł. W poprzek rzeki zbudowano groblę spiętrzającą wody Skrwy. Groblę od młyna oddzielały stawidła regulujące poziom wody. Spiętrzona woda tworzyła liczne koryta, meandry stawy i rozlewiska, wyśmienite do pływania łódką czy kajakiem. Wszystko to tonęło w zieleni lasów i pierwszych wiosennych kwiatów.

Tutaj spędziłem Wielkanoc i tutaj zakochałem się w wiejskiej przyrodzie. Po świętach rodzice zawieźli mnie do nowej szkoły. Była to prywatna szkoła prowadzona przez księży ojców Pijarów w Krakowie.

„Gdzie Rzym, gdzie Krym?”. Gdzie Szczecin, gdzie Płock a gdzie Kraków? Czy bliżej szkół nie było? Oczywiście, że były, ale Ojcom Pijarom nie przeszkadzały moje „partyzanckie” wyczyny i nie zwracali uwagi na „wilczy bilet” czyli opinię ze Szczecina. W Krakowie ukończyłem szkołę podstawową i zacząłem średnią. Najprzyjemniejsze w życiu wakacje spędziłem w Sikorzu. Tata będąc człowiekiem towarzyskim i koleżeńskim zaprzyjaźnił się z wieloma ciekawymi i niepospolitymi ludźmi. Dla przykładu wymienię: pana Grzanowicza Kierownika Wydziału Zdrowia przy Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Płocku, pana Dobrawę mechanika lotniczego z Dywizjonu 303. dywizjon był najslawniejszą jednostką bojową i do dziś stanowi dumę polskich skrzydeł, proboszcza parafii księdza Perkowskiego.

Kiedyś w towarzystwie kolegów tata chwalił się swymi baretkami na mundurze i stopniem kapitana. Na to ksiądz – To popatrz byku krasny.

Odsunął sutannę i ukazał mundur przedwojennego oficera z dystynkcjami majora. Tata stanął na baczność, stuknął obcasami i oddał honory jako wyższemu rangą. Ksiądz Perkowski był kapelanem wojskowym i tak ukochał mundur, że nie zdjął go nigdy. Chwalić się tym przed komuną było niebezpiecznie i nie miało to sensu, ale pod sutanną gwiazdek nie było widać.

Do kolegów taty należał również kierownik szkoły pan Skorupski oraz kierownik młyna pan Zabielski. Dzięki temu łódkę z młyna brałem jak swoją. Rano skoro świt, gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca wyjeżdżały zza horyzontu, ja już byłem na nogach. Brałem wędki pod pachę i do młyna. Tam ładowałem sprzęt do łódki i płynąłem dwa lub trzy kilometry w górę rzeki. Rzeka miejscami płynęła po równinach, łąkach między lasami, ale miejscami, gdzie teren był górzysty tworzyła przełomy i kaniony. Składałem wiosła, brałem wędki, a łódkę oddawałem leniwemu prądowi rzeki.

W Sikorzu zamieszkał z nami dziadek Jakimiuk, ten co ugryzł żandarma. Jako żarliwy katolik, wierny kościołowi i polskiej tradycji, należał do świeckiego zgromadzenia braci Franciszkanów. Symbolem habitu był kawałek brązowego sukna tzw. szkaplerz noszony na piersiach jak medalik. Pewnego razu obudziłem się trochę wcześniej, słońce jeszcze nie wzeszło, ale w pokoju było już zupełnie widno. Leżałem w łóżku z twarzą zwróconą do ściany i myślałem, iść nad rzekę czy poczekać. Odwróciłem się na drugi bok. Na środku pokoju przy stole stał człowiek i coś układał. Nie widziałem co, gdyż blat stołu z tej pozycji był niewidoczny. Zawieszony na tasie szkaplerz zwisał mu luźno przy szyi. Dziadek był w białych kalesonach i białej nocnej koszuli. Nie zdziwiłem się, pewnie nie może spać albo czegoś zapomniał. W pewnym momencie postać wyprostowała się i tyłem bezszelestnie zaczęła odpływać w kierunku ściany. Nie odchodzić lecz odpływać lub odlatywać nie poruszając nogami. Nóg zresztą nie widziałem bo były za stołem i zwisającym obrusem. Chciałem coś powiedzieć, lecz ze strachu język odmówił mi posłuszeństwa. Gdy postać, a raczej zjawą, zbliżyła się do ściany po prostu rozplynęła się. Przerażony nakryłem głowę kołdrą i bałem się spod niej wyrzeć. Leżałem tak spocony aż wstali domownicy. Dziadek wstał również. Gdy zapytałem go czy wstawał około trzeciej odpowiedział – Nie, wstałem dopiero teraz, co ci przyszło do głowy?

Nie mówiłem o tym nikomu, bo nikt by mi nie uwierzył. Więc co ja widziałem? Przywidzeń nie miałem nigdy w życiu nawet w najbardziej dramatycznych momentach.

Kiedyś do taty przyjechali w gościnę koledzy. Po obiedzie panowie wybrali się na małą wycieczkę brzegiem Skrwy. Na lewo było zbocze porośnięte pokrzywami, a na jego końcu dwór w którym mieścił się Ośrodek Zdrowia. Któryś z mężczyzn zaproponował kto pierwszy zdobędzie tę górę. Do pokonania było

około stu metrów przez pokrzywy wysokości dorosłego człowieka. Ja aby zyskać na czasie ruszyłem pierwszy, a ubrany byłem tylko w tenisówki i spodenki gimnastyczne. Gnany ambicją nie zwracałem uwagi na pokrzywy. Dorosli w połowie góry przegonili mnie. Nikt zresztą nie zwracał uwagi na zawodnika poza konkurencją. Przegrałem podwójnie, byłem ostatni i w dodatku okropnie poparzony. Całe ciało miałem w bąblach. Po kilkunastu minutach piec przestało ale wieczorem dostałem temperatury, spać nie mogłem i do rana mama robiła mi kompresy na całe ciało. Nie ma jednak tego złego co by na dobre nie wyszło. Przekonany jestem, że dzięki pokrzywowej kuracji uodporniłem się na wszelkiego rodzaju reumatyzmy, goście i isjasze.

Wakacje skończyły się i odwieziono mnie do Krakowa. Do szkoły poszła również moja mama. Po wielu staraniach została przyjęta do Szkoły Położnych przy Akademii Medycznej w Białymstoku.

Posiadłości ojców Pijarów położone były w dzielnicy Krakowa Rakowice. Składały się na nie: nie-duży park z ogrodem, dekoracyjnie utrzymany i zagospodarowany staw oraz kompleks zabudowań, w których oprócz dużej szkoły było seminarium duchowne, internaty dla kleryków i młodzieży, kościół, stołówka, kuchnia i inne zabudowania gospodarcze. Poszczególne obiekty były od siebie oddalone i ogrodzone parkanami. W ten sposób nikt nikomu nie przeszkadzał. Koło szkoły znajdowały się boiska sportowe.

Dziwny to był widok gdy młodzi księża czy klerycy zdjęli sutanny i w sportowych kostiumach biegali za piłką demonstrując dość wysoki poziom gry w kosza, siatkę lub nogę. Głównie klerycy, byli również aktorami w zespole teatralnym, bezpłatnie wystawiającym sztuki dramatyczne dla szerszej publiczności. Salą widowiskową stawał się na ten czas olbrzymi hol szkolny. Nauczycielami wszystkich przedmiotów byli księża. Razem ze mną w szkole Pijarów znalazł się mój kolega ze Szczecina Mariusz Mianowski. Ponieważ był to chłopiec dość swawolny, często podpadał nauczycielom. Matematyki uczył nas ksiądz, który był Węgrem z pochodzenia i miał trudności z wypowiedzianiem polskich spółgłosek. Był on mężczyzną dość nerwowym i łatwo wpadał w złość. Gdy Mariusz kiedyś podpadł mu ksiądz zawołał zdenerwowany: – Maruś, maś minus, maś u mnie minus

Mariusz bez zastanowienia odparł – Proszę księdza, ale minus i minus razem dają plus.

Ksiądz najpierw zatkało, poczerwieniał ze złości i odpowiedział:

– No to maś jeście jeden minus, a plus i minus daje minus.

W Krakowie nie nudziłem się. Lekcje klas szkoły średniej odbywały się w mieście, niedaleko słynnych Plantów i Starego Miasta. Raz w tygodniu chodziliśmy na basen do stowarzyszenia Ymca Polska. Nie trzymano nas w klasztornej rygorze. Czas wolny mogliśmy spędzać według własnej woli. Idąc ze szkoły do tramwaju skręcałem nad Wisłę, na Wawel, na Stare Miasto, na rynek z kościołem Mariackim i Sukiennicami. Tramwajem jechałem na Rakowice, a od przystanku spacerem do internatu. Teren ojców Pijarów sąsiedował z lotniskiem. Często oglądałem starty i lądowania różnych samolotów lub skoki spadochronowe. Pewnego razu zobaczyłem na kronice filmowej model latający o napędzie gumowym. Mały samolocik po nakręceniu umieszczonego w kadłubie warkocza gumowego wzbił się wysoko w powietrze. Byłem zafascynowany, ale nie wiedziałem w jaki sposób można taką zabawkę posiadać. W listopadzie opuściłem Kraków i szkołę ojców Pijarów gdyż tata postanowił przenieść mnie do Płocka. Naukę rozpocząłem w liceum im. Władysława Jagiełły ale poziom okazał się za wysoki, a może moje opóźnienia były zbyt duże?

Będąc w liceum miałem zaległości jeszcze z czwartej klasy szkoły podstawowej. W grudniu skończyłem trzynaście lat, odstawałem więc od reszty klasy zarówno wiekiem jak i wiadomościami. W Jagiellonce zapisałem się do harcerstwa, ale właśnie w tym czasie władze PRLu postanowiły zlikwidować Związek Harcerstwa Polskiego zastępując go socjalistyczną Organizacją Harcerską o zupełnie innych zadaniach.

„Ja maleńkij cwietczek, ja junnyj pionier

Ja Stalina synoczek, zaszczytnik SSSR”

No nie – taka koncepcja nie odpowiadała mi. Zresztą organizacja polskich pionierów zawładnęła dziećmi ze szkół podstawowych. Mundurki zastąpiono granatowymi spodniami i białymi koszulami, chusty harcerskie czerwonymi krawatami. Szkołę średnią zdominowało ZMP, komunistyczna organizacja propagandowa – będąca „przedszkolem” partii. Zaczęło się generalne pranie mózgow, czyli ob-

łudna nie znająca granic ani rozsądku propaganda, naiwna i bezczelna wsparta terrorem dla tych, którzy ośmielili się jej przeciwstawić. Przewodniczący ZMP uczestniczyli nawet w radach pedagogicznych, nawet z głosem decydującym, często nosili broń.

Tym razem promocji do klasy następnej nie wymęczyłem. Wyrwany do tablicy widziałem przed sobą tylko czarną jej powierzchnię, w uszach zwróconych do klasy tylko szum a w głowie ogromną pustkę. Nawet nie rozumiałem pytań.

W tym czasie przeniesiono ośrodek zdrowia z Sikorza do Parzenia. Dwa kilometry dalej od Płocka. Tutaj też zamieszkaliśmy na kilka następnych lat. Do ośrodka należało 4,5 hektara uprawnej ziemi, była stodoła i budynki gospodarcze. Była więc okazja do prowadzenia gospodarstwa rolnego. Tata sprostował trzy konie, cztery krowy, stado owiec i drobiu. Gospodarstwem zajął się dziadek, domem gosposia, ośrodkiem zdrowia oczywiście tata, a ja? Przyszły wakacje. Nagrodą za brak promocji była praca w gospodarstwie. Ojciec powiedział do mnie:

– Karzę Ci się uczyć abyś w przyszłości nie musiał rozrzucić gnoju w PGRach (jakże prorocze to były słowa), a pracować karzę Ci dlatego abyś wiedział jak chleb smakuje i jak ciężko trzeba nań pracować.

Nauczyłem się szybko kosić, orać, redlic ziemniaki, paść bydło i wiele innych prac rolnych, bo ziemia jest takim zakładem produkcyjnym, który przyjmie każdą ilość pracy.

Ciekawą sprawą jest historia jednego z trójki naszych koni. Była to klacz, kasztanka rasy anglo – arabskiej nazwana pieszczotliwie Baśka. Klacz tę kupił ojciec będąc jeszcze w partyzantce. To na tym koniu widziałem go w Jagodnicy przed frontem oddziału. Idąc z oddziałem na pomoc powstaniu zostawił Baškę swojemu bratu Cechowi w Jagodnicy. Była to klacz ujeżdżona pod siodło. Zaprzęgnięta do bryczki wyrwała się, wpadła na druty kolczaste i mocno pokaleczyła się na piersiach. Rany wygoiły się, ale zostały charakterystyczne blizny. Kona tego stryjowi skradziono.

Minęły prawie trzy lata. Po tych bliznach tata rozpoznał ją zaprzęzoną do wozu w Szczecinie. Na imię Baśka klacz zareagowała, poznała swego dawnego pana.

Ja nie wiedziałbym jak postąpić, ale tata nie należał do ludzi trwożliwych ani ślamazarnych. Chłopa zatrzymał i wezwał milicję, powiedział, że tego konia mu skradziono i on to może udowodnić. Baska wróciła do Jagodnicy, a za kilkanaście miesięcy do Parzenia. Drugim koniem był ogier – syn Baški. Tata nazwał go Wojtkiem i używał tylko pod siodło. W tamtych latach samochód należał do wyjątków (szczególnie na wsi), toteż Wojtek pełnił rolę podręcznego środka lokomocji. Chociaż był ogierem gorącokrwistym i niespokojnym ale ojca musiał się słuchać. Na wakacje przyjechała do domu mama z zaliczonym pierwszym rokiem położnictwa. Na brak zajęć nie narzekałem, a przygody raczej mnie lubiły.

Była to miłość jednostronna gdyż ja za nimi nie przepadałem. Jeździłem konno na oklep i jak kowboj pasłem swe stado czterech krów i kilkunastu owiec z baranem. Na tych samych łąkach nad Skrwą pasło się stado Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Sikorzu. Było to stado duże, około pięćdziesięciu krów i drugie tyle owiec. Mój baran jak przystało na prawdziwego mężczyznę, przyczepił się do panien dworskich i w żaden sposób nie dawał się odpędzić. Nie daliśmy rady we trzech, dwóch pastuchów z PGRu i ja. Ze mną był pies Rex. Był to szary duży wilczur bardzo do mnie przywiązany, razem pasaliśmy bydło, razem chodzili do lasu i razem kapali się w rzece. Bez mego rozkazu Rex nikogo nie zaatakował, ale tego było za wiele. Pokazałem mu palcem barana i powiedziałem – Bierz go!

Rex tylko na to czekał. Słyszałem beczenie barana w otaczających lasach, raz z lewej strony, raz z prawej, biegałem i wołałem psa, ale na próżno. Potem wszystko ucichło. Tknięty jakimś przeczuciem pobiegłem nad rzekę. Koryto w tym miejscu miało jakieś trzydzieści metrów szerokości. Na środku rzeki do góry brzuchem pływał martwy baran a obok niego Rex jeszcze go podskubywał. Rozebrałem się i skoczyłem do wody – pies uciekł. Przyholowałem barana i wyciągnąłem na brzeg. Był bardzo ciężki, miał rozbita głowę. Uciekając przed psem uderzył łbem w drzewo, ogłuszył się, wpadł do wody i utopił. Nie było innego wyjścia, musiałem się przyznać. Tata kazał mi zaprząć Baškę do dwukółki i przywieźć barana do domu. Mieliśmy co jeść. Tata nic nie powiedział za to lanie sprawiły mi osy. Pługiem dwuskibowym zaprzężonym w dwa konie robiłem podorywkę na rżysku po ściętym zbożu. W pewnym momencie zauważyłem obok siebie dwie osy. Były bardzo mną zainteresowane ale nie atakowały. Osy często budują gniazda w ziemi. Pomyślałem, że w tym miejscu może być



To zdjęcie ojciec zadedykował mamie będącej w szkole.

gniazdo ale nie uwzględniłem poprawki na to, że zanim zaniepokojone osy wyszły z gniazda ja już odjechałem na dobre dziesięć metrów.

Oborałem pole dookoła i zbliżałem się do zaznaczonego miejsca. Zamierzałem puścić konie z pługiem a samemu zostać i zobaczyć co się będzie działo. Była to decyzja bardzo głupia. Gdyby osy całym rojem zaatakowały konie, to albo zacięły by je na śmierć, albo konie w zaprzęgu połamaly by nogi i trzeba by je dobić. Osy okazały się mądrzejsze ode mnie bo żadna nie poleciała za końmi tylko wszystkie za mną. Gdy zobaczyłem wzlatujący rój, naciągnąłem na głowę marynarkę i zacząłem uciekać. Na końcu pola przy szosie upadłem do rowu. Cały pokryty byłem owadami. Po drugiej stronie szosy rosło jeszcze nie ścięte zboże. Biegłem przez nie aby obtraścić atakujące mnie osy. To mi się udało, ale w odsłonięte plecy użądliło mnie kilkanaście przez koszulę. Osa nie zostawia żądła w ciele jak pszczoła i nie ginie po użądleniu. Wpuszcza tylko piekący jad. Bolesne jest użądlenie jednej a kilkanaście może być niebezpieczne. Skończyło się jednak na bólu, niewielkiej opuchliznie i okładach jak rok temu po pokrzywach.

Pod koniec wakacji odwiedził nas w Parzeniu miły i dawno niewidziany gość. Był nim najmłodszy brat mamy Tadeusz, który w czasie wojny nosił nam chleb z piekarni. Po wojnie musiał radzić sobie sam. Wyjechał na zachód i zatrudnił się w jakimś warsztacie samochodowym. W ciągu kilku lat pracy zdobył zawód kierowcy-mechanika samochodowego. Powołany do wojska pełnił zasadniczą służbę wojskową jako kierowca. Ponieważ nie miał innej rodziny, więc na urlop przyjechał do nas. Tata poznał go z dziewczyną z sąsiedztwa. Była to jedna z najpiękniejszych panien jakie widziałem. Młodzi przypadli sobie do gustu i do serca. Gdy Tadeusz ukończył służbę pobrali się. Lucyna Gabryszewska podobała mi się bardzo, ale ja miałem tylko trzynaście lat. Byłem bardzo zadowolony, że tak ładna panna nie poszła w obce ręce i została moją ciocią.

Tymczasem skończyły się wakacje i trzeba było wracać do szkoły. Mama do Białegostoku, siostra Hania do drugiej klasy w Sikorzu, a ja do klasy ósmej w liceum im. Stanisława Małachowskiego w Płocku. Z dumą nosiłem czerwoną tarczę z numerem 24. z dumą ponieważ Małachowianka jest najstarszą szkołą w Polsce. Przez ponad osiem wieków w Jej murach młodzież zdobywała wykształcenie, kulturę, oraz miłość do Ojczyzny. Tutaj wychowało się wiele pokoleń jej najlepszych dzieci. Ja do tych

najlepszych nie należałem. Wlokłem się gdzieś w szarym końcu, lawirując pomiędzy dwójką z plusem a trójką z dwoma. Moją piętą Achillesową okazała się łacina. Kiedyś król Stefan Batory powiedział:

– Ucz się chłopcze łaciny, a zrobię Cię panem

Widocznie nie pisane mi było zostać panem. Powtarzając klasę ósmą nie miałem większych trudności z nauką. Gdyby nie łacina. Mieszkając w internacie kolegami byliśmy wszyscy. Starsi nie wywyższali się i nie dokuczali nam młodszym, my zaś w swoim gronie byliśmy równi i było nam ze sobą dobrze. Mieszkaliśmy w jednej dużej sali co jeszcze bardziej zbliżyło nas do siebie. Razem chodziliśmy do kina, do łaźni, razem graliśmy w piłkę, razem łapaliśmy dwóje i ściągaliśmy od siebie wypracowania z polskiego lub zadania z matematyki. Szczególnie jednak zaprzyjaźniłem się z Wiktorem Sznurowskim. Wiktor w szkole podstawowej budował pod kierunkiem nauczyciela modele samolotów, gdy się poznaliśmy był już modelarzem wyczynowym i instruktorem w harcerskiej modelarni przy ulicy Kolegialnej w Płocku.

Po zlikwidowaniu harcerstwa przenieśliśmy się do Ligi Lotniczej, której Zarząd i modelarnia mieściły się przy ulicy Kościuszki 3. przy szkole mechanicznej była również pracownia modelarska, prowadzili ją uczniowie Janusz Szygendowski i Waldek Wysibirski. W naszej klasie oprócz mnie i Wiktora modele budowali Tadek Udałow, Waldek Piegat i Ryszard Stefański. Rysiek specjalizował się w modelach o napędzie gumowym. Tak więc nie upłynęło wiele czasu jak znalazłem odpowiedź na nurtujące pytania i kolegów o takich samych zainteresowaniach. Modele oblatywaliśmy na lotnisku płockim. Lotnisko to zbudowano w 1932 roku staraniem LOPP. Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej była przed wojną bardzo popularną organizacją paramilitarną zajmującą się krzewieniem idei obronnej i patriotycznej w polskim społeczeństwie. Zbombardowane podczas wojny służyło Niemcom, potem Rosjanom jako polowe lotnisko podczas działań frontowych. Obecnie służyło nam – modelarzom. Zajmowaliśmy się nie tylko modelarstwem. Czas wolny od nauki poświęcaliśmy również grom i ćwiczeniom sportowym. Zimą na sali gimnastycznej, a w pozostałe miesiące na boisku. Niektórzy koledzy, w tym również i ja, należeli do wiosłarskiej sekcji klubu sportowego „Budowlani”. Sekcję tę prowadził pan Kawecki, kiedyś wspinały sportowiec, obecnie trener i zapalony działacz. Dzięki panu Kaweckiemu płocka sekcja wiosłarska osiągała spore sukcesy. Były nawet załogi zdobywające tytuły mistrzowskie na zawodach krajowych i międzynarodowych. Ja pływałem na czwórce ze sternikiem. Podczas treningów sternikiem przeważnie był pan Kawecki. Zajęcia przez niego prowadzone były ciekawe i emocjonujące. Gdy nauczyliśmy się wiosłować dużo pływaliśmy dla zdobycia kondycji. Wycieczki w formie zawodów, na czas i kto pierwszy, odbywały się na wielokilometrowych trasach do Dobrzynia, Włocławka, Wyszogrodu. Często dla relaksu braliśmy łodzie i niczym nieskrępowani ganialiśmy po zakolach Wisły.

30 kwietnia 1950 roku był dniem ciepłym i słonecznym. Wybraliśmy się dwiema łodziami na wycieczkę połączoną z biwakiem i ogniskiem – czysta przyjemność.

Jeden z kolegów, o ile pamiętam Rysiek Gudanowicz gdyż tylko on miał takie pomysły. Gdy w marcu ruszyły wody na Wiśle Rysio pływał na krach korytem „Końskiego Rowu” posługując się długim kijem. W pewnym momencie koniec kija ześlizgnął się i Rysio wpadł do wody. Nic nie mówiąc rozebrał się do kąpielówek i pływał między krami. Innym razem wykombinował skądś parę starych szpad. Wszystkich opętała mania pojedynków. Trwało to dopóki Kajetaniakowi nie rozcięto głowy. Teraz Rysiek wpadł na pomysł aby z gniazd na wysokich topolach wybrać wronom pisklęta i upiec je na ognisku. Czwórka ze sternikiem płynęło pięciu, drugą łodzią dwuosobową ja z Wiktorem. Dopłynęliśmy do Kepy Polskiej. Rosły tu ponad dwudziestometrowe topole z dużą ilością gapich gniazd. Na wierzchołek wydelegowano mnie. Gdy mozolnie wdrapywałem się do góry po grubych konarach koledzy rozpalili ognisko. Zrzuciłem już kilka gniazd, gdy zobaczyłem zbliżającą się od wschodu burzę. Czasu było niewiele. Wejść na takie drzewo nie jest rzeczą łatwą, ale zejść jest dużo trudniej. Zanim stanąłem na ziemi z czarnej chmury spadły pierwsze krople deszczu, rozległ się grzmot i niebo przeorała wstęga błyskawicy. Koledzy odpłynęli wcześniej. Został tylko czekający na mnie Wiktor. Myśleliśmy, że zdążymy uciec. Byliśmy w połowie drogi, na środku Wisły gdy zerwał się wiatr i rozkołysał powierzchnię wody. Czwórka dopływała do przystani. Duża fala bardzo utrudniała wiosłowanie. Ze strachu prawie nie czuliśmy siekącego deszczu. Byliśmy najwyższym punktem na powierzchni wody i w każdej chwili mógł uderzyć w nas piorun, ale

to jeszcze nie było najgorsze. O łódkę i nasze plecy zabębniły grudki lodu. Grad wielkości czereśni tłukł nas niemiłosiernie po głowach. Przestaliśmy wiosłować i rękami osłoniliśmy głowy. Łódka niesiona prądem rzeki i pchana wiatrem płynęła jak chciała. Burza gradowa ma to do siebie, że nie trwa długo. Po kilku minutach, które nam wydały się godzinami, wiatr ucichł i przestało padać. Przemoczeni i zbici na „kwaśne jabłko” postanowiliśmy się wykapać bo woda była cieplejsza od gradu, a powietrze po burzy przyjemne i orzeźwiające.

Nazwisko Cygański było tylko pseudonimem wojennym. W metrykach i innych dokumentach figurowało Jakimiak. Było z tym jednak sporo zamieszania. Dopóki sądownie nie ustalono jednego nazwiska używaliśmy obydwu. Jakimiak – Cygański i z takim nazwiskiem otrzymałem promocję do klasy dziesiątej. Promocję tą otrzymałem nie w czerwcu jak wszyscy uczniowie lecz dopiero we wrześniu po zdaniu egzaminu poprawkowego z łaciny.

Mama zakończyła szkołę położnych i otrzymała nakaz pracy w innym województwie. Nie angaż, nie umowę, nie prawo wyboru lecz nakaz. Każdy kto w PRLu kończył szkołę dostawał nakaz i nie miał nic do gadania. Nie pomogły podania, prośby, odwołania i tłumaczenia, że małe dzieci potrzebują matki, że dziesięcioletnia Hania jest dzieckiem nerwowym i wątłym, że często mdleje, że pięcioletnia Ewunia potrzebuje opieki, której gosposie jej nie zapewnią. W każdym ustroju biurokracja jest bezduszna, taka jest już jej uroda, ale biurokracja sowiecko – komunistyczna jest ponadto głupia i bezsensowna. Ona jest jak cumulonimbus, kłębiasta chmura burzowa, która w pewnym momencie traci kontakt z podłożem, które ją stworzyło, zaczyna żyć i rozwijać się tylko dla siebie niszcząc wszystko na swej drodze. Mama napisała prośbę do Prezydenta Bolesława Bieruta. Z kancelarii Prezydenta przyszedł rozkaz zmiany nakazu pracy, który rozpętał burzę w Urzędzie Wojewódzkim. „Musiała pani pisać aż do Prezydenta, nie mogła pani przyjść z tym do nas?” – oto i cała obłuda. Mama została przeniesiona do powiatu plockiego i otrzymała pracę na terenie sąsiedniej gminy Brudzeń. Zamieszkała razem z nami w Parzeniu. Te dwie wsie graniczyły ze sobą i mama praktycznie obsługiwała oba rejony. Żona w domu zaczęła ojcu przeszkadzać. Zaczęły się awantury o byle co.

Dochodziło nawet do rękoczynów. Koło domu rósł niewielki sad owocowy. Ojciec postanowił zaorać w nim ziemię, a mnie kazał prowadzić konia za uzdę. Gdy pług doszedł do linii drzew nie mogłem zmieścić się między koniem a pniem drzewa i koń nadepnął mi na nogę kalecząc ją. Ojciec zdenerwowany uderzył mnie w twarz rozbijając mi nos. W mojej obronie stanęła mama i dziadek. Doszło do kolejnej awantury. Wkrótce dziadek opuścił nas i wrócił do Jagodnicy. Więcej go nie widziałem. Rozpoczął się nowy rok szkolny 1950-1951 (klasa IX). Prawe skrzydło szkoły zakończone jest wysoką wieżą podobną do baszty obronnej. Obecnie na jej szczycie znajduje się obserwatorium astronomiczne. Na pierwszym piętrze obok wieży tu gdzie teraz jest aula była duża kaplica. Mogła ona pomieścić wszystkich uczniów szkoły. Odbywały się w niej modlitwy przedlekcyjne, niedzielne msze i nabożeństwa związane z uroczystościami szkolnymi. Celebrował je katecheta szkolny ksiądz Fronczak. Na prawej ścianie kaplicy umieszczona była tablica pamiątkowa ze zdjęciami uczniów Małachowianki poległymi w wojnie z bolszewikami w 1920 roku oraz epitafium A. Mickiewicza:

„Jeśli naród zawinił, przyjmij Panie w ofierze krew naszą, ale przebacź wreszcie Polsce”

Tablica przepasana była biało – czerwoną szarfą. Wkrótce kaplicę zamknięto, a modlitwy zastąpiono apelami. Zbieraliśmy się klasami na dolnym korytarzu po to tylko aby odśpiewać jakąś pieśń sowiecką lub rewolucyjną. Często był to hymn radziecki lub kantata o Stalynie, nigdy polski ani patriotyczny. Apele te budziły w nas odrazę, drwinę i niechęć. Gdybym nie wiedział, że są wyrazem naiwnej głupoty myślałbym, że mają prowokować nienawiść do systemu. Co zaś się stało z tablicą poświęconą bohater-skiej młodzieży, tego chyba nikt nie wie.

W końcu września ukończyłem budowę nowego modelu. Był to szybowiec wyczynowy o dwumetrowej rozpiętości skrzydeł wykonany z balsy i pokryty papierem japońskim. Wiazałem z nim nadzieje na dobrą lokatę w najbliższych zawodach eliminacyjnych. Postanowiłem oblatać go wstępnie na placu teatralnym za szkołą.

Przy ulicy Piekarskiej na skarpie wiślanej, tu gdzie teraz stoi hotel PTTK przed wojną był teatr. Po teatrze pozostał tylko pusty plac i nazwa. Szybowiec jest samolotem bez silnika. Leci do przodu jak

sanki z górki kosztem utracanej wysokości. Stosunek przebytej odległości do utraconej wysokości określa jego doskonałość. Wypuszczony z ręki model nie miał fizycznego prawa polecieć dalej niż do połowy placu. Dlaczego stało się inaczej nie wiem do dzisiaj. Wiał lekki wiatr od strony Radziwia na tumskie zbocze powodując wymuszony prąd wznoszący. Wypuszczony od ulicy Piekarskiej model wcale nie tracił wysokości, przeleciał nad placem i dostał się w obszar noszenia. Wydmuchnięty do góry poleciał nad Wisłę, zakreślił i znalazł się znowu nad zboczem. Uniesiony na wysokość około osiemdziesięciu metrów poleciał sobie nad miasto, nad Stary Rynek, ratusz, Plac Trzynastu Straconych i z powrotem do Małochowianki. Rozbił się o wieżę szkoły.

W zimowe soboty na internacie organizowane były wieczorki taneczne. Po zsunieniu stolików sala uczelniana zamieniała się w salę balową. Były to bardzo przyjemne spotkania koleżeńskie. Ich inicjatorem był kierownik internatu. Orkiestrę stanowił stary pozlepiany plastrami akordeon i dwóch kolegów akordeonistów Jasio Czarnecki i Józio Golaczyński. Ja w wieczorkach tych nie uczestniczyłem z dwóch powodów, wołałem czas poświęcić pracy w modelarni i po prostu wstydziłem się. Tańczyć trochę umiałem gdyż nauczyli mnie koledzy, ale nie uważałem tańca za coś przyjemnego ani pożytecznego. Pewnego razu koledzy zrobili mi dość sympatyczny i nieszkodliwy kawał. Gdy wybierałem się do modelarni podszedł do mnie Gudanowicz i Kajetaniak. Obaj byli chłopcami dobrze zbudowanymi chociaż i ja do najsłabszych nie należałem, ale jeden na dwóch – nie miałem szans. Poprosili mnie abym pożyczył im swego zeszytu od matematyki. Zdziwiłem się czego lepsi uczniowie mogą szukać w moim zeszycie. Pomyślałem, że pewnie nie jestem tak głupi na jakiego wyglądam. Nie podejrzewając podstępny szedłem po zeszyt. Gdy znalazłem się naprzeciw sali tanecznej, ujęli mnie pod rękę i skierowali do środka. Zaparłem się rękami za futrynę i nie dali by mi rady gdyby nie dziewczyna. Kątem oka dostrzegłem tylko przerażoną twarz kierownika internatu, który sadził, że jacyś chuligani zaczęli bójkę. Na widok kłaniającej mi się koleżanki siły opuściły mnie zupełnie i czerwony jak burak poszedłem zatańczyć. Gdyby może chociaż wybrali brzydszą to może nie był bym tak stremowany. Pamiętam, że partnerka zapytała czemu się nie bawię skoro wychodzi mi to całkiem niezłe. Nie byłem w stanie jej niczego odpowiedzieć, nie wiem nawet czy w ogóle jej podziękowałem. Jak zaznaczyłem wcześniej manieri dżentelmena były mi nadal obce. Nie powiem abym nie doceniał urody dziewcząt.

W równoległej klasie żeńskiej była błąd piękność o twarzy aniolka, nazywała się Basia Gundlach. Podkochiwali się w niej wszyscy chłopcy podobnie jak w młodej nauczycielce rosyjskiego pani Ostromenckiej, ale ja gdy mi się dziewczyna podobała tym bardziej ją omijałem. Prymusem w klasie był Tadzio Pniewski, chłopiec subtelny, delikatny i szlachetny. Ceniliśmy jego niepospolity charakter i lubili za koleżeńskość. Nie wiem czy osiągnięcia w nauce były wynikiem dużej inteligencji czy zawdzięczał je pomocy ze strony ojca i dziadka, fizyków, nauczycieli akademickich. Zapewno jedno i drugie. Ja jak zwykle wlokłem się w ogonie klasy ale oceny za wyjątkiem łaciny miałem pozytywne. Przepisy nie zezwalały na drugą poprawkę z tego samego przedmiotu, jednak dyrektor przyrzekł tacie, że gdy zdam poprawkę na ocenę dobrą on załatwi w kuratorium moja promocję. Przez całe wakacje jeździłem rowerem z Parzenia do Płocka na korepetycje do pani profesor Brudnickiej. Poprawkę zdałem na czwórkę, ale sprawa nie została załatwiona. Tak więc, o ironio losu, mając wszystkie oceny pozytywne a z łaciny czwórkę zostałem na drugi rok w klasie dziewiątej.

Była niedziela 1951 roku. Lipcowe słońce wytoczyło się już wysoko ponad kopułę prastarej płockiej katedry i mury wieży zegarowej przy książęcym zamku. Dzień zapowiadał się pogodny i ciepły. Monotonny dźwięk dzwonu nie tyle budził ospałe miasto, ile wprowadzał weń nastrój jakiegoś uroczystego spokoju i zadumy. Zegar na ratuszu niestrudzenie od wielu lat odmierzał kwadransy i nic poza tym nie mąciło panującej tu ciszy. Miasto sprawiało wrażenie domu, z którego wybiegła hałaśliwa dzieciarnia zostawiając za sobą dzwoniącą w uszach pustkę.

Wakacje – jeszcze kilkanaście dni temu ulice rozbrzmiewały gwarem młodych osób. Tonące w kwiatkach róż tummy i parki były najbardziej lubianym miejscem pierwszych spotkań oraz intensywniejszej w końcu roku szkolnego nauki. Jedynie młodzież, której nigdy tu nie brakowało, ożywiała prastare miasto. Na miejsce tych którzy kanczyli szkołę średnią i szli w świat przychodzili z odległych często wsi młodszy, stając z bijącym sercem na progę nowego bardziej samodzielnego życia. Teraz zabrakło również i tego.

Wakacje przynosiły ciszę i pustkę. Tak było ubiegłego roku, tak było dwa i trzy lata wstecz, tak było chyba zawsze. Płocczanin kocha Płock. Kocha wyniosłe tumskie zbocza i Wisłę, prochy swych królów i pamiątki dawnej świetności grodu. Gorącym sercem Broniewskiego kocha przyroda mazowiecką, ale w pogoni za wiedzą i pracą musi iść dalej.

Grupka modelarzy niosąc wysmukłe modele szybowców skierowała się pospiesznym krokiem w stronę nieczynnego od czasów wojny lotniska. Byli to chłopcy trochę dziwni. Za takich uważali ich koledzy, nauczyciele a nawet rodzice. Złączyły ich marzenia dla innych niezrozumiałe. Rozrywki charakterystyczne dla chłopców w wieku lat szesnastu nie nęciły ich, na uszczypliwe słowa kolegów nie zwracali uwagi. Mieli własny świat i wspólny cel. Czy cel ten zostanie kiedyś osiągnięty było największą zagadką ich życia. Aby zebrać się dzisiaj Tadek zrezygnował z kolonii letnich. Wiktor nie wyjechał na wakacje do oczekującego go w Jabłonnej ojca. Wiesiek przyjechał rowerem z odległej wsi, a Waldek wolał iść na lotnisko zamiast na dobrze się zapowiadająca wycieczkę. Byli jeszcze dwaj bracia Janusz i Stasiek. Modelarze szli szybko nie męcząc się zbędną rozmową. Jeszcze ulica w lewo – to aleje Jachowicza, dalej nowy budynek dworca autobusowego i kilka nowoczesnych bloków. Gdzieś w innych miastach takich bloków budowano dużo. Potem rozciągały się już tylko pola uprawne, zagony ziemniaków i warzyw aż do toru kolejowego z przejazdem. Za przejazdem lotnisko. Szybko rozłożono start. Modele jeden za drugim wychodziły w powietrze aby po kilku okrążeniach wylądować w pobliżu. Do startu przygotowywał się Wiktor. Sprawnie wypuszczony model naprężył stumetrowej długości hol, poczym równo jak po wykreślonej linii począł wznosić się ku krążącym wysoko bocianom. Dobrze wiedzieliśmy co to znaczy. Jakoż po wczepieniu model ciasnym krążeniem zaczął samodzielnie piąć się coraz wyżej. Malał nam w oczach. Niektórzy usiłowali biec za nim, ale na próżno. Po kilku minutach był już pod podstawą chmury. Jeszcze na pożegnanie błysnął w zakręcie lakierem skrzydeł i zagłębił się w srebrzyste kłębu cumulusa. Nie wiem czemu zrobiło mi się smutno? Nie żałowałem modelu kolegi. Takie przecież było jego przeznaczenie. Chciałbym aby i mój daleko poleciał. Z modelami wysyłailiśmy adresy dla uczciwego znalazcy oraz swoje marzenia. Właśnie marzenia wzbudziły u mnie uczucie smutku. Jakże bym chciał w tej chwili zmniejszyć się do rozmiarów palca i wędrować w kabinie modelu w nieznaną. Rozmyślenia przerwał mi głos Tadek – Chłopcy! Jest! Jest! O tam – patrzcie, na przeciw mojego palca – w prawo od wierzchołka chmury.

Zobaczyłem go. Nieduży ruchomy punkt był coraz niżej. Przybliżając się rósł w oczach. Przekroczył rozmiary normalnego modelu i zdumionym naszym oczom ukazał się w postaci pięknego prawdziwego szybowca o jakim mogliśmy marzyć tylko w snach. Śledziliśmy lot z zapartym tchem. Szybowiec wyraźnie zniżał się nad nami i miał nie więcej niż dwieście metrów wysokości. Minął lotnisko. Próbował jeszcze raz bez skutku wzniesić się na resztkach słabego powietrznego prądu. Po nieudanej próbie zatoczył krąg, ustawił się pod wiatr i majestatycznie spłynął podchodząc do lądowania. Przez pewien czas „Mucha” gonila własny cień po murawie lotniska aby dogoniwszy go przystanąć razem z nim. Rzuciliśmy się na wyścigi. Upłynęło kilka godzin zanim gość spośród chmur zaspokoił naszą nienasyconą ciekawość. Ośmieleni jego życzliwością pytaliśmy o wszystko, a pan Adamiec dokładnie i cierpliwie wyjaśniał, opowiadał, uczył. Nieznane terminy lotniczej mowy brzmiały jak zaklęcia, które trafiając na podatny grunt naszych marzeń przeradzały się w gorące postanowienia. Z bezładnie rzucanych pytań wyraźnie wylaniał się cel. Nie wiedzieliśmy, że upłyną lata zanim zbierzemy się w tym miejscu po raz drugi.

Miarowy warkot silnika nad głowami przerwał pogawędkę. Lekki sportowy samolot zatoczył krąg i po chwili był przy nas. Szybko podczepiliśmy szybowiec. Pan Adamiec zajął miejsce w kabinie. Silnik zagrzmiał pełnym gazem, wionął na nas strumień powietrza, spalin i suchej trawy. „Mucha” drgnęła i lekko potoczyła się za samolotem. Ziemia coraz prędzej zaczęła uciekać spod kół i zespół uniósł się w powietrze, na pożegnanie pomachał skrzydłami i rozpląnął się w dali zabierając ze sobą nasze westchnienia i serca. Opadły z drzew kolorowe liście i zginęły wdeptane w jesienne błoto. Miejsce spływających po szybach kropli deszczu zajęły przedziwne srebrzyste kwiaty misternie malowane pędzlem mrozu. Ziemię pokrył śnieg.

Otwarta łacińska książka nie nęciła zwrotami wierszy Owidiusza. Bez uczucia i chęci powtarzałem

słowa: „Aurea prima sata est eatas, gue vindice Nullo” nie chciały trzymać się pamięci. Zbłąkane myśli biegły do dni minionych. Dawno znalazł się model Wiktora. Przeleciawszy ponad czterdzieści kilometrów lądował w okolicach Włocławka. Pomimo zdania egzaminu poprawkowego pozostałem w klasie dziewiątej. Teraz mam nowych kolegów i potężnego kaca moralnego. Dawną swą klasę musiałem opuścić a do obecnej jeszcze się nie przyzwyczailem, ponadto zrodził się kompleks niższości, który odczuwałem przez wiele kolejnych lat. Moje niepowodzenia szkolne prześladowały mnie nawet w snach. Dowartościowania szukałem w modelarstwie. Stan wewnętrznego przygnębienia dodatkowo wzmagaly warunki rodzinne. Widząc nieraz mamę płaczącą po kolejnej awanturze, sam namawiałem ją aby od ojca odeszła. Jest przecież niezależna. Ma swój zawód i pracę, natomiast życie w dalszym stresie może skończyć się chorobą nerwową, a to byłaby tragedia dla niej i dla nas dzieci. Wiosną 1952 roku rodzice rozstali się.

Urząd Gminy Brudzeń, gdzie mama zatrudniona była na etacie położnej, wygospodarował jej skromne mieszkanie w starym szlacheckim dworku w Bądkowie. Oprócz pracy w terenie prowadziła również izbę porodową w sąsiedniej wsi Winnica, ładnie położonej na wysokim brzegu Skrwy. W dole była droga, most i stary nieczynny młyn. Podobnie jak w Sikorzu. Dziećmi rodzice podzielili się. Najmłodszą Ewę mama zabrała ze sobą. Hania została pod opieką ojca. Opiekę tę przyplaciła zniszczeniem nerwów i zdrowia. Tata, wówczas czterdziestosiedmioletni mężczyzna szybko znalazł sobie kobietę, a właściwie dziewczynę o połowę młodszą od siebie, która wkrótce została jego drugą żoną. Ja pozostałem na internacie, spędzając czas wolny od nauki u obojga rodziców na zmianę.

30 maja 1952 r całą grupą pojechaliśmy na doroczne zawody modelarskie do Starej Miłosnej. Most płocki przez Wisłę został już odbudowany, usprawniając tym samym komunikację kolejową, ale najprzyjemniejszym i najtańszym środkiem podróży był statek. Teraz takich statków już nie ma, a szkoda. Dwa duże boczne koła napędowe tłukły wodę swoimi łopatom, dziób pruł fale a za statkiem zostawała szeroka droga kilwateru. Co kilkadziesiąt minut głos syreny obwieszczał kolejne przystanki. Po zmroku światło reflektora penetrowało powierzchnię rzeki, a pasażerowie siedząc na ławkach górnego i dolnego pomostu, słuchając muzyki, rozkoszowali się urokiem wieczoru oraz degustacją bufetowych potraw i napojów. Noc można było spędzić za dodatkową opłatą w kabinie sypialnej lub na ławeczce. Statek z Płocka odpływał o godzinie osiemnastej a o szóstej rano był już w Warszawie. Podróż z prądem rzeki trwała o dwie godziny krócej. Z przystani wodnej jechaliśmy tramwajem na dworzec wschodni, a stąd elektrycznym do Starej Miłosnej. Podróż dostarczała wielu wrażeń, ale z emocjami zawodów równać się nie mogła. Model szybowca wyholowany na wysokość około stu metrów, od momentu wczepienia do lądowania osiągał czas około trzech minut. Zwycięzał ten zawodnik, którego model w trzech lotach osiągnął najdłuższy czas. Zawody rozgrywano w kategoriach modeli wolno latających – szybowców; modeli z napędem gumowym i silnikiem spalinowym. W drugim dniu po ostatnich lotach następowało oficjalne zakończenie zawodów oraz wręczenie nagród, dyplomów i wyróżnień. Na tych zawodach zająłem drugie miejsce w kategorii szybowców.

Za trzy tygodnie rozpoczęły się wakacje. Otrzymałem promocję do klasy X, ale wcale mnie ona nie cieszyła. Decyzję z roku poprzedniego uważałem za niesłuszną i krzywdzącą zarówno pod względem moralnym jak i niepotrzebnie straconego czasu. Wakacje spędziłem w Bądkowie. Odwiedzali mnie tu koledzy z modelarni, głównie Tadek Budzyński i Waldek Lewandowski. Na piaszczystych płycznach Skrwy łapaliśmy na wędki kiełbie, buszowali po lasach za grzybami, budowali i oblatywali modele. Modele latały coraz lepiej – a my? My mieliśmy zapał ale brak nam było warunków. Trzeba było podjąć wiele bezowocnych starań aby przekonać się, że marzenia i chęci nie wystarczą do osiągnięcia celu. W Polsce istniało kilka szkół szybowcowych, ale aby się do nich dostać trzeba było otrzymać skierowanie. Gdybym należał do ZMP pewnie rozmawiano by inaczej, ale ja do ZMP nie należałem ponieważ obłudnej propagandy, która bardziej rozśmieszała ludzi niż zmieniała ich przekonania dość miałem w szkole.

Do ZMP nie należałem gdyż „drewna mowa” najeżona pustymi frazesami nudziła mnie jak i moich kolegów. Pierwszego września jak co roku dzwonek zawołał nas do klasy. Naukę rozpoczęły również moje siostry, Hania w szóstej klasie w Sikorzu i Ewa w pierwszej klasie w Brudzeniu. Obie do szkoły miały ponad dwa kilometry odległości. W tamtych latach żadne autobusy dzieci do szkoły nie woziły.



Zakończenie studiów w szkole położnych – mama pierwsza z prawej.

Trzeba więc było na piechotę, po kilka kilometrów dziennie brnąć w deszczu i błocie, w mrozie i zamieci śnieżnej, bez względu na pogodę. Nasze starania o przyjęcie na szkolenia lotnicze zaowocowały tym, że jesienią zorganizowano nam na otarcie łez teoretyczny kurs spadochronowy zakończony skokami z wieży. Na skoki jeździliśmy dwa razy do Warszawy samochodem ciężarowym, za każdym razem wykonując po trzy skoki. Obiecano również skierować nas latem na dalszy etap do Centrum Wyszakolenia Spadochronowego w Nowym Targu. Siedziałem na uczelni odrabiając lekcje gdy silne uderzenie w oko i gwałtowny ból oszołomiły mnie na chwilę. Przez moment widziałem małą książeczkę na dnie dziwnej studni, lecz zaraz napływające łzy zatarły to wrażenie. Zrozumiałem, że jeden z chłopców w przypływie głupiej fantazji strzelił w moim kierunku mocno skręconym papierem. Wyrzucony z cienkiej gumki pocisk trafił w powiekę i chyba dlatego wypadek nie skończył się utratą oka. O następstwach tego żartu przekonałem się już za kilka miesięcy gdy stanąłem przed komisją lotniczo lekarską. Była to jeszcze jedna kłoda rzucona mi nierozważnie pod nogi na drodze do lotnictwa.

Mijały dni żmudnej pracy. Uczylem się z zainteresowaniem, zwłaszcza matematyki. Wkrótce osiągnąłem z tego przedmiotu ocenę dobrą. W spokojnym, przysypanym śniegiem miasteczku nic się nadal nie działo. Minęły Święta Bożego Narodzenia, minął Nowy Rok 1953, minął styczeń i luty. Zima wybierała się w swą coroczną wędrówkę do morza, gdy miastem, całą Polską i światem komunistycznym wstrząsnęła wiadomość. Dnia piątego marca 1953 roku zmarł Ojciec Narodów towarzysz Stalin. Największy tyran i zbrodniarz w historii. Wtedy oczywiście nikt tak nie myślał, ponieważ nikt nie znał faktów obciążających jego sumienie i ręce. Kraj pogrążył się w niby smutku i do połowy masztów opuszczono przybrane czarnymi wstęgami flagi, portrety wodza przepasano kirem. W zakładach pracy i szkołach odbyły się uroczystości żałobne.

Myślano, że stała się rzecz niezwykła, tymczasem jak gdyby nigdy nic nadeszła wiosna. Wisła z hukiem pękającego lodu ruszyła naprzód. Niosąca zwały kry mętna woda, parła niepowstrzymanie, wystąpiła z brzegów, rwała mosty, zalewała pola.

Zjeżdżające się na targ chłopskie furmanki przywoziły w takie dni więcej błota z polnych dróg niż przechowywanych na przednówku płodów skapej mazowieckiej ziemi.

Zazieleniły się w końcu płockie zbocza, zakwitły kasztany i róże na tumach. Znowu spacerujące pary,

uczące się gromadki, przedegzaminacyjne emocje, radosne wakacje. Otrzymałem promocje do klasy XI ale koledzy, z którymi rozpoczynałem naukę w Małachowiance szkołę ukończyli i poszli w świat. Ja pojechałem do Wrocławia na badania lotniczo lekarskie. Przed wojną instytucją wydającą orzeczenia czy kandydat odpowiada warunkom fizyczno-psychicznym na lotnika była „Cebula” – Centralny Instytut Badań Lotniczo Lekarskich. Normy zdrowotne były bardzo surowe i mógł uważać się za szczęściarza ten kto przez nie przebrnął. Po wojnie CIBLL został zastąpiony przez dwa ośrodki Wojskowy Instytut Medycyny Lotniczej w Warszawie i cywilny Główny Ośrodek Badań Lotniczo Lekarskich we Wrocławiu. Pozytywny wynik badań w GOBLL otwierał drogę do pięknego zawodu lotnika lub wrażeń i emocji podniebego sportu. Był to jeden z najważniejszych zakrętów życiowych. Czy zakręt ten wyrobie? Wcześniej napisałem, że na rozdrożach życiowych prosiłem o pomoc Matkę Bożą. Dobroci Boskiej nie nadużywałem, przypadków takich było kilka w ciągu całego życia, ten był pierwszy. Do Wrocławia pojechałem o godzinie szóstej, miałem więc trochę czasu. Idąc ulicą Sudecką zobaczyłem otwarty kościół, wszedłem do środka, uklękłem i zwróciłem swe myśli do nieba. Nie była to modlitwa z książeczki czy katechizmu lecz zwykła prośba, taka z jaka zwracamy się do ojca. Nie będę opisywał przebiegu badań bo to bezcelowe. Same badania psychologiczne, grupowe i indywidualne trwały ponad dwie godziny. Testy i zadania określające różne cechy osobowości ułożono tak aby idąc od łatwych do najtrudniejszych gdzieś po drodze utknąć. Po dwóch godzinach człowiek był nerwowo wykończony, a potem badania w gabinetach specjalistycznych: laboratorium, internista, chirurg, laryngolog, kardiolog, antropolog itd. Stanałem wreszcie przed okulistą, próba Dolmana, badanie rozbieżności, pole widzenia, wnętrze oka i oczywiście ostrość wzroku. Prawym okiem widziałem najdrobniejsze litery, ale z lewym, tym w które uderzył mnie kolega, były kłopoty. Dwie środkowe litery czytanego rzędu zachodziły na siebie uniemożliwiając ich rozpoznanie. Soczewka gałki ocznej uległa deformacji. Orzeczenie komisji brzmiało: ostrość wzroku oka lewego 0,8. Zdolny tylko jako skoczek spadochronowy. Na razie to mi wystarczyło. Co będzie później – zobaczymy.

W drodze do Nowego Targu odwiedziłem Wiktora. Wiktor pochodził z Borowiczek. Tutaj jego mama była kierowniczką szkoły, natomiast ojciec kierował Państwowym gospodarstwem Rolnym w Jabłonnej pod Warszawą. Wiktor starając się o przyjęcie na Politechnikę i do Aeroklubu zamieszkał u swego taty. W ten sposób nasze drogi rozeszły się, ale to czego przez cztery lata nauczyłem się od Wiktora pozostało. On był dla mnie przykładem nie tylko dobrego modelarza, lecz przede wszystkim najlepszym przyjacielem. Był dobrym uczniem, dobrym sportowcem, szlachetnym i prawym człowiekiem.

Centrum Wyszkożenia Spadochronowego mieściło się na lotnisku poza miastem. Stąd rozciągał się widok na panoramę Tatr. Z lewej strony był port lotniczy z zabudowaniami Centrum, hangarami i urządzeniami do szkoleń naziemnych. Z prawej tuż na granicy z lotniskiem, niegłębokim jarem, rozbrzgując pianę po kamieniach toczył swe wody Biały Dunajec. Niżej, po połączeniu z Czarnym, obie rzeki miały wspólne koryto i wspólną nazwę. Dyscyplina była wojskowa. Po pobudce biegliśmy się myć i kąpać w Dunajcu. Woda była czysta jak kryształ ale lodowato zimna. Po kąpieli bieg do obozu, kończyliśmy ubieranie się. Po śniadaniu zajęcia teoretyczne i ćwiczenia w grupach. Grupy były cztery po piętnastu kursantów każda. Znalazłem się w grupie czwartej, której instruktorem był Ryszard Hałaj. Z Płocka było nas pięciu, wszyscy koledzy z modelarni. Do tej samej grupy przydzielono kolegę z mojej klasy Ryśka Stefańskiego oraz Wieśka Nowakowskiego również z Małachowianki lecz z niższej o rok klasy. W „ogródku” do ćwiczeń naziemnych uczyliśmy się zachowania w samolocie w powietrzu i na ziemi. Skoczek obładowany dwoma spadochronami i wtłoczony do ciasnej kabiny „Kukuruźnika” musi wiedzieć jak się z tej kabiny wydostać, jak wyjść na skrzydło samolotu i jak je opuścić w strugach napierającego powietrza. Co robić po otwarciu się czaszy, jak zachować się w przypadkach nieprawidłowych. Jak określić miejsce lądowania i przygotować się do tego momentu. Jak wreszcie przyjąć spotkanie z ziemią i co robić dalej. Na wyćwiczenie tych czynności mieliśmy dziesięć dni czasu, pozostałe pięć dni to już skoki, kontakt z powietrzem, sprzętem i własnymi emocjami. Nadszedł wreszcie ten dzień. Pierwszy pokazowy skok wykonał instruktor. Od samolotu dwa tysiące metrów nad naszymi głowami oddzieliła się sylwetka przypominająca nurkującego orła, a może raczej jaskółkę w locie, gdyż styl skoku nosił nazwę tego ptaka. Ciało lekko wygięte do tyłu, ręce rozrzucone na boki jak skrzydła, nogi trochę rozstawione przy-

pominały rozdwojony ogon jaskółki. Dziś takim stylem nie skacze się ponieważ prawie pionowe ustawienie ciała powodowało zbyt dużą prędkość podczas otwarcia, zwłaszcza, że osłon zwalniających prędkość, ani automatów zabezpieczających jeszcze nie znano. Sylwetka instruktora rosła w oczach, po kilku sekundach opadania nad naszymi głowami rozległ się trzask otwieranej czaszy, a po dalszych paru minutach wylądował obok nas. Gdy odpiął spadochrony i zdjął kombinezon na ramionach zobaczyliśmy sine czerwone pasy jakie odbiła uprząż spadochronu w momencie otwarcia. My skakaliśmy z wysokości siedmiuset metrów z natychmiastowym otwarciem. Spadochron otwierała trzy metrowa lina, której jeden koniec zaczepiony był w samolocie, a drugi wyciągał zawleczeni.

Gdy przyszedła moja kolej, założyłem spadochrony, główny treningowy na plecach i mniejszy zapasowy na piersiach. Spadochron zapasowy jest spadochronem ratowniczym. Używa się go w przypadku awarii głównego, obydwie przypięte są do tej samej uprząży. Zająłem miejsce w pierwszej kabynie, pilot prowadził samolot z drugiej. Po wykołowaniu na pas startowy silnik zagrział pełną mocą i „Kukuruźnik” po krótkim rozbiegu uniósł się w powietrze. Podziwiałem widoki malejących w dole pól, domów i lasów. Jakaś linia kolejowa, stacja, szosa, rzeka wszystko dziwnie małe i nienaturalne. Pod skrzydłami miasto, to na pewno Nowy Targ, jeszcze jeden zakręt i przez okrągłą tarczę wirującego śmigła ujrzałem znowu Tatry tylko jakby dużo bliżej. Zrozumiałem, że samolot znalazł się na kursie skoku. Pilot zredukował obroty silnika i dał znak. Teraz każdy ruch wyćwiczony, każdy chwyt celowy. Ręka na zastrzał górnego płata, noga prawa na fotel lewa za kabinę na płat, ręka na burtę kabiny pilota, druga na spadochron zapasowy. Gotów. Skok.

Odepchnąłem się lewą ręką od burty, resztę zrobił pęd powietrza.

Znalazłem się jakby w gęstej mgle, nic nie widziałem, przed oczami biała zasłona. Czy wszystko dobrze wykonałem? Dlaczego nic nie widzę? Dlaczego nie otwiera się spadochron, przecież to tylko trzy metry liny, to niecała sekunda. W tym momencie poczułem szarpnięcie, ciałem zakręciło, zawisłem na taśmach nośnych i natychmiast odzyskałem wzrok. Świat znowu był piękny i kolorowy. Widok jakiego nigdy jeszcze nie widziałem, ale nie czas na jego podziwianie. Sprawdzić czaszę, poprawić się w uprząży, usiąść wygodnie na pasach, określić znoszenie i przypuszczalne miejsce lądowania, ustawić się twarzą do kierunku lotu i nogi razem. Jedna noga może zderzenia z ziemią nie wytrzymać. Prawidłowe lądowanie polega na upadku do przodu, na spadochron zapasowy jak na poduszkę i rozłożenie w ten sposób uderzenia na całe ciało. Jeszcze zwinąć połowo spadochron, włożyć go do torby transportowej i na start zameldować się u instruktora.

– Jak było?

– W porządku, nie bolało.

Za to teraz zaboli. Skłon do przodu, chwyt za kostki i klaps na siedzenie. Najpierw instruktor, potem ci którzy skakali. Laszowanie to lotnicza tradycja, tak jak pasowanie na rycerza, klaps abyś lepiej zapamiętał i uścisk dłoni jako gratulacje. Na kursie wykonaliśmy po trzy skoki i jako skoczkowie spadochronowi III klasy wracaliśmy do domu z dumnie przypiętymi odznakami.

Pierwszego sierpnia chłopcy z klas dziesiątych wyjeżdżali na brygady Służba Polsce. Zwarta kolumna junaków maszerowała sprężystym krokiem w kierunku dworca kolejowego. Słowa wesolej piosenki odbijały się echem od starych kamieniczek obwieszczając wszystkim, że „rytmem łopat rozdzwonimy wnet piastowskie szlaki sławy”

Nastrój był wesół i pogodny jak dzień wyjazdu. Brzydkie baraki dworca przywitały nas obojętnie. Niewielka grupa podróżnych ciekawym wzrokiem obrzuciła dziwną wycieczkę. Zajęliśmy miejsca w specjalnie zarezerwowanych wagonach. Na pożegnanie spłynęło kilka łez, powiało kilka chustek i pociąg ruszył w kierunku przygody unosząc z sobą ostatnie dźwięki „SP hej SP”.

Brygady Służba Polsce były formą przymusowej, niewolniczej pracy młodzieży. Chłopcy ze wsi pracowali przez pół roku przy odbudowie zniszczonych w czasie wojny miast. Młodzież szkolona kierowana była w okresie wakacji do pracy przy żniwach w Państwowych Gospodarstwach Rolnych. PGR Maciejewo pod Braniewem był dużym i dobrze zaopatrzonym w maszyny gospodarstwem. Życie w mundurach i pod namiotami podobało nam się. Spacer po lasach były naszym ulubionym zajęciem po skończonej pracy. Przestrogi starszych na niewiele się zdały. Zamiast nas

odstraszyć, budziły jeszcze większe zaciekawienie. Mało zaludniona okolica nosiła w sobie niezatarte piętno wojny. Rany zadane tej ziemi jeszcze się nie zabiły. Porośnięte trawą ruiny i pogorzeliska straszły kikutami kominów dając nieme świadectwo tamtych okropnych dni. Lasy porwane transejami walczącej tu niegdyś piechoty. Porzucone stanowiska bojowe artylerii. Rozbite bunkry hitlerowskiej obrony. Zardzewiałe wraki zniszczonych maszyn. Wszystko to zdawało się uragać ludziom i światu. Pobojowiska bardzo często nie rozminowane, ostrzegały zatartymi napisami w polskim lub rosyjskim języku. Rozsądni ludzie nie chodzili tu nigdy – a my?

My byliśmy ciekawi i lubiliśmy przygody. Lasy nęciły nas również dużą ilością jeżyn i malin. Przez tereny te biegła betonowa niemiecka autostrada łącząca Berlin z Królewcem. Dodatkową atrakcją, nigdzie nie spotykaną, były palące się pod ziemią podkłady torfu. Kiedy i w jaki sposób się one zapaliły nie wiadomo. Płonęły od lat niemożliwe do ugaszenia. Szczególnie lubiłem samotne wędrówki. Nieskrępowana fantazja malowała wówczas w wyobraźni sytuacje jakie nie zdarzały się nawet w snach. Stanąwszy nad porzuconym w beładzie gniazdem karabinu maszynowego widziałem oczami wyobraźni to co działo się tu dziewięć lat wstecz. Ściśnięte serce czuło chyba to samo co niegdyś broniący swego życia tutaj żołnierz. Rozrzucony stos łusek z szerokimi kryzami świadczył, że był to żołnierz radziecki, a może polski. Z tamtej strony szli Niemcy. Czy żołnierz ten ocalał? Czy przeżył wojnę? Dlaczego porzucił karabin? Gdyby te drzewa umiały mówić. Kolba karabinu zbutwiała, metal zardzewiał, ale groza tego miejsca została. Groza miejsca oblanego krwią była żywa i straszna. Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Dalej był las niższy ale gęściejszy. Resztki zasieków wplątane zostały ręką czasu pomiędzy pniami młodych brzoź i krzewów jeżyn. Zatrzymałem się tu dłużej. Soczyste owoce zaspokoili pragnienie i złagodziły uczucie głodu. Słońce przechyliło się mocno na zachodnią stronę nieba nawołując do powrotu. Poprzez wysoką trawę ruszyłem w kierunku czerniejącej ściany lasu gdy naraz zauważyłem wystające spośród trawy szerniałe od slot i upalów paliki. Były dookoła mnie. Zajęty jeżynami nie zwróciłem do tej pory na nie uwagi, teraz widziałem wyraźnie symetrycznie rozstawione, kryjące się w trawie czarne główki. Stałem zaciekawiony. W odległości kilkudziesięciu metrów zauważyłem umieszczoną nieco wyżej tabliczkę. Poczulem mrowie na plecach. Widziałem już takie tabliczki i znałem treść zatartych już nieco słów. Byłem w samym środku pola minowego. Nie wiedziałem co robić! Co oznaczają białe w ziemię kolki? Gdyby pole było rozminowane nie stawiano by przecież tablic ostrzegawczych. Jeżeli pola nie rozminowano dlaczego tylko oznaczono miejsce min? Wolno i ostrożnie posuwałem się między oznaczonymi miejscami wypatrując brakujących palików. Spośród trawy wyłonił się niewielki nagi piaszczysty lej.

Trawa wokół była niska. Opodal leżał połamany zardzewiały karabin i resztki zbutwiałej filcowej ła-downicy z kilkoma magazynkami amunicji karabinowej. Przystanąłem, ciekawość przemogła strach. W samym leju znalazłem blaszany guzik z zardzewiałą gwiazdą, wojskowy niezbędnik (łyżka z widelcem) oraz poźółkłą kość. Była to ludzka dolna szczęka z resztką nie wykruszonych zębów. Dziwne pomniki zostawiła nam wojna. Dziwne są groby bohaterów. Jedne zwartymi szeregami bliźniaczych krzyży znaczą miejsca wojskowych cmentarzy. Inne samotne wprawdzie, lecz otoczone kwiatami i szacunkiem, to groby nieznanymi żołnierzami. Ale są też takie jak ten. Nikt o nich nie wie, nikt nad nimi nie zapłacze. Ukryte na obcej ziemi, wśród obcych ludzi. Ostrożnie poszedłem dalej. Wydostawszy się ze smutnego i niebezpiecznego miejsca pobiegłem wzdłuż krętej linii okopów. W pewnym momencie zauważyłem rozrzucone na ziemi granaty. Dobrze zakonserwowane nawet nie zardzewiały. Znałem ten typ. Uczyliśmy się w szkole na lekcjach przysposobienia wojskowego. Były to radzieckie F-1 i RG-42. Kształtne ich panczerze pokrywały jeszcze resztki lakieru. Zapalniki dobrze utrzymane dawały gwarancję bezpieczeństwa. Nie mogłem oprzeć się pokusie. Nie wiem czy chłopięca fantazja kazała mi je podnieść, czy chęć posiadania pamiątki z tego straszego muzeum. Wziąłem tylko dwa, po jednym z każdego typu. Dalej znalazłem niemiecki granat z drewnianym trzonkiem, podobny do tłuczka. Też go wziąłem bo był inny. Nie wiedziałem, że podnosząc je stawiam pierwszy krok na drodze do więzienia, że ten krok pogrzebie ostatni cień moich marzeń. Życie pod namiotami pozbawione było jakichkolwiek rozrywek, nie było nawet radia. Czas po kolacji uprzyjemnialiśmy sobie sami. Często gdy zapadł zmrok, a spać się jeszcze nie chciało śpiewaliśmy piosenki, nie te szkolne z apeli lecz własne, których nauczyli

nas rodzice i dziadkowie. Jeśli ktoś nie znał takich piosenek, mówił wiersz albo kawał. Za taką twórczość można było otrzymać wyrok, ale wśród nas donosiciele nie było, zostali pewnie na zebraniach partyjnych i ZMPowskich. Humor antysowiecki i antykomunistyczny traktowano jako wrogą propagandę, a wrogów należało niszczyć.

Do najlepszych śpiewaków brygady należał Wiesiek Nowakowski i ja. Często koledzy życzyli sobie abyśmy niektóre piosenki powtarzali. Ja śpiewałem przeważnie piosenki liryczne i nastrojowe czasem kowbojskie, Wiesiek patriotyczne. Balladę o Jurku Bieczanie bisował po parę razy aż nauczyłem się jej również i ja. Jurek Biczani był najmłodszym z poległych Orłąt Lwowskich, gdy zginął miał czternaście lat. Oto jego historia:

„Mamo najmilsza bądź zdrowa, do broni idę w bój. Twoje uczyły mnie słowa, nauczał przykład Twój. Mówiąc to Jurek drżał cały, wszak w mieście walczył wróg, huczą armaty, grzmiały strzały, lecz Jurek nie znał trwóg...”

Końcowym akcentem pobytu w PGR Maciejewo była wycieczka nad zalew Wiślany i do Fromborka gdzie Mikołaj Kopernik prowadził swe genialne obserwacje astronomiczne. Byliśmy na Jego wieży, chodziliśmy po tych samych posadzkach po których chodził On, tylko czterysta lat wcześniej. Nazajutrz zdaliśmy mundury, założyliśmy własne ubrania i „czołem junacy z SP!!!”

Po uroczystym rozpoczęciu roku szkolnego 1953-54 podszedł do mnie Wiesiek Nowakowski i zaproponował mały spacer po Tumach. Gdy znaleźliśmy się sami zapytał wprost:

- Co zrobiłeś ze znalezionymi granatami?
- Przywiozłem ze sobą i zakopałem w ziemi.
- Czy są Ci one potrzebne?
- Nie

– Jest taka sprawa, założyliśmy organizację polityczną której celem jest walka z komuną. W tej chwili jesteśmy w fazie początkowej, ale w planach mamy rozwój i przekształcenie w organizację bojową, chcemy też nawiązać kontakt z podziemiem.

Czy zechciałbyś oddać nam granaty na dozbrojenie organizacji i ewentualnie przystąpić do nas. Zastanów się i daj mi odpowiedź później.

- Czy organizacja ma nazwę – zapytałem
- Tak nazywa się Dzieci Ziemi Płockiej

– Nie muszę się zastanawiać. Granaty oddam gdyż nie są mi one potrzebne, do organizacji przystąpię ponieważ żydo-komuna sowiecka mierzi mnie tak jak was.

Za kilka dni złożyłem przysięgę. Przysięgę przyjął ode mnie dowódca i współzałożyciel DZP Wojciech Rydzewski w obecności świadka Stanisława Jeziórskiego. Wojtek wziął do ręki krucyfiks i kazał powtarzać. Słów roty dokładnie nie pamiętam, ale brzmiały one mniej więcej tak: „w obliczu Boga, kładę rękę na ten święty Krzyż i przysięgam być wierny ojczyźnie mej Rzeczypospolitej Polskiej, stać na straży jej honoru i walczyć o Jej wyzwolenie z niewoli nie szczędząc swego życia. Organizacji będę posłuszny i tajemnicy dochowam.”

Organizację Dzieci Ziemi Płockiej założyli uczniowie Małachowianki z klasy X b. z miasta Zbigniew



Uczniowie Małachowianki, jako junacy Brygad Służby Polsce Od lewej: Cygański W. ; Brukman W. ; Nowakowski W.

Szadkowski, Skonieczny, Frede, Jeziórski i oni stanowili jej trzon. Na trzynastu członków tylko pięciu było z poza szkoły. Na czele organizacji stali Wojtek Rydzewski i jego zastępca Wiesiek Nowakowski. Magazynierem broni był Jurek Zdancewicz, do tej samej klasy chodzili Zbyszek Wójcik, Leszek Lisicki i Ryszard Taube. Ja byłem w klasie XI – tej. Do sekcji Małachowianki należał też Ireneusz Czeźniewski z którym wcześniej chodziłem do jednej klasy. Sekcję miejską tworzyli koledzy Zbyszek Szadkowski, Stanisław Jeziórski, Frede, Skonieczny i kilku mi nie znanych. W konspiracji nie wszyscy muszą się znać. Gdy pojawiły się na murach pierwsze napisy i ulotki Urząd Bezpieczeństwa natychmiast przystąpił do znalezienia sprawców. Mieli doświadczenie nabyte w latach walki o utrwalanie władzy ludowej i nie takich konspiratorów demaskowali. Formy naszej działalności były dziecinnie naiwne i same wskazywały na młodzież szkolną. Wystarczyło tylko w paru szkołach przyjrzeć się uczniom starszych klas i wprowadzić swoich ludzi. W naszym przypadku prowokatorem okazał się R. Taube. Tymczasem upływały ostatnie dni roku 1953. w dniach tych rozwiązano Ligę Lotniczą i Ligę Morską, a na ich miejsce utworzono jedną organizację zajmującą się propagowaniem tak zwanych sportów obronnych, była to paramilitarna Liga Przyjaciół Żołnierza. Kierownictwo plockiego obwodu LPŻ poleciła mi zorganizowanie w szkole kursu Wstępnych Wiadomości Lotniczych. Był to cykl pogadarek na tematy związane z najprostszymi zagadnieniami. Wiedza lotnicza jest rozległa i niełatwa. Obejmuje kilkanaście przedmiotów z bardzo różnych dziedzin, a przecież ja sam stawiałem na tej drodze pierwsze kroki i w roli instruktora bez uprawnień czułem się bardzo niezręcznie.

Innego zdania byli chyba młodsi koledzy, którzy uczestniczyli w tych spotkaniach z dużym zainteresowaniem. Na tych zajęciach poznałem i zaprzyjaźniłem się z Jasiem Grefkowiczem, chłopcem szlachetnym i kulturalnym. Przyjaźń ta przetrwała do dziś.

Pogadanki moje zyskały uznanie również u władz LPŻ, prowadziłem je społecznie więc w nagrodę uhonorowano mnie dyplomem i oceną bardzo dobrą. W modelarni przygotowywałem modele do zawodów eliminacyjnych, a w szkole do matury. Pracy miałem sporo, zwłaszcza, że doliczyć do tego trzeba czas na lektury i związaną z nimi historię. Z matematyki i fizyki zaległości nie miałem, ale materiał bieżący wymagał opanowania. Literatura polska bardzo mnie zafascynowała. Szczególnie bliski był mi romantyzm, okres walk o niepodległość, czas romantycznego bohatera i romantycznych idei. Gorzej było z ortografią, tutaj miałem zaległości i nie wiedziałem jak je nadrobić. Sto dni do matury. Dzisiaj odbywają się huczne bale, dziewczęta wystrojone jak damy, chłopcy jak z żurnali mód. Czegoś jednak w tym brakuje. My nie mieliśmy studniówki. Tłumaczono nam, że studniówka to relikwyt kapitalizmu i wymysł burżuazyjnej młodzieży, a my jesteśmy młodzieżą socjalistyczną i powinniśmy być z tego dumni. Ja byłem dumny ale nie z faktu przynależności do ZSRR lecz z tego, że wreszcie zostałem abiturientem. Aby pochwalić się tym przed całym światem cięliśmy czapki szkolne. Najpierw na krzyż, a potem zszywało się to kolorowym kordonkiem, haftując w ten sposób układ osi współrzędnych. W układzie umieścić można wykresy różnych funkcji, sinusoidę, funkcję kwadratową i co tam komu przyjdzie do głowy. Chyba tej dumy obecnie brakuje i chęci jej uzewnętrzniania. Wtedy studniówka trwała do samej matury, bo na ulicy widziało się przez sto dni abiturientów wkraczających w życie dorosłych.

Na egzaminie popełniłem karygodny błąd. Chcąc wykazać się wiadomościami napisałem pracę na jedenaście stron papieru podaniowego. Pisałem przez całe pięć godzin o twórczości Żeromskiego. W rezultacie nie zdążyłem przepisać pracy na czysto ani nawet sprawdzić. Oddałem ją w brudnopisie i z błędami ortograficznymi. Dostałem oczywiście dwóję i maturę oblałem. Po oficjalnym zakończeniu roku szkolnego, gdy opustoszały mury Małachowianki, odbył się pożegnalny bal maturzystów. Sam zostałem na internacie. Z dołu dochodziły dźwięki pięknej melodii „Walca maturzystów”:

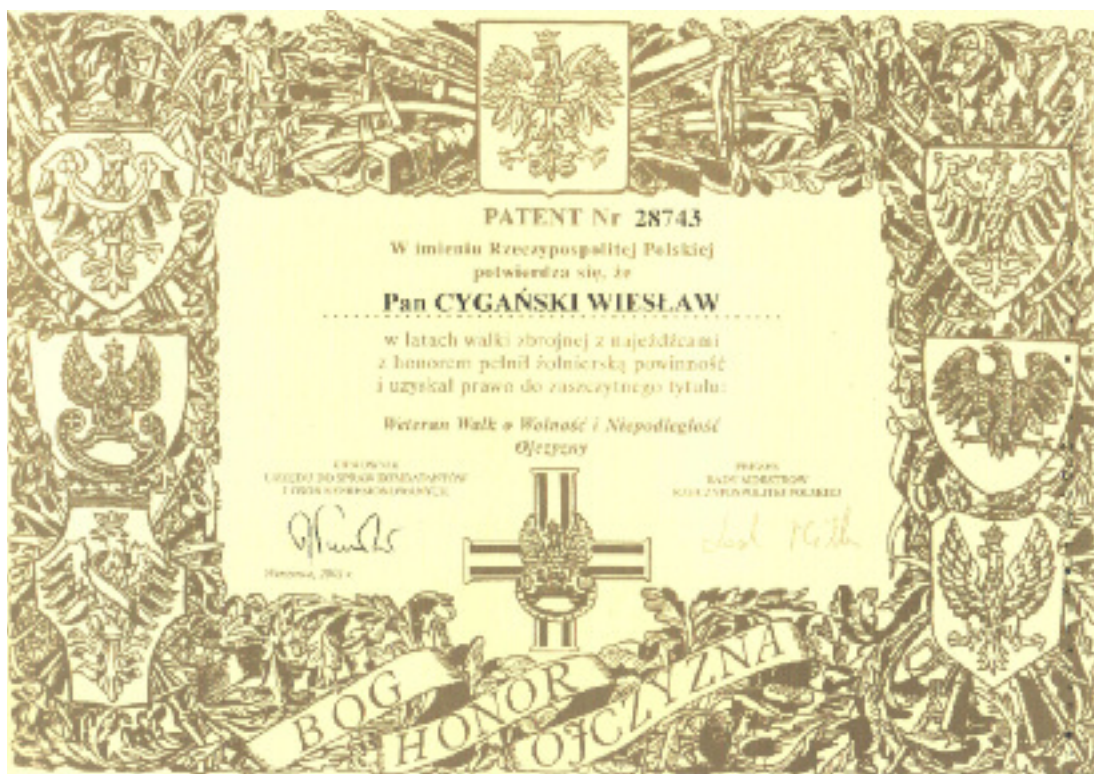
„Jeszcze pozostał nam tylko miła ostatni walc.

Nasz pożegnalny bal już się kończy – najmiłsza spójrz.

Nad horyzontem świt wstaje, który rozłączy nas

Na szybach pierwszy promień nieśmiało zabłysnął już”

Następni koledzy odchodzili w świat. A ja? A ja płakałem. Za parę dni wyjechaliśmy całą ekipą na zawody eliminacyjne do Starej Miłosnej. Zdobyłem pierwsze miejsce w kategorii szybowców i drugie w kategorii modeli z napędem gumowym. Zakwalifikowałem się w obydwu kategoriach na XIX Mistrzo-



Uznanie otrzymane po latach

stwa Polski, które odbyły się w Lesznie Wielkopolskim w dniach 4-11 lipca 1954 roku. Tym razem sukcesu nie odniosłem, ale wrażenia i satysfakcja z udziału w imprezie tej rangi osłodziły mi trochę zawód i żal po niepowodzeniu na egzaminie maturalnym. Ponieważ do egzaminu tego zostałem dopuszczony, nie musiałem powtarzać klasy XI. Mogłem za rok przystąpić do matury na podstawie otrzymanego świadectwa. Postanowiłem jednak powtórzyć rok w szkole i lepiej przygotować się do egzaminu. Pierwszego września trafiłem do klasy kolegów z DZP, ale ku memu zdziwieniu żadnego z nich nie zastałem. Dlaczego żaden z pięciu nie przyszedł na uroczystość rozpoczęcia roku szkolnego. Moja siostra Hania ukończyła szkołę podstawową na dalszą naukę została przyjęta do klasy ósmej w Małachowiance. Zamieszkała tak jak ja w internacie. Zdziwiłem się również dlaczego na inauguracji nie ma dotychczasowego dyrektora pana Kowalczyka tylko zastępuje go ktoś inny.

Za kilkanaście minut sprawa się wyjaśniła. Do dyrekcji szkoły przysłała zapłakana pani Rydzewska z wiadomością, że chłopcy nie przyjdą do szkoły gdyż rano zostali aresztowani. Sensacyjna wieść rozeszła się jak błyskawica. Wkrótce w całej szkole a za godzinę w mieście powtarzano, że jakieś wojsko konspiracyjne dokonało zamachu, przejęło urzędy, a władze nie wiedza co robić.

Zwykła poczta pantoflowa. „Gdy słońce zaszło na dolinie z jaja zrobiło się sto czterdzieści a wszystkie wielkie jak dynie.”

Ja znałem prawdę ale nie mogłem się zdemaskować, nie mogłem powiedzieć, że należę do tego wojska. Spodziewałem się, a nawet byłem pewien aresztowania. Minał tydzień i nic się nie wydarzyło, plotki ucichły a życie szkolne zaczęło się toczyć swoim torem. Czyżby się o mnie nie dowiedzieli. To niemożliwe. Około dziesiątego września odwiedził mnie w internacie jakiś młody pan i zaproponował spacer po boisku szkolnym. Pytał o kolegów, z kim łączą mnie bliskie więzy przyjaźni. Więc jednak. Nie byłem na tyle naiwny aby nie domyślać się, że jestem inwigilowany. Do końca miesiąca wizyt takich miałem trzy. Zaczynałem wierzyć, że na tym się skończy, gdyby chcieli mnie aresztować, zrobiliby to. Co jest więc grane?

Trzymają mnie na przynętę, czy co? Co będzie to będzie, pożyjemy zobaczymy.

Dyrektor Kowalczyk został usunięty ze stanowiska za to, że nie czuwał dostatecznie nad wychowaniem ideologicznym młodzieży. Bolszewicka paranoja, sami powinni się zwolnić gdyż to oni swoją polityką

doprowadzili, że w całej Polsce, jak długa i szeroka młodzież występowała przeciwko nim. Nowym dyrektorem został pan Werdenowski. Uczył nas fizyki. Miałem u niego oceny bardzo dobre, zresztą nie tylko u niego. Klasówki z matematyki były bezbłędne, jedynym kolorem czerwonym była ocena i podpis. Z innych przedmiotów również miałem oceny dobre, ale wcale mnie one nie cieszyły. Cały ten materiał miałem opanowany wcześniej, a to, że niepotrzebnie tracę czas, że każdą klasę powtarzam, nie było ani zaszczytne ani wesołe, wręcz przeciwnie napełniają mnie one goryczą i żalem. W szkole zawsze jest gwar. Na miejsce tych, którzy odeszli przybyli młodszy, jednak ja czuję się samotny. Koledzy wyprzedzili mnie. Z nowymi nie mogę nawiązać serdeczniejszej przyjaźni. Być może nie chcę, a może dzieli nas brak wspólnych dążeń?

Praktycznie zostałem sam.



Uznanie otrzymane po latach

Część IV

Żegnajcie moje 18 lat

Jak przerzucane kartki czytanej książki, wolno jeden po drugim mijały dni i tygodnie roku 1954. Niczego one nie zmieniały w życiu miasta, jednak w życiu młodego człowieka musi nastąpić kiedyś moment który wyrwie go z przystani szkolnej ławki i rzuci w nurt walki o dzień następny. Bardzo często moment ten niespodziewanie i brutalnie stawia nas przed problemami życia ludzi dorosłych. Nagle przestajemy być dziećmi. Dla większości z nas rokiem takim był właśnie rok 1954.

Janusz po ukończeniu szkoły mechanicznej wyjechał z Płocka aby po kilku latach objąć ważną funkcję w lotnictwie sportowym. Za nim udał się Stasiak. Najokrutniejszym okazał się los dla Wiktora. Na progu samodzielnego życia umiera mu ojciec, a wkrótce tragicznie ginie brat. W świat trzeba iść samotnie. Jednak po kilku latach Wiktor zostaje inżynierem lotniczym, jednym z czołowych pilotów szybowcowych i członkiem kadry narodowej. Waldka również nie ma w Płocku. Gdzieś daleko uczy się i równocześnie rozpoczyna latanie na szybowcach. Tadek nie mając warunków rezygnuje z dalszych starań. Rok 1954 i dla mnie przygotował ogromną niespodziankę.

Złota jesień dobiegła końca. Dni jeszcze pogodne nie zdołały już swym złudnym ciepłem ożywić gotującej się do zimowego snu przyrody. Liście, które jeszcze niedawno barwnym płaszczem okrywały drzewa, teraz leżały bez życia na przybranych świeżymi chryzantemami alejkach cmentarza. Ucichły ptaki. Drzewa powyciągały w górę nagie szkielety gałęzi jakby zanosily do nieba swą niema skargę. Cmentarną ciszę przerywał tylko czasami smutny poszum jesiennego wiatru i szelest spadających ostatnich liści. Ludzie stroili groby. Święto Zmarłych to nie tylko wyraz szacunku, pamięci i żalu po tych, którzy odeszli. To również symbol nieuchronnych wyroków losu, to także pożegnanie ginącego lata. Lubię uroczysty nastrój świątecznego dnia, monotonną zadumę drzew, łunę palących się zniczy i niespokojny taniec cmentarnych cieni. Lubię szczególnie wtedy gdy jest mi niewesoło i mam o czym

myśleć. Z cmentarza wracałem smutny lecz nie przygnębiony. Czułem się samotny. Myślałem o kolegach, którzy poszli w świat, o swym przyszłym życiu i nie spełnionych jeszcze marzeniach. Co będę robił po zdaniu matury? Gdzie iść dalej? Gdzie szukać szczęścia? Gdy wchodziłem do budynku szkolnego byłem jeszcze uczniem. Gdy za kilkanaście minut zeń wychodziłem w towarzystwie dwóch wysokich panów, byłem już więźniem. Świat ludzi dorosłych nie przywitał mnie więc obietnicą barwnych dni, lecz odsłonił przede mną swe najbrudniejsze kulisy. Pełen szacunku dla M. Gorkiego nie będę polemizował z wielkim pisarzem jednak „człowiek” nie zawsze „brzmi dumnie”. Bywają sytuacje kiedy ludzie, którzy przez życie idą z wysoko podniesioną głową, w pewnych warunkach obnażają swe drugie jakże podle oblicze. Każde środowisko rodzi ponadto grupę ludzi, dla których żadne moralne granice nie istnieją. Ich pragnienia sprowadzają się do rzędu prymitywnych potrzeb życiowych, uczuciami niewiele różnią się od zwierząt, a czynami swymi zadają kłam wszelkiej człowieczej dumie. Poza nawiasem społeczeństwa można przyjrzeć się różnym typom.

„Opowiem wam zdarzenie sprzed wielu, wielu lat o chłopcach z miasta Płocka – bo każdy z nich był chwyt.

Kochali się wzajemnie, a młodzi byli wszak, cichutko potajemnie szeptali tak:

Wszak wierzę, rzekł Rydz kuternoga, Ojczyzna każdemu jest droga. Więc trzeba koledzy, bez niczyjej wiedzy, pospołu uderzyć na wroga.

By dążyć do jednego celu, dla młodych nie trzeba słów wielu.

Komunizm wyplenić, ból w radość zamieniać Polaków cierpiących w więzieniu.

Więc w myśl zasady tej, w marcowe dżdżyste dni zebrali się razem, przysięgę złożyli, stworzyli DZP.

Lecz jeden spośród nich, perfidnie wydał ich.

Ubecy przybyli, za kraty wrzucili, by złamać chłopców tych.

Skończona piosnka ma, w niej prawda szczera ta, że w sercach gorących, o wolność walczących nieważność nadal trwa”.

Pierwsze przesłuchanie odbyło się zaraz po aresztowaniu. Bałem się, że zostanę pobity, ale nic takiego się nie stało. Stojący na biurku reflektor świecił mi w oczy, po drugiej stronie siedział funkcjonariusz w cywilu. Twarz jego tonęła w cieniu i była prawie niewidoczna.

– Czy wiecie dlaczego zostaliście aresztowani? – zapytał

– Wiem – odpowiedziałem

– Nazwisko, imię, data urodzenia, imiona rodziców. No to mówcie od początku jak i dlaczego wstąpiście do organizacji.

Śledztwo trwało do rana. Te same pytania zadawane wielokrotnie, te same odpowiedzi – ciągle od początku.

– Już o tym mówiłem

– Nie szkodzi, mówcie jeszcze raz

Wtedy uważałem, że to było bez sensu, teraz wiem, że w ten sposób upewniano się, że mówię prawdę, nie zmyślam i nie gubię się w zeznaniach. Około godziny ósmej przyniesiono mi śniadanie. Byłem zmęczony i perspektywa odpoczynku ulżyła mi, jednak gdy spojrzałem na przyniesione śniadanie odechciało mi się jeść. Był to kubek czarnej gorzkiej zbożowej kawy i więzienna pajdka razowego chleba. Jak się wkrótce okazało było to najlepsze więzienne pożywienie. Wszedł milicjant mający wyprowadzić mnie z pokoju przesłuchań. Wypiłem parę łyków kawy i wstałem gotowy do wyjścia. Weźcie chleb, jeśli nie jesteście głodni dacie kolegom w celi. Jeszcze wam podziękują. Z komendy milicji zaprowadzono mnie do więzienia, przebrano w „garnitur” szarego koloru z okrągłą czapeczką i drewniakami na nogi i osadzono w zatłoczonej celi. Współwięźniowie chleb zjedli natychmiast.

Po kilkunastu dniach przewieziono mnie pociągiem w towarzystwie dwóch konwojentów do Warszawy. Więzienie Karno-Śledcze WKS III mieściło się na Pradze przy ulicy Ratuszowej. W gwarze więziennej nosiło nazwę „Toledo” i było jednym z bardziej znanych zakładów karnych w PRLu. Dziś nie ma po nim śladu.

Czy wykonywano tam wyroki śmierci nie wiem, ale więźniów skazanych i przetrzymywanych w osobnych celach i na osobnym oddziale widziałem na własne oczy. W więzieniu odwiedził mnie adwokat wynajęty i opłacony przez mamę. Jedyłą jego zasługą było to, że poinformował mnie o świadkach mających zeznawać w mojej sprawie. Byli to koledzy Rydzewski i Nowakowski. Ich rozprawa już się odbyła, otrzymali sześć i pięć lat pozbawienia wolności. Najniższy wyrok otrzymał najmłodszy z naszej grupy Leszek Lisicki. Za samą przynależność do organizacji skazano go na trzy lata. Eksperci uznali, że granaty które przywozłem nie nadają się do użytku. W ten sposób odpadł z oskarżenia artykuł za posiadanie broni i perspektywa pięcioletniej odsiadki. Za przynależność groziło mi jak Leszkowi trzy lata – też dużo.

W jaki sposób można by wyrok ten zmniejszyć? Sposób podpowiedziała chyba sama opatrność. Nie przyznawaj się do przynależności – oddałeś granaty i na tym koniec. Ale jak skontaktować się ze świadkami? Znowu z pomocą przysłała mi laska Matki Boskiej. Podczas spaceru dołączono mnie do grupy młodocianych, którzy byli już po sprawie. Dlaczego? Czyżby władze więzienne popełniły błąd? A może pomylił się oddziałowy? Starsi więźniowie przez kilkanaście minut chodzili jeden za drugim, dookoła jak w kieracie. Młodociani wypuszczani byli na pół godziny, na otoczone murem boisko. Można było porozmawiać, postać, wypalić papierosa. Po radosnym powitaniu umówiłem się z mymi świadkami jak mają zeznawać. Długie i męczące śledztwa dobiegły końca, na zakończenie należało podpisać protokół. Powiedziałem, że protokół należy zmienić gdyż niesłusznie oskarża się mnie o przynależność.

– Jak to, przecież sami przyznaliście się do złożenie przysięgi organizacyjnej

– Ja nie składałem przysięgi organizacyjnej tylko na krzyż przyrzekłem, że kolegów nigdy nie wydam.

– Powiecie to w sądzie, a teraz podpiszcie i nie przeciągajcie sprawy, mało było wam śledztwa?

A jednak, a więc można mówić w sądzie inaczej niż w oskarżeniu. Nadszedł wreszcie dzień rozprawy przed Wojskowym Sądem Rejonowym – 22.XII.1954 r.

Na Sali poza zespołem sędziowskim i adwokatem była mama, ojciec i kolega Wiktor Sznurowski. Nie bał się przyznać do przyjaźni z przestępcą politycznym, ryzykując nawet wyrzucenie ze studiów. Przewodniczący sądu otworzył rozprawę i głos zabrał prokurator. „Oskarżam Wiesława Cygańskiego, urodzonego 2 grudnia 1935 roku, syna Pawła i Janiny z Grochowskich zamieszkałego w Płocku ul. Małachowskiego 1, wykształcenie jedenaście klas szkoły średniej, o to, że w miesiącu wrześniu 1953 roku wstąpił do nielegalnej organizacji pod nazwą Dzieci Ziemi Płockiej, przez co do dnia pierwszego września 1954 roku czynił przygotowania do obalenia przemocą ustroju PRL”.

Uśmiechnąłem się. Czy mogłem przypuszczać kiedyś, że podnosząc z ziemi niezdatne do użytku granaty, obalam w ten sposób ustrój potężnego państwa?

– Czy oskarżony przyznaje się do popełnienia przestępstwa w myśl artykułu 86 w związku z 87 to jest doitd.

– Nie, proszę Wysokiego Sądu. Granaty oddałem kolegom, ale poza tym nic mnie z nimi nie łączyło.

Pytania obrony mieszały się z zeznaniami świadków. Poważne twarze sędziów, obojętny wzrok konwojentów, groźny nastrój sądowej sali.

Sąd po rozpatrzeniu sprawy uznał oskarżenie za bezpodstawne i orzekł jeden rok pozbawienia wolności za przestępstwo z artykułu 18 § 1 Małego Kodeksu Karnego w związku z artykułem 87 Kodeksu Karnego Wojska Polskiego.

Za dwa dni przysłała wigilia i Święta Bożego Narodzenia. W małej celi było nas siedmiu. Jeden ze współtowarzyszy pisał skrawkiem ołówka na papierze toaletowym: „Takie święta to się pamięta. Bez żony, bez dzieci, za kratami. Nie smuć się żono, nie płaczcie dzieci. Da Bóg, że wkrótce będę z Wami”.

Inny, drobny złodziejaszek kieszonkowy, cwaniak – „warszawski doliniarz”, taki co to nie jeden wyrok odsiedział i znał wszystkie więzienia w Warszawie, popisywał się swym złodziejskim kunsztem. Potrafił wyciągnąć z kieszeni grzebień czy list od rodziny i z wesołą miną pytać czyj to „fant”. Za nagrodę wystarczał mu podziw starszych panów. Jak tyś to zrobił? Ma się ten fach w rękę, co nie?

Żeby nie wyjść z wprawy demonstrował różne złodziejskie sztuczki, bo dobry złodziej dumny jest ze swego rzemiosła jak precyzyjny zegarmistrz. W sumie nie był to zły chłopak. Drobnej budowy, nie mógł w półświatku warszawskim konkurować z innymi siłą. Jego siłą była zręczność, przebiegłość i rozum. Był też Benek, wiejski osiłek, młody chłopak o budowie konia. Nie był awanturnikiem chociaż siedział za jakąś rozróbę o dziewczynę. Dał się lubić, zwykły szczery i prosty chłopak. Benek zauważył:

– Panowie, przecież dzisiaj są święta, nie możemy wypić za pomyślność, to chociaż zapalimy sobie po całym papierosie.

Pomysł spodobał się, ktoś poczęstował na konto świąt, sięgnięto do paczki po papierosa.

– A co z tobą? – Benio zauważył, że się nie częstuję

– Ja nie palę – odparłem

– Razem siedzimy i razem palimy. Nie będziesz od macochy, jesteś z nami czy przeciw?

Wziąłem papierosa i wypuściłem dym bez zaciągania się.

– Musisz palić jak chłop, a nie jak cnotliwa panienka. Sztachnij się to poczujesz smak

– Ale ja nie potrafię – odparłem

– To ja Cię nauczę – zaferował się Benio – Weź trochę dymu do ust i nie wypuszczaj tylko wciągnij w płuca. Właśnie tak tylko trochę więcej. Zdobyłeś awans na porucznika.

Do kapitana nie doszedłem, ponieważ w głowie mi się zakręciło i złożyłem daninę Neptunowi, to znaczy puściłem ogromnego pawia za burzę.

Całe święta przechorowałem. Benek nie chciał zrobić mi krzywdy i więcej do papierosów nie namawiał, a ja nauczony doświadczeniem powiedziałem sobie, że więcej tego świństwa do ust nie wezmę. Głupiego trzeba aby za własne pieniądze niszczyć własne zdrowie – i tak zostało do dzisiaj.

Zima tego roku przyszła późno. Na okalającej okno blasze i grubej zardzewiałej kracie usiadły pierwsze płatki śniegu. W celi panował nastrój przygnębiającej nudy.

Obcy sobie ludzie, których życiowe drogi zbiegły się na twardej więziennej pryczy, zajęci byli własnymi myślami. Nikt się nie żalił, nikt się nikomu nie zwierzał. Ktoś głośno zaklął. Ktoś inny nucił smutną melodię więziennej piosenki:

„Leżę w celi na przegnilej pryczy. Serce moje nie zna tu żadnej słodyczy. Zewsząd wżgarda, dolo harda. Bo dla więźnia nie ma nic tylko pogarda. Więzienne noce, w swoim łonie kryjące miliony marzeń oraz wspomnień tysiące. Kto z was nie przeżył ten nigdy nie zrozumie tęsknoty więźnia w szarego dnia zadumie”

Tylko cień kraty na ścianie wolno przesuwiał się odmierzając upływające godziny. Długa więzienna noc wlecze się jak zaczarowana. Blade światło księżycy leniwie sączy się przez niewielkie przesłonięte blachą okno.

Ktoś na górnej pryczy przekręcił się na bok. Z podartego siennika posypały się plewy i starta na miał słoma. Leżący koło mnie człowiek zapalił papierosa. Przykry dym wkręcił się aż do płuc i łzami napenił mi oczy. Źle przykryte i rzadko rozstawione deski uwierały w plecy. Wspiałem się na krawędź górnej pryczy i ponad zasłoną wyrząłem poza kraty. Przede mną milionem światła mieniła się Warszawa.

W przedziale więziennego wagonu było ciemno i duszno. W celce o powierzchni jednego metra kwadratowego upchano nas czterech, dwóch siedziało na ławeczce, dwóch stało na zmianę. Przez matową szybkę maleńkiego okienka wpadało trochę światła wstającego dnia. Ponury nastrój przerywał od czasu do czasu gwar mijanych stacji, tubalny głos megafonów i ostry gwizd lokomotywy. Godziny wlokły się nieskończenie, tylko niestrudzone koła swym miarowym „to to tak” odliczały pozostające w tyle kilometry nieznanego drogi. Nikt nie starał się o nawiązanie rozmowy. Nikt nikogo nie pytał nawet wtedy gdy do zostawionego na bocznicę wagonu wdarły się jakieś głosy, szczęk broni i zgrzyt otwieranych drzwi. Nawet wtedy gdy duże ciężarowe samochody rozpryskujące błoto i topniejący śnieg ruszyły przez brudne uliczki nieznanego osady. Pozostająca w tyle duża tablica z czarnym napisem

„Szczakowa” nic mi nie wyjaśniła. Dopiero gdy oczom ukazały się wieże wyciągowe kopalni zrozumiałem gdzie się znajduję i jaką niespodziankę zgotował mi los. Więzienie w Jaworznie było bardzo dużym obozem pracy. Potężne mury, wysokie wieże wartownicze z groźnie sterczącymi lufami karabinów maszynowych, grube kraty i pasy kolczastych drutów pod napięciem, kształtowały tu właściwą

ideologię i charakter byłych przestępców. Kilka tysięcy młodych chłopców wyruszało stąd co dzień do pięciu kopalń aby tam rzetelną pracą dać świadectwo swej dojrzałości społecznej, a przy okazji uzyskać jeden dzień przedterminowego warunkowego zwolnienia.

Minęło kilka dni kwarantanny zanim nowy transport otrzymał przydział prac i stałe lokum w poszczególnych oddziałach. W nowej celi przywitało mnie dwadzieścia surowych twarzy i tyleż par niezycziwych oczu. Byłem wśród nich najmłodszy, najslabszy fizycznie i posiadałem najmniejszy wyrok. Nie szczyciłem się jak inni opanowaniem złodziejskiego rzemiosła ani bandycką przeszłością. Ponadto nie byłem zepsuty i opryszkom ustępowałem z drogi. Nie dałem więc żadnego powodu, dla którego zyskałbym uznanie swych współtowarzyszy. Skoro zaspokoiли ciekawość, odeszli do swych zajęć radząc abym nie podskakiwał jeśli chcę chodzić na własnych nogach. Najlepiej abym siedział przy swoim łóżku. Z tą przyjacielską przestroga zostałem w zaludnionej celi zupełnie sam na następne długie miesiące.

Więźniowie tego oddziału pracowali na kopalni Sobieski. Pierwszy zjazd i pierwsza przepracowana szycha wryły się w pamięć jak każda nowa niezwykła przygoda.

Czarna otchłań szybu, loskot spadającej windy, błyski światel mijanych poziomów zostawiły niezatarte wrażenie. Spodobała mi się tajemnicza czełuść chodników z rzadka migocząca gwiazdkami górniczych karbidówek. Urzeka mnie groza starych wyrobisk ciągnących się nieskończonym labiryntem. Pokład, w którym rozpocząłem pracę leżał na głębokości 210 metrów pod ziemią. Nie była to duża głębokość toteż wybrane chodniki i filary nie zawały się dziwnie długo.

Najstarsi górnicy kopalni nie pamiętali historii dawno wybranych, a stojących jeszcze pokładów. Nikt się w nie nie zapuszczał gdyż wilgotna, nasycona niemiałą wonią zbutwiałego drewna i starej wody, głębia nie dawała żadnych szans powrotu zbyt ciekawym śmiałkom. Przez stare wyrobiska można było podobno przejść do innych kopalni, można nawet było wyjść na powierzchnię – na wolność. Drogi te zapomniane i niebezpieczne dla najbardziej doświadczonych, dla nas istniały jedynie w sferze wyobraźni. Urok kopalni był niezaprzeczalny. Nawet nie dziwiłem się wierzeniom starych górników. Przytłaczająca i groźna otchłań, wobec której często czuli się bezsilni, musiała zrodzić w umysłach mitycznych i nadludzkich opiekunów w postaci ducha Skarbnika. Ciężka i żmudna praca stwarzała złudzenie walki o ukryty i pilnie strzeżony skarb. Człowiek czuł się zdobywcą. Świadomość ta dawała satysfakcję. Kopalnia podobała mi się, a ludzie?

Ludzie zawsze potrafia obrzydzić sobie nawzajem świat i życie.

Do pierwszej szychy stanąłem w nie najlepszej kondycji fizycznej. Kilkumiesięczny brak ruchu i złe wyżywienie składające się z brukwi i innych pastewnych specjalów mocno rozcieńczonych wodą nie da-



Na tle wieży wyciągowej kopalni Wieczorek Szopienia Janów koło Katowic.

wało sił potrzebnych do ciężkiej pracy. Oszolomiony nowym i nieznanym światem, oślepiiony mrokiem, którego nie zdołało rozjaśnić światło karbidówki, znalazłem się w głównym przekopie. Stąd po paru kilometrach podziemnej wędrówki doszliśmy do pokładu. Sztygar zlustrowawszy przybyłych, rzucił na powitanie kilka pieronów nowym więźniom i zajął się przydziałem prac. Przodowy, z którym miałem pracować, ani dwaj ładowacze nie kryli niezadowolenia z przydzielonego im pracownika. W pierwszych słowach zwróconych do mnie rzekł:

– Pódz sam chopie, a dej pozór co my bydymy pieruna fedrować. Nie przewrocoj ino wózków i migiem zwijaj się, a nie łaż kiej by kamela

Szedłem za przodowym, minęliśmy kilka pochylni. Tu i ówdzie stały zostawione przez poprzednią zmianę wózki załadowane węglem. Duże pneumatycznie napędzane kołowroty zwane haszplami syczały sprężonym powietrzem czekając na podczepienie nowego ładunku. Woda wyciekająca ze spagu oraz spadająca z ociosów i stropu odchodziła specjalnymi ściekami które górnicy nazywali waserniami.

Czasem wypełniała cały chodnik niosąc ze sobą miał węglowy i piasek z zamulek. W wielu miejscach tory, po których wozacy ciskacze dopychali wózki zalane były wodą.

Gdzie indziej biegnąc ponad wodą leżały na kawałkach starych stępli. W podobnym miejscu otrzymałem pracę. Pierwszy wózek wyskoczył mi z toru już po kilkunastu metrach drogi. Był pusty więc wstawiłem go sam. Dalej pojechałem ostrożnie, badając złącza szyn. Tam gdzie tor prowadził ponad wodą, należało biec po jednej szynie. Wykolejenie w takim miejscu groziło przestojem i dodatkową pracą całej załogi przodka. W połowie około 300 metrowej drogi było niewielkie wklęslenie chodnika. Wózek najpierw należało z górki rozpędzić aby następnie podjechać pod górkę. Jazda zbyt wolna uniemożliwiała podepchniecie załadowanego wózka. Na wierzchu tej pochylni należało wózek wykręcić na blaszanej bonie i skierowawszy go na drugi tor pchać pod główny chodnik upadowy. Stąd stalowa lina haszpla ciągnęła go pod górę do głównego przekopu. Pierwszy wózek z urobkiem wykoleił mi się w pobliżu przodka. Pomogli mi go wstawić ładowacze. Gdy wkrótce poszedłem drugi raz prosić o pomoc, naubliżali mi.

– Co sobie myślisz złodzieju!!! – darł się przodowy.

– Nie bydymy tu przez ciebie stać z roboto

Następny wózek spadł mi na bonie. Próbowałem dźwignąć przeszło tonowy ciężar sam. W nosie i w gardle poczułem mdły smak krwi. Kilka kropel spadło znacząc czerwonymi plamkami mokry spąg. Przy pomocy kołka poradziłem sobie. Na przodku czekano za pustym wozem nie mając gdzie ładować węgla. Gdy przybyłem z opóźnieniem nie szczędzono mi przykrych i obelżywych słów. Minęło parę tygodni zanim nauczyłem się prowadzić wózki po nierównych i chwiejnych torach.

Szychta dobiegła końca. Pod szyb wracałem wycieńczony ostatecznie. Wszyscy mnie wyprzedzili, a ja z trudem stawiając nogi wlokłem się samotnie. Nowa robocza bluza zabrudzona mokrym węglowym miałem nieprzyjemnie drapała gołe plecy. Wyplukałem ja w płynącej obok wodzie i założyłem na siebie. Nogi odmawiały posłuszeństwa. Chciałem usiąść pod ociosem i czekać aż na powierzchni dopatrzą się braku jednego więźnia i zarządzą poszukiwanie. Uczynić tak znaczyłoby opóźnić wyjazd z kopalni całej zmiany, narazić półnagich i przemoczonych ludzi na długie wyczekiwanie na mrozie. Znaczyłoby to również ściągnąć na siebie nienawiść, drwiny i prawdopodobnie pobicie. Muszę iść dalej chociaż nogi nie chcą trzymać ciężaru ciała, a ostre ściany ociosu kaleczą boki.

Na powierzchni czekano na mnie. Była mroźna noc. Ostry marcowy wiatr ciał w oczy drobnym śniegiem. Mokre ubrania zmarzły na kość. Czekamy na przyjazd samochodów. Koło nas wartownicy w kożuchach, ciepłych czapkach, filcowych butach, z pepeszami w rekach okrytych rękawicami. My dla odmiany w mokrych drelichach i roboczych gumiakach. Ładujemy się do drucianych klatek umieszczonych pod plandekami samochodów. Jeszcze pół godziny jazdy do więziennej łaźni. W bramie kilka formalności związanych z przybyciem zmiany, policzenie i podpisanie. Idziemy czwórkami, padają słowa komendy. Śnieg skrzypi pod butami, śnieg taje między mokrą bluzą i ciałem. Wiatr świszcząc do taktu nierównym krokom. Koło łaźni żadna siła nie może utrzymać dyscypliny. Kto pierwszy ten lepszy. Najsilniejsi rwą do przodu. Każdy chce się umyć pierwszy gdyż łaźnia jest mała. Słabsi muszą czekać, taka już ich dola. Czekam więc i marznę, aby w międzyczasie nie przybyła zmiana z innej kopalni. Wreszcie

po paru godzinach mam suche ubranie, spóźnioną kolację i wymarzony siennik. Jest on dziś miękki i przytulny jak nigdy.

Tak minął jeden dzień pracy. Tak o dwa dni zbliżyła się chwila wolności. Wiosna 1955 roku długo nie chciała przyjść do Jaworzna. Z deszczem i śniegiem przeleciał marzec. Falami wiatru i mżawki chłostał rozmiękłą ziemię kwiecień. Pierwsze żdźbła trawy drżąc na zimnie wtuliły się między czarne bryły błota. Kilkanaście dni temu pisałem prośbę do komendanta aby zezwolił mi na naukę. Na terenie więzienia istniał punkt konsultacyjny Korespondencyjnego Liceum Ogólnokształcącego w Stalinogrodzie. Prośba moja została załatwiona pozytywnie. Zwolniono mnie nawet z obowiązku niedzielnej pracy, gdyż w niedziele odbywały się lekcje. Biegłem właśnie na kolejny egzamin do klasy jedenastej. Nurtowały mnie pytania, czy zdołam pogodzić naukę z pracą w kopalni. Czy będę w stanie uzupełnić braki spowodowane przerwą w nauce. Czy wreszcie zostanę przyjęty na podstawie dzisiejszego egzaminu. Profesorzy potraktowali mnie bardzo życzliwie za co jestem im wdzięczny do dziś. Nigdy nie zapomnę szczerzej i pogodnej twarzy dyrektora liceum doktora Pawła Sochy. Spośród kilkunastu uczniów klasy jedenastej na kopalni pracowało tylko nas dwóch. Nam też było najciężej. Z pracą poradziłem sobie. Już nie padałem ze zmęczenia jak kiedyś. Przeciwnie – przez głośniki więziennego radiowęzła kilkakrotnie wymieniano moje nazwisko jako przodownika pracy, jednak poradzić sobie z nauką nie było łatwo. Główne przeszkody to brak czasu i zmęczenie. Po przyjściu z kopalni każdy miesiąc ciała domagał się odpoczynku. Myśli rozlatywały się i każda próba nauki kończyła się snem. Jutro znowu szychta, jedna, druga, trzecia, tak przez cały tydzień. W niedzielę od rana nauka w szkole, kilka godzin popołudniowych to trochę mało do powtórzenia całego materiału.

Nadszedł wreszcie maj a z nim spóźniona wiosna. Ósmego maja była niedziela. Wywołano mnie z lekcji na widzenie z mamą. Przyjechała z siostrą Ewą, która niedawno skończyła dziesięć lat. Chwile spotkania były jedynym radosnym momentem od dnia aresztowania. Jeżeli długo nie widzimy się z bliska osobą, jeżeli nagromadzi się moc wrażeń do opowiadania i przeżyć, którymi w ciągu trzydziestu minut nie jesteśmy w stanie się podzielić – wtedy przeważnie nie mówimy nic, po prostu brak nam tematu, zwłaszcza gdy nieopodal siedzi strażnik. Widzenie skończyło się, radość prysła jak mydlana bańka, jak coś co się przyśniło. Gdy drzwi się zamknęły i zostałem sam powróciła rzeczywistość. Trudno uwierzyć, że tuż za bramą, niemal na wyciągnięcie ręki są twoi najbliżsi, ale dla ciebie są już niewidoczni i nieosiągalni. Czy to się w ogóle zdarzyło?

Jutro ciężka praca, taka jak wczoraj, pojutrze tak jak przedwczoraj i to są realia. Wiosna przyszła nagle, jak żadnego roku do tej pory. Gdy mama z siostrą wracały piechotą przez pola do stacji Szczakowa w rowach leżał jeszcze śnieg. Nazajutrz wiatr rozpędził skłębione chmury. Ciepłe powietrze szybko osuszyło ziemię. Słońce obudziło ptaki, zazieleniły się drzewa i trawy. Do życia porwała się przyroda i ludzie.

Następna niedziela 15 maja 1954 roku – dzień wstał pogodny i ciepły. Była to jedna z niewielu wolnych od pracy niedziel. Już od rana na dziedzińcu zbierały się grupki więźniów, gdyż młodzież pracująca miała prawo opuścić cele i wyjść na świeże powietrze. Niektórzy opalali się leżąc na trawie na kocu. Inni spacerowali alejkami niewielkiego parku, rozkoszując się ciepłem i światłem dnia, którego tak mało mieli na co dzień. W Domu Kultury jak w każdą niedzielą odbywały się lekcje. Dochodziła godzina dziesiąta. W klasie XI kończyła się lekcja Nauki o Polsce. Dowiedzieliśmy się właśnie wielu tak ciekawych i nieprawdopodobnych rzeczy, że wprowadziły one nas w nie mniejsze zdumienie niż strzał, który echem odbił się o mury. Drugiemu wystrzałowi zawtórował krzyk i gwar. Podbiegliśmy do okien. Zewsząd biegli ludzie. Dwóch więźniów niosło bezwładnego kolegę. Nie wiedzieliśmy co się stało. Chcieliśmy wyjść na dwór, ale drzwi były zamknięte. Gdy powtórnie wyjrzałem jedna z wartowniczych wież była zdemolowana. Kilkuset chłopców przez wybite okna rzucało do jej wnętrza kamienie i cegły z ruin starej pralni. Powietrze rozdarły huk wybuchających petard. Kilkudziesięciu więźniów wlokło złączone podkładami szyny kolejki. Segment ten rzucono na kolczaste przewody pasa śmierci. Druty porwały się i prąd przestał płynąć.

Po zewnętrznej stronie murów gromadzili się ciekawscy. Z okien sąsiednich bloków zaczęły spadać płonące sienniki, inni rzucali je pod mur wartowni. Za chwilę jęzory ognia objęły strażniczą wieżę i

wszystko spowił gryzący dym. Z narożnej wieży strzelał seriami karabin maszynowy, jednak rozjuszonego tłumu nie dało się odstraszyć. Karabin strzelał ponad głowami ale rykoszet ranił mocno jednego z funkcjonariuszy służby więziennej. Za murem milicja rozpedziła gapiów, a teren obstawiono wezwane do pomocy wojsko z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że strażnik z wieży wartowniczej strzelił do odpoczywających więźniów i zabił bez powodu Stanisława Barana, który za parę tygodni miał wyjść na wolność. Zbrodnia ta sprowokowała więźniów do buntu.

Jednak nikt uciekać nie myślał. Gdy po spaleniu drewnianych elementów wieży, wybito drzwi i przekonano się, że funkcjonariusz uciekł i skrył się w szeregach wojska, tłum uspokoił się i na rozkaz spokojnie powrócił do cel. Wszystkich uczestników zajścia ukarano przeniesieniem do innych więzień o zaostrzonym rygorze oraz dodatkowymi wyrokami. Tylko morderca nie poniósł żadnych konsekwencji. Tak to w PRL bywało.

Nazajutrz w kopalni było dużo wolnych miejsc. Sztzygar musiał inaczej obsadzić stanowiska robocze. W miejscu gdzie dotychczas pracowało dwóch ludzi musiałem poradzić sobie sam. W miejscu tym przeżyłem najdziwniejszą i najbardziej niezrozumiałą przygodę swego życia. Tego co mnie spotkało wyjaśnić się nie da, przynajmniej na gruncie materialistycznym. Polemikę gotów jestem podjąć z najlepszymi filozofami teorii marksistowskiej.

Na dole długiego upadowego chodnika o nachyleniu ponad dziesięciu stopni musiałem odbierać przybywające z góry puste wozy, a na ich miejsce odsyłać naładowane węglem. Liną ciągniętą haszplem przesyłano mi cztery wozy puste, na bonie obracałem je i umieszczałem na lewym torze. Stąd brałem pojedynczo i pchałem na filar, to jest na szeroki sześciometrowy chodnik wydobywczy. Z filara zabierałem wóz pełen, pakowałem na bonę, wykręcałem o dziewięćdziesiąt stopni i umieszczałem na krótkim torze na wprost pochylni. Tor ten kończył się ścianą węglową. Gdy naładowano wszystkie cztery wozy podczepiałem do nich linę i dwoma uderzeniami w biegnącą chodnikiem rurę dawałem sygnał do odjazdu. Pracy miałem za dwóch. Obsługiwałem bono oraz transportowałem wozy do przodka. Zaczęła się kolejna szychta. Ostatni górnicy zmiany przeszli do przodków. Pneumatyczne świdry z jazgotem wgryzły się w węglową ścianę. Zawarzały wentylatory tłoczące grubymi lutniami świeże powietrze.

Zadzwonila metalowa rura. To więzień pracujący na haszplu dał znak, że posyła na dół puste wozy. Za minutę brudne pokryte mokrym miałem pudła spadły na stalowe bono i stanęły przyhamowane utrzymującą je liną. Prędko rozczepiłem je i skierowałem na boczny tor. Od strony chodnika zabrzmiał głos przodowego – Pozór, pali się.

Kiedyś, gdy pierwszy raz usłyszałem takie ostrzeżenie nie wiedziałem co się pali.

Słumiony huk targnął powietrzem, po nim drugi, trzeci i jeszcze kilka. Zatrzęsły się skalne ściany i płomień karbidowej lampy. Nozdrza wypełnił słodkawy duszący dym z odstrzału i spalonych lontów. Na filarze odstrzelano węgiel. Gdzieś wysoko nade mną świeciło słońce, pachniały pierwsze kwiaty było ciepło i miło. Tutaj panował zawsze ten sam półmrok zamknięty czarnymi prostokątami chodników. Zawsze jednakowo iskierkami odbitych promieni błyszczał węgiel. Zawsze monotonnie szemrała wyciekająca woda. Tam na powierzchni zostały troski i marzenia, tutaj była tylko ciężka praca, pośpieszna i niebezpieczna. Wziąłem pierwszy wóz i pogałem z nim po nierównym torze. Zabrałem pełny, i z powrotem. Gdy było cztery – sygnał po rurze i odjazd. Każdemu krokowi towarzyszyła lampa, nieodłączny przyjaciel górników. Po wysłaniu wozów stawiałem lampę przy nogach i robiłem małą gimnastykę dla rozprostowania zmęczonych i bolących pleców.

Nie wiem ile już transportów wysłałem do góry. Z filarów w ciągu szychty wydobywano przeciętnie nawet ponad sto wozów. Każdy ważył z urobkiem półtorej tony. Były więc to setki ton przetransportowanego ciężaru. Gdy kolejne cztery wozy poszły pod górę byłem już mocno zmęczony. Postawiłem lampę przy nogach na bonie i rozpocząłem gimnastykę kości. Upłynęła może minuta gdy usłyszałem przeciągły narastający grzmot. W pierwszym momencie pomyślałem, że wali się kopalnia, że hałas ten pochodzi ze skręcanych i zgniatanych stempli zabudowy chodnika. Za chwilę wszystko runie. Dokąd uciekać jeśli nie widać skąd idzie niebezpieczeństwo. Stałem kompletnie zdezorientowany i przerażony. Wtem huk, kłęb ognia i ciemność. Chyba się zawaliło ale mnie nic nie boli, ja żyję. Może

stemple dały mi ochronę, wyciągnąłem ręce w lewo w prawo, dookoła wolna przestrzeń. Kopalnia się nie zawaliła, może dalej, ale skąd ten ognisty wybuch koło mnie? Daleko w chodniku zamajaczyły ognie lamp biegnących ludzi. Usłyszeli huk i biegną zobaczyć co się stało.

– Chopie, ty żyjesz?

– Żyję.

W świetle ich lamp zobaczyłem pogięte i połamane blachy wózków, ze sterczącymi osiami kół. Zrozumiałem, że dwa ostatnie wozy z wysłanego przeze mnie transportu odczepiły się i z dużą prędkością wpadły na węglową ścianę. Ogień powstał z uderzenia żelaza o żelazo i z mojej rozbitej lampy karbidowej. Blachy które obserwowałem nie przypominały już zgrabnych węglowych wagoników. W tym miejscu rodzi się słuszne pytanie. Gdzie jest ta niezwykłość?

Wypadek zakończony szczęśliwie. Zdarzeń podobnych w życiu obserwujemy wiele. Śpieszę wyjaśnić, że jako pilot poddawany byłem każdego roku rygorystycznym badaniom lekarskim. Żadnych zaburzeń psychicznych ani urojeń nie stwierdzono. Przeżyłem wiele wypadków i sytuacji i zawsze pamiętałem wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Dlaczego w tym jednym wypadku doznałem jakiejś dziwnej jednosekundowej amnezji? Stałem tyłem do nadjeżdżających wozów, nie widziałem, ich i z tej strony niebezpieczeństwa się nie spodziewałem. Zdezorientowany nie wiedziałem gdzie uciekać, więc nigdzie nie uciekałem. Stałem na środku toru przy lampie. Dlaczego zginęła lampa a nie ja?

Nadal uważam, że jest to zagadka w pewnym systemie myślowym nie do rozwiązania. Jak działanie matematyczne niewykonalne w określonym zbiorze liczbowym. Trzeba rozszerzyć zbiór. Trzeba zmienić sposób myślenia, wtedy się to zrozumie. Do końca szczyty z awarią się uporano. Zniszczone wozy poszły na złom, węgiel załadowano na inne, miejsce uprzątnięto a ja wyjechałem na powierzchnię. Widząc spokoje popołudnie, świeżą zieleń drzew i czując łagodny powiew wiosny, opanowało mnie dziwne uczucie. Poczulem jak w sercu zbiera żal, spóźniony lęk oraz nieokreślone odrętwienie. Uczucia te były chyba wynikiem nerwowego odprężenia, przejścia na luz i obudzonych refleksji. Tak niewiele brakowało bym został na dole między wozami. Czy wtedy też świeciłoby słońce tak obojętnie?

Patrzyłem na otaczający świat i przyrodę jakbym pierwszy raz ją ujrział, jak patrzy się na coś czego się bardzo dawno nie widziało. Później nie raz jeszcze ratował mnie przypadek a raczej opatrność. Nie raz zaglądałem niebezpieczeństwu w oczy, ale uczuć podobnych już nie doświadczyłem. Do niebezpieczeństwa można się chyba przyzwyczaić, a nawet doszukać w nim swoistego uroku. W nim pewnie tkwi źródło brawury i bezmyślnego wyzywania losu, szczególnie gdy się jest młodym. Wiosna trwa krótko. Ledwie na drzewach rozwiną się wszystkie kwiaty, a już wdeptane w ziemię płatki znaczą jej koniec. Spojrzysz na pola a tu już łany zbóż się wykłosiły, trawy falujące na wietrze leżą już ścięte na pokosach i zapachem świeżego siana oraz dźwiękiem kos ogłaszają początek lata. Dźwiękiem kos odzywała się wolność. Po tej stronie murów słowo to nabiera szczególnego znaczenia. Z tamtej strony jest tylko jednym z wielu, ma swoją pozycję w słowniku i nic więcej. Tutaj brzmi jak muzyka, wyzwala tysiące pragnień, budzi uczucia. Aby to zrozumieć trzeba to przeżyć. To nieprawda, że są ludzie, którzy w więzieniu czują się dobrze. Nawet kwiat zamknięty w domu listki kieruje ku słońcu. Wprawdzie niektórym przestępcze życie weszło w nałóg. Na wolność wychodzą chyba tylko po to aby dokonać następnego przestępstwa. Ludziom tym możemy się dziwić, możemy ich potępiać, jednak i oni tęsknią za wolnością. Wolność jest naturalną potrzebą człowieka jak chleb nasz powszedni. Chwila ta nadeszła niespodziewanie. Po przyjsciu z kopalni wezwano mnie do kancelarii.

– Idzicie na wolność. Przygotujcie wszystko do zdania, fryzjer was ostrzyże i ogoli. Umyjecie się i odprasujecie cywilne ubranie.

Nazajutrz w ciężkiej żelaznej bramie otworzyły się przede mną nieduże drzwi.

Nie wiedziałem jak się poruszyć. Czy naprawdę mogę iść gdzie chcę. Czy nikt za mną nie krzyknie, czy nikt nie wymierzy lufy karabinu? Stanałem po drugiej stronie muru. Furtka się zamknęła. Było cicho i spokojnie. Lipcowe słońce świeciło pełnym blaskiem. Przede mną szeroka droga, za mną wysokie wieże wartowni. W oczach kręciły się łzy. Pierwsze kroki na wolności skierowałem do szkoły, było po drodze.

Do Stalinogrodu przyjechałem wieczorem. Co tu robić do rana, w nocy przecież niczego nie załatwię. W lipcu noce są ciepłe, pójdę do parku i posiedzę na ławeczce. Ledwie usiadłem zjawiał się patrol milicyjny.

– Co tu robicie, dokumenty.

Jedynym moim dokumentem była karta zwolnienia z więzienia.

– Chodźcie z nami.

Szliśmy długo, no i dobrze, nie spieszy mi się. Na komisariacie zamknęli mnie w celi. Po dwóch godzinach przesłuchanie.

– Co robiliście nocą w parku?

– Chciałem przeczekać do rana

– Gdzie mieszkacie?

– Na wsi koło Płocka

– Dlaczego nie jedziecie do domu?

– Bo rano mam sprawę do załatwienia w szkole

Zanim wszystko wytłumaczyłem i panowie mundurowi to zrozumieli upłynęły następne dwie godziny. Gdy wszystko się wyjaśniło stali się bardziej uprzejmi. Wytłumaczyli mi, że nocą w parkach grasują różnego rodzaju złodzieje i opryszki. Okradną i pobiją. Prosiłem aby wobec tego pozwolili mi jeszcze parę godzin pozostać na komisariacie. Pozwolili.

W sekretariacie szkoły dowiedziałem się, że uczniowie z jaworznickiego punktu konsultacyjnego zdają maturę w szkole na sesji wiosennej w maju, i jesiennej we wrześniu. Kazali jechać do domu i przygotować się do egzaminu. O terminie zostaną powiadomiony. Wróciłem do mamy, bo gdzie miałem wracać? Ojciec ożenił się po raz drugi, założył nową rodzinę i wyjechał z Parzenia do powiatu sierpeckiego.

Obie siostry miały wakacje. Ewa zdała do klasy czwartej a Hania od dziewiątej. Będąc dziewczyna energiczną, samodzielna lecz niezbyt zdyscyplinowana obraziła się na szkołę i postanowiła ją zmienić. W ciągu wakacji załatwiła sobie sama przeniesienie z Małachowianki do liceum w Sobieszynie koło Ryk i Dębina.

Szkoła była pięknie położona w starym parku. Przy szkole był internat. Z końcem wakacji pomogłem jej ulokować się w nowym miejscu. Mama również postanowiła zmienić miejsce zamieszkania. We wsi Proboszczewice koło Płocka kupiła cztery hektary ziemi z zamiarem pobudowania się i stworzenia sobie lepszych warunków, a przede wszystkim nam dzieciom. W Bądkowie przyjaźniłem się z kilkoma chłopcami w moim wieku. Byli to chłopcy z rodzin rolniczych, przyzwyczajeni do ciężkiej pracy w swoich gospodarstwach. Życie traktowali poważnie i to nas do siebie zbliżyło. Ja pomagałem im czasem w pracy, wiele się od nich ucząc. Za to w wolnym czasie łapaliśmy ryby w jeziorze. Czas mijał niepostrzeżenie.

W drugiej połowie września otrzymałem zawiadomienie ze szkoły o terminie egzaminu dojrzałości. Egzaminy trwały kilka dni. Pisemny z języka polskiego i matematyki oraz ustny ze wszystkich wykładanych przedmiotów. Zakwaterowano przybyłych abiturientów w hotelu robotniczym niedaleko lotniska. Tutaj spotkałem po raz pierwszy żołnierzy z batalionów górniczych z wiosennego poboru, a wśród nich znajomych z Jaworzna. Dowiedziałem się, że pensjonariusze zakładów karnych, a szczególnie tak zwani „polityczni” mają już zarezerwowane miejsca w kopalniach. Po zdaniu egzaminów pożegnaliśmy się słowami: „do zobaczenia w kopalni”.

Pod koniec miesiąca mocno skaleczyłem stopę szkłem z potłuczonej butelki. W ośrodku zdrowia założono mi siedem szwów. W fakcie tym nie było by niczego godnego odnotowania, gdyby nie powołanie do wojska.

„Do woja marsz, do woja a ty nie płacz miła moja

Tam ofermę na gieroja, na kowboja zmieniają w mig”

Siódmego października 1955 roku zgłosiłem się na wezwanie Wojskowej Komisji Rejonowej w Płocku. Myślałem, że gdy pokażę moją skaleczoną nogę to komisja się rozplacze i zwolni mnie do cywila, ale oni powiedzieli tylko abym zgłosił się w jednostce do lekarza. Co było robić? Mama na



Szkolenie rekrutów w Kamiennej Górze – szeregowy Cygański pierwszy z prawej.

WKRze zdjęła mi szwy, zabandażowała i w kamasze. Budynek wypełniony był poborowymi. Zewsząd dochodził gwar podnieconych głosów. W sąsiednim korytarzu jakiś kapral wyczytywał długa listę nazwisk. Przed niektórymi drzwiami tłoczyli się ludzie. Niewielka grupa odchodziła z sierżantem na dworzec. Do uszy dobiegały urywki zdań:

- Cześć, zobaczymy się za dwa lata
- Dokąd idziecie!
- Na granicę, a wy?

Za oknem czterech chłopaków odbijało okazałych rozmiarów butelkę.

„Nie rozpaczaj moja luba, bo to jeszcze nie jest czas” darł się podpity głos.

„Wtenczas będziesz rozpaczała, jak wywiozą w pole nas”

Coraz więcej grup opuszczało podwórko WKRu. Zwarte kolumny dwójek lub czwórek prowadzone przez mundurowych konwojentów, odchodziły nierównym krokiem z węzełkami ostatniej cywilnej kolarci w rękach. Za nimi ocierając chusteczkami łzy podążały matki, zony, narzeczone. Odeszli już chłopcy do KBW, lotnictwa, marynarki. Odeszli kierowcy, pancerniacy, piechurzy. Kilkunastu pojechało do szkoły podoficerskiej. Na placu zostali ostatni tegoroczni rekruci. Większość z nich nie domyślała się nawet istnienia formacji, w której będą pełnić zaszczytną służbę wojskową. Nikt nie chciał powiedzieć im gdzie pojedą i w jaki sposób będą strzegli swego kraju.

- Dowiecie się później, nie martwcie się, znajdziemy zajęcia i dla was – pocieszał drwiący głos.

Ja wiedziałem gdzie spędzę lata służby. Wynik rozmów z przyszłymi kolegami wcale mnie nie zdziwił. Synowie szewców, krawców, właściciele drobnych warsztatów to były przeżytki kapitalizmu. Ci którzy mieli rodziny za granicą to element ideologicznie niepewny. Większość jednak stanowili kulacy, czyli rolnicy posiadający gospodarstwa o powierzchni powyżej dziesięciu hektarów których ojcowie w większości odbywali kary więzienia za nie wywiązywanie się z obowiązkowych dostaw płodów rolnych, inaczej za ziarka. Grupa ta była szczególnie znienawidzona i szykanowana w PRLu za to, że stanowiła klasę wyzyskiwaczy wiejskich, a tak naprawdę za umiłowanie i przywiązanie do ziemi, za to, że nie chcieli oddać się do kołchozu. Politycznym byłem chyba tylko ja.

W sumie stanowiliśmy element wrogi, godny tylko katorżniczej pracy. Najpierw jednak trzeba było ten element zastraszyć i zmusić do ślepego posłuszeństwa. Pochmurny ósmy rano października powitaliśmy w Kamiennej Górze. Na dworcu formowały szeregi przybyłe z wszystkich stron kraju grupy przyszlých żołnierzy górników. Dołączyliśmy do nich. Po chwili długi wąż czwórek ruszył w kierunku koszar. Jednostka, do której przybyliśmy była przeznaczona do szkolenia rekrutów. Zarosłe trawą i chwastami alejki świadczyły, że do niedawna nie było tu nikogo. Teraz wszędzie krzątali się młodzi żołnierze z łopatami. W przydzielonym nam bloku czekał już fryzjer, potem marsz do łaźni i umundurowanie. Jak wyklute piskłę w niczym nie przypomina zgrabnego ptaka, tak świeżo umundurowany rekrut nie podobny jest do prawdziwego żołnierza. Nieumiejętnie włożony mundur, źle dopasowane spodnie, wisząca jak na czubku łysego kołka zmięta czapka, odwrotnie zapięte spinacze, duże buty, niezgrabna sylwetka i do tego wszystkiego głupia mina. Wiele kilometrów trzeba było przebiec zanim mundur ułożył się jako tako na cywilnym ciele.

– Torów przeszkód możecie nie czyścić, stamtąd trawę wyniesiecie niedługo na guzikach. A teraz w prawo zwrot, krokiem marsz!!!

Ciężki but uwierał skaleczoną nogę. Poszedłem do dowódcy plutonu.

– Proszę pana, chciałem iść do lekarza, gdyż ...

– Co, baczność!!!

– Po pierwsze, mówi się obywatelu kapralu, a po drugie sam was jutro wyleczę. W tył zwrot, odmaszerować.

Nazajutrz głośny krzyk komendy wdarł się w ciszę śpiących żołnierzy.

– Pobudka, pobudka, pobudka!!! – raz, dwa, trzy – stój nie rusz się, ostatni do mnie

Wszyscy byliśmy ostatnimi.

– Przygotowanie do gimnastyki – krzyczał ten sam głos.

– Zbiórka przed blokiem na gimnastykę.

– Ruszać się do jasnej cholery, ostatni do mnie

Złapałem w rękę nie założony but i rzuciłem się do drzwi. Nadepnąłem komuś na wlekącą się z tyłu onucę. Ostatni zbiegli na dół dopinając w biegu opadające spodnie.

– W prawo zwrot, biegiem marsz, raz dwa, raz dwa, czoło prędkiej

Z bloków wysypywały się inne kompanie i plutony. W piersi brakło tchu, za niektórymi z biegnących ciągnęły się nie zasnurowane rzemienie butów. Kilku usiłowało wysikać się w biegu.

– Czoło, wolniej, wolny krok, stawaj w prawo

– Gimnastyka na szesnaście temp – pokazuję, tempo raz, tempo dwa...ćwicz!

Tempo raz, tempo dwa – wróć, - pokazuję jeszcze raz.

Po gimnastyce pośpieszne sianie łóżek, dalej na tempa mycie się, ubieranie i...

– Zbiórka na apel – co to ma być? – zbiórka!!!

– To jest gówno nie zbiórka, pod płot w tył rozejść się!!!

Pobiegliśmy przed siebie.

– Pluton baczność, w dwuszeregu zbiórka!! Raz dwa trzy, stój, nie rusz się.

Czterech pierwszych zostało odciętych

– Reszta pod wartownię w tył rozejść się

– Co to jest? – bieg, padnij, czołganiem, pelzaniem naprzód, powstań, baczność

– Na przedłużenie plutonu w dwu szeregu zbiórka!!!

Ostatni znowu nie zdążyli się ustawić. Nie należę do najwyższych. Moje miejsce było na końcu dwuszeregu, a ci z końca biegali najwięcej. Wreszcie zdołaliśmy stanąć poprawnie. Na pierwszym apelu poznaliśmy swych bezpośrednich przełożonych. Dowódca plutonu w swoich powitalnych słowach oświadczył – Mnie już znacie, ale niedługo poznacie jeszcze lepiej. Na pewno nazwiecie mnie sk...synem, ale wiedźcie, że całe życie będziecie pamiętać kaprala Gromotkę.

Od tego dnia zaczęło się. Śniadanie chcieliśmy jeść jak w domu. Gdy pierwsi żołnierze usiedli bez komendy za stołem, wyprowadzono ze stołówki wszystkich. Na placu znowu biegi, trochę pelzania, kilka zbiórek. Stołówka była oddalona od bloków koszarowych około stu metrów, jednak nigdy nie

sądziłem, że przebycie tej drogi będzie aż takie trudne. Obiad – stanęliśmy za stołami, padła komenda – siad, zaczynać jedzenie – zaszczękały łyżki. Dopiero niektórzy zjadłszy zupę zabrali się do drugiego, gdy dano komendę „kończyć jedzenie”.

Wsunałem kawałek chleba do kieszeni. Myślałem, że będę miał czas go zjeść.

– Koniec jedzenia, wstać i siad, wstać siad – wstać wychodzić. Przed stołówką zbiórka.

I znowu biegi, czołganie. Znowu trudna stu metrowej długości droga. Po pierwszym obiedzie dowiedzieliśmy się, że w wojsku trzeba dwa razy kłaść łyżkę do gęby a raz łykać. Później poznaliśmy jeszcze wiele innych ciekawych rzeczy i zdobyliśmy wiele życiowych doświadczeń.

Po tygodniu umieliśmy już ładnie maszerować, zgrabnie oddawać honory i głośno śpiewać. Pod zasiekami torów przeszkód nie było już trawy. Jej miejsce zajęła wytarta guzikami mundurów bruzda. Poręcze drażków i ścian płaczu były dokładnie wyszlifowane rękami daremnie wspinających się, a pasy mundurów dopięliśmy o cztery dziurki dalej niż przed tygodniem. Czasu nie było nawet na napisanie listu do domu i chyba dlatego nikt się nie skarżył. Rekrut jest do tego stopnia dziwnym i niezdarnym człowiekiem, że najprostszej rzeczy którą w cywilu wykonywał autentycznie w wojsku nie potrafi powtórzyć. Tak więc nie umieliśmy chodzić, stać, rozmawiać i jeść. Niektórzy nie znali się na zegarkach, a nawet zapominali swych nazwisk. Rekrut nie potrafi zwrócić się do przełożonego, nigdy nie może wykonać niczego na czas. A przecież to takie zdaje się proste. Na przykład ja melduje dowódcy drużyny, że chcę iść do ubikacji. Wysłany zostaje za drzwi bez odpowiedzi. Okazało się, że przestawiłem słowa wyuczonej na pamięć formuły. Wracam więc, staję na baczność i recytuję;

– Obywatelu starszy szeregowy, szeregowy Cygański z prośbą o pozwolenie pójścia do ubikacji.

– Co, nie wiecie jak macie stawać? – to są trzy kroki, w tył zwrot. Zameldować jeszcze raz.

Gdy szedłem po raz trzeci dowódca przechadzał się po pokoju. Podeszedłem, przyjąłem regulaminowy odstęp nieco z tyłu z lewej i powtarzam swoje. Dowódca groźnie spojrzał na mnie, potem na zegarek

– Daję wam trzy minuty czasu.

– Rozkaz.

– Odmaszerować.

Dowódcami byli kaprale i starsi szeregowi, tak jak my odbywający zasadniczą służbę wojskową. Powołani do wojska wiosną skierowani zostali do szkół podoficerskich. Tutaj zapoznawszy się z wojskowymi metodami pedagogicznymi „przez nogi do głowy” wcielali je w życie mszcząc się za swój trud na młodszych o pół roku kolegach. Wybiegłem z sali jak z procy, nawet nie zauważyłem jak spoza bloku wyłonił się kapral.

– Halo szeregowy, a honory to ja wam będę oddawał? Widzicie ten płot? – biegiem – wróć. Nie potraficie przyjąć postawy? Jeszcze raz biegiem.

Pochyliłem się i ugiąłem ręce w łokciach. ‘Marsz’ Pobiegłem, gdy wróciłem do sali minęły wyznaczone minuty.

– Zgłoście się do służbowego i wyszorujcie kible

– Rozkaz

– Wykonać!!!

Po kolacji mieliśmy na Sali naukę nowych piosenek. Maszerując w miejscu śpiewaliśmy, a ja ponadto ukryty za plecami kolegów pisałem w ręku list.

Za kilka dni przyszła odpowiedź. Staliśmy przed blokiem na wieczornym apelu. Wyczytano rozkaz na dzień jutrzejszy, udzielono kilku pochwał za zdyscyplinowanie i osiągnięcia w wyszkoleniu.

– A teraz wojsko, coś z kraju – zabrzmiał głos szefa kompanii

Tak było zawsze jeśli chodziło o listy. Wywołani koledzy regulaminowo podchodzili po odbiór. Padło moje nazwisko.

– Jestem!

– Wystap!

Klepnąłem w ramię kolegę stojącego przede mną, gdy usunął się wystąpiłem do pierwszego szeregu a stąd trzy kroki przed siebie.

– Do mnie!

Podszedłem sprężystym krokiem i stanąłem na baczność. List należało wziąć lewą ręką równocześnie prawą salutując. Potem w tył zwrot i do szeregu. Ciekawość nie dawała spokoju, ale na przeczytanie listu znalazłem czas dopiero za dwa dni. Gdy listy rozdano szef spojrzął na zegarek. W szeregach zaczął się szum, to koledzy z tylnych rzędów zaczęli już się rozbierać aby zaoszczędzić na czasie.

– Żołnierze – zabrzmiał donośny głos – mamy sześć minut czasu. Buciki wyczyścić, nóżki umyć, mundury złożyć w kostki i wojsko śpi. A teraz w tył.

Zamiast komendy rozejść się szef dmuchnął w otwartą dłoń. Oznaczało to, że wszyscy, cała kompania, stu dwudziestu ludzi ma zniknąć mu z oczy w jednej chwili. Zatrzęszczały drzwi pod naporem. Zadudniły buty na schodach. Do sypialni wpadliśmy już do połowy rozebrani. Parę minut i mundur złożony. Teraz buty w garść i bieg do umywalni. Nowe juchtowe kamasze farbowały nogi. Oszczędzając czas tarliśmy stopy o kamienną posadzkę, równocześnie myjąc pod kranem buty. Między gwoździami, blaszkami zelówek nie mogło być ani odrobiny błota. Gdy buty były czyste należało je zapastować dwoma rodzajami pasty. Innym rodzajem zelówki z gwoździami, a innym wierzch buta i przestrzeń między podeszwą a obcasem. Czynność ta nie mogła trwać dłużej niż dwie minuty. Komenda „przygotowanie do snu” była sygnałem do zakończenia mycia. Rwaliśmy więc na wyścigi do góry, i tu ukrytymi kawałkami cegły szorowaliśmy nogi czyszcząc zdrapaną farbę moką onucą. Gdy na korytarzu rozległ się głos „cisza nocna” każdy musiał zamknąć oczy i leżeć na prawym boku z prawą ręką pod głową, a lewą wyciągniętą wzdłuż ciała na wierzchu koca. Teraz do akcji wkraczał dowódca plutonu w charakterze komisji porządkowej. Służbowy z opaska na ramieniu podawał mu buty, a on odrzucał je jako brudne na środek sali. Potem pobudka do czyszczenia butów. Po butach przychodziła kolej na nogi, po nogach na kostki mundurów i tak mógł ganiać dokąd mu się nie sprzykrzyło. Parę razy gdy kupa mundurów, butów i taboretów piętrzyła się na środku sali padały słowa:

– Liczę do stu, wszyscy muszą być ubrani i stać w szeregu.

Przyzwyczajeni do sekundowych terminów odetchnęliśmy z ulgą, ale wtedy gasło światło a głos dowódcy liczył przeskakując cyfry.

– Raz, dwa, trzy.....

Namacalem w tłumie jakieś spodnie, ciągnę je do siebie. Okazało się, że spodnie te kolega usiłował już wciągnąć na plecy myśląc je z bluzą munduru.

– 56,67 – liczył dalej głos.

Wpadł mi pod nogi jakiś but, założyłem go, mam drugi, wprawdzie też lewy ale najważniejsze, że jest. Zdołałem wyrwać mundur.

– 99... dodatek dla młodego rocznika, dodatek dla łajzy ... i 100.

Zapala się światło, wybuch śmiechu, lecz po chwili wesołość pierzcha gdy komicznie ubrani idziemy na dwór. Potem jeszcze raz mycie się i spać. Gaśnie światło a życzliwy głos życzy „dobranoc”. Wyrwam się z odpowiedzią. Światło się zapala – Co to? Wojsku się spać nie chce? Zbiórka na środku Sali!!!

Koledzy są wściekli. Nigdzie jednak nie poszliśmy, skończyło się na strachu.

W Sali sypialnej było nas szesnastu, cała drużyna. Trzy drużyny tworzyły pluton, trzy plutony kompanię. Dostyc szybko wyróżniłem się spośród innych i zostałem jednym z czterech przodujących żołnierzy kompanii. Byłem wysportowany i wytrzymały. Kondycję zdobyłem w pracy w Jaworznie, a zręczność wyniosłem jeszcze ze szkoły. Ćwiczenia na przyrządach takich jak drażek, poręcz, koń, kozioł czy skrzyń dla większości kolegów były nie do wykonania, ściany płaczu wielu nie mogło pokonać.

Ja z tymi ćwiczeniami nie miałem problemu. Potrafiłem więcej niż wymagał tego program wojskowy. Tory przeszkód pokonywałem szybko i bezbłędnie. Gdy inni męczyli się zużywając resztki sił ja po wykonaniu ćwiczenia miałem czas na odpoczynek. Sprawnością imponowałem naszym dowódcom toteż często powierzali mi dowodzenie plutonem, lub jego częścią podczas zajęć. Rekruci z innych kompanii salutowali mi nie wiedząc, że jestem takim samym szeregowym jak oni. Gdy pluton atakował tyralierą czołgając się lub biegiem rozwijając linię kątem w przód albo w tył, ja z częścią drużyny pozorowałem „npla” czyli nieprzyjaciela. Siedziałem gdzieś w krzakach i strzelałem ze ślepeków. Często po kolacji dowódca plutonu polecał mi zrobić zbiórkę i całym plutonem ćwiczyć zwroty w marszu lub śpiew. Gdy nauczyliśmy się śpiewać i maszerować można było pokazać się ludziom w mieście albo iść na zajęcia w

pola poza miasto. Normalnym wojskowym krokiem jest bieg, a jeżeli marsz to ze śpiewem. Ze zmęczonych długim biegiem piersi śpiew wychodził przerywany, nierówny i niemelodyjny.

– Wróć! To nie jest śpiew. Jeszcze raz. Trzy, cztery!!!

I tym razem nie było poprawy.

– Wojsku się śpiewać nie chce! No to bieg!

I znowu zadudnił bruk pod gwoździami butów.

Listopad przyniósł ze sobą sloty, błoto i pierwszy śnieg. Ciężka glina oblepiała buty i utrudniała marsz. Ten i ów próbował omijać kałuże.

– Wojsko się błota boi? Baczość!!!

Defiladowy krok twardo klaskał na rozmięklej glinie, bryzgała brudna woda, na mundury chlapało błoto. Często marsz taki przerywała komenda:

– Lotnik, kryj się! lub – Granat!!!

Padaliśmy wtedy gdzie kto stał. Na komendę „granat pękł” podrywaliśmy się aby po chwili czołgać się pod ogniem karabinów maszynowych lub pod ogniem artylerii. Krótkimi skokami podrywając się, biegnąc i padając na przemian. Nikt oczywiście nie strzelał. Nie było ani „lotnika”, ani „granatów”. Było za to błoto, brudna woda, lub świeżo wywieziony nawóz na chłopskich polach. Dalej po bagnistej łące płynęła niewielka struga. Zimna woda rozlewała się pomiędzy gęstymi kępami traw. Idąc pojedynczo można było przeprawić się bez trudu, gdy jednak wpadała tam biegnąca kolumna większość musiała zażyć przymusowej kąpieli. Pewnego razu wróciliśmy z zajęć polowych. Tematem ich była służba wartownicza. Dowiedzieliśmy się, że wartownika z posterunku może zdjąć tylko rozprawdzający lub dowódca warty, poza tymi nawet generał nie ma do tego prawa. Rozstawiono kilka ćwiczebnych posterunków i zaczęto naukę zmiany warty, zdawania obowiązków i innych rzeczy związanych z tematem. Gdy zbliżała się pora obiadu zarządzono zbiórkę i pobiegliśmy kilka kilometrów do koszar. Po zdaniu broni zajęliśmy się przygotowaniem do obiadu gdy niespodziewana zbiórka wyгнаła pluton przed blok. Dowódca w paru słowach wyjaśnił co się stało. Brakuje jednego ćwiczebnego karabinu.

– Kto przyszedł do koszar bez broni? Wystap!

Nikt nie wystąpił. Po godzinie musztry znowu zbiórka. I tym razem nikt nie wiedział co stało się z nieszczęsnym karabinem. Dalsze ćwiczenia również nie przywróciły pamięci.

Po obiedzie pobiegliśmy w pola szukać zguby. Po drodze szturmowaliśmy niewidzialnego wroga, padaliśmy pod granatami, chowaliśmy się przed „lotnikiem” i wreszcie solidnie zmęczeni stanęliśmy na miejscu porannych zajęć. Jakie było nasze zdziwienie gdy na wzgórzu pod lasem zobaczyliśmy stojącego na warcie kolegę z poszukiwanym karabinem w rękach. Skoro nikt go z posterunku nie zdjął to on sam nie miał prawa zejść. Chłopak otrzymał pochwałę od dowódcy kompanii, a co myśmy przy okazji dostali tego nikt nigdy nam nie odebrał. Innym razem wróciwszy z zajęć ujrzeliśmy na środku sypialni stos sienników, koców, prześcieradeł i słomy. Na wierzchołku tej piramidy stała puszka po konserwach. „Lotnika” gościliśmy nie raz, ale co robi tutaj to pudełko? Podobno znaleziono je na sali podczas kontroli czystości. Łóżka posłaliśmy szybko. Potem zbiórka, drużyna wzięła saper-skie łopatki i dalej w pola na ćwiczenia.

Na honorowym miejscu wędrowała blaszanka. Po przybyciu na miejsce chłopcy wykopywali duży dół, złożyli na dnie ofiarę lotnika, dół zasypali i biegiem do koszar. W innej kompanii podobny pogrzeb wyprawiono zapałce, a jeszcze w innej zarządzono zbiórkę całej drużyny na piecu. Wachlarz pomysłów był bardzo szeroki. Mimo wszystko w wojsku czułem się dobrze. Ostatnie tygodnie rekruckiego szkolenia różniły się znacznie od pamiętnych pierwszych dni. Czy zmieniły się wymagania dowódców, czy wreszcie sami staliśmy się wojskiem? Nie przewracano nam już łóżek, nikt na gimnastykę nie wybiegał z ciągnącymi się w tyle onucami, a czasu wystarczało na wszystko. Nadal należałem do grupy przodujących żołnierzy kompanii, chociaż okres najtrudniejszy przetrwałem ze zranioną nogą. Rana, która początkowo zaczęła się goić została zainfekowana i groziła zakażeniem. Poszedłem do lekarza i bez podejrzenia o symulowanie choroby otrzymałem kilka dni zwolnienia z zajęć. Koledzy w tym czasie ćwiczyli marsz defiladowy do przysięgi. Widoczne na horyzoncie pasmo Karkonoszy pokrył śnieg. W promieniach porannego słońca jak złota piramida świeciła się Śnieżka. W końcu listopada

wiezano mnie do sztabu jednostki. W pokoju za długim stołem siedziało kilku wyższych oficerów. Najwyższy rangą był pułkownik. Na widok tyłu gwiazdek trema ścisnęła mi gardło. Stanałem na baczność.

– Obywatelu pułkowniku, szeregowy Cygański melduje się na rozkaz.

– Siadajcie – wskazano mi krzesło po drugiej stronie stołu.

Zaczęło się dziwne przesłuchanie, ni to towarzyska rozmowa, ni to śledztwo.

– Jak czujecie się w wojsku?

– Dziękuję nie narzekam, wojsko podoba mi się

– Wiemy, że jesteście przodującym żołnierzem i że wasz ojciec był oficerem

– Tak walczył na froncie

– Jak oceniacie wyrok sądu w waszej sprawie, i karę?

– Nie ośmieliłbym się oceniać decyzji Wysokiego Sądu

– Tak oczywiście, ale zdanie na ten temat macie i chcielibyśmy je poznać.

– Popelnilem przestępstwo, a za to się nie nagradza. Uważam, że kara była sprawiedliwa.

– Ojciec wasz walczył o wolność Ojczyzny, ale ta walka się jeszcze nie skończyła.

Co wy byście zrobili będąc w podobnej sytuacji?

Pomyślałem sobie, że w podobnej sytuacji już się znalazłem ale głośno powiedzieć tego nie mogłem.

Powiedziałem więc:

– Każdy Polak winien jest obronę Ojczyźnie.

Nie wiedziałem jeszcze do czego zmierza nasza rozmowa i jaki jest jej cel, ale coś zaczynało mi już świtać w głowie. Pułkownik ciągnął dalej:

– Niedługo zaczniecie pracę w kopalni. Macie już w tej pracy pewne doświadczenie, że możecie spotkać się z wrogimi wam ludźmi. Na Śląsku są Niemcy, są folksdojczy i byli żołnierze Wehrmachtu. Możecie spotkać się z nienawiścią do wszystkiego co polskie. Co byście zrobili będąc świadkiem sabotaży lub innej działalności na szkodę Polski?

– Zameldował bym

– Komu?

– Zgodnie z drogą służbową, dowódcy drużyny.

Wyczułem, że odpowiedź moja była bardzo naiwna i wywołała ogólny uśmiech.

Pułkownik rzekł – W tych sprawach droga służbowa nie obowiązuje. W każdej jednostce jest oficer od takich spraw. Wkrótce go poznacie, teraz jesteście wolni.

Odmeldowałem się i wyszedłem. W co ja się wrobiłem? Jak miałem się zachować?

Póżyjemy zobaczymy.

Była mroźna grudniowa niedziela. Od rana na teren jednostki przybywali najmiłsi goście: matki, ojcowie, siostry, narzeczone. Do mnie nie przyjechał nikt. Nie szkodzi, ja swoją przysięgę złożyłem dwa lata temu, też w samotności. Za chwilę przestaniemy być rekrutami. Ostatni uroczysty apel w kompanii dobiegł końca. Olbrzymi plac alarmowy wypełniały pododdziały odświętnie ubranego wojska. Na trybunach starsi oficerowie i goście. Wzdłuż głównej alei tłum cywili. Wzruszenie malowało się zarówno na twarzach żołnierzy jak i przybyłych rodzin. Krótkie przemówienie dowódcy jednostki, ktoś mówił coś jeszcze. Padła komenda:

– Czapki zdejm!

Dwa tysiące ostrzyżonych głów zamarło w postawie na baczność. Po chwili z dwóch tysięcy piersi zabrzmiały uroczyste słowa roty przyrzeczenia. Gdy uleciały pod niebo ostatnie powtórzone wyrazy buchnął dźwięk hymnu. Kompanie ustawiły się do defilady. Nadszedł moment egzaminu sprawności. W tym dniu czuliśmy się naprawdę żołnierzami. Nerwy napięte, w sercach podniecenie. Aby chociaż się nie pomylić. Aby bezbłędnie wykonać wszystkie zwroty w marszu i manewry bronią.

– Kompania baczność!!!

Jak wystrzał rozległ się głos dowódcy – Na ramię broń, do defilady w prawo zwrot! Krokiem marsz!

Zwarta kolumna ruszyła sprężystym krokiem poruszając się naprzód prawym skrzydłem. Najbardziej baliśmy się zwrotu, który miał nastąpić.

– W lewo – podła zapowiedź.



Wizyta mamy



Na hasło „zwrot” kolumna energicznie zmieniła kierunek marszu frontem do trybuny. Jakoś poszło. Zbliżaliśmy się do trybuny. W gardle zaschło. Buty same odskakiwały od zmarzniętej ziemi w takt orkiestry.

– Baczność!

Głośniejsz zadudnił miarowy krok.

– Na rękę broń!

Szczęk karabinów i las bagnetów błyszcząc promieniami słońca, pochylił się oddając salut sztandarowi. Nazajutrz jeszcze poranek nie rozjaśnił otaczających koszarę wzgórz gdy pożegnaliśmy Kamienną Górę zabierając ze sobą tylko wspomnienia przeżytych tu dni. Jednostka Wojskowa nr 2981, Szopienice – Janów koło Stalinogrodu. Za niecały rok nazwę zmieniono z powrotem na Katowice, ale dopóki co był to Stalinogród. Kopalnia „Wieczorek” była bardzo dużym zakładem wydobywczym. Trzecią część załogi stanowili żołnierze Wojskowego Korpusu Górniczego. Widok podziemnych korytarzy nie był mi obcy.

Do pracy przystąpiłem na równi ze starymi żołnierzami, chociaż warunki pracy były zupełnie inne niż w Jaworznie. Tam dobrze utrzymane i nie zawałone chodniki umożliwiały dostateczną wentylację, a czysta woda utrzymywała stałą temperaturę i była zdatna do picia. Tutaj na pierwszym oddziale poziomu czterysta pokłady węgla leżały równo, nie tworzyły uskoków ani upadów. Nie trzeba było dopychać wózków. Taśmociągi i przenośniki same transportowały węgiel gdzie trzeba. Jednak wszędzie było duszno i gorąco. Ciało spływało potem, na który lepiał się pył węglowy. Spąg leżący pod trzy metrowym pokładem węgla był utworzony z bardziej miękkiego kamienia niż warstwy wyższe. Skutkiem tego stopniowo szybko wypiętrzał się, pękał i od dołu zaciskał chodniki łamiąc stemple.

Przejęcia, będące starymi chodnikami, poprawione z jednej strony zaciskały się i zwięzły z drugiej, przez nie trzeba było dostarczyć długie czterometrowe stemple do zabudowy wysokich przodków. W niektórych miejscach trzeba było czołgać się ciągnąc za sobą uwiązany na linie ciężki stempel. Kopalnia nie należała do bezpiecznych, w dodatku były gazy. Nie wolno było używać ognia otwartego, posiadanie przy sobie zapalek było surowo karane. Świeciliśmy akumulatorowymi lampami ręcznymi. Miejsce w których składano drewno i sypano z taśmociągu węgiel do wagoników znajdowało się w głównym przekopie. Stąd do przodków dochodziło się pieszo pokonując dwukilometrową odległość trudnej drogi. Za

to do szybu wyjazdowego wożono nas pociągiem złożonym z wagoników osobowych tzw. Barkanem. Przywożone z powierzchni drewno było mokre i ciężkie, składało się ono ze stempli, stropnic i desek. Trzy lub czterometrowy stempel ważył około siedemdziesięciu kilogramów. Stropnice były lżejsze lecz dużo dłuższe i trudniejsze w transporcie. Na zwykły trzymetrowej szerokości chodnik należało dostarczyć trzy stemple plus deski, natomiast sześciometrowy filar wymagał do zabudowy trzech stempli i stropnicy. W obydwóch przypadkach trzeba było pokonać osiem kilometrów drogi z ciężarem i osiem kilometrów drogi powrotnej. Jeżeli drzewiarz pracy tej nie wykonał, stwarzał zagrożenie życia dla pracujących na przodku ludzi, a sam zarabiał areszt, który nie wliczał się do służby wojskowej oraz nagane. Areszt mógł być zwykły lub ścisły. Ścisły stosowano tylko wobec przestępców zagrożonych wyrokiem sądowym. Areszt zwykły nie zwalniał z codziennej pracy, natomiast odbierał możliwość uzyskania przepustki czy urlopu okolicznościowego. Praca przy drzewie była ciężka, niebezpieczna i najniżej płatna. Za transport drewna i ciężkich stalowych rynien płacono trzydzieści złotych dziennie, inne prace były akordowe. Rozpoczęła się szychta, sztygar rozdzielił pracę.

Wysokie pokłady węgla wydobywano systemem filarowym. Były to szerokie sześciometrowe chodniki bite jeden obok drugiego, oddzielone od siebie jednometrową przegrodą węgla, który pozostawał nie wydobyty. Filary miały długość nie większą niż sto metrów. Gdy węgiel został wybrany, specjalne brygady rabunkowe zbierały wszystko co można było zabrać, drewno, rynny, rury i maszyny. Ogołoczone filary po jakimś czasie zawały się. Aby pokład węglowy przygotować do systematycznej eksploatacji trzeba było wyrąbać w nim sieć prostopadłych i równoległych chodników trzymetrowych oddalonych od siebie o sto metrów. Na chodniku takim pracował przodowy, przeważnie górnik cywil, ładowacz wojskowy i drzewiarz. Na filarze pracowało dwóch ładowaczy, przodowy i drzewiarz. Węgiel ładowało się na ciąg szerokich stalowych rynien zawieszonych na linach do stropnic. Rynny te poruszane były silnikiem pneumatycznym, do tyłu wolno – do przodu szybko. Taki ruch wahadłowy powodował przesuwanie się węgla w kierunku taśmociągu. W miarę wydobywania, ciąg rynien przedłużano. Zajmowały się tym specjalne dwuosobowe zespoły. Pracę przy transporcie rynien i drzewa traktowano jako sprawdzian. Jeżeli jakiś młody żołnierz z pracy tej wywiązywał się dobrze przeważnie zostawał awansowany na ślepra, czyli ładowacza. Ja awans taki otrzymałem szybko, ale najpierw trzeba było nań zasłużyć. Wziąłem więc stempel na plecy i uważając aby nie dotknąć do drutu ślizgowego pod napięciem setek volt poszedłem w dół chodnika wentylacyjnego. Gdy nie można było iść normalnie uwiązałem drewniany kłoc na przygotowanej w tym celu linie i pociągnąłem go za sobą chyłkiem. Zdarzały się miejsca, które pokonać trzeba było na kolanach lub czołgając się. Usłyszałem dochodzący z oddali szum taśmociągu i miarowy klekot obracających się rolek. Zbliżała się połowa drogi i jedna z najtrudniejszych i najbardziej niebezpiecznych przepraw. W tym miejscu za kilka miesięcy zginął kolega z mojej drużyny. Przenosił z młodszym żołnierzem stukilogramową rynnę przez taśmociąg. Gdy rynną znalazła się nad pędzącą taśmą pomocnik nie dał rady jej utrzymać, wypuścił z rąk a drugi koniec przygwoździł kolegę do stempla rozrywając mu pierś.

Z mroku wyłoniły się linie stalowych rur, zwoje grubych kabli, za nimi strumieniem czarnego węgla pędził taśmociąg. Sam człowiek miał tutaj trudności z przejściem na drugą stronę, a co dopiero obarczony takim balastem. Uwiązałem stempel do nogi i wczółgałem się pod ociekające wodą rury. Zimny i śliski metal nieprzyjemnie musnął nagie plecy. Ciągnięty kłoc zaczepił się o wystający spong. Odwiązałem linkę spod nogi i wczółgałem się spod rur. Wczółgałem się przodem, usunąłem przeszkodę i dociągnąłem stempel do linii rur. Ociekający błotem wydostałem się na wolną przestrzeń, jednak stempel pozostał tam nadal. Przesunąć go do przodu nie pozwalał taśmociąg z pędzącymi kawałkami węgla, skręcenie w bok było niemożliwe z powodu zbyt dużej jego długości. Jedyne rozwiązanie to unieść jednym końcem ponad rurami i wepchnąć nad taśmę, ale sam nie miałem tyle siły.

Najlepiej byłoby usiąść i płakać jednak nie było na to czasu gdyż następny drzewiarz domagał się wolnego przejścia. We dwóch poradziliśmy sobie ze stemplami. Dalej chodnik był przebudowany, można więc było przyspieszyć. W słabym świetle lampy niezauważyłem złamanej i zwisającej stropnicy. Uderzenie głową osadziło mnie na miejscu. Chełm głowę ochronił ale szyja i kark zdrętwiały, aż usiadłem na ziemi. Następne uderzenie wyprowadziło mnie z równowagi ostatecz-



Zabawy bronią.

nie. Czuję się wyczerpany nerwowo i fizycznie. Chwyciłem ciężką akumulatorową lampę i zacząłem bić złamany stempel. Trochę ulżyło i przyszło opamiętanie.

– Co idioto robisz? Potłuczesz lampę i będziesz musiał za nią zapłacić, a jak dasz sobie radę bez światła?

Po godzinie dobrnąłem do przodka. Zostawiłem tu przedmiot swych zmagania i pobiegłem z powrotem tą samą drogą. Jeszcze trzy takie kursy i koniec szychty. Gorąca i duszna atmosfera kopalni powodowała nadmierne pocenie się. Już po pierwszych godzinach pracy brakowało zapasu gorzkiej kawy. Spieczona wargi domagały się chociaż kropli wody. Niektórzy przykładali usta do zimnej wilgotnej rury. Inni zbierali krople wody z pneumatycznych silników napędzających ciągi rynien. Tam gdzie powietrze wydobywało się z silnika metal oziębiał się. W tym miejscu skraplała się para. Jednak powstała w ten sposób woda była zabrudzona rdzą, smarem i błotem. Stare ludowe porzekadło mówi „Jak się człowiek przyłoży to i w piekle niegorzej”. Myśmy się wkrótce przyzwyczaili. Nikt już brudów nie zlizywał i kawy też wystarczyło. Pewnego razu na nasz oddział przybyli goście. Byli to chłopcy z ochotniczego zaciągu górniczego. Przybyli aby bezpośrednio poznać kopalnię i zdecydować się na podjęcie pracy w jednym z najzaszczytniejszych zawodów. Uważam, że najpierw powinni byli obejrzeć kopalnię na obrazku. Skoro już zdecydowali się na zjazd, dlaczego przysłano ich akurat na nasz oddział? Sama droga zmęczyła ich i przeraziła do tego stopnia, że z wrażenia nie mogli mówić, chcieli tylko pić. Nazajutrz z pięćdziesięcioosobowej grupy do pracy przystąpiło dwóch, ale i ci po tygodniu przenieśli się gdzie indziej. Tutaj panowali chłopcy z orzełkami na hełmach. Samodzielnie prowadzili filary. Ładowali węgiel, wciągali drewno, kierowali maszynami. Stąd nieprzerwany strumień czarnego złota płynął i płynął gdzieś w dal. Nadszedł dzień pierwszej wypłaty, a z nią nowy rok 1956.

Święta Bożego Narodzenia minęły niezauważone. Tutaj nikt nie świętował ani nie stroił choinek. Liczył się tylko każdy kilogram węgla. Poinformowano nas, że przeciętny zarobek wyniósł 950 zł., jednak po potrąceniu kosztów wyżywienia, umundurowania i podatku zostało około 350 złotych. Od tej sumy należało odjąć koszt zniszczonych narzędzi pracy. Wziąłem więc swoje trzysta złotych i schowałem do kieszeni. Dobrze i to, bo mogli przecież nie dać nic. Niektórzy na pierwszą wypłatę otrzymali tylko odcinek z długim do pokrycia z przyszłych poborów. Trafność mych myśli sprawdziła

się nadzwyczaj szybko. Jadąc do pracy mundur wieszalo się na miejscu odzieży roboczej na haku podciągniętym blisko pod strop dużej hali. Koniec linki zamykało się na kłódkę. Po umyciu w łaźni przebierało się w mundur, a odzież roboczą na hak i do góry. Gdy wyjechałem po pracy na powierzchnię pieniędzy w kieszeni nie znalazłem. Skradziono je również kolegom. W nowym miesiącu drzewiarze, którzy dobrze wywiązywali się z dotychczasowej pracy zostali skierowani do ładowania węgla na przodku. Ja zostałem przydzielony przodowemu Mandreli. Był to wysoki barczysty ślązak lat około czterdziestu. Ciężka niebezpieczna praca wytworzyła, jak zresztą u wszystkich górników, charakter surowy i uparty. Szorstkie i skąpe słowa potrafiły tylko ganić. Gdy był z pracy zadowolony nie mówił nic. Jednak przyjaźń można wyczuć bez słów. Pomagaliśmy sobie nawzajem. Często mdlały mi ręce od ciężkiego pneumatycznego świdra jazgocącego nad głową. Często on oblewał się potem przy łopacie. Najważniejsze było to, że Mandrela czuł się Polakiem. Nie okazywał nam jak inni swojej wrogości. Nie chępił się swą sympatią do Niemców i nie mówił z nienawiścią:

– Jo bych vos pieronów na tych Stomplach wieszol. Bez vos ja nawet na chleb dzieciom nie mogą zarobić.

Z Mandrelą ustanowiłem swój życiowy rekord. Ładując trzydzieści sześć ton węgla podczas jednej zmiany. Pewnego razu przybywszy do przodka zastaliśmy dużą niezabudowaną przestrzeń po wybranym węglu. Widocznie drzewiarz z poprzedniej zmiany nie wywiązał się z pracy, gdyż do zabezpieczenia stropu brakowało jednego stempla. Zacząłem wiercić otwory w naznaczonych miejscach. Tymczasem Mandrela poszedł przygotowywać materiał wybuchowy do odstrzału. Po kilkunastu minutach podłużne wałki Metanitu przodowy założył w otwory i zalepił je gliną, aby siła wybuchu działała na skałę węglową. Szybko podłączyliśmy kable do odstrzału elektrycznego. Obstawiliśmy wejścia z bocznych chodników do przodka:

– Pozór – poli się!!! – krzyknął przodowy

– Uwaga – pali się!!! - odpowiedziałem z drugiej strony

Głucho zabrzmiała detonacja, zatrzęsły się skały, fala powietrza buchnęła w twarze. Na przodku coś zaczęło rwać się i sypać. Między rynnami zadźwięczały pędzące kawałki węgla. Potem cisza i swąd dymu po odstrzale. Otwarta przestrzeń stropu powiększyła się jeszcze bardziej. Ruszył ze zgrzytem i hukiem ciąg rynien, czarnym strumieniem popłynął węgiel. Coraz szybciej łopata śmigła w skąpych promieniach elektrycznej lampy, wzbijając czarny pył. Pot zalewał oczy, płynął strumieniami po nagim ciele, wlewał się w gumowe buty. Oblepiona czarną mazią skóra zaczęła swędzieć. Przodowy powiercił nowe otwory i poszedł po materiał wybuchowy i sponki zapalające gdyż węgla z pierwszego odstrzału zostało niewiele. Byłem nieźle zmęczony gdy ciąg rynien nagle stanął. Widocznie zerwał się taśmociąg i zakręcono powietrze napędzające silniki rynien. Była to jedyna okazja do krótkiego odpoczynku. Odstawiłem łopatę, wziąłem lampę i odszedłem w głąb chodnika. Zrobiłem nie więcej jak dziesięć kroków gdy podmuch powietrza rzucił mną o stempel zabudowy. Za plecami rozległ się huk. Chciałem uciekać ale się przewróciłem, tylko jakiś odprysk skalny uderzył mnie i lekko skaleczył w ramię. Na przodku piętrzył się olbrzymi stos gładów, a w górze ciemna otchłań zawału. Następny przypadek i szczęście. Czy nie za wiele tych przypadków? Wystarczyło aby taśmociąg zerwał się tylko dziesięć sekund później a zostałbym pod zwałem gładów. Tylko dziesięć sekund.

Dni płynęły w takt marszowych kroków i słów pieśni:

„A w domu rodzinnym wspomnimy ten czas, i każdy się z nas roześmieje,

Jak z koszar Janowa wyszliśmy nie raz, w niejedną planową niedzielę”.

W całej kompani maturę posiadałem tylko ja, gdyż ci, którzy ja mieli zostali przeniesieni do prac kancelaryjnych w administracji. Za dobrą pracę i nienaganną postawę otrzymałem tytuł wzorowego żołnierza, a z nim dużo różnej społecznej pracy. Gdy drużyna lub pluton po przyjeździe z kopalni wykorzystywany był do prac porządkowych lub obierania ziemniaków, ja w tym czasie pisałem coś w kancelarii kompani lub jednostki, czytałem referaty na zajęciach politycznych, dekorowałem salę i gazetkę ścienną. Kiedyś wezwał mnie zastępca dowódcy kompanii. Chorąży nie wymawiał „r” zastępując je zgłoską „rl”. Zameldowałem się na rozkaz.

– Cygański, zrobicie zebranie ZMP

– Ale ja obywatelu chorąży nie należę do ZMP – odparłem

– Nie chrzańcie, należycie i jesteście przewodniczącym koła w kompanii.

Od tej pory zebrania, referaty i posiedzenia zajęły mi resztę wolnego czasu.

Wczesną wiosną wezwano mnie i kilku kolegów z kompanii do sztabu. Do pokoju jakiegoś biura wchodziliśmy kolejno, reszta czekała na korytarzu. Ci którzy wizytę zakończyli zasypywani byli pytaniami ciekawskich.

– Po co nas tu wezwali? O co pytają?

Odpowiedzi były jednakowe:

– O rodzinę, jak czuję się w wojsku? Jak podoba mi się praca?

Gdy wszedłem ja rozmowa była krótka. Przywitał mnie oficer w stopniu porucznika.

– W Kamiennej Górze rozmawialiście z pułkownikiem informacji wojskowej. O wszystkim co zaobserwujecie na kopalni będziecie meldować dla mnie. Przychodzić z pominięciem drogi służbowej w wolnym czasie i nikomu o tym nie mówić.

Kolegom na korytarzu powiedzcie, że pytałem się was o sprawy rodzinne. Nigdy do tego pokoju nie poszedłem dając tym dowód niechęci do tego rodzaju służby. Po miesiącu informacyjny jeszcze raz zrobił podobny spęd i gdy wszedłem oświadczył – Rozwiązuję z wami współpracę. Nasza działalność stanowi tajemnicę. O rozmowach ze mną nikomu ani słowa pod groźbą najsurowszej kary. Odmaszerować!

W ten sposób przestałem być agentem wojskowej bezpieki zanim zacząłem.

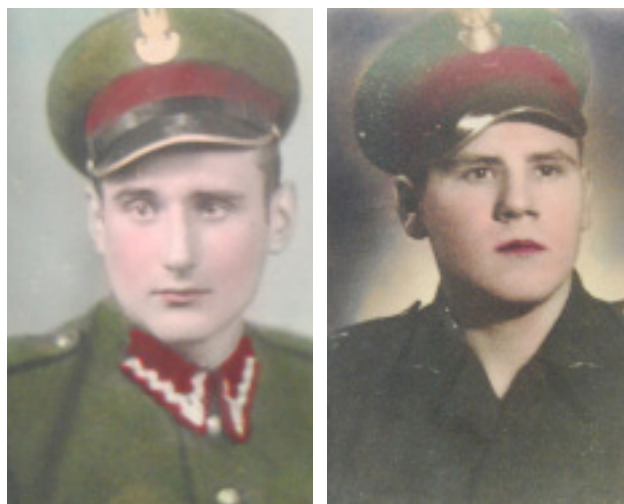
Zbliżał się dzień pierwszego maja, największe święto oprócz dnia powstania PRLu.

Dowódca drużyny powiedział, że zostałem przedstawiony do awansu na starszego szeregowego. Miło będzie pokazać się w domu z belką na pagonach. Awanse posypały się na pierwszego maja jak z rogu obfitości, ale ja go nie otrzymałem. Dowódca drużyny wzruszył ramionami:

– Nie wiem co się stało, dlaczego Cię nie awansowali?

Wystarczy, że ja wiedziałem. Informacyjny skreślił mnie, gdyż wrogów się nie awansuje, ale do doroznienia na kolegów byłem dobry. W tym miejscu ciśnie się na usta brzydkie słowo, nie dlatego, że czułem się zawiedzony – mam ich gdzieś i niczego od tych panów nie potrzebuję, ale hipokryzja na której zbudowany jest cały system jest wstrętna. Z podobnymi spektaklami polegającymi na spędzeniu wszystkich aby spotkać się z jednym miałem jeszcze w więzieniu, tylko wtedy nie wiedziałem, że był to kamuflaż ukrywający kapusia. Chwała Bogu, że dni tego systemu były już policzone. Nie całego PRLu, na to trzeba było jeszcze poczekać, ale stalinizm zaczął pękać i kruszyć się. Proces ten zapoczątkowały przemiany polityczne w związku sowieckim podczas XX zjazdu partii. Wtedy to zmarł w Moskwie polski prezydent Bolesław Bierut. Być może przeżytek stalinizmu był niewygodny i ktoś mu w tym dopomógł. Fakt, że z Moskwy powrócił w dębowej jesionce. W partii rozpoczęły się walki o władzę.

Były to sprawy wewnętrzne i nas nie dotyczyły bezpośrednio ale spowodowały rozluźnienie w aparacie władzy. W końcu czerwca doszło do strajku w poznańskich zakładach im. Cegielskiego, wtedy Stalina. Strajk przerodził się w olbrzymią antykomunistyczną demonstrację. Na Poznań ruszyły czołgi – polala się krew. Monolit partyjny rozlatywał się. Ja w tym czasie uległem niegroźnemu wypadkowi podczas pracy. Trzeba było postawić kolejny segment zabudowy. Podniesioną stropnicę utrzymywałem nad głową stojąc na kawałku odciętego stemplu, dopóki przodowy jej nie podeprze. Oparłem się plecami o ścianę węglową i w tym momencie klocek wysunął mi się spod nóg. Ostre krawędzie ociosu pokaleczyły mi plecy. Rany nie były głębokie ale zaczęły ropieć i trzeba było je opatrzyć. Poszedłem do lekarza. W tym czasie gdy sanitariusz zakładał opatrunki do gabinetu wszedł jakiś kapitan. Okazało się, że oficer ten podczas urlopu był z wizytą u mojego ojca. Lekarz porównując nazwiska zapytał:



Dwaj szeregowcy: od lewej Wiesław Cygański i Tadeusz Grochowski – brat mamy.

- Czy ktoś w twojej rodzinie jest lekarzem?
- Tak – odpowiedziałem – ojciec.
- Spójrz na podpis
- To jest podpis i pieczęć mojego ojca.
- Czy chcesz przyjść do mnie na izbę chorych za sanitariusza?
- Bardzo bym chciał panie doktorze, bo węgiel fedrowałem w więzieniu i teraz ponad pół roku, to przez ten czas parę pociągów załadowałem.
- Idźcie na kompanię a ja załatwię wasze przeniesienie.

Ale na razie nie dało się niczego załatwić. Informacja i w takiej sprawie miała ostatnie słowo do powiedzenia. Doktor Klaudel jednak o mnie nie zapomniał. Szczęście, czy kolejny przypadek? W kopalni można zginąć na każdym kroku i na wiele sposobów, nie będę ich opisywał tak jak nie opisuje się codziennych wypadków na drogach. Jednak kilka dotyczących mnie, podam dla przykładu.

Koniec szychty, wsiedliśmy do niskich wagoników barkana i jazda pod szyb. Na oddziale było gorąco, pod szybem zaś chłodno. Biegając z innymi do szybu zakładałem bluzę. W pewnym momencie uniesioną ręką zaczepiłem o zaczepiony nad głową drut ślizgowy pod napięciem 500 volt. Do zabicia wystarczy o połowę niższe. Żadnego bólu nie czułem. Jedynym wrażeniem jakie pamiętam był blask fioletowego światła w oczach. Nie wiem jak długo byłem nieprzytomny, gdy się obudziłem otaczali mnie ludzie. Dzięki Bogu nic się nie stało, uratowały mnie buty gumowe stanowiące izolację. Kiedyś do drutu dotknąłem mokrym stemplem, efekt był podobny. Przytomność odzyskałem sam, ale górnik który zaczepił o drut metalowym świdrem zginął na miejscu. Przez dwa miesiące pracowałem ze starym przodowym na przebudowie chodników transportowych. Pracowało się w kamieniu, dlatego norma była dużo niższa, łatwiej było ją wykonać i przekroczyć, za wykonanie normy dwieście procent zarobić można było do trzech tysięcy złotych. Takie prace otrzymywało się w nagrodę. Lubiłem sobie pośpiewać, jakoś robota prędzej leciała. Stary Pacula był pełen przesądów – Nie śpiewaj pieronie, nad tobą wisi czterysta metrów kamienia, w kopalni trzeba jak w kościele.

W kamieniu strzelało się dynamitem. Wszystkie prace wykonywałem ja, Pacula tylko kierował, dla niego kopalnia nie miała tajemnic.

Po kolejnym ostrzale ukazał się przed nami, za dużym stosem kamienia, jakiś stary zawalony chodnik. Przodowy postanowił zmierzyć zawartość metanu w wyrobisku. W tym celu ze specjalną lampą zaczął wspinać się po przyzbie kamienia do góry. Podążyłem za nim. Ponad kamieniem był sam gaz. Przytomność straciliśmy nagle obydwaj. Upadliśmy na kamienie i zsunęli po nich niżej, ale tam było już powietrze. Z boku leżała paląca się lampa. Gdybyśmy nie zsunęli się i zostali w strefie gazu, za parę minut byłoby po nas. Gdyby lampa uszkodziła się, wystarczyło aby przedziurawiła się otaczająca płomień miedziana siatka, zapaliła metan, wtedy fajerwerk byłby na całą kopalnię. Jak to się stało, że obudziliśmy się niżej? Czy znowu przypadek? Następną przygodą spotkała mnie również z Paculą. Nad taśmociągiem wsparty na połamanych stemplach zawisł „kamyczek” oderwany tapnięciem od ściany. Bagatela – 30 metrów długi, ponad dwa metry wysoki i ponad metr gruby. Gdyby kamyk ten upadł na taśmociąg, zniszczyłby go całkowicie. Awaria zatrzymała by pracę na parę tygodni. Kamień należało rozstrzelać tak umiejętnie aby nie spowodować awarii i nie wstrzymać wydobycia. Dokonać tego mógł tylko Pacula. Najpierw skałę trzeba było obudować stemplami, potem wierząc niegłębokie otwory stopniowo wysadzać ją małymi ładunkami dynamitu dodatkowo zabezpieczając taśmociąg. Pokruszone kamienie ładowałem na taśmę. Zostało jeszcze około trzech metrów gładzi. Końcówka pracy, w tym dniu powinniśmy ją skończyć. Do podbicia stempli potrzebny był ciężki pięciokilogramowy młot tępy z obydwu stron, tak zwany „pyrlik”. Przodowy wysłał mnie abym przyniósł młot z sąsiedniego przodka. Gdy przeszedłem na drugą stronę gładz przewrócił się uszkodzając taśmociąg. Gdybym nie odszedł zginąłbym przygnieciony gładzem. Przypadek?

Przemiany polityczne, które zapoczątkował poznański czerwiec trwały nadal. Kulminacyjnym momentem i czasem przełomu stał się październik 1956 roku.

Władzę w kraju przejął Władysław Gomułka, który zyskał sobie olbrzymie poparcie społeczeństwa. Czas stalinizmu określony jako okres błędów i wypaczeń przeszedł do historii. Katowicom przyznano



W ćwiczeniach gimnastycznych nie miałem sobie równych w jednostce.

dawną nazwę. Informację wojskową rozwiązano. Teraz bez przeszkód lekarz jednostki dr Klaudel mógł przenieść mnie na funkcję sanitariusza. W drugiej Polowie października rozstałem się z kopalnią.

Izba chorych w Jednostce Wojskowej nr 2981 była właściwie małym szpitalem.

Mieściła się w stojącym na uboczu długim parterowym budynku, podzielonym na dwie części. Część pierwszą stanowił duży gabinet przyjęć z poczekalnią, pokój lekarzy, pokój sypialnia sanitariuszy i korytarz. Część druga – szpitalna zawierała osiem pokoi, pięciosobowych sal chorych podzielonych korytarzem. Personel lekarski stanowił lekarz kapitan dr Ludwik Claudel oraz dwóch felczerów. Sanitariuszy było pięciu. Jeden asystował podczas przyjęć lekarskich. Drugi opiekował się chorymi. Do jego obowiązków należało utrzymanie czystości, dostarczanie z kuchni posiłków, zabezpieczanie próbek pokarmów i wykonywanie zleconych przez lekarza zabiegów jak opatrunki, leki, zastrzyki. Trzeci sanitariusz konwojował grupę rekonwalescentów na komisję lekarską do Krakowa. Na komisję wysyłano codziennie pięciu lub sześciu żołnierzy po wypadkach, gdyż taka była wypadkowość na jednej tylko kopalni. Jeżeli ktoś na przykład dzisiaj uległ wypadkowi to za miesiąc lub dwa podlegał komisji, która orzekała o zwolnieniu do cywila lub dalszej służbie. Dwóch pozostałych sanitariuszy pełniło ostry dyżur przy telefonie przez całą dobę, nie kładli się spać lecz czuwali. Czuwali też zawsze kierowcy wojskowych ambulansów. Gdy na dole zdarzył się wypadek sztygar zawiadamiał kopalnianą służbę zdrowia. Jeżeli rannym był żołnierz natychmiast zawiadamiali nas. Wtedy sanitariusz brał wojskową sanitarkę i jechał na wskazane podszycie. Wywiezionego żołnierza przewoziliśmy do szpitala cywilnego. W przypadku rany niegroźnej, po jej opatrzeniu i zszyciu ranny wracał do jednostki na izbę chorych. W cięższych przypadkach zostawialiśmy kolegę w szpitalu, gdzie siedł na stół operacyjny lub do kostnicy.

Gdy do pracy przychodzili nowi, wypadkowość wzrastała nawet do ośmiu dziennie. Za dwa miesiące, gdy młode wojsko przyzwyczało się do pracy ilość ta zmniejszyła się do czterech. Wypadek śmiertelny zdarzał się przeciętnie raz na dziesięć dni. Każdy zabity poddawany był sekcji zwłok. Była to czysta formalność, ale takie były przepisy. Lekarz kryminolog musiał ustalić przyczynę zgonu, czy czasem wypadek nie został upozorowany. Do sekcji denata przygotowywał specjalny pracownik zatrudniony w prosektorium szpitala Katowice Bogucice. Zawsze gdy zawieźliśmy swojego, w prosektorium oczekiwało od piętnastu do dwudziestu ciał czekających na pokrojenie. Pracownik był chyba jeden gdyż innego nie

widziałem. Miał on pełne ręce roboty, często jedną ręką trzymał kanapkę a drugą kroił trupa. Większość stanowili czarni, czyli górniczy zabici przy pracy, domyślałam się, że byli to cywile, gdyż żołnierze obsługiwani byli natychmiast poza kolejnością. Nie chodziło tu o jakieś przywileje, tylko o to, że po sekcji należało chłopaka umyć, ubrać w nowy drelichowy mundur, założyć na nogi papierowe kapcie, umieścić ciało w blaszanej trumnie, poczekać aż ślusarz ją zalutuje. Następnie włożyć do drewnianej, przybić gwoździami wieko i tak opatrzoną i zaplombowaną przesyłkę wysłać do mamy. Czekać aż będziemy mogli przystąpić do swojej pracy, asystowaliśmy w przygotowaniach do sekcji. Pierwszą czynnością było oskalpowanie. Skórę na czaszce rozcinano od ucha do ucha, następnie jedną część skalpu odwijano na twarz, drugą na potylicę. Nagą czaszkę odpilowywano zwykłą ogrodniczą piłką. Wyjęty mózg układano na półce obok ciała. Po rozkrojeniu klatki piersiowej wszystkie narządy wewnętrzne umieszczano obok mózgu. Teraz przychodził lekarz w gumowych rękawiczkach. Nawet nie brudził sobie rąk, bo i po co. Lekarz popatrzył, coś podpisał i poszedł. Wszystkie narządy wrzucano do jamy brzusznej, klatkę piersiową i skalp zszyto na okrętkę grubą dratwą i tak przygotowanego kolegę oddawano nam do dalszej obróbki. Ciepła woda, proszek, szczotka i Cygański z Sokołem dopełniali reszty. Na jakie przypadki ja się tam napatrzyłem. Topielcy wyciągnięci z wody po wielu dniach. Włóczędzy zmarli z zimna gdzieś w ogrodowych altanach. Wisielcy samobójcy, lub tacy którym ktoś pomógł. Raz widziałem zmasakrowane i wymieszane z resztą odzieży zwłoki mężczyzny, którego koledzy wrzucili pod pociąg, z boku leżała odcięta głowa, ręce i nogi. Innym razem piękną młodą kobietę. Jak musiała wyglądać żywa skoro urody nawet śmierć jej nie zabrała. Była w białym i pidżamie. Zastrzelił ją mąż milicjant. Musiał ją kochać skoro wystrzelał cały magazynek aby się nie męczyła. Jak napisałem wcześniej – większość stanowili górniczy. Ginęli w różnych kopalniach okręgu katowickiego. Ile musiało być wypadków skoro co dzień do prosektorium przywożono po kilka a nawet kilkanaście czarnych ciał. Powie ktoś, że zmyślam, że w kopalniach tyłu nie ginie, że ani gazety ani telewizja o tym nie mówią. Oj ginie, ginie. Na drogach co dzień giną ludzie, a czy w mediach się o tym mówi?

Mało jest w Polsce cmentarzy, na których nie leżą żołnierze górniczy, młodzi chłopcy wyrwani ze swych domów w czasie pokoju i rzućni na katorgę tylko dlatego, że nie spodobali się komunistycznej władzy, dlatego, że czerwony smok potrzebował ich potu i krwi. Czy mogłem takie słowa powiedzieć pułkownikowi informacji, który chciał podstępnie uczynić ze mnie donosiela.

Nadeszły Święta Bożego Narodzenia, sylwester no i Nowy Rok 1957. najsmutniejszy ale i najbardziej pamiętny okres w moim życiu.

Trzech kolegów sanitariuszy pojechało na urlop. Na izbie chorych ze wszystkimi obowiązkami na głowie zostało nas dwóch, ja i kolega Cezary Sokół. Co dzień na kilkanaście minut przychodził doktor Klaudel sprawdzić czy wszystko w porządku, dokonać obchodu sal chorych, wydać zalecenia. W sylwestra przyszedł około piętnastej, zrobił co do niego należało, życzył nam szczęścia w Nowym Roku i poszedł. Czarek tylko na to czekał. Po co mamy tu siedzieć we dwóch? Jest sylwester wszyscy się bawią. Ludwik odstrojony w garnitur popija szampana, a ja umówiłem się z dziewczyną. Dasz sobie radę, no to cześć, do zobaczenia w Nowym Roku. Zbliżała się pora kolacji. Wziąłem dwóch rekonwalescentów i z kociolkami poszliśmy do kuchni. Jakaś zupa, kanapki, kawa, cos do smarowania. Jeszcze pobranie próbek jedzenia i schowanie ich do specjalnej szafki. Po kolacji uzbierało się dwa wiadra zlewki. Powinno się je odnieść z powrotem do kuchni, ale co mi tam, zabiorę zlewki rano jak będę szedł po śniadanie – niech stoją. Około godziny dwudziestej wpadł nagle lekarz. Był nie w garniturze tylko w mundurze, a w dodatku wściekły.

– Sanitariusz!!!

Wybiegłem z pokoju.

– Gdzie Sokół?

– Gdzieś tu powinien być – odparłem

– Kłamiesz, na dziwki poszedł. A co tu te zlewki robia?

Ze słowami lenie i brudasy puścił po korytarzu jedno wiadro a za nim drugie.

– Synu! – posprzątasz to sam, nie brać do pomocy żadnego chorego.

Cały korytarz w zupie. Lekarz jak się pojawił tak zniknął.

Zanim umyłem korytarz była godzina dwudziesta druga. Ledwie się z tym uporałem zadzwonił telefon. Wypadek na szybie Ligoń. Biegiem płaszcz na siebie i po karetkę. Mieliliśmy stałe przepustki ważne przez całą dobę. Wartownik na bramie widząc biegnącego sanitariusza dopinającego pas wiedział, że jest wypadek i zaraz będzie jechała karetka, zawczasu otworzył bramę. Zresztą wartownicy znali nas i nigdy nie kontrolowali. Do jednostki wchodziliśmy i wychodziliśmy jak oficerowie, tylko zamiast honoru na baczość wystarczyło koleżeńskie cześć. Żołnierz leżący na noszach był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, miał rozcięte udo od kolana prawie po pachwinę, powyżej zabrudzonej węglem rany założony pasek uciskowy. Na sygnale do szpitala. Kazali mi czekać na Sali zabiegowej. Lekarzowi asystowała jedna pielęgniarka. Nogę przykryto białym prześcieradłem rozciętym w miejscu zranienia. Kość okazała się cała więc wypadek zaliczono do lekkich. Po umyciu i zdezynfekowaniu przystąpiono do oczyszczania rany. Chirurgiczną pęsetą lekarz uchwycił brzeg poszarpanego brudnego mięśnia i zaczął skalpelem odcinać. Krojenie trupa widziałem, ale żywego człowieka nie. Zrobiło mi się słodko na języku, jakiś bezwład w ramionach i mroczki w oczach, a na czole zimny pot. Chyba im tu do licha nie zemdleję, byłby to wstyd do końca życia, aby musieli dodatkowo zajmować się mną. Dobrze, że lekarz i pielęgniarka zajęci nie zwracają na mnie uwagi. Otarłem pot chustką i odwróciłem wzrok. Pomogło, jakoś dotrwałem do końca zabiegu. Po założeniu szwów i zabandażowaniu rany zabrałem ofiarę wypadku na naszą izbę chorych. Razem z kierowcą wnieśliśmy go na salę i położyliśmy na wolnym łóżku.

Dochodziła godzina trzecia gdy powtórnie zadzwonił telefon. Ciężki wypadek, rannego wiozą szybem Pułaski. Młody żołnierz z jesienno-poboru, był w szoku, chciał pić, prosił aby nie mówić mamie. Karetka pędziła na sygnale. Trzymałem go za rękę. Nie wiem czy takie rany boją. W szoku mówił coś bez związku. Biedak dostał się pomiędzy wozy jadącego pociągu. Od pasa w dół został zwalkowany, obrażenia wewnętrzne, połamana miednica, prawie oderwana od ciała noga w pachwinie. Zmarł na stole operacyjnym. Gdy wracałem do jednostki światało, padał dużymi płatami śnieg. Z balów sylwestrowych wracały tu i ówdzie rozbawione pary. Postrojone dziewczyny, elegancko ubrani kawalerowie, roześmiane twarze i wesołe miny. Nierozjeżdżony świeży śnieg pokrył ulice. Zupełnie jak w piosence:

„Puchowy śniegu tren, w krąg roztoczył swe czary”. Pierwszy dzień nowego roku zapowiadał się spokojny i pogodny, a mnie znowu chciało się płakać. Podobno mężczyźni nie płaczą. Nieprawda. Gdy nadejdzie chwila bezsilności, gdy się wyczerpią wszystkie szanse i nic już nie da się zrobić, wtedy łzy same płyną do oczu. Nawet Mickiewicz pisał: „Wtenczas zapłaczą nad ojców losami. I wtenczas łza ta ich lica nie splami”.

W styczniu otrzymałem swój pierwszy urlop. Koledzy wrócili ze świąt, wtedy mogli pojechać ci, którzy w święta pełnili służbę. Otrzymałem tylko trzy dni, tylko tyle aby pokazać się mamie w mundurze. Ostatnie nasze widzenie miało miejsce w lecie. Mama przyjechała do Stalinorodu bo tak to się wtedy jeszcze nazywało, w lipcu lub sierpniu. Ja w tym czasie byłem na dole. Z jednostki zatelefonowali do sztygara aby zwolnił mnie wcześniej z pracy. Wszystkie szyby kopalni za wyjątkiem wentylacyjnego ciągnęły węgiel na powierzchnię. Wyjechałem wentylacyjnym. Pod szybem czekała już mama. Byłem czarny, w hełmie i brudnym roboczym ubraniu, rozpięta na nagim ciele bluza i podarte portki wkasane w gumowe buty.

Wszystko to sprawiło, że mama mnie nie poznała. Nawet nie mogłem się z nią przywitać, bo bym ja pobrudził. Gdy podszedłem i powiedziałem dzień dobry wybuchnęła płaczem. Czegoś podobnego się nie spodziewała. Do łaźni i przebieralni były dwa kilometry drogi i nie chciałem jej tam ciągnąć bo i tak była zdrożona. Iść do jednostki nie było po co. Porozmawialiśmy tylko stojąc na drodze i rozstaliśmy się z pocałowaniem w rękę. Tyle kilometrów podróży po to tylko aby zapłakać. Patrzyłem na nią jak odchodziła szlochając. Od tamtej pory minęło ponad pięćdziesiąt lat. Mama już dawno nie żyje, a ja wciąż widzę jej zapłakaną twarz.

„Rodzina, rodzina nie cieszy gdy jest. Lecz kiedy jej nie ma samotnyś jak pies”.

Wreszcie będę mógł spotkać się ze swoją rodziną. Po piętnastu miesiącach rozłąki pocieszę mamę, zobaczę siostry, które przez ten czas wyrosły i wyładniały.

Z pociągu wysiadłem na niedużej stacji z napisem Proboszczewice. Nigdy tu nie byłem i nikogo

nie znam. Mama zamieszkała w Proboszczewicach już po moim wcieleniu do wojska. Gdzie mam jej szukać? Zapukałem do pierwszej z brzegu niepozornej chatki. Otworzył mi młody silnie zbudowany mężczyzna, w izbie ładna blondynka usypiała dziecko w kołysce. Skąd mogłem przypuszczać, że z rodziną tą już niedługo połączą mnie koleżeńsko – sąsiedzkie stosunki. Zapytałem państwa Krakowiaków czy znają akuszerkę Cygańską i czy mogą mi powiedzieć gdzie mieszka. Znają bo mama odbierała poród ich pierwszego dziecka, a mieszka na drugim końcu wsi wynajmując pokój u państwa Gajewskich. W domu zastałem wszystkich. Po radosnym powitaniu dowiedziałem się, że mama kupiła część gospodarstwa rolnego i będzie się budować. Drugą część tego gospodarstwa kupił Krakowiak, którego zdażyłem już poznać. Siostrze Hani sprzykrzyła się szkoła w Sobieszynie i sama z własnej woli i własnym staraniem przeniosła się do Opola. „Gdzie Rzym a gdzie Krym”. Gdzie Dęblin, gdzie Opole a gdzie Płock. Niezły trójkąt, ale Hania taka była. Z Katowic do Opola nie jest daleko. Obiecałem, że jakiejś niedzieli jak dostanę przepustkę to ją odwiedzę.

Dni urlopu przeleciały jak odrzutowiec. Wróciłem do jednostki.

Znowu byliśmy w komplecie i znowu dzień jak co dzień. Wypadki zdarzały się nie tylko w kopalni, zwyczajnie jak to bywa w życiu, kogoś potracił samochód, ktoś dostał od kogoś po buzi. Kiedyś jeden z żołnierzy przyszedł na izbę chorych z nożem w plecach. Został zaatakowany późnym wieczorem gdy wracał do koszar. Gdyby napastnik użył dużego noża lub bagnetu żołnierz mógłby zginąć. Ostrze scyzoryka przebiło płaszcz, kurtkę mundurową, bieliznę i utkwilo w mięśniach pomiędzy zębami. Ponieważ napadnięty szybko się wyrwał nożyk został w ranie zaczepiony o fragment munduru. Jednak pułkownik informacji nie przesadzał mówiąc o nienawiści do wszystkiego co polskie. Zdarzały się również wypadki z bronią. Stare wojskowe porzekadło ostrzega, że „raz do roku nawet kij sam strzela”. Pewnego niedzielnego poranka wrócił patrol z nocnej służby. Sierżant – dowódca patrolu opowiadał koledze jak zatrzymał uciekającego. W ferworze opowieści wyszarpnął z kabury pistolet którego zapomniał zabezpieczyć. Pistolet wystrzelił zabijając przechodzącego obok żołnierza. Innym razem oficer służbowy kazał dwóm aresztantom posprzątać dyżurkę. Pas z Bronia powiesił na wieszaku a sam gdzieś wyszedł. Chłopcy, którzy nie mieli nigdy w ręku pistoletu zaczęli go oglądać. Pistolet nie łopata, wystrzelił i jeden z nich zginął na miejscu. Przygodę, która o mało co zakończyła by się tragicznie przeżyłem również i ja. W jednostce była karetka więzienna służąca do przewozu aresztantów. Obsługiwali ją kapral konwojent i kierowca. Obydwaj mieli broń. Kiedyś wybraliśmy się grupą aby zrobić sobie kilka zdjęć. Po wypstrykaniu całego filmu stanęliśmy kołem i rozmawialiśmy. Poprosiłem kaprała aby pozwolił mi obejrzeć pistolet maszynowy. Zacząłem bawić się bronią nie wiedząc, że magazynek jest pełen ostrej amunicji. Szczęście, że kapral był człowiekiem przezornym i pilnie mnie obserwował. Gdy broń odbezpieczyłem i odciągnąłem zamek, postanowiłem nacisnąć język spustowy. Kapral ubiegł mnie dosłownie o ułamek sekundy. Chwycił ręką za lufę i skierował ją w dół. Spojrzałem zdziwiony. Wziął ode mnie pistolet, wyjął magazynek i pokazał jego zawartość. Wtedy i ja zdrętwiałem z wrażenia, zwłaszcza gdy powiedział, że bawiąc się nastawiłem na ogień ciągły. Na wojnie żołnierze strzelają a „Pan Bóg kule nosi”, ale to na wojnie. Podczas zabawy bronią rządzi diabeł. Tylko czeka kiedy głupek zrobi coś nie tak jak trzeba i natychmiast włącza się do zabawy. Posiadając stałe przepustki mogliśmy swobodnie chodzić po terenie Szopienie. My sanitariusze byliśmy biedni, ale koledzy leżący na izbie chorych mieli jakieś złotówki zarobione w kopalni. My mieliśmy swobodę ale nie mieliśmy pieniędzy, oni odwrotnie. Polakowi jak się nudzi to chętnie zaraz by coś wypił, tylko jak to załatwić? Nas nikt na bramie nie kontrolował, toteż często z poczucia koleżeństwa wypełnialiśmy rolę posłańców do sklepu monopolowego. Ja nie piłem, ale koledzy za kolumnę nie wylewali. Kiedyś dla zabawy postanowili – „Chodźcie spijemy Wiesia” pomysł się spodobał.

Spałem już gdy dwóch chwyciło mnie za ramiona i przycisnęli do poduszki. Trzeci usiłował wlać mi do ust wódkę, jednak to nie było takie proste, zacisnąłem zęby i zacząłem się wyrwać. W rezultacie do ust trafiło kilkanaście kropel, a do pościeli pół butelki. Nic mi nie zrobili, a zabawa była. Rano przyszedł lekarz i od razu wyczuł nieprzyjemny zapach. Znalazł kilka pustych butelek. Dostało się wszystkim chociaż dr Klaudel domyślał się prawdy. Wiedział, że ja nie palę i nie piję, a to, że moje łóżko śmierdziało alkoholem mogło oznaczać tylko jedno. Od tego dnia



Pierwszy urlop

dyscyplina na izbie chorych była bardzo surowa, skończyły się również koleżeńskie przysługi dla chorych. W marcu wiosenny pobór z roku 1955 odchodził do rezerwy. Jakaś kompania wracając z pracy śpiewała: „Rekrucie masz karabin mój, jam stary rezerwista, weź bagnet, pas i naboje. Ja powracam w strony swoje”. W melodii tej wyczułem jakąś tęskna nutę. Za czym? Za wojskiem chyba nie, a może, kto wie? Za kolegami, za domem, może za trzema latami utraconej młodości? Przybyli tu będąc chłopcami, odchodzą mężczyznami. Teraz ja jestem w kolejności do rezerwy. Nie chodzi o karabin czy łopatę, co po mnie wezmą młodszy nieważne. Aby tylko zrzucić z siebie ciężar. Trzeba jeszcze kilka miesięcy wytrzymać. W dowództwie Wojskowego Korpusu Górniczego odszedł do cywila sanitariusz. Szef służby medycznej pułkownik dr Januszkiewicz szukał w jednostkach następcy na jego miejsce. Kandydat musiał posiadać maturę, ponadto być grzecznym, kulturalnym i skromnym. Doktor Klaudel polecił mnie. Zameldowałem się w dowództwie u pułkownika i zostałem przyjęty.

W ten sposób ostatecznie pożegnałem się z kopalnią i jej problemami, trafiłem do elity. Inny rodzaj służby i inny zakres obowiązków. Każdym resortem górniczej armii dowodził jakiś pułkownik. Każdy miał swój reprezentacyjny gabinet i kancelarię z sekretarką, przeważnie były to młode i piękne kobiety. W każdym wydziale pracowali specjaliści cywilni oraz wyżsi oficerowie. Dowódcy działów i ich zastępcy mieli do dyspozycji samochody i kierowców. Żołnierze służby zasadniczej stanowili tylko jeden pluton gospodarczy. Składał się on z wartowników, dwóch kinooperatorów, paru pracowników porządkowych w klubie oficerskim, kilku pisarzy kancelaryjnych, pracowników kuchni i stołówki, mechaników warsztatów samochodowych oraz jednego sanitariusza, czyli mnie. Każdy żołnierz musiał wyglądać reprezentacyjnie, mieć czysty dopasowany i wyprasowany mundur, czystą bieliznę, elegancko wypolerowane buty. O wygląd plutonu i dyscyplinę dbał jego dowódca starszy sierżant Kamiński, nazywany przez nas sołtysem. Praca w biurach zaczynała się o godzinie ósmej. O tej godzinie każdy musiał być na swoim stanowisku, umyty, ogolony i po śniadaniu. Ja byłem w ambulatorium. Przychodził lekarz i zaczynały się wizyty. Opieką lekarską objęci byli oficerowie z ich rodzinami, pracownicy cywilni oraz żołnierze plutonu gospodarczego. Urazów prawie nie było. Pomoc lekarska polegała głównie na wydaniu leków z naszej apteczki. Jednym z moich obowiązków było

uzupełnianie leków. W tym celu robiłem zapotrzebowanie, lekarz je potwierdzał, dawano mi samochód z kierowcą i jechaliśmy do centralnej składnicy zaopatrzenia do Oświęcimia. O godzinie dwunastej lekarz kończył wizyty w ambulatorium i jeśli była taka potrzeba rozpoczynał domowe. Zlecone przez lekarza zastrzyki, opatrunki czy leki wykonywałem i wydawałem ja.

Dwa razy dziennie, w południe i wieczorem, dokonywałem obchodu chorych w domach aby wykonać zalecenia lekarskie. Bardzo często idąc do rodziny oficerskiej proszony byłem przez sąsiadów o wykonanie zastrzyków zleconych przez lekarzy z przychodni rejonowych. Zapytany o cenę usługi mówiłem, że robię to gratis gdyż jako żołnierz działalności zarobkowej nie prowadzę, ale nigdy nie zdarzyło się abym dwudziestu złotych nie otrzymał. Tym sposobem pieniędzy miałem nie mniej niż za pracę w kopalni. W swojej nowej służbie cieszyłem się uznaniem kolegów oraz szacunkiem i sympatią ze strony przełożonych. Koledzy uważali, że sanitariusz w dowództwie musi być co najmniej dyplomowanym pielęgniarem lub felczerem, dlatego zwracali się do mnie z wieloma problemami. W ciągu pierwszego tygodnia drzwi do ambulatorium się prawie nie zamykały.

Mój poprzednik był mężczyzna wysokim i przystojnym, cieszył się powodzeniem u wielu kobiet nawet z rodzin oficerskich, stąd zastrzeżenie szefa co do skromności jego następcy. Dziewczyny z różnych działów przychodziły pod byle pretekstem aby ocenić nowego sanitariusza, ale ja na Don Juana nie wyglądałem, ani nie miałem jego cech. Po kilku dniach wizyty ustały. Przepustkę miałem stałą, ważną na terenie całych Katowic, mogłem więc w wolnym czasie chodzić gdzie chciałem. Ponadto koledzy z kancelarii ogólnej dali kilka kart urlopowych podpisanych i podstemplowanych in blanco. Mogłem więc w niedzielę wybrać się do siostry Hani do Opolu. Hania chodziła do dziesiątej klasy liceum ogólnokształcącego ale koleżanki miała głównie w liceum pedagogicznym. Jedna z nich, Władzia Walczak, pochodziła z Proboszczewic. To za jej przyczyną Hania znalazła się w Opolu. Brat Władzi, Józef podobnie jak ja był więźniem politycznym. Za działalność w organizacji antykomunistycznej otrzymał dożywocie. Aresztowany w roku 1946 wyszedł na wolność mocą amnestii dopiero po przemianach w roku 1956. dziesięcioletni pobyt w więzieniu i śledztwa UB odebrały mu zdrowie. Zmarł w wieku czterdziestu paru lat. Po wyjściu z więzienia znalazł pracę w Polskim Czerwonym Krzyżu w Krapkowicach niedaleko Opolu. Spędziłem z nim wiele miłych i niezapomnianych chwil. W końcu czerwca Hania zrezygnowała ze szkoły w Opolu. Przeniosła się do Korespondencyjnego Liceum Ogólnokształcącego w Sierpcu, gdzie za rok zdała maturę i została nauczycielką. Ostatnie miesiące pobytu w wojsku były okresem swobodnej beztroski chociaż nie obyło się bez momentów dramatycznych i emocjonujących. W tym czasie kolegów miałem wielu, właściwie wszyscy byliśmy kolegami, ale szczególnie zaprzyjaźniłem się z Frankiem Bugajem. Był on kinooperatorem w klubie oficerskim. Wiele wolnych godzin spędziłem na oglądaniu filmów. Za zarobione w kopalni pieniądze kupiłem aparat fotograficzny. W klubie była ciemnia, wywoływaliśmy więc zdjęcia korzystając z klubowych odczynników. Z Frankiem jeździliśmy do różnych jednostek Korpusu Górniczego robiąc zdjęcia i sprzedając je po złotówce. Kiedyś jeden kolega poprosił mnie abym obejrzał chorą matkę jego narzeczonej. Kobieta zachorowała na dziwną wysypkę. Ropiejące krosty zajęły całe podbrzusze. Na miejscu gojących się wyskakiwały następne. Żadne maście przepisywane przez lekarza w przychodni nie skutkowały. Tłumaczyłem koledze, że nie jestem lekarzem, że ja się na tym nie znam, a choroby skórne są przeważnie trudne do leczenia.

– To chociaż zobacz. Powiedziałem matce, że mamy w jednostce dobrego felczera i zrobiłem jej tym nadzieję. Jak ja się z tego wycofam, jak ja jej wytłumaczę, że nie chcesz jej nawet zobaczyć.

Zaszachował mnie kompletnie.

– Pójdę, ale co ja jej powiem?

Wysypka wysmarowana maścią cynkową, jedne krosty przyschnięte inne świeże. Robię mądrą minę, ale oprócz miny trzeba jeszcze coś zrobić. Powiedziałem, że przygotowuje lekarstwa i pożegnałem się. Słowo się rzekło, co robić dalej? Gdy asystowałem w Janowie lekarzom podczas wizyt widziałem jak potówki lekarz smarował jodyną zmieszaną ze spirytusem i gliceryną. Rozrobiłem taką miksturę i dałem koledze. Jak wielkie było moje zdziwienie gdy za dwa dni kolega oświadczył, że stan chorej uległ wyraźnej poprawie. Myślałem, że żartuje, poszedłem zobaczyć. Faktycznie wszystko przyschło i zaczęło się goić. Zrobiłem jeszcze jedna taka porcję do smarowania. Po tygodniu wszystko się wygoiło, a po

dwóch nie było nawet śladów. Kolega nie omieszkiał pochwalić mnie przed innymi i moja opinia wzrosła niewspółmiernie. Na następny krok nie trzeba było długo czekać. W niedzielę wojsko gremialnie poszło na przepustkę i zdrowo popiło. Przed snem dwóch wszczęło kłótnię, a potem bójkę. Jeden drugiego pchnął na krawędź łóżka, ten padając uderzył głową w ostro zakończony szczyt i oskalpował się. Gdy buchnęła krew wytrzeźwieli wszyscy i natychmiast przybiegli do mnie. Skóra z włosami została wyrwana klinem do gołej czaszki, boki tego klina miały po około siedem centymetrów. Twarz i głowa zakrwawione, krew na łóżku i na podłodze. Szybko przycisnąłem oderwany płat skóry i przewiązałem opaską. Powiedziałem, że idę do oficera dyżurnego dzwonić po pogotowie. Zawrzało jak w ulu.

– Wkopiesz chłopaków i nas. Oni pójda do aresztu a dla nas skończą się przepustki. Sam nie poradzisz?

– Dobra.

Idziemy do ambulatorium, niech ktoś pomoże mi go zaprowadzić. Rana jeszcze krwawiła, ale już nie tak mocno. Wyciąłem włosy wzdłuż brzegów klina. Teraz trzeba było wszystko dokładnie oczyścić, jeżeli chociaż kawałek włosa dostanie się do rany, to rana zaropieje i nie obejdzie się bez fachowej pomocy. W międzyczasie wygotowałem klamry. Oderwany płat skóry położyłem na swoje miejsce, przemyłem wodą utlenioną i pospinałem piętnastoma klamrami, posypałem proszkiem do ran i założyłem opatrunek. Głowa wygoiła się bez żadnych powikłań. Teraz to już byłem w oczach kolegów prawdziwym lekarzem. Wkrótce zwrócił się do mnie jeden z kolegów z prośbą abym wyciął mu kurzajkę.

– Czyś ty chłopie z byka spadł, przecież ja takich rzeczy robić nie mogę, jestem tylko sanitariuszem.

– Jak ty mi nie zrobisz, to nikt mi nie zrobi. Lekarz nawet gadać ze mną nie będzie, a to świństwo mi bardzo przeszkadza. Patrz, na prawej dłoni siedzi jak karaluch, ani mi się z kim przywitać ani dziewczyny objąć.

Znowu dałem się namówić jak „stara panna do grzechu”.

– Przyjdź wieczorem do ambulatorium.

Czy byłem bardziej naiwny, czy dobroduszny? Kurzajka wielkości dziesięciogroszówki rosła na prawej dłoni u nasady kciuka. Miejsce cięcia znieczuliłem zamrażając je eterem chlorowanym, a następnie skalpelem wyciąłem narośl niezbyt głęboko aby nie uszkodzić mięśni i ścięgien. Zasypałem ranę proszkiem, zabandażowałem i po bólu. Kolega nie posiadał się z radości.

– Tylko nikomu ani słowa!

– Ma się rozumieć

Mój pacjent był kierowcą szefa transportu. Rano pułkownik miał wyjazd w teren. Widząc zabandażowaną rękę kierowcy, zapytał co mu się stało. Gdy żołnierz zaczął kręcić, kazał mu pokazać skaleczenie.

– Przecież ty w takim stanie nie możesz prowadzić samochodu. Kto ci to zrobił?

Jakie miał chłopak wyjście. Powiedział, że sanitariusz. Pułkownik zaprowadził go do doktora Januskiewicza.

– Patrz jakie twój sanitariusz praktyki urzęda. Czy on jest lekarzem?

Pułkownik pojechał z innym kierowcą, a mój pacjent otrzymał kilka dni zwolnienia, mnie zaś szef



Zabawy z bronią

wezwał na dywanik. Pułkownik Januszewski był człowiekiem sympatycznym. Starszy pan średniego wzrostu, któremu czas posrebrzył trochę włosy na skroniach. Był ciemnym blondynem, co jest o tyle dziwne, że należał do narodu wybranego. Żydzi przeważnie mają czarne włosy, czarny zarost i semickie rysy twarzy. Jego żona i córka były stuprocentowymi przedstawicielkami tej rasy. Obie czarne jak wrony, ale ładne. Pułkownik zaś miał szczerą słowiańska twarz, aż wierzyć się nie chce, że był jak to się dzisiaj mówi polakiem pochodzenia żydowskiego. Ponadto był człowiekiem bardzo kulturalnym i opanowanym, a przy tym mądrym. Nigdy nie widziałem go zdenerwowanego, nigdy nie podnosił głosu. Gdy się zameldowałem rzekł:

– Co wam Cygański przyszło do głowy, żeby takie operacje robić?

Zacząłem tłumaczyć, że kolega bardzo mnie prosił o to.

– A skąd wy umiecie robić takie rzeczy?

– Asystowałem przy takim zabiegu felczerowi w Janowie.

– Dajcie rękę. Patrzcie ile tu jest ścięgien nerwów i naczyń krwionośnych. Przecież wy nie znacie anatomii ciała ludzkiego. Wystarczy, że nacięlibyście jedno z nich i chłopak miałby bezwładną rękę, a wy musielibyście mu płacić odszkodowanie do końca życia.

Stałem przerażony.

– Nie zdawałem sobie sprawy panie doktorze.

– Oglądałem jego rękę, macie szczęście jest wszystko w porządku. Czy wzięliście pod uwagę, że kolega jako kierowca mechanik pracując w warsztacie mógł rękę zabrudzić wywołując zakażenie lub inną komplikację. Poza tym usuwanie kurzajek nie ma sensu gdyż one odrastają.

– Nigdy więcej takich rzeczy nie będę robił.

– Jesteście wolni.

Odmeldowałem się. Polak najprawdopodobniej posadziłby mnie w areszcie, ale pułkownik Januskiewicz wezwał mnie za parę dni i powiedział:

– Jeżeli chcecie iść na studia do Wojskowej Akademii Medycznej to dam wam swoją opiekę i protekcję.

Podziękowałem wyjaśniając, że mnie bardziej pociąga lotnictwo i na tej drodze będę próbował szczęścia. Więcej do tego tematu nie wracaliśmy. Głupio zrobiłem gdyż jedno drugiego nie wyklucza. Spotkałem w życiu wielu lekarzy i studentów medycyny, którzy byli pilotami. Odchodząc do cywila nawet się nie pożegnałem z pułkownikiem Januskiewiczem, człowiekiem, który okazał mi tyle życzliwości. Byłem jeszcze życiowo bardzo niewyrobiony.

Kiedyś w świetlicy usłyszałem komunikat radiowy. Padły nazwiska, a wśród nich Wiktor Sznurowski. Piloci szybowcowi Aeroklubu Warszawskiego lotem grupowym do Związku Radzieckiego pokonali odległość ponad pięciuset kilometrów zdobywając tym wyczynem ostatni warunek do diamentowej odznaki szybowcowej.

Jakże rozeszły się nasze drogi. Za zgodą pułkownika Januskiewicza złożyłem podanie z kompletem dokumentów o przyjęcie na wydział lotniczy Politechniki Warszawskiej. Otrzymałem dwa tygodnie urlopu na przygotowanie się do egzaminu. Trzy lata przerwy w nauce i dwa tygodnie na powtórzenie materiału. Na egzaminie byłem jedynym kandydatem w mundurze. Coś tam napisałem, coś powiedziałem. Jednak albo to było za mało, albo zbrakło punktów dodatkowych za pochodzenie i postawę polityczną, albo po prostu więzienna przeszłość przekreśliła moje szanse. Na pamiątkę pozostał mi tylko stempelek na świadectwie.

Kończyło się drugie lato w wojsku. Pewnej słonecznej i jeszcze cieplej niedzieli cały niemal pluton poszedł na przepustkę, wojsko po prostu rozlazło się. Mnie wezwano do jednego ze starszych oficerów gdyż zachorowała jego córka. Na miejscu był już lekarz z jednostki. Stan był poważny, chora miała wysoką temperaturę i traciła przytomność. Wysłano mnie do apteki a następnie do ambulatorium po jakies zastrzyki. Gdy przybiegłem do jednostki przed budynkiem stał wściekły Sołtys i czekał na powracających żołnierzy. Ujrzawszy mnie zawołał do siebie, ale ja odpowiedziałem mu, że nie mam czasu. Tego było za wiele. Ja szeregowy miałem czelność zlekceważyć starszego sierżanta, swojego bezpośredniego dowódcę. Nawet nie dał mi dojść do głosu, tylko kazał stawić się do aresztu. Poszedłem na wartownię



Ostatnie chwile w wojsku. Jeszcze w koszarach, ale już w garniturze.

i mówię kolegom, że Soltys polecił abyście mnie zamknęli.

– Na jakiej podstawie? Dał ci nakaz aresztowania?

– Nie

– To powiedz mu, że nie mamy prawa cię zamknąć

Gdy sierżant zobaczył, że idę do niego, czyli, że znowu go nie posłuchałem po prostu ryknął jakimś brzydkim słowem. Powiedziałem z daleka, że muszę mieć nakaz aresztowania.

– Zaraz przyjdę i wypiszę

Wróciłem na wartownię. Sierżant od dawna czekał na moment aby nauczyć mnie dyscypliny. Często gdy po południu robił zbiórkę plutonu lub ćwiczył musztrę ja demonstracyjnie szedłem w jakimś celu do miasta. Krew go zalewała. Jaki cel mogłem mieć w niedzielę i do tego wieczorem. Za chwilę na dziedzińcu rozległ się jak syrena parostatku ryk oficera dyżurnego:

– Sanitariusz!!!

Wybiegłem z wartowni.

– Co mieliście robić?

– Miałem iść do pułkownika Słowikowskiego

– To co tu do jasnej cholery robicie? Biegiem, łazi jak śpiąca królewna.

Pobiegłem do ambulatorium, wziąłem nakazane leki i biegiem z powrotem.

– Dlaczego tak długo?

– Sierżant Kamiński kazał mi iść do aresztu

– Dlaczego mu nie powiedzieliście?

– Chciałem, ale nie dał mi dojść do słowa

Na drugi dzień biedny Soltys stał na dywaniku przed dowódcą jednostki. Gdy mnie spotkał powiedział tylko:

– Cygański, wy mi nie podskakujcie

Do końca służby miałem z jego strony święty spokój. Ostatnia przygoda wojskowa spotkała mnie w Opolu. W połowie października pojechałem do Józka Walczaka wypić pożegnalną lampkę wina. Było to nasze ostatnie spotkanie. Wracalem już do Katowic. Na dworcu kolejowym zatrzymał mnie

patrol Wojskowej Służby Wewnętrznej. Gdy przechodzili stanąłem na baczność i zasalutowałem. Odpowiedzieli, przeszli trzy kroki dalej i wrócili, podeszli do mnie. Nie wiedziałem, zasalutować jeszcze raz czy nie?

- Dokumenty
- Obejrzeni przepustkę
- Chodźcie z nami

Prowadzili mnie ze trzy kilometry. Gdy wreszcie stanęliśmy na komendzie oficer dyżurny zapytał:

– Co to za jeden? Honorów nie umie oddawać? Nauczyć.

Kapral, który mnie tu przyprowadził kazał chodzić po dziedzińcu i salutować przed słupem na boisku do siatkówki. Dzień był pochmurny, siąpiła drobna mżawka. Gdy kapral poszedł schowałem się pod dach. Za pół godziny wrócił.

- Dlaczego nie chodzą?
- Bo obywatel kapral odszedł
- Mielicie salutować do słupa

– Wyższemu stopniem będę salutował, ale słupowi nie. To poniżej godności żołnierza i godła, które mam na czapce. Tego nie ma w regulaminach służby. Zrozumie to obywatel kapral jak mu włosy odrosną.

Aluzja była wyraźna. Znaczyło to mniej więcej: Nie będziesz zasmarkany reksie pomiał starym żołnierzem. Gdybym nie odwołał się do godła i regulaminu może by się stawiał. Zaprowadził mnie do oficera dyżurnego, ten zwrócił mi przepustkę i kazał wracać do jednostki. Ale to jeszcze nie koniec. W środę rano zagadnął mnie kolega pracujący w kancelarii ogólnej.

- Gdzie byłeś w niedzielę?
- W Opolu
- A jeszcze gdzie?
- Na WSW
- No to sobie poczytaj

Raport WSW stwierdzał, że jestem żołnierzem krnąbrnym i niezdyscyplinowanym – „Do ukarania w jednostce”

- Co mam z tym zrobić?
- Zrób co chcesz
- Możesz sobie zostawić na pamiątkę
- Pamiątek mam dość

Podarłem i wyrzuciłem do kosza

- Rezerwa ma dość

Za pieniądze zarobione w kopalni i należności za urlop pracowniczy kupiłem nowy garnitur, koszulę z krawatem i półbuty.

Drugiego listopada 1957 roku pożegnałem kolegów, Jednostkę i Katowice.



Popisy jazdy na rowerze tyłem

Część V

Spacerkiem przez chmury

Dziś prawdziwych artystów już nie ma. Odeszli zabierając ze sobą piękne sentymentalne melodie, wzruszające słowa i to wszystko co budziło uczucia i przemawiało do duszy. To wszystko co tworzyło człowieka. Dziś prawdziwych poetów też nie ma. Zostały denerwujące wrzaski i wycia osobników, którzy nie mając nic do pokazania szokują ekstrawagancją i neglizmem. Kiedyś Mieczysław Fogg śpiewał: „Żyjemy wśród zamętu i braku sentymentu. Tu sztuczny śmiech tam sztuczne łzy. Obłuda, fałsz to są życia gry. Jedyne serce matki uczuciem zawsze tchnie. Jedyne serce matki o wszystkim dobrze wie. Dać trochę ciepła umie i każdy ból zrozumie. A gdy przestanie dla nas bić tak ciężko, ciężko żyć”. Co można do tego dodać? Chyba nic.

Gdy mama kupiła ziemię powiedziała nam:

– Ta ziemia jest naszą żywicielką. To jest kawałek Polski i to jest wasza ziemia.

Macie ją kochać i szanować.

Powiedziała zupełnie jak Maria Konopnicka lub Bełza „Dzieweczko Polska ukochaj szczerze prababek twoich święte pacierze. Czcij pamięć ojców, bo ojcowie Twoi to są rycerze w skrzydlatej zbroi. To męczennicy Ojczystej sprawy i bohaterzy szanów Warszawy. Lecz nade wszystko miłością czystą, kochaj, kochaj ziemię ojczystą”.

Co można do tego dodać? Też chyba nic. Żeby to zrozumieć trzeba mieć duszę, trzeba nauczyć się myśleć po polsku. Dzisiaj te ideały są niemodne. Jak w czasie PRLu prało się mózgi aby wychować społeczeństwo socjalistyczne tak teraz podobnie pierze się mózgi w imię globalizmu, aby wychować europejczyka kosmopolitę, dla którego patriotyzm jest tylko wypranym z uczucia słowem. Jest tylko jakimś archaicznym i śmiesznym sloganem. Komuś bardzo zależy na tym, aby młodemu pokoleniu odebrać uczucia, a wraz z nimi duszę, gdyż ciało bez duszy jest ciałem zwierzęcia. Komuś bardzo zależy na tym, aby dyskredytować, zniszczyć wszystko co stoi na straży polskiej wiary i tradycji. Ośmiesza się

kościół katolicki i najwierniejszych jego wyznawców, określając ich mianem ciemnogrodu lub moherową armią ojca Rydzyka. Jeżeli moherowy beret jest symbolem wierności ideałom to założę go również i ja.

Gdy wróciłem z wojska robiono wykopy pod fundamenty naszego domu. Roboty wykonywał głównie wuj Mietek, który po kilkunastu latach tułaczki odnalazł mamę w Proboszczewicach i włączył się do pracy. Po zakończeniu wojny wuj wyemigrował na Ziemię Odzyskane. Pracował jako kowal w zakładach mechanicznych PGR. Naprawiał traktory i inne maszyny rolnicze. Podczas pracy uległ wypadkowi. Złamaną nogę wyleczono, lecz uraz pozostał. W tej sytuacji Mietek postanowił wrócić do nas. Pamiętam jak śpiewał kiedyś o swym losie: „Czy włóczęga to coś najgorszego, czy włóczęga nie ma prawa żyć? Czy włóczęga jest tylko do tego żeby go kopać, poniewierać i bić”.

Jako człowiek bardzo skromny i niczego od życia niewymagający nie skarżył się na swój los. Czasami opowiadał coś o swych przygodach, ale wtedy ponosiła go fantazja i nie wiadomo było, czy mówi prawdę. Fantazje dotyczyły tylko przeżyć wojennych, w pracy zachowywał się normalnie. Nie był agresywny ani pobudliwy. Pieniądze na utrzymanie zarabiał wynajmując się do pracy lub zajmując się drobnym handlem. Przygoda jaką przeżył z udziałem władzy ludowej ukazuje wyraźnie cechy jego charakteru.

Wuj miał wielu przyjaciół. Lubiano słuchać jego opowiadań, zwłaszcza przy kieliszku. Kiedyś po wypiciu paru głębszych pojechał rowerem do kościoła. Było sobotnie popołudnie. W tym czasie żona kościelnego robiła porządki przed niedzielными mszami. Wuj pomodlił się, złożył do puszek parę złotych na ofiarę i wrócił do domu. W domu zorientował się, że wyjmując pieniądze zostawił portfel z sumą 500 złotych. Gdy zajechał z powrotem kościół był zamknięty. Poszedł więc do kościelnego z prośbą o umożliwienie mu odnalezienia portfela. U kościelnego był w tym czasie milicjant Brzeski. Oczywiście kościelna wyparła się, nie było sensu otwierać kościoła i szukać czegoś, czego już tam nie było. Gdy wuj zaczął nalegać, tłumacząc, że są to jego jedyne pieniądze do akcji włączył się milicjant. Chwycił on pałkę i zaczął bić. Wtedy wuj powiedział, że zachowuje się jak gestapowiec. Tego było władzy ludowej za wiele. Kazał siadać na motor i zawiózł wujka Mietka na posterunek. Odbyła się sprawa sądowa. Na zarzut opierania się władzy wuj odpowiedział, że był panu Brzeskiemu posłuszny i wykonywał wszystkie jego polecenia. Nie podniósł na niego ręki, nie bronił się i posłusznie dał się zawieźć na komendę MO.

– Ale nazwał go pan gestapowcem.

– Ja proszę Wysokiego Sądu walczyłem o wolną Polskę i nigdy przedstawiciela jej władzy nie nazwałbym gestapowcem. Powiedziałem, że tak jak on biło mnie gestapo, a to jest różnica.

– W jaki sposób walczył pan o wolną Polskę?

– Byłem plutonowym Armii Krajowej co jest zapisane w książeczce wojskowej. Walczyłem w partyzantce.

Gdy wuj zaczął opowiadać pani sędzia słuchała jak urzeczona. Ani razu mu nie przerwała. Werdykt był uniewinniający, ale pieniądze przepadły.

W połowie listopada napisałem podanie do Wydziału Oświaty Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Płocku z prośbą o przyjęcie mnie do pracy w charakterze nauczyciela. Odpowiedź otrzymałem natychmiast. Skierowano mnie do szkoły podstawowej w Krubicach. Na drugi dzień pojechałem tam aby przedstawić się pani kierownicze i omówić warunki pracy. W siedmiu klasach szkoły uczyło się ponad dwieście dzieci, a lekcje prowadziły tylko dwie nauczycielki. Sytuacja była więc dramatyczna. Klasy łączono jak się dało i nie wszystkie przedmioty realizowano. Gdy wręczyłem skierowanie do pracy pani kierownicze, ta z nieukrywaną radością zawołała do młodej koleżanki:

– Pani Teresko, przysłano nam pomoc i to w dodatku mężczyzną.

Zawód nauczycielski był zawsze sfeminizowany, co miało wpływ na dyscyplinę w szkole. Zatrudnienie młodego mężczyzny zaraz po wojsku rokowało nadzieję na poprawę sytuacji na tym odcinku pracy pedagogicznej. Szkoła podstawowa w Krubicach nie była wyjątkiem, zwłaszcza, że duży procent dzieci pochodził z rodzin PGR – owskich, a te z zasady były bardziej swawolne. Skierowane przede mną dwie młode dziewczyny szybko zrezygnowały nie radząc sobie z chuliganami z 7-mej klasy. Kierowniczką szkoły była starsza pani, doświadczona przedwojenna nauczycielka pani Zdunkiewicz. Uczyla ona głównie przedmiotów ścisłych, te mniej ścisłe zostawiając pani Teresce Borowskiej. Nie było czasu na wyjaśnienia, zapoznanie się z pracą i temu podobne ceregiele. Najlepiej rzucić delikwenta na głęboką

wodę i niech sobie radzi jak może. Kierowniczką nawet nie zapytała czy w ogóle jestem nauczycielem.

– Zaraz skończy się przerwa, poprowadzicie kolegę lekcję języka polskiego w klasie siódmej.

Dobrze, że z wrażenia oniemiałem bo bym się zaczął jąkać nie wiedząc co powiedzieć. Gdy odzyskałem mowę stałem już przed klasą. Pani Zdunkiewicz przedstawiła mnie w kilku słowach i wyszła. Zostałem sam naprzeciw trzydziestu dwóch par ciekawych oczu. Dzięki pani kierowniczce poznaliście mnie, teraz ja chciałbym poznać was. Aby zyskać na czasie i nieco ochłonać sprawdziłem listę zwracając uwagę na właścicieli wyczytywanych nazwisk. Okazało się, że lekcji polskiego klasa nie miała prawie od miesiąca.

– Co przerabialiście ostatnio? – spytałem

– Trzecią księgę Pana Tadeusza.

Odetchnąłem z ulgą. Romantyzm, idea zrodzona z walki o wolność i tęsknoty za ojczyzną, była mi szczególnie bliska, miałem ją nie tylko w głowie ale i w sercu. Spytałem co wiedzą o Mickiewiczu. Gdzie się urodził. W jakim okresie? Co to były za czasy? Dlaczego w jego twórczości dominują akcenty patriotyczne? A potem o Panu Tadeuszu. Powiedziałem, że czytałem dużo różnych książek, wiele pięknych wierszy znam na pamięć, Maraton i Ojciec Zadzumionych, ale takiego poematu, tak niezwykłej historii napisanej wierszem nie spotkałem. Wiersz charakteryzuje się tym, że w niewielu pięknie ułożonych słowach zawarta jest niezwykle bogata treść. Każde zdanie jest tu ważne. Szczególnie Mickiewicz prostym i zrozumiałym wierszem potrafił przemówić do uczuć i wyobraźni, wzbudzić emocje i wzruszenie. Ile wątków kryje się w tych słowach. Nauka tragicznych dziejów ojczyzny, które każdy Polak powinien znać. Jakie opisy przyrody przepojone tęsknotą za rodzinnymi stronami, a na tle tego fascynujące losy bohaterów.

Powiedziałem, że nadrabiając opóźnienie spowodowane przerwą nie będziemy mieli czasu aby dokładnie prześledzić treść i wszystkie elementy dzieła, ale nie odrzucajcie Pana Tadeusza na półkę. Ile razy po niego sięgniecie w życiu dorosłym, tyle razy odkryjecie rzeczy nieznane i ciekawe. Uczniowie słuchali, na zadawane pytania odpowiadali i „niewiadomo jak długo trwałaby ta rozmowa gdyby nas nie obudził dzwonek z Soplicowa” na przerwę. Przeprowadziłem jeszcze parę lekcji w różnych klasach. Do domu pojechałem tylko po to aby zabrać niezbędne rzeczy osobiste i pościel do spania. Ulokowano mnie na poddaszu starego dworku. Zmurszałe deski, małe okno, prześwitujące szpary przy futrynach i żelazny piecyk, stolik i żelazne łóżko stanowiły całe wyposażenie pokoiku. Warunki gorzej niż spartańskie, ale co mi tam, przeżyłem kopalnię, więzienie i wojsko. Przeżyję i to. Uczyłem wszystkiego czego się tylko dało po 6 – 7 godzin dziennie, na dodatek polecono mi utworzyć i poprowadzić drużynę harcerską. Nie było co jeść ani gdzie przygotować ciepły posiłek. Jadłem to co zdołałem kupić w sklepie, chleb, margarynę, pasztetową lub kaszanke, popijałem to zimną surową wodą, którą barwiłem namoczoną herbata. Myłem się przy studni. Po miesiącu dostałem z niedożywienia i przepracowania „ślepego kura”.

Jest to choroba biedaków polegająca na chwilowej utracie wzroku. Wkrótce przyszła zima, a z nią Święta Bożego Narodzenia. U mamy trochę się odkarmiłem. Wuj Mietek z paroma pracownikami skończyli roboty ziemne i zalali fundament, zabezpieczyli go przed mrozem i tak rozpoczęta budowa czekała wiosny. Po świętach do szkoły w Krubicach skierowano siostrę Hanię. Kończyła ona w Sierpcu maturę i równolegle kursy pedagogiczne, specjalizując się w nauczaniu języka rosyjskiego. Rok 1958 rozpoczął się bardziej optymistycznie. Hania zamieszkała na stacji u państwa Rębiewskich. Zaprzyjaźniła się z ich córką Tereską i nauczycielką Borowską. Do ich towarzystwa dołączyłem i ja. A było to tak.

Rębiewscy kilkakrotnie zapraszali mnie poprzez siostrę na obiad. Podziękowałem grzecznie mówiąc, że są bardzo mili, ale z jakiej racji mam nadużywać ich gościnności. Za kilka dni wracałem ze szkoły do swego zimnego pałacu. Rębiewski czekał na mnie. Był to mężczyzna wysoki, atletycznej budowy i pogodnego usposobienia. Miał lat około czterdziestu pięciu, powszechnie lubiany i szanowany za to, że nikomu nie odmawiał pomocy. W gospodarstwie swym miał kuźnię na własny użytek, ale narzędzia rolnicze naprawiali u niego wszyscy sąsiedzi. Bardziej życzliwego człowieka nie spotkałem. Gdy Rębiewski pojechał załatwić coś w gminie w Bulkowie, lub na targ do Bodzanowa, zawsze spotkał przyjaciół, którzy mieli mu się za co odwdziżyć. Na wsi najlepiej wdzięczność okazuje się stawiając w barze lub restauracji wódkę, zakąski być nie musi. Z takich wypadów najczęściej wracał po kielichu, zawsze



Krubice – pierwsza nauczycielska praca

wesoły i uśmiechnięty. Żona jego, drobna i szczupła szatynka udawała, że się gniewa, brał ją wtedy na ręce, całował i przeproszał. Takie to było małżeństwo. Mieli córkę, siedemnastoletnią Tereskę i dwunastoletniego syna, aha – mieli jeszcze psa. Nie wspominałbym o tym gdyby to było zwykłe stworzenie. Stary wilczur podobny do Szarika z „Czterech pancernych” tylko jeszcze mądrzejszy. Szarika grało w filmie kilka tresowanych psów, a przygody jego były wyreżyserowane. Reks posiadał autentyczny rozum, tyle tylko, że nie potrafił mówić ale rozumiał wszystko. Nie wiem czy był to instynkt czy jakiś przekaz telepatyczny, psychologia jeszcze tego nie wyjaśniła. Gdybym opisał wszystkie wyczyny, które widziałem nie starczyło by miejsca na moje przygody, jednak dwie opiszę. Zima podcina się drzewa. Rębiewski czyścił wierzby przy szosie. Pomógłbym panu gdyby była druga siekiera. Jeśli pan chce to Reks przyniesie. Spojrzałem z niedowierzaniem. On nie takie rzeczy potrafi. Do domu było około trzystu metrów, jednak na zawołanie pies przybiegł.

– Na podwórzu w pieńku jest siekiera, przynieś ją.

Nie dość, że pies siekierę przyniósł to jeszcze musiał wyciągnąć ją z pnia.

Innym razem Rębiewski wywoził obornik na pole. Widząc go podszedłem, zaczęliśmy rozmowę, gdy zrzucił z wozu ostatnie kupki weszliśmy na wóz i odjechali. Reks biegł obok. Na szosie gospodarz zauważył, że zostawił widły.

– Reks idź na pole i poszukaj widel

I pies szukał, biegał od kupki do kupki gnoju ale znaleźć nie mógł. Stanął i nastawił uszy w naszą stronę.

– Szukaj przy ostatniej kupce.

Pobiegł we wskazane miejsce i znalazł. Widły długie, jak pies mógł je przynieść? Złapał zębami za koniec drewnianego trzonka i pociągał. Nasze towarzystwo traktował jak swoich, ale obcego do podwórka nie wpuścił. Ma więc pies rozum, czy nie? Gdy Rębiewski podszedł, wziął mnie za rękę i powiedział:

– Teraz to już pana nie puszcę, zapraszamy na obiad.

Cóż było robić? Poszedłem. Od tego dnia byłem u nich gościem niemal codziennym.

W styczniu zorganizowałem drużynę harcerską. Na inauguracyjną zbiórkę zaprosiłem uczniów ze



Krubice – pierwsza nauczycielska praca

starszych klas. W największej szkolnej sli zsunęliśmy ławki blatami do ściany siedzeniami do środka. Przy imitowanym ognisku zebrało się około czterdziestu młodych osób. Usiedliśmy kołem. Zaczęłam opowiadać o harcerstwie, o skautingu, generale Baden Powelu, o bohaterkich harcerzach polskich, Lwowskich Orłętach, harcerzach z Katowickiej wieży spadochronowej, Szarych Szeregach i dzieciach powstańczej Warszawy. O tym, że teraz my będziemy kontynuować zaszczytne tradycje Związku Harcerstwa Polskiego. Atrybutem harcerza jest mundur z chustą, czapką rogatywką i symbolem broni, symbolem miecza rycerskiego. Oficerowie marynarki i lotnictwa do munduru galowego zakładają kordziki. Harcerze noszą finki, ale znaczenie tego symbolu jest takie same. Oprócz cech zewnętrznych harcerz powinien wyróżniać się prawym charakterem i poszanowaniem cnót harcerskich, które widnieją na jego godle. Ukoronowaniem tych zalet jest harcerski krzyż. Kto się zdecyduje, zgłosi się do mnie w obojętnie jakim terminie. Zgłosili się prawie wszyscy.

Na pierwszej zbiórce uformowaliśmy trzy piętnastoosobowe zastępy, wybrali zastępowych, przybocznego i ustalili kolor chusty – błękitna z białym obszyciem. Drużynowym zostałam ja. W Krubicach były, a może jeszcze są trzy stawy, największy był za szkołą. Zima zrobiła się mroźna, a potem śnieżna. Stawy zamarły. Dzieciarnia ślizgała się na lodzie. Przywiozłem z domu łyżwy i dołączyłem do nich. Uciechy było co niemiara. Najbardziej podobało im się łapanie mnie do niewoli. Łyżwy miało tylko kilku, ale i ci nie mogli mnie złapać. Często biorąc się za ręce otaczali mnie kołem. Gdy koło zacieśniało się dawałem nurka pod szpaler rąk i zabawa zaczynała się od nowa. Gdy spadł śnieg organizowałem podchody do odległego o trzy kilometry lasu. Część drużyny pod dowództwem przybocznego wychodziła wcześniej. Zostawiała nam strzałki, listy i inne znaki. Gdy obie części drużyny odnalazły się rozpalaliśmy ognisko, grzali kielbasę, herbatę i pod wieczór powrót do domu. Dzieciaki z niższych klas zazdrościły starszym i chciały również zapisać się do harcerzy. Jak mogłem odmówić. Utworzyłem zastępy dziecięce.

Uczyliśmy się harcerskich pieśni. Organizowali zbiórki taneczne, sztuczne ognisko na Sali. Kiedyś na takie ognisko z pączkami i herbatą zaprosiliśmy rodziców. Dzieciaki obsiadły mi obydwa kolana, tuliły się do mnie, a ojcowie dziwili się, że do obcego człowieka garną się ich omijając. Co dzień idąc do szkoły, szedłem w asyście kilkanaściorga dzieci, które specjalnie skręcały do dworku gdzie mieszkalem aby towarzyszyć mi. Często w kieszeniach płaszcza znajdowałem podrzucane dziecięcą ręką cukierki.



Obóz spadochronowy w Ciechanowie - czas wolny

Dzieci potrafią odplacić sercem. Wiedzą o tym dobrze nauczyciele pracujący z klasami 1 – 3. Na początku lutego przyszło do mnie kilku chłopców, którzy ukończyli szkołę. Pracowali w gospodarstwach ojców, ale zimą mieli sporo wolnego czasu. Prosilili aby założyć z nimi zespół teatralny i pomóc im w organizowaniu przedstawień.

Pomyślałem, że projekt ten można zrealizować pod szyldem drużyny harcerskiej. Utworzyłem starszo harcerski zastęp i pracę z nimi powierzyłem siostrze Hani.

Jesienią 1957 roku powstał w Płocku Aeroklub Ziemi Mazowieckiej.

Po wydarzeniach poznańskiego czerwca i października 1956 roku nastąpiło wiele zmian polityczno-ustrojowych. Na bazie tych przemian reaktywowano działalność Aeroklubu R.P. w nowym systemie otrzymał on nazwę Aeroklub Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Zwiększono ilość lotniczych placówek regionalnych, szkół szybowcowych. Między innymi powstał Aeroklub w Płocku i we Włocławku. Powstanie AZM miało ścisły związek z planowanym rozwojem miasta, budową kombinatu petrochemicznego. Kierownikiem został pan Romuald Flach, a jego urzędującym zastępcą mój kolega z lat szkolnych Stanisław Szygendowski.

Początki były trudne. Nie było hangaru, nie było żadnego sprzętu, nie mówiąc o szybowcach i samolotach. Praktycznie był tylko Stasiek i pieczętka. Ale pieczętką można podstemplować skierowanie, kierownik może je podpisać i droga, która do tej pory była zamknięta teraz się otwiera. Na początku postanowiono zorganizować teoretyczny kurs spadochronowy. Wykłady prowadziły zimą 1958 roku instruktorki z Aeroklubu Warszawskiego: Romana Skatulska i Maria Wojtkowska. Szefem sekcji spadochronowej był instruktor Witold Tracz. Uczestnikami kursu była duża grupa modelarzy, sympatyków i działaczy. Ja oczywiście zostałem członkiem aeroklubu i kursantem.

Zimą 1958 roku była okresem intensywnej pracy zarówno zarobkowej jak i społecznej. Jak określić wykonywaną przez nas pracę nie wiem. Napisałem, że była to praca zarobkowa – nieprawda. To jest jakaś bzdura, tragiczna pomyłka. W wojsku wykonywałem cięższą pracę niewolniczą, ale tam miałem wyżywienie, ubranie i trzysta złotych na własne potrzeby. Tutaj otrzymuję sześćset złotych ale po kupnie chleba, margaryny i jakiegoś czarnego „cwaniaka” który nie dał się wywieźć na wschód na swoje potrzeby nie zostaje mi nic. Gdzie jest więc ten zarobek? Praca zawodowa też



Obóz spadochronowy w Ciechanowie – zajęcia praktyczne

to nie jest, bo ja jeszcze nie mam żadnego zawodu. Ale pracy mam moc, od rana do ciemnej nocy. Lekcje do godziny czternastej, potem zbiórki, próby, przygotowanie lekcji i konspektów, a przecież zeszyty i klasówki też trzeba poprawić.

W więzieniu po nocnej zimowej zmianie była chociaż łaźnia i ciepła cела. Tutaj szron na ścianie, zamrznięta woda w wiadrze i pióro wypadające ze zgrabiących palców.

Niektórzy ludzie nie wiedząc lub nie pamiętając wołają „komuno wróć”.

Tak – wróć komuno i naucz cymbałów rozumu.

W zimowe długie wieczory, gdy miałem więcej czasu, chodziłem do Osieka na telewizję. W tych latach polska telewizja stawiała swe pierwsze kroki, a telewizor był rzeczą rzadką, zwłaszcza na wsi. Toteż gdy PGR w Osieku zakupił ten cud techniki do swej świetlicy, postanowiłem obejrzeć go i ja. Wtedy kilka godzin programu oglądało się non stop, od początku do końca. Program był czarno-biały i tylko jeden, innych rozrywek nie było. Dlatego też częściej odbywały się zabawy taneczne. Na wsi organizowały je oddziały Ochotniczej Straży Pożarnej albo szkolne Komitety Rodzicielskie. Okazją do zabawy były różne święta, rocznice, wydarzenia lokalne. Dostarczały one rozrywki dla mas i zarobku organizatorom.. szczególnie hucznie bawiono się na Sylwestra, w czasie karnawału i na dożynkach. Orkiestra doborowa, bufet obficie zaopatrzone. Często dodatkową atrakcją były występy zespołów ludowych lub zwyczajne awantury. Kiedyś w Proboszczewicach milicjant zbyt dosłownie zrozumiał słowo rozrywka i zdetonował w Sali granat. Innym razem w Białej oddział ZOMO rozniósł na pałkach bawiącą się młodzież. Każdy system władzy ma swoje służby porządkowe. W PRLu najbardziej znanymi były MO,ORMO i ZOMO. Co oznaczają te skróty wie każdy, ale ludzie nadali im własną interpretację. MO oznaczało „Mogą Obić”; ORMO „Oni Również Mogą Obić”; ZOMO „Zwłaszcza Oni Mogą Obić”. Trafne, co nie?

W karnawale Komitet Rodzicielski szkoły postanowił zorganizować zabawę i zarobić co nieco na swe potrzeby. Postanowiliśmy wykorzystać okazję i zaprezentować publicznie kółko dramatyczne – kabaretowe czyli występy naszego zespołu starszo harcerskiego. Wstęp za symboliczną opłatą „co łaska”. Wszystko uzgodniliśmy z Komitetem i włączyli w program zabawy na jej rozpoczęcie. Sala była pełna. Artyści nasi zaśpiewali kilka piosenek, powiedzieli parę wierszy, przed-

stawili parę skeczy a na zakończenie komediową jednoaktówkę. Była scena, była kurtyna, zmienne kolorowe oświetlenie i wiele braw. Zachęteni powodzeniem przedstawiliśmy ten program na końcu karnawału w trzech wsiach. Potem były Święta Wielkanocne i wiosna. Wiosną postanowiłem urządzić jeszcze jeden spektakl z udziałem harcerzy. Filmu o majorze Hubalu jeszcze nie nakręcono, dlatego pomysł był mój. Z zamiarem tym nosiłem się od czasu założenia drużyny, ale musiałem utrzymać go w tajemnicy. Teraz nadeszła pora. Nie wszyscy w drużynie mieli mundurki, ale błękitne chusty z białym obszyciem zamówiłem u krawcowej i zapłaciłem z pieniędzy zarobionych na występach artystycznych. Marszowych piosenek i podstawowych zwrotów musztry nauczyliśmy się zimą. Zapowiedziałem zbiórkę na niedzielę. Kazałem ładnie i odświętnie się ubrać ponieważ pokarzemy się ludziom. Krubice należały do gminy i parafii Bulkowo.

Do kościoła było ponad dwa kilometry. Powiedziałem, że jeżeli ktoś iść nie chce lub nie może to niech na zbiórkę nie przychodzi. Przyszli wszyscy. Jedenaście czwórek w szyku marszowym z harcerską piosenką na ustach stanęło przed kościołem. Msza się jeszcze nie zaczęła i wielu ludzi było na zewnątrz. Na komendę: „dwójki w prawo zwrot, do kościoła krokiem marsz” drużyna weszła do środka, zupełnie jak Hubalczyki na pasterkę. Nawet ksiądz z wrażenia przystanął. Po roku 1956 nauka Religii wróciła do szkół, ksiądz prowadził lekcje i wiedział o drużynie, ale takiej demonstracji się nie spodziewał. Tylko kierowniczką szkoły zwróciła mi uwagę:

– Panie kolego, jeśli władze się dowiedzą to możemy otrzymać kary dyscyplinarne, niech pan tego więcej nie robi.

Powiedziałem, że okres stalinowski skończył się, a jeżeli ktoś będzie miał pretensje niech pani powie zgodnie z prawdą, że była to moja decyzja i ja za nią będę odpowiadał. W duchu pomyślałem, że nie jestem nauczycielem, wkrótce kończę pracę i mogą mi natrukać. Chyba nikt się nie dowiedział. Kiedyś podczas obiadu u państwa Rębiewskich dyskutowaliśmy o zdarzeniach dziwnych i nieprawdopodobnych. Dowiedzieliśmy się, że ubiegłorocznej zimy w Bulkowie był przypadek, że w jednym z mieszkań przemieszczały się meble. Zjawisko to widziało wielu ludzi, ale nikt nie wytrzymał aby nie uciec. Podobno sprawę zakończył ksiądz. Za parę dni ksiądz był w szkole, poprosiliśmy aby nam coś na ten temat opowiedział, ale usłyszeliśmy tylko, że te rzeczy nie są do opowiadania. Jednak w parapsychologii zjawiska takie są znane i określa się je mianem zdolności psychokinetycznych.

Wiosna przyniosła ze sobą zapowiedź zmiany. Dla płockiej ziemi nadchodziła nowa era, która wkrótce miała odmienić oblicze starego miasta i całego regionu.

Na szosach pojawiły się duże samochody z ciężkim sprzętem budowlanym. Wielkie ciągniki siodłowe ciągnęły na przyczepach jakieś dźwigi, gaśnicowe spychacze i koparki. Tu i ówdzie wyrosły wieże wiertnicze, coś badano, czegoś szukano. Ze wsi leżących między Płockiem a Starą Białą przesiedlano ludzi na inne miejsca. Nowe przyszło niespodziewanie, brzmiało w warkocie motorów, w pracy maszyn i w ludzkich plotkach, które powtarzane z ust do ust rosły do nieprawdopodobnych rozmiarów.

– Panie – tłumaczyli ci, którzy najlepiej wiedzieli – pan nie wyobrazasz sobie co w tej ziemi pod nami się kryje. Tu gdzie są Proboszczewice odkryto takie pokłady węgla, że Śląsk się chowa.

Inni byli pewni, że węgla wprawdzie nie ma, ale za to są złoża ropy, gazu i rudy metali. Wkrótce plotki ucichły. Ludzie się uspokoili, a kolejne wakacje roku 1958 przyniosły ciszę. Była to jednak cisza przed burzą. Zegar na ratuszu jak dawniej wydzwaniał kwadranse. Na ulicy Kwiatka jak dawniej stało kilka konnych dorożek. Kwitły róże na Tumach, a Wisła toczyła swe wody do morza. Jednak nie była to dawna beznadziejna cisza. Po wiosennej zapowiedzi ludzie czekali zmian. Wiadomo już było, że gdzieś w stolicy postanowiono obok tysiącletniego grodu zbudować Płock jutra. Pożegnałem szkołę w Krubicach i przenieśliśmy się na lotnisko. Po zimowym teoretycznym kursie spadochronowym przyszedł czas na jego część praktyczną. Niektóre aerokluby szkoliły spadochroniarzy do wojsk powietrznodesantowych. Kandydatów było dużo. Aby odciążać komisję lekarską we Wrocławiu badania kandydatów prowadzono również w Otwocku. Wiedziałem, że mam wadę wzroku. Gdy okulista kazał mi przesłonić ręką prawe oko i czytać lewym ja przez małą szparę między palcami czytałem prawym. Orzeczenie komisji lekarskiej otrzymałem bez zastrzeżeń. Mogłem szkolić się również w pilotażu. Na lotnisku rozstawiono namioty sypialne, stołówkę, umywalnię, wc i zakwaterowano 50 kursantów. Pierwszego lipca przyjechali

z Warszawy instruktorzy. Szef szkolenia, instruktor pilot Witold Tracz nie zaakceptował warunków jakie zastał w Płocku. Powiedział, że taki obóz może się nadawać dla harcerzy, ale skoczków on tu szkolić nie będzie. Nie ma również warunków do układania i przechowywania spadochronów. Kazał załadować sprzęt na samochód, ludzi do autobusu i wszystko przewieźć do Ciechanowa, gdzie był Warszawski Ośrodek Szkoleniowy dla potrzeb wojska. Zostałem członkiem sekcji spadochronowej Aeroklubu Warszawskiego.

W końcu lipca zorganizowano w Płocku pokazy lotnicze. Brałem udział w desancie spadochroniarzy. Lotnisko warszawskie Goławek leżało na praskim brzegu Wisły pomiędzy Wałem Miedzeszyńskim, Wałem Goławskim i dzielnicą Goław. Dzisiaj tego lotniska już nie ma. Wchłonęła je Warszawa tak jak niegdyś Pola Mokotowskie. Z Goławkiem wiąże mnie wiele wspomnień, przeżyć i sentyment nie mniejszy niż z Płockim Kostrogajem. Poznałem tu wielu wspaniałych kolegów z którymi złączyły mnie pierwsze lotnicze przygody. Z Goławka wzięliśmy spadochrony i pojechali autobusem na wojskowe lotnisko w Modlinie. Tutaj załadowano nas do samolotu desantowego Li-2 i start nad Płock. Po kilkunastu minutach byliśmy nad celem zrzutu. Ile emocji i wrażeń, zwłaszcza, że zapowiedziano przez zamontowane głośniki jednego skoczka z Płocka. Aby zachować ciągłość należało szybko wyskakiwać, jeden za drugim.

Małe zawahanie spowodowałoby przerwę a nawet powtórne zejście samolotu co zepsułoby efekt pokazów. Lecący z prędkością dwustu kilometrów na godzinę samolot przebywa jednokilometrową długość w ciągu 18 sekund i tylko tyle jest czasu aby samolot opuściło dwudziestu skoczków. Dwudziesty pierwszy wyskoczył już za lotniskiem, w dodatku nie otworzył mu się spadochron. Początkowo ludzi oglądających pokaz ogarnęło przerażenie, ale szybko zorientowali się, że ten ostatni opada zbyt wolno jak na człowieka, poza tym brakuje mu głowy. Był to bowiem kombinezon wypchany słomą i wyrzucony dla zwiększenia efektu. Otrzymałem wymarzone skierowanie do szkoły szybowcowej w Lęborku na kurs pilotażu. Kurs zaczynał się 1 września, miałem więc jeszcze miesiąc czasu. Mama zgromadziła już materiał potrzebny do budowy: cegła, pustak, wapno, cement, żwir, drewno, stal, to jeszcze nie wszystkie klocki, które należało zestawić. Pochloneły one połowę czasu i pieniędzy. Zaangażowałem się do pracy.

Wtedy właśnie wymówiono nam mieszkanie. Nie było czasu na szukanie kwatery i przeprowadzkę. Na placu budowy ustawiłem szafas, zwiezione meble przykryłem papą i pojechałem na kurs. Żał było zostawiać mamę z całym kłopotem na głowie, ale dla mnie była to ostatnia szansa. Na szkolenie szybowcowe przyjmowano do 23 roku życia, a ja za parę miesięcy wiek ten kończyłem. Mama to rozumiała. 1 września zameldowałem się na szybowisku w Strzebielinie Morskim. Lotnisko to należało do lęborskiej szkoły szybowcowej. Położone przy szosie i linii kolejowej łączącej Lębork z Wejherowem, pomiędzy wzgórzami tzw. Szwajcarii Kaszubskiej i otoczone lasami. Na turnus przyjechało 50 kandydatów, o pięciu więcej niż było miejsc. Byłem jednym z najstarszych i chyba dlatego postanowiono odesłać mnie do domu. Poszedłem do kierownika szkoły i szefa wyszkolenia z prośbą, aby zostawiono mnie, gdyż jest to moja jedyna szansa. Szkolenia nie traktuję jako letniej przygody, ani nie jest to chwilowy kaprys lecz kolejny krok na drodze do wymarzonego zawodu pilota. Pomimo wielu starań wcześniej nie mogłem się zakwalifikować.

W Płocku nie było aeroklubu, musiałem odsłużyć wojsko, ale jestem skoczkiem spadochronowym i doświadczonym modelarzem. Przydzielono mnie do grupy instruktora Moczulskiego. Był to mężczyzna lat około 30, średniego wzrostu o szczupłej sylwetce i poważnej twarzy. Był surowy i wymagający, a polecenia dwa razy nie powtarzał. Za niesubordynację karał po wojskowemu, mimo to lubiliśmy go i rozumieli. Na wstępie powiedział nam, że 15 osób w grupie to o wiele za dużo aby zapewnić normalny przebieg szkolenia. Możliwe ono będzie jedynie w tym wypadku jeżeli wy sami wykażecie maksimum zdyscyplinowania, zapału i chęci do pracy, no i jeżeli dopisze pogoda. Nauczyć latać chce was wszystkich, reszta zależy od was. Jakże wdzięczny byłem mu za te słowa. Wielu miałem nauczycieli. Potrafię docenić pracę ich wszystkich, ale na pierwszym miejscu stawiam tego, który przypiął mi skrzydła. On pokazał nową drogę w zaczarowany świat podniebnych przygód. On troszczył się o nas i tak jak my przeżywał nasze pierwsze samodzielne kroki. Na starcie pracy jest to dużo. Aby jeden mógł wzbic się w powietrze,



Obóz spadochronowy w Ciechanowie.

pracować musi cała grupa. My szkoliliśmy się nowoczesną metodą dwusterową, od razu wysoki start za wyciągarką. Instruktor pokazywał w locie wszystkie elementy i czuwał nad ich prawidłowym wykonaniem. W tym samym czasie w innych szkołach uczono starymi metodami bardziej pracochłonnymi i nie tak efektywnymi. Zaczynano od chwiejnicy. Prosty szkolny szybowiec jednomiejscowy zawieszono na wysięgniku i ustawiono pod wiatr. Adept sztuki latania poznawał na ziemi zasady sterowania. Następnym etapem były szury i skoki. Wyciągarka ciągnęła szybowiec przez całe lotnisko, najpierw po ziemi potem podrywając go na wysokość 1–2 metry, lądowanie na wprost. Za każdym razem grupa musiała ręcznie transportować szybowiec na miejsce startu.

Ile kilometrów dziennie trzeba było pokonać aby najpierw pójść na koniec lotniska po szybowiec i linę wyciągarkową a następnie przyciągnąć to z powrotem, w dodatku te szybowce nie miały kółka tylko płożę. Zasady sterowania w locie każdy musiał odkrywać sam jak Kolumb Amerykę, i nie zawsze było to prawidłowe. My lataliśmy z instruktorem. Pięknie to wyglądało jak pomarańczowa czapla. Po krótkim rozbiegu zadzierała przód do góry i pod kątem 45 stopni z prędkością wznoszenia 11 metrów na sekundę pięła się jak rakietą na wysokość 300 metrów. Po wykonaniu czterozakrętowej rundy nad lotniskiem majestatycznie podchodziła do lądowania kończąc dobieg na sąsiednim pasie przy znakach. W tym czasie lina wyciągarkowa ściągana była na miejsce startu przez drugą sprzężoną z nią linką ściągarkową. Do nas należało tylko przyciągnąć Czapłę na miejsce startu, podczepić linę i dać sygnał tarczą wyciągarkowemu. Co dzień wykonywaliśmy po cztery loty każdy. W ten sposób po dwóch tygodniach i wykonaniu 40–50 lotów dwusterowych gotowi byliśmy do lotów samodzielnych. Mnie szkolenie nie sprawiało trudności, instruktor pytał się nawet czy wcześniej nie uczyłem się latać. Jako przodujący w grupie laszowałem się pierwszy. Po wykonaniu jednego lotu instruktor wysiadł z szybowca. Dlaczego? Co się stało? Kazał zamknąć kabinę. O Boże, więc jednak. Uczucia jakie zawiadną człowiekiem gdy za chwilę ma nastąpić pierwszy start, a za plecami nie ma instruktora, nie dadzą się z niczym porównać ani opisać. Emocja, radość, obawa, napięcie nerwów, serce czujesz pod gardłem. Obecnie pilot połączony jest z ziemią radiem. Jak model zdalnie sterowany. My byliśmy zdani tylko na siebie. Gdy tarcza sygnalizacyjna opadnie nie będzie odwrotu. Lecz instruktor uśmiecha się, spokojnym opanowanym głosem dodaje odwagi.



Obóz spadochronowy w Ciechanowie.

– Jak zawsze mój drogi

Serce wraca na swoje miejsce. Instruktor ufa mi, jest mnie pewien, choć wiem, że przeżywa ten lot razem ze mną. Ja wkrótce wyzbędę się nadmiaru emocji, poczuję się pewnie i bezpiecznie, on tymczasem będzie nadal przeżywał każdy mój zbyt wolny zakręt, każdy nieprawidłowy krok. Ja nauczę się latać, ale po mnie przyjdą następni, za których życie on musi odpowiadać. Tarcza oparła się o ziemię – szybowiec ruszył. Skrzydła bez zwisu, drażek od siebie. Za moment miejsce horyzontu zajęła biała plama nieba. Ziemia została w dole. Napór drażka na rękę słabnie, teraz trzeba go zacząć lekko podciągać, to już około 200 metrów.

Nie czas patrzeć na przyrządy. Utrzymać przód szybowca na właściwym miejscu, drażek lekko na sobie. Ciąg słabnie, maska samoczynnie obniża się. Ruchem drażka od siebie sprowadzam ją pod horyzont, wczepienie. Trzask odskakującego zaczepu, kilkakrotne sprawdzenie czy chodzi luźno, czy liny poszły. Szybowiec lekki jak baletnica w tańcu czuły na każdy ruch steru. Leciutko zwiększyć prędkość przed zakrętem. Teraz trochę lotki, trochę nogi w lewo, jak na rowerze przechylenie i ruch kierownicą. Wzrok w kierunku lewego skrzydła, obrać punkt orientacyjny przed zakrętem o 90 stopni. Maską płynie równoległe do linii horyzontu. Zbliża się wybrany punkt, stery w pozycji neutralnej. Wyprowadzenie z zakrętu. Popatrzeć na znaki startu, czy z ziemi nie dają sygnałów. Wszystko w porządku. Wysokość zmaląa o 50 metrów, drugi zakręt i wyprowadzenie na kierunek. Maską pod horyzontem, prędkość 80 km/h, wysokość 200 metrów, z lewej strony widzę start, kwadrat z grupą kolegów i znaki pasa lądowania. Na podziwianie widoków będzie czas innym razem, teraz uwaga poświęcona prawidłowej budowie rundy i podejściu do lądowania. 150 metrów wysokości, czas na trzeci zakręt, sto metrów czwarty zakręt i wyjście na prostą.

Przede mną nieco z prawej linia znaków. Biała duża strzała, miejsce lądowania przesuwa się zbliżając do szybowca a powinna stać w miejscu, trzeba otworzyć hamulce aerodynamiczne. Teraz strzała oddala się, hamulce do połowy, tak trzymać. Murawa lotniska zaczyna bieg przed oczami zlewając się w pędzącą zieloną wstęgę, wysokość około 3 metrów. Powoli zmniejszam prędkość, jeszcze trochę i jeszcze.

Czapla jak olbrzymi ptak niesie się nad murawą, aby po wytraceniu prędkości delikatnie na



Przygotowanie do skoku – warszawskie lotnisko Gołławek.

niej usiąść. Podbiegli koledzy. Instruktor karze zostać w kabinie. Szybowiec ustawiono ponownie do startu.

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

– No to jeszcze jeden lot taki jak ten.

Emocje ustąpiły, ich miejsce zajęła przedwczesna pewność siebie.

– Pilot gotów?

– Gotów.

Podniosłem lewą rękę na znak. Szybowiec ruszył. Gdy nadszedł moment wczepiania, przeszedłem do lotu ślizgowego i pociągnąłem za gałkę wczepu. Początkowo nie zwróciłem uwagi na dziwną ociężałość mojej Czapli. Nad lasem wyczułem jakieś drgania i nienaturalna reakcje na stery. Postanowiłem wykonać zakręt. Gdy spojrzałem w kierunku startu wszystko stało się jasne. Tarcza sygnalizacyjna obracała się w koło, a w powietrzu unosiły się czerwone gwiazdy rakiet. Dwie stalowe liny od wyciągarki i ściągarki, po kilometrze długości każda, ciągnąłem za sobą po lesie. Natychmiast pociągnąłem silnie za gałkę wczepu, usłyszałem charakterystyczny trzask i czapla pozbawiona ciężaru wyskoczyła do góry. Dalej lot przebiegał normalnie, ale kilkadziesiąt sekund nad lasem było bardzo niebezpieczne. Gdyby skacząca końcówka odciętej liny oplotła się o drzewo dla Czapli i dla mnie nie byłoby ratunku. Uwiązany do drzewa szybowiec przeszedłby w lot nurkowy i rozbił się w lesie. Jak łatwo to mogło nastąpić świadczy fakt, że kilka małych choinek było wyrwanych z korzeniami. Szczęście, że nie było wśród nich takiej, która nie dałaby się wyrwać. Szczęście czy coś więcej?

Całkowita wina była po mojej stronie. Za mało oddałem drażkę podczas wczepiania i naprężona lina nie poluzowała się w zaczepie. W tej sytuacji za słabo pociągnąłem za gałkę wczepu. Wstyd przed kolegami i instruktorem. Skompromitowałem się i nadużyłem jego zaufanie. Policzone to jako błąd uczniowski. Ściągnięcie kilkuset metrów lin wplątanych w drzewa lasu zajęło nam resztę dnia. Przy



Podstawowe szkolenie szybowcowe w Strzebielinie Morskim

laszowaniu otrzymałem za to wyjątkowo silnego klapsa. Mogę się tylko domyślać ile nerwów kosztowała instruktora przygoda której sprawcą byłem sam. Za kilka dni pożegnałem lotnisko w Strzebielinie Morskim z odznaką pilota szybowcowego klasy III w klapie, świadectwem w kieszeni i wzruszeniem w sercu. W tym czasie murarze postawili mury i ściany działowe, a do pracy przystąpili cieśle – specjaliści od konstrukcji dachu. Z końcem października zamurowano szczyty i dom w stanie surowym był gotów. Przy pokryciu dachu deskami i papą pracowałem ja z sąsiadem panem Krakowiakiem. Gdy w połowie listopada zesliśmy z dachu na ziemię, zaczął padać śnieg. Przed nadejściem zimy sam zrobiłem wyrzutkę w korytarzu i kuchni, założyłem prowizoryczną podłogę i sufit. Dzień przed Wigilią wstawiliśmy okna oraz drzwi i spędziliśmy pierwsze święta we własnym domu.

Pierwszy rok działalności Aeroklubu ziemi Mazowieckiej postanowiliśmy uczcić balem sylwestrowym. Dużą salę przeznaczoną na ośrodek modelarski udekorowaliśmy rozpiętymi spadochronami. Zawiesiliśmy kilka dużych modeli i podświetlonych od góry gwiazd. Dekoracja była prosta, ale bardzo efektowna. Poczestunek stanowiła składkowa herbatka okraszona lampką wina i ciastkami.

Skromnie, ale nastrojowo i przyjemnie. Dziewczęta zaprosiliśmy z trwającego w tym czasie kursu pedagogicznego. Do tańca przygrywał stary adapter płytowy. Bawiliśmy się we własnym gronie. Dziewcząt było więcej niż chłopców, ale im to nie przeszkadzało, tańczyły do rana. Tak rozpoczął się rok 1959.

Po Nowym Roku zacząłem prowadzić aeroklubowy ośrodek modelarski. Prowadziłem go tylko przez dwa miesiące gdyż z dniem 1 marca w grupie pięciu kolegów pojechałem do Wyczynowej Szkoły Szybowcowej w Lisich Kątach na kurs mechaników wyciągarkowo – ciągarkowych. Chwytałem się każdej okazji, która zbliżała mnie do latania. Na kursie tym oprócz uzyskania uprawnień mechanika wykonałem 20 lotów szybowcem Czapla, które umożliwiły mi dalsze szkolenie w lotach holowanych za samolotem. W marcu ośrodek modelarski prowadziła młoda kobieta, pani Krystyna Ziółkowska. Do modelarni wszedł ktoś z papierosem, niedopałek przygasił i wrzucił do kosza ze ścinkami drewna i papieru. Gdy wszyscy wyszli niedopałek rozpalił się, wkrótce cały ośrodek stanął w płomieniach. Straż pożarna uratowała budynek przy placu Dąbrowskiego, ale modelarnia przestała istnieć. W czerwcu Aeroklub Warszawski rozpoczął sezon spadochronowy w Ciechanowie. Szkolenie do wojsk powietrzno



*Podstawowe szkolenie szybowcowe
w Strzebielinie Morskim*

– desantowych wymagało ciągłego układania spadochronów do skoku. Do pracy tej zaangażowano Warszawską Sekcję Spadochronową. Ja początkowo pomagałem doświadczonym kolegom, ale gdy zrobiłem uprawnienia zacząłem układać spadochrony sam. Na obozie w Ciechanowie pracowaliśmy społecznie, ale za to mieliśmy całodzienne wyżywienie, zakwaterowanie i sporo skoków. Do połowy lipca wykonałem 40 skoków i uzyskałem II klasę wyszkolenia spadochronowego.

21 lipca 1959 rozpoczęły się w Warszawie V Spadochronowe Mistrzostwa Polski. Na zawodach tych skakałem na tzw. Sondę jako przedskoczek rozpoczynający konkurencję. Karierę sportową w spadochroniarstwie zakończyłem z końcem lipca z ilością 50 skoków. Pięćdziesiąty pierwszy skok był skokiem ratowniczym, ale o tym potem. Skoki spadochronowe dostarczają wiele emocji i wrażeń. Wrażenia te zmieniają się w miarę zdobywania doświadczenia, ale ładunek emocjonalny nie zmniejsza się i to właśnie czyni ten sport tak niezwykłym. Początkowo, gdy stojąc na krawędzi skrzydła obserwujesz przepaść, w którą za chwilę polecisz, powierzając swe życie kilkudziesięciu metrom kwadratowym tkaniny, musisz przełamać strach – zwyciężyć go. Nagrodą za to są następne niezapomniane chwile. Gdy już tego dokonasz przychodzą skoki z opóźnionym otwarciem spadochronu. Pasjonuje cię niesamowita jazda w dół i umiejętność panowania nad własnym ciałem. Potem akrobatyczne ewolucje w powietrzu i coraz to nowe przygody. Pamiętam taki jeden skok, który omal nie zakończył się tragicznie. Było to w dniu 7 lipca na obozie spadochronowym w Ciechanowie. Wyskoczyliśmy grupowo z samolotu AN-2 na opóźnienie dwudziestu sekund. Po ustaleniu opadania płaską żabką zauważyłem pod sobą kolegę Frania Pogorzelskiego. Rozpoznałem go po brązowym kombinezonie. Opadał również płaską żabką i był około 100 metrów niżej. Tak zafascynował mnie ten widok, że zapomniałem myśleć. Patrzyłem na jego rękawy targane strugami powietrza, na klasyczna pozycję opadania na tle zielonej plamy lotniska.

W pewnym momencie żabka zniknęła. Co się stało! Była przed oczami i nagle zniknęła. Czas otwierać spadochron. Na taśmach uprząży na piersiach po lewej stronie widnieje w kieszonce czerwona ramka uchwytu, ciągnę ją – w powietrzu rozlega się charakterystyczny trzask i wiszę pod białą czaszą dużego parasola. Na ziemi widnieje duży biały krzyż, tam trzeba wylądować, gdyż jest to skok z lądowaniem na celność. Niezupełnie mi się to udaje, ale do krzyża i do kolegów mało brakuje. Lądowałem przed Franiem. On otworzył spadochron pierwszy. Ledwie zdążyła



*Na kursie
mechaników
wyciągarkowych*

wypełnić się czasa jego spadochronu jak ze świstem i prędkością 180 km/h przeleciałem tuż obok niego. Do zderzenia zabrakło tylko paru metrów. Na obozie w Ciechanowie mieliśmy trzy koleżanki spadochroniarki Marysię, Miłkę i Elę. Dla Eli kariera sportowa skończyła się zanim zaczęła. Wykonała już kilka skoków w początkowej fazie szkolenia i wszystko było dobrze. Przy kolejnym zlekła się zbliżającej ziemi. Podkułiła nogi i uderzyła kolanami. Karetka, szpital i więcej jej nie widzieliśmy. Pamiętam ją jako dziewczynę skromną, sympatyczną i trochę naiwną – takie duże dziecko. Chciała sposobem bycia dorównać starszym kolegom, ale w ogóle jej to nie wychodziło. Marysia Puchar była typem bardziej męskim. Urodziła się chyba ze spadochronem.

W ciągu wielu lat czynnego uprawiania spadochroniarstwa zdobyła kilka tytułów mistrzowskich i ustanowiła parę spadochronowych rekordów. Miłka natomiast jest chyba najszlachetniejszym i najsubtelniejszym człowiekiem jakiego poznałem. Ojciec jej, polski pułkownik w czasie wojny ożenił się z Rosjanką. Wkrótce ich drogi się rozeszły. Pułkownik Bielewicz wrócił do Polski, żona została w Rosji. Ludmiła do pełnoletności wychowywała się u mamy, po maturze u ojca w Polsce. Wstąpiła do sekcji spadochronowej Aeroklubu Warszawskiego i tu się poznaliśmy. Po ukończeniu studiów pedagogicznych została nauczycielką języka rosyjskiego. Z obiema paniami utrzymuję przyjaźń do dnia dzisiejszego. Marysia po mężu odziedziczyła nazwisko Karolewska, a Miłka Pawlak. Obie są warszawiankami i obie nadal działają w Związku Polskich Spadochroniarzy.

Ja bez reszty zająłem się szybownictwem. Już 2 sierpnia zameldowałem się na kursie lotów holowanych w Szkole Szybowcowej w Fordonie. Gdy się ma pięć godzin nalotu, a do tego roczna przerwa, to trzeba zacząć od Czapli, wyciągarki i lotów z instruktorem. Po wykonaniu pierwszych lotów kontrolnych Szef Wyszakowania pan Szajkowski stwierdził, że latamy „jak dziki po kartoflach”, wystarczyło jednak kilka lotów z instruktorem aby wszystko wróciło do normy i wypuszczono nas samodzielnie. Loty samodzielne wykonywaliśmy na jednomiejscowym szybowcu typu Komar. Była to konstrukcja jeszcze przedwojenna. Kiedyś był to szybowiec wyczynowy, obecnie jako typ przestarzały, w porównaniu z konstrukcjami współczesnymi, ale zalety miał niezaprzeczalne. Był lekki, zwrotny i bardzo prawidłowy w pilotażu, wystarczyła niewielka prędkość aby unieść się w powietrze, słaby prąd termiczny czy zbczowy aby szedł w górę jak balon. Lataliśmy

jeszcze po rundzie wokół lotniska, nie wolno nam było wykorzystywać prądów wznoszących, to jest etap dalszego szkolenia i nauki gospodarowania wysokością jak również lądowania w terenach przygodnych.

Za niesubordynację jakiej się dopuściłem można było wylecieć z kursu, ale bywają sytuacje, że człowiek czasami nie wytrzymuje nerwowo. Gdy nasi piloci z Dywizjonu 302 w okresie bitwy o Anglię wykonywali loty ćwiczebne, a z boku trwała walka, też nie wytrzymali. Zlekceważyli rozkaz i po kolei włączali się do bitwy odnosząc parę zwycięstw. Otrzymali nagane, ale równocześnie zakończenie ćwiczeń i włączenie do boju jako pełnoprawny dywizjon. Przykład na pewno nietrafny, bo co może mieć wspólnego początkujący szybownik z pilotami bojowymi. Nie ta skala. Ale gdy na podejściu do lądowania na wysokości 100 metrów wleciałem w obszar wznoszenia, gdy wskazówka wariometru pokazywała 2 m/s do góry, nie wytrzymałem i zakrążyłem. Po chwili miałem 200 metrów, a nad startem pokazały się czerwone rakiety. Otworzyłem hamulce i prawidłowo wylądowałem.

Oczywiście musiałem zameldować się u instruktora. Na jego pytanie udałem głupiego. Powiedziałem, że krążyłem aby wytracić nadmiar wysokości. Nie wiem czy instruktor w to uwierzył, ale ponieważ dałem sobie radę konsekwencji nie wyciągnął. Uczeń ma prawo wszystkiego nie wiedzieć. Następnego dnia rozpoczęły się loty za samolotem. Uczepiony na 40 metrowej linie dwumiejscowy szybowiec Bocian tańczył jak pijany. Gdy odchylenia były zbyt duże pomagał instruktor. Po kilku lotach taniec ustał, a szybowiec zachowywał się jak dobrze ujeżdżony koń. Wtedy zaczęły się samodzielne loty na jednomiejscowym szybowcu Sroka, taka mniejsza Czapla.

Ci którzy wyróżnili się w szkoleniu zostali wylaszowani na Muchy, a to były już superszybowce przez duże „S” o bardzo pięknej i zgrabnej sylwetce oraz większej doskonałości. Wtedy można było skrócić linię holowniczą o połowę. Należałem do czołówki i wkrótce z odpowiednimi wpisami w dokumentacji osobistej i 10 godzinnym nalotem wyjechałem na dalsze szkolenie do Wyczynowej Szkoły Szybowcowej w Jeżowie Sudeckim koło Jeleniej Góry. Ośrodek szybowcowy w Jeżowie był znana w Europie kopalnia szybowcowych diamentów. Diamentowa Odznaka Szybowcowa jest najwyższą odznaką w tym sporcie. Składa się ona z trzech białych mewek na niebieskim tle otoczonych złotym wieńcem. W górnej jego części umieszczone są trzy małe diamentki. Każdy z diamentów oznacza inny wyczyn. Zdobywa się je za przelot docelowy 300 kilometrów, przelot otwarty 500 km i przewyższenie 5000 m., to znaczy wysokość uzyskaną przez sam szybowiec.

Tego rodzaju przewyższenie można uzyskać praktycznie tylko na powietrznej fali, która występuje w górach przy odpowiednich warunkach atmosferycznych i zasięgiem swym dochodzi do stratosfery. Wykorzystanie wznoszeń falowych to już wyższa szkoła jazdy, dostępna dla doświadczonych pilotów z uprawnieniem do lotów wysokościowych. Fala w Karkonoszach występuje gdy wieje wiatr halny, głównie jesienią. Przyjeżdżają wtedy do Jeżowa szybownicy z całej niemal Europy. Oprócz pilotów wyczynowych czekających na falę lataliśmy my w grupie treningowej, szkoląc się w lotach termicznych, żaglowych zdobywając uprawnienia do licencji pilota szybowcowego, odznaki srebrnej i klasy II sportowej. Loty żaglowe nie polegają na przypięciu do szybowca żagla, lecz na wykorzystaniu prądów zboczowych. W odróżnieniu od nich prądy termiczne są wirami wznoszącego się ciepłego powietrza. Każda chmura kłębiasta jest dzieckiem takiego prądu. Czas biegł szybko. Każdy lot zwiększał doświadczenie i wzbogacał przeżycia. Każdy dzień był jak ogniwo w łańcuchu przygód. Po uzyskaniu uprawnień do lądowań w terenach przygodnych i wykonaniu paru lotów dwusterowych na termikę i żagiel polecałem sam. Od tego momentu zaczęły się loty nie parominutowe lecz wielogodzinne, zaczęło się prawdziwe szybownictwo, zwiedzanie kraju, podziwianie widoków i odkrywanie świata o jakim na ziemi nie ma się pojęcia.

W połowie września zrobiłem przewyższenie 1400 m, pierwszy warunek do srebrnej odznaki, a za miesiąc lotem trwającym 5 godzin 20 minut drugi warunek czasowy. Zaczęła się złota jesień, po raz pierwszy podziwiana w górach i do tego z wysokości prawie 2 kilometrów. Z nad rozległej doliny Jeleniej Góry widzę Karpacz u podnóża Śnieżki. Dalej Szklarska Poręba ze Szrenicą. A jeszcze dalej, ale bardziej w lewo, Kamienna Góra i jakże inne wspomnienia. Połowa października, na ziemi kolorowa jesień, ale tu pod chmurami już zima.



Fordon – szkolenie w lotach holowanych

Wiruje śnieg, który o dziwo wcale nie spada na ziemię. Zepsuła się pogoda. Nielotne dni emanują nudą. Jedni grają w brydża, inni coś robią dla zabicia czasu na świetlicy. Ktoś wpadł na pomysł aby zorganizować wieczorek taneczny przy adapterze. Kierownik szkoły wyraził zgodę. Zaproszono dziewczęta ze szkoły pielęgniarzkiej i wieczór minął przyjemnie. 27 października obudzono nas skoro świt. Wystarczyło jedno magiczne słowo „fala” aby gorączka opanowała wszystkich. Wybiegliśmy na dwór. Silny południowy wiatr gwałcił konary drzew. Spoza porwanych strzępów rzadkich kłębiastych chmur wierzowało słońce, a ponad doliną Jeleniej Góry unosiła się piękna soczewka altocumulusa. Z wierzchołka Karkonoszy kłębiąc się spływała ku dolinie gęsta zasłona chmur muru halnego. Nie ulegało wątpliwości, nadszedł dzień na który długo czekała grupa pilotów. Po chwili duży samochód Wyczynowej Szkoły Szybowcowej ruszył krętą drogą pod górę do lotniska. Za pół godziny pierwszy zespół oderwał się od ziemi, po nim następne znikwały za chmurami. Instruktor Adam Witek, który niedawno zdobył mistrzostwo świata na Musze Standard zajął miejsce w kabinie. Ustawiony na szczycie zbocza szybowiec pchnięto pod wiatr za końcówki skrzydeł. Niewidzialna siła powietrznego prądu oderwała szybowiec od ziemi i uniosła w górę. Jeszcze kilka zakrętów nad zboczem i prowadzony mistrzowską ręką szybowiec skrył się poza chmurami. W tej chwili wezwano mnie do kancelarii Szefa Wyszkożenia. Pa Tadeusz Popiel bez wstępów rzekł:

– Polecisz z kierownikiem szkoły na Bocianie. Będzie to próba pobicia rekordu Polski.

Ubieraj się i biegiem do hangaru.

Wystartowaliśmy. Gwałtowne porywy wiatru utrudniały utrzymanie się za samolotem holującym. Co chwila silne podmuchy połączone z duszącymi prądami spychały zespół w dół. W niektórych momentach wiry rotorowe rzucały maszynami w przeciwne strony. Trudno było utrzymać nogi na pedałach sterów kierunku. Nagle szybowcem zatrzęsło, samolot znikł z pola widzenia. Nim zdążyłem zrozumieć sytuację instruktor Waldemar Gross wczepił się. Wariometr wskazywał 10 m wznoszenia, wysokościomierz 800 m. po chwili miejsce wznoszenia zajęło silne opadanie i tak na zmianę. Po paru minutach zmagania wariometr ustabilizował się w sześciometrowym wznoszeniu. Byliśmy na fali. Kontury pól malały w oczach. Linie szos zaczęły się zacierać. Jakiś szybowiec koło nas lśnił w pozornym bezruchu nad srebrzystymi kłębkami chmury. Promienie słońca rozszechniając się w maleńkich kropelkach rosy

barwiły je kolorami brylantów, a strzałka wysokościomierza spokojnie wędrowała wokół tarczy odmierzając setki i tysiące metrów. Na limuzynie kabiny osiadła rosa od wewnątrz, a krawędzie natarcia skrzydeł zaczęła pokrywać narastająca warstwa białego lodu. Na wysokości 6000 m instruktor polecił mi założyć maskę tlenową i wziąć tlen, jednak ja polecenie zlekceważyłem. Maskę założyłem, ale zaworu butli tlenowej nie odkręciłem. Uważałem, że skoro dobrze się czuję to tlenu jeszcze brać nie muszę. Jak się wkrótce okazało była to decyzja żółtodzioba. Strzałka wysokościomierza przekroczyła 7 km. Instruktor brał tlen, a ja nadal grałem zucha. Limuzynę przecięły pierwsze zygzaki marznącego szronu.

Spojrzałem jeszcze raz na malowane mrozem kwiaty i straciłem przytomność. Nie wiem jak długo trwał ten stan i co działo się potem. Dopiero na wysokości 5000 m, kolejno jeden po drugim zaczynały przzerwana pracę zmysły. Równocześnie z odzyskiwaniem świadomości usłyszałem zdenerwowany głos instruktora, który z pierwszej kabiny nie mógł mi pomóc. Słyszałem, że krzyczał abym odkręcił tlen. Jednak ja nie mogłem wykonać żadnego ruchu. W oczach ciemno. Każde poruszenie wymagało dodatkowej energii i zwiększało zużycie tlenu. Tlenu nie było, więc zapas zaczął się od nowa. Poza tym byłem dziwnie obojętny na wszystko co się wokół mnie działo. Instruktor znowu wydaje jakieś polecenia. Niech sobie krzyczy. Co mnie to obchodzi. Powoli zaczęła wracać władza w rękach, ale odkręcić zaworu tlenowego nadal nie mogłem. Brak było na to sił i nie pozwalały opinające mnie pasy. Ręką namacałem klamry i zacząłem wypinać się z pasów. Widząc to instruktor zaczął krzyczeć. Myślał, że chcę wyskoczyć, a ja nie mogłem mu wytłumaczyć dlaczego to robię. Nagle ujrziałem światło dzienne – byłem na powrót sobą. Ogarnął mnie spóźniony wstyd.

– Widzisz co zrobiłeś – zaczął instruktor.

– Do tej pory na pewno pobilibyśmy rekord, a teraz nie wiem czy uda odnaleźć się wznoszenie.

Powtórnie zaatakowaliśmy falę. Po chwili wariometr znowu pokazał sześciometrową windę. Tym razem nie lekceważyłem wysokości. Tlenu miałem pełen zapas, ale instruktorowi zaczęło go brakować. W górnych granicach fali prędkość wznoszenia zaczęła maleć. Na wysokości 8000 m wynosiła jeszcze trzy metry na sekundę. Ciśnienie tlenu w butli spadło do jednej trzeciej wartości początkowej i spadało nadal, zwłaszcza, że od pewnego czasu tlen płynął strumieniem ciągłym. Gdy strzałka wysokościomierza przekroczyła 9000 m instruktor poczuł się źle. Zmarznięte nogi zaczął chwytać kurcz. Drażek sterowy wypadł z rąk. Wiedziałem, że ogromnym wysiłkiem woli stara się prowadzić szybowiec. Spojrzałem mu w twarz i przeraziłem się, była prawie fioletowa. Nos i usta jak odbite nabiegły krwią. Wreszcie nie wytrzymał. Czując, że traci przytomność powiedział tylko – Gdy zemdleję schodź w dół

I opadł bezwładnie na pasach. Wysokościomierz wskazywał prawie 10 000 m.

Otworzyłem hamulce aerodynamiczne i na zwiększonej prędkości pomknąłem w kierunku szarej plamy ziemi. Na 5 000 m instruktor odzyskał przytomność. Domknął hamulce gdyż szybko narastające ciśnienie powietrza powodowało ból w uszach. Nad ziemią przejął stery aby po ponad 4 godzinach lotu wylądować wśród zaciekawionych kolegów. Wieczorem tego dnia radio podało, że piloci Waldemar Gross i Wiesław Cygański pobili dwa rekordy Polski w kategorii szybowców dwumiejscowych uzyskując wysokość absolutną 9960 m oraz przewyższenie 8950 m. W dniu tym dalsze dwa rekordy ustanowił instruktor Józef Kurpiela w kategorii szybowców jednomiejscowych. Poza tym licznie posypały się szybowcowe diamenty.

Po tym dniu znowu zepsuła się pogoda, nawet wróble na piechotę chodziły. Gdy pułap chmur podniósł się do kilkuset metrów i przestało padać a zachodni wiatr umożliwił loty żaglowe wystartowaliśmy na zbocza Gór Kaczawskich w rejonie pomiędzy Jeżowem a zaporą wodną na rzece Bóbr. Kilkukilometrowe zbocze świetnie nadawało się do tego rodzaju lotów, toteż wystartowało wszystko co mogło latać. Była to wielka frajda gdy kilkanaście szybowców jeden za drugim majestatycznie jak na defiladzie płynęło ponad wierzchołkami górskich smreków. Uważać trzeba było aby utrzymać się na stronie nawietrznej gdyż nad samym wierzchołkiem zbocza wznoszenia nie było, a tuż po jego stronie przeciwnej na zawietrznej, tworzyły się silne wiry prądów duszących. Ja leciałem na Komarze.

Zalety tego szybowca już opisałem, ale pominąłem jeden drobny szczegół, że nie posiadał on krytej kabiny tylko owiewkę. W ciepłe słoneczne dni była to dodatkowa atrakcja, bezpośredni kontakt z powietrzem. Jednak późną jesienią gdy pod chmurą zawirują w śnieżycy płaty śniegu, wtedy ten kontakt



Jeżów Sudecki – szkolenie w lotach termicznych i żaglowych

z powietrzem staje się zbyt bezpośredni, ale urok zostaje niezapomniany. Dodatkowe płótno wyłożone przed strzałą na pasie lądowania oznacza, że trzeba zakończyć lot. Dlaczego ściągają nas na ziemię? okazało się, że jeden z kolegów nie zachował należytej ostrożności, dał się zepchnąć na zawietrzną i teraz wisi zaczepiony na drzewach, a właściwie wisi jego szybowiec. Co jest z pilotem, nie wiadomo. W górach pokrytych lasami nie ma dróg dojazdowych. Trzeba iść całą grupą na pomoc. Może trzeba go będzie nieść. Dokąd się dało pojechaliśmy samochodem z wózkiem transportowym, dalej parę kilometrów po lasach i górach na piechotę. Sroka jako szybowiec szkolny nie ma dużej prędkości, ponadto jest lekka. Spadając na młody las złamała trochę gałęzi, zrobiła kilka dziur w pokryciu, ale generalnie giętkie drzewka wyhamowały prędkość i złagodziły siłę uderzenia. Pilot za wyjątkiem kilku otarć wyszedł z przygody bez szwanku. Po zdemontowaniu szybowca znieśliśmy go rozebranego na części. Do wieczora uporaliśmy się z pracą. Nazajutrz Świętem Zmarłych rozpoczął się listopad. W listopadzie zmrok zapada wcześniej, gdy do tego jest pochmurno i siąpi mżawka jest zupełnie ciemno. Z kolegą wybrałem się na cmentarz. Połowę cmentarza stanowiły stare zarośnięte i tonące w ciemnościach groby. Dalej była część grzebalna. Tu paliły się znicze, były świeże kwiaty i trochę ludzi. Szliśmy powoli pomiędzy starymi niemieckimi mogiłami. Kolega szedł pierwszy, a ja dwa kroki za nim. W pewnym momencie namacał nogą jakiś dół, ale dna nie mógł sięgnąć.

Zapalił zapałkę, w jej świetle zobaczyliśmy głęboka studnię. Dna nie było widać, gdyż tonęło w ciemności. Aby pułapka była skuteczniejsza, na środku studni trzy metry poniżej jej poziomu tkwiła stalowa rura po zdemontowanej pompie. Gdyby kolega szedł trochę pewniejszym krokiem, wpadłby niezawodnie i nadział się na sterczące żelazo. Śmierć stuprocentowa.

- Co byś zrobił gdybym wpadł do tej studni – zapytał mnie
- Albo bym wpadł za tobą, albo poszedł po znicz
- To byś bardzo dobrze zrobił bo wtedy tylko znicz byłby mi potrzebny

Humor nie opuszczał braci lotniczej nawet w takich sytuacjach. A swoją drogą – następny orzeł. Pogoda ustaliła się na całkowicie nielotną. Po 10 dniach oczekiwania wykonałem jeden krótki lot bez żadnych perspektyw na znalezienie jakiegokolwiek noszenia. W połowie listopada zakończył się turnus w Jeżowskiej szkole. Wracałem do domu z wpisami nowych uprawnień, warunków sportowych i nalo-



Lądowisko na szczycie Żaru. Szkoła szybowcowa Żar

tem ponad 40 godzin. Wpisano mi również w rubryce „pochwały i nagrody” pochwałę za wzorowy stosunek do latania i pracy startowej, a nagrodą za to był lot falowy z kierownikiem szkoły i pobicie dwóch rekordów Polski. Wpisy podobnej treści otrzymałem również wcześniej za pracę i postępy w wyszkoleniu na obozie spadochronowym i w szkole szybowcowej Lębork.

Siostra Hania po ukończeniu szkoły średniej i kursów nauczycielskich pracowała gdzieś w powiecie sierpeckim. Ewę nazywaliśmy jej drugim imieniem Bożena. Kończyła ona szkołę podstawową w Płocku i była na stacji. Wuj Mietek też gdzieś wyjechał. W domu była tylko mama. Dom stał praktycznie w stanie surowym gdyż na dalsze prace zabrakło pieniędzy. W PRLu były bardzo dziwne prawa. Jeżeli ktoś na przykład się budował i nie wziął z banku pożyczki to dostawał wysoki domiar finansowy. Bank był instytucją państwową tak jak wszystko w tamtych czasach. Własność prywatna była sprzeczna z komunistyczną ideologią Marksa i Engelsa. Skarb państwa musiał otrzymać swą część w takiej czy w innej formie, ale podatku od zakupu chleba w sklepie nie pobierano, jak czyni się to obecnie. Mama na budowę wzięła 30000 zł pożyczki, a spłaciła 40000 podobnie jak dzisiaj. Zadłużenie było niemałe i dom całymi latami stał niewykończony. Na razie postanowiliśmy z mamą przygotować do zamieszkania jeden pokój gdyż w korytarzu i kuchni było ciasno. Tynk i posadzki założył nam stary Rzepka. Na podbity matami trzcinowymi sufit i ściany poszła wyrzutka cementowo – wapienna. Pomieszczenia nabrały zupełnie innego wyglądu. Cieszyliśmy się jak dzieci chociaż zaprawę trzeba było podgrzewać aby nie zamarzła. W połowie grudnia ocieplono się na tyle aby można było założyć posadzkę w kuchni i korytarzu. Wieczór w grudniu zapada o godzinie 15 z minutami, jedynym światłem była lampa naftowa. Co można robić w takich warunkach? A tymczasem zabrakło nam betonu na jeden metr kwadratowy posadzki w korytarzu. Nie problem – dokończymy jutro. Rzepka poszedł do domu a ja z mamą na noc do sąsiadów.

Rano okna przyozdobił mróz. Przez oszronione szyby nie widać nic. Ale dlaczego drzwi nie można otworzyć? Gdy we dwóch mocno popchnęliśmy drzwi ustąpiły, ale tylko na 30 cm. Zamiast wyjścia na dwór ukazała się śnieżna ściana. Pani Witkowska przyjaźniła się z mamą. Od 15 lat czekała na powrót męża z wojny. Niestety nie doczekała się. Nie wiadomo było czy żyje i w jakich okolicznościach zginął. Sama wychowywała trójkę dzieci. Najstarszy Leszek był w moim wieku, Jurek o 2 lata młodszy i Alina ładna 17 letnia panna, która jak dorosły mężczyzna prowadziła kilkunastohektarowe



Na płockim lotnisku – kierownik Aeroklubu Ziemi Mazowieckiej inż. pilot W. Stański z szympansem z płockiego ZOO – w sesji fotograficznej, która ukazała się drukiem w Skrzydlatej Polsce z okazji 1 kwietnia.

gospodarstwo rolne, wykonując w nim wszystkie prace. Az trudno uwierzyć Jurek precyzyjnie się przez szparę między drzwiami a futryną, wyczołgał się po zasnie śnieżnej i wykopał tunel aby można było otworzyć drzwi. Wyszliśmy na dwór. Wszystko zasypane śniegiem, a co z naszą posadzką. Zamrzła na kość. Jasnoszara z połyskującymi brylancikami lodu. Mieszkanie wyglądało jak pałac królowej śniegu z bajki Andersena. Nawet nie było czym tego rozgrzać. Mała kuchenka wystarczała zaledwie na ugotowanie czegokolwiek. Węgla też nie można było kupić. Był to towar reglamentowany, dostępny tylko na przydział. Kopalnie pracowały pełną parą, ale węgiel gdzieś wywożono, jak wszystko w ówczesnej Polsce. Na święta przyjechały obie siostry, ustroiliśmy choinkę i jak Eskimosi w igloo doczekaliśmy nowego roku 1960. zimą lubiłem przypiąć narty i samotnie gnać przez zaśnieżone pola do lasu. Podziwiać jak w promieniach słońca połyskują gwiazdy na zaspanych choinkach, lub w ciszy wieczoru wirują duże płaty spadającego śniegu.

Gdy w oknach chat zamajaczyły pierwsze światła lamp, wracałem do domu. Czasami odwiedzał mnie Kazio Różycki. Poznaliśmy się ubiegłego roku gdy prowadziłem ośrodek modelarski, a on jako początkujący modelarz zaraził się bakcylem lotnictwa.

Byłem dla niego wzorem jak kiedyś dla mnie Wiktor Sznurowski. Kazio w tym roku ukończył podstawowy kurs szybowcowy. Mieliśmy więc dużo wspólnych tematów. Gdy tylko w wiosennym słońcu roztopiły się śniegi i ziemię pokryła pierwsza młoda trawa wyjechałem do Wyczynowej Szkoły Szybowcowej Żar. Była to góra wznosząca się 900 m n.p.m., położona na granicy Beskidu Małego i Śląskiego, pomiędzy Żywcem a Bielsko Białą. Tereny przepiękne. U podnóża Żaru płynęła Soła z dużym zalewem wodnym i zapora w Porąbce. Na szczycie góry było szybowisko, hangar, budynek szkoły z internatem i stołówką, oraz stacja meteorologiczna gdzie mieściła się administracja i kierownictwo. Wymarzone miejsce, chyba specjalnie stworzone przez Boga na szybowisko. 400 metrów niżej było lotnisko połączone z górą wyciągiem linowym służącym do transportu szybowców, ludzi i zaopatrzenia.

Wątpię czy jest drugie takie na świecie. Starty odbywały się na górze przy użyciu lin gumowych. Każdy kierunek wiatru był dobry. Jedynie przy wschodnim używano wyciągarki po to tylko aby oderwać szybowiec od ziemi na wysokość 50 m.

Do lądowania służyło lotnisko dolne. Tylko instruktorzy mogli lądować na górze. Na Żarze za-

meldowałem się już 1 kwietnia. Zakwaterowanie, zapoznanie z rejonem i egzaminy zajęły pierwsze 3 dni, potem rozpoczęto loty. Nowe wrażenia, nowe widoki i nowe przygody. Każdy pilot raz do roku musi zdać egzaminy teoretyczne i praktyczne. Kontrola wiadomości teoretycznych i kontrola techniki pilotażu. W tej dziedzinie uczyć się trzeba cały czas. Najniższą oceną pozytywną jest ocena dobra. Trójka oznacza poprawkę. Wewnętrzna Komisja Egzaminacyjna składa się z instruktorów szkoły. Państwową powołuje Ministerstwo Komunikacji. Podczas egzaminów zdaje się 14 różnych przedmiotów. Wyniki egzaminów oraz znajomość lotniska i rejonu wpisuje się do dokumentacji osobistej i stanowią one warunek dopuszczający do latania. Pierwszym warunkiem jest orzeczenie Głównego Ośrodka Badań Lotniczo Lekarskich.

Z rejonem lotów zapoznaliśmy się podczas ciekawej wycieczki autokarowej. Na trasie Porąbka Kęty, Bielsko Biała, Żywiec pokazano nam miejsca gdzie można lądować awaryjnie lub przygodnie. Gdzie należy mieć jaką wysokość aby przeskoczyć góry, lasy i tereny nienadające się do lądowania. Zapoznałem się z nowymi kolegami. Lotnicza brać jest zespołem ludzi życzliwych i koleżeńskich, wspólne przeżycia i wspólna praca cementują przyjaźń. Na Żarze kręcono zdjęcia do filmu „Pierwszy start”. Jest to stary film o treści trochę naiwnej, ale zdjęcia Żaru, pięknych widoków i startów jakich dziś już nie ma, wywołują wzruszenie zawsze kiedy je oglądam. Szkoda, że przez tyle lat nie stworzono filmu, który ukazałby piękno tego sportu. Po wykonaniu dwóch lotów kontrolnych z instruktorem poleciałem samodzielnie. Ustawiono Muchę na szczycie zbocza przodem pod wiatr.

Zająłem miejsce w kabinie, zapiąłem spadochron. Specjalnym zaczepem p[przymocowano ogon do zabetonowanego w ziemi haka, przypięto dwie grube gumowe liny na kształt procy. Przy każdej linie 4 kolegów. Na komendę instruktora „pilot” podniosłem lewą rękę „ogon – gotów”; „liny – gotowe „; „naciągaj” – ośmiu kolegów ruszyło biegiem z góry. Raz dwa... raz dwa. Brzmiały słowa komendy „puść”. Poczulem lekkie szarpnięcie. Narastająca prędkość przycisnęła plecy do oparcia fotela, liny opadły samoczynnie. Wyrzucony jak z katapulty szybowiec znalazł się od razu w półtorametrowym wznoszeniu. Co za radość, jaka emocja i frajda. Zupełnie jak w przerobionej piosence „jak dobrze nam wzlatać w chmury i młodą piersią chłonać wiatr, na skrzydłach leć hen do góry wyżej niż niż dumne szczyty Tatr. Komenda brzmi – naciągaj liny, a potem puść: wzlatuje srebrny ptak, leci nad góry i doliny wyżej niż orły sponad Tatr”. Kilaka zakrętów nad zboczem w lewo w prawo, aby nie wyjść ze wznoszenia. Podemną wystartował następny szybowiec.

Mam już 600 m nad poziom dolnego lotniska. Można zobaczyć co jest pod tworzącą się białą chmurką. Jest dwumetrowe wznoszenie. Przechyliłem Muchę w krążeniu. W dole na szczycie sąsiedniej góry, na rozległej zielonej polanie opala się jakaś para. Myśleli, że są sami. Gdy zobaczyli krążący nad głowami szybowiec, podnieśli się i schowali w lesie. Po kilkunastu minutach byłem na wysokości 2 km, chmurka rozrosła się w tym czasie do rozmiarów średniego cumulusa. Wiatr odniósł mnie w kierunku Bielska Białej, trzeba wracać do lotniska. W lotach termicznych nadlotniskowych można oddalić się pod warunkiem, że wysokość gwarantuje powrót na lotnisko. Gdy lądowałem po ponad 5 godzinnym locie słońko kryło się za najwyższe góry Beskidu Śląskiego, gdzieś w rejonie Ustronia i Wisły. Za kilka dni rozpocząłem naukę akrobacji podstawowej. Najpierw z instruktorem na Bocianie.

Sytuacje korkociągowe musiałem mieć opanowane wcześniej. przed pierwszymi samodzielnymi lotami za samolotem. Teraz doszły pętla i przewroty lub ranwersy, jak kto woli. Ranwers jest to figura trudniejsza niż pętla chociaż dla laika mniej efektowna. Po nabraniu szybkości jak do pętli podrywa się szybowiec pionowo do góry. Tuż przed całkowitą utratą prędkości, gdy ster kierunku jeszcze reaguje, wprowadza się szybowiec w obrót tak, aby maszyna przyjęła pozycję dziobem do dołu. Po nabraniu prędkości wraca się do lotu poziomego. Jeżeli nie wyczuje się momentu i doprowadzi do całkowitej utraty prędkości szybowiec zacznie spadać wykonując ślizg na ogon. Jest to nieprzyjemne i niebezpieczne, szczególnie dla szybowców szkolnych. Instruktor pokazywał wykonanie poszczególnych figur a ja je powtarzałem. Potem wykonałem to samo w locie samodzielnym na Musze 100. Po wykonaniu kilkunastu takich lotów następował egzamin, w którym wszystkie figury należało połączyć w jedną akrobacyjną wiązanke. Wyglądało to mniej więcej tak – na sygnał pilota samolotu do wczepienia odchodziłem zdecydowanie w lewo aby holujący widział, że szybowiec wczepił się. Samolot lotem nurko-



*Instrukcji udziela szef szkolenia
instruktor pilot R. Lewandowski*



*Boguś Pawlicki pomaga mi w przygotowaniu
do startu*

wym poszedł w dół. Wysokość 2 000 m, ustawiam szybowiec na kierunku i zmniejszam prędkość. Gdy zaczynam wyczuwać drgania wywołane odrywaniem się strug powietrza wychyleniem steru kierunku rozpoczynam obrót. Szybowiec przewala się na skrzydło i samoczynnie spada kręcąc się w ciasnej spirali korkociągu. Przed oczami wiruje ziemia. Pod koniec drugiej zвитki wychyleniem stery kierunku w stronę przeciwną, powstrzymuję obrót równocześnie oddając drażek od siebie dla nabrania prędkości.

Gdy strzałka prędkościomierza mija liczbę 120 zaczynam delikatnie ciągnąć drażek na siebie. Miejsce ziemi zajmuje niebo, potem znowu ziemia ale nad głową jestem na plecach, dalsze ściągnięcie drażka powoduje, że ziemia wraca na swoje miejsce, narasta prędkość do ranwersu. Wysokość około 1000 m. jeszcze kilka zвитek spirali w lewo i prawo, parę ślizgów kierunkowych i w rundę do lądowania. W dniu 19 kwietnia wykonałem pierwszy przelot 73 km po trójkącie Żar – Bielsko Biała – Radziechowy – Żar. Przelotem tym uzupełniłem warunki do srebrnej odznaki szybowcowej. W połowie lata ukończyłem kurs lotów według przyrządów. W zakrytej kabinie samolotu Junak 2 mając do dyspozycji sztuczny horyzont, zakrętomierz, busołą, wariometr i wysokościomierz uczyłem się latać bez widoczności ziemi. Umiejętności takie są potrzebne do lotów w chmurach lub złych warunkach atmosferycznych. W lotach tych startował i lądował instruktor. Ja wykonywałem jego polecenia. Lot po prostej ze wznoszeniem lub opadaniem, zakręty płaskie i głębokie, wprowadzanie na nakazany kurs. Po opanowaniu tych elementów zdawałem egzamin na Bocianie w zasłoniętej kabinie w locie termicznym.

Gdy po prawie półtoragodzinnym locie instruktor kazał mi odsłonić firanki zakrywające pole widzenia byłem na prostej do lądowania na wysokości 50 m. uprawnieniem tym zdobyłem kwalifikacje pilota szybowcowego klasy II i zakończyłem przygotowania do egzaminu na licencję przed Państwową Lotniczą Komisją Egzaminacyjną. Na Żarze latałem do końca maja. Wykonałem jeszcze kilka przelotów i najdłuższy lot swojego życia osiem godzin i pięć minut. Nalot ogólny zamknąłem sumą 101 godzin i 54 minuty.

W Płocku powstało dwuletnie Studium Nauczycielskie z kierunkami studiów: język polski, wychowanie fizyczne i matematyka. Skończyły się matury i trwał nabór kandydatów do tej uczelni. Złożyłem dokumenty, zdałem egzaminy i zostałem przyjęty na I rok matematyki. Latanie trzeba było przerwać i zająć się nauką. W połowie sierpnia przysłano mi z Zarządu Głównego Aeroklubu PRL Srebrną Odznakę Szybowcową i dyplom potwierdzający jej zdobycie.

Dumny byłem gdy 1 września 1960 roku rozpocząłem studia w nowym garniturze z połyskującą srebrną odznaką w klapie. Nikt nie wiedział dlaczego przypiąłem sobie te ptaszki, ale nie o to przecież chodziło, wystarczyło, że dla mnie miały one wartość. Nauka rozpoczęła się wykładem inauguracyjnym otwierającym uroczystość. „Technika a humanizm” – tak brzmiał temat wykładu. Tyle lat minęło a ja wciąż go pamiętam. Może dlatego, że prelegentka, pani profesor Przyszlak prowadziła go bardzo ciekawie, w sposób prosty i zrozumiały. Może dlatego, że temat był aktualny szczególnie dla młodych mieszkańców budującego się Płocka. Powstawały wielopiętrowe nowoczesne domy i nowe ulice. Nowe przedsiębiorstwa, szkoły i zakłady pracy. Teren dzisiejszego kombinatu był jednym wielkim placem budowy. Tysiące ludzi co dzień przyjeżdżało do pracy autobusami z odległych wsi. Tysiące młodych robotników z całego kraju zamieszkiwało w nowych hotelach robotniczych. Powstały osiedla dla specjalistów zagranicznych. zdawało się, że technika zdominowała wszystko, że nic innego się nie liczy.

Nagle dowiadujemy się, że człowiekowi potrzeba czegoś więcej. Że bez jednoczesnego rozwoju intelektualnego, będzie tylko dodatkiem do maszyny, jakimś trybikiem mechanicznego kolosa. A przecież człowiek ma duszę, uczucia i własną osobowość. Jeżeli mu się to zabierze, to się go skrzywdzi. Poeta romantyczny powiedział: „miej serce i patrzaj w serce”. W tych słowach zawarty jest apel do istoty naszego człowieczeństwa. Bądź człowiekiem dla siebie i dla innych i ja tak to rozumiem. Dlatego gdy nadarzyła się okazja, jako dodatkową formę zajęć pozalekcyjnych wybrałem naukę gry na akordeonie. W studium nauczycielskim nauka gry na instrumencie muzycznym była przedmiotem nadobowiązkowym. Kiedyś każdy nauczyciel musiał na czymś grać. Tylko wtedy nie było tak rozwiniętej specjalizacji. Każdy pan był od wszystkiego, często tylko o jedna lekcję mądrzejszy od swych uczniów. Uważałem, że umiejętność gry przyda mi się w pracy szkolnej oraz dostarczy rozrywki i odpoczynku w domu. Akordeon kupiła mi mama. Artystą nie zostałem. Przez rok wyrywkowej nauki trudno dobrze opanować instrument, ale proste melodie potrafiłem zagrać. Najbardziej moja muzyka podobała się mamie. Nie było u nas elektryczności, nie było telewizji ani nawet radia, toteż w długie zimowe wieczory grałem mamie nastrojowe tanga, stare walce i szczególnie przez nią lubiany „Wiśniowy sad”. Na pierwszym roku matematyki było nas 40 osób, głównie dziewczęta zaraz po maturze. Chłopców było tylko 5. ja miałem już 25 lat i byłem najstarszy. Prymusem nie byłem, ale co trzeba zaliczałem bez poślizgów. Nauka w zimnym mieszkaniu i przy naftowej lampie też nie należała do łatwych. Na Boże Narodzenie odwiedziło mnie dwoje przyjaciół z Warszawskiej Sekcji Spadochronowej, Miłka Bielewicz i Rudek Zelent. Do towarzystwa dołączyła siostra Hania i we czwórkę poszliśmy do remizy na zabawę. Ja nigdy wytrzymałem tancerzem nie byłem. W Studium Nauczycielskim pani Skrobecka, nauczycielka na kierunku wychowania fizycznego, założyła zespół estradowo taneczny. Podobno miałem prezencję, co mnie mocno zdziwiło. Raczej uważam, że w studium wielu chłopców nie było i nie miała wyboru. Tak czy inaczej zaproponowała mi udział w zespole. Do tańca, zwłaszcza na scenie, trzeba mieć oprócz prezencji jeszcze predyspozycje. Trzeba to lubić i czuć, poruszać się swobodnie i z gracją. Ja nie miałem nic z tych rzeczy. Gdy pani Skrobecka zobaczyła, że pomimo wysiłków z jej strony poruszam się z gracją słonia, po prostu ze mnie zrezygnowała. Wcale się tym nie zmartwiłem, ale na zabawę poszedłem.

W pewnym momencie na salę weszły dwie siostry. Nawet Miłka zwróciła uwagę. Spójrzcie jakie ładne dziewczyny, a zsywały się brokatem jak choinki. Faktycznie, ja któremu z babinca, jakim było Studium Nauczycielskie, nie podobała się żadna, tym razem pomyślałem „Panie Boże gdyby kiedyś poznać taką dziewczynę”. A Pan Bóg odpowiedział – po co ci inna. Jeżeli ci się ta podoba to ci ja dam. Słów wprawdzie nie słyszałem, ale wywnioskowałem je na podstawie następnych wydarzeń. Minał Nowy Rok 1961. kilkanaście dni później wracałem ze szkoły. Na stacji kolejowej spotkałem sąsiada Jurka Maruszewskiego. Pociąg był już podstawiony. Rozmawiając wsiedliśmy do wagonu. W przedziale siedziały obie siostry spotkane na zabawie. Jurek znał je ze szkoły więc zaczął rozmowę jak z dawnymi koleżankami. Ponie-

waż mnie nie przedstawił. Nie wiedziałem jak się zachować. Czy przedstawić się samemu, czy powiedzieć mu aby dopełnił tej ważnej towarzyskiej formalności. Wybrałem trzeci wariant – stałem na korytarzu i nie mówiłem nic. Pociąg dojechał do Proboszczewic. Wszyscy wysiedliśmy, powiedziałem do widzenia i poszedłem w swoją stronę.

Za kilka dni gdy czekałem na pociąg, do poczekalni weszła ta, która tak bardzo mi się podobała. Uważałem, że wypada powiedzieć dzień dobry. Taka forma grzeczności nic nie kosztuje i do niczego niezobowiązuje, ale dziewczyna w odpowiedzi, podeszła przywitała się i zaczęliśmy rozmowę jak starzy znajomi. Dowiedziałem się, że jedzie do rodziców w Proboszczewicach, że ma na imię Jadzia oraz, że uczy się systemem wieczorowym w Technikum Ekonomicznym i równocześnie pracuje a mieszka na stacji w Płocku.

Gdy wysiedliśmy z pociągu pożegnałem ją i znowu poszedłem w swoją stronę. Do dzisiaj nie wiem czy zachowałem się taktownie. Czy tak krótka znajomość upoważniała mnie do towarzyszenia jej i odprowadzenia dalej, czy popełniłem gafę zostawiając pannę na szosie. „Co ma wisieć nie utonie”. Miała być moja dlatego pomimo iż była piękna i wielu się starało nikt nie zdołał jej poderwać. Minał miesiąc zaliczyłem I semestr, kończyła się kalendarzowa zima, ale w powietrzu czuć było wiosnę. Późnym marcowym popołudniem spotkałem Jadzię gdy wracała z pracy. Coś trzeba było powiedzieć oprócz dzień dobry. Ponieważ nic mądrzejszego na poczekaniu nie mogłem wymyślić powiedziałem, że chyba mamy po drodze. Tak, ale ja jeszcze muszę na chwilę wstąpić do siostry. Nie wypadało powiedzieć, że sobie pójdę, zwłaszcza, że sam się wprosiłem. Faktycznie, wizyta u siostry trwała krótko, za to spacer trochę się wydłużył i spóźniłem się na pociąg. Do domu poszedłem na piechotę – bagatela 12 km. Na umówioną randkę jeszcze się wtedy nie odważyłem. Spotkaliśmy się na Wielkanoc przed kościołem. Była ładna słoneczna pogoda, drzewa już dostały pierwszych listków, zazieleniły się pola i łąki. Wymarzona pogoda na spacer. Zaproponowałem spotkanie. – Dobrze, ale po obiedzie – odparła – gdzie się spotkamy i o której godzinie?

– O 14 na skraju pobliskiego lasku

Zarzuciłem na plecy akordeon, aby zarobić dodatkowe punkty i poszedłem na umówione spotkanie. Minęła godzina 14 minął akademicki kwadrans i nic. Chyba sobie ze mnie zakpiła. Ktoś jedzie przez las ścieżka na rowerze. Schowałem akordeon aby się nie ośmieszyć. Mama!

Zdziwienie było obustronne.

– Co ty tu robisz?

– Nic, wyszedłem na spacer

Mama wracała z wizyty patronażowej od kobiety po porodzie. Gdy wyciągnąłem z krzaków akordeon zdziwiła się jeszcze bardziej.

– Umówiłeś się z kimś?

– Tak, ale nie przyszła.

– Wiesz co? Pójdziemy tą drogą skąd miała nadejść, może ją spotkamy

Niedaleko domu jej rodziców był mały brzoźowy laszek i tam właśnie czekała na mnie wraz z siostrą. Również straciła nadzieję, że przyjdę. Jak mnie zobaczyła stanęła jak wryta. Żeby na pierwszą randkę przyjść z matką, tego chyba jeszcze nikt nie wymyślił. Co w takiej sytuacji robić? Najlepiej zaprosić do domu. Jeżeli chłopak do rodziców dziewczyny przychodzi ze swoją mamą to sprawa musi być poważna. Państwo Kęsiccy przyjęli nas życzliwie nie kryjąc zdziwienia. Od tego dnia byłem u nich częstym gościem, akordeon też. Piękna jest wiosna na wsi, gdy falami soczystej zieleni rozkołyszą się młode zboża, a ponad łąkami popłynię zapach majowych łąk.

Piękne są drzewa w nowej wiosennej szacie pokrytej białymi gwiazdkami kwiatów. Idźcie w pole. Odetchnijcie chociaż raz pełną piersią. Posłuchajcie radosnej pieśni życia. Zaśpiewa wam ją skowronek, zagrają do wtóru świerszcze, zaszeleści woda w strumieniach, powiedzą wam o niej kwiaty. A wieczorem – gdy woń bzów i jaśminów wypełni otaczającą ciszę, gdy zorzą zachodu rozleją się po niebie ostatnie promienie słońca i najlżejszy powiew nie zakłóci kładącego się do snu dnia, weź jej dłoń i słuchaj. To dla was płynie ten śpiew. Zrazu cichy i żalony, wzmaga się, drży, dźwięczy by naraz zabrznieć pełnia tonów i rozpląnąć się echem po sadach. Zrozumiecie ten głos. Wryje się on głęboko w duszę gdyż śpiewający

w gęstwinie słowik jest zakochany jak wy. Spieszcie się wszak wiosna trwa krótko. Jeszcze się nie zdążyła jej przyjrzeć, a już wdeptane w ziemię białe płatki kwiatów zwiastują jej koniec.

W czerwcu zaliczyłem wszystkie egzaminy i zacząłem wakacje. Trzeba wybrać się do którejś ze szkół szybowcowych. Narzeczona musi poczekać – trudno. Zupełnie jak w ruskiej piosence „potomu, potomu czto my piloty. Niebo nasz, niebo nasz rodimyj dom. Pierwom diełom, pierwom diełom samoloty. A dziewczuszki, a dziewczuszki patom.”

Za kilka dni byłem znowu w Lęborku. Lotnisko w Strzebielinie zostało zlikwidowane. Na jego miejscu powstał PGR. Zresztą było ono tylko lotniskiem zapasowym. Administracja szkoły, kuchnia, stołówka. Świetlica i pokoje pilotów i sypialnie mieściły się w ładnej dużej willi na skraju miasta. Budynek szkoły podobny był do niewielkiego pałacyku. Stąd jeden kilometr szosą na wschód rozciągało się lotnisko położone na rozległej równinie otoczonej kaszubskimi pasmami wzgórz. Szkoliły się tu obecnie dwie grupy podstawowe i jedna pilotów treningowych zdobywających głównie warunki do klasy II i odznaki srebrnej. Ja warunki te miałem, toteż otwierała się kusząca perspektywa dalszych przelotów po środkowym wybrzeżu i w głąb kraju.

Warunki do takich przelotów nie zdarzają się często, a lato tego roku było wyjątkowo nieprzychylnie dla wyczynów szybowcowych. Czekałem więc zadawalając się niezbyt długimi lotami nadlotniskowymi na termice. Wylaszkowałem się na Jaskółkę. Był to super wyczynowy szybowiec należący do ścisłej czołówki w swojej klasie.

Fok, Jantarów czy Zefirów wtedy jeszcze nie było. Na przełomie lipca i sierpnia gościliśmy na lotnisku grupę artystów cyrkowych z cyrku, który na kilka dni przybył do Lęborka. Przywitano ich życzliwie i pokazano jak wygląda świat z lotu ptaka. Kto chciał poleciał szybowcem lub samolotem. Artystce wykonującej ewolucje na trapezie pod kopułą cyrku zaproponowano lot na akrobację. Zgodziła się z chęcią. Na ten czas przerwano nasze loty. Niektórzy z kursantów zabawiali się rowerem, którym ktoś przyjechał na start. Ja pochwaliłem się umiejętnością jazdy tyłem siedząc na kierownicy. Naszym popisom przyglądał się jakiś niepozorny chłopak.

Co sobie myślał nie wiadomo. Stał skromnie na uboczu i nikt na niego nie zwracał uwagi. Ja zwróciłem i dobrze go zapamiętałem. Na zakończenia goście zaprosili nas wszystkich na wieczorne przedstawienie cyrkowe. Poszliśmy prawie w komplecie pod wodzą instruktora. Wpuszczono nas gratis – jak zaproszenie, to zaproszenie. Pamiętam zgrabną sylwetkę i ładną buzię artystki, która nie bała się akrobacji samolotowych, ale co można zrobić z rowerem, pokazał nam ten niepozorny chłopak. Jak to nigdy nie wiadomo na kogo można trafić. Warunków na przeloty nie było nadal. Po wylataniu 30 godzin nad lotniskiem ostatniego sierpnia wróciłem do domu. Nazajutrz szkolny dzwonek wezwał nas do dalszej nauki.

W pierwszych dniach września odwiedził nas w Proboszczewicach ojciec. Nie widziałem go od czasu mojej służby wojskowej. Teraz przyjechał zobaczyć nasz dom i swą dawną rodzinę, obecnie ma drugą rodzinę, młodą żonę i trójkę dzieci, Marka, Grażynę i małego Piotrusia. Człowiek nie wybiera sobie rodziców ani rodzeństwa, ale niezależnie od swojej woli winien im jest miłość i posłuszeństwo, a gdy dorosnie szacunek. Tak zresztą zdecydował Pan Bóg. Mam więc oprócz dwóch sióstr rodzonych jeszcze jedną siostrę i dwóch braci przyrodnych. Ojciec chciał poznać moją narzeczona i jej rodziców. Wybraliśmy się więc z wizytą do państwa Kęsickich.

Mój przyszły teść był niedoścignionym wzorem pracowitości i rozwagi. Posiadał gospodarstwo rolne o powierzchni 11 hektarów ziemi uprawnej, żonę – kobietę wszelkich cnót i zalet oraz cztery dorodne córki. Moja była najstarsza. Matka umarła mu bardzo wcześnie. Mając zaledwie 12 lat musiał zająć się domem, małym bratem i ojcem, który pracował na ich utrzymanie. W okresie długiej matczynej choroby wykonywał wszystkie domowe obowiązki pod jej dyktando. Na dzieciństwo nie miał czasu. Pracował od najmłodszych lat, a przecież równocześnie chodził do szkoły. Gdy matka zmarła wybiegł aby powiadomić ojca. Ojciec wracał już do domu i wiedział o śmierci żony – skąd?

Był ciemny jesienny wieczór.

– Tato, mama umarła

– Wiem synu, widziałem ja na łąkach, przeszła obok mnie „nic nie mówiła”!

Jak to możliwe? Kogo widział? Kłamał w takiej sytuacji? Dlaczego? przywidziało mu się akurat w tej minucie? Pytań takich można postawić wiele, ale odpowiedź może być tylko jedna. Teś ziemię nabył z reformy rolnej w 1955 roku. W ziemię tę wczepił się rękami z uporem polskiego chłopca. Dzięki tym rękom wybudował dom i wszystkie budynki gospodarcze, wypracował inwentarz i maszyny niezbędne w gospodarstwie, spłacił zadłużenie ziemi i na koniec pomógł wszystkim dzieciom.

Ojciec mój znalazł się na pracy i potrafił ją docenić. Widział, że wszystko ma tu swoje miejsce i nic nie jest zostawione na później. Życie teścia to osobna historia i osobny rozdział. Tacie spodobała się moja dziewczyna i z miejsca ją polubił. Zarówno ze względu na jej urodę jak i usposobienie. Filigranowa blondynka o niebieskich oczach, sympatyczna, skromna i niezmanierowana – dała lubić się wszystkim, którzy ją poznali. Kiedyś koledzy ze studium chcieli zrobić jej jakiś głupi kawał, ale ja się obraziłem więc dali spokój, a mnie przeprosili.

Gdy złota polska jesień zabarwiła lasy wszystkimi odcieniami czerwieni, żółci i brązu, wybraliśmy się na wycieczkę do Sikorza. Mam duszę sentymentalną i romantyczną dlatego nastrój chwili spróbuje wyrazić słowami jakie wpadły mi do głowy i ułożyły się w strofy ekspresyjnego chociaż nieporadnego wiersza. Do poziomu literackiego jest mi bardzo daleko ale teraz i takich nie potrafią pisać. Dla mnie tzw. wiersz biały w ogóle nie jest wierszem. Jest to zbiór bezsensownych słów bez ładu i składu.

Kiedyś artysta rzeźbiarz na golasa przed publicznością obcinał siekierką gałązki choinki prezentując w ten sposób ekspresję wyrazu. Inny artysta malarz, na rozlaną farbę puścił kota tworząc dzieło. Natomiast poeta wziął gazetę i nożyczki. Pocięte skrawki rzucił na podłogę. Gdy ułożył je w szereg otrzymał wiersz biały. Niewielki wysiłek i niewielki koszt, za to jaka oryginalność.

*„Po kobiercu z mchów miękkich, wążuteńką ścieżyną
Razem serce przy sercu, szedł raz chłopiec
z dziewczyną.
Szli wolniutko alejką, gęsto liśćmi usłaną.
Dołem rzeka płynęła, wokół złoty las stanął
W płaskim wody zwierciadle, drugi las się kołysał
Chociaż wiatru nie było i nikt szumu nie słyszał.
Wodą liście płynęły, omijając szuwary
Gdzie wśród malej dolinki cicho drzemał młyn stary
Czy ze sobą mówili? A któż wiedzieć to raczy?
Kiedy serce wyrazi w drugim sercu zobaczy
Czy ze sobą mówili? Nie potrzebna rozmowa
Kiedy każde spojrzenie więcej znaczy niż słowa
Gdy rumieniec szkarłatem obie twarze oblewał
Kiedy uśmiech radosny czworo oczu olśniewał
Oni idąc ścieżyną nie dostrzegli mnie wcale
Ani ich nie wstrzymały jarzębiny korale
Tylko poprzez gałązki rozłożystej leszczyny
Promyk słońca pieszczotą musnął włosy dziewczyny
W dal skręciła rzeczulka, za nią poszła drożyna
Na niej znikła mi z oczu razem z chłopcem
dziewczyna”*

Któż z nas nie pisał wierszy? Jest to głównie cecha młodości, ale znam też osoby starsze. Gdy uczucia nagromadzą się w sercu jak wezbrane wiosenne wody, gdy uweźmie się na nas los i człowiek czuje się jak zbity pies, a nie ma się komu poskarżyć, wtedy często żal wylewa się na papier. „Literatura to nie jest tylko zasługa pióra, trzeba kobiety, która wie kiedy powiedzieć poecie nie”. Powyższy fragment mówi, że najwięksi twórcy mieli okresy tęsknoty, smutków i niepowodzeń, że najlepsze dzieła powstają pod presją uczuć. Ja chociaż się do nich nie zaliczam, też miałem takie okresy. Pokażnych rozmiarów

zbiorek wierszy skradł mi student polonistyki. Nie żałowałem, skoro mu się podobały. Na pamiątkę pozostał mi jeszcze jeden. Przytoczę go, ponieważ pamiętnik pisze się po to aby pogrzebać w starych, często zatartych przez czas przeżyciach. Na następnych kartkach nie będzie na to miejsca. Zajmą je przygody następne w kolejności – może ciekawsze. Wiersz ten zatytułowałem „Personifikacja, czyli uosobienie”:

*„Nad modrym potokiem co igrał po skałach
Tam wierzba płacząca gałązki schylała
Jej długie warkocze rozwiane nad tonią
Głaskały grzbiet fali, jakby pieszcząc dłonią
Stojąc tak na wietrze, rozchwiana powiewem
Zdała się być dziewczyną nie samotnym drzewem
Dziewczyna co u brzegu bystrego strumyka
Słuchała co wieczór piosenek słowika
Czekając tu na kogoś, głowę w kosy skryła
Lecz nie śmiać oczu podnieść na wodę patrzyła
Ach powiedz mi wodo ty płyniesz z daleka
W tobie tyle tajemnic niezgłębionych czeka
Wszak ty przez świat cały idziesz jak wędrowiec
Znasz tyle mądrości, poczekaj, odpowiedz
Ja stoję tu co dnia i patrzę w twe fale
I tobie samotna ślę swe ciche żale
Targana przez burze, wichury i sloty
Czy wiecznie mam dzielić los biednej sieroty
Lecz woda cichutko o brzeg uderzyła
Zapluskała tylko i nic nie mówiła
Gdzieś bardzo daleko śpieszyć się musiała
Przy płaczącej wierzbie biegu nie wstrzymała
I tylko widziałem jak płynąc z oddali
Rzucony przez wierzbę, listek mknął po fali
Zapewne w ten sposób komuś w dal posłała
Tęskne pozdrowienie, lecz sama została
Dotąd tam stoi piękna w swej rozpaczce
Jeżeli mnie wierzysz, pójdź ze mną – zobaczysz”*

Jaki jest sens w tworzeniu symboli, w nadawaniu cech ludzkich przedmiotom lub zwierzętom, zastępowaniu realiów fikcją. Człowiek nie zawsze może powiedzieć wprost. Aby się nie narazić czasem trzeba zmienić swe myśli uciekając się do porównań lub kamuflażu. Takie jest życie. Na tym polega polityka. Czasem wygodnie jest kryć się za czymś lub za kimś wymyślonym i bynajmniej nie jest to oznaką tchórzostwa. Dzieci bawiąc się lalkami traktują je jak istoty żywe. Oglądając film często wzruszamy się, wiedząc przecież, że jest to tylko gra. W listopadzie otrzymaliśmy tematy prac dyplomowych. Ja miałem pisać o ciągłości funkcji. Zaczęliśmy również prowadzić pierwsze lekcje w szkole ćwiczeń. Dla mnie nie były one nowością. Lekcje w szkole przeprowadzałem setki, ale teraz musiały być prowadzone zgodnie z zasadami pedagogiki, w dodatku na ocenę. Należało napisać konspekt z uwzględnieniem nauczania i wychowania oraz zasad i metod. Całą lekcję podzielić na części i rozłożyć je w czasie 45 minut. Konspekt zatwierdziła nasza pani profesor od danego przedmiotu oraz nauczycielka prowadząca klasę w szkole ćwiczeń. W hospitacji uczestniczyły obie panie nauczycielki oraz wszyscy studenci naszego rocznika. Po zakończeniu lekcji odbywała się dyskusja bardzo wnikliwa i drobiazgowa. Miałem poprowadzić lekcje w klasie piątej na temat „własności trójkąta prostokątnego”. Lekcja została omówiona, konspekt napisany i zatwierdzony, pomoce naukowe przygotowane. Na sali nieznaną klasą, z tyłu studenci mego roku oraz obie panie nauczycielki, w sumie ponad 70 osób. Przystępuję do lekcji.

Wezwany uczeń zapisał na tablicy temat. „Powtórzenie i przypomnienie potrzebnych wiadomości”. Pokazuje wybrany trójkąt, prosi o podanie jego nazwy.

Cisza, nie podnosi się żadna ręka. Chce podpowiedzieć dodatkowym pytaniem.

– Co możemy powiedzieć o kątach tego trójkąta?

Znowu cisza.

– Jakie znamy rodzaje kątów?

Okazuje się, że nie znamy żadnych. Zmieniam metodę i wyznaczam do odpowiedzi. Pomału języki się rozwiązują. Odkrycia naukowe o rodzajach kątów i trójkątów zapisujemy na tablicy i w zeszytach, do tego odpowiednie rysunki. Zebranie wprowadzonego materiału. Teraz otrzymuję zadawające odpowiedzi. Zbliży się koniec lekcji, jeszcze tylko zadanie pracy do domu i dzwonek.

Od kolegów i koleżanek dostają gratulacje.

– Prowadziłeś lekcję jak stary nauczyciel

Pochwaliły mnie również obie panie nauczycielki, ale ja nie trzymałem się treści konspektu. Zamiast prowadzić lekcję na temat własności trójkąta prostokątnego, mówiliśmy o rodzajach kątów i trójkątów. To był główny zarzut ze strony naszej pani profesor. W mojej obronie wystąpiła nauczycielka prowadząca klasę. Powiedziała, że postąpiłem jak doświadczony nauczyciel. Skoro zorientowałem się, że uczniowie nie znają wcześniejszego materiału, uzupełniłem go nie wprowadzając nowych pojęć. Gdybym prowadził lekcje zgodnie z konspektem otrzymałbym ocenę bardzo dobrą. W tej sytuacji otrzymałem obniżoną o jeden punkt.

9 grudnia przyszła narzeczona złożyć mi życzenia urodzinowo – imieninowe. W naszej rodzinie nigdy takich rocznic nie obchodziliśmy. Często rozsypani po świecie nie mieliśmy na to warunków ani czasu. Tradycji takiej ani potrzeby w ogóle nie wytworzyliśmy, zwyczaj życzeń i prezentów praktycznie wprowadziła dopiero Jadzia.

Oczywiście, że było mi przyjemnie, ale jak ja ją przyjmę i czym poczęstuję?

Mamy nie ma, nie ma też prądu, lodówki ani zapasów. Usmażyłem na patelni ziemniaki z surową kapustą, a na deser śliwki w cukrze do herbaty. Teraz po latach, gdy obchodzimy czyjąś uroczystość albo jubileusz, śmiejemy się wspominając tamten dzień. Może i wy się uśmiejecie?

Na Święta Bożego Narodzenia przyjechał do nas z Warszawy kolega Kazio Janiec.

Pochodził on z sąsiedniej wsi gdzie jego rodzice mieli gospodarstwo rolne. Po śmierci rodziców gospodarstwo przejął jego brat, a Kazio znalazł się w Seminarium Duchownym w Płocku. Tutaj dorastał i uczył się. Przed święceniami kapłańskimi stwierdził, że nie miał powołania do tego stanu i zrezygnował z kapłaństwa. Aby dostać się na uczelnię państwową musiał zdać maturę gdyż w okresie PRLu nie honorowano dokumentów kościelnych. Kolejna bzdura komunistyczna. Człowiek, który ukończył studia, który wiedzą i inteligencją przewyższał przeciętnego studenta uczelni państwowych musiał usiąść w szkolnej ławce liceum korespondencyjnego w Sierpcu.

Tutaj poznał moją siostrę Hanię i zaprzyjaźnił się z naszą rodziną. Kazio był człowiekiem wesołym i dowcipnym, potrafił być duszą towarzystwa. Po uzyskaniu matury rozpoczął studia na kierunku weterynaryjnym w warszawskiej SGGW. Ponieważ był sierotą, a z rodzina brata nie układało mu się, na święta przyjechał do nas. Moja Jadzia podobała mu się, zresztą ona się wszystkim podobała, ale ponieważ była zajęta obdarzył sympatią młodszą siostrę Janinę. Obie były uczennicami przedostatniej klasy Technikum Ekonomicznego. Kazio bawił wszystkich. Sypał dowcipami jak z rękawa, stwarzając przy tym miłą i wesołą atmosferę, zyskując życzliwość otoczenia. Jeżeli trzeba potrafił być uszczypliwy. Kiedyś jechałem z nim do Sierpca. W przedziale wagonu siedziała młoda dziewczyna, zaczęliśmy rozmowę. Panna chcąc nam zaimponować wymyślała różne historie, gdzie to ona nie studiuje, gdzie to nie była, w jakich wytwornych towarzystwach się obraca. Widać było, że szpanuje, zwyczajny snobizm. Cóż można było przeciwstawić tak światowej osobie?

Kazio zapytał:

– A czy się pani również puszcza? – tu zakrztusił się na moment

Dziewczyne zamurowało.

– Puszcza Białowieska podoba?

Nie wiedziała co powiedzieć? Czy się obrazić?

Wreszcie odburknęła:

– Podoba się, ale proszę bez głupich kawałów

Dojeżdżaliśmy do Sierpca. W drugi świąteczny dzień postanowiliśmy pójść we czwórkę na zabawę do remizy. Po powrocie z kościoła Kazio bawił rozmową i dowcipem obie dziewczyny, a ja byłem zazdrosny. Wymyśliłem, jak mi się zdawało, chytrą intrygę. Wziąłem łyżwy i pobiegłem na zamarznięte rozlewiska Wierzbicy. Ślizgałem się do późnego wieczora. Celowo chciałem zdenerwować resztę towarzystwa. Czas wybierać się, a mnie nie ma. Gdy wreszcie zjawiłem się oświadczyłem, że muszę iść do swojego domu aby zjeść kolację i przebrać się w inne ubranie. Jadzia zaprotestowała:

– W tym byłeś w kościele i w tym możesz iść na zabawę.

– W tym to ja byłem na lodzie i na tańce się ono nie nadaje.

– Wy z Kaziem idźcie, a ja dołączę do was za godzinę.

W duchu zaś pomyślałem – jeżeli ci się Kazik podoba, to go sobie bierz, zobaczysz mnie jak własne ucho.

– Albo idziemy wszyscy, albo ja zostaję

– Sami też nie pójdziemy – odrzekła Janina

Impreza zaczęła się rozlatywać. Udałem, że kapituluję.

– Jeżeli nie będziesz wstydziła się tańczyć z kawalerem, który wystroił się jak na grzyby, to chodźmy Niedaleko Kościoła gdzie rozchodziły się drogi, jeszcze raz podjąłem próbę zostawienia ich samych. Powiedziałem, że ja będę się wstydził między ludźmi w wymiętoszonym ubraniu, dlatego muszę się przebrać. Na to Jadzia bez słowa wykonała przepisowy w tył zwrot i poszła z powrotem. Tym razem musiałem się poddać. Poszliśmy razem, ale moje humory zepsuły nastrój tak miło zapowiadającego się wieczoru. Może ona wyczuła mą zazdrość, może wiedziała, że jak pójdę to nie wrócę. Nie dowiedziałem się tego nigdy.

Po Nowym Roku przyszedł okres egzaminów kończących III semestr i pisania pracy dyplomowej. Coś również zaczęło dziać się w Aeroklubie Ziemi Mazowieckiej. Kierownikiem aeroklubu został instruktor pilot major Waław Stański. Nowy kierownik zatrudnił na stanowisko szefa wyszkolenia instruktora pilota Ryszarda Lewandowskiego i z miejsca rozpoczął starania o przydział sprzętu lotniczego i budowę hangaru.

Major pilot Waław Stański to cała legenda i duma polskich skrzydeł. To jeden z tych, o których premier Wielkiej Brytanii W. Churchill powiedział, że „nigdy w historii międzyludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym”. Mowa oczywiście o pilotach, którzy w okresie bitwy o Anglię na długo przed Stalingradem i Kurskiem pokonali hitlerowską Luftwaffe. Ocalili nie tylko Anglię ale cały świat. My również zawdzięczamy im swoje istnienie. Dumny jestem, że jeden z tych bohaterów był moim instruktorem. W połowie lutego poszedłem do biura aeroklubu po skierowanie na badania lotniczo – lekarskie. W biurze poznałem nowego kolegę szybownika, który przeniósł się do nas z Aeroklubu Łódzkiego. Bogusław Pawlicki był również słuchaczem Płockiego Studium Nauczycielskiego na kierunku wychowanie fizyczne. Nie myślałem, że wkrótce zostanie najlepszym moim przyjacielem, wypróbowanym również w trudnych chwilach. Wszak prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie. W marcu rozpoczęliśmy miesięczne praktyki nauczycielskie w szkołach. Mnie skierowano do szkoły w sąsiedniej wsi Zagoty a na zapoznanie się z pracą w klasach łączonych do czteroklasowej szkoły w Strusinie, w której kierownictwo i całą Radę Pedagogiczną pełnił jednoosobowo pan Lisecki.

Dzisiaj nie ma już szkół czteroklasowych i nikt nie uczy równocześnie dwóch klas w jednej izbie. Nadeszły Święta Wielkanocne, a z nimi termin zaplanowanego wcześniej ślubu cywilnego. Kościelny, jako główna uroczystość małżeńska postanowiliśmy zawrzeć 24 czerwca w dniu świętego Jana Chrzciciela. Dzień ten ma dla mnie szczególną wymowę. Kończy się wiosna i zaczyna lato, najkrótsza noc wabi symbolem znalezione szczęście. Może i ja znajdę swój kwiat paproci? Poza tym jest to dzień imienin mojej mamy i ojca zony. W Urzędzie Stanu Cywilnego w Płockim Ratuszu okazało się, że brakuje jednego dokumentu. Zamiast odpisu aktu urodzenia złożyłem wyciąg z tego dokumentu. Do tej pory we wszystkich sprawach urzędowych wyciąg ten wystarczał. Skąd mogłem wiedzieć, że w

przypadku tej rejestracji będzie niewystarczający. Zwykła biurokratyczna przeszkoda. Na obydwu drukach pisze się to samo, różnią się tylko nagłówkiem. Musiałem jechać w swe rodzinne strony po papierek. Ponoć nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło.

Po kilkunastu latach odwiedziłem Białą Podlaską i ulicę Grabanowską, Jagodnicę gdzie się urodziłem. Witulin ze swą pierwszą szkołą. Wody Wyzarów jeszcze nie spłynęły, kwitły żółte kaczeńce i szybowaly bociany. Odżyły dziecięce wspomnienia. Na cmentarzu w Leśnej poszedłem na groby swych dziadków. Torów kolejki już nie było. Nie było też partyzanckiej mogiły na zakręcie, na skraju lasu. Stał za to cudowny klasztor ojców paulinów, gdzie rodzice oddali mnie pod opiekę Matce Bożej. Po załatwieniu sprawy w USC w Leśnej Podlaskiej wróciłem do Proboszczewic i za parę dni dopełniliśmy z Jadzią formalności naszego cywilnego związku. Teraz należało złożyć przysięgę przed Panem Bogiem. Gdy ja zaliczałem końcowe egzaminy, na lotnisku wyrosły stalowe konstrukcje hangaru, wylądowały samoloty i szybowce. Na razie zdemontowano je i złożono pod dużymi namiotami. Otrzymaliśmy też wyciągarke i ciągnik, zatrudniono na etatach mechaników i dozorców. Powstał prawdziwy aeroklub. Okres biura i pieczętki przeszedł do historii. Zanim wydano nam dyplomy ukończenia szkoły stanieliśmy przed komisją rekrutacyjną do pracy.

Właściwie były to nakazy podobne do tego jaki kiedyś otrzymała moja mama. Kierowano się głównie potrzebami szkół, w których brakowało nauczycieli. Ostateczną decyzję podejmowały kuratoria oświaty, ale był przepis zabraniający rozbijania rodzin. Kierowano mnie gdzieś w odległy kraniec województwa warszawskiego. Gdy przedstawiłem komisji akt zawarcia małżeństwa, zmieniono mi angaż dając do wyboru Bielsk lub Zagoty. Wybrałem oczywiście położoną bliżej domu i znaną sobie z niedawnej praktyki szkołę w Zagotach, której kierowniczką była pani Kapuścińska. Po raz kolejny pożegnałem się z kolegami i koleżankami, którzy szli w świat zabierając swój los, z którymi przez 2 lata dzieliłem wspólnie przeżyte trudy, troski i radości. Miesiąc temu złożyłem w aeroklubie podanie z potrzebnymi dokumentami i wnioskiem o dopuszczenie do egzaminu na licencje pilota szybowcowego. Obecnie właśnie przyszła odpowiedź z Ministerstwa Komunikacji z zawiadomieniem, że na egzamin przed Państwową Lotniczą Komisją Egzaminacyjną mam stawić się w dniu 25 czerwca do Warszawy na lotnisko Gołławek. Dobrze, że nie wezwali mnie o jeden dzień wcześniej, bo nie wiem z czego bym zrezygnował, ze ślubu czy z egzaminu! Poranek 24 czerwca wstał słoneczny i ciepły. Jedyne taki dzień w życiu. Wesela nie chciałem. Rodzice dostatecznie wykosztowali się na nasze stroje ślubne, przyjęcie dla gości, obrączki, opłaty kościelne, wynajęcie samochodu. Nie było sensu obciążać ich dodatkowo kosztami sali, orkiestry czy kuchni. Powiedziałem teściowi aby ciężko zapracowane pieniądze, zamiast wydać na wesele, kupił za nie wóz do gospodarstwa. Bo ja oprócz Jagody niczego więcej nie potrzebuję. Na przyjęcie dla gości musiałem się zgodzić. Argument teścia był nie do podważenia:

– Co powiedzieli by o mnie sąsiedzi, jeżeli wydając najstarszą córkę nie zaprosiłbym ich nawet na poczęstunek.

Trwały więc przygotowania do przyjęcia i do ślubu. Rozstawiono stoły, przygotowano zastawę. Teść zajął się trunkami, teściowa całą resztą. Brat teściowej Stach Piasecki plus mój akordeon stanowili orkiestrę. Po południu zaczęli pojawiać się goście. A potem była biała suknia, biały welon, kwiaty, mój czarny garnitur, czarna Wołga, obrączki i słowa przysięgi:

„Ja Wiesław biorę sobie ciebie Jadwigo za żonę i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz to, że cię nie opuszczę aż do śmierci, tak mi dopomóż Panie Boże Wszechmogący w Trójcy jedyny i wszyscy święci.”

Słowom tym nigdy się nie sprzeniewierzyłem i zawsze pamiętałem, że żonę dostałem od Pana Boga na swą prośbę i że zdradzić ją znaczyłoby zlekceważyć samego Pana Boga. Złamanie przysięgi wojskowej grozi dotkliwą karą, lub w czasie wojny śmiercią. Czym może wobec tego grozić złamanie przysięgi danej Bogu? Mickiewicz w balladzie „Świtezianka” ostrzega: „wszak kto przysięgę naruszy, ach biada jemu, za życia biada! I biada jego złej duszy”. Z tego wynika, że nawet śmierć nie kończy kary. Nie ma chyba człowieka, który na swej drodze życia nie napotkałby rzeczy niepojętych dla rozumu, lecz tam gdzie zawodzi rozum z pomocą przychodzi wiara.

Jeszcze raz posłużę się słowami Mickiewicza: „Rozumie ludzki! Tyś mały przed Panem, tyś kroplą

w jego wszechmogącej dłoni... Ach! Ty bez wiary byłbyś niewidomy”. Przeważająca większość ludzi albo tego nie rozumie albo lekceważy.

Stąd biorą się zdrady i rozwody małżeńskie. Ja nazbyt cenilem otrzymane łaski, kochałem i szanowałem dziewczynę, która dla mnie oddała siebie i swe życie, aby rzucać na stragan to co stanowi tylko naszą własność. Dlatego na wołanie gości „gorzko, gorzko” lub „gorzka wódka trzeba ja osłodzić” wskazywałem cukiernicę mówiąc, „proszę się nie krępować i słodzić do woli”. W duchu zaś dodawałem, nie będę robił taniego widowiska ze swych uczuć. Na pewno uważano mnie za dziwaka – trudno, kto tego nie rozumie jego rzecz. Dowodów dziwactwa dostarczyłem więcej, a jego ukoronowaniem był mój wyjazd na egzamin.

Okolo godziny 21 podniosłem się, pożegnałem gości i poszedłem na stację kolejową. Przez Sierpc i Nasielsk na rano dotarłem do Warszawy. O 7 byłem na Gocławiu. Licencja otworzyła mi drogę nie tylko do sportowych wyczynów, ale przede wszystkim do zawodu pilota. Opuszczając wesele i dopiero co poślubioną żonę, postawiłem ją przed bezprecedensowym faktem, jakby symbolem naszego wspólnego pożycia. Oznaczało to, że od tej pory przez życie będzie szła sama. Sama będzie wychowywać dzieci i podejmować wszystkie decyzje. Nie raz buntowała się, nieraz dochodziło do cichych dni, ale zawsze jak po burzy przychodziła pogoda. Tak minęło już prawie 50 lat. W końcu czerwca zakończono budowę hangaru. Aeroklub otrzymał 3 samoloty CSS 13 (Kukuruznik), 1 Jak-18 i 9 szybowców. Sezon lotny rozpoczął się pokazami lotniczymi w wykonaniu pilotów innych aeroklubów. My dopiero stanęliśmy na starcie. Po zdaniu okresowych sprawdzianów wiadomości teoretycznych i kontroli techniki pilotażu dnia 18 lipca 1962 roku wystartowałem do pierwszego lotu z naszego lotniska i na naszym szybowcu. Tyle lat czekałem na tę chwilę nie wiedząc czy w ogóle ona nadejdzie. Zająłem miejsce w kabinie. Podkołował samolot. Zaczepiono linę holowniczą. Jak zawsze podniosłem rękę na znak – pilot gotów.

Nie jak zawsze. Po raz pierwszy zobaczę z lotu ptaka miejsca, w których się wychowałem w których przeżyłem tyle niezapomnianych dni. Silnik ryknął pełną mocą. Pod naporem wiatru położyła się trawa. Szybowiec zadrżał smagany strugami powietrza i ruszył pospiesznie za samolotem, od ziemi oderwał się pierwszy i wyszedł ponad warkocz zaśmigłowych strug. Tutaj lot był płynny i spokojny. Za chwilę samolot znalazł się nad ziemią i zespół przeszedł na wznoszenie. W dole rozpostarł się Płock. Wiele miast obserwowałem w ten sposób, jednak to wyglądało zupełnie inaczej. Tutaj każdy zakątek przemawiał na swój sposób. Każda ulica przykuwała wzrok. Dwoma rzędami wysmukłych topoli, znaczy się aleja Jachowicza, przy niej gmach Studium Nauczycielskiego. Jakież on mały. Aż wierzyć się nie chce, że gdzieś tam pod czerwonym daszkiem znajduje się okno klasy i stolik, przy którym spędziłem trudne ostatnie dwa lata. Dalej szeroką wstęgą wije się Wisła. Nad nią wznoszą się Tumskie zbocza z wieżami katedry, zamku i kościołów. Wyglądają jak klocki dużej makiety. Nieco z boku stara VIII wieczna Małachowianka. To tu snułem swoje pierwsze marzenia o lataniu z niechęcią ucząc się łaciny. Groźnie sterczą mury więzienia. Może dojrzę okno pamiętnej celi. Na stacji przystanął pociąg. Wzrok biegnie po torze do Proboszczewic. Widzę swój dom. Co robi żona? Na pewno poszła do swoich rodziców. Po zachodniej stronie miasta olbrzymim żółtym kwadratem rozkopanej ziemi położył się Kombinat Petrochemiczny.

To jest Płock nowy, tego jeszcze nie znam. Asfaltem czernią się nowe drogi i ulice. Jak grzyby po deszczu wyrastają nowe wielopiętrowe domy i osiedla. Jak czerwone żuczki pędzą szeregi autobusów miejskiej komunikacji. Nie sposób wszystkiego zobaczyć, wyliczyć i opisać, zresztą jutro będzie tu znowu inaczej. Za dwa dni wylaszowałem się na Muchę Standard, szybowiec treningowo – wyczynowy wysokiej klasy właściwościami dorównujący Jaskółce. Następnego dnia przeszedł front chłodny. Wiał silny i porywisty zachodni wiatr. Chmury typu Cumulus były porozrywane i niezbyt wysokie, noszenia trudne do wykorzystania. Zanim osiągnąłem wysokość 1000 m, wiatr zniósł daleko poza lotnisko, powrót pod wiatr kosztował prawie całą zdobytą wysokość. Gdyby wybrać się na przelot sposobem balonowym, trzymać się podstawy chmury w obszarze noszenia i zdać się na łaskę wiatru. Ciekawe jak daleko można by zalecieć? Na taki przelot zdecydował się Stasiek Szygendowski. Jakie było nasze zdziwienie gdy wieczorem zadzwonił gdzieś znad granicy meldując o swym ponad 300 km przelocie. Na drugi dzień wiatr uspokoił się. Wystartowałem okolo godziny 11, trochę późno jak na daleki przelot, ale kto nie ry-



zy-



Panieńska wiosna 1961r.

kuje ten nie wygrywa. Staśka niósł wiatr, ja musiałem o każdy kilometr walczyć sam. Po prawie 8 godzinach lotu lądowałem w Międzyrzeczu Podlaskim pokonując odległość 250 km. Dwa dni koczowałem na łąkach przy rzece Krzna zanim przyleciał po mnie brat Staśka Janusz Szygendowski. Szybowiec lądujący na wsi zawsze był atrakcją szczególnie dla dzieci, ale dorosłych gości również nie brakowało. Trzeba było uważać aby czegoś nie uszkodzili. Z nudów i głupoty przychodzą do głowy różne pomysły.

Kiedyś młoda mama prowadziła po skrzydle swoje dziecko, dobrze, że dzieciak był lekki i nie połamał ożebrowania zbudowanego z cienkich listewek. Innym razem dorosły mężczyzna nożykiem chciał przeciąć płócienne pokrycie skrzydła aby zobaczyć co jest w środku. Wyścigi dzieciarni wokół szybowca i skakanie przez skrzydła należały do najbardziej ulubionych zabaw. Trzeba było pilnować, tłumaczyć i prosić, często apelować do ambicji i wychowania. To bardziej skutkowało niż zakazy poparte krzykiem, zwłaszcza, że czasem pomoc gapiów była bardzo potrzebna. O pomoc w pilnowaniu można było prosić milicję, ale szybownicy z tej formy pomocy nie korzystali. Gdy ludzie zaspokoiли ciekawość, rozchodzili się. Pod wieczór przyszła do mnie może 10-cio letnia dziewczynka. Przysłała ja mama z kolacją dla mnie. Rano gdy jeszcze spałem w kabinie, okryty płótnem spadochronu, zapukał jakiś młody mężczyzna. Szedł na pierwszą zmianę do pracy w fabryce. Specjalnie nadłożył prawie 2 kilometry drogi, aby przynieść mi śniadanie. Kiedyś Staśka zaproszono nawet na wesele. Takie przejawy gościnności były częste, ale zdarzały się głównie na Podlasiu. Na drugi dzień koło południa zawarczał nad głowami Kukuźnik. Miejsca do startu w zespole było mało. Albo wzdłuż rzeki po mokrych i nierównych łąkach do tego z tylnym bocznym wiatrem, albo pod wiatr, po twardej i suchej nawierzchni ale za to w kierunku koryta rzeki odległego zaledwie o 60 m.

Janusz był już doświadczonym pilotem i niejednym szybowcem wyciągał z podobnej opresji, ale ja w takich warunkach startowałem po raz pierwszy. Miałem pietra zwłaszcza gdy linę holowniczą skrócił zaledwie do 3 metrów aby zyskać na długości rozbiegu. Dowódcą zespołu jest pilot samolotu i do niego należy decyzja. Trudno jak się zabijemy będzie na niego. Aby podjąć takie ryzyko trzeba dobrze znać możliwości samolotu i warunki startu. Janusz przemierzył krokami przedpole, sprawdził siłę i kierunek wiatru, uwzględnił nawet twardą górkę na brzegu pozostałą po regulacji koryta rzeki. Wybrał dwóch

silnych mężczyzn aby przytrzymali samolot za skrzydła do momentu aż machnie ręką. Chodziło o to aby samolot nie rozpędzał się stopniowo lecz ruszył na pełnych obrotach. Na znak ręką mieli odskoczyć i położyć się na ziemi aby nie dostać skrzydłem szybowca, gdyż szybowiec ma większą rozpiętość niż samolot holujący. Podtrzymujący skrzydło szybowca miał puścić je po trzech krokach rozbiegu. Szybowiec jak zawsze oderwał się pierwszy. Sunałem nisko nad ziemią aby na krótkiej lince nie podnosić ogona samolotu i nie utrudniać startu. Kukuruźnik oderwał się parę metrów przed końcem pasa. Janusz celowo podczas rozbiegu przytrzymał go na kołach aby zmniejszyć opór i uzyskać prędzej potrzebną prędkość. Powrót do Płocka trwał ponad dwie i pół godziny.

Pogoda utrzymywała się nadal. Po krótkim odpoczynku wystartowałem powtórnie na tę trasę. Polecieliśmy we dwóch. Szef wyszkolenia instruktor Ryszard Lewandowski na doskonalszym szybowcu Mucha Standard SP – 2339, dla mnie przypadła Mucha 100 bo drugiej standardki nie mieliśmy. Celem przelotu był Chełm Lubelski, odległość 312 km. Trasa nawigacyjnie nietrudna, dwie trzecie drogi wzdłuż Wisły. Od Dębina kursem 110 stopni. Aby tylko pogoda dopisała. Lewandowski wystartował pierwszy. Skoro osiągnął podstawę Cumulusa odszedł na trasę. On z kilometra wysokości przelatywał prawie 30 do przodu, a ja 24, toteż szybko zostałem w tyle. Zachodni wiatr zniósł mnie w lewo od trasy. Podstawy chmur 1700 m, noszenia dobre, toteż lot wzdłuż Wisły nie nastroczał trudności. Szybko znikły za horyzontem wieże płockiej katedry. Minałem Wyszogród i Czerwińsk. Warszawę powinienem minąć po swojej lewej stronie przelatując nad lasami Kampinoskimi, ale wiatr zniósł mnie w czasie krążenia i nabierania wysokości 20 km na wschód. Znalazłem się w rejonie Modlina na wprost stołecznego centrum. Ominiecie miasta to dodatkowa strata czasu i wydłużenie drogi. Postanowiłem przelecieć nad Warszawą na możliwie największej wysokości. Silnie wypiętrzony Cumulus ciągnął do swego wnętrza z prędkością ponad 3 metry na sekundę. Czarno – granatowa podstawa groźnie zawisła nad wodą. Włączyłem zakrętomierz. Jeszcze moment i ziemię przykryje gęstą mgłą. Wisła jak lustro błysnęła odbitymi promieniami słońca i dookoła zapanował wilgotny mrok. Wariometr wskazywał 6 m/s wznoszenia. Dopóki wznoszenie jest ustabilizowane można z niego korzystać. Gorzej jeśli szybowiec znajdzie się na granicy prądu wznoszącego i opadającego, wtedy jeżeli nie jest już za późno i prędkość na to pozwoli lepiej otworzyć hamulce i uciekać z niebezpiecznej strefy.

Widziałem już przypadek gdy hamulce otwarte przy zbyt dużej prędkości wygięły się i nie dały się zamknąć, ale i tak jest to lepsze niż urwanie się skrzydeł lub rozmienienie szybowca na zapalki. Po 2 minutach wysokościomierz wskazywał 2 700 metrów pode mną była kilkumetrowa warstwa chmury. Po kabinie zadudniły ciężkie krople deszczu i bryłki lodu. Znak, że chmura przekształciła się w burzowy Cumulonimbus. Uciekać póki czas. Otworzyłem hamulce, za chwilę znalazłem się w Stefie turbulencji i duszenia, tego się spodziewałem. Gdy turbulencja ustała zamknąłem hamulce i kursem południowym poleciałem ze zwiększoną prędkością.

Za minutę wyszedłem z chmury, mniejsze Cumulusy były pode mną. Raziły oczy blaskiem jak błyszczący w słońcu biały śnieg, a między nimi żółte i zielone pola podzielone płachtami lasów. Miałem 2,5 km wysokości, ale nie wiedziałem gdzie jestem. Jeżeli z chmurą odjechałem bardziej na wschód to teraz powinienem być po prawej stronie Wisły. Mam zapas wysokości więc do przodu. Pomknąłem z prędkością 100 km/h pomiędzy Cumulusami przecinając je w połowie ich wysokości.

Gdy znalazłem się z powrotem pod podstawami zobaczyłem Wisłę. Sięgnąłem mapę aby odnaleźć się w terenie. Wynikało z niej, że minąłem Górę Kalwarię i zbliżałem się do ujścia Pilicy. Mam 1500 m mogę jeszcze kilkanaście kilometrów przelecieć. Po drodze napotkałem kilka mniejszych wznoszeń. Przeleciałem połowę trasy. Daleko przed sobą widzę Dęblin, a w dole jakieś lasy, rzeka, szosa biegnąca wzdłuż Wisły. Minęła godzina piętnasta. Wykręcam się w metrowym wznoszeniu. Co to może być za miejscowość tam w dole? Na mapie odczytuję nazwę Maciejowice, obok dwie skrzyżowane szabelki i data 1794. miejsce tak dobrze znane z historii: „z Maciejowic w ranach wzięty, ciężką przetrwał on niewolę. Jak wygnaniec w świat iść musiał, na tułaczkę i niedolę”. To tu przeważał się los Powstania Kościuszkowskiego. Ciekawe, na których polach toczyła się bitwa, gdzie znaleziono rannego Naczelnika?

W tych rejonach więcej jest pól bitewnych, z różnych okresów historii. Niepotrzebnie wytracam

*Konkury*

czas. Trzeba rozejrzeć się za lepszym noszeniem. Na prawo widnieją wysokie kominy elektrowni Kozienice. W rejonie Dębłina wykręca się jakiś szybowiec. Skoro się kręci musi mieć noszenie, lecę w tym kierunku, ale niestety nie mogę znaleźć żadnego noszenia. Szybowiec nade mną to standardka SP-2339, to instruktor Lewandowski. On jest wysoko, a ja muszę rozejrzeć się za polem do lądowania. Nie chcę aby tu zakończył się mój lot. Zbliży się godzina 16. termika popołudniowa często ma inny charakter niż poranna, nie jest tak dynamiczna. Często trzeba przeczekać kryzys. Przeczekać można gdy się jest wysoko pod chmurą, a nie nad polem na wysokości 400 m. nad piaszczystą łacją przy Wiśle coś podrzuciło, wariometr wskazuje 0, znaczy to, że słaby prąd wznoszący zrównoważył zaledwie opadanie własne szybowca. Zakrążyłem. Po paru minutach wysokość zaczęła rosnać. Walcząc o każdy metr, powoli piąłem się w górę. Po godzinie osiągnąłem 1000 m, i szansę dolotu do dalszej chmury. Gdy mijałem Lublin, słońce mocno przechyliło się na zachodnią stronę nieba. W dali dymiły kominy huty Rejowiec. Rzadkie rozmywające się chmury i słabe noszenia nie gwarantowały pomyślnego zakończenia lotu. Nad hutą rozbudowała się ostatnia kłębiasta chmura wspomagana pewnie ciepłem z kominów. Gdy doleciałem do niej miałem zaledwie 600 m wysokości. Do Chełma zostało 20 km. Aby tam dolecieć muszę mieć co najmniej 1000 m. Brakuje tylko 400. W słabym noszeniu osiągnąłem wysokość 900 m.

Dochodziła godzina 19. Zdecydowałem się na dolot, zaryzykowałem. Jeżeli po drodze nie napotkam prądów duszących to do celu przylecę na ostatnich metrach wysokości. Jak znajdę pole do lądowania? Ustawiłem szybowiec na optymalnej prędkości i skierowałem się w stronę peryferii miasta. Dolatując do pierwszych zabudowań widziałem jak ludzie zadzierali do góry głowy. Wzrokiem szukałem jakiegoś pola. Nagle z boku na zielonej płaszczyźnie koniczyny wyrósł jak spod ziemi szybowiec ze znakami SP-2339. Wysokościomierz pokazywał niecałe 100 m.

Wystarczyło tylko na zrobienie zakrętu i wylądowanie. Była godzina 19:07, na niebie żadnej chmurki tylko słońce chowało się za horyzont. Lotem tym obaj z instruktorem Lewandowskim uzyskaliśmy po dwa warunki, przelot ponad 300 km do odznaki złotej i zarazem pierwszy diament. Instruktor poszedł do telefonu, ja zostałem przy szybowcach. Za pół godziny podjechał milicyjny gazik. Jeden z funkcjonariuszy objął nocną wartę a nas zawieziono do hotelu. Nazajutrz samolot Aeroklubu Lubelskiego ściągnął



Ślub cywilny



Przysięga 24.VI.1962 r.

nas na lubelskie lotnisko. Następnego dnia powróciliśmy do Płocka. Lotem tym zakończyłem sezon, krótki ale jakże ważny i niezapomniany. Wylatałem tylko 28 godzin, ale zdobyłem warunek do Złotej Odznaki i diament.

Od 1 sierpnia rozpoczął się pierwszy w naszym aeroklubie, kurs podstawowy w ramach tzw. Lotniczego Przesposobienia Wojskowego I Stopnia. Na kursie szkolili się kandydaci do Oficerskiej Szkoły Lotniczej. Kurs LPW II Stopnia obejmował naukę pilotażu samolotowego i prowadziło go tylko kilka ośrodków. Instrukctorem szkolącym był oddelegowany z wojska kapitan Zemanek, bardzo sympatyczny starszy kolega z braci lotniczej. Loty treningowe zostały zawieszane.

W sierpniu pomagałem teściowi przy żniwach, a wrzesień, tak jak w ubiegłych latach, dźwiękiem dzwonka wezwał do klasy. Tylko teraz dźwięk ten brzmiał inaczej. Wpierw wzywał do ławki, teraz za stolik nauczycielski. Jako specjalista od matematyki zacząłem uczyć tego przedmiotu klasy starsze. Ponadto powierzono mi naukę śpiewu, rysunków i prac ręcznych. Zadowolony byłem z takiego rozkładu pracy ponieważ na przedmiotach artystycznych odpoczywałem. Śpiewu uczyłem we wszystkich klasach i dzięki temu miałem kontakt z małymi dziećmi, a one są bardziej szczerze, bardziej sympatyczne i spontaniczne, bardziej przywiązują się do tego kto okaże im serce i potrafią się odwzajemnić. W nowej szkole prowadziłem również chór, drużynę harcerską i modelarnię lotniczą. Jakoby tego było mało uczyłem matematyki na wieczorowym kursie dla dorosłych w Ogorzelickim więzieniu.

Jak dziwne są koleje losu. Przecież nie tak dawno sam jako więzień uczyłem się do matury. Teraz podobnym więźniom pomagam ukończyć szkołę podstawową. Wypełnione prace dni biegły niepostrzeżenie. Z żoną widywałem się tylko wieczorem i to na krótko, często tylko po to aby się pokłócić. Zrezygnowała z pracy i ze szkoły, dni spędzała przeważnie u swoich rodziców pomagając im w gospodarstwie.

Czy po to ożeniłem się aby pięknej 22 letniej dziewczynie zawiązać świąt, zmarnować Życie i skazać na samotną wegetację za 1000 zł nauczycielskiej pensji?

W tym miejscu przytoczę kawał jakich wiele krążyło w PRLu:

„Dziennikarz pytał pracowników różnych branż jak im się żyje w socjalizmie.

Milicjant mówił, że nieźle. Pensji i premii wystarcza na życie, a resztę można odłożyć na przydziałową Syrenkę.



Po przysiędze ...



...efekt końcowy

Robotnik powiedział, że trudno mu się żyje, że ledwie starcza od pierwszego do pierwszego.

A co z resztą pieniędzy?

Za resztę mogę kupić dzieciakowi trampki.

Zapytany nauczyciel wyliczył, że głównie kupuje chleb, margarynę, czasem kawałek kaszanki.

A resztę?

Resztę to dokłada teściowa”.

Na pewno kawał ten nie jest śmieszny ale za to bardzo prawdziwy.

Zona co dzień przynosiła coś od teściowej, a moja mama dała nam darmowe mieszkanie. Gdyby nie ta pomoc to nie starczyłoby nawet na ten kawałek kaszanki, a przecież pracowałem od rana do nocy. Na początku września uległ wypadkowi mój ojciec. Jakimś sposobem udało mu się kupić motocykl marki WFM. WFMki nie były towarem ogólnie dostępnym, sprzedawano je tylko wybranym, przodownikom pracy socjalistycznej, towarzyszom partyjnym, osobom zasłużonym. Może wzięto pod uwagę jego zasługi wojenne, może to, że nie ma czym jeździć do pracy i do chorych.

Dość na tym, że otrzymał talon przydziałowy. Talon, talonem ale zapłacić trzeba było jak dzisiaj za samochód. Dla nauczyciela takiego jak ja był to luksus nieosiągalny. Gdy wracał z pracy wyskoczył do niego pies, prosto pod koło. Pies uciekł, a ojciec z połamanymi żebrami znalazł się w szpitalu. Pojechaliśmy z żoną go odwiedzić. Ucieszył się bardzo i z wdzięczności dał nam w użytkowanie swoją WFMkę.

Motocykle są maszynami niebezpiecznymi. Gdybym chciał opisać swe przygody motocyklowe nie starczyłoby miejsca na lotnicze. Zresztą takie przeżycia ma każdy. W niedzielę pojechaliśmy motorem do kościoła. Po mszy żona usiadła bokiem na siedzeniu, a nogi oparła na wahaczu tylnego widelca. Gdy ruszyłem szprychy koła obcięły jej piętę, trzymała się tylko na skórze stopy. Piętę mama przyszyła i po miesiącu żona z powrotem mogła usiąść na motor. Tym razem wracaliśmy od teściów. Była obładowana pakunkami. Trzymając torby nie mogła trzymać się mnie. Po bocznych drogach jeździłem ostrożnie ale na szosie przyspieszyłem. Na polu przy szosie ludzie kopali kartofle, jakiś głupek rzucił z pola na drogę duży kamień. Rozmawiałem z żoną i głowę miałem zwróconą w bok. Gdy zobaczyłem kamień tuż przed kołem, miałem czas jedynie na silniejsze uchwycenie kierownicy. To była setna część sekundy. Uderzy-

łem prosto kołem. Żona wyleciała jak z katapulty, przeokoziłkowała przeze mnie i spadła na głowę. Przed niechybną śmiercią uchronił ją kask. Pomidory i jabłka potoczyły się daleko po szosie, mleko i śmietana rozprysły się jak granaty, a kask pękł na pół. Gdyby nie to, tak pękłaby głowa. W rzucie mnetą znowu wypadł orzeł.

Przyszła śnieżna zima. Gdy zasypało drogi i nie można było jeździć motorem, do nóg przypiąłem narty. Po kilka kilometrów dziennie biegałem na nartach przez zasy py pomiędzy domem w Proboszczewicach, szkołą w Zagotach i wiezieniem w Ogorzelicach. Ten rodzaj komunikacji nie był na wsi popularny, ale przykład podział i obok moich znalazło się przy szkole jeszcze kilka innych par nart. Kończył się rok 1962. Rok przełomowy, który tyle zmienił w wyglądzie miasta i w moim życiu.

Powstały całe dzielnice nowoczesnych domów, girlandami świateł zajaśniały nowe obiekty kombinatu, żelaznymi żyłami rozciągnęły się rurociągi, którymi wkrótce miała popłynąć ropa. Powstał prawdziwy aeroklub. Ukończyłem szkołę, zdobyłem zawód i pracę, ożeniłem się i zacząłem wyczynowe latanie osiagając pierwsze sukcesy. Przydział węgla był bardzo ograniczony. Aby zaoszczędzić na ogrzewaniu, cała nasza rodzina spała w jednym pokoju przylegającym do kuchni. Mama z siostrą na jednym łóżku, ja z żoną na drugim, wuj Mietek na podłodze na rozkładanych materacach. Ogień palił się tylko w węglowej kuchni, w dzień dla przyrządzania posiłków, a w nocy dla ogrzewania. Była połowa lutego. Około północy mama dołożyła węgla do ognia, przymknęła szyber i poszła spać. Zdarzają się przypadki, że małe dzieci ratują dorosłych. Dzwonią na pogotowie, na milicję, do straży pożarnej, ale nigdy nie słyszałem aby nienarodzone dziecko uratowało od pewnej śmierci całą rodzinę. Żona moja była w ósmym miesiącu ciąży. Gdy z kuchni zaczął ulatywać się czad wszyscy pogrążeni byliśmy w głębokim śnie. Nie było żadnych szans na przebudzenie. Czad jako gaz silnie trujący i bezwonny powoduje coraz głębszy sen, aż do snu wiecznego. Uratować nas mógł tylko cud. Moim zdaniem taki cud się wydarzył. Nie znam się na medycynie i nie wiem jak reaguje płód w łonie matki na brak tlenu. Człowiek dorosły spokojnie zasypia, a dziecko? Moje stało się nagle bardzo niespokojne. Dlaczego nie usnęło jak my tylko zaczęło się rzucać i obudziło matkę. Żona czując, że dzieje się coś nienormalnego postanowiła obudzić mnie.

– Wiesław wstań bo chyba będę rodzic

Ja już zaczynałem tracić przytomność. Nie wiedziałem gdzie jestem i czego ode mnie chcą. Z trudem zwlokłem się z łóżka, zdołałem jeszcze zapalić lampę i upadłem jak długi na podłogę. Żona wszczęła alarm. Pierwszy obudził się wuj. Widząc co się dzieje, szybko zorientował się i otworzył drzwi oraz okna. Tlenek węgla jest trochę lżejszy od powietrza, unosił się nad podłogą, dzięki temu wuj był najmniej zatruty. Pobiegł na stację kolejową i telefonicznie zawiadomił pogotowie. W tamtych czasach telefon był rzadszym wytworem techniki niż WFMka. Dzisiaj wydaje się to dziwne, ale wtedy wiele wsi w ogóle nie miało telefonów, działały tylko na pocztach. Lekarz pogotowia dał nam jakieś zastrzyki, tabletki od bólu głowy i zawrotów, powiedział żeby dzwonić jeśli objawy zatrucia nie miną i odjechał. Do rana nie spaliśmy a rano z bólem głowy pojechałem do pracy. Ja zatrąłem się najbardziej, ale kolejny szczęśliwy orzeł, lub jak kto woli los dotyczył nas wszystkich.

7 kwietnia 1963 roku urodziła nam się pierwsza córka. Teraz dzieci rodzą się prawie wyłącznie w szpitalach, kiedyś odbierały je akuszerki w domach. Mama moja pracowała prawie na okrągło, nie ważne, czy noc czy święta, czy zamieć czy ślota.

Ciągle w terenie albo na zastępstwach w izbach porodowych. Często przesiadała się z wozu na wóz zostawiając w domu wiadomość gdzie jedzie. Tej nocy dzięki Bogu była w domu. Nie będę opisywał przebiegu. Powiem tylko, że był to jeden z najcięższych przypadków w mamy karierze zawodowej, a dla mnie najkoszowniejsze chwile w życiu. Gdy mama w pewnej chwili powiedziała abym jak najprędzej biegł na stację dzwonić po pogotowie, załamałem się nerwowo. Zanim pogotowie przyjechało, mama poradziła sobie sama. Jeszcze dzisiaj, po tylu latach i tylu niebezpiecznych przygodach, gdy wspomnę tamte minuty coś dławi w gardle. W powietrzu mogłem działać, nie było czasu na strach. W tym przypadku została tylko bezsilność i przerażenie.

Staraniem kierowniczk pani Kapuścińskiej władze powiatu zatwierdziły plany i podjęły decyzję budowy nowej szkoły. Wiosną zalano fundamenty. Odbuła się uroczystość wmurowania aktu erekcyjnego, czyli tzw. kamienia węgielnego.



Brat stryjeczny Stasiek Jakimiuk podrywa mi żonę



Z ciotką Lucyną Grochowską

Na uroczystość przybyli przedstawiciele władz gminnych i powiatowych. W części artystycznej wystąpiłem wraz ze szkolnym chórem, dyrygując i akompaniując na akordeonie. Harcerze szkolnej drużyny wybrali się na biwaki i wycieczki rowerowe do Sikorza, a modelarze oblatywali swe pierwsze modele szykując się do zawodów.

W klasie VII, którą kończyła się nauka w szkole podstawowej było dwóch braci Linowskich, Andrzej i Jurek. Byli to chłopcy skromni i grzeczni ale bardzo nieśmiali. Kiedyś oblatywałem na łąkach model o napędzie silnikowym. Wśród przygodnych widzów byli dwaj bracia. Stali zafascynowani jak kiedyś ja modelem gumówki. Gdy otworzyłem w szkole modelarnię zgłosili się pierwsi. Obydwóm groziło pozostawienie na drugi rok w klasie VII. Nawet pani kierowniczka, stara i doświadczona nauczycielka, twierdziła, że szkoda jest czasu na odpytywanie, oni i tak nic nie powiedzą. Andrzej czasem coś wyduka, ale Jurek to tylko stoi jak przestraszony. Wkrótce okazało się, że w modelarni są najlepsi. W lot pojmwali co się im tłumaczyło i pracę wykonywali bezbłędnie, ponadto nauczyli się mówić i pozbyli tremy. Gdy chcieli o coś zapytać musieli do mnie podejść i zacząć mówić. Pochwały przywróciły im wiarę w siebie. Szybko ich postępy przeniosły się na grunt szkolny. Napisany na tablicy przykład uczniowie rozwiązywali w zeszytach. Podchodziłem do słabszych i podpowiadałem co i jak mają robić, następnie jeden z nich powtarzał rozwiązanie na tablicy, często był to Jurek lub Andrzej. Po jakimś czasie pozbyli się zahamowań psychicznych i zaczęli odpowiadać również na lekcjach innych przedmiotów. Na koniec roku otrzymali oceny dostateczne na które w pełni zasłużyli i świadectwa ukończenia szkoły.

Jurek złożył podanie o przyjęcie do Zasadniczej Szkoły Budowlanej, a Andrzej do Technikum Elektrycznego. Kierowniczka nie kryła zdumienia i niezadowolenia. Uważała, że chłopcy podczas egzaminów wstępnych swoimi wiadomościami skompromitują szkołę. Zdumienie jej sięgnęło zenitu gdy obaj egzaminy zdali i zostali przyjęci. Andrzej bez trudu ukończył technikum a następnie Politechnikę Warszawską. Po studiach otrzymał stanowisko dyrektora w jakiś zakładach energetycznych, ukończył szkolenia lotnicze i do dziś jest czynnym pilotem samolotowym. Z Jurkiem po wakacjach spotkałem się w „budowlance”.

Kiedyś Andrzej odwiedził mnie w domu, nadal jest człowiekiem skromnym i sympatycznym, powiedział, że byłem jego najlepszym nauczycielem, któremu zawdzięcza wiele ze swych życiowych osiągnięć. Zaczęły się wakacje i jedyna okazja aby polatać na szybowcach i podnieść poziom swego wyszkolenia. Nie osiągnąłem niczego. Kierownik aeroklubu ani szef pilotów nie byli zainteresowani szkoleniem grupy treningowej. Gdy szybowce z innych aeroklubów meldowały się podczas przelotów nad naszym lotniskiem.

Gdy warunki termiczne podrywały do lotu wszystko co miało skrzydła, łącznie z przysłowiowymi drzwiami od hangaru, szef siedział na ławeczce, kręcił palcem loki we włosach, a na nasze pytania odpowiadał, że przyjąć i popatrzeć zawsze możemy. Z dniem 1 lipca rozpoczyna się kolejny podstawowy kurs LPW i on nie będzie miał czasu na prowadzenie lotów termicznych. Zrozumiałem, że jeżeli nie zrobię uprawnień instruktorskich to praktycznie z latania będą nici. W grupie treningowej było nas kilkunastu. Budujący się Płock przyciągał do pracy ludzi ze wszystkich zakątków Polski, a wśród nich również pilotów szybowcowych i samolotowych. Jednym z nich był Waldek Prejs. Pracował on jako nauczyciel wychowania fizycznego w Szkole Budowlanej. Od niego dowiedziałem się, że dyrekcja szkoły poszukuje nauczyciela matematyki. Aby mnie nikt nie uprzedził, zgłosiłem się natychmiast. Po rozmowie z dyrektorem zostałem przyjęty. Należało tylko przeprowadzić przeniesienie służbowe z Wydziału Oświaty do Kuratorium. Pani Kapuścińska nie stawiała sprzeciwu dając mi pochlebna opinię.

Od 1 sierpnia 1963 roku byłem już pracownikiem nowej szkoły. Pożyczona od ojca WFMkę zwróciłem a sobie kupiłem na raty Jawę 175. były to na ówczesne czasy najładniejsze i najzgrabniejsze motocykle produkcji Czechosłowackiej. Taka przyjemność kosztował 24 tysiące złotych, spłaciłem ja przez trzy lata. Możliwe to było tylko dzięki wyższym zarobkom w Zasadniczej Szkole Budowlanej i pracy od rana do nocy. Nowym motorem wybrałem się z żoną do Mikołajek na ślub Kazika Jańca. Kazio skończył weterynarię na SGGW, a jego narzeczona pedagogikę na Uniwersytecie Warszawskim i teraz właśnie „wychudzeni wymęczeni z dyplomami już w kieszeni” pobierają się aby „wiązać koniec z końcem za te polskie dwa tysiące” jak śpiewała Sława Przybylska. Ślub, uroczystość weselna, wycieczka statkiem po Śniardwach i wielogodzinna podróż między lasami i jeziorami mazurskimi pozostawiła w pamięci niezatarte wrażenia. Gdy wróciliśmy do domu teściowie rozpoczęli żniwa, oboje włączyliśmy się do pracy i w ten sposób minęła połowa sierpnia. Pozostałe dwa tygodnie wakacji spędziłem na lotnisku, ale warunków na dłuższe przeloty nie było. Wykonałem kilkanaście lotów nad lotniskiem w czasie niewiele ponad 10 godzin, ale zanim sezon zakończył się przeżyłem przygodę wartą przypomnienia. Najlepsze wyniki w zbiórce plonów uzyskała w płockim regionie wieś Miszewo Murowane. Z tej racji postanowiono zorganizować tu powiatowe dożynki. Jednym z punktów uświetniających uroczystość miały być pokazy lotnicze w wykonaniu pilotów naszego aeroklubu. Program był raczej skromny, na miarę naszych możliwości, jednak wpleciony w ogólne obchody stanowił niewątpliwą atrakcję. Na polach przylegających do pałacowego sadu wydzielono niewielki teren do lądowania spadochroniarzy i szybowca. Pas ziemi długości 150 m i szerokości 30 m wyrównano i uwałowano. Dla samolotu było tu za krótko i za międko, ale szybowiec wylądować byle gdzie, aby miał podejście. Pas zaczynał się rowem porośniętym krzewami, kończył zwirową drogą i siatka okalającą sad. Widzowie ustawili się na drodze po obydwóch stronach pasa. Pokaz rozpoczęły dwa Kukuruźniki przelatując szykiem nisko nad publicznością. Następnie obydwa przeszły na wznoszenie, po nabraniu wysokości wyskoczył pierwszy skoczek, drugi wznosił się dalej. Gdy pierwszy skoczek wylądował, wyskoczył następny demonstrując opóźnione otwarcie spadochronu. Pierwszy samolot odleciał po szybowiec. Po wylądowaniu skoczka, zaczął się pokaz figur akrobatycznych podstawowego pilotażu, korkociąg, ranwersy, pętla. Po zakończeniu ewolucji Kukuruźnika czyli samolotu CSS-13 do pokazów włączył się kierownik aeroklubu na JAK-18.

Srebrny dolnopląt, sylwetka podobny do myśliwców z okresu wojny wykonywał beczki i inne figury średniego pilotażu. W tym czasie do miejsca pokazów zbliżał się zespół z Muchą 100 na sznurku. Miałem zademonstrować na szybowcu to samo co CSS-13, a na zakończenie pokazu zejść w locie nurkowym do poziomu około 3 metrów, ze świstem przelecieć nad głowami, nadmiar prędkości wy-



Dzieci



Dzieci

tracić wznosząc się na wysokość 50 m, wykonać zwrot o 180 stopni i wylądować przy znaku wyłożonym z płótna. Ostatni manewr poprzedzający lądowanie należało zrobić na wyczucie. Na co dzień, na lotnisku, w ten sposób się nie ląduje dlatego należało najpierw wykonać przynajmniej dwa loty ćwiczebne, zwłaszcza, że w ostatnich dwóch sezonach latałem niewiele. Treningu jednak nie miałem. Wyczepiłem się nad znakiem, od samolotu odszedłem szybkim wywrotem. Dwie zvitki korkociągu z wyprowadzeniem na kierunek, dwie pętłe, ranwers w lewo i w prawo, potem spirala do wysokości 200 m. Odszedłem w kierunku ogrodu. Po wykonaniu zakrętu znalazłem się na wprost kilkutyśiecznego tłumu widzów. Pikując rozpędziłem szybowiec do 160 km/h, przeleciałem nisko wzdłuż pasa i na jego końcu przeszedłem na wznoszenie. Właśnie ten moment należało wykonać na wyczucie.

Odczekałem 5 sekund i wykonałem zakręt na wznoszeniu, w gwarze lotniczej zwrot bojowy. Oj – nie-dobrze, nawet bardzo niedobrze. Lecąc samolotem dodałbym gazu i poszedł na drugi krąg, ale szybowiec do lądowania podchodzi tylko raz. Byłem za wysoko aby zmieścić się na krótkim i wąskim pasie, w dodatku otoczonym przez ludzi. Decyzja natychmiastowa. Każda sekunda zwłoki może mieć skutki tragiczne i nieodwracalne. Hamulce i ostry ślizg kierunkowy do samej ziemi. Ustawiony bokiem szybowiec zwiększał powierzchnię oporu powietrza. Tuż przed uderzeniem w ziemię wyprowadziłem ze ślizgu. Prędkość jeszcze 100 km/h, 20 cm nad ziemią, hamulce otwarte ...i niesie się. Niesie się cholera jak na poduszce powietrznej. Minałem wyłożony znak. Po obydwóch stronach ludzie, kierunku nie zmienisz. 80 metrów przede mną tłum, a ja jeszcze jestem w powietrzu. Ostatnie sekundy. Trzeba jak najszybciej dotknąć ziemi, będzie dodatkowe hamowanie. Osadzenie szybowca na siłę może odnieść skutek odwrotny. Odbiwszy się od ziemi może na parę metrów wyjść do góry i spaść na ludzi, może się to również skończyć kapotażem. Wola Boska, innej możliwości nie ma. Drażek od siebie. Szybowiec przywarł do miękkiej ziemi. Kółko ryje bruzdę ale toczy się nadal. Pozostało tylko około 20 m wolnego pasa. Ostatnia karkołomna decyzja, oprzeć skrzydło o ziemię i wykonać cyrkiel. Można połamać szybowiec – trudno. Przytrzymane przez miękką ziemię skrzydło spowodowało gwałtowny obrót o 90 stopni. Sypnęło piaskiem na ludzi, ale szybowiec stanął. Rozległa się salwa braw. Oni nie zdawali sobie sprawy z niebez-

pieczeństwa. Oni myśleli, że tak musi być. Było to w niedzielę 1 września 1963 roku. Jutro rozpoczęcie roku szkolnego i nowej pracy. W dużej Sali gimnastycznej zgromadziło się ponad 1000 młodych ludzi. Za stołem prezydalnym zasiedli przedstawiciele władz miejskich, dyrektorzy przedsiębiorstw zatrudniających młodzież szkolną, nauczyciele. Ciepły wiatr powiewał biało-czerwonymi sztandarami. Zabrzmiał głos dyrektora szkoły:

– Witam szanownych gości, Radę Pedagogiczną, młodzież a szczególnie was drodzy chłopcy, którzy dziś po raz pierwszy stanęliście w progach szkoły aby przez trzy lata dzielić z nami radosne i przykre chwile życia. Będziecie tu zdobywać wiedzę, budując równocześnie miasto na które zwrócone są oczy całego kraju. Stoi przed wami poważne i zaszczytne zadanie. Jesteście w pewnym sensie wybrańcami losu. Nie ma w naszym regionie drugiej takiej szkoły, której młodzież w tym stopniu tworzyłaby tak poważne dzieło. Partia robotnicza zaufała wam i w wasze ręce złożyła patronat tej budowy. Szkoła wita was nowym wnętrzem. Uszanujcie jej mury gdyż stawiali je tacy sami chłopcy jak wy. Budowali ją starsi koledzy, którzy niedawno skończyli tu naukę, a teraz wnoszą nowy Płock. Nieście więc dumnie powierzony wam sztandar.

Głos zabrał przedstawiciel Rady Zakładowej Petrobudowy:

– Koszt kombinatu przekroczył wartość starego Płocka. Właściwie do pierwszej produkcji wszystko jest już przygotowane. Zakończono urządzenia Destylacji Rurowo – Wieżowych, Reformingów, Krakingów i wielu innych linii produkcyjnych przetwarzających materiały ropopochodne. Trwa rozbudowa infrastruktury i zaplecza produkcyjnego. Już niedługo żelaznymi żyłami rurociągów popłynie ropa i łuną gazowych pochodni rozjaśni się niebo nad kombinatem. Otwarcie nastąpi w rocznicę Wielkiej rewolucji październikowej.

Zasadnicza Szkoła Budowlana dla Pracujących nr 1 PBP Petrobudowa była dużym zakładem kształcącym fachowców w różnych zawodach budowlanych.

Chociaż w nazwie widniało Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego „Petrobudowa” ale uczyła się tu również młodzież z innych przedsiębiorstw związanych z kombinatem. Swoje klasy miał tu Instal, Elektoromontaż, Przedsiębiorstwo Instalacji Sanitarnych oraz Płockie Przedsiębiorstwo Transportowo-Sprzętowe Budownictwa. Wachlarz specjalizacji był bardzo szeroki. Oprócz klas młodzieżowych uczyli się tu dorośli systemem wieczorowym w Technikum Budowlanym, Pomaturalnym Studium, Szkole Mistrzów i Zasadniczej Szkole OHP. Ja pracowałem w szkole zasadniczej, rannej i wieczorowej. W przerwie pomiędzy lekcjami tych szkół prowadziłem modelarnię lotniczą, którą założyłem za zgodą i akceptacją Dyrekcji szkoły i internatu. Zajęcia modelarskie miałem płatne tak jak godziny lekcyjne. Pracowałem od godziny 7 rano do 21 wieczorem praktycznie bez przerwy. Do domu przyjeżdżałem nocnym pociągiem o 23, jadłem jeden posiłek dziennie złożony ze śniadania, obiadu, kolacji i szedłem spać. O godzinie 6 z powrotem do pociągu. W pierwszym roku pracy pełniłem również dyżury w internacie, wtedy do domu w ogóle nie jechałem. Pracy miałem moc ale zarobek trzy razy większy niż w wiejskiej szkole. Teściowa nie musiała już dokładać nam do garnuszka, tylko teść miał pretensje, że nie pomagam mu w gospodarstwie. W Budowlance rozpoczął pracę również kolega Boguś Pawlicki i moja siostra Hania. Ona uczyła rosyjskiego a on zawodowych przedmiotów w klasach kierowca – mechanik. Hania mieszkała w hotelu pracowniczym razem z młodszą siostrą Ewą Bożeną. Bożena skończyła maturę w sierpeckim Liceum Korespondencyjnym i podjęła pracę w Płocku. Zawód nauczycielski nie obfituje w dramatyczne przygody, bo co może wydarzyć się w klasie? W czasach obecnych gdy deprawacja dzieci i młodzieży rośnie jak postęp geometryczny, nauczycielowi można założyć na głowę kosz ze śmieciami. Młodzież nauczy się tego z telewizji i nikt palcem nie kiwnie aby to zmienić. Władze nie chcą ponieważ w protokołach mędrców zapisane jest „jeżeli chce się zniszczyć naród trzeba najpierw zdeprawować mu dzieci”. Kiedyś aż tak drastycznych wydarzeń nie było ponieważ szkoła oprócz nauczania zajmowała się również wychowaniem. Zdarzały się czasem incydenty wykraczające poza reguły dyscypliny, bo nauczyciel z racji swego powołania zawsze stał po drugiej stronie klasy. Kiedyś pełniąc dyżur w internacie zauważyłem, że w jednym z uczniowskich pokoi, po godzinie ciszy nocnej, pali się światło i gra radio. Wziąłem za kłamkę ale drzwi były zamknięte na klucz od wewnątrz. Gdy zacząłem pukać zgasło światło i radio. Nie dałem za wygraną lecz pukałem aż mi otworzono. Nie paliłem światła, w mroku rozjaśni-



Dzieci



nym światłem z korytarza zobaczyłem kłęby unoszącego się dymu z papierosów i rozespiane twarze. Jeden z uczniów przecierając oczy zaprotestował :

– Co jest, spać nie dają !!!

– Tak bardzo chce ci się spać?

– Pewnie, jest już po 10

– Widzę, że jesteś bardzo pewny siebie. Jak się nazywasz?

– Zawadzki, a bo co?

– A bo nic, z której jesteś klasy?

– III elektryczna

– Proszę iść spać, nie palić światła ani papierosów, nie włączać radia. A z tobą Zawadzki porozmawiam jutro.

Zamknąłem drzwi. W szkole uczono mnie aby nie podejmować pochopnych decyzji i nie działać w pośpiechu. Jeżeli nie wie się co zrobić to lepiej zapowiedzieć i odłożyć sprawę do namyślenia się. Sama zapowiedź kary i oczekiwanie na nią ma również niebagatelne znaczenie. Jutro rozpoczynam lekcje właśnie w klasie III E, no to sobie z główniarzem porozmawiam. Uczniowie byli bardzo ciekawi reakcji z mojej strony. Gdy wszedłem do klasy, zapanowała nienaturalna wprost cisza. Sprawdziłem listę i odezwałem się do krnąbrnego ucznia:

– Zawadzki, wczoraj byłeś bardzo elokwentny i pewny siebie. Ciekawy jestem czy będziesz równie dobry w matematyce – proszę do tablicy.

Wiedziałem, że taka zapowiedź i groźna forma powinna wywołać napięcie, stres i niepewność a to już jest połowa zwycięstwa. Uczyliśmy się rozwiązywać układy równań z dwiema niewiadomymi, dałem więc prosty przykład ponieważ uczniowie szkół zasadniczych do najlepszych nie należeli. Ci dobrzy poszli do techników lub liceów. Jakież było moje zdziwienie gdy chłopak rozwiązał przykład szybko i błędnie.

– Dobrze, dwójki już nie dostaniesz.

Uczeń odetchnął jakby zrzucił jakiś ciężar. Wszystkie twarze okraślił szczery uśmiech. – Na ocenę dobrą ten przykład jest zbyt łatwy, czy chcesz rozwiązać trudny i walczyć o czwórkę?

– Chcę

Dałem mu przykład zawierający ułamki algebraiczne i wzory skróconego mnożenia. Nie sadziłem, że z tego wybrnie. Gdy doprowadził równania do prostej postaci przerwałem.

– Masz 4, ale widzę, że stać cię na 5. musiałbyś rozwiązać zadania tekstowe. Chcesz?

– Chcę

Wtedy i ja chciałem postawić mu ocenę bardzo dobrą. Nikt do tej pory oceny takiej nie otrzymał. Wybrałem zadanie i podpowiedziałem aby wynotował sobie dane i niewiadome a następnie ułożył równanie. Zadanie do łatwych nie należało, ale on i z tym sobie poradził. Lekcja skończyła się, ale historia Zawadzkiego właśnie się zaczęła. Przeprowadził się z ławki dalszej na pierwszą, podczas lekcji nie spuszczał ze mnie wzroku, zawsze gotów do odpowiedzi na każde pytanie. Do końca roku utrzymał ocenę bardzo dobrą. Poszedł do technikum. Gdy spotkaliśmy się na korytarzu szkoły lub na ulicy zawsze kłaniał się z dużą życzliwością. Po skończeniu technikum rozpoczął studia na politechnice. Później już go nie spotkałem. Na początku chciałem postawić mu dwóję i zadać karę, stało się inaczej. Czy była to moja porażka, czy zwycięstwo? W pracowni modelarskiej wysunęła się na czoło grupa modelarzy, którzy stanowili wyczynową kadrę aeroklubu. Jestem wychowawcą klasy I GA o specjalności monter elementów wysokopłytowych. Nauka w szkole trwa 3 dni w tygodniu, pozostałe 3 dni stanowi praca na budowach czyli praktyczna nauka zawodu. Jest to praca ciężka i niebezpieczna. Duże płyty żelazobetonowe dźwigi wynoszą do góry na pietra bloków. Płyty te trzeba przejąć, ustawić, zespać i wmurować na swoim miejscu. Chwila nieuwagi może spowodować wypadek. Na dzień nauczyciela chłopcy sprawili mi miłą niespodziankę, wraz z kwiatami wręczyli laurkę z życzeniami i podpisami całej klasy. Mam je do dzisiaj, kolory już wyblakły, nie wszystkie podpisy kojarzę z twarzami uczniów, ale jeden z nich wywołuje szczególne uczucia. Patrząc na podpis J. Raczkowskiego widzę wysoką i szczupłą sylwetkę sympatycznego, szlachetnego młodego człowieka i często lży same napływają do oczu. Był najlepszym



Nauczyciele z Budowlanki



Zajęcia lekcyjne

uczniem w klasie, dobrym sportowcem. Należał do Wioślarskiego Klubu Budowlanych, tak jak ja w jego wieku. Gdy lód pokrył wiślane łachy, odnogi i zakola, dwie dziewczynki ślizgały się niedaleko przystani wioślarskiej. W pewnym momencie lód załamał się. Janek nie namyślał się, skoczył do lodowatej wody i uratował obie.

Za parę dni w szkole odbyła się niezwykła uroczystość. Na szkolnym przestronnym korytarzu zebrali się uczniowie, nauczyciele, Dyrekcja. Przybyli przedstawiciele władz Petrobudowy, przedsiębiorstwa, którego pracownikami byli uczniowie. Były dwie uratowane dziewczynki i ich ojciec. Gdy ściszał w objęciach wybawcę swych dzieci nie wytrzymał i rozplakał się. Podziękowania złożył za niego przedstawiciel firmy wręczając w nagrodę zegarek. Wiosna podczas odpinania haku od płyty, końcówka liny zaczepiła go o nogę i ściągnęła z ósmego piętra. Zginął na miejscu. Dlaczego los jest tak niesprawiedliwy.

Jesienią w naszej szkole wydarzył się jeszcze jeden przykry incydent zakończony tragicznie. Uczniowie za swą pracę otrzymywali niewielką zapłatę. W klasie I zarabiali około 200 zł, w drugiej około 400 a w III 600 zł. dojeżdżający ze wsi nie nastęrczali trudności wychowawczych, ale ci z miasta często należeli do tzw. Młodzieży trudnej. W dniu listopadowej wypłaty jeden z nich powąchał korek od butelki i upił się. Następnie podając nazwisko kolegi pobrał za niego wypłatę. Miał pecha bo kolega za chwilę podszedł do kasy. Kasjerka zapamiętała tego, który ja oszukał i zameldowała do dyrektora. Dyrektor Mławiński kazał woźnemu sprowadzić Mystka do kancelarii, ale ten zachowywał się agresywnie. Wezwana milicja nie patyczkowała się, skuła chuligana kajdankami i jak worek kartofli rzuciła do radiowozu. Świadców zajścia było wielu. Na osiedlu zawrzało. W jaki to sposób milicja traktuje uczniów. Po godzinie dyrekcja szkoły otrzymała zawiadomienie, że uczeń Mystek w celi powiesił się. Nikt nie dał temu wiary, ja również nie. Uważam, że aresztant awanturował się po pijanemu i dostał odpowiednią porcję pałek, a gdy się bije to łatwo jest zabić. Dyrektor Mławiński został zwolniony. Na jego miejsce przyszedł Konstanty Krawczyk, jeden z czołowych prominentów ówczesnej władzy partyjno – powiatowej.

Nowy dyrektor był stanowczy, konsekwentny i stać go było na podejmowanie własnych decyzji. Święta Bożego Narodzenia 1963 i Nowy Rok 64 spędziliśmy u rodziców żony. Teściowa moja była matka w każdym calu. Mało jest kobiet które zasługiwałyby na wdzięczność i szacunek ze strony zięcia. Była kobietą prostą a mimo to obdarzoną wieloma szlachetnymi cechami. Lubiała czytać książki, a szczególnie wiersze. Była skarbnicą ludowych opowieści, porzekadeł i piosenek. W każdą niedzielą szykowała obiad rodzinny. Zjeżdżały się jej córki z mężami i dziećmi. Niedziele u teściowej były jak święto. Często przyjeżdżali goście z dalszej rodziny. Nikomu nie zrobiła przykrości, każdy został przyjęty i ugoszczony. Była osoba serdeczną i taktowną. Mawiała, że dzieciaka przybranego, znaczy zięcia trzeba darzyć większym szacunkiem jak rodzzonego, gdyż łatwiej go urazić i trudniej urazę wymazać z pamięci. Przeważnie jest to niemożliwe. Stąd biorą się uprzedzenia i antypatie. Ile w tym rozumu i matczynej ciepła.

W lutym nasza córeczka Grażynka ukończyła 10 miesięcy życia. Dom jeszcze nie był wykończony. Moja mama przygotowała nam pokój z kuchnią po drugiej stronie, a sama mieszkała w części którą do tej pory zajmowaliśmy wspólnie. Żona obok kwiatów hodowała w skrzynce na oknie pietruszkę. Natka była już dorodna i wysoka. Mama potrzebowała paru listków do obiadu. Żona na moment gdzieś wyszła, a w kuchni w dziecinnym łóżeczku trzymając się barierki stała Grażynka, jeszcze nie chodziła. Mama uskubała parę pędów, włożyła za sweter i wyszła. Za chwilę wróciła żona i zapytała czy ktoś był. Dzieciak, który do tej pory wypowiadał tylko pojedyncze słowa teraz odpowiedział pełnymi zdaniem z dużą emocją i przejęciem:

– Babcia była, wała pietuśkę i chowała zia fet’

Żona ze zdumienia poszła do mamy.

– Czy była mama u nas?

– Tak byłam

– I urwała mama pietruszkę?

– A skąd wiesz?

Grażyna powiedziała.

– Żartujesz, to niemożliwe. To już więcej do was nie pójde skoro macie takiego stróża



Zajęcia lekcyjne



Modelarze z Budowlanki w pochodzie 1 maja

Trudno było mi uwierzyć, ale dzieciak od tego dnia zaczął mówić wszystko. Chyba mamy w domu geniusza, tylko, że z genialnych dzieci bardzo rzadko wyrastają genialni dorośli.

Marzec przyniósł ze sobą ocieplenie i roztopy. Zima odpływała do morza. Odpływała pełnymi rowami wody, szosami pokrytymi topniejącym śniegiem i przelewającymi się przez nie strumieniami. W Płocku w kinie „Przedwiośnie” grano jakiś ciekawy film.

Postanowiliśmy z żoną pojechać pociągiem o godzinie 18, a wrócić o 22. dziecko usnęło i do rana się nie obudzi. W marcu o 18 jest już ciemno. Żona zapaliła lampę naftową i przykręciła płomień aby lampa dawała tylko trochę światła. Pojechaliśmy do kina. Dzisiaj może to się wydawać jakimś absurdem, ale wtedy rozrywka taka była na wsi luksusem często nieosiągalnym. Film się skończył. Zanim dobrnęliśmy na piechotę z „Przedwiośnia” do stacji kolejowej to ostatni pociąg nam uciekł. Brnąć po rozmiękłym śniegu i po wodzie 14 km w półbutach, do tego nocą, było wyczynem ponad siły nawet dla silnego mężczyzny. Na nic zdały się moje tłumaczenia, że nie da rady, że po drodze padnie i z wychłodzenia umrze, albo się utopi w wypełnionym wodą rowie. W najlepszym wypadku przeziębienie i rozchoruje. O tym, że może dojść nawet nie pomyślałem. Postanowiłem pójść 3 km do wujka Tadzika i postarać się o samochód. Tadzio pracował w Mostostalu jako kierowca, może coś poradzi. Żona powiedziała, że zanim ja znajdę samochód to ona dojdzie do domu. Rozstaliśmy się w kłótni.

Okazało się, że to ona miała rację. Ja żadnego samochodu nie znalazłem. Zostawiłem ją samą na drodze w warunkach skrajnie ciężkich i niebezpiecznych. Ja zostałem w Płocku, a ona szła do dziecka i Pan Bóg jej pomógł. Poza lotniskiem dogonił ją jakiś mężczyzna na motorze. Skąd się tam wziął o północy? Chyba z nieba. Podwiózł ją około 7 km, resztę drogi pokonała pieszo. Do domu dotarła około drugiej. Dziecko spało, ale przekręcona lampa nie dawała już światła tylko czarny śmierdzący dym. Nie było czym oddychać, do rana dzieciak by się udusił.

W tym czasie aeroklub wysłał moje zgłoszenie na kurs instruktorów szybowcowych. Drugim kandydatem był Bogusław Pawlicki. Kurs rozpoczynał się egzaminami kwalifikacyjnymi na początku kwietnia w Centrum Szybowcowym w Lesznie Wielkopolskim. Dyrektor Krawczyk zgodził się na mój wyjazd pod warunkiem, że załatwię sobie zastępstwa kolegów na moje lekcje w szkole. Radę pedagogiczną stanowił zgrany, życzliwy i koleżeński zespół nauczycieli przedmiotów ogólnych oraz inżynierów wykładających przedmioty zawodowe. Wszyscy poszli mi na rękę i gratis zaopiekowali się uczniami w czasie mojej nieobecności. Pracując z innym zespołem i mając innego dyrektora na pewno byłoby to niemożliwe.

Po miesiącu wykładów i lotów metodycznych zdaliśmy obaj z Bogdanem egzaminy przed Państwową Lotniczą Komisją Egzaminacyjną na uprawnienia instruktorskie. Teraz czekało nas odbycie praktyki. W ramach praktyki lataliśmy od początku sezonu ze wszystkimi pilotami aeroklubu. Licencjonowanym zaliczaliśmy Kontrolę Techniki Pilotażu z pozostałymi na uprawnienia do klasy II, ale głównym warunkiem było wyszkolenie od podstaw grupy co najmniej 5 kandydatów.

W tym roku aeroklub nie musiał zatrudniać nowego instruktora. Miał swoich. Latanie instruktorskie miało dobre i złe strony. Odciążyliśmy szefa wyszkolenia. Miał kto latać z uczniami i kierować lotami, ale zajęcia szkoleniem nie mieliśmy czasu na własne latanie wyczynowe. Za to otworzyły się przed nami perspektywy na szkolenie samolotowe. Najpierw jednak należało zaliczyć praktykę i uzyskać odpowiednie wpisy do licencji. Grupę 12 kandydatów podzielono na 2 części. Jedną przydzielono mnie a drugą Bogdanowi. Kurs podstawowy rozpoczynał się w połowie lipca. W zasadzie wszystko przebiegało bez zakłóceń do pewnego dnia. Obie grupy latały na tym samym starcie. Gdy jeden szybowiec wylądował, startował drugi. Aby uczeń nauczył się latać musi mieć pewną samodzielność, dlatego loty w tej fazie szkolenia nie były wolne od błędów, oczywiście w granicach pewnej tolerancji. Uczniowie ćwiczyli lądowania. Pozostałe elementy lotu mieli już opanowane. Jeszcze kilka dni i zaczną latać samodzielnie. Jeden z moich uczniów wylądował zbyt blisko znaków z niewielkim przelotem. Na dobiegu zmienił kierunek i szybowiec zatrzymał się na brzegu pasa startów z lewym skrzydłem uniesionym do góry. Bogdan nie powinien był startować. Wsiadłem z kabiny aby przechylić szybowiec na drugie skrzydło. Nie zdążyłem. Czapła wystartowała. Po krótkim rozbiegu oderwała się od ziemi i zanim przeszła na wznoszenie swym prawym skrzydłem zaczepiła o wzniesione do góry lewe skrzydło mojego szybowca. Rozległ się



Mój brat przyrodni Marek Cygański



huk i cos pomarańczowego odpadło od startującej Czapli. Była to odcięta jak nożem, ponad metrowa końcówka skrzydła z oderwaną lotką. Staliśmy przerażeni, a szybowiec wznosił się dalej. Powinien natchmyślać się wczepić i przerwać lot tuż nad ziemią, za sekundę było już za późno. Na szczęście nic się nie stało. Po osiągnięciu około 300 m wysokości szybowiec wyczepił się, zbudował rundę wokół lotniska i wylądował. Dlaczego mógł lecieć z brakującą dużą częścią skrzydła, dlaczego nie utracił sterowności pozbawiony lotki? Gdyby spadł z takiej wysokości zginęliby obaj. Obydwa szybowce zostały uszkodzone i należało je wymienić. Kurs ukończono z tygodniowym opóźnieniem. Nazajutrz poleciałem na przelot. Zamierzałem odlecieć jak najdalej na północ aby potem przez całą Polskę zaatakować diament 500 km. Koniec sierpnia to nie jest czas na takie dalekie przeloty ale może się uda, zresztą przygoda też się liczy. Wziąłem Standardkę i poleciałem do Bydgoszczy. Kolację zjadłem w mieście. Przenocowałem na lotnisku. Na drugi dzień zgłosiłem trasę do Olsztyna i stąd dalej w Polskę. O godzinie 11 byłem już w powietrzu. Pokonanie 200 km pod wiatr okazało się trudniejsze niż myślałem. Podstawy chmur niższe niż wiosną, cumulusy niezbyt rozbudowane. Wyglądały jak małe kalafiory bezładnie rozrzucone po niebie. Do Olsztyna doleciałem ale zegarek wskazywał godzinę 19 i dalej lecieć nie było sensu. Po spędzeniu całego dnia w powietrzu byłem głodny. Szybowiec poszedł do hangaru, a ja na wieś poszukać czegoś do jedzenia. Dajtki nie były wtedy dzielnicą Olsztyna, były zwykłą mazurską wsią.

Sklep był już zamknięty, poszedłem więc do pierwszego z brzegu gospodarstwa aby kupić trochę chleba i mleka. Przed dom wyszła kobieta w średnim wieku. Gdy wyluszczyłem jej swą prośbę, odpowiedziała czystą i poprawną polszczyzną. Gospodarstwem zarządzała córka i to do niej powinienem się zwrócić, ale ona nie sprzeda mi niczego ponieważ nie mówi po polsku, wątpi nawet czy dostanę coś u sąsiadów. Ktoś kiedyś powiedział, że Niemcom nie udało się zniemczyć mazurów przez 1000 lat, a Polska Ludowa dokonała tego w niespełna 10.

Taki to był zdolny system. Oczywiście, że nie chodziło tu o nieznamość języka, lecz o nienawiść do wszystkiego co polskie. Trudno, przez noc nie umrę z głodu. Przenocowałem na lotnisku, a rano zaopatrzyłem się w sklepie. Pogoda zepsuła się. Przez pięć dni laziłem na piesze wycieczki po mieście, okolicznych lasach lub nad jezioro Ukielskie, które przylega do lotniska. Na pogodę przelotową nie doczekałem się. Zadzwoiłem do swojego aeroklubu i następnego dnia przyleciał po mnie instruktor R. Lewandowski. Do Płocka wróciłem na sznurku. W ten sposób zakończył się sezon lotny i zaczął kolejny rok szkolny. W sezonie wylatałem około 100 godzin, z tego połowę w lotach instruktorskich. Na trasach przelotów pokonałem łączną odległość 1500 km. Zdobyłem uprawnienia instruktorskie, które pozwalały mi podjąć pracę zarobkową. Żonie tymczasem pozostała wiejska samotność, wychowywanie dziecka i praca w gospodarstwie rodziców. Została jej jeszcze maszyna do szycia. Żona miała ukończoną zasadniczą Szkołę Odzieżową, zasadniczą Szkołę Handlową i nieukończone Technikum Ekonomiczne.

Posiadała krawieckie uprawnienia czeladnicze w specjalności – krawiectwo damskie lekkie. Wczorami terkotała na maszynie psując sobie oczy przy lampie naftowej. W nowym roku szkolnym zrezygnowałem z dyżurów wychowawczych w internacie, za to otrzymałem więcej godzin w szkole. Nadal pracowałem na dwóch etatach. Jeden w szkole rannej, drugi na wieczorówce w OHP, do tego modelarnia. OHP skupiały młodzież po 18 roku życia. Był to element bardzo zróżnicowany pod względem wieku, kultury, wychowania i pochodzenia. Przybyli z różnych stron w poszukiwaniu pracy i zawodu. Byli wśród nich ludzie poważni, tacy którzy wiedzą czego chcą, ale byli również lekkomyślni i mało odpowiedzialni. Charakter klasy zależał od tego, których było więcej w danej grupie, lub którzy mieli większy wpływ na pozostałych. Z zasady pamięta się najlepszych i najgorszych. W mojej pracy nauczycielskiej najgorszą była klasa OHP o specjalności posadzkarskiej. Kładli oni w blokach mieszkalnych i biurowych różnego rodzaju lastryka, terakoty, glazury czy płytki PCV. Wykonywali więc zawód poszukiwany na rynku pracy i popłatny, ale wcale go nie szanowali. Podczas pierwszej lekcji, gdy odwróciłem się aby zapisać coś na tablicy, o tablicę uderzył ogryzek jabłka. Udałem, że nie widzę zaczepki. To jeszcze bardziej ośmieliło dowcipnisia. Rzucił w moim kierunku zwiniętą kulka z gazety. Może rzucił ten sam, może ktoś inny. Nie wiem, ale udawać dłużej nie było sensu. Odwróciłem się do klasy i powiedziałem:

– Niektórzy z was panowie nie wiedzą po co tu przyszli.

Podkreśliłem słowo panowie ponieważ wszyscy byli pełnoletni, niektórzy żonaci, a ponadto chciałem w ten sposób przemówić do ich ambicji.

– Jeżeli ktoś mając 20 lat, nie posiada zawodu i pracy, a zechce się ożenić, to w jaki sposób zamierza utrzymać rodzinę. Jeśli jako wolny ptak jest na garnuszku matki emerytki to niech wie, że to się prędzej czy później skończy. Szkoła ta ma dać wam zawód i możliwość godnego życia, a ja jestem tu po to aby wam w tym pomóc.

Jeżeli ktoś tego nie rozumie, albo jeśli się pomylił, niech opuści klasę. Nikt was tu na siłę nie ciągnął. Droga wolna, nawet nie zapytam się dokąd idzie, niech nie przeszkadza kolegom, którzy wiedzą czego chcą.

Odwróciłem się z powrotem do tablicy. Tym razem po tablicy zaczął biegać głupi zajaczek, czyli odbity od lusterka promień słońca. Odwróciłem się, promień słońca na moment mnie oślepił i lusterko znikło. Nie miałem zamiaru go szukać, ani z kimś się kłócić.

– Skoro moje słowa są niezrozumiałe zaczniemy lekcję metodą bardziej jasną.

Proszę pilnie uważać, a najlepiej notować, gdyż za tydzień zrobię z tego egzamin.

Co będzie potem zobaczycie. Materiał ten jest w podręczniku od strony pierwszej do trzydziestej. Temat: „Wiadomości o zbiorach i działania zbiorcze liczb rzeczywistych” zrobiłem wykład sposobem akademickim. Mówiłem do tablicy nie zwracając uwagi na klasę. Jedną ręką pisałem a drugą ścierałem. Gdy zabrzmiał dzwonek powiedziałem do widzenia i wyszedłem. Zrobiłem oczywiście egzamin, postawiłem wiele ocen niedostatecznych, zadałem wiele prac karnych na uzupełnienie wiadomości ze szkoły podstawowej. Wkrótce klasa przerzedziła się. Klasa najlepszą była również klasa OHP. Uczyli się zawodu murarz – tynkarz. Kiedyś gdy wszedłem na lekcję wstał jeden z uczniów i zwrócił się do mnie:

– Proszę pana, po naradzie z kolegami w imieniu klasy chcemy prosić aby pan nam na lekcje nie wpuszczał spóźnialskich. Oni przeszkadzają panu w prowadzeniu lekcji a nam w zrozumieniu.

– Moi drodzy, jestem mile zaskoczony waszą propozycją. Przyznam, że spotykam się z nią po raz pierwszy. Szanuję was i waszą pracę. Wiem, że praca ta nie jest łatwa ani lekka. Gdy o godzinie 15 kończycie pracę to macie tylko jedną godzinę czasu na dojazd z kombinatu lub miasta, umycie się, przebranie, zjedzenie obiadu i biegiem do szkoły. Podziwiam jak wy potrafcie się z tym wszystkim wyrobić. Jeśli się ktoś spóźni to nie jest to jego zła wola ani lekceważenie, a ja nie miałbym sumienia trzymać go na korytarzu. Powtórzę wszystko tyle razy ile będzie trzeba. Nie krepujcie się zapytać jeśli ktoś czegoś nie rozumie. Ja zgłaszającym się dwój nie stawiam choćby nie wiedzieli najbardziej podstawowych rzeczy. Klasa ta w komplecie ukończyła szkołę. Wielu poszło do technikum, niektórzy zostali inżynierami zawodu.

21 listopada uroczymy obchodziliśmy dzień nauczyciela. To już drugi raz świętuję ten dzień w Budowlance. Jak szybko minał rok. Po południu przybyli przedstawiciele przedsiębiorstw, w których pracuje nasza młodzież. Spotkanie upłynęło w miłej atmosferze. Były kwiaty i upominki. Otrzymałem „Młodzieżową Odznakę Pamiątkową Budowniczego Kombinatu”. Nie spodziewałem się tego rodzaju wyróżnienia. Nie kojarzyłem swej pracy z budową. Mimo wszystko przyjemnie jest mieć świadomość, że w jakiś sposób pomagam budowniczym, że i ja posiadam tu swoją cegielkę. Chociaż cegielki tej nie kładę bezpośrednio w mur jednak i ona ma jakieś znaczenie.

Z tą świadomością łatwiej jest znosić codzienny trud. Dojazd ze wsi do pracy w mieście nie jest rzeczą łatwą ani wygodną. Gdy dżdżystą jesienną nocą pobudkę zagra wiatr. Gdy za oknem rozszałe się zimowa zawiewa, trzeba wstawać. Wszyscy jeszcze śpią. Aby nikogo nie zbudzić wychodzisz z domu. Buty tona w błocie, marzną nogi. Następnie długie marsze, wyczekiwania, przesiadki. Zanim przyjdiesz do pracy lub do domu zdążysz się zmęczyć. To nie to co w mieście. Tu po pracy za kilkanaście minut masz dom, obiad, odpoczynek i rozrywkę. Zanim dojedziesz na wieś jest znowu noc. Jesteś głodny i wyczerpany. Na stole pali się ciemna dymiąca lampa. Chcesz wziąć do ręki książkę, szkoda ci oczu. Posłuchałbyś muzyki lub obejrzał film, ale gdzie pójdiesz? Masz zresztą już dość na dzisiaj. Jutro znowu podobnie. Sama praca również nie jest łatwa ani lekka. Ludzie mówią: Nie skarżcie się macie tyle wolnego, że nie wiadomo za co wam płacą. Cóż to za praca? Trochę pogadacie i do domu. Byście spróbowali

przy łopacie albo w polu”.

Pracowałem i tu i tam. Wierzcie mi, że wysiłek nauczyciela nie jest lżejszy. Przed klasą nie wolno przestać myśleć, a godziny intensywnego myślenia meczą równie jak praca fizyczna, ale po przemęczeniu dłużej dochodzi się do siebie. Były dni w których przypominałem sobie swą pierwszą szczytę.

Grudzień 1964. Za kilkanaście dni rozpocznie się Nowy Rok 1965. co nowego przyniesie on miastu i nam? Za oknem przelatują po torach transporty cystern wypełnionych płocką benzyną. Czerwoną łuną płonie horyzont nad kombinatem. Jak świąteczne choinki mienia się milionami świateł wieże instalacji przemysłowych. Na uczelniach studiują pierwsi płocki studenci. Powstała druga panorama miasta, ale to dopiero początek. Resztę opowie Wam czas. Trzymam oto w ręku ciekawe ogłoszenie o konkursie na pamiątniki: „Do mieszkańców Ziemi Płockiej i Płocka!” brzmiały słowa odezwy. „Komitet Badań Rejonów Uprzemysłowionych Polskiej Akademii Nauk prowadzi badania naukowe mające na celu poznanie przemian jakim ulega wieś i miasto pod wpływem szybkiego uprzemysławiania. Do was więc – mieszkańców Płocka i Ziemi Płockiej – kierujemy swą gorącą prośbę: weźcie udział w naszym konkursie! Prosimy o nadsyłanie pamiątników kobiety i mężczyzn, dorosłych i młodzież. Pragniemy zachęcić do udziału w konkursie: gospodynie wiejskie, gospodarzy i pracowników PGR, inteligencję wiejską i przedstawicieli zawodów nierolniczych, mieszkańców wsi dojeżdżających do pracy w mieście, robotników i rzemieślników, specjalistów cudzoziemców budujących kombinat oraz dawnych mieszkańców Płocka i regionu, przebywających w innych okolicach kraju”.

Dobrze! – napiszę Wam! Napiszę po to aby dać wyraz swoim uczuciom i pochwalić nasz wiek. Będę pisał z myślą o tych wszystkich malkontentach, którzy chwalą cudze i nie chcą dojrzeć budującego się własnego kraju. Zwrócę się do wszystkich. Młodym chcę życzyć aby w blasku nauki znaleźli prawdziwe wartości życia i umieli wykorzystać je dla wspólnego celu. Błądzącym w mrokach zacofania życzę aby uwierzyli w czary powodowane potęgą rozumu. Tym, którzy porzucają gniazdo „skąd nasz ród” aby sposobem ptaków wzbili się nad Polską ziemię, ogarnęli ją wzrokiem od gór do morza i pokochali ją. Miastu życzę dalszego rozkwitu nieprzemijającego z wiosną. A czego mam życzyć sobie? Chyba tylko tego aby słowa, które w tym pamiątniku umieściłem zaciekały Was i wzruszyły.

Jeśli mi się to uda – powiedzcie.

Termin nadsyłania prac upływał z dniem 30 kwietnia 1965 r. Czasu było niewiele.

Na pisanie mogłem poświęcić tylko kilka dni wolnych od pracy i parę niedziel. Dlaczego więc postanowiłem odpowiedzieć na apel zawarty w ulotce?

Na pewno nie po to aby pochwalić wiek i przemiany polityczno – ustrojowe PRLu.

Powie ktoś – hipokryzja. Odpowiem – nie, polityka. Wiedziałem, że pamiątnik mój dostanie się w ręce bezpieki. Oni mieli długie ręce i wtykali je wszędzie, nawet do badań naukowych PAN. Nawet żona powiedziała, że zamiast nagrody dostanę kolejny wyrok. Trzeba było pisać tak, aby nie mogli się przyczepić.

Więzienie i maltretowanie dzieci za ich patriotyzm, było jedna z najbardziej tuszowanych plam na nieskazitelnej ideologii. Słowa, że propaganda ich była zakłamana i przynosiła szkodę oraz wiele innych fragmentów wspomnień, mogły kosztować mnie szykany ze strony Urzędu Bezpieczeństwa. Inwigilacja mojej osoby wzmogła się. Kilkakrotnie przyjeżdżali nieproszeni goście z fragmentami maszynopisu mego pamiątnika sugerując, że pracują nad jego wydaniem. Naprawdę ten pamiątnik ich wcale nie obchodził. Z tej przyczyny musiałem umieszczać naiwne i banalne teksty mające na celu zmylenie przeciwnika. W nieszczerych pochwałach kryje się kpina podobna do tej jaką obdarza się gburą i prostaka honorując go tytułami. Pisząc obecne wspomnienia od początku, teksty te usunąłem nie zmieniając faktów. Pamiątnik mój wysłany na konkurs otrzymał jedną z dwóch drugich nagród. Była to kwota 2500 zł. Pieniądze niewielkie ale satysfakcja duża.

Od tej chwili i począwszy od tego zdania przygody moje będą dalszym ciągiem nagrodzonego pamiątnika. W orla i reszkę gramy dalej. Spacer wśród chmur jeszcze się nie skończył ale przybrał bardziej dramatyczne formy.

O tym jak władza ludowa troszczyła się o prawidłową postawę ideologiczną swych obywateli i o



Moja najlepsza klasa na wycieczce w Malborku

sprawności jej służb specjalnych, świadczy drobny lecz wyrazisty incydent. Obchody święta 1 Maja od pierwszych lat PRLu były symbolem wierności i oddania sprawie socjalizmu. Wszystko zaczynało się pochodem pierwszomajowym. Następnie odbywały się akademie, festyny i zabawy ludowe. Jak Polska długa i szeroka w pochodach maszerowały szkoły, zakłady pracy, urzędy administracji państwowej. Miasta duże i małe, gminy i wsie, wszędzie manifestowano miłość do partii i jej przywódców. Powiewały tysiące flag, szturmówek i sztandarów, niesiono setki transparentów z najbardziej wyszukаныmi hasłami, w defiladach uczestniczyło wszystko co miało koła i dało się pomalować.

Nikogo nie mogło zabraknąć. Władze na trybunach, orkiestra obok. Przed trybunami urządzano popisy i widowiska. Ale byli też ludzie, którzy pilnie obserwowali, słuchali i rejestrowali, słowa ruchy i gesty defilujących. Do trybuny zbliżała się z dużym transparentem na czele, Zasadnicza Szkoła Budowlana. Najpierw Rada Pedagogiczna, potem moi modelarze z makietami i modelami, za nimi sportowcy szkoły i młodzież według klas. Już spiker zapowiedział, że defilują młodzi budowniczcy Płocka i kombinatu, zagłuszyły go brawa i orkiestra. W tym zgiełku jeden z instruktorów nauki zawodu pozwolił sobie na wzniesienie okrzyku i wyrażenie życzenia: „Robotnikom dajcie zarobić”. Ja go nie słyszałem chociaż szedłem obok, ale szpicle usłyszeli. Nazajutrz już w szkole nie pracował. Władza była bardzo czujna na prowokacje wrogów klasowych.

Sezon lotny w tym roku rozpoczęliśmy wcześniej. Było to zasługą pogody, ale również instruktorów społecznych dzięki którym sprawniej można było dokonać oblotów sprzętu, przeprowadzić egzaminy okresowe, Kontroli Wiadomości Teoretycznych i Techniki Pilotażu.

22 maja poleciałem Bocianem na pierwszy w tym roku przelot. Pogoda była wspaniała, akurat na dalekie przeloty. Takie warunki zdarzają się tylko parę razy w roku, idealne na przelot diamentowy 500 km. Była niedziela, jutro dzień pracy a rok szkolny się jeszcze nie skończył. Nie mogłem lecieć w drugi koniec Polski. Co innego po trasie trójkąta. Wybrałem trasę ponad 300 km Płock, Lisie Kały koło Grudziądza, Inowrocław, Płock. Była to trasa również diamentowa ale ten warunek już miałem. Tak się dziwnie składa, że najtrudniej jest zrobić pierwszy warunek na którym nam zależy, później przychodzi samo. Odległość ponad 200 km przez Lisie Kały do Inowrocławia pokonałem niespełna w 3 godziny. Jest dopiero 14 a ja mam Płock w zasięgu ręki. Lecąc z Torunia do Inowrocławia widziałem całą szosę łączącą miasta obstawiona przez ludzi. Zaraz będzie tędy jechał kolarski Wyścig Pokoju. Ja nigdy

nie byłem zapalonym kibicem sportowym, ale obejrzeć taką imprezę z lotu ptaka, prowadzić ich kilkadziesiąt kilometrów aż do mety. Taka okazja drugi raz się nie zdarzy. Jeżeli poczekam godzinę lub nawet dwie to do Płocka jeszcze zdążę dolecieć. Przez następne 3 godziny kręciłem się pomiędzy Inowrocławiem a Toruniem. Po godzinie 17 cumulusy zaczęły się rozmywać, noszenia słabnąć, a kolarzy nadal nie było. Gdy wpadli na stadion zerwał się potężny okrzyk tysięcy widzów, który słyszałem na wysokości 1000 m. Wznoszeń już nie szukałem. Pokręciłem się nad stadionem i poszedłem do lądowania na lotnisku toruńskiego aeroklubu. Szybowiec zamknęto w hangarze, a ja pociągłem wróciłem do Płocka. Gdyby nie obowiązek pracy, przenocowałbym w Toruniu i poleciał dalej.

Bociana zabrał inny pilot. Do końca roku szkolnego latałem głównie w niedziele, wykonując krótkie przeloty i loty w chmurach. Trenowałem do próby zdobycia ostatniego warunku do złotej odznaki, to jest przewyższenia 3000 m. Warunek taki można zdobyć na fali lub w chmurach. W wakacje rozpoczął się kurs podstawowy w ramach Lotniczego Przynależenia Lotniczego. Podpisałem z aeroklubem umowę o pracę na zlecenie z drugim pracodawcą. Wynagrodzenie ryczałtowe wynosiło 3000 zł za wyszkolenie grupy, jednak podatek dwukrotnie zwiększony, pochłaniał połowę tej kwoty. Praca jaka by nie była jest pracą, ma ona wynikające z umowy skutki prawne i tam gdzie się zaczyna, tam kończy się przyjemność. Grupa podstawowa zaczynała latanie bardzo wcześnie, gdy powietrze jest spokojne i nie występują prądy termiczne.

Wstawałem o godzinie 4 rano, coś tam przegryzałem i motorem jechałem na lotnisko. Wyhangarowanie sprzętu i rozłożenie startu zajmowało około pół godziny. O 5 zaczynały się loty. O 8 podstawówka jechała na śniadanie i wypoczynek, a jej miejsce zajmowali piloci treningowi. Na start ciągnięto pozostałe szybowce, zamawiano trasy przelotów, grzano silniki samolotów. Urzędującym przedstawicielem Zarządu Ruchu Lotniczego i kontroli lotów był zawiadowca lotniska. Do niego należało zgłaszanie rozpoczęcia i zakończenia lotów, informowanie o przelotach i lądowaniach przygodnych, o wszystkich wydarzeniach na lotnisku, kontrolowanie dokumentacji i czuwanie nad bezpieczeństwem. Zawiadowca utrzymywał łączność radiową ze startem i samolotami w powietrzu, oraz łączność telefoniczną z Zarządzeniem Ruchu Lotniczego popularnie zwanym Strefą. Tutaj nie mogło być żadnej samowoli, wszystko odbywało się pod kontrolą. Każdy pilot, który przylatywał na lotnisko lub odlatywał, pierwsze kroki kierował do zawiadowcy aby zgłosić przylot, otrzymać zezwolenie na lot i okazać dokumenty. Na lądowiskach w terenach przygodnych obowiązek kontaktu ze Strefą spoczywał na pilocie. Ruchem na starcie i nad lotniskiem rządził Kierownik Lotów. Był to zawsze instruktor gdyż zdając egzaminy instruktorskie przed PLKE zdawało się również zasady ruchu lotniczego i otrzymywało uprawnienia do kierowania lotami. Kierownik Lotów wyznaczał sobie do pomocy dyżurnego startu, finiszera i chronometrażystę. Chronometrażysta prowadził listę wzlotów, finiszier kierował ruchem na starcie, a dyżurny zastępował kierownika lotów gdy ten zajęty był czymś innym. Gdy loty zaczynała grupa treningowa ja kierowałem lotami albo latałem z uczniami, którzy w ubiegłym roku ukończyli kurs podstawowy a teraz szkolili się dalej. O godzinie 17 gdy zanikała termika przywożono grupę podstawową i do wieczora ganiała po niebie Czapla. Do domu wracałem około 22. Pracowało się we wszystkie dni tygodnia łącznie z niedzielą. W niedzielę było więcej pracy gdyż na lotnisko przychodzili ci, którzy nie mieli wakacji. Trochę czasu było tylko w dni nie pogody, ale z pogodą jest jak z dziewczyną. Nigdy nie wiadomo co będzie za godzinę. Bardzo często zdarzało się, że gdy przestał padać deszcz, a niebo pokrywały jeszcze niskie chmury przyjeżdżał po mnie ktoś z lotniska. Płacono mi za szkolenie podstawowe, pozostała praca była społeczna, ale wynagradzano mi ja w sposób bardziej wartościowy niż te okrojone 1500 zł. Wkrótce rozpocząłem szkolenie samolotowe, a każda godzina lotu to 2 do 4 tysięcy w zależności od typu samolotu. Latanie szybowcowe i ściągnięcie samolotem z terenu też kosztowało około 1500 zł za godzinę. Dzisiaj za wszystko trzeba płacić samemu i bardzo mało jest kandydatów których jest na to stać.

3 sierpnia zaczęły od rana rozbudowywać się mocno wypiętrzone chmury kłębiaste.

Cumulusy wypiętrzają się wskutek prądów pionowych ogrzanego powietrza i stopień rozbudowy świadczy o sile i prędkości wznoszeń. Przy pewnych warunkach meteorologicznych wierzchołki chmur mogą osiągnąć dolną granicę stratosfery czyli rozbudować się do wysokości 10–12 km. Chmury takie w swej górnej części zbudowane są z kryształków lodu i tworzą chmurę pierzastą tak zwane kowadło.

Są to przeważnie chmury burzowe zwane cumulonimbusami. Są to chmury bardzo niebezpieczne zarówno dla ludzi na ziemi jak i na niebie. Praktycznie są one niemożliwe do wykorzystania przez szybowników, ale chęć zmierzenia swych sił z żywiołem jest cechą ludzką, stąd bierze się brawura. Szybowiec, który się tam znajdzie wygląda jak mała łódka w potężnych wirach wodospadu, tylko oprócz wody jest tu jeszcze śnieg i bryły lodu. Dopóki małe lwiątko nie przemieni się w groźnego lwa, można próbować z nim walczyć. Wziąłem barograf zapisujący przebieg wysokości i wystartowałem na Musze 100. Wczepiłem się w kominie termicznym na wysokości 400 m i od razu z prędkością wznoszenia 2 a potem 3 m/s powędrowałem pod podstawę chmury. Czarna nieco wklęsnięta podstawa ciągnęła jak magnes.

Włączyłem zakrętomierz i dopóki nie zagłębiłem się w gęstej mgłę zacząłem pilotować według przyrządów. Stałe wskazania wariometru świadczyły, że jestem w środku wznoszenia, czyli jak to się mówi w gwarze szybowcowej dobrze wycentrowałem komin. Za moment strzałka wariometru ruszyła do góry. Dokładny tzw. Wariometr Energii Całkowitej zatrzymał się bo zabrakło mu skali, ale trzydziestka odmierzała coraz to większe wartości, w ślad za nim ruszył wysokościomierz. W kabinie zapanowała kompletna cisza przerywana co parę sekund trzaskaniem pękającego lodu. Lód gromadził się na krawędziach natarcia skrzydeł i usterzenia oraz na dziobie i kabinie. Niewielkie odłamki lodu przez odwietrzniki wpadały do środka, a Mucha kręcąc się jak pies wokół własnego ogona wznosiła się do góry. Wkrótce drugiemu wariometrowi zabrakło skali.

30 m/s to jest ponad 100 km/h. Z taką prędkością jechałem do góry. Nigdy czegoś takiego drugi raz nie przeżyłem i pewien jestem, że większość szybowników nawet doświadczonych z czymś podobnym nigdy się nie spotkała. Wysokościomierz wskazywał 3400 m gdy szybkość nagle zaczęła rosnać. Ściągnięcie drążka na siebie spowodowało duże przeciążenie ale zakrętomierz zakrętu nie wskazywał. Wiedziałem, że tak zachowuje się w spirali. To tak jakby kręcić pętle w płaszczyźnie nie pionowej lecz poziomej. To jeszcze nie tragedia, jeśli nie skutkuje ściągnięcie drążka to poskutkuje oddanie. Poskutkowało tylko częściowo, to znaczy, że przeciążenie ustąpiło, ale prędkość rosła nadal, doszła już do 200 km/h.

Otwarcie hamulców groziło urwaniem skrzydeł. Zglupiałem. Muchę można rozpędzić do 240 km/h. Wytrzyma jeszcze trochę więcej ale potem nastąpi flater. Ułamek sekundy i skrzydła rozlecą się. Strach to za mało powiedziane. Ogarnęło mnie paralizujące przerażenie. Kiedyś w kopalni gdy pędziły na mnie załadowane węglem wozy, nie bałem się bo nie widziałem niebezpieczeństwa. Teraz wiedziałem, że za moment urwą się skrzydła, to tylko kwestia kilku sekund, a ja nie miałem pojęcia jak się ratować. Prędkość osiągnęła 240 km/h i rosła dalej. Myślałem, że oszaleję. W tym momencie szybowiec wyskoczył z chmury. Kabinę zalało oślepiające światło, a nad głową ujrzałem ziemię z dziwnie przechylonym małym domkiem z czerwonym dachem. Byłem na plecach i ostrą piką leciałem w dół. Nie wiem co zrobiłem i jak doprowadziłem szybowiec do normalnego położenia. Może zrobiłem to automatycznie i podświadomie, a może ktoś mi pomógł. Widok ziemi trwał tylko ułamek sekundy gdyż znowu znalazłem się w chmurze. Gdy prędkość spadła otworzyłem hamulce. Silny prąd wznoszący nie pozwolił aby chmura rozbudowała się wszcz, była bardzo wysoka ale wąska i to mnie uratowało. Do dalszego lotu byłem niezdolny, trzęsły mi się ręce. Wylądowałem na lotnisku w strugach deszczu. Siedząc w kabinie powoli doszedłem do siebie. Gdy deszcz przestał padać znowu zaświeciło słońce. Po utrwaleniu i odczytaniu barogramki okazało się, że zabrakło mi do warunku 100 m. Ja uzyskałem potrzebne przewyższenie, ale barograf nie zdążył go zapisać. Zanim rysik barografu osiągnął prawdziwą wysokość szybowiec już nurkował. Następną próbę podjąłem za 9 dni.

Nad kombinatem rozbudowała się olbrzymia chmura typu cumulus congestus. Są to chmury mocno wypiętrzone, które w dalszym swym rozwoju przekształcają się w chmury opadowe burzowe cumulonimbus. Niewielkie kłębiaste baranki cumulus humilis wyglądają jak kalafiory, ta zaś wyglądała jak odwrócony wodospad Niagara. Pionowa kilkukilometrowa ściana, zakończona kowadłem jak lodową koroną, zdawała się zapraszać do swego wnętrza. Szef szkolenia zezwolił mi na lot. Szybko chwyciłem barograf i spadochron. Szybowiec był już na starcie. Załadowałem nową baterię do zakrętomierza i wskoczyłem do kabiny. Podkołował samolot i za moment byłem w powietrzu. Pod podstawą chmury włączyłem zakrętomierz, ale przyrząd nie działał. Bez zakrętomierza lot w chmurze jest niemożliwy.

Otworzyłem hamulce aerodynamiczne aby prądy pionowe nie wciągnęły mnie do środka i poleciałem na nasłoneczniony południowy brzeg chmury, wszędzie nosiło. Manewrując przed białą ścianą usiłowałem naprawić zakrętomierz, ale niestety nie działał nadal. Dalszy lot nie miał sensu. Wylądowałem przed hangarem. Mechanik szybowcowy pan Tadzio Cicholski wymienił zakrętomierz i poleciałem jeszcze raz. Chmura po osiągnięciu maksymalnego rozwoju zaczyna się rozpadać. Osiągnąłem wprawdzie wysokość ponad 2000 m ale noszenie zaczęło zanikać, za to wszędzie padał deszcz. Przelatywałem przez gęstsze lub rzadsze mgliste opary, miejscami we mgle tworzyły się luki. Ziemi nie było widać. Napotkałem jeszcze słabe wznoszenia, które pomiędzy obszarami prądów duszących wydłużały lot ale wysokość stopniowo malała. Słaby wiatr odnosił mnie od lotniska coraz dalej. Wysokościomierz pokazywał 500 m, a ja nadal byłem w chmurze i do tego nie wiedziałem gdzie jestem. Żadnych noszeń już nie było. Dochodziło półtorej godziny lotu. Sytuacja stawała się dramatyczna. Dookoła jakieś porozrywane strzępy niskich chmur, widzę tylko końcówki skrzydeł i nic więcej. Wysokość 300 m. Czas najwyższy wybrać miejsce lądowania, ale gdzie wybrać – w chmurach? Gdzie jestem? W którą stronę lecieć? Może pode mną jest koryto Wisły, może las lub miasto. Czyżby chmury były do samej ziemi? To niemożliwe. Wprowadziłem szybowiec w ciasne krążenie i przez odsuniętą szybką kabiny patrzyłem pionowo pod siebie. W ten sposób najprędzej ujrzę ziemię. 200 m wysokość maleje z każdą sekundą, a ja widzę tylko płynące po kabinie smugi deszczu i szare mgliste nawisy. Jeśli zaczepię skrzydłem o drzewa i runę na ziemię z prędkością 90 km/h to będzie koniec, nawet nikt mnie nie znajdzie.

Podobno Święty Piotr daje gwarancję do prędkości 60 km/h ale przy tej prędkości szybowiec nie utrzyma się w powietrzu, zwłaszcza w głębokim krążeniu. 100 m, powinienem być już na prostej do lądowania. Widzę pod sobą we mgle jakieś wysokie drzewo, pewnie topolę, nieco dalej dach stodoły, podwórko, uciekające spłoszone kury. Jest i budynek mieszkalny, jakiś człowiek zadziera do góry głowę. Na 50 m widzę trochę do przodu. Za stodołą mokradła, nie wiem co jest dalej. Na mokradłach domów nie powinno być, może drzewa? Zakręt ostatniej szansy, jak najbliżej topoli, tutaj przeszkód nie widziałem. Siapi drobna mżawka. Na wysokości korony drzewa robię zwrot o 90 stopni, hamulce, ślizg do samej ziemi. Spod kadłuba rozpryskuje się woda, wysoka trawa wyhamowuje resztkę prędkości. Wsiadam na małej podmokłej łące. Woda sięga mi powyżej kostek, trawa prawie do kolan. Zdażył przyjść mężczyzna, którego widziałem przy domu. We dwóch wyciągamy szybowiec na suche miejsce koło stodoły. Wieś nazywa się Juliszew w gminie Gąbin. Z sąsiedniej wsi Wymyśle udaje mi się zadzwonić na lotnisko. Po godzinie przyjeżdża specjalny wózek transportowy, demontujemy szybowiec i zanim zdażyła zapaść ciemna noc wracamy do domu z Muchą na wózku. Każdy lot, każde oderwanie się od ziemi dostarcza wielu wrażeń bardziej lub mniej emocjonujących. Tylko nieliczne kończą się dramatycznie.

Przygody, które opisuje zdarzają się w lotach wyczynowych i w warunkach ekstremalnych, natomiast przeciętny lot, a zwłaszcza przyjemnościowy spacer wśród chmur, jest niezapomnianym przeżyciem, urzeka swym romantyzmem, pięknymi widokami i odczuciami jakich na ziemi się nie doświadcza. Tym po prostu można się zarazić. Latając z pasażerami nigdy ich nie straszylem. Zawsze chciałem pokazać im to co w locie jest najprzyjemniejsze. Ich zadowolenie było również moim. Loty krótkie są jak przejażdżka kolejką górską, natomiast do termicznych trzeba się stopniowo przyzwyczaić. Lot taki to jakby połączenie huśtawki z karuzelą. Mało jest ludzi, którzy wytrzymują taką jazdę, jeżeli do tego pilot celowo będzie wykonywał niewielkie górki lub podciągał zakręty, to efekt choroby powietrznej mrowany. Na morzu nazywa się to „składaniem daniny Neptunowi”, ale przewaźnie na daninie się nie kończy. Zbyt długi lot powoduje, że pasażer po wylądowaniu nie może chodzić, leży na trawie pod skrzydłem z zawrotami i bólem głowy i musi upłynąć kilka godzin zanim przyjdzie do siebie. Kiedyś poleciałem na Bocianie z żoną. Podczas startu zamknęła oczy. Na nic zdało się moje kuszenie widokami.

– Przecież nie prześpisz całego lotu. Jak chcesz to się wczepię i będziemy lądować.

Po kilku minutach oczy otworzyła, ale z wrażenia nie mogła mówić, po prostu zatkało ją. Mieliśmy 400 m. Zaraz się wyczepimy. Odpowiedziała wystraszonym głosem:

– Jak się wyczepimy to spadniemy.

Byliśmy we wznoszeniu, pilot dał znak skrzydłami.

– Widzisz – powiedziałem – wyczepiliśmy się i nie spadamy tylko się wznosimy.



Teraz sam jestem instruktorem

Wkrótce nadmierna emocja i strach ustąpiły miejsca zaciekawieniu. Powiedziałem, że jeżeli poczuję się zmęczona będziemy lądować. Prowadziłem szybowiec najdelikatniej jak umiałem. Wybrałem wznieszenia rozległe aby nie krażyć w ciasnych kominach, robiłem długie przeskoki po prostej. Żona zajęta rozmową i widokami miasta, Proboszczewic, naszego domu, zapomniała o strachu. Lataliśmy prawie 3 godziny. Potem latała ze mną nie raz, zwłaszcza samolotami. Kończyły się wakacje i kończył kurs podstawowy. Młode ptaszki wyfrunęły z gniazda i poleciały samodzielnie. Ja również zakończyłem sezon wspianym akcentem jak finalnym akordem koncert. Dwa dni przed rozpoczęciem roku szkolnego uzyskałem przewyższenie do Złotej Odznaki Szybowcowej. Poleciałem na Musze 100 za Sierpc. Tam teren jest bardziej zróżnicowany i częściej budują się wysokie cumulusy. Widać je było daleko na horyzoncie po północnej stronie lotniska. Tym razem udało się bez dodatkowych emocji. Uzyskałem wysokość ponad 3,5 km w tym 3200 m przewyższenia. Wracając na lotnisko zabrakło mi wysokości na dół, lądowałem na Ogorzelickich polach obok stacji kolejowej Proboszczewice, 400 m od swego domu.

Zadzwoiłem na lotnisko ze stacji. Za pół godziny przyleciał po mnie samolot. Instruktor Lewandowski wylądował na sąsiednim polu po drugiej stronie pałacu. Szybowiec należało przetransportować, ale które? Pola rozdzielały zabudowania gospodarstwa rolnego, bloki osiedla i więzienie gdzie kiedyś prowadziłem lekcje dla więźniów. Szosa wysadzona drzewami dobra jest dla samochodów, dla szybowca za wąska – chyba, że bokiem. Jeżeli się to nie uda trzeba będzie Muchę zdemontować i przenieść w częściach. Widzów było jak zwykle dużo. Pożyczyłem od kogoś rower. Przód zaczepiliśmy na ramie, dwóch niosło ogon, jeden trzymał skrzydło, ja prowadziłem rower. W ten sposób pokonaliśmy szosą kilometr drogi. Długi czas śmiano się z mego pomysłu, dopóki nie zapomniano. Przed wakacjami złożyłem podanie o przyjęcie na zaoczne studia matematyczne na Uniwersytecie Warszawskim.

Teraz przyszło zawiadomienie o egzaminach wstępnych. Do Warszawy pojechałem motorem. Zakwaterowałem się w akademiku przy ul. Danielewicza, a rano na egzamin. Egzaminy zdałem i zostałem przyjęty na I rok studiów. Wykłady odbywały się w dużej auli uniwersyteckiej im. A. Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu. Ćwiczenia w grupach w Pałacu Kultury. Co drugi tydzień jeździłem do Warszawy na sobotę i niedzielę. Dyrekcja Szkoły Budowlanej poszła mi na rękę układając rozkład zajęć tak abym soboty miał wolne. Po kilka razy trzeba było biegać z pałacu na

krakowskie i z powrotem. Nie było czasu na obiad czy kolację. O 22 gdy skończyły się zajęcia marsz do hotelu nauczycielskiego na Powiśle. Często noclegu nie było. Nogi same wracały na myśl o wyjeździe do Warszawy. Gdy ja zajęty byłem swoimi sprawami mama zainwestowała w prywatną budowę linii energetycznej. W Proboszczewicach światło elektryczne założono kilka lat wcześniej, ale doprowadzono je tylko do środkowej części wsi. Wszyscy mieszkający na peryferiach musieli radzić sobie sami. Sąsiedzi nasi zorganizowali się. Uprawniony inżynier energetyk opracował dokumentację, załatwił zezwolenie na budowę i wykonanie prac. Pomógł w zakupie materiałów. Jesienią lampy naftowe poszły do lamusa.

Otrzymałem z Zarządu Głównego Aeroklubu PRL swą Złotą Odznakę z dyplomem potwierdzającym jej zdobycie. Otrzymałem również nagrodę za pamiętnik. Nagrodę przeznaczyłem na zakup odbiornika radiowego z adapterem płytowym marki Menuet. Po nowym roku 1966 wzięłem na raty telewizor Topaz.

Telewizji kolorowej wtedy jeszcze nie było, przynajmniej w Polsce. Sprzęt ówczesny był prosty, ciężki, awaryjny i do tego bardzo drogi. Odbiorniki zarówno radiowe jak i TV budowano z użyciem wielu lamp. Z tego powodu miały duże rozmiary i często się psuły. Wewnątrz świeciły się jak Warszawa w nocy i zawsze coś się przepaliło. Do naprawy nie było czym wozić toteż mechanicy przeważnie przyjeżdżali na miejsce. Program był tylko jeden i trwał kilka godzin, za to oglądało się go od początku do końca. Nie każdego było stać na telewizor, dlatego sąsiedzi przychodzili do nas jak do kina. W tym czasie nauka i technika światowa wyprzedzały nas o wiele lat. Lampy zastąpiono tranzystorami, zwoje drutów układami scalonymi, pokrętki regulacyjne sterowaniem bezprzewodowym. Programy odbierano w kolorze i na wielu kanałach. Ale my tkwiliśmy po uszy w socjalizmie i dążyliśmy do komunizmu, a w tym systemie wszystko podporządkowane było kierowniczej sile narodu – partii robotniczej, ta z kolei podporządkowana była wyższej od siebie WKPB (wszechzwiązkowa komunistyczna partia bolszewicka). Stąd o wszystkim decydował Kreml. Co jeść, w co się ubrać, ile zarabiać, czym jeździć do pracy, ile czasu ma grać telewizor, ile co ma kosztować itd. Itp. Wszystko było narzucone z góry – jak porządek, to porządek, nie jakieś tam kapitalistyczne fanaberie. Pewnego razu poznałem wyrzuconego z wojska sierżanta artylerzystę. Wyrzucono Ga za kawał: „Do kolchozu przyjechał prelegent z odczytem na temat dobrodziejstw komunizmu. Tłumaczył. Że w komunizmie każdy będzie miał co jeść, w co się ubrać, dom i samochód, a komunizm już widać na horyzoncie. Czy są pytania? Wstał jakiś starszy towarzysz, powiedział, że on to wszystko rozumie, on nawet samochód widział, tylko nie wie co to jest na horyzoncie. Prelegent nie bardzo wiedział jak to wytłumaczyć. Widzicie towarzysze – horyzont to jest coś takiego, że gdy się do niego zbliżasz to on się oddala”.

Sierżant naiwnie myślał, że informacji w wojsku już nie ma.

Nauka szła mi jak woda pod górę. Co 2 tygodnie przywoziłem tematy nowych prac kontrolnych, notatki i konspekty do nauczania, podręczniki z materiałem, którego nie mogłem zrozumieć. Zaległości nawarstwiały się, a czasu było za mało. Gdyby jeszcze miał kto mi wytłumaczyć. Nie wszystkie egzaminy zaliczyłem w I semestrze. Na początku było nas 400 osób, teraz zostało około 100, reszta wykrużyła się. Ktoś powiedział, że kanarek i wróbel kończyli jedno konserwatorium, tylko ten drugi systemem zaocznym. Ja myślę, że ten drugi nie skończył. Nie miał wszystkiego podanego na tacy, nie miał się kogo zapytać, ani się z kim skonsultować, a czas, którego miał bardzo mało trwonął na czytanie tego samego po kilkanaście razy. W dodatku powiększyła mu się rodzina.

8 kwietnia 1966 roku urodziła się nam druga córka. Dzieciak na chrzcie dostał imiona Joanna Małgorzata. Była uroczystość, byli goście i rodzina, tylko nie było taty.

Nie było go również przy chrzcie pierwszej córki. Zajęty był na lotnisku. W świątku szybowcowym znane jest powiedzenie ; jeżeli w lataniu przeszkadza ci praca albo nauka to porzuć pracę i naukę, ale nie porzucaj latania. Ja właśnie tak zrobiłem. Zbliżały się egzaminy kończące I rok studiów, a ja nie miałem zaliczonych jeszcze z I semestru. Uczelnia wyznaczyła termin. Kto do końca kwietnia nie zaliczy zaległych egzaminów zostaje skreślony z listy studentów. Zarządzenie okazało się rygorystyczne tylko w słowach. Gdy większość słuchaczy egzaminów nie zdała uczelnia termin przesunęła, ale ja już zrezygnowałem sam. Zwłaszcza, że od połowy kwietnia rozpoczęło się intensywne latanie.

Zacząło się jak zwykle egzaminami okresowymi, oblotami sprzętu dla KCSP, kontrola techniki pilotażu, a dla mnie dodatkowo lotami szkolnymi na samolocie CSS-13. Kila lotów z instruktorem wykonałem jesienią ubiegłego roku, ale obecnie odbywało się ono systematycznie według programu szkolenia samolotowego. Kierownik aeroklubu, instruktor pilot Waław Stański szkolił nas dwóch, mnie i kolegę Waldka Lewandowskiego. Waldek był kolegą z okresu lat szkolnych i modelarni. Obecnie pracował w Płockiej Fabryce Maszyn Żniwnych produkującej kombajny zbożowe. Zajmował kierownicze stanowisko w dziale zbytu. Fabryka produkowała głównie na eksport ale również dla potrzeb PGRów. Gdy w okresie żniw kombajn zepsuł się należało go natychmiast naprawić. Liczyła się każda godzina przestoju. Dzięki zaangażowaniu Waldka FMŻ nawiązała współpracę z Aeroklubem Ziemi Mazowieckiej i umowę na loty czarterowe do uszkodzonych kombajnów. W ten sposób ekipa serwisowa była szybko na miejscu i natychmiast usuwała awarię. Współpraca taka opłacała się obydwóm stronom. Wkrótce fabryka zakupiła do tych celów własny samolot JAK-12 o znakach rejestracyjnych SP-RAM.

Aeroklub świadczył usługi również dla Mazowieckich Zakładów Rafineryjnych i Petrochemicznych oraz dla Przedsiębiorstwa Eksploatacji rurociągu Naftowego. Zarówno MZRiP jak i PERN zakupiły własne Wilgi. Były więc samoloty, ale brakowało pilotów. Wyszkolenie pilota nie jest sprawą szybka ani prosta, zwłaszcza gdy trzeba liczyć się z możliwościami finansowymi. Waldka postanowiono wyszkolić szybciej i powierzyć mu usługi dla FMŻ. Ja miałem wystarczająco dużo pracy na lotnisku. Bogus Pawlicki rozbił się na motorze. Zdażył ożenić się z koleżanką szkolną z okresu Studium Nauczycielskiego. Lucyna była bardzo ładną filigranową ciemną blondynką o żywym usposobieniu, sympatyczna, miła i towarzyska. Ponadto okazała się troskliwą i dobrą żoną. Gdy Bogdan uległ wypadkowi ona była jego aniołem stróżem i jedyną opiekunką. Do pomocy szefowi wyszkolenia w pracy instruktorskiej zostałem sam. Należało zatroszczyć się o nowych instruktorów, ale to już sprawa kierownictwa. Podpisałem następną umowę o wyszkolenie grupy podstawowej w ramach L.P.W. Na latanie wyczynowe czasu praktycznie nie było. Jeżeli nie wykorzystano się warunków w czerwcu i lipcu to potem było trudno. Z reguły wszystkie zawody szybowcowe odbywały się w pierwszej połowie lata. Pod koniec czerwca poleciałem na Jaskółce na treningowy przelot docelowo powrotny do Lisich Kątów. W Lisich odbywały się w tym czasie Szybowcowe Mistrzostwa Polski Kobiet. Przenocowałem w ośrodku wyczynowym, wykupiłem niedrogi obiad oraz kolację i poszedłem na start kibicować zawodnikom. Na starcie było kilkanaście osób, wszyscy czekali na przylot z Warszawy szybowca Bocian, który wioził okazjonalną pocztę, unikalną rzecz dla filatelistów. Bociana pilotowała Pelagia Majewska, legenda i duma polskiego lotnictwa sportowego. Wielokrotna rekordzistka Polski i świata. Zdobywczyni wielu medali i tytułów, a przy tym człowiek bardzo szlachetny, taktowny i kulturalny. Listy które zostały przysłane w ten niezwykły sposób były ostemplowane specjalnym nadrukiem. Nawiązano już kontakt radiowy z szybowcem.

Po 20 minutach Bocian ukazał się na dolocie, zbudował rundę i wylądował przy znakach. Panią Majewską otoczyła liczna gromada przyjaciół i kolegów. Słowa powitania, gratulacje, wymiana wrażeń. Ja stałem z boku i z daleka podziwiałem osobę pilotki, którą znał cały lotniczy świat. Nawet nie myślałem aby podejść i przywitać się. Byłem przecież tylko małym nieznanym pionkiem. Wpychanie się między towarzystwo byłoby nietaktem, ale pani Majewska zauważyła mą skromną osobę, przeprosiła na moment kolegów i podeszła do mnie

– Przepraszam – powiedziała – że popełniłam gafę, że przywitałam się ze wszystkimi a ominęłam pana.

– To ja przepraszam, ale nie śmiałem podejść.

Z panią Majewską miałem okazję spotkać się kilkakrotnie. Zostałem wybrany do Zarządu AZM. Kiedyś w Warszawie na zgromadzeniu delegatów aeroklubów regionalnych zauważyłem na Sali panią Pelagię. Ukłoniłem się z daleka, ale ona podeszła, przywitała się i zapytała:

– Co słyhać w Płocku?

Skąd wiedziała, że jestem z Płocka?

Na drugi dzień przyleciał po mnie szef wyszkolenia bo potrzebny byłem na lotnisku.

Imieniny Janów i naszą 4 rocznicę ślubu obchodzono w domu beze mnie. Nie pierwsza to i nie ostatnia

uroczystość rodzinna obchodzona zaocznie. Obie moje siostry Hania i Ewa wyszły za mąż. Mąż Hani, Janek Machowski był leśniczym. Odtąd życie młodych państwa Machowskich toczyło się w lasach Mazowsza, Kurpiów i Podlasia. Szukali dla siebie miejsca w kilku regionach kraju po to aby wybrać najlepsze. Charaktery ich były tak różne jak ogień i woda. Hania – wybuchowa, apodyktyczna, nerwowa nie znosiła sprzeciwu. Janek – spokojny, opanowany i uległy żonie. Nie był ślamazarny, wręcz przeciwnie, zaradny i pracowity, przystojny i dobrze zbudowany. Był typem prawdziwego mężczyzny, a kaprysy żony znosił bo ją kochał. Ja szwagra swego lubiłem i szanowałem. Drugi szwagier Jurek Zarzycki był całkowitym przeciwieństwem pierwszego. Czyniami człowieka kierują uczucia, a te najsilniejsze miłość i nienawiść leżą obok siebie i nigdy nie wiadomo kiedy się pomieszają. Ewa była bardzo ładna dziewczyną i Jurek na jej punkcie oszalał. Wychudł, często nocował pod oknem swej narzeczonej, aby chociaż popatrzeć na jej okno i pilnować czy nikt się wkoło niej nie kręci. To zrodziło obsesyjną zazdrość. Nie pozwolił aby ukończyła szkołę bo może kogoś poznać. Gdy mężczyźni się za nią oglądali wpadał w złość. Wkrótce uczynił z jej życia piekło. Gorąca miłość przerodziła się w nienawiść i małżeństwo się rozpadło. Ewa mogła ukończyć szkołę. Za parę lat Jurek zmarł.

Za mąż wyszły również dwie siostry mojej żony Janina i Hania. Mąż Janiny Janek Wasilewski był charakterem podobny do mego pierwszego szwagra, tylko żonę miał mądrzejszą. Mąż drugiej Hani, Lucek Kaczmarek pracował jako kierowca, ale jak się to mówi miał złote ręce i wszystko potrafił zrobić. Co drugi w naszej rodzinie nosił Jan lub Janina, toteż 24 czerwca był obchodzony hucznie ale przeważnie beze mnie, tylko nie wiem co było powodem pretensji i złego humoru mojej żony. Trudno – jak się nie ma co się lubi to się lubi co się ma. Kto może niech świętuje, ja spieszę na lotnisko. W lipcu rozpoczął się kolejny kurs podstawowy, a dla starszych, nauka holu, akrobacji, lotów termicznych i ślepych czyli bez widoczności – pod kołpakiem, na przyrządy. Wakacje są krótkie, stanowczo za krótkie. Rok 1966 był rokiem szczególnym, na drugi taki trzeba czekać tylko 1000 lat. Ale przecież czas nie stoi w miejscu ani się nie cofa. Rok 1966 nie wróci. Czy Polska doczeka roku swego drugiego tysiąclecia? Jeżeli nawet doczeka to będzie on zupełnie inny, drugiego takiego nie będzie. Polska świętowała 1000 lat swego istnienia. Powstanie naszego państwa w 966 roku zaczęło się od chrztu, dlatego uroczystości milenijne obchodził również Kościół Katolicki. Jednak do historii przeszły nie huczne festiwale, wspaniałe parady, czy wzruszające spektakle, nic z tych rzeczy nie miało miejsca. Do historii rozpoczynającej drugie tysiąclecie przeszły szykany ze strony władz, brutalne akty przemocy, odmowa wizyty papieżowi Pawłowi VI, zakłócanie uroczystości kościelnych. Symbolem zła było aresztowanie kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Jeżeli obraz potrafi płakać lub krwawić to znaczy, że czuje. Nie chodzi tu oczywiście o drewno, płótno czy farbę lecz o znak jaki otrzymujemy za pośrednictwem martwej materii.

Przykładów tego rodzaju znamy wiele i nie są to bynajmniej czyjeś wymysły lecz niepodważalne fakty. Gdy w katowniach zamku lubelskiego ginęli patrioci, z oczu Matki Bożej, z obrazu ołtarza Lubelskiej Katedry popłynęły łzy, podobnie jak prawie 2000 lat wcześniej pod krzyżem. Bo matka zawsze płacze gdy krzywdzą jej dzieci. Niedawno oglądałem w telewizji program publicystyczny, w którym dyskutowano na temat eutanazji oraz skracania życia w przypadkach pourazowej śpiączki nie rokującej nadziei na wybudzenie. Mądrzy ludzie dyskutowali prezentując swe skrajnie różne poglądy. Jeden z profesorów o podejrzanym nazwisku twierdził, że ciało ludzkie, które de facto już nie żyje, którego funkcje życiowe podtrzymuje się sztucznie, powinno być odłączone od aparatury w imię poszanowania godności. Na pytanie czy nie uważa, że oprócz powłoki cielesnej na osobowość człowieka składa się coś więcej – odpowiedział, że: „kiedyś w początkach cywilizacji prymitywni ludzie stworzyli wiarę o nieśmiertelnej duszy, która miała ożywić ciało. Obecnie takie teorie są prostackie i żenujące. Dyskusja toczyła się nadal, ale ja gdybym dorównał poziomem tym panom, to udziału bym w niej nie brał. W historii ludzkości od wieków ścierają się dwa poglądy, materialistyczny i idealistyczny. Mijają tysiąclecia, giną i tworzą się cywilizacje, lawinowo rozwija się postęp techniczny, a te dwa nurty filozoficzne trwają i nic nie wskazuje na to aby jeden drugiemu coś udowodnił. To po co dyskutować?

Z jednej strony stoi pan profesor, wyrocznia która wie wszystko, ale nic nie widzi.

Z drugiej prosty pastuszek z Fatimy, który nic nie wie, za to widzi to czego pan profesor nigdy nie dojrzy. Miedzy nimi nie ma możliwości porozumienia i nic nie pomogą epitety w rodzaju prymitywny

prostak czy ciemniak, którymi pan profesor honoruje tych którzy myślą inaczej. Odnosnie jego wiedzy – nie mam pojęcia czy był to profesor zwyczajny, nadzwyczajny czy honoris causa, nie wiem również w jakiej dziedzinie otrzymał tytuł i co upoważnia go do takich stwierdzeń. Wszystko to jest nieistotne w obliczu niedoskonałości wszechświata. Wiedza ludzka będzie zawsze ograniczona tak jak jest ograniczone życie. Zawsze będzie tylko odcinkiem na prostej. Ktoś, kto w obliczu nieskończonej wiedzy nie potrafi zdobyć się na odrobinę pokory jest śmieszny. Uważam, że czasem dobrze jest powiedzieć: ‘wiem i to i tamto, ale na tym moja wiedza się kończy’. Uroczystości milenijne biegły osobnymi torami. Władze partyjno – rządowe obchodziły 1000 lecie państwa a kościół 1000 lecie swego istnienia. Pomimo przeszkód te kościelne były bardziej widoczne. Uroczystości centralne odbywały się w Częstochowie. We wszystkich kościołach kraju odnowiono Śluby Jasnogórskie. Do każdej rodziny katolickiej zawitał obraz Czarnej Madonny. Jeszcze przez kilkanaście następnych lat wędrował on od miasta do miasta, od wsi do wsi, wszędzie witany uroczyście, noszony w procesjach odświętnie udekorowanymi drogami. W domach gdzie gościła Matka Boża zbierali się ludzie odprawiając nabożeństwa ku Jej czci śpiewając pieśni maryjne i ofiarując siebie i swe rodziny pod Jej opiekę. Jakże znamienny był fakt uwiecznienia obrazu. Władze obraz aresztowały, zabroniły jego peregrynacji i zamknęły w zakratowanej kaplicy. Znalazł się jednak młody i przedsiębiorczy ksiądz, który obraz wykradł i umieścił na honorowym miejscu w olbrzymiej procesji. Władze skapitulowały, uważały, że dalsza walka na oczach tłumów i całego narodu nie ma sensu. Dla mnie i mojej rodziny jubileuszowy rok 1966 przyniósł kilka istotnych życiowych zmian.

Najpierw zabłysło światło elektryczne otwierając dostęp do radia i TV, potem urodziła się druga córka. Zdobyłem Złotą Odznakę i rozpocząłem latanie samolotowe. W końcu wakacji odbył się na lotnisku festyn lotniczy z pokazami, w których brałem udział. Podczas uroczystości związanej z Dniem Nauczyciela otrzymałem wyróżnienie w postaci Odznaki Tysiąclecia Państwa Polskiego. W uznaniu mego zaangażowania w pracę zawodową i społeczną nagrodzono mnie tzw. Dodatkiem pedagogicznym. Był to finansowy dodatek do pensji w wysokości 200 zł miesięcznie.

Zaproponowano mi również wstąpienie do partii. Sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej oznajmił mi, że na zebraniu kolektynu padł wniosek aby przyjąć mnie w poczet kandydatów do PZPR, że propozycje tę mam traktować jako wyróżnienie.

Odpowiedziałem, że byłem karany politycznie i chyba fakt ten nie został wzięty pod uwagę. Dowiedziałem się, że swoją lojalną postawą zdobyłem zaufanie partii czego wyrazem jest powierzenie mi wychowania młodzieży. Wstąpienie w szeregi PZPR będzie okazją do pozbycia się obciążeń przeszłości i dowodem mojej postawy. Znalazłem się w kłopotliwej sytuacji, nie mogłem przecież powiedzieć, że partią się brzydę, że wątpliwy zaszczyt jaki mi okazano uwłacza mojej godności. Odpowiedziałem inaczej:

– Nie jestem wrogiem Polski Ludowej bo o jej niepodległość walczyli moi rodzice. Nie jestem też wrogiem partii i chętnie wstąpię w jej szeregi. Mam jednak pewne wątpliwości natury politycznej. Jeżeli ktoś wyjaśni mi dlaczego bohaterowie poświęcający swe życie ojczyźnie, walczący o jej wolność z całkowitym oddaniem, zamiast wdzięczności i należnych honorów, otrzymywali szykany, więzienie i śmierć. Jeżeli zrozumie to i stwierdzą, że na taki los zasłużyli, to wtedy sam poproszę o przyjęcie do partii.

Sekretarz coś odburknął o takich czasach i więcej mi podobnych propozycji nie składał. Widocznie wątpliwościami moimi z nikim się nie podzielił bo dano mi spokój, nawet pozwolono latać. Zagadkę stanowił dla mnie mój dodatek pedagogiczny. Wyróżnienie, które miało być nagrodą okazało się dotkliwa kara. Czy rozumieć mam go jako nonsens biurokratyczny, czy jako zwykłą kpinę. Dodatek ten pobierałem przez 3 lata. Grudniowa wypłata okazała się wyższa o 600 zł. Zdziwiłem się skąd taka różnica? Czy to jakaś premia świąteczna? Kasjerka wypłacająca pensje wyjaśniła, że nie przyznano mi w tym roku dodatku pedagogicznego.

– Nie rozumiem? Przyznano, czy nie przyznano?

– Przecież mówię wyraźnie, że nie przyznano

Zgłupiałem. Jak mogli mi nie przyznać skoro mam więcej? Kasjerka poirytowana, że matematyk nie rozumie tak prostej rzeczy odpowiedzialna niezbyt uprzejmie:

– Mając dodatek przekraczał pan próg podatkowy. Teraz podatek jest mniejszy, stąd wyrównanie za 3 miesiące po 200 zł za miesiąc.

Łatwo policzyć, przez 3 lata oszukali mnie na 7200 zł i nikt mi o tym nie powiedział.

Co miałem o tym sądzić? Bałagan, bzdurne prawo czy złośliwość?

Rok 1967 nie wniósł niczego nowego ani ciekawego w nasze życie. Dzieci chowały się zdrowo pod opieką żony, a ja jak zwykle jeździłem do pracy. Przez 11 lat pracy w Budowlance nigdy nie chorowałem, ani razu nie opuściłem zajęć i tylko jeden raz się spóźniłem. Przyszła sroga zima, mróz i śnieżne zaspasy. Zawiało drogi, stanęły pociągi i autobusy. Gdy pociąg utknął w polu, do pracy zdecydowałem się dojechać motorem.

Na dużych odcinkach droga była przejezdna, gdyż wiatr odwiał śnieg na pola, ale miejscami potworzyły się poprzeczne zaspasy. Po 2 godzinach zmagania ze śniegiem, wiatrem i mrozem dotarłem do szkoły. Pani Kuskowska zaparzyła mi herbatę na rozgrzewkę, koledzy nauczyciele współczuli, a dyrektor wezwał na rozmowę.

– Kolego, nie życzę sobie żadnych spóźnień. Wiem jaka jest sytuacja, ale młodzież nie może zostać sama w klasie, a ja nie mam nikogo na zastępstwo. Jeżeli pogoda uniemożliwia dojazd proszę o załatwienie sobie noclegu w mieście.

Pani Kuskowska była żona dyrektora Zespołu Szkół Ekonomicznych. W Budowlance uczyła języka polskiego od początku powstania szkoły. Była duszą naszego grona, niezwykle opiekuńcza i troskliwa, a przy tym serdeczna, kulturalna i taktowna. Dbała o to abyśmy w szkole czuli się jak w rodzinie. W czasie dużych przerw przygotowywała herbatę i jakieś ciasteczka, pamiętała o imieninach każdego. Solenizant oprócz życzeń otrzymywał jakiś upominek, wprawdzie zobowiązywało go to do postawienia lampki wina, ale atmosfera była niepowtarzalna. Spotkania imieninowe przy lampce wina odbywały się w czasie pomiędzy lekcjami szkoły rannej i wieczorówki, między godziną 13 a 14. Dyrektor również nie gardził towarzysztwem, często braliśmy się pod rękę i oprócz 100 lat dla solenizanta śpiewali hymn naszego grona „Harmonia z cicha na trzy czwarte różnie” Często spotkania towarzyskie uprzyjemniał nam pan Czesław Sochocki, historyk. Zawsze miał w zanadrzu jakąś anegdotę, piosenkę lub oryginalny wiersz. Nigdy się nie powtarzał. Dzięki niemu zainteresowałem się i polubiłem historię. Przekonałem się, że historia to fascynująca wiedza o kraju skąd nasz ród, o naszych ojcach i dziadach, a zatem i o nas samych.

Pan Sochocki pochodził z Proboszczewic. Jego rodzice mieli tu duże gospodarstwo rolne. Obecnie na gospodarstwie został jego brat Lucjan, a on sam po studiach wyemigrował do miasta. Przez kilka lat był dyrektorem liceum wieczorowego w Małachowiance, ale władzom komunistycznym nie spodobało się, że udostępnia naukę kułakom. W ten sposób znalazł się w Budowlance. Ja bardzo go ceniłem jako nauczyciela, człowieka i Polaka. Jego monologi, wiersze i piosenki były dowcipne, proste, i same wpadały w ucho. Wystarczyło posłuchać i się je zapamiętało.

Dla przykładu zacytuje jeden, który pozostał mi w pamięci chociaż się go wcale nie uczyłem:

„Słuchajcie ludzie o czym nie wiecie, jest to historia prawdziwa.

Żył sobie jeden facet na Litwie, co się Mickiewicz nazywał.

Był on poetą, pisywał ody w warmińsko – litewskim stylu.

Był bez pieniędzy jak każdy młody a miał kochankę Maryłę.

On tę Maryłę kochał nad życie. Lecz któż zrozumie kobiety!

Bo kiedy ona nylony chciała, on jej zasuwiał sonety.

Ona sonety prask do piecyka, nie trzeba mi takich darów

I wyszła za mąż za obszarnika, powyżej 300 hektarów

Kiedyś Mickiewicz aż do Wezyra pojechał za interesem,

Ale że w Turcji cholera była więc przepadł biedak z kretesem

Ale fortuna kołem się toczy, jako ta fala po fali

On na pomniku zaciera ręce a ją rozparcelowali.”

Pewnego wiosennego poranka trochę zaspiałem. Do odjazdu pociągu miałem zaledwie 15 minut czasu. Szybko ochlapałem się wodą, wskoczyłem w ubranie zakładając koszule na lewą stronę i wybiegłem

domu. Pociąg akurat przejeżdżał obok. Wróciłem do domu po motor. Za parę minut przyszedł uczeń oznajmiając, że konduktorzy celowo wstrzymali pociąg a jego przysłali po mnie. W takim razie bieglem na stację. Podziękowałem konduktorom a pociąg nadrobił stracone minuty.

Do szkoły przybyłem normalnie na godzinie 7. Uczniowie mieli po 8 godzin lekcyjnych dziennie. Aby sprzątaczkę mogły przygotować klasy do zajęć popołudniowych lekcje w Budowlance zaczynały się o 7:05.

Dyrektor zauważył, że mam koszulę nałożoną odwrotnie. Do mnie nie powiedział nic, ale przy okazji zwrócił uwagę mojej siostrze, aby przekazała mi, że jeżeli chcę nie stracić szacunku uczniów to idąc do pracy muszę ubierać się starannie. „Jak cię widzą tak cię piszą”.

Sezon lotny 1967 zaczął się na początku kwietnia. Lataliśmy głównie w niedzielę bo w dni powszednie nie było czasu. Jak w latach ubiegłych najpierw trzeba było wykonać obloty techniczne dla potrzeb Kontroli Cywilnych Statków Powietrznych w skrócie KCSP, a w lotniczej gwarze KACAP. Nazwą tą też określa się rzeczoznawcę, który po przeglądzie i oblocie nadawał szybowcom i samolotom tzw. klasę.

Dopuszczał do lotów, określając warunki i ograniczenia w zależności od stopnia zużycia. Lot według wskazówek KACAPA wykonywał instruktor i on podpisywał dokumenty ze swymi uwagami. Były to czynności analogiczne do tych jakie obowiązują wszystkie pojazdy mechaniczne okresowo dopuszczone do ruchu. Samoloty i szybowce też mają swoje znaki rejestracyjne, którymi posługują się piloci w czasie lotów podczas łączności z ziemią. Opracowany jest specjalny międzynarodowy alfabet fonetyczny, w którym każdej literze alfabetu odpowiada określone słowo z języka angielskiego. Statki powietrzne posiadają całe teczki różnych dokumentów technicznych jak książki pracy płatowca, silnika, instrukcję obsługi i eksploatacji, metryczki przyrządów pokładowych i wiele innych. Każda czynność musi być tu skrupulatnie odnotowana i udokumentowana. Rzeczoznawcą KCSP, który dokonywał przeglądu naszych szybowców i samolotów był pan Wiktor Leja. Starszy pan jeszcze przedwojenny inżynier lotniczy, doświadczony specjalista w swoim zawodzie, a przy tym człowiek godny najwyższego szacunku. Był mężczyzną dobrze zbudowanym, barczystym, tęgim i dość wysokim. Sprawiał wrażenie atlety o bardzo sympatycznym usposobieniu. Wykształcenie i doświadczenie życiowe nie kolidowało u niego z wiarą. Syn jego Ryszard również inżynier lotniczy był w późniejszych latach naczelnym dyrektorem Państwowych Zakładów Lotniczych Warszawa Okęcie i moim przełożonym. Darzył on swego ojca dużym szacunkiem i synowska miłością co nie jest zjawiskiem zbyt częstym. Do tematu tego wrócę jeszcze na dalszych stronach.

Pod koniec roku szkolnego gościliśmy na lotnisku wycieczkę dziewcząt z plockiego Studium Nauczycielskiego. Przewodnikiem i organizatorem wycieczki był nauczyciel pan Bogdan From. Program studium przewiduje zapoznanie słuchaczy z pracą zakładów produkcyjnych i organizacji. Gdy ja je kończyłem zwiedzaliśmy m.in. FMŻ, plocka Stocznnię Rzeczną, Zakłady Mięsne i Zakłady Mleczarskie. Pan From jako sportowiec i opiekun kierunku wychowania fizycznego przywiózł swoje podopieczne na lotnisko. Przyszłe panie nauczycielki miały okazję poznać najpiękniejszą dyscyplinę sportową a niektóre nawet przelecieć się samolotem. Ja z panem Bogdanem wybrałem się na spacer wśród chmur Bocianem. Aby nie zmęczyć swego pasażera tłumaczyłem mu zasady sterowania, na dłuższych prostych odcinkach on przejmował stery. Lataliśmy ponad godzinę a efektem tej przygody było zarażenie się Bogdana szybownictwem. Piszę Bogdana gdyż jeszcze tego sezonu załatwił sobie w Zarządzie Głównym APRL zezwolenie na szkolenie szybowcowe i wkrótce stał się naszym kolegą. Decyzję odnośnie szkolenia młodzieży do 24 lat podejmował aeroklub regionalny, starsi musieli mieć wnioski ze swego aeroklubu i akceptację Zarządu Głównego. Dzisiaj wystarczy mieć pieniądze i oczywiście zdrowie. Dopóki adept sztuki latania nie zda egzaminów na licencję przed Państwową Lotniczą Komisją Egzaminacyjną dopóty nosi miano ucznia pilota. Pierwszy samodzielny lot nie oznacza końca szkolenia. Pierwsze loty z instruktorem i samodzielne odbywają się po tzw. kręgu. Obejmują one start z jego elementami, lot po rundzie czterozakrętowej, obliczenie do lądowania i lądowanie. Następne etapy to opanowanie podstawowych figur akrobacji, pilotaż według przyrządów, oraz trasy nawigacyjne z lądowaniami na obcych lotniskach. Po opanowaniu tych zadań i uzyskaniu licencji turystycznej trwa dalsze szkolenie do licencji zawodowej i II klasy.

Drugą klasę i licencje zawodową uzyskuje się po zdaniu kolejnych egzaminów przed PLKE. W tym sezonie wyleciałem samodzielnie na samolocie CSS–13 ale to dopiero początek. W ciągu wakacji szkoliłem młodzież na szybowcach, a za to mnie szkolono na samolotach. Latanie samolotowe rodziło ponadto wiele problemów innej natury.

Sprawy finansowe brał na siebie aeroklub, mnie to nie kosztowało nic. Sprawy rodzinne obciążały żonę. Nie wiem czy na życie praktycznie samotne zgodziłaby się któraś inna? Ale były jeszcze problemy natury politycznej. Każdemu kandydatowi przyglądała się bezpieka i do niej należało ostatnie słowo. Odpowiedzialność za mnie przyjął kierownik aeroklubu. Na argumenty i zarzuty przeciwko mnie odpowiadał, że moje młodzieńcze wystąpienia nie wynikały z wrogich przekonań lecz były wynikiem dziecięcej fantazji. Od tamtej pory swą pracą i zaangażowaniem udowodniłem swą lojalną postawę. Obecnie prowadzę życie ustabilizowane jako nauczyciel i instruktor wychowuję młodzież zgodnie z zaleceniami władz ponadto posiadam rodzinę, która wiąże mnie z wszystkimi warunkami rodzinnymi. Aeroklub szkoli mnie dlatego gdyż widzi moja przydatność w dalszym jego rozwoju. Pan Stański zdołał przekonać władze na tyle, że nie robiły mi trudności w szkoleniu ani w dalszej pracy poza granicami kraju. Tymczasem skończyły się wakacje roku 1967. OHP przeniesiono na Białą niedaleko I bramy kombinatu. Tam też otwarto drugą Zasadniczą Szkołę budowlaną dla junaków OHP. Nie musiałem już pracować przez dwie zmiany od rana do nocy. O godzinie 15 wracałem do domu, chyba że była dobra pogoda i można było kontynuować loty. Z dłuższymi lub krótszymi przerwami lataliśmy do 9 listopada. Były to głównie loty instruktorskie na naukę holu. Mogłem też pomóc teściowi przy jesiennych pracach w gospodarstwie. Tymczasem w kraju zaczęły rodzić się niepokoje, które stopniowo przybierały na sile, przekształcały się w protesty, wystąpienia uliczne i krwawe starcia. Ustrój PRL zaczynał chwiać się w posadach. Zaczęło się konfliktem zbrojnym pomiędzy Izraelem a Arabska Republika Egiptu. Egipt zdominowany był politycznie i gospodarczo przez Związek Sowiecki. W ślad za ekspansją sowietów idzie głód, nędza i terror. Tak było od lat i tym razem również władza radziecka nie zyskała niczego oprócz nienawiści. Sowietom bynajmniej nie chodziło o sympatię zniewolonych narodów lecz o podporządkowanie sobie krajów, z których będą mogli szachować swych przeciwników. „Bój to będzie ostatni, krwawy skończy się trud, gdy związek nasz bratni ogarnie ludzki ród”.

Chodziło więc o to, aby nasz bratni związek republik rad zapanował nad światem.

Na szach sowietów druga strona odpowiedziała matem. Stany Zjednoczone z Izraelem łączy przyjaźń i wspólnota polityczna. Nietrudno było wywołać wojnę.

Arabowie za sowietów bić się nie chcieli. Wojna trwała tylko 6 dni. Po błyskawicznym rozbiciu wojsk Egipskich podpisano pokój. Nad przestrzeganiem zasad rozejmu czuwały siły ONZ, w tym również wojsko polskie. Prezydenci Egiptu i Izraela otrzymali Pokojowe Nagrody Nobla, a sowietci musieli się wycofać. Gdy za kilka lat i ja trafiłem do Egiptu ślady tej wojny jeszcze się nie zabiłiły. Widziałem zburzone domy, rozbite bunkry i wraki czołgów spalonych na pustyni. Przetrwiała również nienawiść do armii czerwonej. Uprzedzano nas aby broń Boże nie powiedzieć słowa po rosyjsku. Polacy fizjonomia nie różnią się od Rosjan, dlatego często brano nas za niedawnych swych opiekunów. Na rozpoznanie wysyłano dzieci. Gromady dzieciaków chodziły za naszymi pilotami wołając: „Rus kasura, rus kasura”. Co znaczy rus wiemy, natomiast kasura oznacza wszystko co najgorsze. Gdy nasi odpowiedzieli: „ana la rus, ana Bolandi tamarin, ana szugul spray cotton” (ja nie ruski, ja jestem polskim pilotem, pracuję przy opryskach bawełny). Dzieci najpierw powtórzyły to starszym, a potem dały nam spokój. Gdy na początku czerwca 1967 wybuchła wojna Egipsko – Izraelska władze PRLu opowiedziały się po stronie państw arabskich i ZSRR. Z Izraelem zostały zerwane stosunki dyplomatyczne. W kraju rozpoczęła się inspirowana przez władze kampania antyżydowska. Według III zasady dynamiki, akcja zrodziła reakcję. Okazuje się, że fizyczne prawa Newtona można odnieść również do polityki. W Warszawskim Teatrze Narodowym podczas premiery *Dziadów* doszło do wystąpień antysowieckich. Władze zakazały dalszego wystawiania sztuki. Młodzież uniwersytecka wyszła na ulice. Ruszyła lawina której nie dało się powstrzymać. W marcu 1968 roku do studentów warszawskich dołączyła młodzież akademicka z innych miast. Protesty, które zaczęły się w teatrze przekształciły się w demonstracje w obronie swobód obywatelskich. Ruch odnowy objął Czechosłowację. Wydarzenia zwane w historii Praską Wiosną miały

na celu przekształcenie totalitarnego i represyjnego systemu w ustrój demokratyczny. Jednak bolszewicka komuna była niereformowalna. W ramach tzw. bratniej pomocy podjęto brutalną interwencję, zresztą nie po raz pierwszy. W roku 1956 utopiono we krwi wolnościowy zryw Węgrów, obecnie szykowano się na Czechów. Aby czynem zbrodniczym nie obciążać tylko Sowietów uderzenie miały przeprowadzić również wojska satelickie, w tym polskie. Wojsko Polskie, które przez wieki walczyło pod hasłem „Za wolność Waszą i Naszą” teraz zmuszone zostało do interwencji haniebnej i wstydlivej. Demonstracje studenckie rozbito pałkami, ale ukryty ogień tlił się coraz silniejszym zarzewiem.

Sezon lotny 1968 rozpoczęliśmy 8 kwietnia, jak zwykle oblotami dla KCSP i egzaminami okresowymi. Były to loty przygotowujące do intensywnego latania wakacyjnego. Piloci pracujący mieli czas tylko w niedzielę lub w okresie urlopu. Sobót wolnych jeszcze wtedy nie wprowadzono, toteż przerwy w wiosennych lotach trwały tydzień, nieraz dwa a nawet trzy tygodnie. Decydowała o tym przeważnie pogoda. Wszyscy czekaliśmy wakacji. Zajęty szkoleniem nie miałem czasu na latanie wyczynowe, a przecież oprócz kręcenia się nad lotniskiem i po rundzie był szeroki kraj, wiele miejsc ciekawych i nieznanych, były zawody dostarczające wielu wrażeń i emocji i szans sportowej rywalizacji. Żeby chociaż zdobyć kolejny diament. W ubiegłych sezonach wykonałem przeloty po trasach zamkniętych pomiędzy sąsiednimi lotniskami. Były to przeloty rzadko przekraczające 200 km. Nie każdy kończył się dotarciem do celu. Nie raz trzeba było nocować gdzieś w polu w kabinie szybowca, ale loty te poza treningiem nic więcej nie dawały. Miałem spore doświadczenie w lotach chmurowych wnoszą one pewien element ryzyka i przygody, były również sporą atrakcją dla tych, którzy w chmurach nie latali. Toteż zawsze miałem sporo chętnych do towarzyszenia mi w spacerze poprzez chmury. W chmurach były silne wznoszenia, a potem niezwykle widoki z wysokości ponad 3 km.

1 lipca rozpoczął się następny kurs podstawowy. Od wczesnego ranka wozłem się po niebie z uczniami Czapłą. A potem jeśli warunki pozwalały, Bocianem w chmury.

Warunki na przelot 500 km zdarzają się rzadko. Sezon szybowcowych przelotów to głównie czerwiec i lipiec. W tych miesiącach podstawy chmur są wysokie, wznoszenia dobre i dzień najdłuższy. Czasami cumulusy układają się w szlaki co daje szansę pokonania nawet kilkudziesięciokilometrowych odległości bez krążenia.

Taki dniem był 13 lipca 1968 roku. Z Płocka nie da się wykonać przelotu 500 km po linii prostej aby nie przekroczyć granicy państwa. Dlatego trasa z konieczności musi składać się co najwyżej z 3 odcinków. Ja wybrałem 100 km pod wiatr do Inowrocławia i po zameldowaniu się nad lotniskiem Aeroklubu Kujawskiego 400 km znana trasą do Chełma. Wystartowałem o godzinie 9 na szybowcu Mucha standard.

Do Inowrocławia doleciałem bez trudu chociaż poranne warunki termiczne i czołowy wiatr zabrały mi prawie 3 godziny czasu. W południe nastąpił intensywniejszy rozwój chmur kłębiastych, utworzyły się szlaki cumulusów w kierunku wschodnim. Wprawdzie ich kierunek różnił się około 20 stopni od mego kursu, ale niewielkie zboczenie na wschód bardziej mi się opłacało. Trzymanie się szlaku i lot bez krążenia w dodatku z wiatrem umożliwiły mi prędkość przelotową prawie 100 km/h.

Ten odcinek trasy przebyłem w chmurach rzadko schodząc pod podstawy. O godzinie 14 minąłem Warszawę w odległości 20 km na wschód gdzieś w okolicy Wołomina. Planowałem tym kursem dolecieć do Siedlec i Białej Podlaskiej, a potem ile się da na południe. W przelocie otwartym nieważne jest osiągnięcie celu lecz pokonanie odległości. Po dalszej godzinie doleciałem w rejon Siedlec. Właściwie to już mogę kierować się na południe, będę bliżej zaplanowanej trasy. Jeszcze 100 km,

Przy tych warunkach powinno się udać. Daleko przed sobą zobaczyłem jednostajną ławicę chmur. Na lewo w kierunku Białej i Brześcia wznosiły się wierzchołki cumulusów, ciągnęły się poza Bug na stronę radziecką, a przede mną jak szlaban wisiała ciemna zasłona chmur warstwowych stopniowo obniżających się. Poleciałem w kierunku Białej Podlaskiej wzdłuż rozciągającego się frontu atmosferycznego. Kilkakrotnie usiłowałem znaleźć chociaż słabe wznoszenie pod warstwą stratusa.

Gdy spadłem do wysokości 1000m wracałem pod cumulusy. Po kilku takich próbach dałem za wygraną. Lądowałem o godz. 17 koło wsi Dobrynka na rozległych nadbużańskich łąkach po przebyciu 470 km. Był to mój najdłuższy przelot szybowcowy. Ale to jeszcze nie koniec przygody.

Trzeba najpierw dostać się do telefonu i zawiadomić lotnisko. Ktoś podwiózł mnie motorem do stacji kolejowej Małaszewicze. Następną stacją to już Terespol, znane przejście graniczne na wschód, droga którą 20 parę lat temu wywożono na Sybir patriotów polskich. Za kilkanaście minut jechał pociąg w kierunku Białej. Nie namyślałem się. Odwiedzę stare kąty, zrobię sobie wycieczkę do miejsc lat dziecięcych. Z Białej pojechałem autobusem do Witulina. Stąd tylko kilometr do Jagodnicy. Mostem przez Klukówkę, wody z Wyżarów spłynęły, rzeczka wróciła w swoje koryto, mokradła porosły soczysta trawą, tylko przekwitły kaczeńce i bociany poszły już spać. Nie było też starej dziadkowej chałupy, w której po raz pierwszy ujrzałem świat. Na jej miejscu stryj Cecho postawił nowy dom. Nie była to okazała willa jakie buduje się teraz.

Dom stryja niewiele różnił się od starego. Miał mury z pustaka a zamiast strzechy leżała papa. Cała reszta wyglądała jak dawniej. Żona stryja Cecha Helena była stryjeczną siostrą mojej mamy, Cecho najmłodszym bratem ojca. Łączyło nas zatem podwójne pokrewieństwo. Radości było co niemiara, a tematy rozmów niewyczerpane. Gdy dowiedzieli się jakim oryginalnym środkiem lokomocji do nich dotarłem i gdzie wylądowałem, oznajmili mi, że w Dobryńcu pracuje ich syn, a mój stryjeczny brat Stach Jakimiuk. Stasiuk jest sierżantem Milicji Obywatelskiej i komendantem tamtejszego posterunku. Kontakt telefoniczny z posterunkiem był łatwy. Mogłem spać spokojnie i mój szybowiec też. Nazajutrz Stasiuk przyjechał do Jagodnicy aby spotkać się ze mną. Praktycznie nie znaliśmy się. Ja pamiętam go jako małe dziecko, on mnie wcale. U stryjostwa zabawiliśmy się do wieczora po czym obaj wróciliśmy do Dobryńki. Przenocowałem u niego a na drugi dzień przyleciał po mnie samolot. Wisząc na 20 metrowej linie, uczepony ogona samolotu jeszcze raz mogłem rzucić okiem na ziemię swego dzieciństwa. Trasa na Płock biegła prosto przez Jagodnicę. Podo mną dom w którym się gościłem. Z prawej Witulin, z lewej ale nieco dalej Zaberwece, Las Floria i spoczywające w bagnach kości Miszki. Z przodu Leśna Podlaska z cudownym Sanktuarium Maryjnym, miejscem bliskim memu sercu, gdzie zostałem oddany pod opiekę Matce Bożej. No pożegnanie pomachałem skrzydłami. Nie wiem czy widział mnie ktoś do kogo ten gest był skierowany, ale oprócz bliskich ludzi tam w dole zostawała ziemia „kraj lat dziecięcych, on zawsze zostanie święty i czysty jak pierwsze kochanie”. Pożegnałem się z ziemią. Uczniowie 3 dni czekali na wznowienie lotów. Aeroklub nie zawsze mógł sobie pozwolić na taką przerwę, zwłaszcza, że kurs był skoszarowany i każdy dzień zwłoki zwiększał koszty. Pogoda w lipcu dopisała i szkolenie zakończyliśmy w terminie uroczystym wieczorem przy ognisku. Niektórzy przyszli z rodzicami.

4 sierpnia wybrałem się znowu Standardką na przelot 500 km. Nie było tak dobrych warunków jak 3 tygodnie temu, wystartowałem też godzinę później, ale nie musiałem pokonywać pierwszego odcinka pod wiatr. Do Warszawy z wiatrem. Po zameldowaniu się na Gołławiu kurs na Jelenią Górę. Zachmurzenie typu cumulus humilis, takie baranki dobrej pogody rozrzucone bezładnie po niebie. Średnia prędkości 2 m/s, podstawy 1500 m, wiatr słaby ale boczny, podczas wykręcania się w kominach odnosił z trasy na południe. Każdy kilometr musiał być wypracowany, nie za darmo. Po 7 godzinach lotu zostałem zniesiony 100 km i zamiast w rejonie Wrocławia znalazłem się poza Opolem nad Górą Świętej Anny. Miejsce historyczne. Tutaj ważyły się losy powstań śląskich, tutaj młodzi Ślązacy swą krwią podpisywali deklarację, że są Polakami.

Przypomniała mi się powstańcza pieśń: „Na granicy Górnego Śląska jest tam przepaść wielka, tam niejedna panna, panienczka śląska utraciła chłopca”.

Wtedy nie wiedziałem o jaką przepaść chodzi. Gdy zobaczyłem pomnik wzniesiony na wysokiej górze zrozumiałem, że niejednen powstaniec oddał tu swe młode życie.

To, że wiatr zniósł mnie na granicę Górnego Śląska nie było rzeczą ważną. Nie muszę do Jeleniej Góry. Wystarczy mi Kotlina Kłodzka, ale dochodziła godzina 18, ostatnie chmury zaczęły się rozmywać. Niebo stawało się czyste zapowiadając słoneczny jutrzejszy dzień. Miałem niecałe 1000 m. Gdybym go dzinę wcześniej wystartował. Podo mną jakieś lasy, szosa. Ale cóż to? Skąd te czołgi?

Na szosie, jeden za drugim, całe kolumny. Miedzy drzewami rozstawione namioty, dymią kuchnie polowe. Cóż to za wojsko? Na co czeka? Z wysokości 600 m trudno dojrzeć między drzewami rodzaj mundurów i znaki czołgów. Las się skończył. Lecę na doskonałości szybowca z jego własnym opadaniem, każda sekunda to jeden metr niżej i prawie 30 do przodu. Mam 500 m, mogę dolecieć jeszcze najwyżej

14 km, ale przecież nie będę leciał na styk z ziemią, trzeba rozejrzeć się za polem do lądowania. Przedemną dużą rzeką, to Odra. Za rzeką las i łąki. Wylądowałem we wsi Ściborowice koło Krapkowic. Wszystkie dalsze połączenia telefoniczne były nieczynne. Wstrzymany był ruch kołowy. Armie Układu Warszawskiego szykowały się do napadu na Czechosłowację. Kanałami wojskowymi powiadomiono Aeroklub w Opolu i Rejon Kontroli Lotów. Wojsko zgodziło się aby zabrał mnie samolot z Opolu na swoje lotnisko. Przeleciałem ponad 400 km.

W Ściborowicach był PGR. Bardzo gościnnie przyjął mnie kierownik gospodarstwa.

Przy kolacji i małej lampce wina dyskutowaliśmy do późna – głównie na tematy lotnicze. Nazajutrz odleciałem do Opolu, a w dniu następnym do Płocka. Los przygotował mi wiele niespodzianek, ale nigdy nie myślałem, że te 2 próby zakończą moje zmagania o diament 500 km. Jedno z najbardziej przykrych i tragicznych doświadczeń przeżyłem już za parę dni. Nie udało się z przelotem to może uda się z przewyższeniem. Była to decyzja brawurowa i bardzo niebezpieczna. Na lotnisku naszym do tej pory pracowało 4 zawiadowców. Stefan Piotrowski, Czesław Lubczyński, Stanisław Szygendowski i niedawno zatrudniony Maciej Klemens.

Przybył do nas z aeroklubu poznańskiego. Mówił fajna poznańska gwara, lubił brawurowe latanie i dziewczyny. Wkrótce po moim powrocie z Opolu, poleciał Bocianem zabierając ze sobą pasażera. Pasażerem był jego kolega poznany gdzieś na towarzyskiej imprezie. Maciek postanowił pokazać mu latanie od strony nieco silniejszych wrażeń. Po nabraniu w chmurze wysokości około 2000 m przyleciał nad lotnisko i rozpoczął bezsensowne nurkowanie przekraczając dozwolone prędkości. W idealnym pikowaniu rozpędzał Bociana do prędkości ponad 300 km/h a następnie wyrwał do góry. W ten sposób chciał przeciążeniem zamrozić swego pasażera. W takiej sytuacji ciało człowieka waży kilkaset kilogramów, ręki nie można podnieść, obwisa głowa, broda i policzki. Na skutek siły odśrodkowej odpływa krew, człowiek na moment traci wzrok i świadomość. Skrzydła wygięły się jak naprężony łuk, zdawało się, że nie wytrzymają obciążenia i lada moment pękną. Po wyjściu z lotu nurkowego szybowiec jak strzała pionowo wznosił się do góry około 300 m aby przewrotem przez skrzydło znowu przejść do nurkowania. Po kilkukrotnym powtórzeniu swego popisowego numeru wylądował z ledwo żywym pasażerem. Za świadome łamanie norm i warunków eksploatacyjnych oraz narażanie pasażera powinien być ponieść karę. Zawiadowca, którego zadaniem jest czuwać nad bezpieczeństwem i przestrzeganiem przepisów dał nam pokaz nieodpowiedzialnej głupoty. Za taką samowolę można pozbyć się licencji lub nawet trafić do prokuratora.

Klemens nie pracował u nas długo. Wrócił do Poznania i wkrótce zginął pod Gnieznem wykonując nisko nad ziemią beczkę na samolocie. Przy okazji zabił pasażera. Po jego locie szybowiec poszedł do hangaru. Na drugi dzień padał deszcz i lotów nie było, ale trzeciego dnia Bocianem tym poleciałem z uczniem w chmury. Po przejściu frontu chłodnego wyklarowała się ładna cumulusowa pogoda. Rozwijały się wysokie chmury typu cumulus congestus ale prognoza meteo burz nie przewidywała.

Chmury te rozwijały się głównie za Sierpcem. Szef Wyszkozenia przyniósł barograf.

Może uda się zrobić przewyższenie 5000 m. barograf owinięty w torbę transportową spadochronu włożył do bagażnika za drugąabiną. Lecieć miałem z uczniem pilotem Stanisławem Majewskim. Posiadał on II klasę wyszkolenia szybowcowego, ale przed powołaniem do wojska nie zdążył zdać egzaminów na licencję. Zadaniem lotu miało być wzniesienie nawyków pilotażowych po dwuletniej przerwie, oraz dodatkowym zadaniem dla mnie, próba przewyższenia do odznaki diamentowej. Był 11 sierpnia, wystartowaliśmy o godzinie 13:18. Wczepiłem się nad lotniskiem na wysokości 300 m w noszeniu 1 m/s. Po wycentrowaniu komina oddałem stery Staśkowi. Wkrótce wznoszenie wzrosło do 2 m/s i dojechaliśmy do podstawy. Kazałem włączyć zakrętomierz i zagłębiliśmy się w białą mgłę. Przyrządy pilotażowe umieszczone są w pierwszej kabinie – uczniowskiej. Druga kabina jest instruktorska, stąd pilotaż odbywa się na wycucie i za pomocą obserwacji zewnętrznej. W chmurze te metody są nieprzydatne, wycucie zawodzi a obserwacji zewnętrznej nie ma. Jedynym przyrządem jest zakrętomierz. Przydałby się sztuczny horyzont ale w szybowcach się go nie montuje. Zakrętomierz jest tak usytuowany, że widać go również z kabiny drugiej. Na wysokości 2 km wyszliśmy z chmury i kursem północnym poleciliśmy w stronę Sierpca. Minęliśmy Proboszczewice, mój dom, Gozdowo. Po drodze trochę

nas przyduśiło to się podkręciliśmy. Za Sierpcem znowu poszliśmy w chmury, noszenia były rozległe i niezbyt silne, dobre do nauki ale do diamentowego przewyższenia zbyt niskie. Po 2 godzinach lotu postanowiłem wracać do Płocka. Z wysokości prawie 3 km mieliśmy dolot zapewniony bez krażenia. Do latując do lotniska mieliśmy jeszcze duży zapas wysokości. Tymczasem nad kombinatem rozbudowała się duża rozległa chmura z czarną podstawą. Pilotował cały czas Stasiak. Zapytałem czy nie jest zmęczony? Jeśli nie to podleć pod tą ciemną podstawę, zobaczymy co tam jest. Gdy wariometr pokazywał 3 m wznoszenia kazałem włączyć zakrętomierz i przejąłem stery. Noszenie w chmurze wzrosło do 6 m/s i było rozległe. W niegłębokim krażeniu z przechyleniem do 30 stopni po kilkunastu minutach przekroczyłem 5000 m. Noszenie osłabło ale było nadal rozległe i spokojne. Zdawałem sobie sprawę, że na tej wysokości bez tlenu nie możemy długo przebywać, ale byłem na granicy swego wyczynu. Czy barograf zapisał przebieg lotu? Jak to sprawdzić?

Żeby do niego dojść trzeba odsunąć osłonę tylnej kabiny i dostać się do bagażnika. Lot jest spokojny ale w chmurze nigdy nie wiadomo czy nagle nie znajdę się na plecach. Nie wytrzymałem. Kazałem Staśkowi przejąć stery a sam wypiąłem się z pasów. Jeśli wylecę pozaabinę to mam spadochron. Kabina jest ciasna, ze spadochronem się nie wykręcę. Zdjąłem więc spadochron. Teraz byłem już zupełnie bezbronny. Odwróciłem się i odsunąłem owiewkę kabiny. Sięgnąłem ręką do bagażnika i zabrałem torbę z barografem. Założyłem spadochron i zapiąłem pasy. Stasio spisał się na medal. Gdyby nie zapanował nad szybowcem – lepiej nie myśleć co by było, po prostu udało się. Wyjąłem barograf z torby. Ramię rysika piszącego po bębnie wyszło poza bęben i zaklinowało się w obudowie. Po prostu ten barograf miał zakres użyteczny tylko do wysokości 4000 m a my byliśmy na 5500. Rysik wyjechał poza skalę. Nici z zapisu i nici z diamentu. W tej sytuacji nie było sensu kontynuować lotu. Włożyłem barograf do torby i umieściłem we wnęce prawego skrzydła. W tym momencie Staśkowi zrobiło się niedobrze, zaczął wymiotować. Postanowiłem jak najprędzej opuścić chmurę. Ustaliłem kurs na lotnisko i z prędkością 90 km/h poleciałem po prostej. Wiedziałem, że opuszczając środek chmury natknę się na turbulencję. Turbulencja nie była silna, nie takie rzucania przetrwałem. W pewnym momencie poczułem, że coś blokuje mi drążek sterowy. Chwileczkę – pomyślałem – nie wpadać w panikę. Trzeba najpierw się rozejrzeć. Może chory Stasiak coś zablokował. Rozejrzeć się nie zdążyłem.

Rozległ się potężny huk, osłona kabiny rozprysła się na kawałki a w nas lunęła fontanna wody z kawałkami lodu. Stasiak nie ruszał się. Zacząłem krzyczeć aby skakał, ale w tych warunkach byłem pewien, że nie słyszy. Postanowiłem do niego dojść, wypiąć go z pasów i otworzyć spadochron, resztę zrobi pęd powietrza. Musiałem najpierw sam odpiąć pasy, ale nie mogłem podnieść rąk, były zbyt ciężkie. Wrak szybowca spadał wirując, a ja siłowałem się z własnymi rękami. Widziałem jak z wysiłku drętwieją mi palce. Kompletnie wyczerpany poddałem się. Czułem się jak w wirującym bębnie. Siła odśrodkowa przycisnęła mnie do fotela, ręce do kolan i byłem jakby związany niewidzialnym powrozem. Wtedy nagle przyszło olśnienie. Jeśli nie można rąk podnieść to może dam radę sunąć je po ciele do góry. Z trudem ale poszło. Wypiąłem się z pasów, przesunąłem ciało do burty i oparłem na niej ręce. Teraz podciągnąłem się z równoczesnym wyprostowaniem nóg. Wyleciałem jak z procy. Przez ułamek sekundy widziałem ginący we mgle wrak szybowca. Był bez jednego skrzydła i bez ogona. Kadłub ukrecony tuż poza skrzydłem. Pomyślałem, że skoro zostałem odrzucony w bok to mogę otworzyć spadochron i nie grozi mi zderzenie. Wyciągnąłem uchwyt spadochronu i zawisłem pod białą czaszą. Byłem w krótkich spodenkach i w letniej koszuli, a wokół mnie szalała śnieżyca. Śnieg gromadził się na czaszy spadochronu, poza koszula i na kolanach. W pewnym momencie zauważyłem spadający koło mnie ster kierunku oderwany od statecznika pionowego, wyprzedził mnie i zginął we mgle i śnieżycy. Za moment przeleciała obok w śnieżnej zamieci torba spadochronowa. Zacząłem marznąć.

Odgarniałem rękami śnieg z kolan i nie byłem pewien czy lecę do góry czy opadam w dół. Spadochron ma opadanie własne 5 m/s. Jeżeli znajduje się w 6 metrowym wznoszeniu to zamiast do dołu mogę jechać do góry z prędkością 1 m/s. Jeżeli nie umrę z wychłodzenia to na wysokości z braku tlenu. Aby zwiększyć opadanie spadochronu wykonywałem tzw. głębokie ślizgi. Podciągałem się na linkach, w ten sposób czasza ulegała deformacji zmniejszając swą powierzchnię. Płytki ślizg powoduje zejście z kierunku. Wykonując takie manewry trzeba uważać aby nie odwrócić czaszy. Odwrócona i zaplątana mie-



Katastrofa czerwonego bociana

dzy linki może w ogóle uniemożliwić ratunek. Nagle wokół mnie rozbłysło jasne światło, równocześnie usłyszałem przeciągły odgłos. Nie pojedynczy trzask wystrzału lecz jakby dudnienie czegoś spadającego. Tego tylko brakowało. Byłem w chmurze burzowej. Jeśli nie zamarznię i nie umrę z braku tlenu to zabije mnie piorun. Szybownictwo zna takie przypadki. Niedawno coś podobnego wydarzyło się bodajże w aeroklubie toruńskim. W chmurze burzowej rozleciał się szybowiec. Szczątki znaleziono ale nigdzie nie było pilota. Szukano kilka dni, tymczasem on wisiał sobie na spadochronie zaczepionym o gałęzie sosen wysokiego lasu. Metalowe części uprząży spadochronu były nadtopione, a na ciele ślady poparzeń III stopnia. Piorun nie wybiera specjalnie szybowca, chyba, że ten znajduje się przypadkiem na drodze wylądowania. Na szczęście burza w której się znalazłem nie była silna. Kilka błyskawic, kilka grzmotów, wyszedłem również ze strefy śnieżycy. Zrobiło się jakby cieplej. Mgła wokół mnie zaczęła rzednąć i ujrzałem pod sobą miasto. Następną obawą i następny etap walki o życie. Jeżeli wyląduję na dachu wysokiego bloku, a spadochron ściągnie mnie na ziemię to bezwładnie spadnę na ulicę i się zabiję.

Z boku zauważyłem charakterystyczny komin Zakładów Mięśnych. Spadochron nie szybowiec, daleko nie odlece, ale tam przynajmniej niższe są budynki. Płytkimi ślizgami odjechałem znad wysokich domów i zawisłem nad zakładem. Jak lufa koszarnej armaty z czarnym wylotem mierzył we mnie potężny komin. Jeszcze jeden ślizg i oto jestem nad budynkiem. Ostatnie metry i ostatnie sekundy. Pociągnąłem ostatni ślizg aby nie spaść na dach. Dach został z boku ale znacznie wzrosła prędkość lądowania. Łąduję na drzewie. Podkulałam nogi i rękami osłaniam brzuch aby jakiś złamany konar nie wypruł mi wnętrza. Tak nas kiedyś uczono.

Przelatuję przez gąszcz gałęzi. Czasza spadochronu zawisła w koronie drzewa mocno amortyzując upadek. Podkulonymi nogami zaczepiam o krawędź parkanu i plecami spadam na ulicę Bielską tuż obok budynku Zakładów Mięśnych. Uderzenie plecami o ziemię zostało całkowicie zamortyzowane. Poderwałem się z ulicy. Nie miałem nawet najdrobniejszych otarć czy zadrapań. Ulica zalana była wodą po przejściu burzy. Zanim ściągnąłem z drzewa spadochron podjechał samochód straży pożarnej. Urwane skrzydło spadło pierwsze właśnie na teren straży i zaalarmowało ekipę dyżurną. Część ogona rozsypana na kawałki spadła gdzieś na teren ogródków działkowych, natomiast pozostała reszta czyli

kabina z jednym skrzydłem na skrzyżowanie ulic Bielskiej i Szopena. Była godzina 16:20. W kabinie znaleziono martwe ciało Staśka Majewskiego. Ale nie zginął w powietrzu. Wypiął się sam z pasów, dlatego nie wyskoczył nie wiadomo. Wrak koziolkując uderzył w ziemię w pozycji plecowej w miejscu gdzie wykonywano roboty kanalizacyjne. Stach głową uderzył w żelazną studzienkę. Dlaczego wszystko przedstawiam z takimi detalami?

Na stronach poprzednich, opisując wypadek w więziennej kopalni, gdy omal nie zginąłem pod rozpędzonymi wozami zadałem retoryczne pytanie: dlaczego w tym jednym jedynym przypadku, w tej właśnie sekundzie doznałem dziwnej amnezji i do dziś nie wiem w jaki sposób zostałem uratowany, podczas gdy w innych przypadkach pamiętam wszystko z najdrobniejszymi detalami. Czy pan profesorze z programu „Warto rozmawiać” mógłby mi na to pytanie odpowiedzieć. Przy okazji składam wyrazy głębokiego szacunku panu redaktorowi prowadzącemu ten program za to, że nie boi się poruszać tematów mocno kontrowersyjnych i zajmuje w nich postawę z którą się całkowicie solidaryzuję. Jaki związek może mieć opisana katastrofa z poprzedzającym ją lotem. Komisja zabrała do badań część szybowca, w której znajdują się stalowe okucia łączące kadłub ze skrzydłami, ale ja i bez tego wiem, że przeciążenia spowodowane przekroczeniem norm eksploatacyjnych doprowadziły do zmęczenia materiału. Fakt, że nie urwało się skrzydło w tamtym locie tylko w moim był sprawą przypadku. Gdy strażacy zabrali mnie z ulicy najpierw zawieźli na pogotowie w celu pobrania krwi, następnie na posterunek milicji. Ja byłem człowiekiem grzecznym i delikatnym, nie potrafiłem odpowiedzieć grubiaństwem na chamstwo, toteż każdy bubek w mundurze, który czuł się bardzo ważną władzą kazał mi opowiadać przebieg wypadku. Początkowo myślałem, że to jest śledztwo ale nikt tego nie protokołował. Gdy wszedł następny i następny i następny a wszyscy chcieli usłyszeć moja spowiedź na własne żądanie, poczułem się upokorzony i zły na siebie, że daje się tak poniżać. Traktowano mnie jak aresztanta. Może by mnie na 24 godziny zamknęli. Dano im takie prawo, ale ze mną chciał jeszcze rozmawiać prokurator no i z Warszawy jechała już Główna Komisja Badań Wypadków Lotniczych. W PRLu na temat milicji opowiadano wiele złośliwych kawałów i nie były to tylko zmyślane historie. Zanim stanąłem przed prokuratorem ubranie wyszło.

Tutaj zeznanie moje po raz pierwszy zaprotokołowano i odwieziono mnie na lotnisko. Około godziny 22 przybyła komisja. Przyjechało 8 osób a wśród nich rzeczoznawca KCSP pan Wiktor Leja i pani Pelagia Majewska jako ekspert biegły od spraw szybowcowych. Pozostałe osoby były specjalistami w innych dziedzinach. Kazano mi oczywiście opisać przebieg wypadku, sporządzono szkic sytuacyjny, sprawdzono pełną dokumentację i prognozę meteorologiczną. Następnie zadawano mi szereg pytań. Na część pytań dotyczących specyfiki lotów szybowcowych odpowiedziała komisji pani Majewska bardzo mi tym pomagając. W przerwie odwołała mnie na stronę i poprosiła o mój dziennik lotów. Sprawdziła ważność egzaminów, kontrole techniki pilotażu, zwłaszcza chmurowe, moje doświadczenie w tych lotach. KTP z lotów chmurowych ważne było pół roku, a ja miałem je przeterminowane. Wprawdzie Szeff wpisał mi je przed przybyciem komisji ale nie pokrywało się to z zapisem w dzienniku lotów. Pani Majewska szybko odkryła nieprawidłowość. Kazała mi schować dziennik i nie chwalić się nim przed komisją. Jako jedna z najlepszych wiedziała, że formalność ta nie ma związku z wypadkiem, ale komisji lepiej było nie drażnić. Do zakończenia prac i wydania orzeczenia wstrzymano mi licencję. Na następne posiedzenia jeździłem do Warszawy. Nie dopatrzono się winy z mojej strony i licencje mi oddano ale sezon lotny w naszym aeroklubie zakończył się w dniu wypadku. Za kilka dni wzięliśmy udział w pogrzebie kolegi, który zginął z powodu czyjejś lekkomyślności. Pochowany jest na cmentarzu w Kowalu.

Po moim wypadku wprowadzono nakaz szkolenia pilotów w skokach spadochronowych, jednak z powodu trudności finansowych, sprzętowych i organizacyjnych z pomysłu tego wycofano się. Wypadek odbił się echem w okolicy ze względu na swą niecodzienną wyjątkowość, ale jak to zwykle bywa z echem, po każdym odbiciu zmienia swe brzmienie. Mówiono, że instruktor uciekł zostawiając ucznia, inni twierdzili, że uczeń do końca usiłował ratować maszynę dlatego nie wyskoczył. Nawet żona mnie obarczała winą. Przykre, ale prawdziwe. Gdyby skrzydło nie urwało się mnie, urwało by się wkrótce komuś innemu i ofiar mogłoby być więcej. Dlaczego ukręcił się kadłub? Gdy odpadło prawe skrzydło, lewe spowodowało natychmiastowy obrót ale usterzenie nie pozwoliło na tak szybka rotację. Nastąpiło



Szkolenie samolotowe

skrócenie kadłuba na całej jego długości dlatego rozleciała się pleksyglasowa limuzyna kabiny. W chmurze burzowej wiruje deszcz, śnieg i grad, który w zależności od prądów pionowych może przybierać różne rozmiary.

Latać zaczęliśmy dopiero od połowy czerwca 1969 r. Gdy skończył się rok szkolny poleciałem na treningowy przelot do Lisich Kałków. Późna godzina i niezbyt dobre warunki termiczne nie gwarantowały powrotu. Przenocowałem w Ośrodku wyczynowym, a nazajutrz wystartowałem w drogę powrotną. Gdyby pogoda dopisała poleciałbym w Polskę, ale przy warunkach podobnych do dnia wczorajszego nawet nie doleciałem do Płocka. Nie byłby to fakt godny odnotowania gdyby nie lądowanie przed swym domem. Gdy nadleciałem nad Proboszczewice miałem zaledwie 200 m i nigdzie dobrego pola do lądowania. Po żniwach do lądowania nadaje się każde rżysko. Obecnie wszędzie dojrzewały zboża. Lądowanie w wysokim i prawie dojrzałym zbożu jest niebezpieczne dla szybowca, można urwać ogon. U mamy na polu rósł niewysoki jęczmień, ale pole było wąskie i krótkie 20 m na 50 m w dodatku zakończone rowem melioracyjnym i drzewami. Na podejściu do lądowania przeszkadzały dwie linie energetyczne. Na zastanawianie się nie było czasu. Odszedłem w kierunku stacji kolejowej, zrobiłem głęboki zakręt o 180 stopni i z wysokości 50 m rozpocząłem manewr lądowania. Przeleciałem nad pierwszą linią, dałem nurka pod drugą i na wysokości 1 m otworzyłem hamulce. Mucha wytraciła prędkość i jak w pierzynę wpadła w zboże zatrzymując się po krótkim dobiegu naprzeciwko mych okien. Aby gapie nie wydeptały mamie jęczmienia szybko zdemontowałem szybowiec i ustawiłem na podwórku. Zaliczyłem najprzyjemniejsze przygodne lądowanie. Minęła godzina 18. Nazajutrz przyjechali koledzy z wózkiem transportowym i zabrali szybowiec.

Był 1 dzień lipca. Rozpoczął się kurs podstawowy. W pierwszych dniach trwania kursu na lotnisku odwiedził nas dyrektor płockiego Ogrodu Zoologicznego pan Tadeusz Taworski, mężczyzna szczupły, wysoki, towarzyski, uprzejmy o bardzo ujmującym sposobie bycia. Miał opinię zwierzoluba. Taki dziwny tytuł nadali mu dziennikarze w prasie ogólnopolskiej. Tytuł ten przestawał być dziwnym jeśli się bliżej poznało pana Taworskiego. Zanim został dyrektorem płockiego ZOO dużo wojażował po świecie, miał wielu serdecznych przyjaciół z którymi utrzymywał kontakty towarzyskie i zawodowe. Dzisiaj przeprowadził na lotnisko swojego syna.

– Przyprowadziłem go – powiedział – abyście zrobili z niego mężczyznę.

Chłopak miał 15 lat, był za młody do szkolenia szybowcowego, ale z grupą starszych kolegów związał się od pierwszego dnia. Nie był ślamazarny jak określił go ojciec.

Wręcz przeciwnie, dał się poznać jako chłopiec żywy, energiczny i zaradny, posiadał wiele cech swego taty, a przy tym zakochał się w lotnictwie. Wojtek na lotnisku przebywał co dzień, pracował zarówno z grupą podstawową jak również z pilotami treningowymi. Nagrodą za jego pracę i zaangażowanie były rzadkie loty pasażerskie na Czapli. Do tego aby zostać pilotem potrzebne są głównie dwa warunki: pasja i szczęście. Pasję można mieć we krwi, czyli urodzić się ze skrzydłami, można też się tym zarazić. Szczęście natomiast jest czymś czego nie kupisz, ani się tego nie nauczysz. Trzeba to po prostu mieć. W niepisanym kodeksie lotniczym jest zdanie:

„Pilot musi mieć szczęście”. Wojtek pasję posiadał w nadmiarze. Szczęście też miał, ale dodatkowo umiał temu szczęściu pomóc. W następnym roku wyszkolił się na szybowcach. Gdy stwierdził, że aeroklub płocki nie zaspokoi jego ambicji, przeniósł się tam gdzie mógł uzyskać więcej. Wkrótce został pilotem samolotowym, studentem agrolotnictwa na Olsztyńskiej Akademii Rolno Technicznej. Po uzyskaniu licencji zawodowej, pilotem PLL LOT.

Szybko ukończył kurs kapitański i otrzymał awans na kapitana linii zagranicznych. Po przeszkoleniu w Seattle, w słynnym lotniczym ośrodku w USA przesiadł się na Boeingi. Obecnie lata po świecie jako kapitan pilot jakiś linii zagranicznych. Taki to miał być ślamazara. Dumni jestem z tego, że zalicza się do grupy moich uczniów i do tej pory, jeśli jest w kraju i ma czas to mnie odwiedzi. Do czołówki lotniczej naszego aeroklubu dołączyli młodzi piloci Krzysztof Machnacki, Andrzej Wesołowski i Sławomira Piątek. Wszyscy oni byli moimi uczniami w podstawowym pilotażu szybowcowym a następnie kolegami w pracy zawodowej. Dziewczęta w naszym aeroklubie nie miały łatwego życia. Tym większe brawa należą się Sławce za to, że pokonała najtrudniejsze przeszkody i z czasem została jedyną w AZM kobietą instruktorem. Pamiętam gdy pewnego razu Sławka jako początkująca szybownicza poleciała na termikę. Zbyt daleko odeszła od lotniska i zaczęło jej brakować wysokości na dolot. Zamiast wybrać pole i lądować w terenie, ciągnęła na siłę do lotniska od strony kombinatu. Na ostatnich metrach wysokości przeleciała nad jarem Brzeźnicy, linią kolejową, ogródkami działkowymi. Topoli rosnących wzdłuż szosy bielskiej już nie dała rady przeskoczyć. Mucha zawisła na drzewach i spadła na szosę blokując ruch samochodów. Sławka była w lekkim szoku ale obrażeń żadnych nie miała. Pilot musi mieć szczęście. Nasz Szef Wyszkożenia pan instruktor pilot Ryszard Lewandowski kończył w tym roku Technikum Ekonomiczne. Aby zarobić dodatkowe punkty u swej polonistki zaprosił ją na lotnisko. Młoda i ładna pani profesor nigdy szybowcem nie leciała toteż ciekawa była wszystkiego. Najpierw na ziemi zapoznawała się z organizacją szkolenia za wyciągarką. Jak to się dzieje, że szybowiec wznosi się jak latawiec, płynie spokojnie w powietrzu i miękko ląduje. W trakcie kolejnego lotu zauważyłem zbliżającą się od strony południowej burzę. Była jeszcze na Radziwiu ale wyraźnie szła w naszym kierunku. Czarna chmura z charakterystycznym wirem u swej podstawy, na dole tuman kurzu. Instruktor Lewandowski też ja obserwował. Jako kierownik lotów zarządził szybkie zwiniecie startu i ucieczkę do hangaru. Ja miałem zabrać panią profesor i lądować na płycie przed hangarem. Uczniowie usadowili pasażerkę w pierwszej kabinie, odpięto linę ściągarkową i dano sygnał startu do wyciągarki.

Gdy szybowiec ruszył i poszedł na wznoszenie nastąpiło uderzenie wału burzowego. Silnik wyciągarki został zadławiony. Natychmiast wczepiłem się. Miałem 100 m wysokości i leciałem w kierunku hal FMŻ. To znaczy, że w tym kierunku zwrócony był przód szybowca, a faktycznie leciałem do tyłu. Prędkość wiatru przekraczała 100 km/h, była większa niż prędkość szybowca dlatego Czapla zamiast lecieć do przodu cofała się jakby na wstecznym biegu. Nigdy czegoś podobnego nie przeżyłem. W tej sekundzie porwał nas wir na czole burzy i momentalnie wyniósł na wysokość ponad 200 m. wiedziałem, że po drugiej stronie wiru będzie silne duszenie, które może rzucić nas o ziemię. Wykonać w tej sytuacji zakręt znaczyło znaleźć się w jednej sekundzie poza lotniskiem bez możliwości powrotu, w dodatku szybowcem rzucało jak zabawką. Byłem już poza połową lotniska. Jedyne ratunek to odchylić się nieco w prawo aby wiatr zniósł mnie poza hangar i benzynownię za którą rosły wysokie drzewa. Na zawietrznej nie powinno być tak silnego wiatru. Przez cały czas rozmawiałem

ze swa pasażerką aby ja uspokoić i nie wywołać paniki. Posłużyć się tu humorystycznym porównaniem: „Stał się cud pewnego razu, dziad przemówił do obrazu, a obraz do niego ani słowa, taka była ich rozmowa”.

Tak to mniej więcej wyglądało. Wtedy do śmiechu mi nie było. Gadałem bez przerwy kombinując gdzie i jak wylądować, a pasażerka siedziała spokojnie i nawet nie wiem czy się bała. Instruktor Lewandowski przewidział mój manewr i wysłał całą grupę w miejsce lądowania aby złapała szybowiec gdy tylko przyziemi. Po odchyleniu się w prawo Czapla natychmiast została zniesiona w bok, zdążyłem wyrównać na żądanym kierunku i oddać drażkę zapobiegając znoszeniu do tyłu. Za drzewami faktycznie było spokojniej. Lądowanie odbyło się sposobem spadochronowym. Czapla zjechała pionowo w dół i lekko dotknęła ziemi. Uczniowie chwycili szybowiec za skrzydła i ogon. Za chwilę nawałnica przeszła, a jej miejsce zajęła ulewa. Czapłę zdążyliśmy schować w hangarze. Jak pasażerka przeżyła przygodę? Myślała, że tak musiało być, a w sumie to się jej podobało. Ni i chwala Bogu – wszystko dobre co się dobrze się kończy. Burza poszła na Proboszczewice. Gdy zajechałem do domu żona wyjęła z lodówki grad wielkości kurzych jaj. Do szklanki zmieściły się tylko dwie gradziny, z tym, że druga do połowy. Jak silny musiał być prąd pionowy skoro utrzymywał w powietrzu takie bryły lodu. W tym miejscu opowiem kilka zdań o naszych pracownikach technicznych. Aby jeden mógł sobie smacznie zjeść, ktoś musi mu to przygotować. Aby jeden mógł użyć przyjemności i wrażeń latania, ktoś musi swą pracą zapewnić mu bezpieczeństwo i niezawodność sprzętu. Zaufanie do samolotu czy szybowca wynika z zaufania do mechanika. Ale mi się zrymowało.

Szefem technicznym był Tadzio Gozdan. Użyłem zdrobnienia aby podkreślić naszą przyjaźń i koleżeńskie stosunki. Przybył do nas z Torunia gdzie był mechanikiem lotniczym. Był w wieku około 30 lat, miał żonę, dwoje dzieci i pogodne usposobienie.

Był koleżeński, uczynny, w towarzystwie lubił wypić. Może o dwa kieliszki za dużo, ale zawsze na wesoło. Samolotami opiekował się drugi mechanik Mieczysław Kania, człowiek spokojny i zrównoważony. Tadeusz Cicholski przybył do nas po rozwiązaniu szkoły szybowcowej w Ligocie Dolnej. Był wcieleniem sumienności i uczciwości.

Posiadał uprawnienia mechanika szybowcowego, samolotowego i wyciągarkowego, ale zajmował się głównie szybowcami. Zawsze wszystko dojrzał i w porę naprawił.

W pracy się nie spieszył, ale wszystko co wyszło spod jego ręki wyglądało jak nowe.

Był jeszcze kierowca Mieczysław Basak typ bardzo żywy i energiczny. Tak jak my wyżywaliśmy się w powietrzu tak on wyżywał się za kółkiem i na szosie lubił brawurę ale nie nadmierną. Samochód był jego pasją. Piszę o tym dlatego aby porównać pewne wypadki i dać pod rozwagę ich rezultaty. Po paru latach Basak przeniósł się do pracy w Urzędzie Miejskim. Był kierowcą Prezydenta czy Wiceprezydenta.

Zima wrócił późno z podróży służbowej. Ponieważ rano miał znowu jechać w trasę postanowił zanoć w garażu w samochodzie. Gdy zmarzł włączył silnik i usnął.

Rano przyszedł szef i zastał swego kierowcę nieprzytomnego. Niewiele brakowało by śmiertelnie zatrzał się spalinami, ale i tak nastąpiły nieodwracalne zmiany w mózgu i całym systemie nerwowym. Z chłopaka żywego jak ikra zrobiła się powolna łajza niezdolna do żadnej pracy. Ja również trulem się w pracy wielokrotnie do utraty przytomności. Trulem się czadem, spalinami, chemikaliami, brakiem tlenu. Dlaczego nie zgłupiałem? Szczegółowe badania komputerowe nie wykryły żadnych zmian – dlaczego?

W końcu lipca wylatała swój resurs Jaskółka. Resurs jest to ilość godzin do wylatania, określony przez wytwórnictwo dla sprzętu nowego lub przez zakłady remontowanego. Stare szybowce, które wylatały swe godziny wycofuje się z eksploatacji i właśnie taki koniec przyszedł na naszą Jaskółkę. Przez kilka lat była z nami, dostarczała nam wielu niezapomnianych wrażeń. Gdy na uchylonych klapach kręciła się w kominie termicznym wyprzedzając inne szybowce, kiedy jej zgrabna smukła sylwetka pruła przestrzeń na przeskokach, wyglądała jak rasowy koń w czasie gonitwy. Teraz trzeba było pożegnać się z nią na zawsze. Drugiej nie dostaniemy bo Jaskółki kończyły się wszędzie. Ostatni lot przypadł w udziale dla mnie. W ostatnim locie można było przekroczyć resurs. Latałem dokąd się dało, tak długo jak powietrze chciało nosić. Oddano ja potem jakiejś szkole do zabawy. Uwiązana

na lince przed szkołą wisiała dopóki sznurek nie zbutwiał i nie połamała się. Martwa maszyna, a jednak bliska. Jeszcze nie skończył się kurs podstawowy za wyciągarką, a już zaczęliśmy szkolenie grupy na holu za samolotem. Lataliśmy intensywnie ale tylko w lotach szkolnych. Na wyczyn czasu nie było. Co dzień od rana Czapla i wyciągarka, a od godzin południowych Bocian i samolot. Dnia 11 sierpnia po zakończeniu lotów na Czapli rozłożyliśmy start samolotowy i zaczęli hole na Bocianie. Pogoda utrzymywała się od dłuższego czasu, warunki dobre do lotów szkolnych. Podejście do lądowania wzdłuż lotniska od szosy bielskiej na wschód.

Wykonywałem 7 lot. Uczniowie latali sami, toteż pozwalałem im na dużą swobodę od startu do lądowania. Samolot wyholował nas 300 m nad znaki i pomachał skrzydłami. Uczeń wczepił się i rozpoczął budowę rundy. Pierwszy zakręt wykonał za wcześnie. Nie spodobało mi się to ale nic nie powiedziałem w nadziei, że się poprawi odchodząc dalej od linii znaków. Drugi zakręt też wykonał za wcześnie. Sytuacja stawała się trudna ale jeszcze możliwa do poprawienia. Ciekawe co zrobi, nie zawsze przecież będzie miał instruktora za plecami. Poza tym nie jest to jego pierwszy lot. W szkoleniu podstawowym latał po rundzie bez instruktora. Na holu też dawał sobie radę. Co mu odbiło? Zakręt 3 i 4 też wykonał za blisko znaków. Znalazł się na prostej do lądowania ale prawie 2 razy wyżej niż powinien. Zdenerwowałem się, ostrym ale spokojnym głosem zapytałem ;

– Czy chcesz z tej wysokości lądować? Przecież zabraknie ci lotniska.

Chłopak nic nie odpowiedział. Po prostu zgłupiał i nie wiedział co powiedzieć. Przejąłem stery i na otwartych hamulcach aerodynamicznych wprowadziłem szybowiec w głęboki ślizg. Bocian ustawiony bokiem do linii lotu i mocno przechylony na prawe skrzydło bardzo szybko wytracał wysokość. Do tej pory wszystko przebiegało prawidłowo. Około 5 m nad ziemią chciałem wyprowadzić ze ślizgu, ale w tym momencie drążek sterowy doznał chwilowych wibracji. Szybko i z dużą siłą zaczął skakać od burty do burty. Krzyknąłem do ucznia:

– Co robisz!!! Puść stery.

Myślałem, że to on zląkł się ostrej jazdy do dołu i szarpie nerwowo drążkiem. Nie mogąc opanować drążka wdepnąłem przeciwną nogę. Szybowiec wyszedł ze ślizgu ale ruchy drążka nie ustały. W tym momencie bez wyrównania, z prędkością około 90 km/h płożą przednią uderzył w ziemię, odbił się od niej i poszedł do góry na wysokość około 5 m. Gdyby całkowicie utracił prędkość i spadł, niewątpliwie połamałby się, a ja straciłbym licencję. Zdażyłem oddać drążek i normalnie wylądować. Ze startu biegli do nas uczniowie i Szef Wyszkożenia. Zapytał co się stało? Odpowiedziałem, że uczeń podszedł za wysoko do lądowania, potem zląkł się ślizgu i zaczął machać drążkiem uniemożliwiając mi lądowanie. Uczeń tłumaczył się, że się w ogóle do sterów nie dotykał. Od chwili gdy na wysokości przejąłem stery on siedział biernie. Instruktor Lewandowski pokazał mi zegarek!!! Co u licha, w jakim celu? Co to ma znaczyć? Szef zapytał:

– Co było rok temu o tej godzinie?

No tak – teraz zrozumiałem, zegarek wskazywał kilka minut po 16:20. Rok temu dokładnie w momencie gdy uderzyłem w ziemię zginął Stasiak Majewski. Loty zapisane są w aeroklubowych listach chronometrażowych, w dzienniku osobistym, podpisane i podstemplowane za zgodność z listami wzlotów. Nie jest to więc mój wymysł. Szybowiec uszkodzenia nie odniósł, ale Szef zdecydował:

– Kończymy na dziś latanie.

W wydarzeniu tym jest kilka dziwnych aspektów: „Dlaczego uczeń, który latał dobrze nagle zgłupiał? Dlaczego szybowiec wytrzymał zderzenie z ziemią, chociaż według zasad rozsądku powinien się uszkodzić?”. Sam miałem zdarzenie, że przy normalnym lądowaniu kółko podwozia wlaźło do środka kadłuba. Dlaczego drążek sterowy wykonywał ruchy sprzeczne z wszelkimi zasadami sterowania i aerodynamiki? Jeżeli nie wierzyć uczniowi i przyjąć mój punkt widzenia, że to on podświadomie i bezsensownie szarpał drążkiem, co jest mało prawdopodobne, to dlaczego działo się to akurat w chwili pierwszej rocznicy tragicznej śmierci. Celowo nie piszę wypadku czy katastrofy ponieważ wypadek rozciągnięty był w czasie. Od urwania skrzydła do zderzenia z ziemią upłynęło kilka minut. Wrak spadł z wysokości 5 km, natomiast śmierć nastąpiła w ściśle określonej sekundzie. Powie ktoś, że to był splot przypadków. Ale są to przypadki nieprawdopodobne, nie pierwsze i nie ostatnie które opisuję.

Następne dni, miesiące i lata upływały mi pomiędzy szkołą a lotniskiem. Małe sukcesy, drobne porażki, chwile czasem wesołe czasem smutne, przygody nie tylko lotnicze mieszały się w kieracie codziennych obowiązków rodzinnych, w pracy zawodowej i społecznej. Nie sposób wszystkiego opisać i zapamiętać. Każdemu człowiekowi życie dostarcza podobnych wrażeń, emocji i stresów. Przechodzi się nad tym do porządku i dalej robi swoje. Te wszystkie przeżycia bardziej lub mniej znaczące wrzuca się do jednego kosza zwanego doświadczeniem życiowym. Czasami trudno jest ten bagaż udźwignąć. Człowiek czuje się nim przygnieciony, albo inaczej zmęczony życiem, ale radzić musi sobie sam. Dzieci i wnuki zbierają własne doświadczenia. Ich koszyk jest jeszcze lekki ale przyjdzie czas, że i on się zapełni. Wtedy zrozumieją, ale nas już nie będzie. Ich doświadczenia też nikomu nie będą potrzebne. Doświadczenie życiowe jest tania moneta, niczego się za nią nie kupi i nikt jej nie chce. Czasem coś się z tego kosza wygrzebie, czasem zakręci się łaź i to wszystko. Dla mnie łatwiej jest wygrzebać coś z pamięci gdyż prawie wszystko zapisane mam w dziennikach lotów.

W lipcu 1970 r zdałem egzaminy na licencję samolotową w Lisich Kątach. Nie od razu piskłę które się wylegnie dostaje pióra. Zostałem pilotem samolotowym ale kolejne kwalifikacje i uprawnienia trzeba jeszcze długo zdobywać. Na razie mogłem latać tylko przy dobrej pogodzie. Samolot to nie szybowiec, często musi latać w warunkach gorszych, a nawet trudnych. Musi holować szybowce, wywozić skoczków, latać w teren przygodny, w nocy, w zespole, kręcić akrobacje. Wszystkiego trzeba się kolejno nauczyć. W miarę podnoszenia kwalifikacji zwiększa się przydatność pilota i otwierają się większe możliwości. Żółtodziób wzbudza nieufność. Wszystko jest ważne ale najważniejsze latanie po trasach. Chodzi o to aby się nie zgubić, aby dolecieć do celu gdy pada deszcz, wieje silny wiatr, gdy niskie chmury i mgła uniemożliwiają odnalezienie się w terenie. Latanie tego rodzaju stwarza nowe przygody, nowe niebezpieczeństwa i przeżycia. Początkowo dużo latałem z instruktorami, szefem wyszkolenia i kierownikiem Stańskim. Innych instruktorów nie mieliśmy, a ci byli bardzo dobrzy. Latałem jako drugi pilot i nabierałem doświadczenia ale głównym moim zadaniem było nadal szkolenie szybowcowe. Na przełomie czerwca i lipca 1971 r wystartowałem w Warszawskich Zawodach Szybowcowych. Zawody te były eliminacjami do Mistrzostw Polski. Pięciu pierwszych eliminowało się wyżej. Ja zająłem 7 miejsce. Nie zakwalifikowałem się ale w gruncie rzeczy nie o to mi chodziło. Startowałem na Bocianie, który doskonałością nie dorównywał szybowcom wyczynowym, poza tym latając ostatnie 3 lata tylko nad lotniskiem w lotach szkolnych, nie mogłem równać się z wyczynowcami. Siódme miejsce mnie satysfakcjonowało. Trochę treningu i bym im dorównał, ale na trening zawodniczy nie miałem szans z kilku powodów. Najlepszym przygotowaniem wyczynowym było by pojechać na turnus do Leszna Wielkopolskiego. Tu w Centralnym Wyczynowym Ośrodku Szybowcowym trenowała kadra pod okiem szefa wyszkolenia, a zarazem trenera pana Dankowskiego. Impreza taka wiązała się z czasem i kosztami, a ja nie miałem ani jednego ani drugiego. Szybownictwo wyczynowe jest sportem, mnie natomiast nęciło latanie zawodowe. Zawody szybowcowe to dodatkowe emocje, inne wrażenia i przygody, a tego wszystkiego popróbowalem na warszawskiej imprezie. Przez dwa dni kibicowała mi żona, tymczasem zawody trwały dwa tygodnie, ale tyle czasu ona nie miała. Rozegrano 7 konkurencji przelotowych po trasach zamkniętych. Atmosfera zawodów wyzwalała doping i wole rywalizacji. 30 szybowców na trasie. Koledzy którzy wcześniej wystartowali są dalej lub wyżej. Ambicja nakazuje dogonić ich. Czasami widzisz szybowiec na polu – ten wypadł z dzisiejszej gry. Czasami sam kończysz się szukając miejsca do lądowania, podczas gdy inni zaliczają konkurencję. Organizacja zawodów bardzo dobra. Nikt z lądujących w terenie nie jest zostawiony na noc. Kilka samolotów ścigało pechowców. Gdzie nie może dotrzeć samolot jedzie wózek. Na jutro wszyscy muszą być gotowi do następnej konkurencji. Gromada pilotów przed tablicą wyników. Toczą się zażarte dyskusje i dzielenie się wrażeniami. Rano odprawa, omówienie zadania, kreślenie trasy i wyliczanie kursów. Szeręgami stoją szybowce gotowe do startu. Kilka samolotów kolejno wyciąga je w powietrze. Z Płocka jest nas 5. Mamy oblecieć trasę trójkąta 230 km Warszawa – Maków – Małkinia.

Małkinia to mała miejscowość w Polowie trasy kolejowej Warszawa – Białystok, niełatwo ją znaleźć. Jeśli szybowiec nie zamelduje się nad punktem kontrolnym na odpowiedniej wysokości to nie zaliczy konkurencji. Punkty kontrolne to znaki wyłożone z płócien startowych. Komisarze sportowi rejestrują

meldujących się zawodników. Znaki widoczne są z powietrza ale trzeba je znaleźć. Dwa szybowce minęły Małkinie i poszły dalej na wschód. Jeden szybowiec był nasz, drugi z Warszawy, leciała nim młoda pilotka późniejsza instruktorka Róża Sokolowska. Kolega z Płocka Andrzej Długosz doleciał do granicy. Zorientował się nad Brześciem gdzie jest i zawrócił. Róża poleciała dalej i wylądowała gdzieś na polach kołchozowych. Została aresztowana i osadzona w celi jako szpieg. Krasnoarmiejcy widzieli 2 szybowce w powietrzu, a wylądował jeden. Kuda drugoj? Skąd Róża miała to wiedzieć? Soldaty takich samolotów nie znali i nie wiedzieli do czego służą. Leci po cichu, ląduje w polu to znaczy, że szpion. Zanim się sprawa wyjaśniła Róża straciła 2 konkurencje i darmo najadła się strachu.

Kilkanaście km na wschód od lotniska Goławek stał potężny zbiornik gazowy popularnie zwany baniakiem. Dowcipni warszawiacy dodatkowo ufundowali nagrodę Puchar Baniaka. Pucharem okazała się 5 litrowa bańka z aluminium służąca kiedyś w wytwórni perfum jako zbiornik na olejek różany. Puchar Baniaka otrzymał ten z zawodników, który lądując w terenie przygodnym znajdzie się najbliżej zbiornika gazowego. Była to nagroda przechodnia i na swojej powierzchni miała wyrytych już kilka nazwisk jej poprzednich zdobywców. Teraz zdobył ją nasz młody szybownik Jurek Lewicki. Równoległe z warszawskimi zawodami szybowcowymi odbywały się Międzynarodowe Zawody Spadochronowe w skokach na wodę Zalewu Zegrzyńskiego. Spadochroniarzy zakwaterowano w pięknym ośrodku wczasowym nad zalewem. Organizatorzy zawodów postanowili obie imprezy zakończyć razem.

Szybowników dowieziono do Zegrza i rozpoczęła się oficjalna uroczystość w przyjemnej atmosferze. Po wręczeniu nagród, dyplomów i plakietek pamiątkowych i wymianie uścisków przystąpiono do części artystycznej, czyli balangi suto zakrapianej alkoholem. Polska i ruska wódka mieszała się z bułgarskimi koniakami, węgierskimi winami i niemieckimi likierami. Koktajl niesamowity. Siedzieliśmy przy jednym bardzo długim stole. Po jednej stronie Jurek Lewicki po drugiej Krzysztof Machnacki, obaj byli młodymi chłopakami, a ja bądź co bądź nauczycielem i instruktorem, obaj byli moimi uczniami. Gdy nalano wszystkim po dużym kielichu i wzniesiono „100 lat” chłopcy z dużym zakłopotaniem zwrócili się do mnie ;

– Co mamy z tym zrobić?

– Od czego macie Puchar Baniaka? Napijcie się trochę na smak, a resztę do bańki.

Pod koniec imprezy mało kto kogo rozumiał, ale my byliśmy trzeźwi. Bańka napełniona była do połowy a jej zawartość pachniała różami. Nic nie szkodzi. Na lotnisku w Płocku znaleźli się amatorzy perfum. Piąty uczestnik naszej płockiej ekipy Karol Kaniewski zajął na Standardce 5 miejsce i wyeliminował się do Mistrzostw Polski.

W pierwszych dniach lipca rozpoczął się kurs podstawowy. Młodzi piloci zdobywają kolejne warunki i uprawnienia, a ja jak co roku w tym czasie przesiadam się na Czapłę. Przychodzą następni kandydaci. Większość z nich z czasem się wykrusza, traktują swe szkolenie jako wakacyjną przygodę, ale zapaleńców nie brakuje. Ci uparcie pną się po szczeblach kolejnych uprawnień i wyczynów do celu. W drugiej Polowie lipca otrzymaliśmy nowy szybowiec typu Pirat. Należało go odebrać z wytwórni w Bielsku Białej. Poleciliśmy samolotem PZL–104 Wilga. Na lotnisku Szybowcowych Zakładów Doświadczalnych przeszkolono mnie na nowy typ i na holu przyprowadziłem szybowiec ku radości kolegów. Pirat był nową konstrukcją i doskonałością przewyższał wszystkie nasze szybowce. W sierpniu przyleciał do nas gość z Gdańska na szybowcu Foka. Gościem tym był Kierownik Aeroklubu Gdańskiego komandor pilot Zbigniew Luranc. Foka w tamtym czasie była najdoskonalszym polskim szybowcem i jednym z najlepszych na świecie. Aeroklub Płocki długo jeszcze miał czekać na takie konstrukcje. Z podziwem oglądałem szybowiec nie myśląc nawet o możliwości latania na nim. Pan Luranc zgodził się przeszkolić najbardziej doświadczonych pilotów. Specjalnie został u nas dłużej i zanim przyleciał po niego samolot z Gdańska, zdołałem wylaszować się na Fokę również i ja.

Sezon lotny 1971 zakończyłem przekroczeniem pierwszego tysiąca godzin nalotu.

Ostatniego sierpnia pożegnałem kolejne wakacje. Razem z żoną pojechałem motorem do Pawlickich. Boguś i Lucyna mieszkali w sąsiedniej wsi Machcino. Od kilku lat spotykaliśmy się razem aby ostatni wakacyjny wieczór spędzić w miłej towarzyskiej atmosferze, powspominać przeżyte lata i podzielić się wrażeniami. Bogdanowi po wypadku źle złożono złamania. Gdy kości zrosły się, a on nadal nie mógł

chodzić, z pomocą przyszedł kierownik aeroklubu pan Waclaw Stański. Na jego prośbę Bogdanem opiekował się Wojskowy Instytut Medycyny Lotniczej w Warszawie. Kości nóg jeszcze raz połamano i zestawiono po swojemu. Operacja udała się i Bogdan po zagojeniu ran i rekonwalescencji nie tylko normalnie zaczął chodzić ale otrzymał orzeczenie Głównej Komisji Lotniczo Lekarskiej dopuszczającej go do latania. Jednak żona postawiła veto i Bogus musiał karierę lotniczą zakończyć.

W szkole nadal pracowaliśmy razem. Lula – tak nazywał swa żonę Bogdan i my, po ukończeniu Studium Nauczycielskiego uczyła języka polskiego w szkole podstawowej w Machinie. W następnych latach ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Na dalsze latanie męża nie godziła się ponieważ przeżycia związane z wypadkiem Bogdana i perspektywa opieki nad kaleką były zbyt dramatyczne. Woląla nie kusić losu. Nasze powakacyjne spotkania stały się już taką dwurodzinną tradycją. Tematów zawsze było moc i nigdy nie udało nam się ich wyczerpać. W szkole wywierano pewną presję na nauczycieli, którzy nie posiadali wyższego wykształcenia, aby zdecydowali się ukończyć studia. Powstały nowe systemy kształcenia dla osób po 2 letnich SN-ach. Były to Wyższe Szkoły Nauczycielskie. Nie dawały one tytułu magistra, ale tytuł ten można było uzyskać dokształcając się na wydziałach uniwersyteckich. Nauczyciele tłumnie ruszyli na studia. Na jedno miejsce startowało po 10 kandydatów. Egzaminy wstępne poprzedzono kursem przygotowawczym. Kurs trwał kilka miesięcy. Na matematykę uczęszczało około 100 osób. Złożyłem podanie o przyjęcie do WSN w Olsztynie.

Z setki uczestników kursu do Olsztyna przyjęto nas czworo. Parę osób dostało się do Łodzi i Bydgoszczy. Tak jak kiedyś jeździłem do Warszawy, teraz zacząłem jeździć do Olsztyna. Nauka odbywała się w systemie korespondencyjnym, ale w wakacje i święta organizowano sesje stacjonarne, w tym czasie mieszkaliśmy w akademiku.

Podczas sesji sobotnio – niedzielnych w hotelach, gdzie miejsce rezerwowała nam szkoła. Organizacja była lepsza niż w Warszawie, toteż nauka nie była obciążona dodatkowymi trudnościami i stresem. Pierwsza sesja stacjonarna trwała przez cały lipiec. Najbardziej podobały mi się wykłady z ekonomii politycznej. Nazwiska wykładowcy nie pamiętam, ale uważam go za jednego z najlepszych nauczycieli, prawdziwego mistrza w swym zawodzie. Ekonomii politycznej uczyłem się już wcześniej, ale dopiero teraz mogłem zrozumieć o co tu chodzi i zainteresować się. Wykładów słuchało się jak ciekawych opowieści. Gdy po 2 tygodniach przyjechałem na niedzielę do domu poprosiłem żonę aby towarzyszyła mi w dalszym pobycie. Tłumaczyłem, że oderwie się od codziennych zajęć gospodarskich, zobaczy kawałek świata i pozna innych ludzi. Zakwaterowanie i wyżywienie wykupi się w akademiku bez trudności. W wykładach można uczestniczyć dobrowolnie. Na matematykę nie namawiam, ale ekonomii powinna posłuchać. Poza tym można zwiedzić miasto, poopalać się nad jeziorem i przyjemnie spędzić czas. Do Olsztyna pojechaliśmy motorem, przy ładnej pogodzie podróż była przyjemną wycieczką. Wszystko odbyło się tak jak obiecałem żonie poza jednym szczegółem. Gdy posłuchała ciekawych wykładów, porozmawiała z dziewczynami w pokoju i zobaczyła jak dużo ludzi starszych i młodszych uczy się, oświadczyła mi:

– Od września idę do szkoły kończyć maturę

Tego nie przewidziałem, odrzekłem, że już dawno powinna to zrobić. Po tygodniu wracaliśmy do domu. Pogoda się zepsuła. Początkowo było pochmurno, ale deszcz nie padał. Od połowy trasy siapił drobny kapuśniaczek, który coraz bardziej przybierał na sile. Przerzywać podróży nie było sensu. Po 3 godzinach byliśmy w domu. Autobusem lub pociągiem jechalibyśmy o kilka godzin dłużej, a zmoklibyśmy i tak. Po powrocie do Olsztyna odwiedziłem lotnisko Aeroklubu Warmińsko – Mazurskiego w Dajtkach. Szefem Wyszkożenia był tu instruktor pilot Wiesław Moczulski, ten sam który kiedyś szkolił mnie podstawowo w Strzebielinie Morskim.

Ponoć tylko góra z góra się nie zejdzie. W Olsztynie wykonałem kilka lotów, w tym nawet jeden termiczny na Foce i parę instruktorskich. Sesja lipcowa na uczelni zakończyła się. W sierpniu rozpoczął się kurs podstawowy. Do pomocy w szkoleniu miałem młodego praktykanta Tadeusza Skuzę. Był to ostatni prowadzony przeze mnie kurs szybowcowy w AZM. Latałem jeszcze w lotach instruktorskich ale sporadycznie i w miarę potrzeby. W latach następnych Czaple i wyciągarki poszły do lamusa. Szkolono na holu za samolotem, ja jednak wybrałem inną drogę. Więcej zacząłem latać samolotami. We

wrzeźniu przeskoliłem się na samolot PZL–101 Gawron i jeszcze tego roku wykonałem kilka przelotów do innych miast. We wrzeźniu poszła do szkoły moja żona. Rozpoczęła naukę w 3 letnim Technikum Ekonomicznym dla uczniów po Zasadniczych Szkołach Handlowych. Była to szkoła wieczorowa. Nauka trwała co dzień niemalże do godzin nocnych. Teraz ona przyjeżdżała ostatnim pociągiem, a ja zajmowałem się dziećmi po powrocie z pracy. Często żona równocześnie gotowała obiad, robiła pranie i uczyła się, lub odrabiała lekcje potrzebne na wieczorna zajęcia. Do tego jeszcze hałasowały dzieci. Grażynka miała już 9 lat a młodsza córka Joasia 6 lat. Dzieci czasami się posprzeczały czasami pokłóciły. Biegły do matki na skargę.

– Mamo Grażyna zrobiła to,

– Mamo, nieprawda bo Gośka powiedziała tamto.

Kiedyś żona nie wytrzymała:

– Cholera jasna, jak mi jeszcze która powie mamo, to taki wam wpięprz spuszczę, że na tyłkach nie usiądziecie.

Oczywiście była to tylko groźba bo u nas dzieci nie biło się, zresztą nie było takiej potrzeby. Obie dziewczynki były posłuszne i grzeczne. Zdarzały się czasami wpadki których nie można przewidzieć. Na imieniny żony mieli przyjść goście. Nauczycielska pensja nie wystarczała na wystawne przyjęcie, ale coś niecoś się kupiło.

– Mamo daj nam oranżady

– Dostaniecie jak przyjdą goście

Jeszcze goście nie zamknęli za sobą drzwi, a one w krzyk – Mamo goście przyszli daj nam oranżady

Kiedyś moja mama zaczęła opowiadać Grażynce: „Wiesz Grażuniu, jak dorośniesz i będziesz panią doktor to babcia będzie już stara. Na starość będę już źle słyszała i widziała a ty mi wtedy pomożesz. Przyjdę do ciebie pokażę oczko.”

Dzieciak na to z przestachem – A ja się złękę i ucieknę.

Miała wtedy 4 latka. Była bardzo ładnym dzieckiem, inteligentnym i wesołym. Po żonie odziedziczyła niebieskie oczy i jasno złote włosy. Dzieci w tym wieku wypowiadają różne pierwsze zdania i mają wiele humorystycznych pomysłów.

Pewnego razu wracaliśmy pociągiem z Płocka. W przedziale jechała z nami żona kierownika miejscowej szkoły, starsza nauczycielka pani Skorupska. Zauważyła, że mamy bardzo ładną córkę, wykapana Kęsikównę. Grażyna nie lubiła tego określenia

– Nie jestem wcale wykapaną Kęsikówną. Nie widzisz, że mam czarne oczy i czarne włosy?

Wszyscy w przedziale wybuchnęli śmiechem. Kiedyś podobnym zdaniem określiła ją sąsiadka. Grażyna miała wtedy niewiele ponad rok, bawiła się przed domem. Już wtedy chodziła i mówiła pewnymi zdaniami. Minęło od tamtej pory 3 lata. Sąsiadka zapytała ją czy jest mama w domu, a dzieciak na to:

– Nie powiem ci bo cię nie lubię. Ty powiedziałaś, że jestem wykapana Kęsikówna.

Roczne dziecko zapamiętało urazę na następne lata. Zapamiętała również osobę i gdy nadarzyła się okazja dała wyraz swoim pretensjom. Chyba odziedziczyła to po swym tacie, bo ja również nie potrafię zapomnieć przykrości.

W pracy i nauce upłynęła nam zima. Oboje zaliczyliśmy semestr I. W lutym 1973 poszedłem do biura aeroklubu. Pan Stański zwrócił się do mnie tymi słowami ;

– Panie Wieśku, czy nie chciałby się pan przenieść do pracy w aeroklubie na stanowisko instruktora? Przedsiębiorstwo robót Termoizolacyjnych i Antykorozyjnych Izokor Instal zakupiło dla swych potrzeb samolot Jak–12 ale nie mają pilota. Na etat do Izokoru przechodzi pan Lewandowski Ryszard. Będzie on szefował na? etatu. Pan byłby na etacie lotnym z pensją około 5000 zł.

Było to prawie 2 razy więcej niż zarabiałem w szkole. Zgodziłem się bez namysłu.

Aeroklub wystąpił do kuratorium z prośbą o przeniesienie służbowe za porozumieniem stron. Pismo to i opinię przytoczę w całości:

„Do Kuratorium Okręgu Szkolnego w Warszawie, za pośrednictwem Dyrekcji Zasadniczej Szkoły Budowlanej nr 1 w Płocku, Kierownictwo Aeroklubu Ziemi Mazowieckiej w Płocku zwraca się z prośbą o przenie-



Z żoną przy szybowcu „Mucha Standard”.

sienie służbowe względnie oddelegowanie do pracy w naszej organizacji nauczyciela Zas. Szk. Bud. Nr 1 w Płocku ob. Wiesława Cygańskiego.

Organizacja nasza jako Stowarzyszenie Wyższej Użyteczności Publicznej zajmuje się szkoleniem oraz wychowaniem młodzieży lotniczej, dlatego pracownicy z kwalifikacjami pedagogicznymi są nam w chwili obecnej bardzo przydatni.

Obywatel Cygański jest doświadczonym instruktorem lotniczym i w naszym aeroklubie pracuje od roku 1965. obecnie w związku z rozwojem Aeroklubu Ziemi Mazowieckiej zaistniała konieczność zatrudnienia dodatkowego instruktora o wysokich kwalifikacjach specjalistycznych. Obywatel cygański jest jedynym kandydatem z wymaganymi kwalifikacjami na terenie naszego miasta i w związku z tym bardzo prosimy o pozytywne załatwienie niniejszej prośby.

W uzupełnieniu komunikuję, że nie wykluczamy możliwości powrotu ob. Cygańskiego do pracy w szkolnictwie po spełnieniu nawarstwionych zadań szkoleniowych dla potrzeb W.P. i ogólnolotniczych. Kierownik AZM W. Stański inst. pilot.”.

Do tego pisma dołączono opinię o treści:

„Ob. Wiesław Cygański syn Pawła ur. 2.XII.1935 roku jest członkiem naszej organizacji od chwili powstania aeroklubu. Zaczyna od modelarstwa lotniczego jeszcze jako członek Ligi Lotniczej od 1949 r. Jako modelarz propaguje to zamięłowanie wśród młodzieży, a po uzyskaniu uprawnień instruktora prowadzi społecznie zajęcia modelarskie w płockich modelarniach. Sam wybitny modelarz i zawodnik przekazuje wiedzę i zamięłowanie do lotnictwa młodzieży. Od roku 1952 jest skoczkiem spadochronowym – wykonał 51 skoków. W roku 1958 kończy kurs pilotażu szybowcowego i kontynuuje tę działalność do dziś. Jest współtwórcą rekordu Polski w 1959 r. W roku 1964 uzyskuje uprawnienia instruktora szybowcowego i od tej pory szkoli społecznie młodzież dla potrzeb Wyższej Oficerskiej Szkoły Lotniczej oraz aeroklubu. Licencje pilota samolotowego otrzymuje w 1970 r a obecnie przygotowuje się do uzyskania uprawnień instruktora samolotowego.

Jest z zawodu nauczycielem i obecnie studiuje w Wyższej Szkole Nauczycielskiej.

Zamięłowany w lotnictwie, świetny wielostronny działacz lotniczy, doskonały pedagog z racji wieloletniej pracy z młodzieżą. Znając ciężką sytuację aeroklubu na odcinku osobowym wyraził zgodę na zatrudnienie go w aeroklubie jako z-ca ds. społeczno – wychowawczych. Aeroklub widzi pełną przydatność ob. Cygańskiego Wiesława na tym stanowisku znając go jako uczciwego lojalnego działacza lotniczego od szeregu lat. Jego wszechstronność wyszkolenia lotniczego jak i znajomość zasad działania z młodzieżą gwarantuje pełne wykorzystanie go na

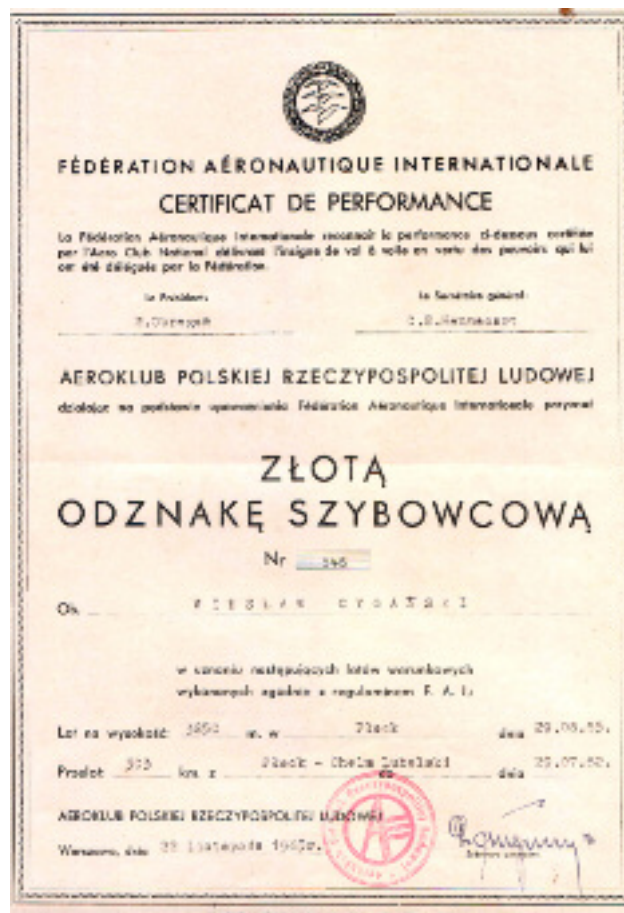
tym stanowisku i dodatkowym obowiązkiem partycypacji we wszystkich procesach wyszkolenia lotniczego. Dał się poznać jako człowiek prawy, spokojny i zdyscyplinowany w powietrzu i na ziemi. Jako działacz – sumienny, pozbawiony zainteresowań finansowych, rozmiłowany w lotnictwie. Jest żonaty, posiada dwoje dzieci. Jest bezpartyjny. Oblicze moralno – polityczne nie budzi żadnych zastrzeżeń.”

Opinie podpisali Kierownik AZM Waclaw Stański oraz sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej R. Lewandowski.

Drugą załączoną opinią była opinia Dyrekcji Zasadniczej Szkoły Budowlanej:

„Opinia: ob. Wiesław Cygański pracuje w szkolnictwie dziesiąty rok. W Zas. Szk. Bud. Uczy matematyki od dziesięciu lat. Lekcje prowadzi różnymi metodami bo ma ambicję osiągnąć w pracy zawodowej pozytywne wyniki. Wysokie wymagania stawia też przed swymi uczniami. W/w kolega jest jednocześnie zamiłowanym modelarzem. Na wysokim poziomie zorganizował pracownię modelarską w której młodzież szkolna wykonuje oryginalne i piękne modele samolotów. W pracy pedagogicznej kol. Wiesław Cygański jest zawsze obowiązkowy, sumienny i punktualny.

Podpisał Dyrektor Szkoły Tadeusz Kołodziejak. *Dyplom złotej odznaki szybowcowej*



Na stanowisko zastępcy kierownika do spraw społeczno – wychowawczych przyjmowano w aeroklubach ludzi których kandydatury polecała albo akceptowała partia. W moim przypadku również nie było inaczej. Musiałem stawić się w Komitecie Powiatowym PZPR aby mnie obejrżeli odpowiedni towarzysze i zdecydowali sami o mojej przydatności i obliczu moralno – politycznym. Opinie jakie wystawili mi kierownik aeroklubu i dyrektor szkoły nie budziły żadnych wątpliwości, toteż dwaj wysocy i tędzy przedstawiciele najwyższej władzy o wyglądzie bulterierów, po zadaniu mi kilku zdawkowych pytań zaakceptowali moja kandydaturę. Widocznie nie znali mojej przeszłości konspiracyjnej ani nie zasięgnęli opinii mej najbliższej rodziny bo wtedy wynik rozmowy byłby inny.

Dnia 1 kwietnia 1973 roku zamknąłem jeden ważny rozdział swojego życia, a zacząłem następny. Przestałem być nauczycielem. Do szkoły już nie wróciłem.

Część VI

W nowej roli

Obejmując w Aeroklubie Ziemi Mazowieckiej funkcję zastępcy kierownika ds. społeczno – wychowawczych, wiedziałem, że życie moje zmieni się diametralnie. Liczyłem na szybki postęp w podnoszeniu kwalifikacji lotniczych i awans w nowym zawodzie. W zasadzie nie pomyliłem się, ale kierownik Stański trochę inaczej widział moją pracę w aeroklubie. Angażując mnie pod swym zwierzchnictwem nie powiedział mi wszystkiego.

Znając moją pasję, sam był zresztą z tej samej gliny, zdawał sobie sprawę, że dla latania zgodzę się na wszystko co mi zaproponuje. Aeroklub nasz nie miał zbyt wielu stanowisk pracy dlatego trzeba było łączyć funkcje i obowiązki. Na tym zresztą polega racjonalne zarządzanie, innym słowem polityka kija i marchewki. Dopóki się nie zwolniłem ze szkoły, obiecywał, że przejdę na etat instruktorski. Potem oświadczył, że szef szkolenia instruktor Ryszard Lewandowski jako doświadczony pilot będzie pracował na swym dotychczasowym stanowisku na 0,5 etatu. Ponieważ nie ma wolnego etatu w dziale lotnym ja zajmę się proponowanym stanowiskiem kierowniczym. Na stanowisku tym będę prowadził sprawy polityczno – propagandowe, dział modelarski zajmował się lataniem samolotowym i pracą instruktorską. Gdy zrobię licencję zawodową i uprawnienia instruktora samolotowego nastąpią przesunięcia kadrowe. Aby nie obarczać mnie zbyt dużą ilością obowiązków sprawy modelarskie będzie de facto prowadził społecznie Janusz Machnacki, brat Krzyśka, który w tym czasie przebywał na kursie instruktorskim.

Czas pracy na stanowisku z-cy kierownika był nienormowany. Oznaczało to pracę od rana do nocy bez prawa do wynagrodzenia za nadgodziny. W ten sposób zostałem postawiony przed faktem dokonanym. Ufając słowom kierownika nie przejmowałem się sprawami propagandowymi i modelarskimi, lecz zająłem się lataniem. Pod tym względem potrzeby aeroklubu były duże, a ja jeszcze byłem słabo opierzony. Jak się wkrótce okazało doświadczenie moje było zbyt małe, aby wykonywać dalekie loty

usługowe i brać odpowiedzialność za czyjeś życie. Do tego potrzebna była licencja zawodowa, ale aeroklub nie posiadał innych pilotów zawodowych oprócz kierownika i szefa wyszkolenia. Trochę późno wzięto się za moje wyszkolenie, jednak Matka Boska nadal otaczała mnie swą opieką. Zaledwie kilkanaście dni po rozpoczęciu nowej pracy zlecono mi wykonanie dość skomplikowanego lotu usługowego. Miałem samolotem PZL – 101 polecieć do Warszawy, zabrać 3 inżynierów geodetów i zawieźć ich do Wrocławia. Następnie na trasie Wrocław – Opole być do ich dyspozycji. Panowie ci wytyczali szlak nowej autostrady i z powietrza mieli dokonywać wizji terenu i korekty planów. W Opolu mieliśmy przemocować, a następnego dnia odstawić ich do Warszawy i wrócić do Płocka. Wczesna wiosną pogoda była kapryśna, a ja nie miałem uprawnień do latania w trudnych warunkach atmosferycznych. Rano dnia 19 kwietnia świeciło słońce i była dobra widoczność. Pasażerowie już na mnie czekali w Warszawie.

Lot do Wrocławia też przebiegał normalnie. We Wrocławiu zatankowałem samolot do pełna, zgłosiłem u zawiadowcy lotniska trasę do Opolą i otrzymałem zezwolenie na start. 180 litrów paliwa wystarczało na 3,5 godziny lotu i przelecenie 500km. Z Wrocławia do Opolą jest w linii prostej około 90 km. Patrolując trasę musiałem według życzenia swych pasażerów zbaczać w lewo lub prawo. Oni w tym czasie coś zapisywali, coś kreślili na swych mapach. Ja nie miałem czasu skonfrontować swojej pozycji z mapą. Drobnostka, pomyślałem, odnajdę się na Odrze. To był mój pierwszy błąd. W połowie trasy, gdzieś na wysokości miasta Brzeg inżynierowie stwierdzili, że w zasadzie wykonali swe zadanie i do Opolą nie muszą lecieć. Chcą do Warszawy. Tu nastąpiła cała seria mych błędów. Nie wiedziałem dokładnie gdzie jestem. Nie miałem wykreślonej trasy ani wykonanych obliczeń nawigacyjnych. Nie byłem pewien czy wystarczy mi paliwa i czasu na dolecenie do Warszawy. Najważniejsze w tym było to, że trasę zgłoszoną miałem do Opolą. Jeżeli nie dotrę do celu na czas, to rozpoczną się poszukiwania. Jakże byłem głupi i naiwny. Zaryzykowałem dla czyjegoś widzimisie. W myśl przepisów dowódcą statku powietrznego jest pilot a nie pasażerowie. Zadziałały tu nawyki szybowcowe, lecieć do przodu i nie martwić się na zapas. Dość, że zawinałem rogala i określając kurs na oko poparułem jak mi się wydawało w kierunku Warszawy. Odnajdę się na Pilicy lub na Wiśle. Nawet nie wiedziałem, że mam przed sobą ponad 300 km, tj. ponad 2 godziny lotu. Minęła godzina 16:00, na 18 z minutami powinienem być w Warszawie, tylko czy wcześniej dzień się nie skończy? Skąd wieje wiatr? Czy nie przedłuży on czasu lotu, o której zachodzi słońce? Itd., itd. Nie pomyślałem również o pogodzie, na razie była dobra, ale po pół godzinie zaczęła się psuć. Chmury zawisły tuż nad głową na wysokości 150 m., znad lasów podniosły się mgły, nie widać ani do przodu ani do dołu i niewiele na boki. Na dodatek złego z chmur zaczął padać śnieg z deszczem. W kabinie zapanował mrok. Na pytanie pasażerów gdzie jesteśmy odpowiedziałem, że w połowie drogi między Odrą a Wisłą. Nie miałem pojęcia gdzie się znajduję. Od czasu do czasu gdy między lasami była większa przerwa, przerzedzały się mgliste opary i coś w dole mignęło, raz jakaś droga, to znowu jakaś wioska. Pasażerowie studiowali mapy, ale to nic nie dało. Zaczęła się 3 godzina lotu. Powinienem dolać do Warszawy.

Po drodze nie napotkałem żadnego większego miasta, nie było również Pilicy. A może była tylko zakryta mgłami i jej nie widziałem. Muszę zmienić taktykę lotu. Zamiast lecieć kursem na północny – wschód polecę na wschód. Lecąc kursem 90 stopni muszę trafić na Wisłę. Zbliżała się godzina 18 i kończyło się paliwo, skończyły się również lasy. Chmury były nisko, padał drobny deszcz, ale przynajmniej było widać ziemię. Lecąc na wysokości 100 m zobaczyłem jakąś szosę i wioskę, za wioską pole koniczyny. Postanowiłem wylądować. Pole okazało się jak lotnisko, a przecież nie musiało i samolot też nie jest szybowcem. Przyszli jacyś ludzie. Pytam się co to za miejscowość. Na mapie nie wiadomo gdzie tego szukać. Dokąd prowadzi ta droga? Warszawa – Radom, no to jestem w domu. Przede mną Kozienice i Dęblin. Do Warszawy nie dolecę gdyż zapada zmrok i kończy się paliwo. Po starcie zobaczyłem daleko przed sobą czerwone światła na kominach Kozienickiej elektrowni. Zacząłem wołać przez radio lotnisko Dęblin. Miasto było już oświetlone, ziemia tonęła w mroku, jeszcze kilka minut i nie wyląduję, chyba, że na oświetlonym pasie. Ale Dęblin się nie zgłasza. Następny – mój błąd – nie wiedziałem, że lotniska wojskowe mają swoje kryptonimy i na Wołanie otwartą nazwą nie odpowiedzą. Przeleciałem Wisłę. Nie wiem gdzie szukać po ciemku lotniska, tymczasem tutaj widzę jakieś łąki – postanowiłem lądować. łąki mogą być podmokłe, mogą być nierówne i ogrodzone, ryzyko bardzo duże ale nie miałem już wy-

boru. To jest minuta ostatniej szansy. Gdy „Gawron” dotknął kołami ziemi szybko hamuję impulsami aby skrócić dobieg i nie skapotować. Pierwszą rzeczą po wylądowaniu była pośpieszna ucieczka moich pasażerów. Nawet nie powiedzieli do widzenia.

Jak na włączonych dopalaczach pognali w kierunku szosy i autobusu do Warszawy. Dobrze, że nie widzieli iż samolot zatrzymał się 3 metry od głębokiego rowu. Trzeba było dostać się do telefonu i powiadomić lotnisko o swym awaryjnym lądowaniu. Była godzina 18:40. lądowałem na prawym brzegu Wisły koło miejscowości Tyrzyn, 80 km od Warszawy. Noc była bardzo zimna, zmarzłem jak kiedyś w Jaworznie. Nie było spadochronu aby się owinać. Rano gdy nad łąkami podniosły się mgły zobaczyłem na wodnych łachach otaczających Wisłę płynącą łódkę. Jakiś człowiek podrywką łowił ryby. Dochodziła 5:00 gdy skończył połów. Za niespełna pół godziny przyszedł do samolotu i przyniósł mi gorącą herbatę, chleb i smażone ryby. Jakże byłem mu wdzięczny. Są jednak w Polsce ludzie niezwykli. Specjalnie wstał skoro świt aby złowić mi rybę i przygotować śniadanie. Niech Pan Bóg mu wynagrodzi, bo ja nie potrafiłem.

Około południa przyjechał aeroklubowy samochód i przywiózł 2 kanistry benzyny. Do Warszawy wystarczyło. U zawiadowcy musiałem się wypowiadać ze swego wyczynu. Winą obarczyłem swych pasażerów, tłumacząc, że kategorycznie zażądali powrotu do Warszawy, reszty dokonała pogoda i przeciwny wiatr. Ja nie poniosłem skutków swej lekkomyślności bo na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Po południu wróciłem do Płocka. Komisja Bezpieczeństwa i Higieny Lotów opisując w biuletynie mój przypadek określiła jako błąd wynikający z małego doświadczenia w trudnych warunkach atmosferycznych. Komisja zwróciła kierownikowi uwagę aby nie powierzał takich zadań niedoświadczonym pilotom. Człowiek uczy się na błędach ale lepiej uczyć się w szkole, jest to bezpieczniejsze i taniej kosztuje. Na wniosek kierownika otrzymałem z Zarządu Głównego APRL odznakę Zasłużonego Działacza Lotnictwa Sportowego. Przedstawia ona sokoła lotniczego otoczonego złotym wieńcem z liści laurowych. Numer odznaki 551 dowodzi, że zbyt wielu pilotów nie zostało nią wyróżnionych.

Latać zacząłem intensywnie od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Z każdym dniem zdobywałem nowe doświadczenia i wiele wrażeń. Latałem po całej Polsce w różnym celu., wszystkiego opisać się nie da i jest to zbędne, ale ciekawsze przygody przypomnę ponieważ takie jest zadanie pamiętnika. W połowie maja odholowałem szybowiec do Leszna na zawody. W trakcie lotu zepsuła się pogoda i musiałem z nocować w Centralnym Ośrodku Szybowcowym.

Na drugi dzień pogoda nie chciała się poprawić. Inne samoloty latały ale ja nie posiadałem uprawnień do lotów. przy podstawie chmur niższych niż 200 m, widzialności nieprzekraczającej 3 km i wiatorku powyżej 12 m/s. Nie wiem jak długo przyszło by mi siedzieć w Lesznie gdyby nie instruktor pilot Edward Makula. Była to postać sztandarowa w lotnictwie polskim. Wielokrotny mistrz i rekordzista wyróżniony najwyższymi odznaczeniami w sporcie szybowcowym. Pilot komunikacyjny na liniach zagranicznych, nauczyciel wielu pokoleń pilotów. Pan Makula chciał jak najszybciej dostać się z Leszna do Warszawy ale nie było żadnej okazji oprócz mnie. Ale ja byłem uziemiony. Zawiadowca lotniska zgodził się abym leciał pod opieką instruktora. Dla mnie był to zaszczyt lecieć z taką sławą, ale z drugiej strony czy trema pozwoli mi na normalny lot, czy znowu nie skompromituję się czymś. Pan Makula chyba wyczuł moje obawy, bo rzekł : „Leć tak jakby mnie nie było, ja będę spał”. Widocznie chciał rozładować mój stres. Latał z niejednym takim dziećciem i wiedział doskonale jakie obciążenie psychiczne wywołuje taki egzaminator na pokładzie. Usiadł na tylnym siedzeniu jak zwykły pasażer i całkowicie wyłączył się. Do Płocka doleciałem bez przeszkód. Pan Makula serdecznie przywitał się z moimi szefami i autobusem odjechał do Warszawy. Ja zaś mam co wspominać do dzisiaj. 30 maja wyholowałem szybowce na termikę. Była ładna pogoda, wiał wschodni wiatr.

Andrzej Wesołowski, późniejszy kierownik, a w obecnej nomenklaturze dyrektor A.Z.M., był wtedy początkującym pilotem szybowcowym. Podstawowo szkolilem go w roku 1970, obecnie posiadał drugą klasę szybowcową i wystartował na szybowcu „Mucha 100” do pierwszego dalekiego przelotu. Pod wieczór zadzwonił, że doleciał do morza w rejonie Kołobrzegu. Ponieważ nie miałem jeszcze uprawnień do lądowania w terenie przygodnym, poleciałem samolotem CSS-13 do Słupska. Z wiatrem leciało mi się szybko i przyjemnie. Kukuruźnik ma tylko owiewkę a dookoła otwartą przestrzeń, lot takim kabrioletem dostarcza wielu wrażeń. Latałem już nim do Torunia, Lisich Kątów, nawet do Krosna ale nad morze

trafiło się pierwszy raz. Słupsk od morza oddalony jest kilkanaście kilometrów. Tak jak kiedyś nie potrafiłem odmówić sobie przyjemności obejrzenia z powietrza Wyścigu Pokoju, tak podobnie teraz postanowiłem minąć lotnisko i polecieć do Ustki. Gdybym posiadał łączność radiową zamiar ten by się nie udał. Musiałbym podporządkować się rozkazom z ziemi. Mijając bokiem lotnisko zauważyłem sygnały rakiet i świateł dymnych ale udałem, że ich nie widzę. Bałem się aby nie poderwać pary dyżurnej wojskowych Migów, które strzegły granic i gotowe były na każdy alarm. Mogłyby zmusić mnie do lądowania na swym lotnisku jako potencjalnego uciekiniera i miałbym się ciężko wytłumaczyć. Toteż nie przeciągając struny zawróciłem nad Ustką i z długiej prostej podszedłem do lądowania. Po szybowiec pojechaliśmy wózkiem około 90 km. Andrzej lądując zakołował na jakiś duży kamień i uszkodził kadłub.

Mechanik w Słupsku dziurę prowizorycznie zakleił i warunkowo dopuścił szybowiec do transportu. Do Płocka przylecieliśmy 1 czerwca, ale droga pod wiatr zajęła prawie 4 godziny lotu. Przelotem tym Andrzej zdobył warunek do „złotej”. Pomyślnie zakończyłem 1 rok studiów w Olsztyńskiej WSN. Promocję uzyskała również moja żona. Gdy ja zajęty byłem wiosenną sesją egzaminacyjną i zajęciami na uczelni, w tym czasie zmarł mój ojciec. Już wcześniej chorował na serce, przeżył 2 zawały. Trzeciego nie przeżył. Gdy zator miażdżycowy odetnie krwi drogę do serca, krew potrafi znaleźć sobie obejście innymi tętnicami. Człowiek potem żyje na półobrotach, ale jeszcze żyje. Gdy zatykają się ostatnie rurki, wtedy ratunku już nie ma. W ten sposób zakończyło życie wielu moich kolegów i znajomych. Gdy odszedłem ze szkoły budowlanej, prosiłem kolegę pilota szybowcowego Kazia Różyckiego aby zaopiekował się szkolną pracownią modelarską. Poleciałem go dyrekcji szkoły jako świetnego modelarza i instruktora. Kazio prowadził modelarnię na wysokim poziomie, dopóki nie zmarł na serce podczas 3 zawału. Podobnie jak mój tata. Ja nie byłem nawet na pogrzebie. Do domu wróciłem tydzień po fakcie. Pojechałem motorem na cmentarz do Jeżewa aby w samotności pożegnać go i zapewnić, że pomimo wielu życiowych zakrętów zawsze szanowałem go, podziwiałem i kochałem. Jednak życie toczy się nadal „Umarł Król niech żyje Król”. Po letniej sesji rozpoczynającej 2 rok studiów wróciłem do pracy na lotnisku. Szybowcowy kurs podstawowy dobiegał końca. Prowadził go w ramach praktyki instruktorskiej Krzysiek Machnacki również mój uczeń z kursu w roku 69.

Obecnie posiadał licencję pilota samolotowego i wkrótce zaczął pracować w aeroklubie jako instruktor szybowcowy. Ja po powrocie z Olsztyna włączyłem się w pracę instruktorską. Zrobiłem uprawnienia do lotów w terenach przygodnych i zacząłem latać po szybowce w teren. Czasami w naszym rejonie lądowały szybowce z innych aeroklubów. Obowiązkiem było ściągnąć je do siebie aby zabezpieczyć sprzęt i zaopiekować się pilotami. Młodzi piloci z czasem zajmowali odpowiedzialne stanowiska i z niektórymi los pozwalał spotkać się w różnych okolicznościach. Kiedyś zabrałem z niewielkiego rżyska młodego chłopaka Stefana Webera. Miejsca do startu było mało, liczył się każdy metr. Zupełnie jak kiedyś w Międzyrzeczu gdy z pola zabierał mnie Janusz Szygendowski. Skróciłem linkę holowniczą do 3 m i jakoś wyszliśmy. Odwiozłem go motorem do hotelu. Ze Stefanem spotykałem się wielokrotnie w Kętrzynie i w Afryce. Później został on Inspektorem Personelu Lotniczego w Departamencie Lotnictwa Cywilnego Ministra Komunikacji.

W tym samym czasie wylądował niedaleko nas szybownik o oryginalnym imieniu i nazwisku. Alojzy Bablikow. Zaopiekowałem się nim nie sądząc, że w przyszłości spotkam go jako pułkownika Wojska Polskiego na stanowisku komendanta WKU i, że z jego ręki otrzymam nominację na sierżanta, a potem podporucznika Wojska Polskiego. W tym czasie przeżyłem bardzo dramatyczną sytuację, która omal nie zakończyła się tragicznie. W sierpniu prowadziłem naukę holu z grupą, która w ubiegłym roku ukończyła kurs podstawowy. Uczniowie latali już samodzielnie po kręgu na „Musze 100”. Kolejny lot odbywał uczeń pilot Andrzej Mazurkiewicz. Start i hol do wysokości 250 m przebiegał prawidłowo. Byliśmy nad halami produkcyjnymi FMŻ gdy nagle zaczął mi tańczyć na sznurku. Nie potrafił opłonić szybowca w locie prostym za samolotem. Przechodził z jednej strony samolotu na drugą. Odchylenia stawały się coraz większe, aż w końcu dogonił i zrównał się z Kukuźnikiem. Leciał z boku mnie, dałem ręką znak do wczepienia. Chłopak wczepił się ale był tak zestresowany, że zapomniał co dalej robić. Ściągnął drążek na siebie i Mucha wpadła w korkociąg. Obserwowałem go jak spadał w kierunku hali fabrycznej i z każdą zwitką byłem coraz bardziej przerażony. Widziałem wychylony do

góry ster wysokości i w myślach modliłem się o cud. Po wykręceniu 3 pełnych obrotów, gdy do ziemi pozostało 100 m szybko nagle powstrzymał obroty, nabral prędkości i tuż nad płaskim dachem hali wyszedł z lotu nurkowego. Uratował się w ostatnich sekundach i na ostatnich metrach. Lądował z prostej w poprzek lotniska kończąc dobieg na jego północnym krańcu niedaleko terenów zieleni miejskiej. Jesienią przyjechał kontroler z Zarządu Głównego APRL po linii propagandowo – modelarskiej, a więc działu za który ja odpowiadałem i brałem wynagrodzenie.

Pan Paweł Włodarczyk był jednym z czołowych modelarzy kraju i w Zarządzie Głównym prowadził całokształt zagadnień modelarskich. Był człowiekiem sympatycznym i po koleżeńsku traktował działaczy modelarskich w terenie. Nie mogłem mieć pretensji za to, że bezstronnie opisał to co zastał. Ja zajęty pracą na lotnisku nie zwracałem uwagi na to co działo się na odcinku propagandy i modelarstwa. A praktycznie nie działo się nic. Kierownik Stański sam nie bardzo wiedział na czym miała polegać praca jego zastępcy do w/w spraw. W dziale propagandy nie zorganizowano żadnego spotkania, nie przeprowadzono żadnego konkursu, czy wystawy. Nawet nie wysłano do zarządu lipnego sprawozdania. Janusz Machnacki, dobry modelarz, który miał prowadzić ośrodek modelarski, był pracownikiem zakładów petrochemicznych, oddelegowanym czasowo do aeroklubu. Nowy kierownik odwołał go z delegacji i ośrodek przestał działać.

Modelarstwo na szczuble aeroklubu to nie tylko praca ośrodka. To także sieć modelarni przyszkolnych i przyzakładowych. To współpraca ze spółdzielczością mieszkaniową, domami kultury, spółdzielnią sportowców Społem, z harcerstwem i innymi związkami organizującymi życie socjalne swych pracowników. To wreszcie prowadzenie szerokiej działalności sportowej. Gdybym nawet o tym wszystkim wiedział to i tak w ciągu kilku miesięcy nie przywróciłbym tego do życia. W uwagach i zaleceniach pokontrolnych zobowiązano kierownika do bieżącej kontroli pracy swego zastępcy. Ja nagany nie otrzymałem tylko dla tego, że byłem nowy na stanowisku i mogłem nie orientować się w zadaniach i obowiązkach. Wkrótce odbyło się w wydziale propagandy Z.G.APRL zebranie zastępców i kierowników, na którym szef wydziału propagandy pułkownik Ogorzałek podał wytyczne do pracy.

Dodatkowo zażądał aby w aeroklubach regionalnych zaprowadzono kroniki. Nie skoroszyty z wycinkami prasowymi, nie albumy ze zdjęciami, ale literacko opracowane zapisy najważniejszych wydarzeń w chronologicznym porządku. Ambicja nie pozwalała mi na zaniedbanie swych obowiązków a z latania zrezygnować nie mogłem i nie chciałem. Przede mną była zima i bardzo dużo pracy organizacyjnej. Ponadto musiałem przygotować się do egzaminów w szkole i napisać pracę dyplomową na temat „Rozszerzania przestępne ciało”. Może ktoś w tym miejscu zadać pytanie: do czego pilotowi potrzebna jest matematyka? Jest to pytanie najczęściej zadawane przez uczniów. Im młodsza klasa tym bardziej niezrozumiały jest ten problem. Ja również w średniej szkole zadawałem sobie to pytanie gdy starałem się zgłębić zasady prostych rachunków i zależności logicznych. Uważałem, że rozwiązywanie sztucznie skomplikowanych zadań i piętrowych przykładów, które w życiu nie występują, jest po prostu bez sensu. Idąc tym tropem rozumowania musielibyśmy stwierdzić, że wiele naszych poczynań nie posiada sensu. Idzie ktoś na siłownię i wykonuje próżną pracę. Biega do upadłego chociaż nikt nie ma z tego pożytku. Skacze w takt muzyki, gania za piłką, ściga się, mociuje i na wiele różnych sposobów zmusza swe ciało do wysiłku. Dlaczego to robi? Jest to jasne dla każdego i nikt nie ma wątpliwości, że w ten sposób rozwijamy swe ciało. Mięśnie, które nie pracują po prostu zanikają. Racjonalnie dawkowana praca wpływa na nasze zdrowie, siły i samopoczucie. A co z umiejętnością myślenia? Co z rozumem i inteligencją?

Tak jak potrzebne są ćwiczenia fizyczne aby rozwinąć bicepsy, tak samo potrzebne są ćwiczenia umysłowe aby rozwinąć intelekt. Matematyka potrzebna jest więc każdemu i do wszystkiego. W październiku poleciałem samolotem do Olsztyna na zaliczenie kolokwium z jakiegoś przedmiotu, następnego dnia wróciłem do Płocka. Za kilka dni poleciałem do Mielca i Krosna. Lotami tymi rozpocząłem szkolenie w trudnych warunkach atmosferycznych. Skończył się sezon lotny a ja zająłem się reorganizacją naszego modelarstwa. Kierownik aeroklubu wydał mi zaświadczenie zezwalające na prowadzenie samochodów stanowiących własność aeroklubu. Zacząłem jeździć

po wsiach w których istniały modelarnie w latach ubiegłych. Modelarnie te zakładała moja poprzedniczka pani Halina Cieślak. Była ona nauczycielką. Po 3 latach pracy w aeroklubie odeszła do szkoły. Modelarnie założone przez nią, pozbawione opieki i zaopatrzenia zaprzestały pracy. Ich istnienie było fikcją.

Teraz należało tam dotrzeć i sprawy uporządkować. Praktycznie w Płocku działały 2 modelarnie: jedna przy Szkole Budowlanej i druga która była własnością Spółdzielni Mieszkaniowej. Modelarnię przy Budowlance prowadził Kazimierz Różycki. Opiekę nad pracownią ze strony szkoły sprawował nauczyciel wychowania fizycznego Stanisław Rusinek. W utrzymaniu modelarni partycypowała szkoła oraz Spółdzielnia Spożywców „Społem”. Modelarnię Spółdzielni Mieszkaniowej prowadził Janusz Machnacki. Współpraca aeroklubu ze spółdzielnią stanowi osobny i ważny rozdział w krzewieniu modelarstwa. Na mocy porozumienia pomiędzy Z.G.A.P.R.L. a Centralnym Związkiem Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego doszło do podpisania umowy pomiędzy Zarządem Płockiej Spółdzielni Mieszkaniowej Lokatorsko – Własnościowej a AZM.

Umowa dotyczyła współpracy w zakresie propagandy lotnictwa i wychowania młodzieży. W Spółdzielczym Domu Kultury powstały 2 modelarnie: lotnicza pod patronatem AZM i szkutnicza pod patronatem LOK. Zarządy Główne zwierzchnich instytucji powierzyły Płockiej Spółdzielni i aeroklubowi zorganizowanie w czerwcu 1973 r. VIII – mych Ogólnopolskich Zawodów Modeli Latających spółdzielni Mieszkaniowych. Dla rozegrania konkurencji w lotach modeli na uwięzi potrzebny był specjalny tor modelarski w kształcie koła o utwardzonej powierzchni i średnicy ponad 30 m. Na starcie stanęło ponad 200 modelarzy z całego kraju. Impreza ta była ważnym wydarzeniem zarówno dla PSM jak i AZM i zwiększała prestiż tych organizacji. Zorganizowano pod ich patronatem kurs radio – modelarski polegający na nauce obsługi urządzeń radiowych i zasad sterowania. Przekazano również 2 aparaty, które otrzymali Leszek Lange i Janusz Machnacki. Zapoczątkowało to rozwój radiomodelarstwa w Płocku.

W ośrodku modelarskim pracowało paru modelarzy wyczynowych. Najlepszym z nich był późniejszy pilot instruktor, szef wyszkolenia w AZM Leszek Lange. Prowadzenie ośrodka powierzono inżynierowi pracującemu zawodowo w Zakładach Stolarki Budowlanej, późniejszemu dyrektorowi tych zakładów, magistrowi Wojciechowi Krzywińskiemu. W pracę ośrodka zaangażował się również instruktor Stanisław Maciąg, późniejszy kierownik sekcji modelarskiej AZM. Ośrodek modelarski reanimowano po raz kolejny. Teraz należało przywrócić do życia sieć modelarni przyшкоlnych. W tym celu poszedłem do Kuratorium Oświaty i nawiązałem kontakt z inspektorem ds. obronności panem Włodzimierzem Majewskim. Inspektor zainteresował się propozycją współpracy i z jego pomocą dotarłem do szkół. Na zebraniu dyrektorów przedstawiłem formy działalności aeroklubu z podkreśleniem kształcących i wychowawczych walorów modelarstwa. Przyznam, że stosunek władz oświatowych nieco mnie rozczarował i upokorzył. Nie spodziewałem się owacji i serdecznego powitania, ale też nie myślałem, że propozycja współpracy i pomocy w rozwinięciu tak atrakcyjnej formy pracy pozalekcyjnej spotka się z obojętnością i brakiem zainteresowania. Po nudnych i długich wystąpieniach różnych prelegentów zarządzono przerwę.

Podczas przerwy udzielono mi głosu gdy na Sali było zaledwie kilkanaście osób. Zrozumiałem, że szkoła nie chce brać na swe barki żadnej nadobowiązkowej pracy, choćby była ona pożyteczna i ciekawa. Jak nie muszę to nie kiwnę nawet palcem w bucie. Nie dałem za wygraną. Do szkół postanowiłem dotrzeć osobiście. Zdawałem sobie sprawę, że moja funkcja i legitymacja nie upoważniają mnie do proponowania szkole jakichkolwiek form nieoficjalnych. Do niektórych wybranych szkół pojechałem razem z instruktorem Majewskim. Przedstawiciel kuratorium nadawał wizycie i rozmowie inny charakter. Większość dyrektorów wymawiała się brakiem warunków, brakiem nauczyciela chętnego do prowadzenia tego typu zajęć. I wielu innymi brakami, które w sumie określały brak chęci. W wyniku tej akcji założyłem 10 modelarni przyszkolnych. Teraz należało je zaopatrzyć w niezbędny sprzęt, narzędzia i materiały.

W niektórych szkołach gdzie były nasze pracownie, odnalazłem regały i szafki narzędziowe. Po uzupełnieniu braków przekazałem je nowym modelarniom. Jeździłem również do sąsiednich miast:

Kutna, Sierpca, Gostynina i Wyszogrodu. Składałem wizyty w domach kultury w ZHP i dyrekcjach spółdzielni. Przyjmowano mnie raczej nieufnie i wymawiano się podobnie jak w szkołach. Wyglądało to jak polowanie na jelenia, albo szukanie frajera. Efekt tych spotkań był żaden. W Kutnie w węźle kolejowym PKP od lat działała modelarnia prowadzona przez starego przedwojennego modelarza i szybownika Pawła Kapsa. Pracownia ta związana była z aeroklubem łódzkim. W Gostyninie przy domu kultury też była modelarnia pracująca pod opieką AZM, ale z powodu regresji naszego modelarstwa współpraca ta zanikła. Należało odnowić kontakty. Najlepszą pracownią była modelarnia w Zagotach. Prowadził ją na wysokim poziomie dyrektor szkoły pan Longin Kapuściński. Ja zaangażowałem się społecznie w prowadzenie modelarni w Proboszczewicach. Znałem osobiście dyrektora szkoły pana Dzierżanowskiego. Ponieważ nie było odpowiedniego kandydata postanowiłem zajęcia prowadzić sam. Nie znalazłem jednak zrozumienia wśród grona nauczycielskiego. Gdy chłopcy zbudowali swe pierwsze „Jaskółki” należało je wyregulować, wyważyć i oblatać przed zawodami o odznakę Młodego Szybownika.

W tym czasie odbywała się zbiórka harcerska, którą prowadziła nauczycielka opiekująca się drużyną. Przerwała brutalnie moje zajęcia. Gdyby chociaż przyszła do mnie sama, przecież też byłem nauczycielem i nie zasłużyłem na lekceważenie z jej strony. Pani nauczycielka przysłała uczennicę, która zwróciła się nie do mnie lecz do chłopców ze słowami: Jeżeli natychmiast nie przyjdziecie na zbiórkę to pani postawi wam dwóję ze sprawowania. Oczywiście zajęcia przerwałem, prowadziłem je tylko do wakacji. Zimą zorganizowałem kurs instruktorów modelarskich klasy III dla nauczycieli prowadzących pracownie modelarskie. Dyplomy otrzymali w Z.G.A.P.R.L.

30 marca 1974 r egzaminem dyplomowym ukończyłem Wyższą Szkołę Nauczycielską. Z pracy w AZM odszedł szef wyszkolenia Ryszard Lewandowski. Na jego miejsce kierownik przyjął Krzyśka Machnackiego. Z początkiem kwietnia obaj wyjechaliśmy do Lisich Kątów na kurs szybowcowych lotów nocnych. Uprawnieniem tym spełniłem ostatni warunek do I klasy pilota szybowcowego. Wyłaszczyłem się również na szybowiec akrobacyjny „Kobuz”. Za 2 tygodnie zdawałem w Lesznie egzaminy przed PLKE na uprawnienie radiotelefonisty pokładowego. Zdobyłem też kwalifikacje instruktora szybowcowego klasy I oraz kwalifikację do lotów na następujących typach samolotów: JAK-12, PZL104 „Wilga” oraz ZLIN 526F.

Dnia 2 czerwca odbyły się zawody modelarskie o odznakę „Młodego szybownika”. W zawodach tych startowali początkujący modelarze z założonych jesienią modelarni przyszkolnych. Aby zdobyć odznakę należało wykonać szkolnym modelem „Jaskółką”, lot trwający nie krócej niż 1 minutę. Ci którzy spełnili ten warunek mieli prawo do pierwszego w życiu lotu samolotem nad Płockiem. Były więc dyplomy, nagrody, odznaki i legitymacje. Były też przygody i wrażenia. Niektórzy modelarze nie poprzestali na tym pierwszym kroku. Szczególnie ci z Zagot, pod okiem pana Kapuścińskiego budowali następne modele startując nimi na zawodach regionalnych i ogólnopolskich. Pracownie modelarskie uczą i wychowują. Pozwalają przyjemnie spędzić czas. W sportowej rywalizacji zacieśniają więzy przyjaźni, kształtują szlachetne cechy osobowości, przyczyniają się do poznania świata i postępu cywilizacyjnego. W wychowaniu stanowią alternatywę w stosunku do wielu negatywnych pokus. Szkoda tylko, że tak mało pedagogów to rozumie. W czerwcu aeroklub nasz otrzymał samolot szkolno – akrobacyjny ZLIN 526F o znakach rejestracyjnych SP-CTB. Był to dolnopłat o sylwetce zbliżonej do samolotów myśliwskich z okresu II wojny. Jako samolot sportowy był o wiele lżejszy i delikatniejszy. Rozwijał prędkość ponad 300 km/h i stanowił przedmiot marzeń pilotów. Samolot należało odebrać z aeroklubu pomorskiego w Toruniu i tam przeszkolić się na ten typ.

Poleciliśmy razem z Krzyśkiem samolotem CSS-13 dnia 10 czerwca. W trakcie szkolenia wykonaliśmy po 20 lotów każdy. Szkolenie prowadził szef aeroklubu instruktor pilot Zdzisław Treder. Był on jednym z czołowych akrobatów i członkiem kadry narodowej. Mając do dyspozycji samolot akrobacyjny wyciskał z niego co się dało, czyli latał na granicy jego możliwości. ZLIN posiadał sygnalizację przeciążenia. Gdy przeciążenie osiągało dopuszczalne wartości graniczne włączała się sygnalizacja świetlna i dźwiękowa. W takich momentach człowiek i każda jego część waży sześćkrotnie więcej niż w warunkach ziemskich. Ja posiadałem uprawnienia do wykonywania akrobacji

średniej i chętnie się w niej wyżywałem. Swoboda poruszania się w przestrzeni trójwymiarowej jest cechą samolotu i ona dopiero daje pełnię przeżyć. Następnym etapem po średniej jest akrobacja wyższa, wyczynowa i zespołowa, ale ja do tego poziomu nie doszedłem.

Gdy wykonywałem figury akrobacyjne, lampka sygnalizacyjna nie zapalała się nigdy, w przypadku Tredera paliła się niemal ciągle. Po jego lotach mechanicy dokładnie sprawdzali samolot. Pierwszym ćwiczeniem zadania jest zapoznanie z właściwościami pilotażowymi samolotu. Obejmuje ono wykonanie figur akrobacji dopuszczonych zakresem eksploatacji samolotu i objętych kwalifikacjami pilota. O tym czy w ćwiczeniu, figury należy wykonać pojedynczo czy w powiązaniu decyduje instruktor. Tyle na ten temat mówi program szkolenia. W pierwszych lotach instruktor pokazał nam jak wygląda pilotaż w zakresie dopuszczalnej eksploatacji gdyby nie on nigdy nie poznałbym smaku prawdziwej akrobacji. Potem były loty po kręgu, pilotaż w strefie i egzamin. Później starałem się naśladować instruktora Tredera wykonując niektóre elementy wyższego pilotażu, ale co innego jest usiłowanie naśladowania, a co innego systematyczna nauka pod okiem mistrza. W Płocku nie było instruktora posiadającego takie kwalifikacje. Na zakończenie szkolenia instruktor ostrzegał aby nie starać się zbyt szybko go naśladować i nie przechodzić za prędko z samolotem na ty. Co to miało oznaczać przekonałem się już następnego dnia. Po zakończeniu szkolenia Krzysiek wrócił do Płocka CSSem a ja ZLINEM. Mając pod siedzeniem i w ręku taki samolot i nie pochwalić się rodzinie znaczyłoby, że nie jestem go wart.

W Parzeniu u rodziców mojej ciotki Lucyny Grochowskiej, żony Tadeusza odbywało się jakieś przyjęcie rodzinne. Byli prawie wszyscy. Parzeń leżał na trasie, nie musiałem nawet zbaczać z drogi. Nie planowałem żadnych pokazów. Tylko przypikuję do prędkości 300 km/h następnie poderwę samolot i wykonam efektowną bezkę sterowaną na wznoszeniu. Niech wiedzą, że mają siostrzeńca pilota. Już pod skrzydłami przepływało Bądkowo, rozwalony dworek gdzie kiedyś mieszkała mama gdy ja wróciłem z więzienia. Licznymi zakolami wiję się Skrwa. Poda mną brudzeński las. Już widzę dom Gabryszewskich i zebranych na podwórku gości. Jest czerwiec więc goszczą się przed domem. Oddaje lekko drażkę i dodają gazu. Chałupa z czarnym dachem leci prosto na mnie. Wysokość 50 m – teraz!!!

W podnieceniu podciągam drażkę zbyt energicznie. Samolot zadziera do góry przód z wirującym śmigłem ale nie zmienia toru lotu. Maszyną wstrząsa wibracja. Typowe przeciągnięcie dynamiczne. Żaden samolot na którym latałem do tej pory nie zachowywał się w ten sposób, ale też żaden nie posiadał takiej konstrukcji i takiej prędkości. Przerażenie sparaliżowało mnie. To już koniec. Silnik pracuje pełną mocą ale oderwane od skrzydeł strugi powietrza tłuką o ich powierzchnię jak pałeczki werbla. Samolot zbliża się do dachu pod kątem 30 stopni jakby ciągnął go magnes.

2 sekundy wydłużają się w trudna do oceny czasową przestrzeń. W 2 sekundy niczego nie da się zrobić, zwłaszcza gdy się doznaje szoku i zahamowania nerwowego. Na wysokości około 10 m samolot przestał spadać i w tym momencie jak rakieta wystrzelił w górę. W rekach czułem bezwład i drżenie. Chęć wykonywania bezki opuściła mnie całkowicie. Instruktor Treder ostrzegał, aby ze ZLINEM nie przechodzić zbyt szybko na ty.

Lipiec i sierpień to okres intensywnego szkolenia. Kursem podstawowym zajął się Machnacki, a ja lotami kontrolnymi, nauką holu i lotów termicznych. Coraz więcej zacząłem wykonywać lotów usługowych.

We wrześniu dokończyłem szkolenie w trudnych warunkach atmosferycznych i otrzymałem uprawnienia do lotów przy podstawie chmur 150 m., widoczności 1,5 km i prędkości wiatru 18 m/s. Było to ważne uprawnienie otwierające duże możliwości latania po trasach nawigacyjnych z lądowaniem na obcych lotniskach. W początkach października otrzymaliśmy zawiadomienie z ZGAPRL, że mamy przygotować samolot CSS-13 i załogę, pilot oraz mechanik do ciekawej i nietypowej usługi.

Wytwórnia filmowa w Bratysławie przystąpiła do produkcji filmu historycznego pod tytułem „Żiwot na uteku”. Do filmu potrzebne były stare dwupłatowe samoloty. Ponieważ Czechosłowacja takich nie miała postanowiono wypożyczyć je z Polski. Do zadania tego wyznaczono 5 Kukuźników z aeroklubów w Toruniu, Płocku, Lisich Kątów, Białegostoku i Dębina. Prowadzić grupę miał major Puchała na Jaku 12 z Dęblińskiej O.S.L. Załogę płocką stanowiłem ja i szef techniczny Tadeusz Gozdan.

Pozostali piloci to szefowie szkoleń Treder z Torunia, Hardt z Lisich, kierownik aeroklubu białostoc-

kiego instruktor pilot Jagodzik oraz porucznik pilot Jan Tarczoń z Dębina. Samolot nasz odesłano do przygotowania w Zakładach Remontowych w Krośnie ja natomiast musiałem jak najszybciej wyrobić sobie paszport.

14 października wyruszyliśmy na spotkanie z przygodą, po nowe emocje i wrażenia. Do Krosna dojechaliliśmy pociągiem. Tadek zajął się odebraniem samolotu i dokumentacji z zakładu, dokonał przeglądu technicznego, ja wykonałem oblot i wyruszyliśmy w drogę do Nowego Targu. W międzyczasie przyleciały następne samoloty. Jeszcze tego samego dnia grupą 6 samolotów dolecieliśmy do Bratysławy.

Była ładna słoneczna pogoda. Uroku dodawały barwy złotej jesieni i pokryte lasami góry. Wyżej wznosiły się nagie szczyty Tatr. Po przekroczeniu granicy lecieliśmy doliną Orawy na wysokości 1000 m ale góry były o wiele wyższe. W kilku miejscach rzeka tworzyła przełomy, płynąc ciasnymi kanionami wśród gór. Wyglądało to groźnie, wzbudzało lęk i emocje. Lecieliśmy wężowozem wśród szczytów Małej Fatry.

W pewnym miejscu wężowóz zamykał się prawie pionową ścianą. Zacząłem obawiać się, że nasz lider zabłądził i wprowadził nas w ślepą uliczkę. Na zawrócenie było za ciasno, chyba, że ranwersem, ale jak to zrobić grupą 6 samolotów. Skoro jednak lider grupy leciał spokojnie w kierunku góry to chyba wie co robi. Gdy doleciał do przeszkody wykonał ciasny zakręt o 90 stopni w lewo. Za nim skrył się za górą drugi, trzeci i tak kolejno. Byłem przedostatni. Gdy wykonałem manewr za kolegami, zauważyłem 2 km w przedzie następną podobną barierę. Tym razem wykonaliśmy kolejno zakręt o 90 stopni w prawo. Istny slalom pomiędzy górami. Widoki jak z westernu, brakowało tylko Indian. Za 2 zakrętem było jakieś miasto, węzeł kolejowy, szosy, a za nimi rozległa dolina. Dalej góry były niższe pokryte w wysokich partiach połoninami sięgającymi poziomu naszego lotu. Druga połowa trasy prowadziła ponad rozległymi polami uprawnymi. Były to wielohektarowe gospodarstwa rolne zapewne państwowe, bo wsi i małych gospodarstw nie widziałem. Po 3,5 godzinach lotu pełnego wrażeń, lądowaliśmy w Bratysławie. Hotel, w którym nas zakwaterowano leżał w pobliżu Dunaju i nowoczesnego mostu zawieszono nad rzeką na grubych stalowych linach. Po drugiej stronie była już granica z Austrią. Kilkadziesiąt metrów za mostem przebiegał mur graniczny z wartowniami i punktami obserwacyjnymi.

Mur rozdzielał nie tylko 2 państwa, ale przede wszystkim dwa wrogie systemy, odgradzał bolszewicką komunę od wolnego świata. Czechosłowacja należała do państw tzw. demokracji ludowej. Choć system ten nie miał nic wspólnego z demokracją ani z ludem, to jednak różnicę między socjalizmem czechosłowackim a polskim widać było na każdym kroku. Zanim rozpoczęły się zdjęcia do filmu mieliśmy 3 dni na zwiedzanie miasta i przyjrzenie się życiu ludzi. Najbardziej uderzyła mnie i zdziwiła wielka życzliwość Słowaków w stosunku do Polaków. Zdziwiła dla tego, że po inwazji wojsk polskich na Czechosłowację w roku 68 mogli mieć do nas urazę i mieli prawo okazywać niechęć. Skąd więc taka serdeczność okazywana nam na każdym kroku i nie tylko w Bratysławie?

W sklepach obsługiwano nas bardzo uprzejmie. Na ulicy gdy usłyszeli polską mowę, podchodzili do nas obcy ludzie, witali się i nawiązywali serdeczną rozmowę. Polak ze Słowakiem porozumieć może się bez trudu, gdyż języki te są bardzo podobne. Podeszedł do nas jakiś pan i zapytał w jakim hotelu mieszkamy i czy może nas odwiedzić. Przyszedł z paroma butelkami wina i herbatnikami. Wieczór miło upłynął na towarzyskiej pogawędce. Innym razem sprzedawca w sklepie gdy usłyszał nas zawołał z nieukrywaną sympatią: „Bracia Polacy, ja coś dla was mam.”

Zdziwiliśmy się – co on może mieć i to akurat dla nas. Poszedł na zaplecze i przyniósł widokówki z górskich Słowackich rejonów, jakieś plakaty i ilustrowane kalendarze. Niby nic a cieszy. Nie wartość kalendarza ile okazywana przyjaźń. Gdy zaczęliśmy loty, podeszła do mnie na lotnisku młoda dziewczyna. Zapytała czy jestem z Polski. Następnie zaprosiła do grona kilkunastu młodych chłopców i dziewcząt do spadochroniarni. Była to grupa aeroklubowych spadochroniarzy, którzy mieli przyjemność spotkać się z nami. Kupili dużą butelkę wina na zapoznanie. Przyjęli jak potrafili, ale spontanicznie i z własnej woli. Wszyscy pili z jednej butli.

Mnie jako gościa częstowali pierwszego ale odpowiedziałem, że zgodnie z polską tradycją niech zaczną dziewczyny. Na ich zaproszenie przybyło jeszcze paru kolegów z naszej ekipy. Przysłowiowa polska gościnność okazuje się trochę przesadzona. Podobnych przykładów było znacznie więcej. Po wykonaniu pierwszej serii próbnych lotów mieliśmy okazję obejrzeć się na filmie. Treścią filmu było powstanie i

opór Słowaków po zajęciu ich kraju przez Niemców w 1939 roku. Tytuł „Żiwot na uteku” był tytułem roboczym i oznaczał życie na przełomie. Polska nie zakupiła tego filmu i nie widzieliśmy go w całości, ale przygoda i miłe wspomnienia pozostały na całe życie.

To jeszcze nie koniec tej przygody. Konsul polski zaprosił nas do konsulatu na spotkanie przy lampce wina. Któryś z kolegów zwrócił uwagę na ten przyjacielski serdeczny stosunek. Konsul potwierdził nasze odczucia. Powiedział, że on w swojej pracy spotyka się z sympatią taką na co dzień. Uważa, że jej źródłem jest między innymi niechęć do Czechów. Słowak obraża się za nazwanie go Czechem. Jest przywiązany do swej ojczyzny i nie akceptuje dominacji i nonszalancji z jaką odnoszą się do nich Czesi. Polacy natomiast uznają ich za równych sobie i nie okazują lekceważenia. Gdy zakończono zdjęcia do filmu pożegnano nas w miłej atmosferze, wręczono pamiątkowe odznaki Bratysławskiej wytwórni „Kolibra” i nazajutrz wystartowaliśmy w drogę powrotną.

Był koniec października i słotna jesień przypominała nam o swych prawach. Chmury, które nad Bratysławą były wysoko, przysłoniły wierzchołki gór, obniżyły się i zaczęło z nich padać. Między górami nie przejdziemy, nad górami tym bardziej. Wylądowaliśmy na aeroklubowym lotnisku w niewielkim ale pięknie położonym wśród gór miasteczku Priewidza. Szef naszej grupy natychmiast zawiadomił wytwórnię filmową i za 3 godziny mieliśmy pieniądze należne w ramach delegacji. Ponieważ w Priewidzy nie było miejsca w hotelu, zawieziono nas do odległego o kilkanaście kilometrów górniczego miasteczka Handlowa. Co było robić z tak pięknie rozpoczętym, wieczorem? Najlepiej iść na piwo. W Czechosłowacji piwa pija się dużo. Jest na świecie znane i smaczne.

We wszystkich miastach serwuje się je w piwiarniach, kawiarniach, barach, restauracjach, na dancingach i gdzie się tylko da. W tych latach Czesi i Słowacy mieli soboty wolne od pracy. Dzień ten praktycznie przeznaczony był do zabawy. Wszędzie urządzano dancingi, wszędzie rozbrzmiewała muzyka, wszędzie wystrojone pary jak u nas na sylwestra. Złe porównanie. U nas raz do roku na sylwestra trzeba słono zapłacić i kilka miesięcy wcześniej zamówić miejsce. Tam idzie się kiedy ma się ochotę, i miejsca są wszędzie i za symboliczną opłatą lub tylko w ramach konsumpcji można bawić się do rana. Skąd ja to wiem? Bo widziałem i byłem na podobnych imprezach. Wracając z lotniska, gremialnie wstąpiliśmy do ekskluzywnego lokalu. Portier zwrócił nam uwagę, że obowiązuje strój wieczorowy. Powiedzieliśmy, że chcemy tylko zobaczyć. Gdy usłyszał polską mowę zaprosił nas do środka. Jednak kultura nakazywała zastosować się do wymogów. Nie mieliśmy wykwintnych strojów ale jaki taki garnitur i krawat wystarczył. W Handlowej poszliśmy do przestronnej piwiarni.

Całą długość sali zajmował jeden stół utworzony przez zestawienie do siebie mniejszych stolików. Goszczono się wspólnie. W oparach dymu papierosowego śmiało się i rozmawiano około 50 górników. Gdy weszliśmy i zobaczyliśmy rozbawione męskie towarzystwo chcieliśmy się wycofać, ale natychmiast zaproszono nas do środka. Gdy usłyszeli polską mowę momentalnie zrobiło się miejsce przy stole, momentalnie kelnerzy przynieśli kufle z piwem nie pytając o zapłatę. Na leżącej karcie czystego papieru kelner narysował tyle kresek ile przyniósł piw. Kresek było już kilkadziesiąt, on dorysował następne. Kto miał dość i wychodził płacił pieniądze i skreślał od góry tyle kresek ile piw wypił. Nikt nikogo nie oszukał i na koniec wszystko się zgadzało. Nikt też nie zalał się po polsku w tak zwanego trupa.

Jeszcze Polacy długo muszą uczyć się kultury od swych południowych sąsiadów. Gdy towarzystwo dowiedziało się, że jesteśmy pilotami i przygnała nas tu zła pogoda przyjęli nas jako swych gości honorowych. Stawiali nam dodatkowe piwa, ale my też nie byliśmy dziadami, a korony w Polsce były nam nie potrzebne. Jeżeli ktoś nie widział podobnego wyszynku w polskim stylu, śpieszę zapewnić, że prędzej zarobi pięścią w nos niż dopcha się do lady. W swojej karierze lotniczej trafiłem również do takiej Czerwonej oberży i to nie jednej. W Priewichy i Handlowej pogoda zatrzymała nas na 4 dni. Wytwórnia filmowa chciała nas się pozbyć gdyż każdy dzień naszego pobytu zwiększał koszty filmu, a biznes to biznes.

Dnia 30 października pułap chmur nad Priewichą podniósł się i nawet wyjrzało słońce. Wystartowaliśmy do Nowego Targu aby wkrótce przeżyć istny horror. Ponieważ lot pomiędzy górami był niemożliwy, lider grupy postanowił przelecieć ponad górami. Tylko nie wziął pod uwagę jed-

nego drobnego szczegółu, że stare i wyeksploatowane CSSy za nim nie nadążą, poza tym nie wdrapią się na wysokość powyżej 2000 m. Przed nami rozciągały się pasma niskich Tatr, Wielkiej i Małej Fatry.

Na lewo Morawska Magura na prawo Góry Liptowskie stanowiące przedpole wysokich Tatr. Wszystkie pasma posiadały szczyty wznoszące się na wysokość 1700–2000 m, ale szczyty te zakrywała gęsta ławica chmur warstwowych. Zbliżaliśmy się do nich jak do czarnego muru. Jak-12 dodał gazu i poszedł ponad chmury. Nie mieliśmy łączności radiowej ani map. Lecieliśmy jak gęsi za przewodnikiem, ale przewodnik uciekł, a my zostaliśmy sami. Ten który miał mocniejszy silnik drapał się do góry przedzej. Grupa rozleciała się. Każdy ratował się na własną rękę. Ja zostałem na końcu. Daleko przed sobą widziałem jakiś samolot, ale i on zniknął mi z oczu. Na pełnej mocy nie można długo lecieć. Najwyżej 5–6 minut. Używa się jej tylko do startu. Po starcie zmniejsza się do nominalnej. Na mocy nominalnej mój CSS nie chciał się wznosić, był u kresu swych możliwości. Miałem 2000 m. Aby wyjść ponad chmury brakuje mi 200 m, a czarna ściana coraz bliżej. Daję pełny gaz. Wskazówka wariometru wskazuje 0,5 m/s wznoszenia. Po kilku minutach muszę gaz zmniejszyć. Wariometr pokazuje 0 ale tylko na małej prędkości. Gdy prędkość się zwiększa z powrotem zjeżdża na niższy poziom. Dodaję gazu i zyskuję 50 m wysokości. Gdy dolatuję do chmury mam 2150 m, brakuje tylko 50.

Włączam przyrządy do ślepego pilotażu i zanurzam się w gęstą mgłę. Manewrując gazem pomiędzy mocą maksymalną a nominalną udaje mi się wyjść trochę wyżej.

Koła samolotu jeszcze są we mgle ale ja już widzę horyzont pokrywany się z oświetloną słońcem srebrzystą płaszczyzną. Zużycie paliwa jest duże, może dlatego udało mi się wyjść ponad chmury. Ale co będzie dalej? Zmniejszę moc to wejdę w chmurę, będę leciał na dużym gazie to zabraknie mi paliwa. Bez łączności i map nie będę wiedział gdzie jestem. A co dzieje się pod chmurami? Może mgła jest do samej ziemi i nie będę mógł wylądować, ani nawet znaleźć odpowiedniego pola. Na moment chmura rzędzie, robią się luki. Pod skrzydłami widzę najeżone iglice skalnych grzbietów. Ciarki przechodzą po plecach. Może lecę w kierunku Tatr, może za chwilę drogę zagrodzą mi ponad dwukilometrowe szczyty, których nie przeskoczę. Trzeba odbić trochę na zachód. Po kilkunastu minutach dalszego lotu w chmurach tworzą się głębokie luki. Widzę jakąś wodę jakby na dnie olbrzymiej studni. Nie mogę stracić tej okazji. Jest to jedyna szansa aby zejść pod chmury. Na ujętym gazie w głębokim krążeniu opadam w kierunku wody. Trzeba uważać aby nie przechłodzić silnika. Jeżeli zgaśnie to nikt nas w tej wodzie nie znajdzie. Na wysokości około 100 m nad wodą kończą się chmury ale nadal niewiele widać bo pada gęsty śnieg. Z kabiny samolotu wygląda to jak zamieć. Lecę kilkadziesiąt metrów nad wodą. Nadal nie wiem co to za jezioro. Gdy się wreszcie kończy widzę jakąś osadę otoczoną małymi pulkami. To chyba Polska, bo w Czechosłowacji czegoś takiego nie ma. Poda mną tor kolejowy. Jest tor to będzie i stacja. Z wysokości 50 m coś niecoś widać. Mała stacja z napisem Czarny Dunajec. Lecąc po torze znajdę Nowy Targ jeśli wcześniej nie zderzę się z jakąś przeszkodą. Jak znajdę lotnisko w tej zamieci?

Wszystko co na dole jest białe. Nagle z boku dostrzegam samolot CSS-13. Nie wiem kto to, ale lecę tuż za nim. Jak się wkrótce okazało był to Jasio Tarczoń, rodak z Nowego Targu. On znał tutaj na pamięć każdy kamień. Łądujemy szykiem na lotnisku jako ostatni. Znaleźliśmy się w komplecie chociaż każdy przyleciał sam. Wszystkie samoloty lądowały w odstępach kilkuminutowych. Nie wiem jakie konsekwencje poniósł nasz lider za takie wspaniałe poprowadzenie grupy. Wojsko swymi sprawami nie chwali się, ale na pewno medalu za to nie otrzymał. Wkrótce przybyli celnicy aby dopełnić formalności paszportowych. Wrażenia były silne. Kolejny raz wszystko dobrze się skończyło. Następnego dnia wróciliśmy do Płocka. W listopadzie rozpoczął się w Toruniu kurs instruktorów samolotowych. Wzięliśmy w nim udział razem z Krzyśkiem Machnackim. Przez 5 miesięcy jeździliśmy pociągami do Torunia na soboty i niedziele. Zajęcia odbywały się w salach wykładowych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. W tym samym czasie odbywał się tu kurs magisterski dla studentów po WSN. Spotkałem kilka osób z którymi kończyłem olsztyńską szkołę. Gdybym nie zmienił zawodu teraz byłbym z nimi, ale to już przeszłość.

Równoległe z kursem teoretycznym wykonywaliśmy obowiązujące zgodnie z programem szkolenia.

Część praktyczną w Płocku. Loty metodyczne wykonywał z nami kierownik aeroklubu, instruktor I klasy Waclaw Stański. W lotach nocnych musiało być 2 instruktorów. Na zaproszenie przyjechał z Warszawy z Zarządu Głównego APRL Szef Wydziału Bezpieczeństwa i Higieny Lotniczej instruktor pilot Marian Urbański. Był on pilotem wojskowym z okresu II wojny podobnie jak nasz kierownik, z tą tylko różnicą, że Stański walczył na zachodzie i latał na Spitfajerach a pułkownik Urbański na Jankach i szedł do Polski ze wschodu. W lotach nocnych szkolił nas płk Urbański, a drugi instruktor kierował lotami z ziemi. Gdyby moi instruktorzy chcieli opisać chociaż część swych losów wojennych, to przeżycia ich byłyby pasjonującą lekturą o wiele ciekawszą niż wszystkie moje przygody razem wzięte.

Prawdziwi piloci, którzy wiele przeżyli nie lubią chwalić się swymi dokonaniem. Przeważnie dowiadujemy się o nich z książek pisanych przez kogoś innego. Czasem z okazji aeroklubowych rocznic lub innych uroczystości, kierownik Stański zapraszał na spotkanie z nami swych dawnych towarzyszy broni. Były wśród nich takie sławy jak generał Stanisław Skalski, czy pułkownik Waclaw Król. Podczas oficjalnych spotkań nie dało się gawędzić jak przy harcerskim ognisku, ale sam widok tych ludzi wśród nas, był niezapomnianym przeżyciem budzącym szacunek i patriotyczną dumę. Czasem przy towarzyskiej herbatce i szklance piwa opowiedział coś mimo chodem. Pan Stański przedkładał szklankę piwa ponad inne trunki i gdy nastrój pozwalał, wracał myślami do wspomnień, a miał co wspominać. Na jego koncie bojowym oprócz wielu lotów szturmowych na niszczenie celów naziemnych wroga, figurowały 2,5 zwycięstwa w walkach powietrznych. Laik pewnie zdziwi się w jaki sposób można zestrzelić pół samolotu? Okazuje się, że można. Połowę zwycięstwa przyznawano gdy 2 strzelało do tej samej wrogiej maszyny i zwycięstwo było wspólne. Sam Stański również był 2 krotnie zestrzelony. Raz kiedy uszkodzonym samolotem lądował na linii frontu. Pomędzy wrogimi okopami rozgorzał bój o pilota. Gdy Niemcy nie mogli wziąć go żywcem postanowili zabić.

Tu kierownik przerwał swe opowiadanie. My zaciekawieni pytaliśmy jaki był finał bitwy. Odpowiedział, że gdyby Anglicy nie zwyciężyli to by teraz z nami nie rozmawiał. Po inwazji aliantów w lipcu 1944 roku w Normandii, wojska sprzymierzone toczyły ciężkie boje w ramach frontu zachodniego. Gdy wyzwolono Holandię Polskie Skrzydło Lotnicze, w skład którego wchodził 308 Dywizjon myśliwski stacjonował pod Gandawą. W sylwestrowy wieczór dowódca polskich dywizjonów zarządził pogotowie bojowe i zakaz spoczywania napojów alkoholowych. Uważał, że Niemcy zajęci witaniami nowego roku 1945 dadzą się zaskoczyć na swych lotniskach. Na identyczny pomysł wpadł dowódca dywizjonów Luftwaffe. Gdy Polacy polecili nocą sylwestrową nad niemieckie lotniska Niemcy przylecieli nad Gandawę. W tym czasie przyleciał jakiś pilot z kanadyjskiego dywizjonu. Widząc co się dzieje wszczął alarm. Nasi już wracali na resztkach paliwa i z niewielkim zapasem amunicji. Bój nad Gandawą przeszedł do historii. Niemcy nie spodziewali się ataku i w pierwszym starciu stracili kilka samolotów.

W bitwie tej niemiecka maszynę zestrzelił również kpt Stański. Innym razem lecąc na małej wysokości, tzw. lotem koszącym, na niszczenie celów naziemnych, zauważyli przed sobą ładny stylowy pałacyk. Na dziedzińcu stała bateria szybkostrzelnych dział przeciwlotniczych. Aby wykorzystać moment zaskoczenia zaatakowali z prostej. Pomędzy baterią a pałacem rozstawione były stoły nakryte białymi obrusami i naczyniami z jedzeniem. Przy stołach siedzieli niemieccy oficerowie. Obsługa dział nie zdążyła na swe stanowiska, a oficerowie nie zdążyli się schronić. Gdy kilkanaście karabinów maszynowych i działek pokładowych przykryło ich z góry gradem pocisków na dziedzińcu zostały tylko trupy i czerwone plamy krwi na białych obrusach.

Obraz ten jak symbol wyrównanych krzywd najbardziej utkwiał mu w pamięci. Loty nocne dostarczają kolejnych nieznanymi wrażeń. Wykonywaliśmy je w końcu lutego, marca i na początku kwietnia. W nikłych promieniach ultrafioletowego światła specjalnych lampek fosforyzowały tylko przyrządy pokładowe. Strzałki wskaźników poruszały się jak żywe pokazując aktualny kurs, położenie przestrzenne samolotu, wysokość wznoszenia lub opadania. W dole w świetle ulicznych latarni spało miasto.

Ciche ulice, ciemne kwadraty domów i podwórek tworzyły widok jakby nierealny. Na zachodzie czerwoną luną rozlewały się po niebie ognie gazowych pochodni. Jarzyły się świetlne iluminacje konstrukcji

kombinatu, ale lotnisko tonęło w mrokach ciemnej nocy. Na czarnej powierzchni jak gwiazdy połyskiwały lampy naftowe wyznaczające pas lądowania. Czerwone sygnalizowały jego początek i koniec. W ostatnim ćwiczeniu zostawiono tylko 3 lampki imitujące ognisko, bo trzeba było nauczyć się lądować również przy ognisku. W pierwszych dniach kwietnia przyjechali do nas spadochroniarze z Aeroklubu Warszawskiego z instruktorem Waławem Grzmilem.

Przyjechali specjalnie na zaproszenie kierownika, aby przeszkolić nas w lotach połączonych ze zrzućaniem skoczków spadochronowych.

Warszawscy spadochroniarze zademonstrowali różne metody i techniki skoków. Wywoziłem ich samolotem CSS-13, tak jak mnie kiedyś w Nowym Targu i w Ciechanowie, oraz samolotem PZL-101 Gawron. Od Gawrona zdemontowano drzwi aby nie przeszkadzały podczas opuszczania samolotu. 3 spadochroniarzy po wyjściu z kabiny zawisła na zastrzale podpierającym skrzydło po czym na komendę swego instruktora puściło się w 2 km przepaść. Po kilkunastu sekundach zespołowego opadania rozdzielili się, rozeszli w różne strony i otworzyli spadochrony. Nigdy podobnego skoku nie widziałem, ani wcześniej ani później. Praktycznie byliśmy przygotowani do egzaminu przed PLKE, należało jeszcze powtórzyć sporo materiału teoretycznego. Po zdaniu egzaminów otrzymałem licencję pilota samolotowego II klasy, zawodowego II klasy numer D-1539 z wpisem dodatkowym uprawnień instruktora samolotowego II klasy. Sukces życiowy osiągnęła również moja żona kończąc bez żadnych poślizgów Technikum Ekonomiczne i uzyskując tytuł technik ekonomista o specjalności ekonomika i organizacja przedsiębiorstw handlowych. Z pracy dyplomowej i przygotowania zawodowego otrzymała na egzaminie maturalnym ocenę bardzo dobrą. Większość ocen końcowych była dobra i bardzo dobra podczas gdy moja matura była tylko dostateczna. Po ukończeniu szkoły średniej rozpoczęła studia w Państwowym Studium Oświaty i Kultury Dorosłych, kończąc je po 2 latach z wynikiem dobrym. Studium to uprawniało ją do prowadzenia zajęć pozalekcyjnych w szkołach i placówkach kulturowo oświatowych. Po ukończeniu technikum zaangażowała się do pracy w Młodzieżowym Domu Kultury jako instruktor modelarstwa lotniczego. Początkowo prowadziła zajęcia pod moim nadzorem merytorycznym.

Po uzyskaniu jesienią tego roku uprawnień instruktora modelarstwa lotniczego klasy III dalsze zajęcia prowadziła samodzielnie. W końcu maja 75 roku swój awans otrzymało również miasto, Płock stał się stolicą województwa. Był okres w historii gdy na przełomie XI i XII wieku za panowania Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego Płock był stolicą kraju. Jego znaczenie wzrosło gdy w roku 1180 założono szkołę przy Kolegium św. Michała ale to były już czasy synów Krzywoustego. Szkoła ta istnieje do dzisiaj, jest najstarszą w kraju, a ja miałem zaszczyt przez 5 lat uczyć się i mieszkać w jej sędziwych murach. Szkoła przez ponad 800 lat swego istnienia przechodziła różne koleje losu, aby w czerwcu 1921 otrzymać za patrona marszałka Stanisława Małachowskiego i popularną nazwę „Małachowianka”. Małachowiankę ukończyły dzieci mojej siostry Hani. Darek i Kasia Machowscy oraz moja córka Grażyna. Machowscy zmieniali kilkakrotnie miejsce pracy i zamieszkania do momentu gdy znaleźli się na Podlasiu w leśniczówce Dąbrowa niedaleko Nurca w rejonie Siemiatycz. Mąż siostry Janek opiekował się przygranicznymi lasami a Hania była nauczycielką. Stąd do granicy było tylko 10 km.

Tak się złożyło, że w pobliżu przebiegał rurociąg którym płynęła ropa do Płocka. Pierwsza przepompownia ropy była w miejscowości Adamów tuż przy granicy. Gdy otrzymałem licencję zawodową dużo latałem dla potrzeb PERN, MZRIP i FMŻ. Główne trasy to Gdańsk, Kraków, Szczecin, Bielsko Biała, Krosno, Wrocław, prawie wszystkie większe miasta Polski. Raz w tygodniu z ekspertem PERNu patrolowaliśmy trasy rurociągów, w tym również Płock – Adamów. Byłem więc częstym gościem w leśniczówce Dąbrowa. Bardzo często leciała z nami moja żona. Gdy moi pasażerowie załatwiali swoje sprawy służbowe my w tym czasie zwiedzaliśmy miasto. Mnie nie przykrzyło się czekanie, a żona miała atrakcję oglądając zabytki Trójmiasta lub Krakowa. W tamtych czasach czynne jeszcze było gdańskie lotnisko we Wrzeszczu, ale wkrótce je zlikwidowano i zabudowano. Port LOTu przeniesiono do Rębiechowa a Zakład Usług Agrolotniczych do Pruszcza. Po starcie z Wrzeszcza wychodziło się na wody Zatoki Gdańskiej w miejscu historycznej bitwy morskiej, w której w 1627 roku okręty polskie pokonały silniejszą flotę szwedzką. Z lewej sopockie molo, dalej Gdynia, Hel i otwarte morze.

Widok rozległy i urzekający. Po wykonaniu zakrętu na kurs powrotny przelatuję nad Westerplatte,

basenem portowym, stoczną i gdańską starówką. Każdy skrawek tej ziemi to osobna karta naszych dziejów, to otwarte na oścież muzeum. Szkoda, że dzisiaj już niedostępne, ale ja miałem szczęście zachować je w pamięci, a nawet utrwalić na fotograficznej taśmie. Na podobne wycieczki zabierałem również swoje córki. Jeżeli było wolne miejsce w samolocie i oczywiście warunki. Gdy leciałem do Adamowa, zbaczalem nieco z trasy aby zakrążyć nad leśniczówką. Wkrótce przyjeżdżał Jasio swoją Syrenką i zabierał nas do siebie. Do Płocka wracałem dopiero następnego dnia. Machowscy mieli dwoje dzieci, 10 letniego Darka i 4 letnią Kasię. Oboje byli bardzo miłymi dziećmi, ale Kasia darzyła mnie szczególną sympatią. Blondynka z niebieskimi oczkami i okrągłą uśmiechniętą buzią. Siostra nazywała ją pieszczotliwie Ruda Mrówa. Dzieciak nie potrafił wymówić „r”, toteż tuląc się do mnie przedstawiała się „wujku ja jestem Luda duda”. Pisząc te słowa ocieram napływające łzy ponieważ Rudej Mrówy już dawno nie ma, tak jak nie ma jej mamy. Zostały tylko wspomnienia i stare zdjęcia.

Gdy Płock został miastem wojewódzkim władze postanowiły zorganizować tu ogólnopolskie święto plonu – po staremu dożynki. Trasy dojazdowe do miejsc wyeksponowanych musiały wyglądać odświętnie i okazałe. Zasypano budowlane wykopy, zalewano je betonem i asfaltem, sadzono drzewa. To nic, że po uroczystościach wszystko to rozkuwano. W Polsce wtedy wszystko robiło się na pokaz i dla propagandy sukcesu. Do pracy w Płocku skierowano wojsko. Niemal połowę lotniska zajęto pod namioty i barakowozy. Poprowadzono linie energetyczne na wysokich słupach, które mocno ograniczyły nam pole wzlotów. Na lotnisku stacjonowała pancerna jednostka z Braniewa. Wkrótce zaprzyjaźniliśmy się z oficerami, którzy chętnie gościli nas u siebie, częstowali wojskowym obiadem i uczestniczyli w lotach. Dowódcą jednostki był major Hajdus, zastępcą kapitan Tomczyk a kwatermistrzem sierżant Dołoto. Wszyscy oni byli sympatycznymi i towarzyskimi ludźmi.

W połowie lipca dowódcę i kwatermistrza odwiedziły ich żony. Kierownik aeroklubu zezwolił na wykonanie z obiema paniami lotu pasażerskiego nad Płockiem. Wilga stała na płycie przed hangarem. Aby ją uruchomić potrzebny był mechanik. Zwróciłem się do pana Tadzia Cicholskiego aby wydał mi samolot i pomógł w rozruchu. Obie pasażerki zajęły miejsca na tylnym siedzeniu, a ja za sterami. Przy pierwszym rozruchu obowiązuje ustalona procedura i próba silnika. Mechanik podszedł do samolotu i podał komendę „wylączony, otwarta, pełen”.

Sprawdziłem wzrokowo wyłącznik iskrowników, otworzyłem zawór paliwa i dźwignię przepustnicy ustawiłem na pełen gaz. Potwierdziłem komendę „wylączony, otwarta, pełen”. Mechanik podał – do zalania. Jest do zalania. Mechanik rozpoczął rękami obracać śmigłem a ja w tym czasie pompką paliwową wstrzykiwać paliwo w miarę obrotów. Operacja taka konieczna jest szczególnie w przypadku silników o układzie gwiazdy tzn. gdy cylindry silnika tworzą koło. Chodzi o rozprowadzenie oleju zalegającego w dolnych cylindrach i przygotowanie silnika do pracy. Po zalaniu należy ustawić mały gaz, włączyć iskrowniki i nacisnąć rozruch.

Niestety tych czynności nie zdążyłem wykonać ponieważ silnik nagle zapracował. Właściwie były to tylko 2 wybuchy mieszanki w 2 cylindrach. Silnik natychmiast stanął, ale ten moment wystarczył aby spowodować wypadek. Dwie łopaty śmigła uderzyły pana Tadzia w nogę powyżej kolana. Kość udowa rozleciała się na kilkanaście odłamków. Wyskoczyłem z samolotu. Cicholski leżał na ziemi i jęczał. Jak smagnięcie biczem po twarzy zabolowały mnie jego słowa: „coś pan mi zrobił?”. Od tamtej pory upłynęły 34 lata a słowa te wciąż boją. Na lotnisku wszyscy potracili głowy. Gozdan nie mógł uruchomić samochodu. Inni bezradnie biegali tam i z powrotem. Zdjąłem pasek i przewiązałem nim udo tuż przy pachwinie aby powstrzymać krwotok. Ponad kolanem, w miejscu gdzie powinna być kość udowa utworzyła się okrągła kula wielkości piłki. Major Hajdus miał gdzieś jechać i siedział już w samochodzie, czekał tylko na start swojej żony. Gdy zobaczył, że wydarzyło się coś nienaturalnego, natychmiast kazał kierowcy podjechać do samolotu. Upłynęło niespełna 3 minuty jak ranny był w drodze do szpitala. Do operacji potrzebna była krew. Zgłosiło się na ochotnika wielu żołnierzy i naszych pilotów. Niestety nogi nie udało się uratować. Przyjechała komisja z Warszawy. Badała samolot na wszystkie możliwe sposoby, ale niczego nie zdołali ustalić. Wszystko funkcjonowało prawidłowo. W tej sytuacji bezsporna wina leżała po mojej stronie. Gdy komisja ustalała przebieg i przyczynę wypadku, wydarzyły się 2 przypadki samoczynnego zapłonu silników Wilgi. To oczyszczało mnie z zarzutów, ale nie uspokoiło mojego su-

mienia. Powinienem był ręką sprawdzić pozycję wyłącznika.

Przypuszczam, że ktoś bawiąc się iskrownikami nie do końca je wyłączył. Reszty dokonał przypadek lub Diabeł. Gdy ma się stać coś złego, przyczyny i przesłanki układają się w pułapkę. Gdy silnik zapracował wstrząs wyłączył instalację, ale to są tylko moje przypuszczenia. Cicholski przeżył pomimo tego, że nastąpiły komplikacje sercowe. W następnych latach chodził na protezie. Nigdy mnie nie usprawiedliwił, ani nigdy się z nim nie spotkałem. Dwa przypadki samozapłonu, które zadecydowały o moim uniewinnieniu nikomu krzywdy nie wyrządziły. Dlaczego wydarzyły się akurat w tym czasie i nigdy więcej?

Dziwne – ale czy na pewno nikt tym nie sterował? W końcu sierpnia, gdy minęły uroczystości dożynkowe, wojsko wróciło do Braniewa. W minionym sezonie nie prowadzono kursu podstawowego z kilku przyczyn, ale nasi kandydaci szkolili się w Piotrkowie Trybunalskim. We wrześniu i październiku latałem jako instruktor samolotowy, a w połowie listopada wraz z Edziem Połońskim i Wojtkiem Taworskim pojechaliśmy do Jeleniej Góry, aby wyczekać na karkonoską fałę i zapolować na diament. Ośrodek wyczynowy w Jerzowie Sudeckim włączono do aeroklubu jeleniogórskiego. Pierwsze dni zajęły nam przygotowania teoretyczne z zakresu lotów falowych i loty kontrolne, w tym zapoznanie z rejonem. Następne dni to okres wyczekiwania. Aby nie nudzić się beczynnie zwiedzaliśmy okolice Jeleniej Góry, Szklarską Porębę, Karpacz. Niżej panowała jesień, ale Karkonosze pokryte były już śniegiem. Być w Karpaczu i nie wdrapać się na Śnieżkę to tak jakoby być w Rzymie i nie widzieć papieża. Zdobyć Śnieżkę postanowiliśmy idąc nie szlakami turystycznymi lecz na wprost, na przełaj; od Karpacza na szczyt po linii prostej. Prawie 3 godziny brnęliśmy z Edziem Połońskim po pas zanurzeni w puszystym śniegu. Ponad 2 kilometry morderczego przepychania się pod stromą górę. Za to na szczycie zafundowaliśmy sobie gorący posiłek w restauracji zbudowanej na kształt dużego statku kosmicznego UFO i dookoła przeszklonego. Popijając gorącą herbatę podziwialiśmy panoramę Karkonoszy z wysokości 1600 m jeszcze nie wiedząc, że za kilka dni znajdę się w tym miejscu ale 5 km wyżej. Kończył się listopad, pogoda była nielotna, na dodatek zaczął sypać śnieg.

Wieczorem 28 listopada panował nastrój pesymistycznej nudy. Siedzimy już tutaj 2 tygodnie, zbliża się zima, a widoków na zmianę pogody nie widać. Rano pobudka i alarm. Wieje długo oczekiwany halniak. Podobnie jak 16 lat temu gdy z instruktorem Waldemarem Grosem biliśmy rekordy. Tylko teraz sam jestem instruktorem i sam poluję na diament. Całą noc padał śnieg. Lotnisko pokryła ponad 30 cm warstwa świeżego białego puchu. Poprzez zasłonę z wysokich chmur pierzastych prześwituje słońce, a nad nimi zawisła soczewka stojącej chmury falowej o fascynującej nazwie *altocumulus lenticularis*. Wiatr górą przekracza 100 km/h a chmura stoi w miejscu nie odpływa z wiatrem jak niższe porozrywane strzępy obłoków. Fascynujące i piękne zjawisko, zapowiedź emocjonującej i niezwyklej przygody. Wytworzona nad górami fala powietrzna unosi wzwyż masę wilgoci, która skraplając się tworzy chmurę. Kropelki mgły przelewając się przez wierzchołek fali zjeżdżają z wiatrem w dół i momentalnie wyparowują, ale na ich miejsce tworzą się następne. Dlatego pomimo silnego wiatru chmura stoi w miejscu znacząc swoją obecnością obszar silnego wznoszenia. Wystartowałem o godzinie 10:35. Koła samolotu rozbijają śnieżną pierzynę a wir zaśmigłowy podrywa ją w powietrze. Po chwili zespół unosi się nad białą płaszczyzną. Zostaje po nim obłok kurzawy, ale i on wkrótce osiada na ziemię. Początkowo lot przebiega spokojnie. Wiem jednak, że stan taki długo nie potrwa. Zanim wydostaniemy się na spokojną fałę, trzeba przejść strefę wirów rotorowych, a tu mogą czyhać różne niespodzianki. Za chwilę szybkoce zaczyna rzucać na wszystkie strony. Jakby stado rozbawionych diabłów grało w siatkówkę a szybkoce służył im za piłkę. Aż dziwne, że Mucha to jeszcze wytrzymuje. Co kilka sekund ciało zawisa w powietrzu przetrzymywane pasami lub zostaje przyściśnięte do fotela. Nóg nie można utrzymać na pedałach steru kierunku. Aby się tylko lina holownicza nie przerwała. Wysokościomierz pokazuje 1300 m nad poziom lotniska. Nie mam czasu na oglądanie terenu. Muszę pilnować aby nie uciekł mi samolot i każdy jego manewr natychmiast powtarzać. Turbulencja ustaje, samolot daje znak do wzięcia.

Wyczepiam się i ustawiam pod wiatr. Mam 4 m/s wznoszenia, ale wiatr znosi mnie do tyłu. Jeżeli dam

się zepchnąć to wypadnę poza falę i nawet nie doleczę do lotniska. Lądowanie przygodne w tych warunkach może być niebezpieczne. Oddaję lekko drążek. Prędkość narasta. Dopiero przy prędkości 120 km/h szybowiec równoważy prędkość wiatru, ale wznoszenie mocno słabnie. Dałem się zepchnąć, jeszcze trochę i wpadnę w duszenie. Po zwiększeniu prędkości do 130 km/h noszenie wzrasta stopniowo do 5 m/s. Taka winda wywozi mnie na wysokość prawie 4 km.

Wznoszenie zaczyna stopniowo słabnąć gdy osiąga wartość 1 m/s postanawiam zdecydowanie pójść do przodu. Na zwiększonej prędkości zwiększa się również opadanie własne szybowca co powoduje utratę około 300 m wysokości, ale w rezultacie znów jestem na fali i odzyskuje utracone wcześniej noszenie. Przekraczam 5000 m. Nie lekceważę tym razem wysokości i zakładam maskę tlenową. Wiem, że bez tlenu utrata przytomności może przyjść nagle, a teraz nie będzie komu mi pomóc. O godzinie 12 osiągam wysokość 6600 m w tym momencie w słuchawkach odzywa się głos szefa wyszkolenia: „Mucha 2016 jak słyszysz?” To do mnie. Słyszę dobrze, melduję, że właśnie zdobyłem diament. W takim razie ląduj bo inni koledzy czekają. Ziemia tonie w szarej mgłę. Prześwitują słabo widoczne pasma gór. Widok do przodu zakrywa mgła, ale Jelenia Górę widzę prawie pod sobą. Z tej wysokości mógłbym latać prawie 2 godziny i z wiatrem przelecieć około 300 km. Gdyby to było lato i pogoda cumulusowa drugi brakujący diament miałbym pewny. Nie ma co marzyć, otwieram hamulce i po 12:55 jestem na ziemi. Na przelot wybiorę się innym razem. Nie myślałem wtedy, że ten inny raz w ogóle nie nastąpi. Tymczasem kończył się obfity w wydarzenia rok 1975. obraz tych wydarzeń byłby nie pełny gdybym nie wspomniał o dokonaniach modelarzy, którzy podlegali mi z racji pełnienia funkcji zastępcy kierownika i z racji mego osobistego zaangażowania. Zarządzeniem władz Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki modelarstwo stało się sportem.

Wyróżniono w nim 4 odrębne dyscypliny i powierzono nad nimi opiekę odpowiednim organom wiodącym. Za całokształt pracy szkoleniowo – sportowej w dziedzinie modelarstwa lotniczego i raketowego odpowiadał aeroklub PRL, zaś w dyscyplinach skutniczej i kołowej odpowiedzialną była LOK. Nie oznacza to, że LOK rozwiązał swe modelarnie lotnicze, wręcz przeciwnie. Nadal organizował swoje zawody, a nawet mistrzostwa polski LOK, rywalizując z aeroklubem. I bardzo dobrze, aeroklub nie zawsze wywiązywał się ze swych obowiązków, a konkurencja zwiększała możliwości szerszego rozwoju tak pięknej dziedziny kształcenia jaka jest modelarstwo.

Dzięki uznaniu modelarstwa za dyscyplinę sportową do kalendarza imprez weszły zawody dla modelarzy różnych grup wiekowych. Jesienią rozgrywano święto Latawca i loty balonów na ogrzane powietrze. Wiosną i latem szereg imprez eliminacyjnych do różnego rodzaju mistrzostw. W roku tym odbyły się w Lisich Kątach mistrzostwa polski młodzików. Aeroklub plocki reprezentowało troje modelarzy: Lidia Kapuścińska z modelem szybowca, Jan Mokszycki z gumówką, oboje z modelarni w Zagotach, oraz Witek Kozak z ośrodka modelarskiego AZM.

Witek, późniejszy pilot szybowcowy startował z modelem silnikowym i na zawodach tych zdobył medal brązowy, stając się tym samym pierwszym medalistą AZM.

Na zawodach tych byłem jako opiekun plockiej ekipy. W podobnym charakterze pojechałem też do Piotrkowa Trybunalskiego na modelarskie mistrzostwa polski spółdzielni mieszkaniowych. Wśród modelarzy wyróżnił się Leszek Lange zajmując na mistrzostwach polski modeli sterowanych radiem VI miejsce wśród doborowej stawki starszych zawodników. Leszek w latach późniejszych został instruktorem lotniczym i szefem wyszkolenia AZM. Sukcesy modelarzy i ich kariery można by długo opisywać, ale wspomnę tylko, że na przestrzeni działalności aeroklubu Ziemi Mazowieckiej niemal wszyscy piloci instruktorzy, szefowie, kadra wyczynowa, zaczęli swą karierę od modelarstwa. Ośrodek modelarski prowadził nadal pan Wojciech Krzywiński, zainteresował się on głównie modelarstwem raketowym odnosząc w tej dziedzinie wiele sukcesów na arenie europejskiej i ogólnoświatowej.

W swej karierze wyczynowej zwiedził wszystkie kontynenty świata przywożąc ze sobą mistrzowskie medale, dyplomy i nagrody. W latach gdy byłem szefem plockiego modelarstwa pan Wojtek posiadał piękną kolekcję wykonanych własnoręcznie modeli redukcyjnych. Kolekcje stanowiło ponad 100 sztuk

miniaturowych samolotów z okresu II wojny światowej. Modele te były wielokrotnie wykorzystywane w organizowanych wystawach propagandowych.

Również dla propagandy zorganizowałem międzyszkolny konkurs plastyczny o tematyce lotniczej. Na konkurs wpłynęło wiele prac z różnych szkół, ale najwięcej z plockiego Młodzieżowego Domu Kultury. Wzięła w nim udział również moja młodsza córka Joasia, która wtedy była uczennicą IV klasy szkoły podstawowej. Miała ona zainteresowania i duże zdolności plastyczne. Wiele jej prac było wyróżnianych na szkolnych konkursach i nigdy nie wracały do domu. Wykonała ona rysunek na kartonie z bloku technicznego i pomalowała akwarelami. Obrazek przedstawiał grupę modelarzy bawiących się modelem. Model wznosił się do góry holowany przez jednego z chłopców. Pozostali patrzyli w niebo śledząc jego lot. Na dalszym planie były zabudowania jakiejś osady, las i pracujący nad polem samolot rolniczy typu AN-2. cały obrazek bardzo realistyczny, każdy element rozpoznawalny, kolory nieprzesadzone. Po prostu nadawał się do oprawienia i powieszenia na ścianie jako dekoracja. Nadesłane prace były bardzo różne. Te z domu kultury rysowane i malowane pod okiem wykwalifikowanego plastyka były całkiem dobre i ciekawe, ale dużo prac bardzo naiwnych. Jakiś dzieciak z klasy III namalował grubo krzyż w pozycji poziomej. Na krzyżu były narysowane okienka a w nich głowy pasażerów. Dzieciak tak wyobrażał sobie samolot pasażerski, którego nigdy z bliska nie widział. Ja w studium nauczycielskim miałem zajęcia z plastyki, których zadaniem było przygotowanie nas do pracy w szkole również w zakresie tego przedmiotu. Całkiem zielony więc nie byłem, ale do oceny prac poprosiłem panią inspektor z Kuratorium Oświaty specjalistkę w tej dziedzinie. Pani inspektor na widok krzyża mającego imitować samolot, wpadła w zachwyt. Co za inwencja! Jaka wyobraźnia! Wspaniała kolorystyka! itp. itd. Gdy wzięła do ręki obrazek mojej córki, najpierw go odwróciła, przeczytała, że namalowała go uczennica klasy IV, następnie z niesmakiem odrzuciła na bok mówiąc: „O Boże, kto tego dzieciaka tak zmanierował?”

Nie wiem co powiedzieć. Joasia po szkole podstawowej ukończyła w Koszalinie pięcioletnie liceum Sztuk Plastycznych. Była jedną z najlepszych uczennic. Jej prace oceniano na szóstki. Zdawała na studia do Wyższej Szkoły Plastycznej w Gdańsku. Joasia później pracowała jako plastyk w Muzeum Mazowieckim i Wojewódzkim Ośrodku Postępu Rolniczego. Malowała również piękne ikony dla prywatnej firmy. Ikony te oprawiano w srebro i sprzedawano za granicę, ale dla pani inspektor była dzieckiem artystycznie zmanierowanym.

Zamiast komentarza posłużę się faktem. W firmie gdzie pracowała moja żona zakupiono koledze na imienniny obraz. Wszyscy zgadywali co on przedstawia. Obracali go na różne strony bo nie wiadomo było jak go powiesić. Jedni wyobrażali sobie radio bo ma jakieś pokrętła, inni widzieli w tym martwą naturę lub abstrakcyjny symbol czegoś bliżej nieokreślonego. Po odwróceniu i przeczytaniu nalepki z ceną okazało się, że jest to „neapolitańska dziewczyna na morskiej plaży”. Ciekawy jestem czy odgadła by to pani inspektor. Dla mnie w tym wszystkim najważniejsze było to, że mogłem w sprawozdaniu ze swej pracy napisać do Zarządu Głównego, że zorganizowano 2 konkursy, 3 wystawy, odczyty i pogadanki, jednym słowem lipa i fikcja. Przez zimę pisałem dalszy ciąg kroniki, tak jak życzył sobie tego mój szef pułkownik Ogorzałek. Wzorem średniowiecznych zakonników benedyktyńskich ślęczałem po nocach zdobiacz liter i ornamenty. U kolegów zyskałem zaszczytne skądinąd miano kronikarza Kadłubka. Kierownik Stański przyznał mi za tą pracę premię w wysokości 400 zł., ale często uznanie i słowo dziękuję więcej jest warte niż 400 zł. Przypuszczam, że stąd wynikały decyzje kierownika odnośnie jego polityki kadrowej. Z dniem 1 stycznia 1976 roku stanowisko szefa wykszolenia objął Krzysztof Machnacki, a ja nadal miałem rozdzielać materiały po modelarniach, szukać chętnych do współpracy propagandowej, często organizować fikcję, chociaż mnie to nie satysfakcjonowało ani nie cieszyło. Ktoś jednak musiał to robić i pomimo niepowodzenia na starcie jakoś dawałem sobie z tym radę. Następne kontrole nie były tak surowe w ocenie i nawet otrzymywałem pochwały za pracę organizacyjną.

W uznaniu tej pracy zaproponowano mi kierownictwo polskiej ekipy modelarskiej na międzynarodowych modelarskich zawodach. Myślę również, że wytypowanie mnie przez kierownika lotów do udziału w Samolotowym Rajdzie Dziennikarzy i Pilotów też było formą nagrody. III Pomorski Rajd Dziennikarzy i Pilotów zorganizowany przez aeroklub toruński był imprezą ogólnopolską. Odbychał się w dniach

21–26 czerwca 1976 roku. Była to forma zawodów rajdowo–nawigacyjnych. Na starcie stanęło 25 samolotów typu Wilga z różnych aeroklubów regionalnych. Zawody tego rodzaju wnoszą wiele nowych elementów niepraktykowanych w codziennych lotach. Każda konkurencja jest inna, co podnosi atrakcyjność zawodów. Sportowa rywalizacja pobudza emocje, dostarcza wielu wrażeń i staje się niezapomnianą przygodą. Pierwszą konkurencją sportową był zlot gwiazdzisty samolotów do Torunia. Każdy uczestnik miał wyznaczony dokładny czas przelotu. Tolerancja wynosiła 10 sekund. Niepunktualne lądowanie groziło punktami karnymi. Oceniano również precyzję przyziemienia. Jeszcze tego dnia po obiedzie poleciliśmy do Słupcy. Trasa prowadziła ponad dużymi jeziorami wielkopolski. Aby ją uatrakcyjnić, dano nam zdjęcia. konkurencja polegała na odnalezieniu w terenie sfotografowanych obiektów i zaznaczeniu ich na mapie. Obowiązywał dokładny czas przelotu i lądowania.

Samoloty startowały z Torunia co 5 minut i co 5 minut musiały lądować w Słupcy. Następnie należało zameldować się przed komisją zawodów i okazać na mapie zidentyfikowane miejsca. Dziennikarze również mieli swe konkurencje. Zadania ich polegały na ciekawym opisanie w reportażach wrażeń z kolejnych etapów, przeprowadzenie wywiadów z interesującymi ich osobami, opracowanie artykułów prasowych na temat spotkań i wycieczek do odwiedzanych po drodze zakątków. Moją towarzyszką podróży była przystojna i sympatyczna pani redaktor Naszej Trybuny Ewa Jasińska. Na drugi dzień rano poleciliśmy do Kruszyna. Jest to lotnisko Aeroklubu Włocławskiego. Tym razem na trasie przelotu wyłożono znaki wykonane z płócien startowych. Usytuowano je tak aby były widoczne tylko w przypadku dokładnego zachowania trasy lotu. Napotkane znaki należało nanieść na mapę i po wylądowaniu przedstawić je komisji sędziowskiej. Po obiedzie zwiedzaliśmy zakłady produkcyjne. Słynną włocławską Celulozę, hutę szkła i wytwórnię porcelany. Tutaj pole do działania mieli nasi pasażerowie.

Następnym etapem podróży był Płock. Z Kruszyna do Płocka w linii prostej jest tylko 50 km, ale myśmy po prostej nie lecieli. Tym razem trasę lotu wyznaczały 2 złączone ze sobą półokręgi tworzące kształt dużej litery S. Po starcie z Kruszyna w kierunku południowym należało co pół minuty zmieniać kurs co 5 stopni w lewo, a następnie gdy kierunek lotu zmienił się na przeciwny zmieniać go o takie same wartości w prawo. W ten sposób do Płocka przylatywaliśmy z północy. Na trasie nie było zdjęć do identyfikacji ani znaków, natomiast rozstawiane były jawne i ukryte punkty kontroli czasu. Tolerancja czasu przelotu nad punktem wynosiła tak jak poprzednio 10 sekund. Na lotnisku wytyczono prostokąt, w którym dokonywano pomiarów celności lądowania. Kolejne samoloty skołowały z płyty lotniska pod hangar. Imponujący był to widok gdy 25 Wilg ustawionych dwoma długimi szeregami oczekiwało na następną konkurencję w dniu 24 czerwca, w 14 rocznicę naszego ślubu. W dniu tym na lotnisku kibicowała mi żona z dziećmi, tylko ja odleciałem na trasę, a ona dalszy ciąg naszej rocznicy obchodziła sama.

Jeszcze 2 dni szukaliśmy po zawitych trasach różnych znaków, obiektów rozrzuconych po terenie i punktów kontrolnych. Raz tylko uczestniczyłem w takiej zabawie dlatego wyniki moje nie były rewelacyjne. Uplasowałem się na pozycji medalowej ale od końca. Dużo lepiej ode mnie spisała się moja towarzyszka przygody pani Ewa. Zajęła ona wśród dziennikarzy 4 miejsce. W ogólnej punktacji po podsumowaniu wyników, jako załoga zdobyliśmy 14 miejsce. Jak na debiut wśród stawki doświadczonych pilotów to i tak nieźle. Nie miejsce zresztą było ważne lecz przeżycie niezapomnianych wrażeń i zdobycie nowych doświadczeń. Zawody te były eliminacjami do Rajdowo Nawigacyjnych Mistrzostw Polski. Zakończyły się w miłej atmosferze w starym toruńskim ratuszu. Przy tradycyjnej lampce wina pożegnał nas prezydent miasta i organizatorzy, wręczając ładnie wykonane plakietki pamiątkowe oraz dyplomy i nagrody.

Do Płocka wróciliśmy 26 czerwca aby zająć się swoją pracą. W sezonie lotnym 1976 r zaprzestano szkolenia szybowcowego za wyciągarką. Od podstaw zaczęto szkolić na holu za samolotem. Z uczniami latali szef wyszkolenia Krzysztof Machnacki i Andrzej Wesołowski w ramach praktyki instruktorskiej. Ja w tym czasie zająłem się lotami usługowymi i holowaniem szybowców. W lipcu Zarząd Główny postanowił zorganizować w Płocku Ogólnopolskie Zawody Modeli Sterowanych Radiem. Komisję sędziowską zawodów powołał Zarząd Główny. Ja musiałem zająć się resztą. To



Rajd dziennikarzy i pilotów na etapie w Płocku 24.VI.1976 r.



znaczy załatwić sprawy noclegów, wyżywienia, transportu i nagród. Należało poszukać odpowiednich sponsorów. Zawody rozegrano bez żadnych przeszkód czy nieprawidłowości zarówno pod względem sportowym jak i organizacyjnym. Fakt ten został doceniony przez Zarząd Główny ale los pokierował sprawami po swojemu. Wkrótce odszedłem z pracy a aeroklubie i zostawiłem wszystkie sprawy innym. Jeden z ostatnich lotów usługowych dla PERNu wykonałem po trasie Płock – Szczecin – Gdańsk – Płock. Delegacja z dyrekcji przedsiębiorstwa coś miała do załatwienia w Berlinie. Postanowili swoim samolotem udać się do Szczecina, a stamtąd dalej pojechać samochodem. W Szczecinie czekałem na nich 2 dni. Mieszkalem w dobrym hotelu i zwiedzałem miasto. Prowadzony wspomnieniami odwiedziłem niemal wszystkie miejsca, które zapamiętałem dzieckiem. Dzielnice Pogodno, dom przy ul. Przybyszewskiego, swoją szkołę.

Minęło prawie 30 lat, zniknęły gruzy, pobudowano nowe ulice. Szczególnie nie mogłem odnaleźć się w centrum. Gdy mama moja sprzedała swoją restaurację w Gnieźnie zakupiła niewielki sklepik w Szczecinie przy ul. Królowej Jadwigi. Ulicę znalazłem, ale wszystko wyglądało tu inaczej. Niektórych miejsc w ogóle nie mogłem odnaleźć. Przyjechali moi pasażerowie i przez Gdańsk wróciłem do Płocka. Do wspomnień z lat dzieciennych dorzuciłem trochę nowych. W pierwszych dniach września patrolując trasę rurociągu poleciałem z żoną do Adamowa. Hania jak zwykle przyjęła nas życzliwie. Janek zastawił stół własnymi wyrobami z dziczyzny. Jak przystało na leśniczego był myśliwym, posiadał broń łowiecką i czasem coś ustrzelił, oprócz tego zajmował się własną hodowlą. Machowscy zaszyci w nadbużańskich lasach Podlasia pędzili życie dostatnie, chociaż nie pozbawione codziennych trosk i konfliktów małżeńskich. Według mnie za te konflikty winę ponosiła siostra. Jako prawdziwa kobieta nie zawsze wiedziała czego chce. Ale to są tylko moje sugestie. Gościliśmy się do późna nie wiedząc, że tym miłym wieczorem zamyka się kolejny rozdział naszego życia, że jest to ostatnie nasze spotkanie w tym gronie wolne od trosk i złego fatum. Zamykając ten rozdział uzyskałem w aeroklubie ostatnie uprawnienia ważne w dalszej karierze zawodowej. Zostałem mianowicie przeszkolony przez kierownika Stańskiego w wykonywaniu lotów grupowych tak zwanych szyków. Uprawnieniem tym zdobyłem II klasę i srebrną odznakę pilota samolotowego sportowego, zakończyłem też cykl szkolenia w akrobacji średniej.

Szybkimi krokami zbliżał się rok 1977. następny przełomowy rok w życiu moim i w istnieniu AZM. Po 15 latach kierowania aeroklubem i faktycznym jego utworzeniu odchodził na emeryturę kierownik Wacław Stański. Na jego miejsce miał przyjść wyższy oficer Wojska Polskiego major Mieczysław Goździński. Zwolnienie z wojska zajęło przyszłemu kierownikowi ponad pół roku czasu.

Na początku marca wyjechałem na 2 tygodniowy obóz kondycyjny do Polańczyka.

Obozy kondycyjne były usportowiona forma wczasów i obowiązywały cały zawodowy personel latający. Ubiegłego roku byłem w Łądku Zdroju a poprzednio również w Polańczyku. Bieszczady są jednym z najpiękniejszych zakątków naszego kraju. Położone w paśmie Karpat pomiędzy Beskidem Wschodnim a Zachodnim od lat były natchnieniem dla poetów i malarzy, a zakochanych w połoninach nie brakuje i dzisiaj.

Kiedyś gdy Polska rozciągała się dalej na wschód, opiewano w pieśniach huculów i ich życie wśród gór i dolin, rwące potoki i przepaściste bory. To o tej ziemi głosi jedna z najpiękniejszych pieśni: „Czerwony pas, za pasem broń i topór co błyszczy z dala”

To tutaj trochę na wschód od Tarnicy wznosi się na prawie 1400 m Czarna Góra, która według słów pieśni ciemnieje wtedy gdy świeży liść okryje bór. „Szum Prutu i Czeremszu hucułom przygrywa, a wesoła Kołomyja do tańca porywa”. A kto się w tej ziemi zakocha to nie chce innego życia jak na połoninie. Jednym z takich miłośników był instruktor lotniczy z aeroklubu krośnieńskiego pan Antoni Kosiba. Pod jego przewodnictwem chodziliśmy na długie wycieczki po ogrzanych marcowym słońcem stokach, pływaliliśmy łodzią po wodach zalewu solińskiego i wijących się między górami meandrach. W wysokich partiach gór na połoninach leżał jeszcze śnieg. Kosiba był inicjatorem wypraw na narty oraz na trasy małej i dużej pętli bieszczadzkiej. Po drodze opowiadał nam niesamowite historie jakie przeżyli mieszkańcy tych okolic. Opowieści tych starczyłoby na osobną książkę. Zwiedzaliśmy te miejsca i słuchaliśmy jego wspomnień. Pomiędzy Cisną a Baligrodem stoi wyniosły pomnik zwieńczony koroną w kształcie



Obóz kondycyjny w Polańczyku



Nasz nowy nabytek rodzinny – „Trabant 600”

rozerwanej wybuchem bomby. W tym miejscu zginął w walce z Bandami UPA generał Karol Świerczewski. W Baligrodzie na cmentarzu również jest pomnik. Na tarczy umieszczono dwa miecze. U stóp pomnika spoczywają w bliźniaczych kwaterach ofiary ukraińskich band. Wymordowano tu podczas ceremonii zaślubin całe wesele razem z młodymi i księdzem. Bandyci nie zwracali uwagi na miejsca święte ani na wiek swych ofiar. Przyjaciele pana Kosiba mieli gdzieś w tamtym rejonie tartak. Gdy banda spaliła wieś i wymordowała mieszkańców, oboje małżonków przecięli żywcem na pół piłami do drewna. Ich małe dzieci uciekły na cmentarz i ukryły się. Po kilku dniach Kosiba z kolegą znaleźli wygłodniałą dwójkę dzieci i zaopiekowali się nimi. Po latach zgłiszcza uprzątnięto. Ślady zarosły. Zostały tylko wspomnienia i mogiły.

Przy drodze z Leska do Ustrzyk Dolnych, u stóp okazałego zbocza górskiego, leży mała miejscowość Ustianowa. Po drugiej stronie wije się San. Ustianowa to kolebka polskiego szybownictwa. Tutaj stawiali swe pierwsze kroki najlepsi polscy piloci. Stąd Tadeusz Góra przelotem ponad 500 km ustanowił rekord świata i zdobył pierwszy medal Lilienthala, najwyższe odznaczenie w szybownictwie. Pokazując nam to miejsce Kosiba powiedział „Panowie, na tych zboczach latało ponad 2000 szybowców. Dzisiaj wszystkie aerokluby w Polsce tyłu nie mają”. To nic, że były to szybowce nie tak doskonale jak obecnie. Na tym prowizorycznym sprzęcie młodzi piloci latali, szkolili się, ustanawiali rekordy, a co najważniejsze uczyli się kochać tę ziemię i Polskę. W potrzebie nie wahali się oddać za nią życie. Nasi czerwoni bracia nie zezwolili na kontynuowanie tu tradycji lotniczych, ale ludzie, którzy w tym miejscu zostawili kawałek swego serca wystawili ten pomnik, skromny ale jakże wymowny i symboliczny. Staliśmy przy kamiennym cokole z wmurowaną biało-czerwoną szachownicą i wyrastającymi obok skrzydłami. Stąd do Ustrzyk Dolnych było tylko kilka kilometrów. Miasteczko niewielkie ale niepozabawione uroku Bieszczadów. Zwiedziliśmy tu unikalne muzeum fauny bieszczadzkiej. Rysie jak żywe, szczyrzyły kły wilki, a gości witał potężny brunatny niedźwiedź, który stojąc na tylnych łapach przerastał najwyższych mężczyzn. Mierzył ponad 2 m wzrostu. Pnąc się pod górę drogami dużej pętli bieszczadzkiej dojechaliśmy do stóp najwyższej góry Tarnicy i Ustrzyk Górnych. Tutaj niestety był już koniec Polski chociaż góry rozciągały się dalej. Stąd zaczynały się Bieszczady. Ciągnęły się pasmami w kierunku Jasła, Krosna, Sanoku. Jakby palce potężnej dłoni. Podobno utworzył je bies Czady kładąc na nich swą olbrzymią łapę. Z Ustrzyk Górnych wąskimi i krętymi drogami przez Cisnę i Baligród wróciliśmy do Polańczyka.

Z AZM żegnałem się bez żalu., ale wrażeń i korzyści jakie stąd wyniosłem nie da się przecenić. Gdybym pozostał w szkole dorobiłbym się lichej emerytury i cudzego kąta na starość. Do tej pory pracowałem na licencję. Czas by teraz licencja popracowała na mnie.

Od stycznia do września obowiązki kierownika pełnił Krzysztof Machnacki, a zwolniony przez niego etat instruktorski objął Andrzej Wesołowski.

W styczniu pani „Księgowa”, która pełniła funkcję sekretarki i kasjerki doprowadziła do manka finansowego. Nowy kierownik zwolnił ją dyscyplinarnie z pracy, a jej obowiązki czasowo powierzył mnie. Obowiązki te pełniłem przez okres 3 miesięcy społecznie. Na domiar tego ominęła mnie podwyżka płac, która przysługiwała pozostałym pracownikom pionu technicznego i wyszkoleniowego. W tej sytuacji czułem się pokrzywdzony i wystąpiłem do kierownika z prośbą o zmianę angażu i zakresu obowiązków. Chciałem przejść na etat instruktorski. Natomiast funkcję zastępcy kierownika i szefa modelarstwa podzielić pomiędzy 2 instruktorów, mnie i Andrzeja Wesołowskiego. Ja jako modelarz chciałem zajmować się nadal tą dziedziną pracy, a z zaszczytnego tytułu zastępcy ds. propagandy zrzec się na rzecz kolegi. Andrzej po pewnym namyśle zgodził się na taką koncepcję, ale kierownik zgody nie wyraził, argumentując swą odmowę tym, że on pełni funkcję kierowniczą czasowo i nie chce dokonywać radykalnych zmian wchodząc tym samym w kompetencje majora Goździńskiego. Ja uważam, że była to tylko wymówka. Modelarstwo i propaganda nie tworzą jednego wydziału. W strukturach aeroklubu PRL są one od siebie niezależne. Fakt, że w naszym przypadku podporządkowano je 1 osobie wynikał tylko z niedostatecznej liczby etatów i ograniczonego zakresu działania małego aeroklubu. Kierownictwu nie zależało na rozwoju. To było przyczyną, że nie utworzono tu sekcji spadochronowej, pomimo, że wojsko było tym zainteresowane.

Po co brać sobie na głowę dodatkowy kłopot? Wyrażano też opinię, że prędzej ograniczą mnie w lataniu

niż zwolnią choćby z części obowiązków propagandowo – modelarskich. W tej sytuacji złożyłem natychmiastowe wypowiedzenie pracy. Aeroklub zalegał mi urlop wypoczynkowy za 4 lata. Poprosiłem o 3 miesiące urlopu w okresie wypowiedzenia i zapłatę za czwarty. Przez miesiąc czerwiec byłem w domu, na lipiec i sierpień zatrudniłem się na ryczałcie w Kętrzyńskim Ośrodku Szkolenia Lotniczego w Karolewie. Ośrodek ten organizacyjnie podlegał Instytutowi Lotnictwa w Warszawie. Instytut Lotnictwa był placówką naukowo – badawczą, ale otworzył własny ośrodek szkolenia agrolotniczego przy technikum rolniczym w Karolewie koło Kętrzyna. Niezależnie od tego utworzono tu aeroklub, który zrzeszał młodzież z poza szkoły.

Ośrodek potrzebował instruktorów lotniczych i dobrze płacił za wylatane godziny. Sytuacja taka miała swoje uboczne skutki. Przyjeżdżało tu wielu cwaniaków, których nie obchodziło szkolenie, tylko wyciąganie 100 zł za każdą wylataną godzinę. Praca z tymi ludźmi była ciężka i upokarzająca. Wiadomo, że sprzątaczką z ministerstwa czuje się ważniejsza od inżyniera z prowincji. Zwłaszcza gdy ma za sobą poparcie koleśków, tzw. plecy. Kolesie przyjeżdżali z Warszawy narozrabiali i znikali do następnego razu. Pracą zajmował się personel etatowy, ale atmosfera rywalizacji i konkurencji była nie do zniesienia. Instytut Lotnictwa zatrudnił mnie od zaraz. Ponieważ miałem niewykorzystany zaległy urlop, zatrudniono mnie czasowo na ryczałcie. I chwała Bogu. Przynajmniej mogłem przez 2 miesiące poznać warunki i atmosferę pracy.

Ryczałt mój wynosił 6 tysięcy zł za miesiąc pracy. Szefem wyszkolenia ośrodka agrolotniczego i aeroklubu był mgr inst. Pilot Wiesław Gronowski. Z racji pełnionej funkcji podlegał mu cały personel latający. Administracją placówki zajmował się kierownik pan Kupiec. W ośrodku każdy zarył się z każdym. Nienawiścią zarażał się jeden od drugiego jak zaraza. Był to taki mały przykład polskiego piekła, a działo się to na oczach uczniów. Technikum było szkołą 5 letnią. Kształcono w nim młodzież w wielu specjalnościach rolniczych. Jedną z nich było agrolotnictwo. Uczniowie klasy I rozpoczynali naukę wაკacyjnym podstawowym kursem szybowcowym. W roku następnym zdobywali II klasę szybowcową, po czym przesiadali się na samoloty. Po 5 latach szkolenia zdawali na licencję zawodową i uprawnienia do lotów agro.

Ci którzy podolali szkoleniu i egzaminom otrzymywali pracę w Oddziałach Zakładu Usług Agrolotniczych. ZUA było jednym z wydziałów Centrum Naukowo Produkcyjnego Samolotów Lekkich Państwowych Zakładów Lotniczych Warszawa – Okęcie. Praca pilotów rolniczych polegała na wykonywaniu zabiegów: siania, nawożenia, rozpylania środków chemicznych przy użyciu samolotów oraz gaszenia pożarów lasów. Usługi wykonywano głównie dla PGRów i lasów państwowych. Po uzyskaniu odpowiedniej praktyki wpisywanej do licencji, pilot miał prawo do pracy poza granicami kraju. Praca agrolotnika była trudna i niebezpieczna, ale bardzo ciekawa, satysfakcjonująca i popłatna. Pilotami agro zostawali głównie instruktorzy z aeroklubów lub piloci wojskowi, którzy zakończyli służbę, a jeszcze nie mieli dość latania.

W tym roku po raz pierwszy dołączyli do nich uczniowie technikum z Karolewa, a następnie absolwenci wydziału agrolotniczego Olsztyńskiej Akademii Rolniczo Technicznej. Ci ostatni często zajmowali w ZUA stanowiska kierownicze. Szkoła pilotażu technikum rolniczego i aeroklub kętrzyński korzystały ze starego poniemieckiego lotniska z czasów II wojny. Lotnisko to było miejscem historycznym. Wybudowano je specjalnie dla potrzeb kanclerza III Rzeszy Niemieckiej Adolfa Hitlera i obsługiwało jego kwaterę w Gierłozie tzw. Wilczy Szaniec. W Gierłozie niedaleko lotniska, nad jeziorem stał ładny stylowy pałacyk. Podobno był to podarunek wodza dla jego jedynej życiowej miłości, towarzyszkii życia i żony Ewy Braun. Lotnisko okalały lasy i mazurskie jeziora. Okolica była malownicza, co dzień odwiedzana przez wiele niemieckich wycieczek. Przyjeżdżali tu jakby do drugiego Malborka, symbolu minionej potęgi. Ja nie przypadłem do gustu szefowi wyszkolenia panu Gronowskiemu. Swoją antypatię zaczął okazywać mi od momentu gdy zgłosiłem się do jego dyspozycji zgodnie z poleceniem Instytutu Lotnictwa. Może bał się konkurencji z mojej strony, może nie spodobałem się mu z wyglądu, może wyczuł mój spokojny i uległy charakter. Dość na tym, że ganiał mnie jak kiedyś kaprale w Kamiennej Górze i miał pretensje o wszystko. W pierwszym miesiącu pracy zlecił mi wyszkolenie podstawowe dużej grupy szybowców z klas pierwszych technikum. Szkolenie odbywało się na Bocianie nową metodą za holem.

Pilotem holującym była pani Maria Wojtkowska instruktorka spadochronowa którą znałem z czasów gdy należałem do sekcji spadochronowej aeroklubu warszawskiego. Do Kętrzyna przylatywał również inst.. Witold Tracz dawny szef sekcji spadochronowej. Obecnie oboje pracowali w Instytucie Lotnictwa, natomiast w Kętrzynie dorabiali okazyjnie. Pan Tracz kolegował się z panem Gronowskim. Obaj stwierdzili, że jestem człowiekiem nieodpowiedzialnym i niepoważnym. Tracz potwierdził tę opinię stwierdzeniem, że zna mnie od lat. Taka opinię wyrobili mi również w Instytucie Lotnictwa.

Tymczasem ja każdego dnia po rannym wyhangarowaniu sprzętu i rozłożeniu startu latałem z uczniami do południa. Gdy grupa jechała na obiad mnie polecano pełnić obowiązki kierownika lotów. Siedziałem na starcie w barakowozie, który spełniał funkcję wieży kontrolnej i przez radio dyrygowałem ruchem samolotów. Opiekowałem się również szkoleniem grupy treningowej aeroklubu. Sam szef powierzył mi tą funkcję. Jeżeli się z niej nie wywiązywałem powinien mnie odwołać, a nie obciążać coraz większymi obowiązkami i krytykować. Podważał każdą moją decyzję aby celowo mnie poniżyć. Po południu nadal latałem z uczniami. Musiałem hangarować sprzęt jakby nie było do tego mechaników. Często nie miałem czasu na zjedzenie obiadu. Nie wiedział, że pod tym względem byłem doskonale zahartowany jeszcze z czasów pracy w szkole budowlanej, gdy jadałem raz dziennie późnym wieczorem. Mimo wszystko szkolenie przebiegało normalnie i w przewidzianym czasie uczniowie zostali przygotowani do pierwszego samodzielnego lotu. Przepisy mówią, że do pierwszego lotu powinien ucznia dopuścić Szef Wyszukolenia lub wyznaczony przez niego instruktor I klasy nie szkolący ucznia. Gdy zwróciłem się do szefa ten odesłał mnie do jednego z cwaniaków warszawskich. Pan Dunowski nie przyjechał tu po to aby brać jakąkolwiek odpowiedzialność. Przyjechał aby pomądrzyć się, wykazać swoją ważność i wziąć pieniądze. Żaden z moich uczniów nie zyskał jego aprobaty, ale ja wiedziałem swoje. Łamiąc przepisy sam dopuściłem ich do lotu i sam te loty nadzorowałem. Obecnie wykorzystując łączność radiową laszowanie było łatwiejsze i bezpieczniejsze. Wszyscy moi uczniowie polecili samodzielnie, bezpiecznie i prawidłowo. Szef nie powiedział mi ani słowa. Nie dał nagany za złamanie przepisów ponieważ wiedział, że nie dopełnił swoich obowiązków i obciążyłby siebie. Nie pochwalił mnie również gdyż żadne normalne słowo uznania nie przeszło by mu przez usta. Nie wszyscy przyjezdni byli zarozumiali i arogancy. W atmosferze chłodnej nieufności trudno było o serdeczniejsze więzi koleżeństwa. Nie mniej jednak zaprzyjaźniłem się z paroma osobami.

Na szybowcach pod moim nadzorem latał nauczyciel wf z technikum Jan Chrunik, wkrótce uzyskał on licencje pilota zawodowego i uprawnienia agro. Zaprzyjaźniłem się też z młodym pilotem doświadczalnym z Instytutu panem Akslerem. Normalne przyjazne stosunki łączyły mnie z panią instruktorką pilot Marią Wojtkowską oraz paniami: inst.. pilot Lucyna Krzywonos–Bajewską, inst. pilot Helena Latawiec. Obie panie należały kiedyś do czołówki szybowcowej, a nazwiska takie jak Bajewska, Szemplińska, Bajewska czy Latawiec rozślawiły polskie szybownictwo na arenie międzynarodowej. Poczytuję sobie za zaszczyt, że pani inst. pilot Lucyna Bajewska – Krzywonos była również moją instruktorką szkoląc mnie w Kętrzynie na motoszybowcu Ogar i samolocie Zlin–42. Zapamiętałem ją jako osobę sympatyczną i zrównoważoną a ponadto jako kobietę piękną o jasnej delikatnej cerze i blond włosach. W sierpniu, drugim miesiącu mojej pracy szef wyszkolenia powierzył mi prowadzenie całokształtu szkolenia szybowcowego. Jak gdyby swego zastępcy ds. szybowcowych. Z uczniami latali 2 instruktorzy praktykanci pod moją opieką. Ja wykonywałem loty instruktorskie na motoszybowcu, kontrolne w ramach opieki nad przebiegiem szkolenia, laszowałem uczniów i holowałem szybowce samolotem Jak–12. Nie godząc się na dalszą pracę z panem Gronowskim napisałem podanie do gdańskiego oddziału ZUA. Odpowiedź otrzymałem pozytywną. Kurs teoretyczny w lotach i zabiegach agrotechnicznych miałem ukończony w październiku ubiegłego roku. Prowadziła go w Lisich Kątach pani Pelagia Majewska. Szkolenie teoretyczne ważne było 1 rok., a więc jeszcze aktualności nie straciło. ZUA Gdańsk przyjmując mnie do pracy wyraziło zgodę na wylaszowanie na samolot AN–2 i przeszkolenie wg programu na pilota agro.

W połowie sierpnia wydarzył się pewien incydent dotyczący szefa wyszkolenia. Pan „G” prowadził wojnę nie tylko ze mną. Na jego potknięcie czekał szef techniczny, mechanicy, instruktorzy, a przede wszystkim kierownik ośrodka. Podczas tankowania samolotów, szef polecił uczniowi zatankować ben-



Na cmentarzu w Palmirach



Pałacyk Ewy Braun w Gierłozie pod Kętrzynem



Kasia – Ruda Mrówa

zyną swój samochód. Mechanik, który prowadził magazyn paliwa, zameldował o tym szefowi technicznemu, techniczny kierownikowi, a kierownik tylko czekał na taką okazję. Natychmiast przerwał loty i zwołał nadzwyczajne zebranie pracowników. Publicznie oświadczył, że w trybie natychmiastowym zawieszona szefa wyszkolenia i odsyła go do dyspozycji Instytutu Lotnictwa, a jego obowiązki czasowo powierza pani instruktor Helenie Latawiec. Życie toczyło się nadal, ale bez pana „G”. Nowa szefowa zgodziła się na przeszkolenie mnie na samolocie Zlin–24 i zadanie to powierzyła inst. Lucynie Krzywnos. Kierownik ośrodka zaproponował mi pracę pod swym kierownictwem, a w niedalekiej perspektywie powierzenie mi funkcji szefa wyszkolenia. Wyraziłem wątpliwość czy na podstawie opinii jaka mi wystawił pan „G”, Instytut Lotnictwa zgodzi się mnie zatrudnić. Kierownik oświadczył, że wydawanie opinii należy do niego, a on wystawił mi już opinię jak najlepszą, dodał, że jest nauczycielem i zależy mu aby w ośrodku szkoleniowym pracowali instruktorzy z wykształceniem pedagogicznym. W Instytucie przedstawił mnie jako kandydata z odpowiednim wykształceniem, kwalifikacjami lotniczymi i doświadczeniem w obydwu dziedzinach. Ja jednak miałem już pracę zapewnioną w ZUA i zmiana decyzji była by z mojej strony czynem niepoważnym. Kierownik Kupiec oświadczył, że moja rezygnacja z pracy w Kętrzynie przyjmuje z zalem. Równocześnie zapewnił, że gdybym zmienił zdanie on chętnie mnie przyjmie z powrotem. Za kilka dni poprosiłem kierownika, aby pozwolił mi pojechać do domu w najbliższą sobotę i niedzielę. Wsiadłem do swego trabanta i za 3 godziny byłem w domu. Żona również wpadła na pomysł, aby mnie odwiedzić. Minęliśmy się w drodze. Gdy ja wyjeżdżałem z Kętrzyna ona dojeżdżała tam pociągiem. Dotarła do Karolewa i trafiła do państwa Chruników. Od nich dowiedziała się, że ja pojechałem do domu „Toście zrobili sobie niespodziankę nawzajem” żartował Chrunik.

Zaproponował, aby żona przenocowała w mojej kwaterze, ale ona postanowiła wracać natychmiast. Zdążyła jeszcze na ten sam pociąg, który wracał do Olsztyna. Tutaj przesiadła się na autobus do Płocka i ostatnim pociągiem dojechała do Proboszczewic. Akurat wtedy gdy ja chciałem wracać. Niewiele brakowało abyśmy minęli się po raz drugi. Może ktoś zdziwić się dlaczego ganialiśmy się po Polsce, a nie skorzystali z telefonu. Teraz każdy dzieciak ma telefon jako zabawkę. Jeden SMS i sprawa załatwiona. Za PRLu było trochę inaczej. Wtedy dostać się do telefonu było sprawą niemożliwą szczególnie na wsi. Poza tym polskie telefony działały tak jak w dowcipie: do Warszawy przyjechała delegacja japońskich biznesmenów. Stąd mieli udać się do Gdańska. Nawiązano kontakt telefoniczny, ale niewiele było słyhać i rozmówca głośno krzyczał. Jeden z gości pyta się dlaczego on tak wrzeszczy? Bo rozmawia z Gdańskiem. Na to gość – to nie może mówić przez telefon? A teraz fakt. Pracując w ZUA musiałem co dzień rano dzwonić do rejonu kontroli lotów, aby uzyskać zgodę. Wieczorem należało podać telefonicznie zakończenie. Technika ma to do siebie, że czasem lubi się zepsuć. PGRowski telefon przestał działać. Pojechaliśmy więc z kierownikiem zakładu do odległej o 6 km gminy. Ale urząd gminy był już zamknięty. No to na milicję, ale tu nie chcieli z nami rozmawiać. Na nic zdały się tłumaczenia, że dostaną z komendy wojewódzkiej nakaz szukania samolotu. Oni mieli telefon tylko do spraw służbowych i nie potrafili zrozumieć, że to właśnie jest sprawa służbowa. Musieliśmy jechać 20 km do miasta.

Z urzędu pocztowego zgłosiłem zakończenie lotów i wyjaśniłem powód opóźnienia. Gdy wróciliśmy do gospodarstwa czekał na nas funkcjonariusz MO z gminnego posterunku. Nie wiedział dlaczego kazali mu szukać samolotu skoro on stoi sobie spokojnie zakotwiczony stalowymi linami do ziemi i nikt nie usiłował go porwać.

Ja również mu tego nie tłumaczyłem bo było to za trudne jak na jego możliwości zrozumienia. Sprawę zakończył taki dialog: „to co jest z tym samolotem? Ano nic. Widzi pan, że stoi. To po co mnie tu przysłali? Tego to ja nie wiem.”

Milicjant wsiadł na motor i odjechał. Tak to było z telefonami za czasów PRLu.

Ucieszyłem się z przyjazdu żony bo mimo wszystko jeszcze się wtedy kochaliśmy.

W niedzielę załadowałem całą rodzinę do trabanta i pojechaliśmy do Kętrzyna. Ostatnie dni sierpnia upłynęły nam w miłej rodzinnej atmosferze. Mieszkaliśmy we 4 w mojej kwaterze w Karolewie, jak na biwaku. Pokoik nieduży, ale za to mogłem żonie i dzieciom pokazać historyczne miejsca. Pałacyk Ewy Braun nad jeziorem i wysunięte w wodę małe molo. Rozbite bunkry wilczego szańca, komnaty ukryte

pod kilkumetrową warstwą żelazobetonu i prawie prywatne lotnisko Hitlera. W wolnych chwilach spacerowaliśmy po lasach i zbieraliśmy grzyby. Tych wolnych chwil dużo nie było ponieważ zbliżał się koniec wakacji i należało kończyć kolejny kurs podstawowy. Uczniowie latali już samodzielnie, ale wymagali bieżącej kontroli techniki pilotażu i nadzoru instruktorskiego z ziemi. Umowę miałem do końca miesiąca i dlatego obowiązywała mnie dyscyplina pracy. Należało jeszcze odwiedzić do domu rodzinę, aby dzieci mogły przygotować się do szkoły. Z kłopotu wybawiła mnie najmłodsza siostra żony Irena. Była ona bardzo ładną panną, toteż przebierała w chłopakach jak w ulęgawkach i u każdego znalazła jakąś wadę. Aktualnie zalecał się do niej francuz. Francuscy specjaliści budowali w plockim kombinacie całe instalacje przemysłowe i szkoliły polskie załogi w ich obsłudze. Mieszkali oni w specjalnie pobudowanym osiedlu niedaleko kombinatu. Ci którzy mieli rodziny, mieszkali wraz z rodzinami. Mieli nawet własną szkołę dla dzieci. Niektórzy z nich mówili trochę po polsku. Widząc latające szybowce, kilku młodych mężczyzn przyjechało kiedyś na lotnisko. Ja wtedy kierowałem lotami. Wykonałem z gośćmi krótki lot nad miastem i tak się poznaliśmy. W rewanżu wyjęli z bagażnika butelkę dobrego francuskiego wina. Powiedziałem, że na lotnisku podczas lotów i w obecności uczniów wypić nie możemy, ale zapraszam ich do siebie do domu po lotach. Zbliżał się wieczór i wkrótce loty zakończyłem. Wieczór upłynął nam w miłej atmosferze chociaż dogadywaliśmy się jak gęś z prosięciem. Francuzi mieli samochody w stylu zachodnim toteż rozpoznawani byli z daleka przez milicyjne patrole drogowe.

Jeden z moich gości wyjął z kieszeni plik mandatów twierdząc, że on jest ich kolekcjonerem. Początkowo je wyrzucał, ale gdy ilość rosła postanowił je zbierać na pamiątkę. Mówił, że milicja traktuje ich jak kapitalistów i każe mandatami nawet nie wiadomo za co. A oni są tylko robotnikami i wcale tak dużo nie zarabiają.

Placą też duże podatki, między innymi na bezrobotnych. Jeden z gości wyjął monetę i pokazał wytłoczony napis *Liberte, Egalite, Fraternite*. Powiedziałem, że wiem co to znaczy. Są to hasła rewolucji francuskiej – wolność, równość, braterstwo. W ten sposób rozmowa przeszła na tematy historyczne. Historia od dawna związała Polskę z Francją, jest to temat rzeka. Emigracja, wojny napoleońskie, legiony, obie wojny światowe. Polacy zawsze łączyli swe nadzieje z Francją a Napoleona Bonaparte darzymy szczególnym szacunkiem. Pod tym względem zdania nasze mocno się różniły. Zapytali co Napoleon dał Polsce oprócz nadziei? Czy zwrócił jej wolność? Czy wypędził z niej zaborców? Czy wskrzesił Polskę jako państwo?

On tylko wykorzystał zapał żołnierza polskiego do swoich celów, a celem tym był podbój świata i nieograniczona władza. Pod tym względem nie różnił się od Hitlera.

Hasła rewolucji już wtedy okazały się kłamstwem. Gdyby chodziło o wolność, Napoleon utworzyłby Polskę, a nie tylko Księstwo Warszawskie. Nawet nazwy polakom nie zwrócił. Podobnie nie było i do dziś nie ma równości ani braterstwa.

To są tylko puste słowa. Rozmowa toczyła się długo i wina też było więcej. Nie będę jej opisywał bo nie chodzi tu o historię, lecz o to jak się poznaliśmy. Goście moi odwiedzali mnie kilkakrotnie do czasu gdy porzuciłem pracę w aeroklubie. Najbardziej zapamiętałem Ieana Marie bo częściej u nas gościł i Ieana Pierre'a bo wpadła mu w oko Irenka. Nic z tych zalotów nie wyszło, ale wtedy Ian Pierre dał się namówić na wycieczkę do Kętrzyna aby odwiedzić mnie i zabrać do domu moja rodzinę. Samochód miał wspaniały. Wtedy na polskich drogach widywało się tylko Syrenki, Fiaty polskie, Trabanty i chyba jeszcze Warszawy jako podróbkę sowieckiej Pabiedy. Takimi samochodami jakie mieli francuscy robotnicy, u nas nawet elita nie jeździła. Citroen Iana Pierre'a posiadał ciekawą hydraulikę. Na polskich wertepach karoseria unosiła się wyżej. W tym położeniu nie groziło uszkodzenie spodu. Na autostradach samochód stawał się niższy co zwiększało bezpieczeństwo szybkiej jazdy – stąd te mandaty. Gość mój szybowcem nigdy nie latał, dlatego zabrałem go na kilkunastominutowy spacer po niebie. Na pamiątkę tego spotkania zostało mi zdjęcie – czas zatrzymany na skrawku papieru. Tak zakończyła się ostatnia wakacyjna przygoda.

Z dniem 1 września 1977 przestałem być pracownikiem AZM ale członkiem i pilotem sportowym pozostałem nadal. Czynnie uczestniczyć w strukturach organizacyjnych nie pozwalała mi nowa praca, poza domem w ciągłej delegacji. W pierwszej połowie września wylaszkowałem się w Płocku na wysoko

wyczynowy szybowiec Cobra i ukończyłem szkolenie w akrobacji średniej na samolocie Zlin 526.

Dnia 19 września 77 roku rozpocząłem pracę w ZUA oddział Gdańsk. W ciągu następnych 7 lat wykonywałem sporadycznie loty szybowcowe, ale tylko w takim zakresie aby utrzymać ważność licencji. Nową swoją pracę rozpocząłem od laszowania na nowy typ samolotu używanego w agrolotnictwie tj. na samolot AN – 2.

Popularnie zwanego Antkiem. AN – 2 jest lekkim samolotem transportowym używanym we wszystkich rodzajach lotnictwa. Szkolił mnie kierownik aeroklubu gdańskiego, komandor podporucznik instruktor pilot Zbigniew Luranc, ten sam który kiedyś laszował mnie na Fokę. W końcowych ćwiczeniach szkolenia na samolocie

AN–2 program dopuszczał łączenie zadania doskonalenia pilotażu z wyrzucaniem skoczków. Miałem więc okazję wykonać kilka lotów ze spadochroniarzami oraz uzyskać prawo latania Wilgą w nocy. Uprawnienia do lotów agrotechnicznych są jednym z dodatkowych uprawnień pilotażowych wpisanych do licencji po zdaniu egzaminów przed Państwową Lotniczą Komisją Egzaminacyjną. Prawo do pilotowania AN–2 zdobyłem. Teraz należało ukończyć praktyczny kurs agro i zdać egzaminy. Zanim przystąpiłem do programowego szkolenia wysłano mnie do PGR Debrzno, aby zobaczyć jak wygląda praca w czarterze i poznać urok latania na wysokości 1 m i zdobyć doświadczenie w pilotowaniu ANa.

Jak wspominałem wcześniej pilotami rolniczymi byli głównie instruktorzy z aeroklubów, posiadali oni duże doświadczenie oraz kawalerską fantazję – cechy bez których praca agrolotnika jest niemożliwa. Znany jest powszechnie dowcip o babci która upominała swego wnuczka kandydata na pilota „ tylko pamiętaj wnusiu, lataj nisko i powoli i hamuj na zakrętach”. Wszystkie rady babci są błędne i niebezpieczne, ale w ZUA tak właśnie się lata. Na dalszych stronach mego pamiętnika, będzie sporo przykładów takiego latania i dużo sytuacji kaskaderskich. W gospodarstwach rolnych nie było lotnisk. Lataliśmy z pół i poletek, łąk i łączek, nierównych, miękkich zadrzewionych i zadrutowanych liniami energetycznymi. Każdy pilot sam decydował o własnych możliwościach i brał za nie odpowiedzialność. Charakter pracy i możliwości ANa pokazał mi jako pierwszy inst. pilot Emil Kukuła. W Debrznie, a właściwie należącej do tego kombinatu fermie Buchowo.

Nazwa kombinat kojarzy się z dużym zakładem przemysłowym, ale w czasach PRLu nazwą tą objęto również zespół PGRów. Każde gospodarstwo posiadało swoje kierownictwo, park maszynowy, fermy hodowlane i około 2000 ha ziemi.

Zespół kilku gospodarstw tworzył kombinat rolny. Kombinat posiadał od 10 000 do 20 000 ha ziemi. Posiadał zakłady naprawcze, własne lecznice weterynaryjne, gorzelnie, zakłady przetwórstwa spożywczego, a nawet miasta nowoczesnych bloków mieszkalnych z domami kultury, sklepami i całą infrastrukturą. Kombinatem zarządzał dyrektor, przeważnie wysoko postawiony w hierarchii partyjnej. Miał on do pomocy różnych specjalistów, odpowiedzialnych za poszczególne gałęzie działalności gospodarstwa. Główny agronom, główny zootechnik, główny mechanik byli to inżynierowie, zastępcy dyrektora w produkcji rolniczej, zwierzęcej, w zakładach mechanicznych, transporcie, magazynach i innych wydziałach niezbędnych w każdym zakładzie produkcyjnym czy handlowym. Specjalistów kształciły wyższe szkoły i akademie rolnicze. Kombinaty nie były już tymi wyśmiewanymi PGRami z lat 40 tych. Wszystkie ziemie były zagospodarowane i dawały plony wyższe niż w gospodarstwach niepaństwowych. Rolnictwo indywidualne nie posiadało kombajnów, traktorów, samolotów, nawozów, środków ochrony roślin. PGRy posiadały wszystko i to w nadmiarze dlatego przeciętny zbiór oscylował w granicach 45–50 kwintali z hektara, a często bywał większy. Tymczasem rolnik pracujący tradycyjnie z zasady zbierał połowę tego. Wiem to ponieważ pracowałem w wielu gospodarstwach, interesowałem się plonami, które były wynikiem również mojej pracy, a mieszkając na wsi miałem porównanie wyników.

Jednym z tak zorganizowanych kombinatów był zakład w Debrznie. Stare miasto składało się z kilku uliczek zabudowanych parterowymi domkami z ogródkami. Natomiast część należąca do kombinatu rolnego prezentowała się okazale. Z daleka widać było ładne nowoczesne bloki stojące na wysokiej skarpie u stóp której płynęła rzeczka Dobrzynka. Aby dostać się do miasta i kombinatu należało wysiąść na stacji kolejowej Lipka na trasie Chojnice – Złotów. Stąd parę kilometrów mikrobusem obok lotniska wojskowego dojeżdżało się na miejsce. Ferma Buchowo leżała po drugiej stronie miasta 6 km na północ.

Oprócz lądowiska bazowego korzystaliśmy z 2 podlądowisk Gronowo i Cierznie. W Gronowie latało się z szosy, natomiast Cierznie leżą na skraju dużych lasów ciągnących się setki kilometrów od Piły na północ wzdłuż rzeki Gwda.

Lądowisko stanowiła mała łąka ograniczona zadrzewioną szosą i lasami. Startowaliśmy z niewielkiej górki w kierunku na ścianę lasu. Spadek terenu ułatwiał rozbieg samolotu obciążonego maksymalnie i umożliwiał, szybsze oderwanie od ziemi. Do lasu dolatywało się na wysokości kilku metrów ale drzewa były dużo wyższe. Wyjść stąd można było tylko głębokim zakrętem w lewo i mocno przechylonym samolotem przelecieć pomiędzy drzewami przy szosie. Był to start dość karkołomny i praktycznie jednokierunkowy. Na lotniskach kierunek startu i lądowania ustawia się pod wiatr, a pierwszy zakręt można wykonać dopiero na wysokości 50m. Tutaj zakręty wykonuje się niemal skrzydłem dotykając ziemi, a wysokość lotu nie przekracza często 20 m. Wielokrotnie gdy samoloty wojskowe ćwiczyły loty koszące, my otrzymywaliśmy zgodę pod warunkiem, że nie będziemy wychodzili powyżej 20m. Nawozy sypkie zrzucano z wysokości 12 m ponieważ granulaty potrzebował takiej wysokości na prawidłowe ułożenie smugi. Nawozy pyliste potrzebowały około 3 m, a opryski cieczami robiliśmy z wysokości 1 m. Oprysk drobnokroplisty tzw. zamgławianie wykonywało się jeszcze niżej, dotykając kołami powierzchni uprawy. Lataliśmy też niezależnie od kierunku wiatru, biorąc pod uwagę ukształtowanie terenu i możliwości samolotu, a pod tym względem Antonow miał możliwości nieograniczone. Duży grubas z 2 potężnymi płatami skrzydeł wygląda ociężale i niezgrabnie. W rzeczywistości nie znam samolotu, który równałby się z nim właściwościami. Tłusty Antonow startując pod niewielki wiatr, unosi się w powietrze już po 30 m rozbiegu., tyle samo wystarcza mu do lądowania. Na całkowicie ujętym gazie, na wypuszczonych klapach i automatycznie wysuniętych slotach nie wpada w korkociąg lecz zjeżdża do ziemi jak spadochron. Trzeba tylko wyczuć moment kiedy należy dodać gazu aby miękko wylądował. Tej sztuki nie dokona żaden inny samolot. Kiedyś wykonując loty usługowe dla Mazowieckich Zakładów Petrochemicznych poleciałem z dyrektorami do Łeby, aby zawieźć ich na wczasy w domu wypoczynkowym MZRiP. Łeba to jedna z najpiękniejszych nadmorskich miejscowości z unikalnymi na skalę europejską wędrującymi wydiami Słowińskiego Parku Narodowego. Niestety nie znając lądowiska nie mogłem lądować w Łebie. Wylądowałem w Lęborku, a stamtąd samochodem do miejsca przeznaczenia. Dyrektorzy udali się na wypoczynek a ja obejrzeć lądowisko.

Okazało się ono niewielką łąką, pastwiskiem położonym wśród lasów dodatkowo poprzecinane ogrodzeniami. Na lądowisku tym pracował Antonow z ZUA Gdańsk. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że pilot ANa będzie wkrótce moim kolegą. Dziwiłem się w jaki sposób duży i ciężki samolot dodatkowo obciążony ponad tonowym ładunkiem może latać z tak małej łąki. Skoro jemu ona wystarcza to tym bardziej powinna wystarczyć Wildze, która jest 2 razy mniejsza i 3 krotnie lżejsza. Nic bardziej błędnego. Dobrze, że nie zdecydowałem się tam lądować. Po 3 tygodniach pobytu w czarterze wezwano mnie do Gdańska aby rozpocząć szkolenie w lotach agro. Polecono mi na wstępie przebazować AN-a do remontu w WSK Mielec.

Nie mogłem oprzeć się pokusie, aby nie pochwalić się kolegom w aeroklubie i rodzinie. Wylądowałem w Płocku. W tym czasie urzędowanie rozpoczął nowy kierownik major Mieczysław Goździński. Pełniący do tej pory jego obowiązki Krzysiek Machnacki został szefem wyszkolenia. Nowy kierownik chciał zatrudnić mnie z powrotem w AZM ale ja już podjąłem decyzję nieodwołalną. Nazajutrz odprowadziłem samolot do Mielca i pociągiem wróciłem do Gdańska, do dyspozycji szefa pilotów ZUA inst. Mieczysława Dąbkowskiego. W lotach agrotechnicznych szkolił mnie zastępca szefa pilotów inst. Waldemar Skibiński. Szkolenie rozpoczął egzaminem ze znajomości samolotu, interesowały go najdrobniejsze szczegóły, a szczegółów tych umiejscowionych na 3 pulpitych jest ponad 200. Samych wyłączników około setki. Przyrządy pokładowe, wskaźniki pracy silnika, urządzenia radiowo – nawigacyjne, układy sterownicze itd. itp.

Do instrukcji eksploatacji dołączona jest książeczka zawierająca wykaz czynności jakie powinien wykonać pilot przed lotem. Wszystkie one są ważne i o wszystkich trzeba pamiętać ale instruktor Skibiński miał własną skróconą listę, którą trzeba znać na pamięć i za każdym razem, zanim da się pełen gaz do

startu, sprawdzić kolejno „powietrze, paliwo. klapy, trymery, temperatury, zaslonki, skok”.

2 dni studiowałem instrukcję ucząc się dodatkowych elementów związanych z nowym zadaniem i na ślepo, bez szukania po kabinnie, wskazywać potrzebne przyrządy. W podłodze pomiędzy pedałami steru kierunku znajduje się mała niepozorna śrubka. Nie wiedziałem do czego ona służy.

„No to idź i poszukaj w instrukcji albo zapytaj mechanika”. Dalszy ciąg egzaminu po obiedzie. Dowiedziałem się, że śrubką ta reguluje się ciśnienie w instalacji rolniczej samolotu. Więcej potknięć nie miałem. Loty wykonywaliśmy nad lotniskiem w Pruszczu Gdańskim, samolotem pustym i obciążonym, imitując nawożenie i opryski, oraz manewry w strefie pilotażowej. Po tygodniu ćwiczeń, dalsze loty szkoleniowe odbywałem w czarterze Rusocin pod kierunkiem inst. Ziemowita Lewandowskiego.

Podobnie jak w Debrznie, ale teraz z ładunkiem nawozów latałem sam zachowując kierunek lotu według flagowych. Flagowymi byli pracownicy PGR. Ubrani w białe fartuchy z białymi szturmówkami w rękach, odmierzali kolejne zajęcia samolotu co 18 metrów. Odchyłka od wyznaczonej przez nich linii powodowała niedokładności w wysiewie i przebarwienia w jednolitej powierzchni uprawy. Tam gdzie nawozy pokryły się, zielen była intensywniejsza, w częściach pominiętych jaśniejsza. Taka pasiasta zebra świadczyła o niedostatecznych umiejętnościach pilota. Największej staranności wymagały wiosenne prace z nawozami azotowymi.

Często zdarzało się, że wiosenne roztopy uniemożliwiały na niektórych polach pracę ciężkim sprzętem, wtedy samolot wykorzystywano również do siewu zbóż jarych. Praca w rolnictwie wymaga ścisłego przestrzegania terminów. Często o celowości zabiegów decydują godziny. Jeżeli pogoda pozwalała, samoloty zaczynały swa pracę już w połowie lutego, a kończyły z początkiem grudnia. Okres zimowy wykorzystywany był na organizowanie kursów doskonalących, egzaminów kontrolnych teoretycznych i praktycznych oraz obozów kondycyjnych.

Czas świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku spędziliśmy na urlopie w domu. Po powrocie z obozów kondycyjnych należało wykonać badania lekarskie w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej i przedłużyć ważność licencji. Drugą część urlopu wykorzystywaliśmy w porze żniw pod warunkiem, że w tym czasie byliśmy w kraju, a nie na akcji zagranicznej. Dla rodzin i dzieci praktycznie nie istnieliśmy. Gość który zjawiał się kilka razy do roku i to na krótko, był de facto człowiekiem obcym. Taki tryb życia powodował konflikty małżeńskie i często prowadził do rozbitcia rodzin. Fakt, że moja rodzina przetrwała tę próbę czasu jest głównie zasługą mojej żony. Ona przez wszystkie lata samotnie wychowywała dzieci, prowadziła dom, pracowała zawodowo i pomagała swoim rodzicom. Koledzy którzy ją poznali zadawali pytanie gdzie Ją znalazłem? W tym retorycznym pytaniu zawarta jest odpowiedź i uznanie.

We wrześniu żona również zmieniła pracę. Odeszła z Młodzieżowego Domu Kultury i zatrudniła się w księgowości dużego zakładu produkcyjnego Izokor Instal. Przedsiębiorstwo zbudowało bazę w Proboszczewicach przy stacji kolejowej, niedaleko naszego domu. Mając pracę na miejscu nie musiała dojeżdżać do Płocka i wracać nocnymi pociągami.

W pierwszych dniach grudnia samoloty wróciły z czarterów do bazy w Pruszczu Gdańskim aby w okresie zimowym przejść przygotowanie do następnego sezonu.

Przygotować się musiały także załogi. Ja ukończyłem programowe szkolenie i czekałem do wiosny na egzamin państwowy przed PLKE. Kurs doskonalący i egzaminy kontrolne z wiadomości teoretycznych, urlop świąteczny oraz obóz kondycyjny w Sopocie, badanie lekarskie i przedłużenie licencji wypełniły czas grudnia, stycznia i lutego. Marzec spędziłem w czarterze Wyczechy pod opieką inst. Stanisława Akermana. Przed egzaminami i uzyskaniem uprawnień nie mogłem wykonywać samodzielnie lotów roboczych, latałem więc jako drugi pilot. W następnym miesiącu również latałem jako drugi u inst. Andrzeja Woźniaka w Złotowie. W końcu kwietnia zdałem egzaminy teoretyczne w Warszawie i praktyczny w Gdańsku. Po egzaminach obowiązywała praktyka w lotach agrotechnicznych.

Praktykę tę odbywałem w Redle u inst. Stanisława Wiśniewskiego oraz w Czerninie koło Malborka pod opieką inst. Ludwika Merło. Po odbyciu praktyki uzyskałem wpis do licencji uprawniającej do wykonywania lotów agro na terenie PRL na statkach powietrznych typu AN-2R. Warszawa dnia 22.06.1978 r.

Za parę dni wysłano mnie do pierwszej samodzielnej pracy w czarterze Kamienica koło Tucholi. Przy-

omniałem sobie jak kiedyś mój tata ostrzegał „Ucz się abyś nie musiał w PGRze rozrzucać gnoju”. Ileż trzeba było podjąć nauki, pracy, wysiłku i starań aby spełniły się prorocze słowa mego ojca. Wprawdzie widły trochę się skomplikowały, ale istota sprawy została nie zmieniona. Nakazując mi pracę w gospodarstwie mówił: „Uczysz się po to abyś nie musiał w ten sposób zarabiać na swe utrzymanie, ale dzięki tej pracy poznasz jak chleb smakuje i nauczysz się go szanować”. Rację miał ojciec, tylko nie przewidział, że od przeznaczenia nie ma ucieczki, a smak chleba zależy od wielu różnych czynników. Kolejna rocznica ślubu minęła i tym razem beze mnie. Przyszły kolejne wakacje. Moja starsza córka Grażyna ukończyła szkołę podstawową uzyskując na świadectwie oceny bardzo dobre z 10 przedmiotów i dobre z 5. Ocena średnia wynosiła 4,7. Na tej podstawie została przyjęta do Małachowianki – liceum, które kiedyś ja usiłowałem ukończyć.

Miejscowość Kamienica łączyła się z gminną osadą Gostycyn. Obie miejscowości wyglądały jak nie-duże, ale schludne i czyste miasteczko. Leżały na skraju wspaniałych Borów Tucholskich przy szosie i linii kolejowej łączącej Tucholę z Bydgoszczą. Przedzielała je rzeczka Kamionka, która nieco dalej łączyła się z Brdą i Zalewem Koronowskim. Kamionka płynęła przez stawy rybne należące do PGRu.

Szosa była główną ulicą osady. Po jej południowej stronie leżało lądowisko ANa z ładnie prezentującym się samolotem. Na przeciwległym krańcu droga szerokim łukiem omijała niewielkie wzniesienie w kształcie płaskiego kurhanu.

Szerokie schody prowadziły po zboczu na cmentarz będący pomnikiem pamięci. Tutaj w czasie wojny hitlerowcy wymordowali pacjentów szpitala psychiatrycznego.

Kurhan z wieńczącymi go mogiłami tworzył smutny dysonans z urokiem malowniczej okolicy, szczególnie oglądanej z lotu ptaka. Rozległe bory poprzecinane korytami rzek, połyskujące lustrami jezior, miasta połączone wstęgami szos, linii kolejowych, do tego samolot niemalże do własnej dyspozycji. Grupę agrolotniczą tworzyło tylko 2 ludzi, stanowiących zarazem załogę samolotu, pilot i mechanik pokładowy. Lataliśmy na zlecenie agronoma lub dyrektora zakładu rolnego za te loty płaciło gospodarstwo. PGRy miały w tym czasie 50% dotacje ze Skarbu Państwa. Samolot potrafił zastąpić pracę wielu maszyn i ludzi, nie niszczył upraw i kosztował w eksploatacji mniej niż sprzęt naziemny. Oprócz lotów wykonywanych na zlecenie usługobiorców mieliśmy prawo do oblotów technicznych, sprawdzania warunków pogody, przebazowań, rozpoznania pól i terenu. O tych lotach decydował pilot, który był kierownikiem grupy agrolotniczej i przedstawicielem ZUA w czarterze. Swoboda latania była nieporównywalnie większa niż w innych rodzajach lotnictwa. Kwatery nasze również posiadały standard mieszkań pracowniczych. Szczególnie gdy zakład rolny dysponował własnymi blokami mieszkalnymi. Każdy z członków załogi posiadał osobną sypialnię, wspólną mieliśmy kuchnię i pokój gościnnie – jadalny z telewizorem. Posiłki zapewniał nam PGR w ramach diet delegacyjnych, jednak powszechnie praktykowaną była zasada pewnej częściowej odpłatności, a należności za delegację uzupełniały nasze pobory. Niezależnie od tego, gospodarstwa dopłacały nam w różnej formie rekompensaty za latanie w godzinach nadliczbowych i w niesprzyjających warunkach atmosferycznych. Były jeszcze inne źródła dochodu, bardziej prywatne. Jednak głównym magnesem przyciągającym do pracy w agrolotnictwie były kontrakty zagraniczne. W ciągu miesiąca zarabiano się około 500 dolarów co miało wartość 25 średnich pensji krajowych. Koledzy zmieniali samochody jak rękawiczki. Ja z żoną postanowiliśmy pobrać własny dom. W tamtym czasie mówiło się pół żartem pół serio: „Czy się stoi czy się leży 2 tysiące się należy”. W ZUA natomiast kursowało powiedzenie: „Dwa Fiaty i do chaty”.

Dwa tysiące ówczesnych złotych miało wartość 20 dolarów po czarnorynkowej cenie. Fiat 125 p kosztował 1400 dolarów. W ciągu 6 miesięcznej akcji w Sudanie zarabiano się około 3000 dolarów. Wystarczyło więc na 2 Fiaty i jeszcze zostawało na benzynę.

System prawny, polityczny i gospodarczy PRLu nie opierał się na logicznych zasadach państwa demokratycznego lecz na całkowitym podporządkowaniu Związkowi Sowieckiemu. Były to lata absurdu i fikcji. Wśród wielu dowcipów wymyślono taka kalkulację. Co należy zrobić aby otrzymać Fiata za darmo?

Zanim odpowiem na to pytanie, należy zapoznać się z realiami ówczesnej polityki gospodarczej. Fiat podrożał i kosztował 1600 dolarów. Dolar po cenie czarnorynkowej 100 zł, a sowiecki rubel oficjalnie 20

zł. Jednak w obrocie gospodarczo – handlowym między PRLem a ZSRR obowiązywał tzw. rubel transferowy rozliczany w cenie dolara. Teraz można prześledzić taką kalkulację.

Najpierw należy pożyczyć 40 000 zł. Za te pieniądze kupić 2000 rubli. Następnie ruble wymienić na 2000 dolarów. Za 1600 dolarów kupić samochód. Pozostałe 400 dolarów sprzedać po 100 zł na czarnym rynku w ten sposób odzyskując 40 000 zł. dług zwrócić wierzycielowi, a samochód zostawić sobie. Sprawa prosta i pomysł bardzo dobry, tylko, że dolary na ruble wymieniał nasz rząd jedynie bolszewikom w Moskwie, stad wzięły się kartki na żywność, puste sklepy i fale strajków. Ale to jest kwestia nieco późniejsza. Na razie wracam do pracy i o przeszłości nie myślę.

W pierwszych dniach lipca odwiedził mnie w czarterze Janusz Szygendowski. On również przeżył się do ZUA i miał już dość pokaźny dorobek. Pogadaliśmy sobie jak starzy koledzy. Janusz pracował w oddziale olsztyńskim już od kilku lat. Zdążył pobudować dom i ustawić się w życiu, ja dopiero zaczynałem.

Połowa lipca to okres przygotowań do żniw i spowolnienia prac związanych z nawożeniem i zabiegami ochronnymi. Teraz samolot potrzebny był nad lasem. Nadleśnictwo Dąbrowa położone jest niedaleko Laskowic Pomorskich. Krzyżują się tu ważne linie kolejowe łączące wiele miast i regionów Polski. Tu przebiega słynna magistrala węglowa Śląsk – Porty. Stąd odchodzą pociągi we wszystkich kierunkach kraju. Pomiędzy lasami wije się rzeka Wda zwana też Czarną Wodą. W tak urozmaiconej okolicy miałem wykonywać loty z lądowiska Jaszcz. Do rozpoczęcia pracy i przebazowania samolotu miałem jeszcze parę dni czasu, postanowiłem więc zaprosić tu na wczasy żonę z dziećmi. Po krótkim pobycie w Kamienicy przelecieliśmy na lądowisko leśne. Początkowo zamieszkaliśmy w hotelu w Świeciu. Stąd samochód z nadleśnictwa dowoził nas do Jaszcz ale było to niewygodne i pochłaniało sporo czasu. Zaproponowano nam kwatery w pałacyku przypominającym swą budową mały warowny zamek. Ten oryginalny budynek stał pośród lasów tuż nad Czarną Wodą. Przez rzekę po moście prowadziła droga na lądowisko. Parę kilometrów w górę rzeki była zaporą wodną i elektrownia. Gdy elektrownia spiętrzała wodę, Wda przemieniała się w wąską i płytką rzeczkę, ale przed wieczorem gdy wodę zgromadzono puszczano na turbiny, koryto rzeki wypełniało się, a kłębiące się fale wyglądały groźnie i imponująco. Rano woda opadała. Dzieciaki na płycznach łowiły kielbie, a ja w tym czasie wykonywałem swoją pracę. W dni wolne wyjeżdżaliśmy nad jezioro Deczno koło Świecia aby popływać kajakiem i rowerem wodnym wypożyczonym w miejscowym ośrodku sportów wodnych.

Pracę nad lasami i w Kamienicy zakończyłem w okresie żniw w połowie sierpnia. Do końca wakacji byłem na urlopie, ale miejsca w domu nie zagrzałem. Ciągnęło mnie na lotnisko do szybowców. Wykonywałem też społecznie pracę instruktora samolotowego w aeroklubie. Było to jednak latanie sporadyczne w miarę skromnych możliwości czasowych. Krzysiek Machnacki odszedł z aeroklubu do Kętrzyna, a na jego miejsce przesunięto Andrzeja Wesołowskiego.

Urlop się skończył i wróciliśmy do swych obowiązków. Dzieci do szkoły, żona do pracy, a ja na sezon prac jesiennych do czarteru Wyczechy zastąpić Akermana, który więcej pracował za granicą niż w kraju.

Czarter Wyczechy znałem z odbywanej tu wcześniej praktyki. Na trasie kolejowej Człuchów – Szczecinek leżała mała stacyjka Domisław. Stąd 2 km spacerem po szosie dochodzi się do lądowiska i gospodarstwa Wyczechy. 20 km dalej po drugiej stronie dużych jezior Krępsko i Szczytno leży PGR Przechlewo. Pracowałem na polach obydwóch gospodarstw pośród jezior i lasów kaszubskich. Stąd na północ aż do samego morza rozciąga się kraina 1000 jezior lasów i rzek. Zaczął się sezon grzybowy. W tych dniach odwiedził mnie Kazio Różycki. Nadal prowadził modelarnię przy szkole Budowlanej i latał w aeroklubie płockim. Przyjechał samochodem marki Żuk z 2 modelarzami, uczniami Budowlanki. Ostatnio spotkaliśmy się na lotnisku w czasie mego urlopu. Zapraszałem Go aby odwiedził mnie w czarterze i właśnie teraz z zaproszenia tego skorzystał. Spotkanie towarzyskie mieliśmy odłożyć do zakończenia lotów. była więc okazja aby w międzyczasie wybrać się na grzyby.

Pokazałem mu z powietrza miejsca gdzie ja zbieram grzyby i jak do nich dojechać.

W ciągu kilku godzin zebrali we 3 ponad 300 kg podgrzybków. Tamtejsze lasy były jedną wielką plantacją. Grzybobranie nie polegało na chodzeniu i szukaniu lecz wycinaniu jak w pieczarkarni. Mechanik który ze mną pracował mieszkał w odległym o 20 km Człuchowie. Do pracy dojeżdżał sa-



Mój nowy warsztat pracy – samolot AN-2 na leśnej przecince



Pierwszy samodzielny czarter. Antonow w PGR Kamienica koło Tucholi.

mochodem i z kwatery prawie nie korzystał. W dużym mieszkaniu byłem sam. Wolny był ponadto pokój gościnny. Rozmowa przeciągnęła się do północy ponieważ tematów nabierało się sporo. Rano goście odjechali. Więcej się z Kazimierzem nie spotkałem. Wkrótce zachorował na serce i przestał latać. Przez parę następnych lat zajmował się modelarstwem specjalizując się w modelach sterowanych radiem, sędziował w różnego rodzaju zawodach modelarskich. Zmarł nagle na serce.

Jesienią pracy w gospodarstwach rolnych jest dużo. Gdy skończył się okres żniw i zaorano pola, ruszyły do akcji samoloty z nawozami fosforowymi, potasowymi oraz różnymi wieloskładnikowymi. Wysiewaliśmy również zboża ozime. Latałem codziennie gdy tylko pozwalała na to pogoda. Gdy minęła złota jesień i nadeszły mgły, wiatry i słoty nudziłem się na kwaterze albo szedłem do lasu na grzyby. Siedziałem potem do późna w nocy przetwarzając swoje zbiory. Pewnego razu gdy tak siedziałem nocą przebierając grzyby nagle zadźwięczał dzwonek w drzwiach. Zdziwiłem się kto mógłby mieć do mnie sprawę w dodatku nocą.

Może mechanik czegoś zapomniał? Otworzyłem drzwi i przestałem wierzyć własnym oczom. W

progu stała moja własna żona. W jaki sposób mnie znalazła? Skąd wiedziała gdzie leżą Wyczechy i gdzie należy wysiąć z pociągu? Mała samotna stacyjka wśród pól i lasów, do tego pochmurna noc. Gdzie iść dalej? Kogo spytać o drogę? Gdy znalazła się wśród PGRowskich bloków powiedziano jej gdzie znajduje się kwatery pilotów, ale wcześniej trzeba było pokonać ponad 300 km drogi z przesiadkami w Sierpcu, Brodnicy i Chojnicach. Skoro jednak znalazła mnie w Kętrzynie to i poradziła sobie tutaj. Wprawdzie w liście wysłanym kilka dni wcześniej napisałem jej, że pracuję wśród lasów pełnych grzybów. Wiedziałem, że zbieranie grzybów jest Jej pasją, ale nie myślałem nawet, że w ten sposób zwabię Ją do siebie jak misia do miodu. Wizyta żony sprawiła mi dużą radość. Oboje szybko uporaliśmy się z tym porannym zbiorem, a nazajutrz po śniadaniu wycieczka do lasu.

Pogoda była nielotna. Wiał porywisty wiatr pędząc po niebie niskie warstwowe chmury, ale w lesie było zacisznie i ciepło. Po drodze szliśmy przez brzozowy zagajnik. Z trawy wyzierały brązowe główki podgrzybków. Żona czuła się jak w niebie, ale ja powiedziałem aby tych z trawy nie zbierała ponieważ są one duże i miękkie, a nieco dalej w sosnowo – świerkowym lesie będą rosły podobne do prawdziwków – jędrne, czyste i wymiarowe jak bliźniaki. Tylko jak zostawić grzyby w lesie? Nigdy wcześniej takiego problemu nie miała. Co chwilę zostawała w tyle aby podnieść z trawy znalezione okazy. Nie pomagało tłumaczenie, że wkrótce zabraknie Jej miejsca w koszyku na inne grzyby. Za godzinę nie mieliśmy w co zbierać. Po obiedzie następnym kurs do lasu. Nazajutrz pogoda poprawiła się i można było wykonywać loty robocze. Otrzymałem zlecenie nawożenia lasów w rejonie miasta Czarne. Miasto to znane jest obecnie z istniejącego tu dużego więzienia, mniej natomiast z historii. W roku 1627 w burzliwych czasach panowania króla Zygmunta III stoczono tu zwycięską bitwę ze Szwedami. Za parę miesięcy rozbito flotę szwedzka pod Oliwą. Potem były już tylko klęski. Na lądowisko przyciągnięto przyczepy z nawozami i sprzęt załadowczy. Zza chmur wyjrzało słońce i rozpoczęliśmy pracę. Leśnicy z Czarnego byli bardzo sympatycznymi ludźmi, praca przebiegała w miłej i towarzyskiej atmosferze. Wielokrotnie pracowałem dla potrzeb różnych nadleśnictw, patrolując lasy, gasząc pożary, walcząc ze szkodnikami. Leśnicy zawsze potrafili stworzyć sympatyczną atmosferę i postarali się o to aby praca z nimi była miłym wspomnieniem. Zauważyłem dużo wcześniej, że charakter pracy mocno wpływa na osobowość człowieka i kształtuje w nim pewne specyficzne dla danego zawodu cechy. Zauważyłem też, że leśnik kocha las tak samo jak swój mundur i jest z niego dumny. W pracy na lądowisku towarzyszyła mi żona. Obejrzawszy z powietrza okolicę rozmawiała z panami w mundurach o różnych sprawach. Jak to bywa w rozmowie napomknęła o tym, że chciałaby na swe imieniny Jadwigi kupić flaki wołowe do przyrządzenia, ale w tamtych czasach trudno było je dostać.

Obiad przywieziono na lądowisko. Dania były smaczne, a spożywane na świeżym powietrzu w warunkach polowych smakowały dodatkowo. Po obiedzie panowie z nadleśnictwa sprezentowali żonie duży dobrze oczyszczony wołowy żołądek do przyrządzenia imieninowych flaków. Aby się mięso nie zepsuło musiała wracać do domu, ale grzybom nie podarowała. Po imieninach Jadwigi przyjechała samochodem i zabrała cały przygotowany wcześniej zapas, okazały woreczek suszonych i ponad 20 litrowych słoików w marynacie.

Koniec października przyniósł załamanie pogody. Największymi przeszkodami były silne wiatry, mgły i deszcze. Wtedy wypraktykowałem, że z jednym przeciwnikiem można walczyć, nawet z dwoma pod warunkiem, że nie są zbyt silni. Według tej zasady latałem podczas mżawki, przy zamgleniach gdy jeszcze widać było koniec pola i flagowych, lub przy podstawie chmur nie niższej niż 20 m. Aby pozwolić sobie na pracę w takich warunkach należało bardzo dobrze poznać teren. Ustalić swe położenie według szybko znikających we mgle charakterystycznych fragmentów nie było łatwe. Raz w takich warunkach zgubiłem się nad lasem. Gdy stwierdziłem, że „umeblowanie” ziemi nie zgadza się z zapamiętanymi elementami zacząłem krążyć nad wierzchołkami drzew. Wyżej były chmury a dookoła mgła. Widać tylko trochę pod siebie. Skorzystałem z busoli magnetycznej nie mogłem gdyż ona obracając się nieregularnie nie zapewniała wyprowadzenia samolotu na dobry kurs. Polecieć po prostej w nieznanym kierunku oznaczało zablądzić zupełnie. Postanowiłem zataczać koła o coraz większym promieniu. W ten sposób znalazłem wśród lasów rzekę Czernicę i biegnącą wzdłuż niej szosę do Czarnego. Stąd po torze kolejowym trafiłem do



Nad „Czarną Wodą”. Praca nad lasami w rejonie Laskowic Pomorskich.



Nad „Czarną Wodą”. Praca nad lasami w rejonie Laskowic Pomorskich.

stacji Domisław i na swe lądowisko. Przepisy lotnicze nakazują latać z mechanikiem pokładowym. Znane porzekadło mówi, że przepisy są po to aby je łamać. Szczególnie odnosi się to do przepisów lotniczych. Są one tak skonstruowane aby odpowiedzialnością w każdym przypadku obarczyć pilota.

Chcąc przestrzegać wszystkich zakazów, nakazów i ograniczeń samolot w ogóle nie mógłby latać a agrolotnik w szczególności. Przepisy często przeczyły sobie wzajemnie. Wymyślali je ludzie na różnych stanowiskach po to aby za nic nie ponosić odpowiedzialności. Ja przeważnie latałem sam. Mechanik podczas lotu nie miał prawa do niczego. On mógł tylko siedzieć i obserwować przyrządy. Nie było sensu aby go niepotrzebnie wozić i narażać. Innym podobnym przepisem były ograniczenia czasu pracy i czasu lotu.

Przepisy zabraniały latać dłużej niż 6 godzin dziennie. Ale myśmy latali od rana do wieczora, często po kilkanaście godzin i wszyscy o tym wiedzieli, nawet ci którzy te przepisy wymyślili. Nie wolno tylko było napisać tego w dokumentacji. Po prostu loty te rozpisywało się na dni nie pogody, a tego nikt nie sprawdzał. Dochodziło do takich bzdur, że samolot latał według dokumentacji, przy najgorszych warunkach, nawet wtedy gdy nie ładowano do niego chemikaliów. Tak skonstruowane przepisy pozwalały nam szantażować dyrekcję PGRów i domagać się zapłaty za nieprzepisowe latanie. Obowiązywał zakaz wożenia pasażerów, ale myśmy woźili, a szefowie udawali, że o tym nie wiedzą. Przepisy zabraniały latać poniżej 1 m, ale w Afryce za tak wysokie latanie otrzymywało się „stop order” to znaczy wycofanie

pilota z akcji na wniosek kontrahenta. Dobrym pilotem był ten, który przywoził na lądowisko zielone koła samolotu. Koła znaczyły na zielono rozbijające się o nie rośliny uprawne.

Ja praktykowałem taki sposób, że najpierw przechylałem samolot na jedną stronę farbując jedno koło a potem drugie. Gdy obydwie koła były pomalowane latałem ponad roślinami. Aby polecieć do Afryki trzeba było najpierw przynajmniej 2 lata bezawaryjnie popracować w kraju. Jeden rok właśnie dobiegał końca. Pracę w Wyczechach zakończyłem 21 listopada i odleciałem do Gdańska. Odprowadziwszy samolot do bazy pojechałem na kilka dni do domu. Tutaj dopiero dowiedziałem się, że niedawno zmarł mój chrzestny wujek Mietek, który kiedyś uratował moich rodziców. Człowiek okrutnie doświadczony przez los i samotne życie. Wuj ostatnie lata mieszkał z siostrą, ale w domu miejsca dla niego nie było. Spał w budynku gospodarczym gdzie hodował świnki i krowy. Nikt nie zawiadomił mnie o jego śmierci i pogrzebie ponieważ i tak nie miałbym czasu przyjechać. Za parę dni znowu wyruszyłem do Gdańska. Zaczynał się kurs doskonalący i obóz kondycyjny. Obraz mych przeżyć byłby niepełny gdybym nie uwzględnił w nim relacji damsko – męskich. Nie chodzi mi o barwne opisywanie wzniosłych uczuć i romantyczno-sentymentalnych nastrojów. Relacje te nie mają nic wspólnego z miłością. We wspomnieniach swych ograniczam się do suchych faktów nie upiększonych żadną fantazją. Co najwyżej, przy okazji, dorzucę trochę własnych refleksji.

W różnych sytuacjach życiowych natura ludzka dopomina się o swoje prawa. Są to problemy skomplikowane i trudne do osądzenia, a nawet zrozumienia. Wśród wielu instynktów najsilniejsze są potrzeby i popędy fizjologiczne. Wprawdzie człowiek obdarzony przez Boga rozumem, wolną wolą, mniejszym lub większym intelektem i innymi przymiotami jak sumienie, poczucie wstydu czy sprawiedliwości, powinien kierować się w życiu tymi zasadami. Bardzo często jednak dominują instynkty. Zwłaszcza wtedy gdy wyrwą się spod kontroli, gdy przestaną działać hamulce etyczne. Wystarczy wziąć do ręki jakąkolwiek gazetę by natknąć się na frywolne ogłoszenia z rodzaju: „Ewelina z Opola pozna pana w celach intymnych” lub „27 latka szuka swego królewicza, gotowego zaopiekować się jej ciałem i duszą” albo „od 10 lat jestem mężatką i ze starym zrobiło się nudno” itd. itp. Zacytowane przykłady mają formę dość łagodną, ale w ogłoszeniach prasowych aż roi się od niemoralnych propozycji i wulgarnych słów. Celuje w tym telegazeta. Nieodpowiedzialne osobniki, przedstawiciele lokalnej fauny bawią się zachowaniem swoim uwłaczając godności kobiety i matki, do tego przedstawiają się jako studentki, a nawet licealistki.

Jeżeli faktycznie nie kłamią kierowane zwykłym snobizmem to w czarnym kolorze widzę przyszłość społeczeństwa, które kształci sobie takie elity inteligencji.

Może chodzi tu właśnie o zdeprawowanie, gdyż naród upadły moralnie za nic ma wielkie ideały i nie obroni się przed zagładą. Dlatego zamiast skromności gloryfikuje się bezwstyd, zamiast poczucia obowiązku i odpowiedzialności szeroko pojęte rozwyrdrzenie. Młodzi ludzie rzucając się w wir rozpustnej rozkoszy nie myślą o tym, że rujnują swe własne życie i że na tej drodze nie znajda szczęścia za którym tak uporczywie gonią. Takiej rozwiązłości bardzo sprzyja praca poza domem. Z przykładami życia nieskrępowanego żadnymi zasadami zetknąłem się bezpośrednio i na co dzień. Po prostu znalazłem się w jego centrum. Bezzasadna jest tu dyskusja o czyjejs winie. Miłość, którą kiedyś sobie przysięgali dawno uległa zniszczeniu. Jeżeli dla przykładu 100 mężczyzn zdradza swoje żony, to równocześnie 100 ich kochanek zdradza swoich mężów. Waga Temidy pozostaje w neutrum. „Bo do tanga trzeba dwojga, tak już świat stworzony jest”. Załogi lotnicze były pod tym względem uprzywilejowane. W biurach kombinatów pracowały młode kobiety, dla których robotnicy rolni nie stanowili dość atrakcyjnego towarzystwa.

Co innego lotnicy. Mieli samochody, pieniądze, byli przeważnie niezależni, poza tym wykonywali fascynujący zawód i potrafili zaimponować poziomem i stylem życia. Ale też byli tematem plotek i opowieści nie zawsze przesadzonych. Na kwaterach wiodło się życie dość swobodne, często urozmaicone spotkaniami towarzyskimi z udziałem dziewczyn. Podczas kursów doskonalących obowiązywały pewne rygory, zwłaszcza podczas okresowych egzaminów kontrolnych. Natomiast obozy kondycyjne dawały zupełną swobodę. Według zamierzeń władz miały być one formą usportowionych wczasów. W rzeczywistości były okazją do wyżycia się w lokalach rozrywkowych i nocnych dancngach. Ja w tym czasie nudziłem

się oglądając do końca programy telewizyjne na świetlicy. Obozy te organizowano w atrakcyjnych miejscowościach górskich lub nadmorskich i okazji do zawarcia znajomości nie brakowało.

Telewizję musiałem oglądać z konieczności ponieważ w pokoju który dzieliliśmy we 3, dwóch moich kolegów urzędowało z pannami. Umowa była, że o 23 pokój będzie wolny, ale gdy program skończył się i chciałem iść spać drzwi były jeszcze zamknięte. Chwilę zatrzymałem się. W tym czasie kolega wyszedł całkowicie rozebrany i bardzo mnie przeproszał, że trochę dłużej im zeszło. Ale oni już idą na dancing i nie będzie ich do rana „Chodź do pokoju, nie będziesz przecież stać na schodach, my zaraz wychodzimy”. Gdy wszedłem dziewczyny były jeszcze w stroju Ewy. Tylko Ewa miała ponoć listek figowy, ale skąd one miały wziąć listek i w dodatku figowy. Wcale się mnie nie krępowały czemu się nie dziwię, bo jeżeli się ma tak piękne ciało to faktycznie nie ma się czego wstydzić. Szczególnie jedna, wysoka brunetka bardzo zgrabna, o buzi super gwiazdy z Hollywood. Czesio Robak pasował do niej bo był mężczyzną bardzo przystojnym. W konkursie tańca towarzyskiego zajęli I miejsce.

Druga dziewczyna nie była tak piękna, ale i jej partner nie pozował na filmowego amanta. Był mały, gruby i stary, dziewczyna wyglądała na jego córkę.

Spodobałem się jej bardziej dlatego zaproponowała mi abym poszedł na dancing z nimi. Ja jednak wymówiłem się i wyszedłem z pokoju, bo rozebrane dziewczyny mnie krępowały. Innym razem gdy wróciłem ze świetlicy, do pokoju zapukał Tadek Podgórski. Bez żadnych wstępów zapytał czy chcę dziewczynę na noc? Propozycja rzadka i zaskakująca rozbawiła mnie, ale odpowiedziałem, że dziękuję nie skorzystam. Bądźże kolegą – nalegał. Przyprowadziłem 2, ale obydwóm nie poradzę. Dlaczego nie chcesz? Ty Tadek jesteś kawalerem i możesz robić co chcesz, a ja jestem żonaty i kocham swoją żonę. To jedno drugiemu nie przeszkadza, żonę możesz kochać a inne (słowo nie do powtórzenia). Można i tak ale ja jestem wierzący. Żonę oszukam ale Pana Boga nie, łamiąc przysięgę złożoną przy ołtarzu, mocno sprzeniewierzę się Bogu, a taki odważny to ja nie jestem. Tadek poszedł, a ja zostałem ze swymi myślami. Pomyślałem właśnie, że z tym oszukaniem żony też nie jest taka prosta sprawa. Kobieta posiada intuicję o jakiej mężczyzna nie ma pojęcia. Posiada również wiele cech dla nas niezrozumiałych oraz własną logikę. Stąd bierze się większość małżeńskich nieporozumień. Kobieta jest zagadką jak Trójca Święta – „Prędeż morze przelejesz do dolka nim ją zrozumiesz”. Jeden z pisarzy amerykańskich twierdzi, że mężczyźni pochodzą z Marsa, a kobiety z Wenus, dlatego porozumienie jest niemożliwe. Problem ten jest jak węzeł gordyjski – nie do rozwiązania. Od wieków różni filozofowie, poeci, politycy wypowiadają się w tych sprawach ale jak dotąd nikt niczego nie wyjaśnił. Nawet Pan Bóg nie przewidział, że Ewa nie posłucha Go i zerwie zakazany owoc, a mężczyzna jak baran pójdzie za nią.

Przykład i najbardziej wyraźny symbol. Przykładów podobnych są tysiące. Jeden ze znanych polityków powiedział: „my rządzymy światem a nami kobiety”.

Co do tego można dodać? Starożytnego filozofa uczeń zapytał: „Mistrzu, czy się ożenić? A mistrz odpowiedział – Cokolwiek uczynisz będzie źle”.

A poeci? – przytoczę jak zwykle Mickiewicza. To, że nazwał kobietę puchem marnym, świadczy tylko o jego bezradności. Przedstawiając swą żonę Mefistofelesowi pan Twardowski rzekł: „Jeszcze jedno, będzie kwita. Zaraz pęknie moc czartowska. Patrzył oto jest kobieta, moja żoneczka Twardowska. Ja na rok u Belzebuba przyjmę za ciebie mieszkanie. Niech przez ten czas moja luba z tobą jak z mężem zostanie. Przysiąż jej miłość, szacunek i posłuszeństwo bez granic. Złamiesz choć jeden warunek już cała ugoda na nic.” Co było potem wiemy. Diabeł uciekł przez dziurkę od klucza. Nie słyszałem aby jakiś diabeł był żonaty. Skoro nic na to nie poradzimy, to zostawmy ten problem innym, oni też nic nie poradzą.

Przytoczę jeszcze zdanie z pięknej piosenki Jerzego Połomskiego, „ bo z dziewczynami nie wie sięJeszcze rok jeszcze dwa, przekonacie się o tym sami, jak to jest, jak to jest z dziewczynami”. Tym optymistycznym akcentem zamykam problem jak sprawę perpetum mobile.

Zakończył się obóz kondycyjny w Sopocie. Rok 1978 poszedł do lamusa. Miałem okazję pomieszkać trochę w domu i wykorzystać połowę urlopu. Moje obie córki zaczęły od pewnego czasu chorować na

końską chorobę. Nic strasznego – to nie była żadna infekcja. Po prostu polubiły konie. Nie wiem skąd się u nich to wzięło?

Może po dziadkach, bo ja zawsze wolałem konie mechaniczne. W tych latach na chłopskich polach pracowały konie. Nie dlatego, że chłopi nie chcieli traktorów.

Zwykły pług czy brona często przerastały możliwości finansowe rolnika. Maszyny bardziej złożone jak kopaczka czy siewnik były dostępne na specjalne przydziały pod warunkiem, że złoży się na nie kilku rolników. W ten sposób partia na siłę przekonywała chłopów o wyższości gospodarki kolektywnej. Traktor czy kombajn był poza zasięgiem marzeń. Urząd sołtysa w naszej wsi sprawował Kazimierz Prejs, człowiek dobroduszny i uczynny. Nie żałował on swego Siwka dzieciakom do zabawy, zwłaszcza, że koń był spokojny i mądry. Zimą koń też potrzebuje trochę ruchu, zabawa miała więc korzyść obopólną. Koń przywiązał się do dzieci i pozwalał im na wszystko w pewnych granicach. Na przykład, gdy po zabawie dzieci odprowadzały Siwka do stajni, trzeba było w pewnym miejscu przejść po zamrożonej strudze. Koń powąchał lód i stwierdził, że jest to niebezpieczne przejście. Nie zwracając uwagi na dzieci poszukał innego miejsca, dalej szedł do swej stajni posłusznie. Tu rodzi się pytanie? Czy koń myśli, czy tylko wiezie się instynktem? Starsza córka, uczennica Małachowianki zapragnęła mieć swój motorower. Jak dzieciakowi odmówić? Popularny wtedy Komar kosztował 4000 zł. Nie był to wydatek przekraczający moje możliwości. Postawiłem jednak warunek. Jeżeli zarobisz sobie połowę tej sumy to drugą ci dołożę. W jaki sposób mogę zarobić pieniądze? Odpowiedziałem, że może pomagać babci w gospodarstwie albo hodować króliki na sprzedaż w skupie. Młodsza córka zapytała czy jej też dołożę, bo ona chciałaby kupić sobie radiomagnetofon Grundig. Umowa stoi, za każdą zarobioną złotówkę dokładam wam drugą. Kupiliśmy kilka królików, ja zrobiłem klatki i hodowla zaczęła się rozwijać. Dzieciaki miały pracę, a ja zyskałem na czasie.

W połowie lutego pojechałem do Czarteru Karlino podpisać umowy najmu i usług.

Dyrektor kombinatu zażyczył sobie przylotu samolotu i rozpoczęcie prac w połowie marca. Miałem więc jeszcze trochę czasu. W domu zaczynało być nam ciasno. Moja siostra Ewa po rozwodzie ze swym mężem Jurkiem Zarzyckim zamieszkała z mamą. Ukończyła szkołę średnią i zaczęła pracować w księgowości w Ośrodku Badawczo Rozwojowym MZRiP. Tu poznała swego drugiego męża. Mieczysław Gnatowski był przystojnym i wykształconym człowiekiem. Jako inżynier energetyk pracował na kierowniczym stanowisku. Z natury był gościnnie i towarzyski. Wiadomo, że z przyjaciółmi trzeba czasami opić sprawę lub imieniny. Gnatowscy przyjmowali sporo gości, a stara teściowa zaczęła im przeszkadzać. Ktoś powiedział, że jeżeli się mieszka z teściową pod jednym dachem, to dach ten powinien być bardzo duży.

Siostra stawiała w obronie matki, co było powodem licznych kłótni małżeńskich. Urodziły się dzieci i przestrzeń pod dachem jeszcze bardziej zmalała. W tej sytuacji budowa własnego domu stała się sprawą pierwszej wagi. Żona zakupiła działkę budowlaną i gotowy projekt architektoniczny. Przepisy zobowiązywały nas do rozpoczęcia budowy w ciągu 3 lat. Tymczasem sytuacja w kraju zaczęła się szybko pogarszać. Pieniądz tracił na wartości. Rząd PRL wypuszczał na rynek coraz większe nominały banknotów, napędzając galopującą inflację. W sklepach brakowało towarów. Wprowadzono kartki na żywność. Jak w takiej sytuacji się budować?

W drugiej połowie marca 1979 przebazowałem samolot do czarteru Karlino i z miejsca rozpoczęliśmy intensywne lotanie. Pracowałem równocześnie w 2 kombinatach, co kilka dni zmieniając miejsca pobytu. Każdy dzień wypełniony był maksymalną ilością godzin pracy i nalotu. Wyjaśniam, że do czasu pracy wliczał się również czas załadunku, tankowania paliwa i przeglądów przed i po lotach. Czas ten nie mógł przekraczać 10 godzin, natomiast lot trwał od startu do lądowania. Kołowania i inne manewry na ziemi do lotu nie wliczały się. Aby nadrobić czas stracony na przedwiośniu teraz trzeba było latać bez względu na pogodę i dni świąteczne. Ponieważ w obydwóch kombinatach płacono nam dodatkowo od ilości wysianych nawozów, w naszym interesie leżało aby czas na ziemi był jak najkrótszy.

Liczyła się też oszczędność paliwa. Każdy zaoszczędzony litr był nasz. Dlatego start z ładunkiem odbywał się pod wiatr, ale lądowanie z wiatrem, w ten sposób dobieg kończył się w miejscu załadunku. Wystarczyło tylko obrócić się o 180 stopni i samolot ustawiony był do kolejnego startu. Spiętrzenie prac

wiosennych powodowało, że agronomowie wyklócali się o każdą godzinę pracy we własnym gospodarstwie. Gdy np. przedłużyłem czas pracy w Karlinie zaraz przyjeżdżał agronom ze Stanomina z pretensją, że brygada załadowcza, sprzęt, flagowi na polach czekają na samolot i niepotrzebnie tracą czas, za który trzeba im płacić. W całym miesiącu kwietniu nielotne były tylko 3 dni w okresie Świąt Wielkanocnych. W Wielką Sobotę pracę chciałem przerwać wcześniej, aby zdążyć na święta do domu. Obiecano mi, że jeżeli będę latał do wieczora to zostanę odwieziony samochodem kombinatu na miejsce. Będzie szybciej i bez przesiadek. Bagatela – 400 km w jedną stronę. Czy opłacało się gnać samochód i kierowcę taki kawał drogi aby zyskać parę godzin pracy?

Widocznie tak. Do świąt zarobiłem w obydwu kombinatach sporo pieniędzy, do tego mechanik sprzedał zaoszczędzoną benzynę. Uzbierało się w sumie 20 tysięcy złotych nie licząc wypłaty miesięcznych poborów, które zakład pracy wysłał pocztą do domu. Dodatkowo zarobione pieniądze postanowiłem oddać żonie jako rekompensatę za trud i rozłąkę. W tym celu wymieniłem część banknotów na bilon. Załadowałem całą sumę do 2 litrowego garnka i schowałem do torby. Świąteczna niedziela w rodzinnym gronie, uroczysty nastrój i słoneczna pogoda. Msza w kościele i goście przy stole, moc serdecznych życzeń i moc wrażeń. Nazajutrz tradycyjny śmigus – dyngus, czyli lany poniedziałek. Rano obudziłem się pierwszy i czekałem aż obudzi się żona. Gdy otworzyła oczy sięgnąłem po przygotowaną wcześniej kwartę. Widząc w moim ręku dużych rozmiarów garnki przeraziła się i chciała wyskoczyć z łóżka. Nie zdążyła. Odchyliłem koldrę i całą zawartość wysypałem na koszulę i półnagie ciało. Żona krzyknęła bo bilon chłodził prawie jak woda. Po sekundzie zorientowała się, że jest obsypana pieniędzmi. Zaskoczenie było całkowite. Tyle pieniędzy na raz nie miała jeszcze nigdy. Nietypowy dyngus stał się tematem wielu wspomnień i opowieści. Święta minęły jak zawsze.

Co dobre kończy się szybko. W środę od rana znowu ganiałem nad polami Karlina. Praca w tym kombinacie wyróżniała się dużą ilością atrakcyjnych przeżyć i wrażeń. Wszystko działo się za sprawą mechanika Mirka Błachuty. Był to człowiek niespotykanej energii, zaradności i przedsiębiorczości. Cechował go tupet i pewność siebie. Jego pomysły i wyczyny stanowić by mogły temat osobnej książki. Po prostu posiadał unikalny charakter i niesamowity temperament, ale był przy tym człowiekiem wrażliwym i dowcipnym. Pracowałem z nim kilka sezonów w różnych czarterach i przeżytych razem dni nie da się zapomnieć ani pominąć we wspomnieniach. Mirek był mężczyzną 30 paroletnim, wzrostu nieco powyżej 170 cm, o sylwetce dość zaokrąglonej. Nie był grubasem ale też nie należał do ludzi szczupłych, był urody przeciętnej, ale posiadał nieprzeciętną zdolność pozyskiwania sobie ludzi, szczególnie płci żeńskiej. Sam dziwił się, co te dziewczyny w nim widzą?

Mając duże powodzenie korzystał z uroków życia i zahamowań pod tym względem nie miał. Poznanej dziewczynie lojalnie oświadczał: „Jestem żonaty. Gdybym chciał się żenić z każdą dziewczyną, która mi się podoba musiałbym codziennie brać ślub. Żony swojej nie zostawię, bo drugiej takiej nie znajdę. Proponuję ci kilkudniową dobrą zabawę. Jak się zdecydujesz to jutro dasz mi odpowiedź, jeżeli nie to cześć, będę miał inną. Tymczasem zastanów się i do zobaczenia.” Gdy odjechalśmy mówił: „Będzie myślała przez całą noc, a jutro ja tu spotkamy.” Nie mylił się prawie nigdy.

Jego żona Danusia była kobietą ładną i zgrabną, ale najważniejszą jej cechą była wyrozumiałość i oddanie mężowi. Znała doskonale jego charakter i sposób życia. Była osobą inteligentną i wiedziała, że uporem i kłótnia niczego nie wskóra. Godziła się z takim stanem rzeczy, bo wiedziała, że Mirek i tak do niej wróci. Mieli jedno dziecko, 5 letnią córkę. Mieszkali w Koszalinie, ale Danusia pracowała w księgowości kombinatu ogrodniczego w Karniszewicach. Mirek na kwaterze prawie nie przebywał.

Zawsze wracał do żony, chyba, że miał kochankę. On zawsze był w ruchu, zawsze załatwiał jakieś sprawy, krzesło po prostu go parzyło. Ja przeważnie latałem sam, dlatego praca ze mną mu się podobała. Miał 2 samochody. Żonie kupił polskiego Fiata 126 p, sam jeździł piękną limuzyną rzadko spotykana na drogach – Fiatem Miraffiorri. Karlino leży u zbiegu 2 rzek, Radwi i Parsęty. Krzyżują się tu ważne drogi krajowe, Gdańsk–Szczecin przez Słupsk, Koszalin oraz droga Kołobrzeg Warszawa przez Piłę, Bydgoszcz. Biegnie też linia kolejowa z Warszawy do Kołobrzegu.

Dojazd do domu miałem dobry, chociaż daleki. Nasze lądowisko i kwatera znajdowały się kilka kilometrów za Karlinem w miejscowości Karścino. Były tu PGRowskie bloki, wieś, szkoła i kościół. Było

kilka sklepów i przystanek autobusowy. Mieszkaliśmy w bloku należącym do gospodarstwa, obiady jedliśmy na stołówce pracowniczej, śniadania i kolacje robiliśmy we własnym zakresie, przynajmniej ja, bo Mirek na takie rzeczy nie miał czasu. Kiedyś obaj pojechaliśmy do stołówki na obiad. Była jakaś kwaśna kapusta zaprawiana mąką. Mirek zawsze potrafił powiedzieć miłe słowo i tym wzbudzał sympatię. Kobiety grabiące suche liście z alejek pozdrawiał słowami: „Cześć dziewczyno, życzę miłej pracy”. 50 – letnie dziewczyny roześmiały się bo nie bardzo wiedziały czy to jest uprzejmość czy żart. Podobnie na stołówce

„Co nam dzisiaj miłe panie dadzą na obiad?. Bigos. Jaki świetny jeszcze takiego nie jadłem. Chciałbym przepis na taki bigos to może uda mi się otruć teściową.”

Miłe panie trafił szlak. Wcale nam nie dały obiadu. Nie ma zmartwienia.

Pojedziemy Wiesiek do komendantury na obiad. Może tam mają coś lepszego. Do komendantury to znaczy do stołówki dyrekcji kombinatu. Ale tam obiad też mu nie smakował. Zapraszam Cię na obiad do mnie do domu. Danusia na pewno będzie miała coś dobrego. Gdy zajechaliśmy zawołał od progu: „Danusia przyjechałem z Wieskiem na obiad, czy masz coś?. Mam, ale musicie poczekać aż podgrzeję, bo już zdążył wystygnać. To chodź Wiesiek pojedziemy do knajpy. Danusia nic nie odpowiedziała tylko z oczy pociekły jej łzy. A mnie zrobiło się tak bardzo jej żal.

Nie wiedziałem jak się zachować, a wtrącać się do małżeństwa nie wypadało. Aż tak zżyci nie byliśmy. Mirek urodził się po wojnie we wsi Niedalino koło Koszalina.

Przez wieś płynęła rzeka Radew. Była tu zapora wodna i niewielka elektrownia.

Spiętrzone wody tworzyły jezioro Hajka. Kilka kilometrów dalej na tej samej rzece była duża zapora w Rosnowie i jezioro Rasnowskie. Na północ aż po Koszalin ciągnęły się lasy nadleśnictwa Manowo, a poniżej jeziora Hajka było lotnisko wojskowo pasażerskie w Zegrzu Pomorskim. Mirek tu się wychował, tu chodził do szkoły, tu miał wielu kolegów. Tutaj też nadal mieszkali jego rodzice. Starszy brat był kierowcą a siostra, magister matematyki, uczyła tego przedmiotu w technikum rolniczym w Tychowie niedaleko Białogardu. Z całej rodziny Błachutów tylko Mirek posiadał ognisty temperament, pozostali byli ludźmi skromnymi, spokojnymi i bardzo zrównoważonymi. Szczególnie siostra emanowała jakąś szlachetną godnością.

Ja przy niej czułem się onieśmielony jak uczeń wyrwany do tablicy. Może dlatego, że sam uczyłem matematyki, ale do jej poziomu nigdy nie doszedłem. W technikum rolniczym organizowano kursy kwalifikacyjne dla rolników. Siostra Mirka zaproponowała nam abyśmy skorzystali z okazji i uzyskali świadectwa rolników wykwalifikowanych, bo nigdy nie wiadomo czy w życiu się one nie przydadzą, zwłaszcza, że pracujemy w rolnictwie. Dzięki niej, bez najmniejszego wysiłku ukończyliśmy szkolenie na poziomie zasadniczej Szkoły Rolniczej. Nawet egzaminy końcowe zdawali za nas podstawieni ludzie. Nieraz Mirek żartował, że podczas egzaminu na pytanie: – jak dzieli się bydło PGRowe – odpowiedział: – że na opasy i opoje. Do opasów zaliczamy tuczone na rzeź bydło rogate, a do opojów całą resztę.

Jednym z kolegów mieszkających w Niedalinie był Zbyszek Brzeski. Matka jego była dyrektorem miejscowej szkoły, ojciec kierownikiem zmiany w elektrowni. Brzescy oprócz Zbyszka mieli córkę. Śliczną dziewczynę, stuprocentową blondynkę o jasnej delikatnej karnacji, szlachetnych rysach i figurze baletnicy.

Matka Zbyszka była równie piękną kobietą, podobna do córki lecz górującą nad nią powagą i dystynkcją. Zbyszek Brzeski był tak jak Mirek mechanikiem lotniczym. Pracował w ZUA Szczecin i często gościł na naszej kwaterze i w naszym towarzystwie. Był również blondynem, dlatego przezywano go Siwy. Wyróżniał się niemal dziewczęcą urodą. Je kiedy pierwszy raz go zobaczyłem myślałem, że to przebrana za chłopaka panna. Nazwałem go nawet lalusiem. Poznasz go bliżej to się przekonasz – powiedział Mirek. Ja przy nim to jestem łagodna owieczka. Siwy potrafi być awanturny i nieobliczalny, zwłaszcza gdy sobie wypije. Nie znam też większego mistrza w podrywaniu dziewczyn. On działa bez skrupułów. Uroda i tupet pozwalają mu uwieść prawie każdą dziewczynę. W stosunku do mnie Zbyszek był zawsze bez zarzutu. Serdeczny, uprzejmy, koleżeński i taktowny. Darzył mnie szacunkiem i sympatią, nawet wtedy gdy był wstawiony. Jego popisowy numer w towarzystwie to zakąszanie wódki szklanką i spacer dookoła własnej ręki z postawionym na niej kieliszkiem w ten sposób aby nie uronić ani kropelki. Na

dłoni stawał pełen kieliszek lub szklanek z wódką, następnie obchodził dookoła wykręcając się nad nieruchomą ręką. Nie wiem jak robił tę cyrkową sztuczkę. Gdy wrócił do pozycji wyjściowej wódkę wypijał a szklanek zjadał zostawiając tylko samo grube dno. Często mawiał: „Ludzie mówią, że pijąc wódkę można wpaść w alkoholizm. Ja wypijam co najmniej pół litra dziennie a w alkoholizm wpaść nie mogę”. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że był już nałogowym alkoholikiem i za parę lat gdy go spotkałem przedstawiał sobą wrak dawnego młodzieńca. Zarówno Mirek jak i Zbyszek należeli do koła łowieckiego w Białogardzie. Nie wiem jak to załatwili. Do ich grona należał syn łowczego i kilku innych uzbrojonych mężczyzn. Błachuta nie polował, nie miał do tego ani chęci ani zainteresowania. Broń posiadał tylko dla szpanu.

Po znajomości załatwił pozwolenie i członkostwo. Sam mawiał, że ma na smyczy wielu wpływowych ludzi. Ze Zbyszkiem parę razy wybrałem się na kaczki łodzią. Łódkę mieli przy elektrowni gdzie pracował jego ojciec. Ja wiosłowałem po szuwarach jeziora Hajka, a Zbyszek strzelał do kaczek. Kaczki nie są głupimi ptakami, gdy usłyszały odgłosy strzałów potrafiły się tak pochować, że dalsze ich wypłaszanie było niemożliwe. Nigdy nie ustrzelił więcej niż dwie. Przyrządzaniem kaczek zajmowała się pani Brzeska, a była w tej dziedzinie mistrzynią. Nigdy smaczniejszych potraw nie jadłem.

W Polowie maja w lasach Manowa rozbił się samolot z ZUA Gdańsk. Zginęła załoga. Pilot był moim uczniem z okresu pracy w Karolewie. Wtedy z uczniami klasy V technikum latałem jako instruktor na motoszybowcach Ogar. Trzech absolwentów dostało się do pracy w naszym oddziale. Kazik Bera latał na zwalczanie szkodników lasu. Wykonywał zamglawianie preparatem rozpuszczonym w oleju napędowym gdyż mgła wodna zbyt szybko by wyparowała. W zbiorniku na chemikalia było 1200 litrów ropy, w zbiornikach paliwowych 800 l. benzyny. Razem 2 tony łatwopalnego materiału. Wykonał zakręt w kierunku góry porośniętej lasem i nie wyrobił. Samolot był zbyt obciążony. Pilot sądził, że zdoła wykonać zakręt przed górą. Niestety zaczepił skrzydłem o drzewa. Silnik pracując na pełnych obrotach ciął 4 potężnymi łopatami śmigieł wysokie sosny. Gdybym tego nie widział nigdy bym nie uwierzył.

Sosny grubości 25 – 30 cm pocięte zostały na klocki jak słoma w sieczkarni. Cała góra zasłana była drewnianymi okraglakami ze śladami niebieskiej farby w miejscach ciecica. Wysoko na koronach drzew zawisły oderwane stateczniki. Reszta spaliła się w potężnym ognisku. Duraluminiowa obudowa silnika topiąc się płynęła strużkami po zboczu. Z samolotu zostało tylko trochę niedopalonych blach. Po załodze nie pozostało nic oprócz wspomnienia. W swoim pokoju na macie mam muzeum pamiątek. Ponad 100 przedmiotów z których każdy coś mi przypomina. Jest wśród nich kawałek zastygłego duralu w kształcie małej łyżki. Śladów krwi na niej nie ma, spaliła się. A może wtopiła się w ten metal? Często mówi się, że cudów nie ma. A ja twierdzę, że są. Zdarzają się nawet często, bo jak inaczej można wytłumaczyć przypadki nieprawdopodobne. Jeden z takich wypadków przeżył parę lat temu Mirek Błachuta. Latał wtedy z byłym wojskowym pilotem o nazwisku Skibicki. Nazwisko podobne do nazwiska zastępcy naszego szefa. Samolot AN-2 posiada w górnych skrzydłach 2 grupy zbiorników paliwowych. Kran paliwa można ustawić w położeniach: zamknięty, otwarty, względnie otwarty na którąś z grup. W przypadku gdy samolot stoi na nierównym terenie paliwo może stopniowo przepływać z jednej grupy do drugiej. Sterując kranem można czerpać z dowolnej grupy i doprowadzić do wyrównania. Pilot przełączył kran na jedną grupę i zapomniał w odpowiednim momencie przestawić na sumę. Samolot rozbił się w lesie z powodu braku paliwa pomimo tego, że w innych zbiornikach paliwo było i wskaźnik tę sumę pokazywał. Samolot łamiąc drzewa utknął silnikiem w ziemi z ogonem umieszczonym do góry.

Skrzydła urwały się i zawisły nad kabiną pilotów. Z rozbitych zbiorników sączyło się paliwo na gorący silnik. Lada moment mógł nastąpić wybuch a załoga była nieprzytomna, z licznymi złamaniami i ranami. Pierwszy ocknął się Mirek. Miał złamany obojczyk i kilka żeber. Widząc wyciekającą benzynę wiedział, że zaraz mogą się spalić. Trzeba było natychmiast uciekać ale drzwi były w górze i dostęp do nich po śliskiej i stromej blaszanej powierzchni podłogi był prawie niemożliwy.

Z boku leżał nieprzytomny, a może zabity pilot. W jaki sposób ciężko ranny mechanik mógł wynieść z samolotu ważącego 100 kg człowieka? Tego nie jestem w stanie zrozumieć. Zbiorniki wybuchły i samolot spalił się ale dopiero wtedy gdy załoga ukryła się za połamanymi zielonymi gałęziami drzew. Tego też

nie jestem w stanie zrozumieć. Pilot przeżył tylko dzięki bohaterstwu kolegi. Gdyby Mirek uciekł sam nikt nie miałby do niego żadnych pretensji. Ratował drugiego będąc w śmiertelnym zagrożeniu. Do szpitala przyszła delegacja z jednostki wojskowej wręczając mu medal, ale on powiedział, że wolalby ubranie bo medalu nie ma do czego przypiąć.

Zachował się taktownie i honorowo. Ja nie wiem co zrobiłbym na jego miejscu.

W końcu maja gdy pracowaliśmy w Stanominie, na lądowisko podjechał swym samochodem Zbyszek Brzeski. Przywiózł ze sobą bardzo ładną blondynkę. Była to Rosjanka córka dowódcy jednostki wojskowej z Białogardu. Przyjechała w odwiedziny do swego taty, chodziła bez celu po mieście i tu zgarnął ją z ulicy Brzeski. Dziewczyna schowała się w samochodzie gdyż Rosjanie mieli kategorię zakaz kontaktów z Polakami. Gdyby ktoś z tajnych służb rozpoznał ją zostałaby natychmiast odesłana do Sujuza, a ojciec jej pułkownik miałby bardzo duże nieprzyjemności. Przyjaźń polsko-radziecka najlepiej wyglądała w propagandowych sloganach i w teorii, w praktyce były kary i ograniczenia. Czego władza sowiecka bała się ze strony Polaków? Dlatego Polak z Rosjaninem nie mógł porozmawiać jak przyjaciel z przyjacielem, a przecież ludzi ze szczerą słowiańską duszą jest wśród Rosjan większość.

Dziewczyna okazała się osobą bardzo miłą i sympatyczną oraz towarzyską. Miała niewiele ponad 20 lat, inteligentna, otwarta na świat i myśląca po naszymu. Nie wdawaliśmy się w rozmowy na tematy polityczne, ale jej krytyczny stosunek do porządku socjalistycznego można było wyczuć nawet z mimowolnych zdań. Rozmawialiśmy jak starzy przyjaciele. Musieliśmy kontynuować pracę, a dziewczynę trzeba było odwieźć do miasta gdyż przedłużająca się jej nieobecność narażała ją na zdemaskowanie. Jak Zbyszek to robi, że tak łatwo nawiązuje kontakty? Według Mirka jest to całkiem proste. Przede wszystkim należy być swobodnym i naturalnym. Sztuczność i skrupowanie tworzy barierę obcości i dowodzi, że jest się osobą przeciętną, mało ciekawą i nieoryginalną. Czym może ująć dziewczynę nudny przeciętniak. Co innego gdy z fantazją podjedzie przystojny chłopiec i poderwie ją jak dobrze znaną koleżankę. Gdy Zbychowi podoba się dziewczyna zwyczajnie zaczyna rozmowę. Dlaczego stoisz tak sama na ulicy? Jeszcze cię jakaś offerma przejedzie. Chcę się czegoś napić a nie mam z kim. Siadaj dzidzia do bryki i jedziemy na zabawę. No i dzidzia przeważnie wsiadała. Nadeszła niedziela z piękną słoneczną pogodą. Pachniały kwiaty, soczystą zielenią okryły się sady i pola. Aż nie chce się siedzieć samemu w domu, ale gdzie pójść? Minęła godzina 9 ta gdy ktoś zapukał do drzwi. Do pokoju wszedł jakiś nieznan pan. Wzrost średni, sylwetka proporcjonalna i bardzo sympatyczna twarz. Przedstawił się jako dyrektor miejscowej szkoły. Przyszedł dlatego, że chce mnie poznać i zaprosić na małą niedzielną wycieczkę. Białogardzkie koło oficerów rezerwy organizuje spotkanie towarzyskie na Świerzym powietrzu, na strzelnicy. W programie ćwiczenia w strzelaniu z broni krótkiej, a na zakończenie kielbaski przy ognisku. Pojechaliśmy Syrenką dyrektora Władysława Stefaniaka. Na strzelnicy spotkaliśmy już kilkunastu panów po cywilnemu i dwóch mundurowych. Jednym z nich był polski pułkownik, drugim radziecki kapitan. Na stoliku leżał pistolet TT i zapas amunicji. W odległości 50 metrów ustawiono tarcze. Zapas naszej amunicji uzupełniała skrzynka pełna wódki i pojemnik z kielbasą. Ognisko było już przygotowane do rozpalenia.

Przywitano nas serdecznie i od razu poczułem się jak w gronie przyjaciół. Ćwiczenia w strzelaniu prowadził pułkownik. Radziecki kapitan Tankopijew przyjechał wojskowym gazikiem z kierowcą. Młody żołnierz zapytał swego dowódcę czy może opuścić auto, jednak kapitan nie zezwolił. Udziału w strzelaniu nie brał ale kieliszkiem i kielbasą nie pogardził. Przypuszczam, że jego wizyta miała charakter służbowy, na pewno sowiecka władza kazała mu pilnować aby Polacy mając pistolet nie wznieśli kontrrewolucji. Z Lachami nigdy nie wiadomo.

Zapisano mnie na listę strzelców i zaczęliśmy strzelanie. Gdy znalazłem się na pozycji pułkownik wręczył mi nabity pistolet. Nigdy z takiej broni nie strzelałem. Kiedyś w wojsku strzelałem z karabinu i nawet dobrze mi to wychodziło, ale pistolet „tetetkę” miałem w ręku tylko podczas czyszczenia i konserwacji. Była to broń służbowa lekarza. Pierwszy pocisk poleciał niewiedomo gdzie. Drugi trafił w ziemię w połowie drogi do tarczy i tylko piasek trysnął. Pułkownik widząc, że o strzelaniu nie mam pojęcia dał mi nie nabity pistolet i kazał wycelować i wystrzelić na pusto. Przez szczerbinę i muszkę pistoletu widziałem tarczę. Gdy nacisnąłem język spustowy zauważyłem, że lufa pistoletu obniżyła się. Pułkow-



Na ćwiczeniach oficerów rezerwy w Karlinie



W mundurze pilota ZUA



nik zapytał czy zauważyłem jaki popełniam błąd. Odpowiedziałem twierdząco. Dał mi naładowany pistolet. Trzeci pocisk uderzył w wał ziemny obok tarczy. Strzelałem jeszcze 6 razy bo nie wszyscy oficerowie zainteresowani byli bronią. Oni woleli większy kaliber butelki. Ognisko już się paliło. Na 9 oddanych strzałów tylko jednym trafiłem w tarczę ale wrażenia pozostały niezapomniane. Zostało mi jeszcze na pamiątkę jedno duże zdjęcie. Na obiad zostałem zaproszony do Państwa Stefaniaków. Tak zapoczątkowała się nasza przyjaźń, która trwa do dziś. W ostatnich dniach maja odwiedziła mnie w Karścinie żona. Przyjechała pociągiem Warszawa–Kołobrzeg. Po przesiadce w Sierpcu na pociąg kołobrzeski, rano około godziny 6 dojeżdżało się do Karlina. Stąd zabraliśmy ją na kwaterę. My mieliśmy jeszcze sporo pracy, ale wieczorami po zakończeniu lotów zrobiliśmy parę wypadów po okolicy. W Kołobrzegu był reprezentacyjny hotel „Solny”. Tutaj w stylowej kawiarni można było spędzić mile wieczór. W Koszalinie gościliśmy u żony Mirka. Jeden wieczór zajęła nam wizyta u Stefaniaków. Pierwszego czerwca żona musiała wracać do domu. Mirek zaproponował powrót samolotem pasażerskim. Powiedział, że on ma znajomości w kierownictwie koszalińskiego oddziału PPL LOT i bilety na samolot załatwi nam bezpłatnie. Jak to robi to już jego głowa. Odwieszysz Wiesiek żonę do domu i wrócisz za dwa dni. Propozycja była kusząca. Rankiem następnego dnia zawiózł nas na lotnisko do Zegrza Pomorskiego. Sprawę załatwił w ten sposób, że skorzystaliśmy z miejsc służbowych zarezerwowanych dla przedstawicieli LOTu. O godzinie 8 dnia 2 czerwca 1979 roku byliśmy już w Warszawie. Podróż pasażerskim samolotem AN-24 była dodatkową atrakcją gdyż do tej pory z tej formy latania nie korzystaliśmy. Tak się złożyło, że w tym dniu Warszawa witała papieża Jana Pawła II w jego pierwszej pielgrzymce do ojczyzny. Dzień ten jest jednym z najważniejszych w historii Polski. Jak dzień odzyskania niepodległości, jak dzień zwycięstwa nad nawałą bolszewicką mającą wymazać Polskę z mapy świata. Papież wezwał głośno i publicznie w imieniu uciemnionego narodu: „Niech zstąpi duch Twój i odmieni oblicze ziemi – tej ziemi”.

I duch zstąpił. W jakiś dziwny sposób natchnął wszystkie serca nadzieją i zjednoczył je. Wszyscy nagle zobaczyli, że tworzą jednolitą siłę. A papież głosił „Nie lękajcie się”

I ludzie przestali się bać. W tym właśnie momencie pękły fundamenty komuny. System zaczął się walić. To był początek jego końca. Chciałem iść na Plac Zwycięstwa wziąć udział w tym niezwykłym wydarzeniu i usłyszeć, jednak żona ostudziła mój zapał. Powiedziała, że na plac się nie dostaniemy gdyż kilkuset tysięcy tłum szczelnie wypełnia go od najwcześniejszych godzin. Nie dojedziemy nawet do bocznych ulic. Niczego nie zobaczymy ani nie usłyszymy. A jak spotkanie i Masza się skończą to nie dostaniemy biletów na autobus do Płocka. Musiałem przyznać jej rację. Zamiast na plac pojechaliśmy na dworzec autobusowy. Jadąc ulicami Warszawy widzieliśmy przed sobą wymarłe miasto. Tylko gdzieś niedługo przemknął pusty tramwaj lub samochód patrolu milicyjnego. Kto nie zmieścił się na placu siedział przed telewizorem. Obojętnych na to wydarzenie nie było. To właśnie było siłą tej wizyty. Bilety na autobus dostaliśmy bez trudu. Do Płocka jechały tylko 3 osoby. Nazajutrz pociągiem kołobrzeskim wróciłem do Karlina. Zwierzyłem się Mirkowi, że chcę kupić motorower tylko nie wiem jak to załatwić. Czytając te słowa można pomyśleć, że byłem skończonym oferą, człowiekiem kompletnie niezaradnym, nieudacznikiem, który nie potrafi nawet w sklepie niczego kupić. W tym czasie w PRLu kupienie nawet kilograma cukru lub kostki masła nie było rzeczą prostą. Obowiązywały kartki, ale i na nie nie zawsze wystarczało towaru. Opowiadano sobie taki kawał: Idzie facet do sklepu i chce kupić mięso na przydział. W sklepie są tylko nagie haki, sprzedawczyni i piąty gatunek psiny. Trudno – mówi gość. Jeśli mają się kartki zmarnować to niech będzie i psina. Sprzedawczyni zapakowała towar, wycięła kupony, wkleiła je do odpowiedniego zeszytu i gość zapłacił pytając dlaczego to mięso jest takie twarde. A co pan chce od piątego gatunku? W domu okazało się, że były to deski z psiej budy.

Wkrótce miały przyjść czasy jeszcze gorsze. A mnie zachciało się nagle motoroweru. Mirek nie odkładał niczego na potem. Jak załatwić sprawę to już. Mam znajomego w hurtowni, zobaczymy co się da zrobić. Mirek jeszcze nie raz mnie zaskoczy. Pojechaliśmy do hurtowni. Ja zostałem w samochodzie, a on poszedł pogadać. Po jakimś czasie wrócił z nowiną. Są w hurtowni skuterki Jawa 50 na specjalne talony. Kierownik ma sposób aby 1 sztukę puścić na lewo. Jawka kosztuje 10000 plus tysiąc dla kierownika. Na drugi dzień Mirek przywiózł mi Jawkę radząc aby na razie jej nie pokazywać, dopóki zapach benzyny nie wywietrzeje. Na terenach ziem odzyskanych,

wzdłuż wybrzeża i granicy zachodniej stacjonowało dużo radzieckich jednostek wojskowych. Strzegły nas one przed zakusami imperializmu, ale jeszcze bardziej umacniały sojusz braterskich narodów i nienaruszalność zdobyczy terytorialnych socjalizmu.

To oczywiście nie był imperializm lecz przygotowanie do ostatecznego boju, o to aby „nasz bratni związek ogarnął ludzki rud”. W samym Białogardzie stacjonowały 4 jednostki. Na peryferiach miasta wydzielono osiedla w których mieszkały rodziny oficerów. Wprowadzie kontakt z Polakami mieli zakazany, ale gdy się żyje po sąsiedzku, zna środowisko i często łączy wspólnota interesów to zakazy ma się gdzieś. Zresztą ludzie ci myśleli już bardziej po polsku i widzieli, że rzeczywistość przeczy propagandzie jaką ich karmiono. Przy jednym z takich osiedli, po drugiej stronie ulicy mieszkał agronom kombinatu rolniczego w Stanominie Waclaw Krajnik.

Nie wiem czy pochodził on z rodziny ukraińskiej czy z zabużańskich Polaków?

Jest to nieistotne. Współpracując z nim zaprzyjaźniliśmy się i przez niego poznaliśmy parę rodzin ruskich. Wacek miał rodzinę na wsi ukraińskiej i czasami jeździł do nich w odwiedziny. Opowiadał nam, że życie jakie oni tam prowadzą jest trudne do wyobrażenia. Poziom miast i wsi dzieli przepaść. Różnicę tą dobrze znali mieszkający tu Rosjanie i chyba dlatego władze zabraniały im kontaktów z ludnością miejscową, a żołnierzy służby zasadniczej trzymali w koszarach w całkowitej izolacji.

Żony oficerów miały możliwość przywiezienia tu różnych artykułów gospodarstwa domowego. W ogołoconej Polsce można było sprzedać wszystko i dodatkowo zarobić. Ceny oferowane przez Rosjan były atrakcyjne jak na nasze warunki. Szczególnym popytem cieszyły się telewizory kolorowe marki „Rubin”. Były to duże i ciężkie pudła, oparte na przestarzałej technologii i bardzo awaryjne. W środku świeciło się wszystko jak Warszawa w nocy i często coś się przepalało. Za takie cudo trzeba było zapłacić 24 tysiące złotych. Krajnik poznał nas z jednym praporszczykiem to znaczy ruskim chorążym, który zobowiązał się sprzedać Mirkowi telewizor dużo taniej. Chorąży miał na imię Witalis, jego matka była Polką a ojciec Łotyszem. Zaprzyjaźniliśmy się z nim i niejedną wieczór spędzili na kwaterze przy kieliszku i zakąsce.

Witia był mężczyzną wysokim i dobrze zbudowanym. Wyglądał na dużego chłopaka, prostego i trochę naiwnego, ale miejsce swoje w szeregu znalazł doskonale, karny wobec przełożonych i surowy dla podwładnych. Poszliśmy z nim do koszar obejrzeć telewizor. Przy bramie wartownik upomniał, że Polakom tu wchodzić nie wolno. Witia ze słowami „małczać” postawił go na baczność i weszliśmy do pokoju oficera dyżurnego. Na stole z surowych desek grał telewizor. Umeblowania dopełniało żelazne połowe łóżko i szafa bez tylnej ściany z oberwanymi drzwiami, do tego były jeszcze dwa obskurne krzesła. Mirek żartował, że szafa jest bardzo pomysłowa gdyż można do niej ładować jak do worka bez dna. Witia zabrał telewizor i pojechaliśmy na kwaterę opić udany zakup. Po paru kieliszkach gdy rozmowa stała się swobodniejsza Mirek jak zwykle zaczął żartować. Witia czy to prawda, że u was w Sojuszu jak ktoś idzie na emeryturę to dostaje Wołgę? Witia zaczął się śmiać bo nie znał zakończenia żartu. Dostaje Wołgę do przepłynięcia i jeśli przepłynie to apiać do roboty, a jak nie przepłynie to emerytura mu niepotrzebna. Witia czy to prawda, że w Sojuszu emerytura wynosi 20 rubli? Witia poważnie się zastanowił. Nie, to niemożliwe, za 20 rubli nikt się nie utrzyma. A ja słyszałem, że tak. Witia jeszcze raz pomyślał i na koniec odpalił: Chyba, że w kolchozie. Witia czy to prawda, że na Placu Czerwonym rozdają samochody? Prawda, tylko nie samochody a rowery i nie rozdają lecz kradną. Za takie kawały Witia mógłby trafić do łagru, ale on miał do nas zaufanie. Sam zresztą był pół Polakiem.

O tym, że Rosjanie handlują czym się da było powszechnie wiadomo. Kiedyś w PGRze sąsiad sąsiada oskarżył, że ten kupił benzynę lotniczą. Przyjechał milicjant sprawdzić czy to prawda. Oskarżony przyznał się od razu. Tak kupiłem, a dlaczego miałbym nie kupić skoro trafiła się okazja. Tylko czy jest to benzyna z samolotu czy z czołgu tego nie wiem. Przyjechali ruscy żołnierze po kartofle do PGRu i sprzedali mi 2 kanistry. Milicjant dalej śledztwa nie prowadził. Lepiej nosa do ula nie wtykać. Na początku lipca Mirek odlatywał na akcję zagraniczną do Egiptu czy Sudanu. Należało pożegnać się z dyrektorem kombinatu PGR w Starominie gdyż był dla nas bardzo życzliwy. Do dyrektora pojechaliśmy we dwóch. Sekretarka powiedziała, że dyrektor jest chwilowo zajęty, ale Mirek na czekanie nie miał czasu. Dla niego czekanie było torturą. Weszliśmy bez zapowiedzi. Przy stoliku siedział dyrektor z radzieckim puł-

kownikiem i obaj rozmawiając pili kawę. Mirek przeprosił i powiedział, że on przyszedł tylko pożegnać się i dużo czasu nie zabierze. Dyrektor uprzejmie wskazał nam krzesła obok i przedstawił nas jako załogę lotniczą. Pułkownik załatwił sprawę kupna ziemniaków dla jednostki, wyjął paczkę z papierosami i poczęstował nas. Ja podziękowałem gdyż jestem niepalący a Mirek wzięwszy papierosa poczęstował pułkownika swoimi. Były to amerykańskie papierosy w eleganckim opakowaniu. Pułkownik biorąc papierosa wtrącił uwagę: „Wot lotczyki charaszo zyjut”.

Na to Mirek „I tak trzeba panie pułkowniku, nie dawać się biedzie na kartki. Skąd oni się tego nauczyli” – Ja zdrętwiałem, ale Mirek ciągnął dalej – „Wymyślili kartki, ludziom mięsa nie sprzedają, a co się zepsuje to wyrzuca”. Pułkownik zaczął się śmiać. Charaszo gawarisz. Kagda budzie zielenoje to wy brosjut.

Mirek pożegnał się a ja powiedziałem, że już przyjechał drugi mechanik na zastępstwo i jutro będziemy latać nadal.

Mirka zmienił Stasiak Zieliński. W Koszalinie odnalazłem swego brata przyrodniego. Gdy rodzice moi rozwiedli się ojciec ożenił się po raz drugi. Szczęścia w nowym związku nie zaznał, ale dorobił się następnej 3 dzieci. Najstarszym był Marek Cygański. Ukończył on w Koszalinie Oficerską Szkołę Artylerii Przeciwlotniczej i po otrzymaniu nominacji oficerskiej pozostał w niej pełniąc obowiązki dowódcy kompanii. Wtedy posiadał stopień porucznika. 7 lipca skończył resurs nasz samolot, znaczy to, że wylatał swoje godziny i musiał iść do remontu. Poleciliśmy do Gdańska na wymianę samolotu. Zbliżał się okres żniw i praca na ten czas została zawieszona. Skierowano mnie na tydzień na zastępstwo do czarteru w Godętowo koło Lęborka. Pracę w Karlinie wznowiliśmy na początku sierpnia. Pola po ściętych rzepakach nawożono i wapnowano pod wysiew zbóż ozimych. Były wakacje 1979 roku. Żona wzięła z pracy urlop i przyjechała z córkami do Karlina. Ponieważ nie mieliśmy samochodu poprosiłem o pomoc pana Stefaniaka. Zgodził się bardzo chętnie, nawet przystroił kwatery różami na powitanie moich dziewczyn. Wyjechać na stację kolejową należało około godziny 5 rano, ale ja zasnęłam i Stefaniak pojechał sam. Gdy się obudziłam dochodziła 6. pociąg był już na stacji w Karlinie. Poczuliśmy się zawstydzony i zawiedziony. Pan Stefaniak celowo mnie nie obudził aby delikatnie wykazać moje niedbalstwo i dać mi do zrozumienia, że na powitanie żony spóźnić się nie należy. Aluzję zrozumiałem i aby całkowicie nie stać się celem żartu wsiadłem na Jawkę i popędziłem na stację. Minęliśmy się po drodze. Lepiej było czekać na miejscu i nie wystawiać się na dodatkowy śmiech. Jednak czasem dobrze jest pośmiać się, potem jest co wspominać. Skuterek był dla Grażyny niespodzianką i jeszcze tego samego dnia zaczęła wycieczki po okolicy.

Gdy my gościliśmy się u państwa Stefaniaków, nasze dzieci zdały się ze sobą zaprzyjaźnić. Stefaniakowie mają 4 dzieci. Najstarszy syn Czarek, Asia w wieku mojej Grażyny oraz bliźniaki Marzena i Beata. Zbliżał się wieczór gdy pod szkołę podjechał samochód przywożąc potłuczoną Jawkę i zapłakaną Asię. Moja Grażyna była już w szpitalu. Dziewczyny razem wybrały się na wycieczkę, miały po 16 lat. Motor prowadziła Grażyna. Rozmawiając ze swą pasażerką głowę odwróciła do tyłu i nie zauważyła, że droga skręca w lewo. Jawka pojechała prosto i wylądowała na drzewie. Grażyna była nieprzytomna, a Asia w szoku poszła do domu. Nadjechał samochód. Kierowca wezwał pogotowie, które przyjechało bardzo szybko. Zanim Asia doszła do domu dogonił ją samochód, wioząc w bagażniku uszkodzoną Jawkę. Szok zaczął mijać, ale pojawiły się nudności i ból głowy. Asię trzeba było odwieźć do szpitala. Okazało się, że miała wstrząs mózgu i na długości paru centymetrów pękniętą czaszkę. Gdy weszliśmy z żoną na salę chorych Grażyna była już zabandażowana. Miała liczne stłuczenia i pękniętą kość nadgarstka. Pierwsze słowa jakie do nas powiedziała były: tylko nie sprzedajcie Jawki. Niefortunne motocyklistki spędziły w szpitalu tydzień. Opieka w białogardzkim szpitalu była wzorowa. Ciekawy jestem jakby to dzisiaj wyglądało w czasach Rzeczypospolitej numer 3,5, gdy pacjent leży na drodze, a wszyscy kłócą się o pieniądze i o to kto ma go zabrać i do jakiego szpitala. Po wypisaniu córki ze szpitala rodzina wróciła do domu a ja pojechałem na badania lekarskie do WIML w Warszawie. Podczas badań spotkałem swego dawnego kolegę Witka Sznurowskiego. Był on nadal starym kawalerem, mieszkał w Warszawie a pracował w wytwórni sprzętu komunikacyjnego w Świdniku koło Lublina jako pilot helikopterów produkowanych w tej wytwórni. Spotkaliśmy się przelotnie. Podczas badań nie było czasu



Obóz kondycyjny w Jastrzębiej Górze



Obóz kondycyjny w Ustroniu - wyciąg na Czantorię. Witek Włyżykowski

na dłuższą rozmowę. Zapraszałem go do siebie do Proboszczewic, ale do tej pory nie mieliśmy okazji spotkać się ponownie. Po przedłużeniu ważności licencji wykorzystałem połowę urlopu, polatałem trochę na szybowcach w aeroklubie, przywoziłem do domu wyremontowaną Jawkę i w połowie września wróciłem do Gdańska.

W tym czasie przenoszono naszą bazę z Pruszcza Gdańskiego do Rębiechowa na lotnisko komunikacyjne. Było sporo pracy z zagospodarowaniem terenu i obiektów. Pomagać musieli wszyscy. W tygodniowych okresach pracy wymienialiśmy się kolejno. Dla mnie przypadł termin w II połowie września. Na początku października wróciłem do czarteru Karlino. Zaczęła się intensywne prace związane z jesiennym nawożeniem pól. W tym czasie dyrekcja ZUA wprowadziła jednolite umundurowanie dla swych pracowników. Mundury koloru turkusowego ozdobiono naszywkami i dystynkcjami jak w lotnictwie komunikacyjnym. W takich paradnych strojach wybraliśmy się zaproszeni na uroczystą akademię z okazji 62 rocznicy rewolucji październikowej. Wzbudziliśmy powszechne zainteresowanie. Tu i ówdzie dały się słyszeć głosy przedstawiające nas jako sowieckich oficerów, jednostek wycofanych z NRD do Polski. Nawet polscy oficerowie oddawali nam honory, a organizatorzy akademii zaprosili do pierwszego rzędu „Pażalsta sadieties w pieriedni”. Powiedziałem „spasiba” utwierdzając ich w przekonaniu, że jesteśmy honorowymi gośćmi z krasnej armii. Myśmy mieli ubaw, a organizatorzy zaszczyt. Dobrze, że nikt nie pytał nas o wrażenia. W pierwszych dniach grudnia pożegnaliśmy czarter Karlino i odlecieli do Gdańska. Dowiedziałem się, że jestem planowany do udziału w akcji zagranicznej, ale najpierw muszę przeszkolić się na nowy typ samolotu rolniczego PZL 106 „Kruk” i wylatać na nim minimum 100 godzin aby otrzymać wpis do licencji uprawniający do latania poza granicami kraju. Na Kruku jeszcze w tym roku przeszkolił mnie instruktor Zbigniew Kudzewicz. Tak zakończyłem drugi rok pracy w ZUA i pojechałem do domu na Święta Bożego Narodzenia powitać Nowy Rok 1980. w tym roku zorganizowano nam obóz kondycyjny w Szklarskiej Porębie u podnóża Szrenicy. Na górę wjeżdżało się wyciągiem krzeselkowym zjazd na nartach pięknymi trasami o bardzo zróżnicowanym stopniu trudności.

Kiedyś ucząc się w Studium Nauczycielskim, koledzy z kierunku wychowania fizycznego mieli w programie wyjazdu na obozy narciarskie w górach. Zazdrościłem im, marząc aby kiedyś popróbować swych sił na prawdziwych stokach. Teraz marzenie moje się spełniło. Byłem w górach na obozie sportowym i treningi narciarskie odbywałem pod kierunkiem instruktora. Nasz zakład pracy zaangażował na czas turnusu trzech instruktorów narciarskich do trzech grup o różnym poziomie zaawansowania. Przydział do grupy odbywał się poprzez eliminacje. Zjeżdżaliśmy z oślej łączki, a instruktorzy klasyfikowali w zależności od tego jak kto radził sobie z nartami. Ja znalazłem się w grupie średniej. Po kilku dniach nauki instruktor urządził nam zawody w slalomie, takie wywijanie na czas między bramkami. Zająłem w grupie 3 miejsce. Instruktor stwierdził, że umiejętności nasze są wystarczające aby zmierzyć się ze stokami Szrenicy. Wyciąg narciarski na szczyt składał się z 2 odcinków. W połowie góry była stacja przesiadkowa. Stąd można było nartostradą o nazwie Puchatek pojechać w dół albo przesiąść się na drugi odcinek wyciągu i dostać się na szczyt, prawie 1400 mnpm, na trasę nartostrady Lola. Trasa ta schodziła w dół pod bardzo ostrym kątem i nie dało się jechać prostymi odcinkami. Ciągła zmiana kierunku wymagała dużych umiejętności technicznych i jeszcze większej kondycji. Po kilku minutach jazdy z napiętymi mięśniami nóg zaczynał się ból nie do zniesienia. Musiałem odpiąć narty i po stromym zboczu schodzić po urwiskach co chwila zapadając się w śnieg. Spacer taki trwał prawie godzinę. Zjechałem dopiero drugim łagodniejszym odcinkiem trasy. Ze szczytu Szrenicy można było turystyczno-wycieczkową trasą pojechać łagodnymi stokami podziwiając widoki i goszcząc się w schroniskach. Dwa tygodnie minęły wypełnione wieloma wrażeniami. Zakończyła je wycieczka szlakiem piastowskich zamków i miast Dolnego Śląska, Bolków, Świdnica, Wałbrzych. W Karkonoszach zwiedziliśmy hutę kryształów oraz unikalny twór przyrody wodospad Szklarę z dwoma małymi stawami, a właściwie zalanymi przez strumień rozpadlinami skalnymi na dnie których połyskiwały jak gwiazdy monety wrzucane przez turystów do wody.

W tych dniach skończyła się mi się ważność Kontroli Techniki Pilotażu. Okres ważności KTP wynosił



*Trzy małżeństwa: Teresa i Kazik Akaccy,
Grażyna i Wojtek Ciarkowscy
oraz Krystyna i Marek Cygańscy.*

1 rok z dokładnością do dnia wpisu w osobistej dokumentacji.

Dokumentację tą stanowiła Książka Lotów opracowana i zatwierdzona zarządzeniem ministerialnym. Zawierała ona wpisy dotyczące przebiegu pracy, szkolenia, posiadanych uprawnień i kwalifikacji, jak również protokoły z egzaminów i dziennik lotów. po zaliczeniu egzaminów kontrolnych otrzymałem 2 tygodnie urlopu wypoczynkowego. Dni urlopu z zasady bieżą szybciej niż dni pracy. Ani się obejrzałem jak trzeba było wracać do Gdańska, jechać z umowami do czarteru, obejrzeć stan kwatery i ładowiska. Następnie przebazować samolot i od połowy lutego być zgodnie z umową do dyspozycji dyrekcji PGR. Ostatniego urlopowego dnia zaczął sypać śnieg. Do południa było słonecznie i pogodnie ale nad horyzontem zawisła ciemna rozległa chmura z której wkrótce zaczęły spadać duże płatki. Początkowo były rzadkie. Powoli opadały w ciszy nadchodzącego zmierzchu, zamieniając świat w bajkową krainę. Ja szykowałem się do drogi, mama wybrała się do sołtysa z pierwszą ratą podatku a siostra wracała autobusem z pracy. W Polowie drogi kierowca autobusu postanowił wysadzić pasażerów w polu a sam wracać do bazy ponieważ gęsty śnieg uniemożliwił mu prowadzenie samochodu. Dojeżdżali do Kamionek, śnieg oblepiał szyby, a wycieraczki nie nadały go zgarniać. Z trudem pasażerowie uprosili kierowcę aby jechał dalej. Jeszcze tylko 500 m i będzie lepiej gdyż po skręcie w prawo do Proboszczewic wiatr będzie boczny i śnieg przestanie zaklejać przednie szyby. Jeden z pasażerów stanął w otwartych drzwiach autobusu i informował kierowcę o kierunku jazdy. W ten sposób z trudem do-

jechali do końcowego przystanku. W jaki sposób autobus wrócił do Płocka, tego nie wiem. Jazda była bardzo utrudniona, a za pół godziny stała się w ogóle niemożliwa. Szosę pokrywała już 30 cm warstwa. Zrobiło się ciemno i w gęstej śnieżycy nie było widać niczego na krok. Mama wracając przez pola zabłądziła. Nie wiedziała w którym kierunku iść i gdzie się znajduje. Warstwa śniegu sięgała jej już do kolan. W takich warunkach skrajnie wyczerpana usiadła aby odpocząć i nabrać sił a śnieg wciąż sypał jak z dmuchawy. Niewątpliwie zostałyby zasypana i od razu zamarzła. Ja chciałem iść na poszukiwanie, ale gdzie jej szukać? czy iść szosą czy przez pola? Przecież mogę przejść 2 kroki obok i nie zauważyć. Pociąg miałem dopiero około 23.

Na poszukiwania mamy było jeszcze parę godzin czasu. Wziąć chciałem ze sobą narty chociaż w puszystym śniegu poruszanie się było trudne. Gdy zastanawialiśmy się co robić w drzwiach niczym śniegowy bałwan stanęła mama. Była ledwo żywa. Kierunek dalszego marszu wskazało jej szczekanie psa. Nie była pewna dokąd dojdzie, ale skoro tam jest pies to powinno być gospodarstwo. Po kilkunastu minutach znowu opadła z sił, ale wtedy ujrzała przed sobą światło ledwie przenikające przez zamieć. Była przed własnym domem. Tej zimy ukończyła 70 rok życia. Gdy przyszła pora odjazdu brnąc po kolana w śniegu doszedłem do stacji kolejowej. Pociąg przyjechał z godzinnym opóźnieniem. Zająłem miejsce w przedziale i usnąłem. Rano obudziłem się w ...Proboszczewicach. Pociąg który miał przybyć z kierunku Sierpca utknął w zaspach koło Gozdowa. Ponieważ tor był zablokowany mój pociąg został zatrzymany na stacji i tutaj śnieg zasypał go do reszty. Rano na polach leżała już metrowa warstwa i ponad metrowe zasy. Luty 1980 roku zyskał miano zimy stulecia. Wszelka komunikacja została sparaliżowana. Pasażerów licznych pociągów i autobusów umieszczano w szkołach. Naukę dzieci przerwano. Ludzi dowoziły wojskowe helikoptery. Mój urlop przedłużył się prawie o miesiąc. Dopiero za tydzień pojawił się ciężki sprzęt do odśnieżania torów. Szosy były nadal nieprzejezdne. Sytuacja unormowała się pod koniec lutego. Wtedy też otrzymałem telegram wzywający do pracy.

Po powrocie do Gdańska rozpocząłem 3 sezon pracy agrolotniczej. Tym razem wysłano mnie do czarтеру Biesiekierz koło Koszalina. Gospodarstwo było stacją doświadczalną specjalizującą się w uprawie i badaniach nowych odmian ziemniaków. Biesiekierz leży przy drodze krajowej łączącej Gdańsk ze Szczecinem. Symbolem i znakiem rozpoznawczym stacji jest pomnik ziemniaka. Dyrekcja mieściła się w ładnym zabytkowym pałacyku otoczonym starym parkiem. Na skraju tego parku, przy szosie, niedaleko przystanku autobusowego stał postument z kilkumetrowym ziemniakiem reklamującym gospodarstwo i instytut. Łądowisko było przy tej samej szosie, 3 km w stronę Koszalina w miejscowości Laski Koszalińskie. Mieściło się tu jedno z gospodarstw Kombinat. Ziemia Biesiekierza graniczyła z Karlinem, był to więc teren który już dobrze poznałem. Loty robocze zacząłem od pierwszych dni marca. Przez 2 miesiące latałem intensywnie wykonując przeważnie wiosenne nawożenia pogłównne.

Kwaterę w Biesiekierzu dzieliłem z mechanikiem Bolkiem, górale z Dukli. Bolek był o kilka lat starszy ode mnie i pamiętał historyczną bitwę o Przełęcz Dukielską, jeden z ostatnich epizodów II wojny światowej. W bitwie tej uczestniczyły wojska czechosłowackie jako sojusznik Armii Czerwonej. Przez szereg następných lat Czecho–Słowacy świętowali w Dukli kolejne rocznice swego Chrztu bojowego u boku sowietów. Jednak faktów, których świadkami byli miejscowi górale nie podaje żadna historia. Ja znam te fakty z relacji naocznych świadków. W górach ufortyfikowane były pozycje niemieckie. Aby zmusić Niemców do zdemaskowania się sowietci przypuścili szturm siłami batalionów karnych pędzonych pod lufami jednostek NKWD. Ci ludzie przeznaczeni byli na zagładę. Gdy Niemcy otworzyli ogień do nacierających spadła na nich lawina ognia zaporowego ze wszystkich dział, wyrzutni rakietowych i samolotów. Stanowiska niemieckie zostały rozbite, a to, że zabili około 10 tysięcy własnych żołnierzy to jest statystyka, która mieści się w ramach wojennej taktyki sowietów. Oddziały czechosłowackie wraz z batalionami NKWD dokończyły oczyszczania terenów bitwy. Pozostała propaganda braterstwa broni i okazja do świętowania rocznic. Szczegóły tych wydarzeń znane są w okolicach Dukli.

Nieraz przy kolacji rozmawialiśmy na tematy historyczne, polityczno–gospodarcze, pogarszającej się sytuacji ekonomicznej. Spekulowaliśmy do czego sytuacja ta może doprowadzić i jak długo ludzie stan taki jeszcze wytrzymają. Wiedzieliśmy, że w konspiracji zaczęły działać organizacje polityczne: Komitet

Obrony Robotników, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Konfederacja Polski Niepodległej czy ruch Wolnych Związków Zawodowych. Za kulisami codziennego życia trwała walka z działaczami politycznymi, ale kamień który poruszył lawinę już się toczył. Boluś był mężczyzną wysokim i postawnym. Posiadał kręcone ciemnoblond włosy z nieco rudym odcieniem. Przychodziła do niego na noc młoda dziewczyna. Bolek przekroczył 50-tkę i miał 30 letniego syna a dziewczyna liczyła sobie 20 lat. Miała narzeczonego i za kilka dni wychodziła za mąż, jednak to nie przeszkadzało jej być kochanką mężczyzny starszego niż jej ojciec. Noc przedmałżeńską również spędziła z Bolusiem. Nie dziwię się starszemu panu, który zaangażował się w romans bez zobowiązań, ale dziewczyny zrozumieć nie potrafię. Z podobnymi przypadkami spotykałem się w ZUA bardzo często. W pierwszych dniach maja przeniesiono mnie do czarteru Niemczyn koło Wągrowca w celu odbycia praktyki w lotach agro na samolocie PZL 106. kwatery i lądowisko mieściły się w gospodarstwie Stepuchowo. Pomiedzy stacją kolejową tej samej nazwy a PGRem leżało piękne jezioro. Brzegiem jeziora prowadziła szosa do pałacu. Po drugiej stronie było lądowisko. Pałac od frontu łączył się z parkiem i aleją. Szerokie schody prowadziły na wysoki taras z kolumnami. Za dużymi przeszklonymi drzwiami znajdował się przestronny hol. Klatki schodowe łączył hol z górnymi pokojami. Na wprost wychodziło się na drugi taras. Stąd szerokimi schodami można było zejść na sam brzeg jeziora. Pałac nad jeziorem w pięknej okolicy mógłby stanowić atrakcję turystyczną, ale władze wolały aby przeżytek feudalizmu po prostu trafił szlag. Kwatery nasze znajdowały się w komnatach pałacowych. Latałem na zmianę w 2 kombinatach. Niemczyn i Gołańcz.

Praktykę zakończyłem w czarterze Wysoka niedaleko Piły. Dnia 8 lipca otrzymałem wpis do licencji upoważniającej do wykonywania lotów agro na statkach powietrznych typu AN-2, PZL-106 poza granicami kraju.

Część VII

Daktyle, bawełna i druty

Co ma przysłowiowy piernik do wiatraka. Jeszcze mniej wspólnego mają daktyle z drutami. Zdarzają się jednak sytuacje w których rzeczy z pozoru z sobą niezwiązane splatają się i razem tworzą zespół decydujący o takim lub innym wydarzeniu. Każdy wypadek zależy od bardzo wielu czynników. Wystarczy, że nie zadziała tylko jeden z nich i sprawy przybierają zupełnie inny obrót. Urodzajna delta Nilu zajmuje tereny trójkąta, którego wierzchołkami są miasta Kair, Port Said, Aleksandria. W trójkącie tym skupia się prawie całe życie Egiptu. Od północy zamyka go morze Śródziemne, pozostałe 3 strony tworzy pustynia. Jest jeszcze kilka oaz i pas zieleni wzdłuż rzeki.

W środku tego trójkąta leży niewielkie miasto Benha. Znajduje się tu główna baza agrolotnicza PZL wykonująca usługi kontraktowe w Egipcie. Do Kairu przyleciałem z grupą kolegów samolotem pasażerskim PLL LOT dnia 12 lipca o godzinie 4 rano, a właściwie nocą gdyż o tej godzinie w Egipcie jest jeszcze ciemno. W porcie lotniczym oczekiwał nas szef pilotów pan Dąbkowski. Po odprawie celnej i paszportowej pojechaliśmy mikrobusem do hotelu w Benha. Hotel ten okazał się obskurną kilkupokojową kwaterą, prymitywnie umeblowaną, zasługującą raczej na miano polowego koczowiska. Właścicielem tej kwatery był Arab imieniem Piotr. Chodził w dość brudnej galabiji, cos w rodzaju szarej sutanny i w turbanie podobnego koloru. Tam w ten sposób ubierali się wszyscy, tylko galabije były bardziej lub mniej białe. Muszę jednak przyznać na plus, że atmosfera była bardzo swojska.

U Piotra zatrzymywali się przejściowo wszyscy Polacy przybywający na akcję lub wracający do kraju. Sam Piotr obcując z Polakami nauczył się zupełnie dobrze mówić po polsku i witał swych gości jak starych znajomych. Większość była tu zresztą nie po raz pierwszy. Nowicjuszy rozpoznawał bezbłędnie. Powiedział abym się nie martwił gdyż wkrótce się przyzwyczaję i będzie mi tu jak w domu. Do rana trochę odpoczęliśmy, po czym w sąsiednim budynku w którym mieściła się administracja bazy, zjedliśmy śniadanie i dopełniliśmy formalności związanych z przydziałem pracy. Stąd niedaleko

było lądowisko, warsztaty i cały dział techniczny. Mechanicy pracowali przy naprawach pod dużą zadaszoną wiatą, a samoloty czekające na swą kolej opalały się w pełnym słońku. Termometr wiszący pod wiatą wskazywał tylko 40 stopni Celsjusza, ale kręcące się wentylatory wymuszały ruch powietrza i sprawiały złudzenie ulgi. Złudzenie to powiększała butelka schłodzonej Coca-Coli. Gdyby nie lodówka to Coca-Cola z pewnością by się zagotowała. Powodowany ciekawością wyszedłem spod wiaty, zobaczyłem mały kawałek własnego cienia pomiędzy dużymi palcami stóp i uciekłem czym prędzej z powrotem. Potężna żarówka grzała z zenitu prosto w łysinę i zdawało się, że zaraz mózg się zagotuje. Arabowie nie od parady noszą turbany i białe galabije. Zastanawiałem się czy w tych warunkach praca jest w ogóle możliwa. Idąc na obiad do stołówki bazowej minęliśmy kilkanaście domów, takich zwykłych 3 piętrowych bloków. Pomiedzy blokami leżały hałdy od lat nieuprzątniętych śmieci, a na nich pasły się wszystkożerne kozy. W naszym klimacie hałdy takie byłyby siedliskiem much i smrodu, ale słońce Egiptu wszystko przerabia na susz.

Przydzielono mnie do pracy w bazie Mansura. Było to duże miasto, gęsto zabudowane ponieważ nadmiar ziemi był tylko na pustyni, ale tam ziemia nie nadawała się do zamieszkania. Przez środek miasta płynął Nil a oba brzegi łączył solidny stalowy most wsparty na filarach. Mostu takiego nie powstydziliby się żadne miasto. Nie widziałem tu również śmieci i pasących się kóz. Kwatera nasza mieściła się w szkole średniej, która w okresie wakacji była nieczynna. Na lądowisko dojeżdżaliśmy samochodami kilka kilometrów poza miasto. Życie budziło się dopiero późnym wieczorem. Po godzinie 18 zachodziło słońce, temperatura spadała do trzydziestu paru stopni, otwierano sklepy, zapalano światła a ulice wypełniał tłum ludzi, aut, rowerów i motocykli. Wszystko to trąbiło, dzwoniła, grało sygnalizacyjnymi melodiami, ale tłum się tym nie przejmował. Były ulice przelotowe na których obowiązywał ruch kontrolowany, ale były to przeważnie obwodnice. Ulice handlowe wypełniały sklepy, przeważnie jednej branży. Osobno były sklepy tekstylne, osobno przemysłowe, czy z artykułami AGD. Szczególne wrażenie budziła ulica, którą my nazywaliśmy ulicą złotników. Gdy podniesiono żaluzje i zdjęto zasłony z witryn sklepowych oczom ukazały się dwa świetliste złote dywany. Wystawa przy wystawie, wszystkie wyłożone i obwieszzone złotą biżuterią.

Było tam wszystko co człowiek ze złota potrafi wykonać. Dwa kilometrowe ciągi wystaw po obu stronach ulicy wyglądały jak otwarty sezam z baśni tysiąca i jednej nocy. Czegoś podobnego nie da się zapamiętać. Inna ulica przyciągała zapachem wyrobów cukierniczych i różnych wypieków. Były tu restauracje serwujące frykasy o jakich nikomu w Polsce się nawet nie śniło. Arabowie lubują się w słodyczach i potrafią je przyrządzać. Wszędzie stały lodówki z napojami jakich nikt nigdy u nas nie widział. Na żądanie wyciskano sok z cytrusów i trzciny cukrowej, podawano różne owoce, których wcale nie znałem. Przeszkłone zamrażarki kusiły dużym wyborem lodów, mrożonek, tortów, ciast, czekolad i wymyślnych cukierków. Dalej było mięso.

Na hakach wisiały całe tusze cielęce, wołowe i baranie. W wąskich uliczkach przechodnich pomiędzy ciągami handlowymi kwitło życie towarzyskie. Uliczki te tonęły w półmroku. Siedzieli tu przeważnie starsi mężczyźni rozmawiając między sobą, paląc długie fajki, do których dym przedostawał się przez filtry wodne, często grali w domino, warcaby i inne nie znane mi gry towarzyskie. Nikt nas tu nie zaczepiał, nikt nie niepokoił. Czasami ktoś zapytał z jakiego jesteśmy kraju. Na odpowiedź: „Bolanda” podnosili rękę i pozdrawiali.

Poszliśmy na piwo i smażonego węgorza. Wszystko było smaczne i niedrogie. Wszędzie witano nas gościnnie i życzliwie. Koledzy, którzy znali angielski lub kilka słów arabskich nie mieli problemów z porozumiewaniem się. Ja dopiero wszystkiego się uczyłem. Pierwszy tydzień upłynął na aklimatyzowaniu się i przyzwyczajaniu do nowych warunków.

W ciągu następnych 3 dni wykonałem loty wprowadzające. Loty robocze zacząłem 21 lipca. Klimat egipski jest bardzo dokuczliwy z powodu wysokiej temperatury i dużej wilgotności powietrza. Wilgotność tę powoduje bezpośrednia bliskość morza. W efekcie utrudnione jest odparowywanie potu i związanego z tym chłodzenia ciała. Po każdym locie w trakcie lądowania chemikaliów arabowie podawali nam chłodne napoje ale to sytuacji nie poprawiało.

Pot zalewał oczy, płynął po ciele przemacał koszule i spodnie. W krajach muzułmańskich Koran za-



Pierwsza akcja zagraniczna – Egipt 1981 r.

brania pokazywać się publicznie w niepełnym stroju. Niezbędne minimum to koszula z krótkim rękawem i długie spodnie. Arabowie są na ogół ludźmi gościnnymi i życzliwymi, ale są też bardzo przywiązani do zasad swej wiary i nie pozwalają na łamanie tych zasad. Jednym z zakazów tabu jest kontakt z kobietami. Zakaz ten dotyczy również ich samych, dlatego lojalnie przestrzegają obcokrajowców przed jego naruszeniem. Ich obyczaje i prawa moralne wypływają z ich wiary, a wiara ta jest o wiele silniejsza niż w społeczeństwach katolickich i w swej istocie prawie się od niej nie różni. Wiele z tych istotnych zasad zrozumiałem dopiero dzięki muzułmanom. Na każdym kroku spotykałem się z przeświadczeniem, że Bóg jest jeden i prawa przez niego stworzone są wspólne dla wszystkich ludzi. Dlatego arab nie kradnie, nie zabija, nie cudzołoży itd., itp. Każde z 10 praw danych przez Boga Mojżeszowi leży u podstaw Islamu. Bóg, inaczej Allah jest tą samą osobą i innej nie ma. Modlitwa każdego człowieka, bez względu na jego język i rasę odbierana jest przez Stwórcę pod warunkiem, że jest szczerą i płynie z serca. Arab się nie wstydzi modlić.

Modli się kilka razy dziennie i robi to z oddaniem i szacunkiem. Nigdy nie przyjdzie mu do głowy myśl, że wiara i religia jest cechą społeczeństw pierwotnych. Muzułmanin szanuje każdego człowieka, modlącego się bo jest to wszystko jedno „kulu lached” jak sam mówi, ale żąda bezwzględnego szacunku dla siebie i swych przekonań. W obecnej rzeczywistości w czasach realizacji własnych brudnych celów politycznych dąży się do wzniesienia konfliktów pomiędzy narodami na tle wyznań. Wszelkimi sposobami usiłuje się poróżnić i osmieszyć zasady wiary, może dzięki temu uda się również wywołać wzajemną nienawiść, rozpętać kolejną burzę i zniszczyć swych wrogów. Taka już jest polityka. Latanie nad polami Egiptu okazało się trudne i niebezpieczne. Wysoka temperatura i nadmierna wilgotność, parna i duszna, to tylko jedna strona tej zabawy. Gorszą rzeczą były małe nieregularne pola bawełny, dodatkowo poprzecinane liniami elektrycznymi i poprzerastane wysokimi palmami. Każde pole wymagało innej taktyki. Często słupy linii energetycznych ukryte były w cieniu palm daktylowych, a niebezpieczne druty pod napięciem niewidoczne w blasku słońca i ciekącego po oczach potu. Wprawdzie kontrakt nie przewidywał oprysku pól o powierzchni mniejszej niż 5 fedanów, tj. około 2,5 hektara, ale inspek-

torzy często zlecali nam obróbkę takich poletek. Gdy taki ogródek otaczały 20 metrowe palmy to nawet przemknęcie się bokiem pomiędzy drzewami było niemożliwe.

Przysłowiowe latanie pod mostem było drobnostką, małym piwem w porównaniu do karkołomnych wyczynów wśród palm, często pod drutami. Nie było problemu gdy przeszkody były widoczne, ale zdarzały się pułapki niespodziewane. Pierwszą linię zerwałem jeszcze tego samego dnia. Każde pole należało dokładnie obejrzeć, rozpoznać przeszkody i podjąć decyzję odnośnie techniki wykonania zabiegu. Na skraju pola stała gliniana lepianka. Nie zauważyłem biegnącej koło niej liny. Przewody grubości palca tylko prasnęły cięte Śmigłem. Co znaczą druty skoro rozkręcone śmigło potrafi przeciąć grubą sosnę. Niebezpieczeństwo może stanowić iskra elektryczna i paliwo. Za niezachowanie należytego bezpieczeństwa dołożono mi 2 dni lotów ćwiczebnych. Nie była to kara lecz dodatkowy trening w tropiku. W tym dniu jeden z kolegów, podczas pracy, zabił właściciela plantacji. Był to wypadek jakich niestety wiele miało miejsca w Egipcie.

Arab doglądał przebiegu prac i kierował chłopcami, którzy rozmieszczali chorągiewki sygnalizacyjne. Przeważnie lataliśmy bez tego rodzaju pomocy. Skoro jednak właściciel uważał, że z sygnalizacją będzie dokładniej, mógł sobie zorganizować pracę według własnego uznania. Dokładność zabiegów nadzorowali specjaliści inspektorzy i dodatkowa kontrola ze strony plantatora była zbędna. Przyglądał się pewnie z ciekawości albo dla zasady, że „pańskie oko konia tuczy”. Podczas kolejnych przelotów roboczych stał z boku. W pewnym momencie nie odszedł na bok lecz położył się na polu bawełny na linii przelotu. Gdyby się nie kładł to pilot by go przeskoczył. W ostatnich sekundach nie wytrzymał nerwowo i poderwał się chcąc odskoczyć w bok. Nie zdążył. Został uderzony kołem w głowę i zginął na miejscu. Rodzina zabitego zagroziła pilotowi zemstą. W tej sytuacji kolega został wycofany do kraju. My pozostali w bazie byliśmy pod ochroną policji, aby jakiemuś desperatowi nie przyszło do głowy użyć przeciwko nam broni. Arabowie legalnie posiadali stare strzelby, którym lufy zatykali korkiem. Często z bronią tą spacerowali po ulicach. Jednak do nas nikt nie miał pretensji i nadal spotykaliśmy się z życzliwością. W tym czasie Polskę ogarnęła fala strajków i demonstracji protestacyjnych. Idea solidarności i Lech Wałęsa zyskały popularność oraz uznanie w oczach świata. Prasa, radio i telewizja na bieżąco informowały o wydarzeniach w Polsce. Arabowie szczególnie byli nam przychylni. Na nasz widok wielu unosiło do góry rękę z rozstawionymi palcami w kształcie litery V. Bardzo często padały słowa: „Bolanda kłais, Walesa kłais, papa Paolo kulu kłais”.

Słowami tymi wyrażali uznanie i sympatię. Na lądowiskach pokazywano nam gazety ze zdjęciami rozruchów i zamieszek. Ze współczuciem informowali nas „Bolanda mafi mangaryja”, czyli Polska nie ma co jeść. Robotnicy pracujący na lądowiskach mówili, że w Egipcie też nie było co jeść gdy byli u nich Rosjanie. „Będziecie mieli wszystko gdy wypędzicie ruskich”. Dni wolnych od pracy mieliśmy niewiele, ale udało się zorganizować kilka wycieczek aby wykapać się w morzu, obejrzeć piramidy, czy też zrobić zakupy w Port Sajdzie. Nad morze wybraliśmy się do Damiety. Jest to nieduże miasto położone przy drodze łączące Kair z Portsaidem. Stąd szosa biegnie rozległą piaszczystą plażą pomiędzy morzem a rozlewiskami Nilu. Niektóre z nich wypełnione są słoną wodą morską i służą do pozyskiwania soli. Tak są skonstruowane aby można było je zalać wodą z morza. Po odparowaniu wody zostaje czysta biała sól, którą zgarnia się na pryzmy i wywozi, następnie poldery znowu wypełnia się wodą.

Po sztormach gdy piaszczyste zagłębienia zaleją fale i woda wyparuje, pozostaje po nich warstwa soli. Takie solne dolki ciągną się od Damiety do Portsaidu. Po wyjściu z kąpieli należy opłukać się słodką wodą i zmyć z ciała błyszczące kryształki soli. W porównaniu do Bałtyku, którego woda ma smak mydlin, morze Śródziemne jest czystą solanką. Z Mansury do Portsaidu odległość wynosi około 120 km. Jeździliśmy tam głównie w celach handlowych. Starzy bywalcy przywozili z Polski różne rzeczy aby sprzedać je u Habiego. Habi miał sklep w Portsaidzie i kupował wszystko. Obcując z Polakami nauczył się mówić po polsku. Często odwiedzał kolejno nasze bazy i zabierał wszystko co nadawało się do handlu, ale wizyty w jego sklepie nie zastąpił żaden handel obwoźny ani Suk, to znaczy arabski bazar.

Był człowiekiem tak sympatycznym i swobodnym, że sama rozmowa z nim należała do przyjemności. Ja zawiozłem mu parę koszul, mały wentylator i stary aparat fotograficzny kupiony jeszcze w wojsku. Habi zabrał wszystko hurtem. Oszacował wartość na oko i wypłacił mi kilkanaście funtów. Funt egipski



Dojrzewająca bawełna



miał wtedy wartość dolara. Po wyjściu od Habiego rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Umówiliśmy się na zbiórkę o godzinie 16 przy samochodzie. Ja poszedłem zwiedzać miasto. Katolickie kościoły, arabskie meczety z minaretami jak trójstopniowa rakietka na wyrzutni, żydowskie synagogi, wszystko to stało obok siebie od lat i nikomu nie przeszkadzało. Wśród arabów jest bardzo dużo chrześcijan. Często kościoły i meczety budowane są w identycznym stylu. Różnią się tylko krzyżem lub półksiężycem na wieży. Poszedłem do portu nad słynny Kanał Sueski łączący Morze Śródziemne z Morzem Czerwonym i dalej Oceanem Indyjskim. Statki płynące kanałem wyglądały jakby płynęły nie wodą lecz piaszczystą pustynią. Stąd udałem się na suk. Po drodze podbiegł do mnie jakiś starszy wysoki mężczyzna w galabiji i turbanie. Powitał się bardzo serdecznie, wziął mnie pod rękę i coś zaczął tłumaczyć.

Nie przypominam sobie abym miał tu jakiś znajomych, tym bardziej rodziny, ale jego żywy monolog poparty gestykulacją zaciekawił mnie. Gdzieś mnie zaprasza. Może mnie z kimś pomylił, ale idę za nim. Zagadka się wkrótce wyjaśniła, on po prostu upolował klienta i prowadził go do swego sklepu. Zorientowałem się dopiero przed sklepem. Powiedziałem, że nic nie będę kupował bo niczego mi nie potrzeba. Mówiłem po Polsku, a mimo to zrozumiał i nie dał za wygraną. Tłumaczył coś po angielsku o żonie i prezencie z Portsaidu. Powiedziałem, że nie mam żony.

– Ale matkę masz – tylko popatrz, kupować nie musisz.

Już Habi mówił – Zobacz, popatrz a kupisz.

Wszedłem do sklepu ostatecznie co mi szkodzi?

Sprzedawca zaczął wyklądać na ladę wszystko co miał najładniejszego. Piękne materiały, koronki, sukienki, bluzki. Gdy zauważył zainteresowanie z mojej strony, wziął bardzo ładną bluzkę i powiedział, że sprzeda mi ją wyjątkowo tylko za 1,5 funta.

Wiedziałem już, że z arabami trzeba się targować. U nich handel bez targu to jak potrawa bez smaku. Według mnie bluzka ta warta była tej ceny, ale odpowiedziałem, że kupię dwie po funcie. Zgodził się od razu. W rezultacie kupiłem za 10 funtów 10 pięknych bluzek. Ale się dziewczyny ucieszą. Przecież trzeba jakieś prezenty przywieźć z dalekiej podróży. Ani się spostrzegłem jak zegarek wskazał godzinę 16.

Należało iść do samochodu. Za kościołem skręciłem w boczną ulicę. Tu powinien stać nasz samochód, ale samochodu ani kolegów nie było. Zacząłem biegać po sąsiednich ulicach i nic. Po prostu zabłądziłem. Dochodziła 17. Za godzinę zacznie się wieczór i noc. Co robić? Obce miasto, nie znam języka, do kogo udać się po pomoc i jak wytłumaczyć. Na skrzyżowaniu ruchliwych ulic stał policjant i kierował ruchem. Miałem przy sobie legitymację wydaną przez egipskie ministerstwo. Coś tam pisało po arabsku i po angielsku. Policjant nie miał czasu tego czytać ponieważ zaczął tworzyć się korek pojazdów. Pokazał mi tylko 2 mundurowego na poboczu. Tamten wziął legitymację, popatrzył na mnie i na zdjęcie i z mądrą miną zapytał czego chcę. Byłem bezradny. Zacząłem wyjaśniać: jedno słowo angielskie, jedno arabskie i trzy polskie. W końcu zrozumiał, że chcę jechać do Mansury. Nie ma sprawy, kiwnął ręką i zaraz podbiegło paru dorożkarzy. zaczęli mnie sobie wrywać. Każdy coś gadał i zachwalał swego konia. Przecież nie pojedę dorożką 120 km.

Chciało mi się płakać. Na poboczu skrzyżowania stał cywil i obserwował całe zajście. Dał mi znak ręką. Był to policjant wyższej rangi i wyższego wydziału. Okazuje się, że tam oprócz prostych funkcjonariuszy mundurowych pełnią służbę tajni policjanci. Są oni wykształceni, mają dużą władzę i baczenie na wszystko. Przeczytał moją legitymację i zapytał jakim mówię językiem. Odpowiedziałem, że tylko po polsku. Tak naprawdę mógłbym się rozmówić z Rosjaninem, ale tym nie kazano nam się chwalić. Starszy pan powiedział abym się nie martwił, on mi pomoże, ale muszę udać się z nim na posterunek. Dodał, że nie jestem aresztowany, na posterunku zorganizuje mi pomoc. Wiedziałem przecież, że nie weźmie mnie na plecy i nie zawiezie mnie do Mansury. Na posterunku polecił młodszemu policjantowi zawieźć mnie taksówką na dworzec autobusowy i wysłać pod opieką kierowcy do polskiej bazy w Mansurze. Bardzo podziękowałem, ale to jeszcze nie był koniec moich kłopotów. Okazało się, że najbliższy autobus odjedzie dopiero za 4 godziny. Policjant zapytał czy mam pieniądze i czy chcę na swój koszt wracać taryfą? Kamień spadł mi z serca. Oczywiście, że chcę. Policjant kazał mi poczekać. Za chwilę wrócił z właścicielem postoju taksówek. Taryfiarz zażądał 20 funtów. Nauczony doświadczeniem odpo-

wiedziałem, że to za drogo. A ile masz? „Hamastaszar Baum” – 15 funtów.

Okej może być. Wypląciłem 15 funtów i za moment podjechała taksówka. Portsaid był miastem wolnym od cła. Obowiązywały tu niższe ceny dlatego przy wyjeździe były kontrole celne i paszportowe. Kierowca miał zlecenie na kurs poza strefę wolnościową. Na posterunku celnym wiedziano, że będę jechał taryfą lub autobusem ponieważ samochód nasz czekał tu prawie godzinę na mnie i celnicy wiedzieli, że brakuje w nim 1 pasażera. W wielu krajach używane są niepisane znaki lub gesty dawane ręką. W Egipcie i innych krajach arabskich powszechnie używany jest znak nakazujący zwolnienie tempa lub poczekanie – „szuaja”.

Pokazuje się trzy palce złożone razem. Kciuk, palec wskazujący oraz środkowy i każdy wie o co chodzi. Znak ten szczególnie rozpowszechniony jest wśród kierowców. Gdy jedzie potężny ciężarowy samochód a za nim osoby to ten, który widzi dobrze szosę i ewentualne przeszkody sygnalizuje o nich jadącemu z tyłu. Dzięki temu kierowca mógł jechać z dużą prędkością i wyprzedzać wolniejszych. W rezultacie do bazy przyjechaliśmy tuż za kolegami. Trochę się skompromitowałem, ale fakt, że dałem sobie radę w pewnym stopniu mnie rozgrzeszył. Jeden z kolegów kupił wspaniały radiomagnetofon kasetowy Sanyo japońskiej produkcji, taki o jakim marzyła moja młodsza córka i jaki obiecałem jej kupić. Za parę dni wybraliśmy się znowu do Partsaidu. Poprosiłem kolegę aby zaprowadził mnie do tego sklepu. Cztery potężne wystawy reklamowały sprzęt audiowizualny. Czego tam nie było? Następne „sezamie otwórz się”. W samym sklepie na regałach ustawione były kolejne modele telewizorów, magnetowidów i kamer na które w Polsce trzeba było jeszcze długo czekać. Oczami szukałem wybranego radiomagnetofonu. Sklep był jedną wielką wystawą. Tych modeli się nie sprzedawało, gdyż magazyny załadowane były sprzętem fabrycznie nowym i zapakowanym. Podszedł do mnie chłopiec z pytaniem „czego szukam”? W tym momencie zobaczyłem na górnej półce swoje Sanyo.

Pokazałem mu palcem. Chłopak poszedł do magazynu i za moment przyniósł mi wybrany model. Kosztował 90 funtów. Tymczasem w Polsce były tylko ogołocone sklepy, kartki żywnościowe, na które już brakowało towaru, nocne kolejki po parę butów i kilo mięsa oraz strajki i ZOMO na ulicach. Jeżeli Egipt zaliczany był do tak zwanego 3 świata, to którym światem byliśmy my?

Za kilka dni pojechaliśmy do Kairu. Być w Rzymie i nie widzieć papieża to tak samo jak być w Egipcie i nie widzieć piramid, ostatniego z 7 cudów świata. Jedyne istniejącego do dzisiaj. Egipt posiada wiele fascynujących zabytków, już nie historii lecz ludzkości. Tu kształtowała się jedna z pierwszych ludzkich cywilizacji, a dowody rzeczowe niemi świadkowie minionych epok przetrwały do naszych czasów. Zdałem sobie sprawę z niezwykłości miejsca i ważności ponadczasowych faktów, ale podziwiać ich nie miałem już siły. Były mi one prawie obojętne. Co mi tam piramidy, Sfinks i grobowce faraonów. Co mnie obchodzi kto je stworzył, kiedy i w jakim celu. Nawet zdjęć nie dałem rady zrobić. Godziny spędzone w rozgrzanym pudle samochodu, korki uliczne bez możliwości orzeźwienia, żar z nieba i nie dające się ugasić pragnienie, a koło piramid pustynia bez odrobiny cienia. Zmusiłem się do zrobienia kilku czarnobiałych zdjęć, których długo nie chciałem wywoływać ani ich oglądać. Na widok palm z gronami daktyli i czystego nieba w blasku słońca zacząłem dostawać uczulenia nerwowego. Objawiało się to przewlekłą chorobą żołądkową. Jakby tego było mało pracowaliśmy w ciągłym zagrożeniu zatrucia chemikaliami i w warunkach granicznego hałasu 120 decybeli. Powyżej tej granicy był już próg bólowy. Nagle przestawało się słyszeć a w uszach pojawiał się ostry ból. Przez kilka godzin po lotach występowały zaburzenia słuchu. Z trudem rozumiało się co ktoś do nas mówił i brak było kontroli słuchowej wypowiedzianych własnych zdań. Zdarzyły się też następne wypadki.

Kolega z gdańskiego oddziału ZUA pracujący ze mną w Mansurze, zaczepił kołami o linę wysokiego napięcia. Linę zerwał, ale samolot uderzył w ziemię rozbijając się całkowicie. Pilot cudem ocalał. W sąsiedniej bazie pilot nie miał takiego szczęścia. Dolatując do lotniska po kolejnym locie roboczym na wysokości 20 m wykonał pół beczki i w pozycji odwróconej zderzył się z ziemią.

Przypuszczam, że zatrul się chemikaliami. Rok wcześniej w Afryce zginęło 4 pilotów ZUA, a między nimi Ziomek Lewandowski, który szkolił mnie w Rusocinie na uprawniał agropilotów. Wypadki silnych a nawet śmiertelnych zatruczeń zdarzały się również wśród robotników pracujących przy załadunku chemikaliów. Były to bardzo silne środki toksyczne. Mnie na razie szczęście dopisywało, chociaż zdarzyło

się, że zaczepiłem kołami o powierzchnię uprawy bawełny i gęste rośliny ściągnęły samolot na ziemię. Na szczęście miałem końcówkę chemikaliów i paliwa. Samolot był lekki. Gdy dałem pełen gaz maszyna z powrotem wystartowała zostawiając za sobą 2 długie pasy zniszczonej bawełny i kilka nawadniających rowów, które zdołała przeskoczyć. Po pracy brało się kąpiel, jadło obiad, pogadało przy stole i przy piwie z kolegami, a gdy słońce skryło się za horyzontem szło się do miasta. W Egipcie jest bardzo dobre piwo. Sprzedają je w dużych butlach o pojemności? litra. W bazie funkcję barmana pełnił kucharz. Miał zawsze pełną lodówkę i za opłatą 1 funta wszyscy sobie taki deser fundowali. Kiedyś gdy delektowałem się poobiednim piwkiem, podszedł do mnie kucharz. Był to mężczyzna przystojny i sympatyczny. Miał zgrabną sylwetkę, kruczoczarne nieco pofalowane włosy, wzrost około 180 cm i wiek niewiele ponad 30 lat. Zainteresował go tatuaż na moim ręku. Tatuaż ten zrobili mi koledzy w więzieniu. Ja nie chciałem znaczyć się w ten sposób, ale koledzy postanowili aby symbolicznie związać się na całe życie. Tatuaż jest znakiem naszej organizacji. Przedstawia krzyż i dwa nagie miecze, u góry widnieją promienie a u dołu napis Bóg z nami. Pomiędzy mieczami duże litery D.Z.P. (Dzieci Ziemi Płockiej). Kucharzowi podobał się znak i rozumiał, że jest to symbol walki za wiarę i ojczyznę. Wyjaśniłem mu jak umiałem co znaczą litery i w jakich okolicznościach je wykuto. Że obecne strajki w Polsce są dalszym ciągiem toczącej się od lat walki z sowiecko żydokomuną. Kucharz znał trochę słów polskich i zrozumiał moje intencje. Powiedział, że podoba mu się moja postawa. Zapytałem, czy jest on chrześcijaninem skoro podoba mu się krzyż. Jestem muzułmaninem (anafi muslim) ale jest wszystko jedno, Jezus był prorokiem takim jak Mahomet i oddał życie na krzyżu za wszystkich ludzi i za to należy mu się szacunek. Przyznam, że nigdy w ten sposób nie myślałem.

Do miasta wybraliśmy się jak zwykle zespołowo. Na moście spotkaliśmy ładną dziewczynę ubraną po europejsku. Miała na sobie zgrabną czerwoną sukienkę do kolan, na nogach pantofle na wysokich obcasach, włosy ufryzowane, usta pomalowane, do tego kilka dodatków biżuterii. Wyglądała jak lalka. Jeden z kolegów nie wytrzymał i dyskretnie posłał jej buziaka. Uśmiechnęła się, rozejrzała dokoła czy nikt jej nie podgląda, podniosła rękę do wysokości piersi i delikatnie pomachała. W odpowiedzi ukloniliśmy się jej. W Egipcie dużo było ładnych dziewczyn noszących się z europejska.

Połowę szkoły zajmowaliśmy jako kwaterę, druga jej część spełniała nadal funkcje edukacyjne. Odbywała się tutaj rekrutacja absolwentów na studia zagraniczne. Młodzież, która ukończyła tu naukę dopełniała różne formalności. Jeden z naszych kolegów mówiący po angielsku wdał się w towarzyską rozmowę z dwiema dziewczynami. Ktoś doniósł o tym policji. Natychmiast zjawił się patrol uliczny i zabrał obie dziewczyny. Wieczorem przy kolacji kierownik bazy poinformował nas, że władze katerycznie zabraniają wszelkich kontaktów z kobietami. Tym razem sprawa kończy się na ostrzeżeniu, ale w przypadku następnego incydentu winny zostanie odesłany do swojego kraju bez prawa ponownego zatrudnienia w Egipcie. Sprawa dla nas tak błaha oparła się o decyzję w ministerstwie. Podczas zakupów w sklepie kolega zaczął rozmowę z ekspedientką wykraczając poza ramy służbowe. Dziewczyna była uprzejma i miła ale to nie spodobało się klientowi, który wszedł do sklepu. Warknął tylko jedno krótkie słowo „jala”. Dziewczyna zaczerwieniła się i umilkła. My wzięliśmy swoje zakupy i wyszliśmy.

Znana jest anegdota powtarzana jako humor. Gdy Arab prowadzi żonę do lekarza to sam jedzie na osie a żona biegnie obok. Niestety nie jest to kawał. Obrazek taki widziałem kilkakrotnie. Nie wiem tylko czy w zaobserwowanych przypadkach chodziło o wizytę lekarską. Często widziałem też mężczyzn idących przodem a kobiety z dziećmi i pakunkami kilka metrów za nimi. Jednak na wsiach podczas ciężkiej pracy w upalnym słońcu, kobiety i mężczyźni pracowali razem. Osiołki obracały duże kieraty przelewające wodę na pola z kanałów. Mężczyźni lepili ręcznie cegły z gliny i bydłęcego łajna, tak zwany gówno – beton. Cegiel tych nie wypalano lecz suszono na słońcu. Budowano z tego wiejskie lepianki. Sadzenie ryżu po kolana w wodzie, uprawa zbóż i bawełny, zbieranie plonów odbywały się wspólnie. Dojazd na pola również. Jak w takiej sytuacji tworzą się małżeństwa? Jest to sprawa całkiem prosta. Gdy chłopcu podoba się dziewczyna i stać go na założenie rodziny, posyła do jej rodziny swaty.

O wszystkim rozstrzygają dorośli. Jednym z najważniejszych warunków jest sytuacja materialna młodego. Kawaler, który nie posiada odpowiedniego zabezpieczenia finansowego, nie ożeni się. Najpierw musi solidnie zająć się pracą i na żonę sobie zarobić. W ten sposób problem statusu społecznego lub

wykształcenia rozwiązuje się sam. Drugim czynnikiem decydującym jest sprawa wiary. Muzułmanin może ożenić się z kobietą innego wyznania, dziewczyna takiej możliwości nie ma. Arabowie studiujący za granicą często wraz z dyplomem przywożą sobie żonę, bo to jest taniej i bez problemów, a głupie baby nie zdają sobie sprawy z tego co je czeka. Myślą, że w islamie panuje podobna swoboda obyczajowa jak w Polsce. Nie mówię o rozwiązłości seksualnej ponieważ na to żaden arab się nie zgodzi. Kilkakrotnie spotykałem się z chęcią przyjazdu do Polski w celu przywiezienia sobie żony.

„Tylko żeby nie była kurwa”. Opinie na temat zasad moralnych panujących w naszym kraju nie są pochlebne, ale nie są też bezpodstawne ani przesadzone. Często w dyskusjach prowadzonych pół – żartem, pół – serio padały słowa dezaprobaty dla arabskiej poligamii. Odpowiedzi były krótkie: my możemy mieć legalnie do 4 żon, jeżeli kogoś na to stać. Każdą musimy się zaopiekować i stworzyć jej równe warunki współżycia. Wy macie jedną żonę i kochanek ile się chce, ale żadnej z nich nie traktujecie poważnie. Znudzi się to bierzecie następną. Tak żyją również psy. Na takie argumenty odpowiedzi nie ma. Nie dalej jak wczoraj oglądałem w telewizji bulwersujący program na temat daleko posuniętej swobody seksualnej wśród młodzieży. Program ten był pochwałą i zachętą do niekontrolowanego współżycia płciowego. Ileż to daje radości i przyjemności, jak pozytywnie wpływa na zdrowie psychiczne i samopoczucie. Człowiek młody powinien być osobą wyzwoloną od starych przesądów. Powinien zerwać z zacofaniem i klerykalną obłudą. „Jeżeli chce się zniszczyć naród najpierw należy zdeprawować mu dzieci”. Mam przed sobą Tygodnik Płocki z dnia 21.04.2009 r. Gazeta nowa i aktualna. Na ostatniej stronie jest artykuł pt. „Szkoła buja w obłokach”. W artykule tym autor powtarza za profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, filozofem i humanistą. Efekty dydaktyczne szkoły są przerażająco marne, aż 50% studentów I roku studiów autor zalicza do kategorii tzw. analfabetów wtórnych, którzy nie rozumieją tego co czytają, a 10% do analfabetów prawdziwych. Osoby te zdolne są jedynie zapisać ciąg kulfonów nie układających się w zdania, ze szczątkową strukturą gramatyczną, bez wielkich liter i kropek, bez podmiotów i orzeczeń, bez sensu. Spostrzeżenia te potwierdzają znani pracownicy akademicki płockich uczelni. Autor stawia kwestię jednoznacznie: „z jakichś powodów polskie szkoły nie tylko mało kogo czegoś nauczyły, a jeżeli mimo wszystko nauczyły, to najczęściej nauczyły źle”.

„No właśnie z jakich powodów i czy ich źródło umocowane jest w kraju czy poza nim”?

Jednak najpoważniejszym problemem o jakim pisze profesor H. jest systemowa demoralizacja, jakiej w procesie edukacji poddawana jest polska młodzież. Panie profesorze i panie rektorze, nie jestem filozofem, ale widzę to o czym piszecie i swoim skromnym doświadczeniem potwierdzam. Głos Wasz jest jednak głosem wołającego na pustyni, bo jak sami piszecie ktoś za tym stoi, komu zależy na realizacji własnych celów. Nie udało się poprzez zabory, nie udało się poprzez sowietyzację, zbrodnie i grabieże. Może uda się przez deprawację młodzieży. Arabowie nie są narodem głupców. To stara kultura i stara tradycja. Solidaryzuję się z nimi. Arabowie należą do ludów Semickich. Czy może być antysemitą ktoś kto darzy ich sympatią, szacunkiem i uznaniem. Arabowie nigdy nam nie zagrażali i nie zagrażają, ale ich bliscy krewni i sąsiedzi na pewno tak. Obyśmy w niedalekiej przyszłości nie musieli znowu prosić Boga: „Ojczyznę wolną racz nam zwrócić Panie”. Gdy poznałem trochę słów arabskich, do miasta chodziłem samodzielnie. Nie bałem się ponieważ wiedziałem, że nawet w mrocznych zaułkach nic mi nie grozi. Nie obyło się bez zabawnych sytuacji. Pewnego razu zafundowałem sobie na straganie smaczne owoce kaktusa opuncji. Owoce te są strasznie kłujące, tego nie da się wziąć w palce, ale sprzedawca z niezwykłą wprawą rozcinał je, oddzielał skórę od miększu i podawał gotowe do jedzenia. Zanim zjadło się jeden już gotowy był następny. Owoce te bardzo dobrze wpływały na mój schorowany żołądek, były słodkie, soczyste i miały dużo drobnych pestek jak pomidor. Gdy miało się dość, słowem „hala” kończyło ucztę i płaciło jakieś piastry za zjedzone owoce. Zamiast zapytać się ile płacę, zapytałem: „kam saa” – która godzina. Arab zaczął się śmiać. Zorientowałem się, że palnałem głupstwo i też się roześmiałem.

W sklepie jubilerskim postanowiłem kupić prezenty swoim dziewczynom. Starszej córce złoty pierścionek z turkusem, młodszej misternie zrobiony wisiorek na łańcuszku. Wisiorek ten przedstawiał jakiś werset z Koranu, za pomocą znaków arabskich, ale był tak ładnie wykonany, że stanowił oryginalny

nalną ozdobę. Żonie kupiłem złotą obrączkę z ażurowym ornamentem. Obrączka była trochę za ciasna. Nie ma problemu, jubiler założył ją na specjalne prawidło aby rozszerzyć, ale obrączka pękła a drugiej nie miał. Klienta się ze sklepu nie wypuszcza, to wbrew zasadom handlu. Poczęstował mnie małą kawą i powiedział, że za moment będzie taka obrączka jaką sobie życzę. W międzyczasie wysłał chłopca do sąsiedniego sklepu. Zanim dopiłem kawę całe złoto miałem zważone i policzone po oficjalnej cenie około 10 funtów za gram. Parę lat wcześniej gram złota kosztował tu 4 funty i opłaciło się zbywające pieniądze wymieniać na złoto. Niektórzy koledzy pracujący w tamtych latach mieli nawet po 1,5 kg złota w wyrobach jubilerskich.

Idąc ulicą zauważyłem sklep z artykułami gospodarstwa domowego. Na wieszakach wisiały plastikowe pojemniki do wody. Bardzo przydałby się taki do pracy. Napić się wody, obmyć spoconą twarz, ochłodzić się. Arabka sprzedająca w sklepie akurat modliła się. Postanowiłem poczekać. Podeszedł do mnie właściciel sklepu z naprzeciwka i zapytał czego chcę. Pokazałem palcem wybrany 5 litrowy kanisterek. Złożonymi 3 palcami pokazał znak „szuaja” – poczekaj. Skinąłem głową na potwierdzenie. Scenę tę obserwowała modląca się kobieta. Gdy skończyła tłuc głową o posadzkę, przyjęła mnie bardzo serdecznie. Była wdzięczna, że uszanowałem jej modlitwę. Powiedziała, że ten pojemnik, który wybrałem jest „miskłajś” – niedobry, ale ona wybierze mi taki, który będzie mi służył przez lata. Wybrała mi bardzo podobny i faktycznie mam go do dzisiaj. Pracę na akcji Egipt – 80 zakończyłem w połowie sierpnia nagle, niespodziewanie i przed czasem. Stało się to z mojej winy, do klimatu prawie się przyzwyczałem, do palm i drutów również. Zacząłem latać zbyt pewnie i omal nie przypłaciłem tego życiem. Dwa pola bawełny łączyły się ze sobą pod kątem prostym. Jedno było szerokie i dość rozległe, ale przecięte w poprzek linią elektryczną. Drugie prostopadłe było wąskie i długie. Na jego końcu szła szosa asfaltowa, szeroki kanał i potężna linia wysokiego napięcia. Metalowe słupy konstrukcyjne miały ponad 40 m wysokości. Na szerokich stalowych ramionach wisiało 6 grubych lin przewodzących prąd o napięciu dziesiątek tysięcy volt. Przewody te podtrzymywały izolatory ponad metrowej długości. Była to główna linia przesyłowa dostarczająca energię do największych miast kraju. Oczywiście, że ją widziałem. Na sam jej widok ciarki przechodziły po plecach. Odległości pomiędzy linami wynosiły około 6m. Wysokość tej linii nie pozwoliła mi zejść niżej i dokładnie obejrzeć pola. Z jednej strony szła droga polna wysadzana wysokimi drzewami. Z drugiej pole wysokiej na 3 m kukurydzy. W Egipcie rośnie tak wysoka kukurydza.

Okolo 100 m dalej w środku pola kukurydzy rosła kępa palm i niższych drzew. Zdziwiłem się dlaczego na środku uprawnego pola pozostawiono taką przeszkodę. Zagadka wkrótce się wyjaśniła. Postanowiłem najpierw opryskać pierwsze pole latając równoległe do przecinającej je linii. Gdy ubędzie mi ponad połowa chemikaliów i samolot stanie się lżejszy, polecę na pełnej mocy w kierunku linii wysokiego napięcia. Dolecę możliwie jak najbliżej i na maksymalnej prędkości wyrwę ponad linię. Lecąc musiałem uważać aby nie zaczepić skrzydłem o pnie rosnących wzdłuż drogi drzew. Równocześnie obserwować linię, która zbliżała się z prędkością ponad 200 km/h. Jeszcze sekunda, jeszcze pół. Widzę potężne liny pod kątem 60 stopni. Teraz podrywam samolot do góry i ładuję się prosto w druty 3 linii. Była to również linia wysokiego napięcia. Trzy przewody grubości kciuka na betonowych słupach o wysokości około 10m. Rozkręcone maksymalnie śmigło tnie przewody jak nitki pajęczyny, ale samolot nie leci po zamierzonym torze lecz w kierunku środkowej liny grubej jak ręka. To już koniec. Nie ma czasu na strach ale też niczego nie mogę zrobić. Wszystko trwa pół sekundy. Śmigło tnie i tą linię. Po drugiej stronie trójki wiszą takie jeszcze 3. Samolot mieści się pomiędzy górną linią a środkową. Pomału dochodzę do siebie. Samolot leci nadal, silnik pracuje równo, stery działają, uszkodzeń na skrzydłach nie widzę, podwozie na swoim miejscu. Kończę oprysk pola. Dlaczego nie widziałem tej linii? Druty w jaskrawym słońcu były niewidoczne z wysokości prawie 100m, a słupy skrywały drzewa. Jeden stał przy drodze a drugi w kępie zarośli i palm na polu kukurydzy. Szczęście i tym razem dopisało, ale myślenie logiczne zawiodło.

Pracę moją obserwował jeden z inspektorów. Widząc co się dzieje doznał większego szoku niż ja. Zanim skończyłem oprysk pola, on zdążył motorem dojechać na lądowisko i zdać relację z wypadku.

Gdy wylądowałem, naczelny inspektor, mężczyzna o sylwetce atlety podniósł mnie w uścisku i okręcił 2 razy wokół siebie. Postawiony na ziemi kazał uklęknąć i podziękować Bogu za cudowne ocalenie. Zapytałem czy jest on chrześcijaninem skoro każe mi uklęknąć. „La, ana muslim” i znowu, że jest to wszystko jedno. Podziękuj Bogu tak jak potrafisz, bo przeżyłeś tylko dzięki Jego łasce. Głupio się zachowałem. Powinienem być na oczach wszystkich uklęknąć i przeżegnać się, tego ode mnie oczekiwano. Zyskałbym ich uznanie i pokazał, że katolik też potrafi być wdzięczny i potrafi publicznie zwrócić do Boga. Pokazałem zupełnie co innego. Chyba lata komuny i na mnie odcisnęły swoje piętno. Zawieszono mnie w dalszych lotach i odesłano do kraju. W ciągu 3 następnych lat bezbłędnej pracy udowaśniałem, że mimo wszystko nadaję się na pilota agro. Do kraju wróciłem samolotem LOTu. Gdy stewardesa przed lądowaniem poinformowała pasażerów, że w Warszawie jest pochmurno, pada mżawka i temperatura wynosi 18 stopni poczułem się jak ryba wrzucona z powrotem do wody. Słońca, palm i bawełny miałem już na razie dosyć. Wykorzystałem kilkudniowy urlop na rozpakowanie prezentów i podzielenie się wrażeniami, następnie zameldowałem się w Gdańsku.

Czekał tu już na mnie mechanik Kazio Nowacki z samolotem AN-2 SP-WKN. Nazajutrz odlecieliśmy do czarteru Budzyń i rozpoczęli późniwne nawożenie pól. Budzyń jest ładną osadą położoną przy szosie i trasie kolejowej Piła – Poznań. Kazio mieszka tu wraz z rodziną. Lądowisko i gospodarstwo rolne znajduje się kilka kilometrów na zachód w majątku Wyszyny. Tutaj zaczynają się olbrzymie lasy nadnoteckie ciągnące się na przestrzeni 100 km pomiędzy Wartą a Notecią aż do Gorzowa Wielkopolskiego. W okolicy znajduje się kilka rzek i jezior, toteż wolny czas spędzaliśmy łowiąc ryby. Kierownik gospodarstwa był zapalonym wędkarzem. Często nad jezioro wyjeżdżaliśmy skoro świt. Nad wodą unosiły się poranne mgły i nic nie mąciło panującej ciszy. Od brzegu poza szuwary prowadziła wąska kładka zakończona niewielkim pomostem. Ja głównie kibicowałem wędkarzom ponieważ wolałem jeść raczej smaczne świeże ryby niż je łapać. Poza tym na pomoście nie było miejsca dla 3 facetów machających kijami. Stałem na samej krawędzi desek gdy nagle jedna z nich pękła. Zanurkowałem stylem grzbietowym. Ogarnęły mnie ciemności i jakieś wodorosty. Po kilkunastu rozpaczliwych ruchach woda z czarnej zaczęła przybierać barwę ciemnozieloną a potem jasną. W miejscu tym było dość głęboko. Wypłynąłem kilka metrów poza pomostem kompletnie ubrany, nawet butów nie zgubiłem. Po raz pierwszy i jedyny miałem okazję kąpać się w ubraniu. Był początek września i w lasach pojawiły się grzyby. Jeżeli są grzyby to powinna być również żona. Zawiadomiłem ją i przyjechała do Budzyna pociągiem. My mieliśmy pracę a ona chciała iść do lasu. Wywieźliśmy ją w głąb puszczy noteckiej i zostawili. Po lotach był problem z jej odnalezieniem. Jeżeli zabłądziła i wybierze kurs na zachód to po paru dniach może dojść nawet do Odry i granicy z Niemcami, tylko wcześniej musiałaby sforsować Wartę. Zresztą w każdym kierunku natrafi na dużą rzekę. Wzięliśmy samolot i zaczęliśmy jej szukać jak igły w stogu siana. Widząc krążący nad lasem samolot domyśliła się, że jej szukamy i wyszła na drogę. Tutaj znaleźliśmy ją jeżdżąc po leśnych drogach samochodem. Była zmęczona i głodna ale zadowolona z pełnej torby grzybów.

W połowie września zakończyłem pracę w Wyszynach i wróciłem do Biesiekierza. Zdażyłem w międzyczasie odwiedzić żonę do domu. W Biesiekierzu gdzie stał jedyny na świecie pomnik kartofla, zastałem Bolka Głowackiego. Czekał on na pilota gdyż kolega, który zmienił mnie wiosną odleciał do Etiopii parę dni przed moim powrotem. W tych latach polskie agrolotnictwo przeżywało dość intensywny rozwój. Złożyło się na to kilka czynników. Rozwój sieci aeroklubów regionalnych, zainteresowanie młodzieży lotnictwem poprzez modelarstwo i pracę propagandową, oraz bezpłatne szkolenie na kursach Lotniczego Przynależenia Wojskowego w szkołach szybowcowych i ośrodkach wyczynowych. System taki stwarzał szerokie zaplecze kadrowe dla wszystkich rodzajów lotnictwa. Drugim czynnikiem był szeroki rynek pracy. Agrolotniczy potrzebni byli do pracy w kraju i poza granicami. Pięć oddziałów usługowych zatrudniało około 300 pilotów. Każdego roku połowa z nich na kontraktach w Afryce, Azji i Europie zarabiała dewizy dla Skarbu Państwa. Były lata gdy w kraju brakowało lotników do pracy i stan osobowy uzupełniano z zewnątrz. Ważną gałęzią agrolotnictwa było gaszenie pożarów lasów.

Przy każdym oddziale ZUA była baza samolotów gaśniczych. Do celów tych używano głównie Dromaderów. Gasiły one pożary również w krajach Europy zachodniej. Innym decydującym czynnikiem

rozwoju był przemysł produkujący specjalistyczne samoloty rolnicze i wielozadaniowe. Zakłady Lotnicze w Mielcu produkowały AN-2 i Dromadery. WSK Świdnik helikoptery używane również do celów rolniczych, a PZL Okęcie produkowały rolnicze Kruki, Wilgi i Gawrony. Przemiany polityczno-gospodarcze zapoczątkowane falą solidarnościowych strajków niosły ze sobą upadek systemu komunistycznego, a wraz z nim upadek komunistycznych zasad gospodarczych. Zanim to jednak nastąpiło, jesień roku 1980 zasłynęła jako czas politycznych debat, sporów, przetargów oraz zmian personalnych na najwyższych stanowiskach partyjno – rządowych. W kraju wrzało, ale ziemia domagała się jak co roku należnego jej zagospodarowania. Traktory orały pola i wysiewały ziarna zbóż, a my nawozy. Pogoda dopisywała. Złota jesień zabarwiła liście drzew i w tej kolorowej szacie świat wydawał się jak malowany, nawet nasza praca nabrała innego uroku.

Pola Biesiekierza i Karlina sąsiadowały ze sobą. Stąd widać już było morze. Dwie sąsiednie wioski leżały przy szosie szczecińskiej, Daszewo i Świemino. Zeszłego roku, nawożąc pola Daszewa robiłem nawroty nad Świeminem. Teraz sypiąc nawozy w Świeminie zawracam nad Daszewem. Dlaczego piszę o tych 2 niepozornych wsiach? Dlatego, że za miesiąc będzie o nich głośno nie tylko w Polsce. Lecąc ponad szosą od Karlina do Biesiekierza mija się po drodze samotny zajazd o nazwie „Hubertus”. Przy zajeździe jest obszerny parking dla samochodowych turystów a poza parkingiem biesiekierska koniczyna. „Bolek, nie napiłbyś się piwa? Bo ja chętnie bym się napił. Do obiadu jeszcze sporo czasu, a w gębie sucho. Ale jak to zrobić, samochodu nie mamy, a pracy też nie przerwiesz.” Byliśmy akurat na wprost „Hubertusa”. Ująłem gaz, przestawiłem skok śmigła i wypuściłem kłapy. „Co robisz? Ładuję.” Po wylądowaniu skołowałem na parking samochodowy przy szosie. Ustawiłem ANa w rzędzie z innymi pojazdami. Mogłem zostawić go na koniczynie, ale piwo przyprawione fantazją, będzie lepiej smakowało. Za kilkanaście minut wystartowaliśmy do dalszej pracy.

Do końca września i pierwszych dni października wykonaliśmy bieżące prace. W gospodarstwie zajęto się zbiorem ziemniaków, a my mogliśmy na kilkanaście dni pojechać do domu. Dopiero teraz dowiedziałem się, że mama uległa wypadkowi i od kilku dni przebywa w szpitalu. Kiedyś kupując ziemię nie sądziła, że do końca życia będzie sama borykać się z jej uprawą i zagospodarowaniem, że dobrowolnie skarże się na pracę ponad siły nie znajdując uznania i pomocy u swych dzieci. My mieliśmy własne rodziny i własne zajęcia. Hanka gdzieś w Drohiczynie budowała własne domy. Pracowała w szkole jako nauczycielka i wychowywała dzieci. Darek rozpoczął już naukę w szkole średniej, a Ruda Mrówa dojrzała do połowy podstawówki. Bożena ze swym drugim mężem Mietkiem Gnatowskim pracowali na kombinacie i ani w głowie było im zagrzebać się na wsi w redlinach. Jej synek Arkadiusz poszedł w tym roku do szkoły a mała Renatka, dzieciak niepospolitej urody i fantazji psociła się jeszcze w domu. Z Egiptu przywozłem prócz różnych prezentów jakieś kosmetyki. Wszyscy coś tam dostali oprócz małej Renatki. Ona postanowiła krzywdę wynagrodzić sobie sama zabierając ciotki Jadzi pudełeczko z cieniami do powiek.

Takie ładne farbki bardzo jej się przydały do wymalowania ustępu. Na pytanie: co zrobiła z farbkami? Odpowiedziała, że żadnych farb nie brała i nawet nie widziała ich na oczy. Nie było sposobu aby 4 letnią kłamczuchę zmusić do przyznania się. Nawet ja zacząłem wątpić czy słusznie dzieciaka posądziłem. Wpadłem na dość wyrafinowany pomysł. Renatko – powiedziałem, jeżeli ty pudełeczko nie wzięłaś to znaczy, że zabrała je twoja mama. Jak ciocia Jadzia przyjdzie z pracy to zrobi jej taką awanturę jakiej jeszcze w domu nie było. Może się nawet pobiją. Ja nie chcę na to patrzeć i ucieknę z domu. Dzieciak na me słowa bardzo posmutniał. Z łezkami w oczach zaczęła chodzić i szukać nie wiedząc gdzie one mogą być. Żał mi się jej zrobiło i chciałem dać jej już spokój. W pewnym momencie gdy stwierdziła, że nikt jej nie śledzi, wczółgała się pod kupę suchych gałęzi i wyciągnęła puste pudełeczko po farbkach. Pudełeczko się znalazło ale strach nie minął. Przybrał nawet bardziej realne formy ponieważ wraz z pudełeczkiem znalazła się winowajczyni. Uspokoilem ją, że kupię ciotki drugie farbki i wszystko zakończyło się pomyślnie. Do dzisiaj pozostało wspomnienie z odrobiną humoru. Babcia na swoich 4 hektarach uprawiała zboże, ziemniaki, chowała parę świnek i 3 krowy. Wszystkie prace wykonywało kółko rolnicze, a mama płaciła za usługi pieniędzmi ze swojej pracy zawodowej. Kiedyś kombajn ściał i wymłócił pszenicę. Zboże wysypał na plandekę. Zanim mama zdażyła je uprzętnąć nadeszła burza i wszystko

podpłynęło wodą. Rok pracy, zabiegów i pieniędzy poszło na marne.

Mama oparta o drzewo płakała jak dziecko. Była sama, z nikąd rady ani pomocy. Powoziłem zboże i rozsypałem w barakowozie, ale to niczego nie uratowało. Wkrótce ziarna zaczęły kiełkować. Mama już dawno nie żyje, ale wspomnienie tych łez pali jak nieogojąca się rana, jak wyrzut sumienia, bo tylko ja mogłem jej pomóc. Teraz leżała sama w szpitalu, nie wiedząc czy doczeka jutra. Jak do tego doszło? Mama co dzień woziła do mleczarni rowerem 2 bańki z mlekiem od swych krów. W ten sposób dorabiała do niewielkiej emerytury. Gdy wracała, dogoniła wóz konny. Z tyłu jechał ciężarowy samochód z przyczepą. Konie zlekły się klaksonu i szarpnęły wozem do tyłu. Mama nie zdążyła wyhamować, uderzyła w wóz i przewróciła się rowerem na szosę. Doznała wstrząsu mózgu i ogólnych potłuczeń. W szpitalu nie było dla niej łóżka i należytnej opieki. Leżała do wieczora na noszach w zabrudzonym ubraniu. Widocznie czekano na łapówkę. Dopiero siostra Bożena gdy wróciła z pracy, pojechała do mamy i zaopiekowała się nią. Ja przyjechałem dopiero na 3 dzień. Chora czuła się już względnie dobrze. Nie wiem kiedy wypisano ją do domu ponieważ wcześniej musiałem wracać do pracy. W tych dniach odwiedził nas na lądowisku dziennikarz Głosu Pomorza pan Waldemar Cwieka. Zrobił parę zdjęć i napisał ciekawy artykuł o nas i o naszej pracy. Często zdarza się, gdy na tematy lotnicze wypowiada się laik, to mają miejsce dość zabawne sformułowania. Artykuł pana redaktora chociaż lakoniczny, przedstawia zagadnienia wyczerpująco i ze zrozumieniem. Zwraca uwagę na specyfikę zawodu agrolotnika, różnorodność usług i ich znaczenie w gospodarce. Ukazuje też w ciepłych słowach nas jako załogę samolotu, poświęcając szereg zdań naszym przeżyciom i osiągnięciom zawodowym. Artykuł kończy słowami: „wkrótce jednak Wiesław Cygański i Bolesław Głowacki wraz z samolotem wrócą do bazy w Gdańsku. Kończy się bowiem sezon usług agrolotniczych. Ale zajęć nie zabraknie im. Obozy kondycyjne, kursy, egzaminy, badania lekarskie. Dopiero po przebrnięciu tych wszystkich prób mogą być pewni, że ponownie zasiądą w swoim AN-2”.

Do połowy listopada uporaliśmy się z jesiennym nawożeniem. Umowa czarterowa zakładała pracę do grudnia. Gdy zleceń nie było, umawialiśmy się z dyrektorem lub naczelnym agronomem kombinatu co do dalszych prac i jechaliśmy do domu. Ja wołałem intensywnie pracować zamiast nudzić się na kwaterze, a po wykonaniu bieżących prac mieć kilka wolnych dni. Przeważnie umawialiśmy się na wezwanie telefoniczne lub telegram, zwłaszcza wtedy gdy termin wznowienia prac był trudny do określenia. Drugą połowę listopada spędziłem w domu. Za kilkanaście dni nastąpi zakończenie czarteru i zlot samolotów do Bazy w Pruszczu Gdańskim. W wieczornym dzienniku telewizyjnym podano wiadomość, że podczas wierceń geologicznych na polach Daszewa koło Karlina nastąpiła erupcja gazu ziemnego i ropy naftowej. Produkty te zapaliły się i gejzer ognia sięgający kilkudziesięciu metrów wżwyż jest na razie niemożliwy do ugaszenia. Polacy szukają na świecie specjalistów którzy ugasiliby oryginalną pochodnię, na razie jednak potężną łunę widać z odległości kilkudziesięciu kilometrów.

Listopad kończy się i czas wracać do Biesiekierza. W Białogardzie widać wyraźny słup ognia. Pociąg kołobrzeski pojechał w jego stronę, a ja przesiadłem się na autobus i skoro świt byłem na miejscu. Znalaziono jeszcze trochę pracy do wykonania i ostatniego dnia listopada oficjalnie podziękowano nam za pracę. Zastępca dyrektora kombinatu pan Marian Hermanowicz zaprosił nas na pożegnalną kolację, podczas której wręczył nam listy gratulacyjne z podziękowaniem za zaangażowanie, pracowitość i bezkonfliktową atmosferę. Odlatując do Gdańska wykonałem 2 okrażenia dookoła ognistego słupa palącej się ropy i gazu. Wątpię czy był drugi pilot, który zaliczył w swej pracy taką atrakcję. Okrażenie wykonałem na wysokości 50 m ale słup ognia wznosił się jeszcze wyżej.

Do Gdańska przyleciałem przed południem. W biurze ZUA spotkałem kolegę Witka Wyrzykowskiego, który również przyleciał z czarteru. Witek do agrolotnictwa trafił z wojska. Służbę na samolotach odrzutowych zakończył w stopniu kapitana. Mieszkał w Malborku w blokach przeznaczonych dla rodzin wojskowych. Był on człowiekiem szczerym i koleżeńskim. Nie pchał się do władzy ani do kariery i chyba dlatego omijały go awanse. Ja czułem w nim bratnią duszę. Pociąg z Gdyni do Łodzi Kaliskiej jechał po drodze przez Malbork i Proboszczewice Płockie. Połączenie miałem więc bardzo wygodne i bezpośrednie, ale pociąg ten odchodził z Gdańska dopiero o 22.

Witek zaprosił mnie do siebie. Pojechaliśmy do Malborka. Zjemy obiad, pogadamy przy kawie a potem

podwiozę cię do twego pociągu. Chętnie skorzystałem z jego zaproszenia gdyż perspektywa łożenia bez celu po Gdańsku wcale mnie nie nęciła. Żona Witka była piękną kobietą, podobną do niej była również ich córka, która tak jak moja Aśka kończyła w tym roku szkołę podstawową. Dziewczynka po obiedzie zajęła się lekcjami, ale zadanie z matematyki jej nie wychodziło. Przy pomocy kilku pytań naprowadzających pomogłem jej zrozumieć treść zadania i ułożyć równanie. Gdy w nowym roku 1981 spotkał się na obozie kondycyjnym Witek sam przypomniał mi tamta wizytę sprzed świąt. Okazało się, że nikt w klasie, oprócz Wyrzykowskiej nie potrafił tego zadania zrobić. Córka Witka przy tablicy wyjaśniła wszystkim sposób rozwiązania i otrzymała ocenę bardzo dobrą. Ocena ta zdopingowała ją i zainteresowała matematyką do tego stopnia, że stała się najlepszą uczennicą. Nie przypisuję sobie szczególnych zasług. Dziewczyna była zdolna, gdyż tylko „mądrej głowie dość dwie słowie”. Czasami jednak dobry start decyduje o wyniku końcowym. W starcie tym jej pomogłem, a ona potrafiła to wykorzystać. Nie wiem jak potoczyły się losy żony i córki Witka. On sam dobry pilot i szlachetny człowiek, kapitan który latając na samolotach odrzutowych dosłużył się w wojsku emerytury, zginął tragicznie podczas następnej akcji w Egipcie. Rozbił się na Kruku zaczepiając skrzydłem o palmę. Przekonany jestem, że podtruł się chemikaliami przez co stracił możliwość kontroli nad samolotem.

Sezon lotny 1981 rozpoczęliśmy bardzo wcześnie. Zima była lekka, toteż po zaliczonych szkoleniach i egzaminach kontrolnych, już w połowie lutego przystąpiliśmy do prac polowych. Ja powróciłem do Biesiekierza z Mirkiem Błachutą i samolotem AN-2 SP-WLE. Na początku sezonu pracy jest zawsze dużo. Na zmarzniętą jeszcze ziemię i cienką pokrywę śnieżną sypaliśmy nawozy fosforowe, potasowe i wieloskładnikowe zawierające tak zwane mikroelementy. Gdy na przedwiośniu zaczęły się topić resztki śniegu, nawozy te wraz z wodą przenikały do gleby i do korzeni roślin. Wraz z pierwszymi wiosennymi promieniami słońca ruszyła wegetacja roślin, a wraz z nią nawożenie pogłówne. Bardzo skuteczną formą dokarmiania roślin było nawożenie dolistne. Polegało ono na opryskaniu upraw wodnym roztworem preparatów azotowych. Poza Biesiekierzem lataliśmy w kombinatach Drzonowo, Stanomino i Dobrocierzy. W intensywnej pracy szybko skończył się ресурс samolotu. Poleciliśmy do Gdańska na wymianę i jeszcze tego dnia wróciliśmy z powrotem do Biesiekierza. Gdy dziennie wykonuje się po kilkadziesiąt lotów podobnych jeden do drugiego, popada się w rutynę. Człowiek przestaje myśleć i czynności wykonuje automatycznie. W tej sytuacji trudno jest ustrzec się przed różnymi niespodziankami wynikającymi z błędów i nieuwagi. Antonow jest stosunkowo dużym samolotem i wygląda ociężałe, ale to tylko pozór. Koła umieszczone blisko środka ciężkości powodują, że łatwo można skapotować, to znaczy przelecieć przez silnik na plecy. Szczególną ostrożność należy zachować podczas kołowania lub operowania hamulcami na dobiegu. Inaczej kołuje się z górki, inaczej z wiatrem a jeszcze inaczej na powierzchni śliskiej lub miękkiej. Duża powierzchnia statecznika poziomego i steru wysokości łatwo może być podwiana do góry. W zasadzie startuje się i ląduje pod wiatr, ale w agrolotnictwie różnie z tym bywa.

Sposób postępowania dyktują warunki. Pewnego dnia bardziej pasowało mi lądować z wiatrem w kierunku grupy załadowniczej. Wiatr nie był silny ale porywisty. Samolot miał większą prędkość lądowania i dłuższy dobieg. W pierwszej fazie po przyziemieniu trzeba było wolant ściągnąć na siebie aby strugi powietrza przyciskały ogon do ziemi. Kołując z małą prędkością należało opuścić ster aby uniknąć podwiania. Manewr ten wykonałem trochę za późno, na dodatek lekko przyhamowałem. Samolot zatrzymał się z ogonem uniesionym do góry. Trwało to może sekundę, ale dla mnie wydawało się jakby sekunda była z gumy i rozciągnęła się do maksimum. Oddałem wolant od siebie i czekałem na co się Antek zdecyduje. Czy postawi w końcu ogon na ziemi, czy wybierze połamanie śmigła i pozycję grzbietową. W decyzji pomógł mu podmuch tylnego wiatru, który trafiwszy na powierzchnię steru przycisnął ją do dołu. Innym razem latałem z pastwiska ogrodzonego żerdziami. Jedną żerdź kazałem zdjąć aby nie zaczepić o nią kołami. Dobrze było dopóty, dopóki nie podszedłem zbyt nisko. O ogrodzenie zaczęliśmy kłapa skrzydłową. Uszkodzenie naprawiliśmy we własnym zakresie.

Dla odmiany w Dobrociechach latałem lądując z górki ale pod wiatr. Odwrotnie się nie dało. I znowu dobrze było do czasu, aż nie popadał przelotny deszcz. Ubita kołami ziemia pokryła się śliskim błotkiem. Jechałem po nim jak na nartach. Na końcu lądowiska leżały poprzecznym rzędem duże kamienie.

Gdyby koło trafiło na taki kamień kapotaż byłby nieunikniony. Dziwnym zbiegiem okoliczności obydwie koła wpasowały się w luki między kamieniami, to nas uratowało. Pogiął się trochę tunel opyłowy do nawozów, ale było to drobne uszkodzenie łatwe do naprawienia. W przypadku kapotażu samolot mógłby się nawet spalić razem z nami. Łądowanie z górki było trudne, za to start w tym kierunku i do tego pod wiatr nie nastęczał trudności nawet z maksymalnym obciążeniem. Samolot szybko się rozpędzał i łatwo odrywał przechodząc na wznoszenie. Kilkadziesiąt metrów poza lotniskiem prowadziła szosa do gospodarstwa i bloków mieszkalnych. Przy szosie rosły stare lipy ale nad nimi przelatywało się ze sporym zapasem wysokości. Od pewnego czasu Mirek próbował uczyć się pilotażu. Gdy po wysypaniu nawozów wracaliśmy z pola na lądowisko, on przejmował stery, podchodził do lądowania, a nawet usiłował lądować. Ta ostatnia sztuka jeszcze mu się nie udawała, ale czasu na naukę mieliśmy dosyć. Zastanawiałem się do czego umiejętność pilotażu może mu być potrzebna. Mechanicy pokładowi nie brali się za sterowanie. Mirek był wyjątkiem również pod tym względem. Wkrótce okazało się jaki miał w tym cel. W pierwszych dniach maja wypędzono na pastwiska PGR-owskie stada. Pilnowali ich pasterze z psami. Nie wiadomo skąd znalazł się tam młody kotek. Pasterze poszczuli go psami. Kot w ostatnim momencie wskoczył na drzewo, ale stąd dalszej ucieczki już nie miał. Został osaczony przez psy i ludzi usiłujących spędzić go z drzewa. Działo się to na naszych oczach, 100 m od lądowiska. Szykowaliśmy się do startu po załadowaniu nawozów. Nikt nie zareagował na tę zabawę oprócz Mirka. Kazał on chwilę poczekać i pobiegł na ratunek kotu. Zrobił awanturę pastuchom, odpędził psy i zagroził, że je zastrzeli.

Mirek miał zezwolenie na broń myśliwską i często ją ze sobą woził, ale nigdy nie widziałem aby do czegoś strzelał. Nie skrzywdziłby psa tak samo jak nie pozwolił skrzywdzić kota. Broń woził dla fantazji i dodania sobie powagi.

W maju 1981 rozpoczęła się trwająca kilka lat batalia o uratowanie lasów. Była to akcja ogólnokrajowa, a wrogiem była brudnica mniszka. Owad ten z nieznanых przyczyn rozmnożył się do katastrofalnych ilości. Połacie lasów wyglądały jak po spaleniu. Drzewa usychały wyciągając do nieba w niemej skardze nagie kikuty gałęzi. Na sosnach, które jeszcze żyły, żerowało po 20 tysięcy gąsienic. Z gąsienic tych po przepoczwarczeniu lęły się duże szaro białe ćmy składające miliony jaj w zagłębieniach kory. Przyroda nie była w stanie sama się obronić. Do walki ze szkodnikiem stanęły samoloty. Ja z Mirkiem pracowałem w rejonie Chojnic na zachodnim krańcu Pojezierza Kaszubskiego i Borów Tucholskich w nadleśnictwie Sępólno. Lataliśmy z wojskowego lotniska w Przechlewie, a mieszkali w hotelu w Chojnicach. Zabiegi chemiczne polegały na zamglawianiu preparatami „decis” i „ripcord” rozpuszczonymi w oleju napędowym. Załadunek 1200 litrów cieczy wystarczał na oprysk 600 hektarów powierzchni. Jeden lot trwał ponad 2 godziny.

Skuteczność zabiegów wynosiła 98%. Kierunek przelotu nad lasem wyznaczały pomarańczowe balony meteorologiczne unoszące się ponad drzewami.

Przeważnie wykonywaliśmy po 2 loty rano i późnym popołudniem do wieczora. Czas pomiędzy godziną 8 a 16 był wolny. Zarobiliśmy trochę dodatkowych pieniędzy ponieważ Mirek potrafił wszędzie nawiązywać kontakty handlowe lub towarzyskie. W sklepie fotograficznym załatwił okazjnie dwa aparaty „Zenit”. „Zenity” w tym czasie były najlepszymi aparatami produkcji radzieckiej. Skopionwane zostały z niemieckich „Practic” gdyż sowieci żadnymi wymogami licencyjnymi nie zawracali sobie głowy, zwłaszcza z krajami uzależnionymi od siebie. Aparat ten w idealnym stanie mam do dziś chociaż technika negatywów filmowych na materiale światłoczułym odeszła do lamusa. Stołowaliśmy się przeważnie w restauracji rybnej. Mirek szybko zaprzyjaźnił się z kelnerkami. Dziewczyny czasem kolację przynosiły nam do hotelu uczestnicząc przy okazji w spotkaniach towarzyskich. Jedna z nich dobrze mówiła gwara kaszubską i na naszą prośbę często popisywała się znajomością tego języka oraz kaszubskich wierszy i anegdot. Była to mowa oryginalna chociaż trudna do zrozumienia.

Pod koniec pierwszej dekady czerwca Mirek zaproponował abyśmy po rannej pracy pojechali jego samochodem do Proboszczewic i przywieźli do Chojnic moją żonę. Jest gdzie spać, jest co jeść a ponadto są pieniądze na wydanie. Niech sobie dziewczyna pobuszuje po sklepach, zwiedzi miasto i w ogóle się rozerwie. W tym czasie w Świeciu remontowano most. Przeprawa przez Wisłę odbywała się na promach. Dodatkowa atrakcja nie była uciążliwa. Kursowały 2 promy. Po załadowaniu 10 samochodów statki

odbijały równocześnie od przeciwległych brzegów, mijaly się na środku rzeki i tak na zmianę. Po kilku nastu minutach zjazd na brzeg i w dalszą drogę. Przed południem byliśmy na miejscu. Żona chętnie zgodziła się na atrakcyjną wycieczkę z perspektywą wydania kilku tysięcy lewej gotówki. W domu zastaliśmy też obydwie moje córki. Gosia skończyła wiosną 15 lat. Obecnie kończyła szkołę podstawową i wybierała się do liceum. Grażyna miała już lat 18 i kończyła 3 klasę Małachowianki. Wesołe i swobodne usposobienie Mirka sprawiło, że po kilku minutach wszyscy czuli się jak starzy znajomi. Po krótkim poczęstunku żona szykowała się do drogi, a my przed domem zabawialiśmy się mirkową strzelbą. Grażyna nie chciała wziąć broni nawet do ręki, a Joasia odważnie oddała parę strzałów na wiwat strasząc przelatujące wrony. Jedna z nich zgubiła nawet pióro. Grażyna myślała, że wrona została ranna i na widok spadającego pióra w oczach jej zakręciły się łzy. Ona do dzisiaj ma bardzo czułe serce dla wszystkich żyjących stworzeń. Kiedyś kotu odebrała mysz. Opiekowała się nią aż skaleczenie się wygoiło. Potem wypuściła mysz na pole. Gdy my walczyliśmy z groźnym szkodnikiem niszczącym lasy, Grażyna nazbierała larw brudnicy mniszki, karmiła je aż larwy zamieniły się w poczwarki, a następnie w motyle. Młode motyle zaniósła do lasu i wypuściła je chyba po to, aby tacie nie zabrakło pracy. Mirek widząc łzy w jej oczach zaczął żartować. Powiedział, że ptaki i zwierzęta poddaje się różnym wymyślnym torturom, np. przed bocianem stawia się garnek z żabami i równocześnie zawiązuje mu dziób sznurkiem aby nie mógł jeść. Przykład podobnych tortur rozbawił dziewczyny i zapomniano o wronie, która lekko przestraszona poleciała w świat. Czas było wracać do pracy. O 16 przyjadą po nas leśnicy, a przed nami jeszcze prawie 200 km drogi. Fiat Mirafiori niemal leciał nad szosą. Nawet nie czuło się prędkości. Minęła godzina i dojechaliśmy do Świecia. Tu spotkała nas przykra niespodzianka. Okazało się, że przeprawę obsługiwał tylko 1 prom. Po obydwu stronach Wisły czekały w długich kolejkach setki samochodów. Wahać się i zastanawiać oznaczało spóźnić się do pracy i narazić na duże nieprzyjemności.

Potrzebny był tu tupet i zaradność Mirka. Mnie nigdy nic podobnego nie przyszłoby do głowy. On mijając rząd samochodów nawet nie zwolnił. Pruł prosto na przeprawę. Kazał tylko położyć strzelbę na widocznym miejscu i nie odzywać się. Nie miałem pojęcia co chce zrobić. Siedziałem po jego prawej stronie. Z tyłu żona ładnie ubrana i dubeltówka. Mirek nie szukał wolnego miejsca. Wjechał bokiem przed pierwszy samochód i zablokował mu wjazd na prom. Statek zbliżał się do przystani. Gromada kierowców szła w naszym kierunku. Mirek nawet nie wysiadł z samochodu. Pokazał im tylko palcem tablicę informującą, że pojazdy uprzywilejowane mają prawo do przeprawy poza kolejnością. Kierowcy zażądali aby okazał się jakimś dokumentem. Na to Mirek odparł z dużą pewnością siebie: „nie jestem upoważniony do okazywania się wam. Okazę się jedynie kapitanowi promu”. Wszyscy pospuszczali głowy przed tak ważną figurą. Samochód klasa, żaden Trabant ani Syrenka. Flinta na widoku, do tego jakiś gruby facet i elegancka blondynka. Cholera wie co to za towarzystwo? Może z Bezpieki, a może z rządu? Prom przybił do przystani i kierowcy zajęli się swoimi samochodami. Ci którzy dostali się na statek nie mieli potrzeby sprawdzać Mirka dokumentów, ci którzy zostali na brzegu nie mieli na to czasu ani możliwości. A ja do dzisiaj nie wiem skąd on wiedział o takiej tablicy informacyjnej. Na zakończenie akcji leśnicy zorganizowali pożegnalną kolację przy ognisku. Były życzenia, były toasty i kielbaski na patyku, a przede wszystkim wspaniała atmosfera. Nie jakiś tam grill w ogródku, lecz prawdziwe harcerskie ognisko, wśród szumiących kniei nieopodal starej leśniczówki w nastrojowym romantycznym blasku palących się bierwion i trzaskających iskier. W jaki sposób leśnicy poradzili sobie z kartkowymi przydziałami na mięso i alkohol, pozostało ich tajemnicą. Nazajutrz rano powróciliśmy do Biesiekierza aby zająć się pracą której w skutek 3 tygodniowej akcji nad lasami, sporo się nagromadziło.

Wraz z pierwszymi dniami kalendarzowego lata rozpoczęły się wakacje. Grażyna otrzymała promocję do klasy maturalnej, a Gośka ukończyła szkołę podstawową otrzymując na świadectwie oceny dobre i bardzo dobre. Świadectwo takie upoważniało ją do podjęcia nauki w szkole średniej bez zdawania egzaminów wstępnych, ale ona chciała dostać się do szkoły plastycznej, a w szkołach artystycznych obowiązywały inne kryteria rekrutacji. Mieliśmy z żoną nie lada kłopot ponieważ w rejonie Płocka szkoły tego typu nie było. Z kłopotu tego zwierzyłem się Mirkowi nie sądząc, że i w tej sprawie będzie mógł mi pomóc. Mirek z właściwą sobie energią, zareagował natychmiast. On nigdy niczego nie odkładał na później. Jeżeli działać to już. W Koszalinie jest liceum sztuk plastycznych. Jedziemy załatwić sprawę.

W kancelarii szkoły zastaliśmy młodą sekretarkę i kilka równie młodych pracownic. Każda z nich zajęta była swoją pracą, ale Mirkowi to nie przeszkadzało. Gdy ja rozmawiałem z sekretarką on w tym czasie wesołą rozmową zabawiał pozostałe dziewczyny. Zaczął od poczęstowania dobrym papierosem, a dalszy temat nie sprawiał mu najmniejszej trudności. Był po prostu w swoim żywiole. Zawsze wiedział co komu powiedzieć i jak się zachować. Ja dowiedziałem się, że nabór kandydatów do klas 1 został już dawno zakończony. Szkoły tego typu prowadzą egzaminy w marcu. Egzaminy z poszczególnych przedmiotów artystycznych trwają około 10 dni. Chodzi o to aby kandydatom nieprzyjętym dać szansę w innych szkołach. Każdy petent po otrzymaniu takiej informacji podziękowałby i wyszedł ze słowem do widzenia. Ale Mirek nie był każdym. Z sąsiedniego pokoju wyszedł starszy pan zwabiony śmiechem i wesołą rozmową. Teraz Mirek przejął sprawę w swoje ręce. Przedstawiał nas jako załogę agrolotniczą pracującą w Biesiekierzu i powtórzył z jaką sprawą przyszliśmy. Starszy pan był zastępcą dyrektora ds. administracyjnych.

Rozmowa zesłała na temat trudnej sytuacji gospodarczej i kłopotów z zaopatrzeniem, potem na temat samochodów i paliwa. Dyrektor zaproponował nam następujące rozwiązanie problemu. Obiecał załatwić przyjęcie córki do liceum ogólnokształcącego oraz do ogniska plastycznego przy Wojewódzkim Domu Kultury. W ognisku tym prowadzą zajęcia nauczyciele ze szkoły plastycznej. W ten sposób nawiąże się współpraca, dzięki której przyjęcie do szkoły będzie pewne w roku przyszłym. W tym momencie do kancelarii wszedł nauczyciel przedmiotów artystycznych pan Siwiński. Pan profesor przyłączył się do rozmowy, która tym razem zesłała na tory polityczne. Mirek szybko wyczuł antykomunistyczne przekonania pana Siwińskiego. Powiedział, że my obaj należymy do Solidarności i z nadzieją oczekujemy upadku komuny i jej czerwonego protektora. Na to pan Siwiński odpowiedział, że widzi w nas bratnią duszę, że Polacy powinni sobie pomagać, a on wszystko zrobi aby moja córka została do szkoły przyjęta i nie straciła roku. Zorganizowany został dodatkowy egzamin dla dwóch osób. Sprawa rozstrzygnie się 1 września. Koncepcję kierownika administracyjnego uważał za plan awaryjny. „Będę trzymał rękę na pulsie a wy czekajcie na wiadomość i bądźcie dobrej myśli”. Tymczasem zaprosił nas do obejrzenia wystawy prac uczniów szkoły. Wystawa zorganizowana została na zakończenie roku szkolnego, ale do tej pory nie została rozebrana. Zwiedzanie wystawy pozwoliło mi zapoznać się z programem nauczania i szerokim zakresem tematyki.

Szkoła prowadziła 2 kierunki kształcenia. Formy użyteczne oraz wystawiennictwo. Na obu kierunkach i we wszystkich klasach prace uczniów były bardzo ciekawe i różnorodne. Malarstwo, rzeźba, fotografika, wyroby ceramiczne i architektoniczne to tylko niektóre przedmioty z bogatego programu szkoły. Obejrzenie wystawy zajęło mi ponad 2 godziny czasu i całkowicie przekonało o trafności wyboru rodzaju nauki i zawodu. Pan Siwiński ponadto pokazał mi pracownie i warsztaty szkolne. Mieliśmy również czas aby poznać się i wymienić poglądy i obdarzyć wzajemną sympatią.

Praca w 2 kombinatach Biesiekierz i Dobrociechy wymagała z naszej strony dużego zaangażowania. Lataliśmy na przemian w jednym i drugim gospodarstwie bez względu na święta i porę dnia. W Dobrociechach do załadunku nawozów zatrudniano więźniów. Samolot w PGRze stanowił dużą atrakcję i często był okazją do przeżycia pierwszego lotu. Nam nie wolno było wozić przygodnych pasażerów. Na oficjalny lot potrzebna była zgoda oddziału ZUA. Czasem z tej formy korzystali dyrektorzy gospodarstw, aby dokonać z powietrza przeglądu pól i upraw. Częściej jednak zabieraliśmy pasażerów na własne ryzyko i odpowiedzialność. Zdarzało się, że odmówić nie mogliśmy lub nie wypadało. W jaki sposób np. odmówić dyrektorowi, od którego byliśmy uzależnieni, zabrania na lot jego lub kogoś z bliskiej rodziny. Dyrektor kombinatu Dobrociechy był wysoki i szczupły. Starszy pan o włosach przyprawionych siwizną. Odnosił się do nas zawsze z szacunkiem i kurtuazją. Był miły, sympatyczny i kulturalny. Gdy przyjeżdżał na lądowisko pozdrowiał nas słowami: „Witam najpracowitszą załogę ZUA”. Płacił nam za pracę w godzinach nadliczbowych i chętnie latał z nami obejrzeć stan swego gospodarstwa i pracę ludzi. Był dobrym człowiekiem i gospodarzem. Nazywał się Froidenbaum i był z pochodzenia Izraelitą.

To już 2 Polak pochodzenia żydowskiego, którego darzyłem sympatią i szacunkiem. Jeżeli ktoś jest człowiekiem szlachetnym to jego narodowość lub pochodzenie nie jest istotne. Dyrektor Froiden (tak go popularnie nazywano) nie posiadał fizjonomii semickiej, natomiast jego 2 dorodne

córy były czarne jak wrony. Miały około 18 – 20 lat, były ładne, szczupłe i wysokie. Urodę odziedziczyły po swym ojcu, ale tak czarnych włosów wśród Polaków się prawie nie spotyka. Latały z nami samolotem i bardzo im się ta zabawa podobała. Więźniowie pracujący przy załadunku naczep zwrócili się do mnie z prośbą o zabranie ich kolejno na loty robocze. Nigdy dotąd samolotem nie latali i była to ich jedyna okazja. Nadzorujący wartownik służby więziennej zezwolił na wykonanie po jednym locie w nagrodę za dobrą pracę. Uważam, że był to człowiek rozsądny, chociaż ponosił pewne ryzyko. Władze na pewno by go za to nie pochwały. Zezwolił pod warunkiem zachowania milczenia. Obiad jedliśmy wspólnie na PGRowskiej stołówce. Po obiedzie więźniowie przyrządzili swój więzienny deser. Wartownik na to również przyknuł oko. Paczkę herbaty zaparzano w litrze wody. W ten sposób powstał odurzający narkotyk – teina.

Wystarczyło po kieliszku dla każdego. Ja z ciekawości spróbowałem odrobinę, ale gorzki, czarny i smolisty wywar wcale mi nie smakował. Więźniowie jednak czuli się rześcy i podnieceni, pracowali również z dużym zapalem.

Miejscowość Grzybowo pod Kołobrzegiem jest jednym z wielu atrakcyjnych kurortów środkowego wybrzeża. Swój dom wczasowy posiada tu również Stacja Hodowli Roślin Biesiekierz. W uznaniu naszej pracy dyrektor zezwolił nam na spędzenie kilku dni z rodzinami nad morzem. W środku sezonu nie mógł zafundować nam pełnych wczasów, ale dla nas te kilka dni były wystarczającą nagrodą, zwłaszcza, że urlopu nie posiadaliśmy. W Grzybowie zamieszkały nasze żony z dziećmi a my po lotach do nich dojeżdżaliśmy samochodem Mirka aby przyjemnie spędzić wieczór w rodzinnym gronie. W tych dniach w Kołobrzegu na wczasach przebywała ze swą rodziną siostra mojej żony Janka Wasilewska. Mąż jej, również Janek, pracował jako elektryk w Mazowieckich Zakładach Petrochemicznych. Jest on do dzisiaj człowiekiem bardzo spokojnym i zrównoważonym, toteż stanowili oni rodzinę bezkonfliktową. Podobne usposobienie odziedziczyły po rodzicach ich dzieci, Jarek i Renata. Dni upływały w wesołej i miłej atmosferze. Pobyt nasz uatrakcyjnił dodatkowo Kołobrzesci Festiwal Pieśni Żołnierskiej. Wzięliśmy udział w kilku koncertach. Ciepła letnia noc, atmosfera leśnego amfiteatru, piękne melodie, świetlne iluminacje z wykorzystaniem lotniczych reflektorów. Wszystko to pozostawiało niezapomniane wrażenie. Córki wręcały wykonawcom kwiaty, otrzymując w zamian gorące buziaki od eleganckich żołnierzy.

Festiwal Kołobrzesci był najpiękniejszą imprezą tego typu i od lat cieszył się zasłużonym powodzeniem. Nie wiem dlaczego został wkrótce zlikwidowany. W czasie przemian polityczno ustrojowych ocalały te, które nie nadają się do oglądania i słuchania, które zamiast miłych wrażeń zostawiają niesmak i zdenerwowanie. Czyżby jeszcze jeden przykład niszczenia wszystkiego co polskie i narodowe. Festiwal Kołobrzesci miał swoistą wymowę patriotyczną. Wczesną wiosną 1945 roku toczyły się tu krwawe i zaciekle walki o zdobycie Wału Pomorskiego. Pas umocnień obronnych ciągnął się od Piły do Kołobrzegu. Na wzniesieniach niemieckie bunkry, transeje i okopy. Wśród nich baterie dział, moździerzy, stanowiska karabinów maszynowych. W dolinach bagna, jeziora i pola minowe. Latałem nisko nad tym terenem, chodziłem po pobojowiskach i oglądałem rozbite pozycje obronne. Ilu żołnierzy tułaczy oddało tu za nas swoje życie. Gdy na festiwalu zaśpiewano:” Płynie przez Kołobrzeg Parsęta, Parsęta. Tamte dni kto przeżył pamięta, pamięta”.

Wtedy łza zakręciła się w oku i zaduma w sercu. Chyba dla tej łzy jednej trzeba to było zniszczyć, zapomnieć i zataić przed młodym pokoleniem. Aby się żadne dziecko nie dowiedziało i nie wzbudziło dumy w swym sercu. Zamiast tego malowany idiota z napisem „jestem gejem” ryczy coś co nie jest ani melodią ani poezją, cos co nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek kulturą. Kończył się urok lata.

Wczasowicze powrócili do domu, a my do codziennej pracy. Czasem na kwaterze odwiedzali nas goście. Mirek z kolegami urządzali tak zwane „balangi na melinie”. Zdanie na pewno nieeleganckie ale oddające atmosferę i ducha spotkań towarzyskich. Uczestniczyło w nich paru mechaników z naszego oddziału, szef techniczny koszalińskiego LOTu, jacyś panowie z koła łowieckiego i oczywiście przedstawicielki płci pięknej. Jedni goście przywozili ze sobą upolowaną dziczyznę, inni dbali o to aby dziczyzna miała w czym pływać, a Mirek przeważnie organizował orkiestrę. Słowo powiedziane trochę na wyrost ponieważ orkiestra była jednoosobowa, ale za to pierwszej klasy. Pani Ewa Korczak, nauczycielka ze średniej szkoły muzycznej, grała chyba na wszystkich instrumentach. Była piękna kobietą o długich

blond włosach, zgrabnej sylwetce i głosie renomowanej artystki. Śpiewała ona w chórze nauczycielskim razem z panem Stefaniakiem. Chór ten zdobywał laury na wielu scenach w kraju i za granicami. Dla nas pani Ewa śpiewała gratis i solo, pięknie przy tym akompaniując sobie na akordeonie. Naprawdę było czego posłuchać. Repertuar miała wspaniałą i obszerną. Czasem w naszym towarzystwie bawił się agronom z kombinatu Dobrociechy pan Jurek Sztajnborn oraz główny zootechnik z Biesiekierza pani Maria W.

Darzyła ona szacunkiem moją skromną osobę, ale zakochana była w Mirku. Męczyła ją ta nieszczęśliwa miłość bez sensu i bez przyszłości, ale podobno serce nie służy i nie da się go zmusić do rozsądku. Żalowałem pani Marii ponieważ była osoba wykształconą, pełniła odpowiedzialną funkcję na stanowisku zastępcy dyrektora do spraw hodowli zwierzęcej. Była sympatyczna i uczynna, a miłość szczerą choćby źle ulokowana nie zasługuje na potępienie.

Mirek nie dawał jej żadnych złudzeń ani nadziei. On w żaden romans się nie angażował, a ona zauroczyła się jakby nikogo innego nie było na świecie. Ja w towarzystwie czułem się dobrze. Wypiłem lampkę wina lub kieliszek wódki, zjadłem kawałek sarniny, którą dziewczyny potrafiły przyrządzić, posłuchałem pięknych melodii w wykonaniu akordeonistki, a gdy goście dochodzili do początkowego stadium nieważkości i zaczęli zajmować się swoimi sprawami, odchodziłem do swojego pokoju na zasłużony odpoczynek. To nie prawda, że koledzy wywierają presję i potrafią zmusić do przekroczenia pewnych granic. Jeżeli człowiek kieruje się własną wolą i rozsądkiem, to koledzy jego postawę zaakceptują, a nawet obdarzą go szacunkiem. Gdy Mirek poznał moją żonę to oświadczył mi wręcz, że dla mnie nie wypadałoby jej lekceważyć i oszukiwać.

Powiedział dosłownie „Tobie to by nie pasowało”. Myślę, że przyzwyczał się do mojego charakteru, zaakceptował mnie takim jakim jestem i wszelkie dewiacje uważałby za nienaturalne.

Kiedys stwierdził „Ty Wiesiek potrafisz przystosować się do każdego towarzystwa, ale zawsze kierujesz się własnym zdaniem”.

Dnia 29 sierpnia, po lotach, dowiedziałem się od zastępcy dyrektora, że w najbliższych dniach pracy nie przewiduje. Bardzo mnie ta wiadomość ucieszyła ponieważ zbliżał się początek roku szkolnego i należało przyjechać z córką do Koszalina aby ulokować ją w nowej szkole i załatwić internat lub stancję.

Pierwszy raz poza domem, wśród obcych ludzi, ponad 400 km od mamy. Jak ten dzieciak sobie poradzi? Jak pokona stres i czy przyzwyczał się do samodzielnego życia w nowych warunkach? Przygotowani byliśmy na umieszczenie jej w koszalińskim liceum ogólnokształcącym i do tej szkoły śpieszyliśmy z żoną na uroczyste rozpoczęcie nauki. Gdy rankiem 1 września dojechaliśmy do Biesiekierza, Mirek już na nas czekał. Od 2 dni usiłował się z nami skontaktować, ale w tamtych latach to było niemożliwe. W tej chwili nie było czasu na tłumaczenie i wyjaśnianie czegokolwiek.

Za pół godziny rozpoczynał się egzamin w Liceum Sztuk Plastycznych. Pan Siwiński dotrzymał słowa i na 2 wolne miejsca zorganizowano egzamin wstępny dla dwojga kandydatów. Mirek zabrał natychmiast Gośkę do samochodu, a nam kazał przygotować dla niej śniadanie. Spadło to na nas jak grom z jasnego nieba. Nawet się nie zdążyliśmy otrząsnąć po całonocnej podróży. Gdy za godzinę zawiózł nas do szkoły Joasia stała przy prawdziwych malarzkich sztalugach z farbami i pędzlami w rękach i malowała martwą naturę. Po egzaminie z malarstwa zdawała rzeźbę, grafikę, kompozycję przestrzenną na zadany temat. Lepiła glinę, wyginała jakieś druty oraz wykonywała inne prace na polecenie nauczycieli z komisji egzaminacyjnej. Prace, które kandydaci wykonywali wiosną w ciągu kilku egzaminacyjnych dni, Gosia zaliczała jednego dnia od rana do wieczora. Na końcu odpowiadała z teorii. Jednym z zadań programowych był rysunek z natury siedzącej postaci ludzkiej. W tym celu zaangażowałem się jako model. Przez cały czas kibicowałem wraz z żoną, z niecierpliwością oczekując końcowej decyzji. Było już całkiem ciemno gdy dyrektor poprosił nas do gabinetu i oświadczył, że komisja po przeanalizowaniu prac i postawy zdających, postanowiła przyjąć oboje do Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych. W ten sposób Gosia stała się uczennicą I klasy na kierunku wystawienniczym. Teraz należało znaleźć odpowiednią stancję. W początkowych dniach nauki mieszkała w naszej kwaterze agrolotniczej w Biesiekierzu. Z nieocenioną pomocą pośpieszyła mi pani Marysia, główny zootechnik SHR.

Kiedy ja bezskutecznie szukałem córce stancji, ona porozmawiała z koleżanką z pracy, panią Basią

Górecką. Pani Basia pracowała w księgowości, była piękną młodą kobietą, bardzo subtelną i szlachetną, a do tego nad wyraz skromną.

Widocznie nie śmiała odmówić swej wyżej postawionej koleżance i zgodziła się warunkowo, do czasu aż znajdzie inne lokum. Gosia była dziewczyną grzeczną i spokojną. Gdy Góreckcy poznali ją i nas, zaofiarowali swą pomoc do końca roku.

Przez rok Gosia zżyła się z nową rodziną i ich dwoma małymi synami. Chłopcy traktowali ją jak starszą siostrę. Córka uczyła się dobrze i nie nastęczała żadnych trudności wychowawczych. Mąż pani Basi, Michał był murarzem. Pracował w państwowej firmie budowlanej. Jako ojciec był wymagający i surowy, ale jako mąż czuły i kochający. Góreckcy stanowili przykład wzorowej rodziny godnej najwyższego uznania. Lepiej moja córka trafić nie mogła. Przez 5 lat Góreckcy opiekowali się nią, nie szczędząc także gościny dla nas. Aklimatyzacja w nowych warunkach nie przebiegła bezboleśnie. Gosia pozbawiona rodziców przeżywała trudne chwile. Na buzi malował jej się smutek, tęsknota i niepewność. Tak było do pierwszych pozytywnych ocen w szkole. Gdy otrzymała pierwsze piątki z przedmiotów ogólnych i plastycznych, nabrała pewności siebie i zaczęła się uśmiechać.

Na początku października zakończyliśmy pracę w Biesiekierzu i przebazowaliśmy się do Dobrociech. Mieszkaliśmy w górnych pokojach pałacu niedaleko Babolic, 40 km od Koszalina. W dolnej jego części mieściły się biura kombinatu. Łądowisko bazowe przygotowano na polach uprawnych. Po żniwach ryżsko zdrapano i posiano trawę.

Do jesieni trawa jeszcze się nie ukorzeniła i nawierzchnia była zbyt miękka aby można było wykonywać loty robocze. Ja kazałem ciężkimi traktorami wyjeździć pas kilkumetrowej szerokości i na nim wykonywałem soje starty i lądowania samolotem pustym. Kołowanie na stojankę wykonywałem bardzo powoli i ostrożnie dopóki droga się nie utwardziła. Roboczo lataliśmy ze starych podładowisk. Na drugi rok do Dobrociech skierowano młodego pilota. PGRowcy podpuszcili go mówiąc, że Cygański z tego lądowiska latał, tylko nie powiedzieli mu, że latał na pusto i po ubitym pasie. Chłopak nie chcąc być gorszym podszedł do lądowania jak na lotnisku.

Koła wryły się w miękką ziemię i samolot przekezołkował przez silnik na plecy. Antonow mocno się uszkodził a pilot stracił pracę. Dobrze, że się nie spalił.

Ambicja jest bezsprzecznie zaletą charakteru, ale pod warunkiem, że kieruje nią rozum. Nasz szef pilotów, pan Mieczysław Dąbkowski nie raz ostrzegał – „nie dajcie się podpuszczać”. Ja w podobnych sytuacjach mówiłem, że nie jestem tak dobry jak mój poprzednik i raczej wolę polegać na swoim skromnym doświadczeniu.

Jesienią było coraz więcej nielotnych dni, opadły liście z drzew, nadeszły słoty i przymrozki. Gdy nudiłem się sam na kwaterze, wybierałem się autobusem do córki.

Przeważnie w niedziele, ponieważ w dni powszednie późno wracała ze szkoły i odrabiała lekcje. Czas umiłał jej magnetofon, który przywiozłem z Egiptu. Pewnej listopadowej niedzieli Gosia odwiedziła dla odmiany mnie. W wiejskim ponurym pałacyku nie było żadnych atrakcji, samochodu też nie miałem. Wieczorem odprowadziłem ją na przystanek autobusowy. Gdy odjechała pogrążona w smutku, a ja zostałem sam na ciemnej i dżdżystej drodze odczułem przejmujący żal.

Nie ze względu na siebie, ja już dawno przyzwyczailem się do samotnych wieczorów. Wyobraziłem sobie samotne dziecko tułające się gdzieś wśród ludzi, jak ten Antek z noweli Sienkiewicza, który wziął swój los w węzełek i poszedł ze łzami w świat.

Mnie również zakręciły się łzy w oczach, mało tego – rozbeczałem się dając w ten sposób upust swej bezradności. Za parę dni zawiadomiłem telefonicznie ZUA Gdańsk, że przekroczyłem nalot 600 godzin, wylatując tym samym swój sezonowy resurs. Polecono mi zabrać samolot z Gościna, gdzie zakończono czarter i wracać do Gdańska. Na moje miejsce przysłano do Dobrociech nowego pilota. Gościno leży niedaleko Kołobrzegu. Odwoził mnie swoim samochodem mechanik z naszego oddziału, kolego Paciorkowski.

Rano spadł pierwszy śnieg. W południe wyjrzało słońce i szosa pokryła się mokrym błotem pośniegowym, ale w cieniu drzew błoto to zaczęło marznąć. Przy wjeździe do lasu na zakręcie samochód wpadł w poślizg. Jechaliśmy bokiem, tyłem, potem drugim bokiem, aby w końcowej fazie przy niewielkiej

prędkości wylądować na drzewie. Nam nic się nie stało, ale samochód został rozbity. Do Gościna odwiózł mnie Mirek dopiero na drugi dzień. Pogoda zepsuła się na dobre. Padał śnieg z deszczem, do tego było mglisto. Ponad tydzień czekałem na poprawę pogody. 3 grudnia przestało padać i widoczność poprawiła się na tyle aby można było kontynuować lot w trudnych warunkach atmosferycznych. Kolega, który zastąpił mnie w Dobrociechach nie zdecydował się na przelot i samolot został uziemiony w czarterze do Bożego Narodzenia.

Ja wpasowałem się w lukę lepszej pogody i bezpiecznie doleciałem do Gdańska.

W tym samym czasie przyleciało jeszcze kilka samolotów. Nazajutrz pogoda popsowała się znowu. Po przekazaniu dokumentacji do działu operacyjnego kazano udać się do Lisich Kałków w celu zaliczenia okresowych egzaminów kontrolnych i kursu doskonalącego dla pilotów. Egzaminy kończące szkolenie zdawałem w dniach 10 – 11 grudnia, a już 12-tego otrzymałem stosowne wpisy w dokumentacji osobistej i wróciłem do domu na okres świąteczny.

Nazajutrz rozpoczęła się najgłupsza wojna nowoczesnej Europy. „13 grudnia roku pamiętnego, wykluła się wrona z jaja czerwonego. Rozłożyła skrzydła od Gdańska po Kraków, zaczęła mordować prawdziwych Polaków”.

Wrzód, który zbierał się od ponad roku, musiał wreszcie pęknąć. Solidarność rosła w siłę wbrew poczynaniom władz komunistycznych. Gdy osiągnęła liczbę 10 milionów członków, rząd postanowił rozbić ją siłą. Celowo prowokowano anarchię i nędzę, aby w ten sposób ukarać nieposłuszny naród. Gdy to nie pomogło przystąpiono do ataku. Zawiązał się represyjny organ władzy, tak zwana Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego (WRON) z generałem Wojciechem Jaruzelskim na czele. 13 grudnia WRON–a wprowadziła stan wojenny na terenie całego kraju.

Obowiązywał zakaz swobodnego poruszania się, godzina milicyjna oraz wszelkie ograniczenia z tym związane. Działacze Solidarności zostali uwięzieni, a cały naród znalazł się pod kontrolą ZOMO, czołgów i wojska.

Dlaczego była to najgłupsza wojna w historii?

Nikt jeszcze nie pokusił się o dokonanie bilansu strat i o opisanie wydarzeń jakie miały miejsce w tych dramatycznych dniach. Nikt jeszcze nie policzył ludzkich tragedii ani krzyży bez nazwisk. Nikt także nie odpowiedział na pytanie jaki los spotkał żołnierzy, którzy nie wykonali rozkazów. W każdej okolicy działo się coś o czym wiedzą tylko jej mieszkańcy. Gdzieś w bagnach ugrzęzły czołgi. Żołnierze celowo je unieruchomili, aby nie dojechały do miejsca swego przeznaczenia.

W nocy przyszedł mróz i maszyny zamarły w grząskiej ziemi. Przez najbliższe dni ludzie opiekowali się chłopcami w mundurach. Płock w tych dniach nawiedziła powódź. Wody Wisły zalały lewobrzeżną część miasta, okoliczne wsie i ogródki działkowe. Moim zdaniem była to powódź wywołana sztucznie, na czyjeś zamówienie. Tamy na rzekach buduje się między innymi po to, aby zlikwidować zagrożenie powodziowe, kontrolując stan wód w potężnych zbiornikach wodnych.

Nigdy nie słyszałem, aby potężna zapora wodna była przyczyną powodzi.

W grudniu po ogłoszeniu stanu wojennego zamknięto we Włocławku przepusty wodne i Wisła wystąpiła z brzegów. Tłumaczono, że urządzenia regulacyjne zamarły. Dziwne, że zamarły jeden jedyny raz na przestrzeni kilkudziesięciu lat i to właśnie wtedy. Drugą dziwną rzeczą było duże, kłamliwe wyolbrzymienie szkód.

W rzeczywistości zalano kilka skrajnych uliczek Radziwia, altanki ogródków działkowych i dwie wioski, ale propaganda nagłośniła jakby to był kataklizm potopu.

Z całego kraju przyływały dary dla powodzian. W sklepach wstrzymano sprzedaż prawie wszystkiego, tłumacząc, że artykuły przeznaczone są dla młodych małżeństw i powodzian. Mieszkańców Radziwia wysiedlono, nawet tych, do których woda w ogóle nie dotarła. Ich domów pilnowało wojsko i milicja. Nad miastem latał helikopter ostrzegając przez potężne głośniki o zakazie penetracji opuszczonych domów, ale rabusiów i tak nie brakowało. W gminach województwa płockiego magazynowano setki ton ubrań i pościeli wyludzonej od ludzi dobrej woli, chociaż dary te nigdy do powodzian nie dotarły. Poszły na przemiał i makulaturę.

Komu i do czego taka szopka miała służyć?

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Musiałem jechać do Koszalina po Gosię, ale w stanie wojennym potrzebna była specjalna przepustka z zaznaczeniem miejsca i celu wyjazdu. W Urzędzie Gminnym w Starej Białej tłumaczyłem samemu naczelnikowi, że mam dzieciaka w szkole w I klasie, że nigdy samodzielnie takiej podróży nie odbyła, że boję się aby w trakcie powrotu do domu nie stało jej się coś złego, itd. Itd. Tych „że” było dużo więcej. Towarzysz Naczelnik słuchał mnie, coś w swojej głowie rozważał, na koniec wyraził wątpliwość celowości mej podróży. Miał obawy o to, że mój wyjazd może dosłownie „stworzyć zagrożenie dla porządku państwowego”. Musiałem powstrzymać się aby nie parsknąć śmiechem. Kiedyś stanowiłem zagrożenie dla państwa gdy chciałem „obalić przemocą ustrój PRL”.

Zamiast tego powiedziałem Naczelnikowi, że zagrożeniem dla porządku może być samotna podróż dziecka i ewentualne jego zaginięcie. To zdanie okazało się wystarczającym argumentem. Pan Naczelnik Szkopek odesłał mnie do pani Gołębiewskiej, sekretarza gminy, która była w remizie strażackiej i przyjmowała kolejne dary dla powodzian. W remizie piętrzyła się przyzma bezładnie rzuconych szmat. Miała ona wymiary około 8 metrów długości, 5 metrów szerokości i prawie 1,5 metra wysokości. Stara Biała nie jest jedyną gminą w województwie płockim.

Jeżeli w innych remizach piętrzą się takie hałdy, to ukazują one rozmiar draństwa.

Ponawiam pytanie – komu miało to służyć?

Pani sekretarz wystawiła mi odpowiednią przepustkę. Gdy szykowałem się do drogi, drzwi otworzyły się i stanęła w nich Gosia we własnej osobie. Pierwszy raz w domu od czasu wyjazdu do szkoły. Poradziła sobie z podróżą i przesiadkami. Niewiele brakowało abyśmy się minęli.

Zdalnie sterowana powódź osiągnęła takie skutki, jakie były potrzebne propagandzie. Wielu ludzi obawiając się represji, lub nie widząc perspektywy życia i pracy we własnej ojczyźnie uciekło za granicę. Na emigrację zdecydowali się przeważnie ludzie energiczni, przedsiębiorczy, odważni i wykształceni, pogłębiając tym samym katastrofalną sytuację gospodarczą. Niedobitki opozycji zeszyły do podziemia. Kraj pogrążył się chaosie, apatii i zniechęceniu. Obawiano się ingerencji wschodniego opiekuna, ale tam również zaczęły się przemiany na tle kryzysu polityczno – gospodarczego. Poza tym Stany Zjednoczone wcześniej ostudziły zapal Krempla do udzielenia bratniej pomocy. W takiej atmosferze przeżyliśmy Święta i zaczęliśmy rok 1982.

WRON przez 2 lata rządziła krajem przy pomocy pałek i czołgów. Patrole ZOMO bezkarnie grasowały dniem i nocą legitymując, kontrolując i tłukąc bez potrzeby wszystkich, którzy im się napatoczyli. Wiadomo, władza jak woda sodowa, uderza do głowy.

Obie moje córki wybrały się po Nowym Roku do Starej Białej na dyskotekę. Młodzież zawsze chce się bawić. Bawiła się również podczas okupacji i żadne Gestapo czy policja w tym nie przeszkadzało. Skoro mieli zezwolenie władz, to wszystko było zgodne z prawem, ale prawa w PRLu były pisane palcem na wodzie. Zgodnie z nimi władza mogła robić co chce. Znane są masakry z Poznania, Katowic, Wybrzeża, gdzie do ludzi strzelano z karabinów maszynowych, a potem nocą w tajemnicy grzebano poległych i do dzisiaj nie wiadomo gdzie są te mogiły. Znane są zbrodnie popełniane na działaczach opozycyjnych i ich rodzinach. Ofiary liczyły się w setkach, ale oprócz zbrodni nagłośnionych, wiele popełniano w tajemnicy i nikt się o nich nie dowiedział. W naszym zakładzie pracy ktoś włamał się nocą do kasy i skradł pewną sumę pieniędzy. Milicja, idąc po najmniejszej linii oporu, aresztowała kasjerkę.

Pani Basia była żoną oficera marynarki handlowej. Mąż ciągle w rejsach, a ona opiekowała się domem i małymi dziećmi, pracując przy tym zawodowo. Nie była specjalnie urodziwa, brunetka, trochę puszysza, lat około 40 – stu.

Podobno każda kobieta ma swój urok. Urok pani Basi polegał na wielu zaletach jej charakteru. Była bardzo sympatyczna, miła i bezpośrednia. Wszystkich uważała za kolegów i tak ich traktowała. Nie wahała się pożyczyć własnych pieniędzy, jeżeli ktoś był w potrzebie. Kiedyś, przez pomyłkę, wydając mi kartki na żywność i talony na cukier otrzymałem o 2 kupony mniej. Gdy wróciłem do kasy zgłaszając pomyłkę, pani Basia odcięła kilkanaście kuponów i dała mi je mówiąc: „masz i nie płacz”. Ona nam wszystkim mówiła na ty. Parę dni po aresztowaniu znaleziono jej ciało na torach kolejowych. Miała liczne ślady uderzeń. Milicja oświadczyła, że pani Basia została zwolniona z aresztu z powodu braków dowodów winy, a popełniła samobójstwo wyskakując z pociągu kolejki miejskiej. Nikt oczywiście sprawy

nie badał. Prokurator jak zwykle w takich przypadkach dochodzenie umorzył. Nieoficjalnie wszyscy byliśmy zgodni co do tego, że panią Basię zabito podczas przesłuchania i ciało wyrzucono z pędzącego pociągu aby zamaskować obrażenia. Były to ogólnie znane praktyki.

Stasiek Zieliński, mechanik z którym pracowałem kiedyś w Karlinie, opowiadał mi o podobnym przypadku swojej szwagierki. Młodsza siostra jego żony była panną dwudziestoparoletnią. Aresztowano ją pod zarzutem kontaktów z grupą przestępczą. Podczas przesłuchania dziewczynę zabito, podając rodzinie jakąś fikcyjną przyczynę zgonu. Ciało wydano, ale w zalutowanej metalowej trumnie, podobnie jak żołnierzy z batalionów górniczych, których w czasach swej służby własnoręcznie wyprawiałem w ostatnią drogę do mamy. Teść Staśka widział ciało swej córki przed zaplombowaniem trumny. Udało mu się niezauważenie dostać na moment do prosektorium. Ślady pobicia były wyraźne, miała nawet połamane palce.

Ile takich wypadków mogło wydarzyć się w skali kraju?

W Płocku na cmentarzu jest kwatera, gdzie grzebie się ciała nieznane. Kopiec surowej ziemi, bez kwiatów, szarf i wiązanek. Tylko zwykły drewniany krzyżyk i tabliczka z literami NN. Nikt się nigdy nie dowie w jakich mogiłach leżą ofiary tamtych lat ; zresztą starych nikomu niepotrzebnych mogił już nie ma.

Gdy młodzież bawiła się w remizie w Starej Białej, nagle podjechał duży operacyjny samochód wypełniony inną młodzieżą. Byli to tacy sami młodzi chłopcy, ale ubrani w mundury ZOMO i uzbrojeni w długie pałki. Pałkami tymi tłukli na oślep, gdzie popadło bawiącą się młodzież, bez względu na to czy była to dziewczyna czy chłopak.

Tłum zaczął uciekać do wyjścia. Moja Grażyna chwyciła za rękę Gosię i pociągnęła w środek gromady. Tam pałki już nie sięgały, ale dantejskie sceny jakie widziała, zapamiętała do dzisiaj. Dzieci bite, przewracane i tratowane. Zakrwawione twarze i dziewczynę, której pękł od uderzenia policzek.

Co można powiedzieć o zomowcu, który wyrządził jej taką krzywdę? Czy jest to człowiek i mężczyzna? Czy jest to zwykle bydle wychowane w komunistycznych stajniach Augiasza, w których produkowało się sforeę bez żadnych zasad moralnych?

Takie to były wizytówki władzy, która za wszelką cenę chciała utrzymać się przy korycie. W kraju brakowało wszystkiego. Nawet PGRy, które były oczkiem w głowie systemu, które do tej pory otrzymywały nieograniczone dotacje na maszyny, samoloty, środki chemiczne, paliwa, teraz nie miały nawozów, części zamiennych i innych produktów niezbędnych do prowadzenia gospodarki. PGRy nie podpisywały umów czarterowych, a my nie mieliśmy pracy.

Obecnie, w czasach Rzeczypospolitej numer 3,5, zlikwidowano by niepotrzebne zakłady, a pracowników wyrzucono by na bruk. Obecnie nawet kurę co niesie złote jajka oddaje się za bezcen w obce ręce, nazywając ten haniebny proceder prywatyzacją. Daleki jestem od chwaleń systemy gospodarki PRLu, ale rzeczy nazywam po imieniu. Draństwo komunistyczne, czy kapitalistyczne – wolnorynkowe jest podobne. Jedno i drugie oparte jest na zakłamaniu, wyzysku i bezprawiu. Jedno i drugie dzieli ludzi na równych i równiejszych. Nas na bruk nie wyrzucono. Władze zdawały sobie sprawę, że wyszkolenie i przygotowanie do pracy pilota jest procesem długim i złożonym. Lepiej więc przeczekać zły czas, ponieważ w urzędach pracy nie znajdzie się zapaleńców z odpowiednim doświadczeniem. Czekaliśmy więc na urlopach lub wykonując prace zastępcze w Państwowych Zakładach Lotniczych Warszawa Okęcie. Ja siedziałem w domu do maja. Otrzymywałem pensję zasadniczą, bez delegacji, ryczałtów i dodatków, bez dopłat za wykonaną pracę, ale za to pierwszy raz od lat mieszkalem w domu z rodziną.

Żona pracowała w Instalu, córka Grażyna uczyła się do matury, a ja zajmowałem się domem. Nauczyłem się nieźle gotować. Początkowo pomagała mi w tym książka kucharska, potem smak i wyczucie. Przez kilka miesięcy moje dziewczyny miały na czas przygotowany obiad. Do kompletu brakowało tylko Gośki, która w tym czasie kończyła I klasę. Przeważnie raz w miesiącu jechaliśmy do niej do Koszalina, zawożąc Góreckim należność za stację i coś w naturze jako podziękowanie za gościnę. Pracę rozpocząłem dopiero w maju. Skierowano mnie do czarteru Debrzno. Znałem tę miejscowość z czasów mojej pierwszej praktyki. Niewiele się tam zmieniło od tamtej pory, tylko kwaterę załogi przeniesiono z bloków

do ładnego domku jednorodzinne stojącego w ogrodzie wśród drzew i kwiatów. W sąsiednich podobnych domach mieszkali dyrektorzy oraz kierownicy wydziałów gospodarstwa rolnego. Często ktoś z sąsiadów przychodził na kwatere porozmawiać i wypić szklaneczkę herbaty. Tutaj poznałem byłego kapitana, który został zwolniony z wojska i zdegradowany za to, że podczas wizyty Papieża Jana Pawła II zrobił kilka zdjęć i sprezentował je kolegom. Zarzucono mu kolportaż wrogiej propagandy. Mechanik, z którym pracowałem w Debrznie, Mietek Nowaczyk opowiedział mi wiele swych przeżyć z dzieciństwa i wczesnej młodości. Urodził się w ostatnim roku wojny na terenach ZSRR, był więc o 10 lat młodszy ode mnie. Matka jego była Rosjanką a ojciec polskim żołnierzem. Po zakończeniu wojny, ojciec jako Polak pozostał w kraju. Władze sowieckie nie zezwoliły żonie z małym dzieckiem na zmianę obywatelstwa i wyjazd do Polski. Mietek w bardzo trudnych warunkach chował się pod opieką matki. Nie było co jeść, nie było mleka dla dziecka ani opału do ogrzania zimnego mieszkania. Gdy poszedł do szkoły musiał zostać pionierem, a potem komsomolcem. Pod wpływem matczynej opowieści, jako młody chłopiec zapragnął poznać ojca. Odezwała się też połowa polskiej natury. Mietek poczuł się bardziej Polakiem niż Rosjaninem. Skończył technikum mechaniczne o specjalności lotniczej. Jego starania o paszport i odwiedzenie ojca przysporzyły mu wielu kłopotów, zwłaszcza, że deklarował się jako Polak. Władze postanowiły go złamać. Wysłano go do pracy na dalekiej Syberii.

Za upór został aresztowany, w ten sposób ominęło go wojsko. W więzieniu zabrano mu krzyżyk, ponieważ symbole religijne były w sojuszu zakazane. Gdy powiedział strażnikom, że Pan Bóg ich ukarze, oni ukarali jego. Mietek powiedział mi, że nie chciałby drugi raz tak dostać jak wtedy. Pisał prośby do władz wyższych aby pozwolono mu zobaczyć się z ojcem. W końcu jego życzenie zostało spełnione. Po przyjeździe do Polski natychmiast zaczął starać się o obywatelstwo. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Ambasada ZSRR doszły do porozumienia i obywatelstwo polskie zostało mu przyznane. Odpowiedni akt nadania wręczono mu uroczyście w ministerstwie. Wkrótce Mietek ożenił się i zamieszkał w Aleksandrowie Kujawskim.

Pracowałem z nim w kilku czarterach. Był on człowiekiem sympatycznym i bardzo koleżeńskim, mówił z wyraźnym ruskim akcentem i nie stronił od kieliszka. Jego żona Zenobia była kobietą mądrą, taktowną i opanowaną. To ona pierwsza zasugerowała mi abym swoje przeżycia opisał. Czasami gdy przyjechała do męża w odwiedziny spędzaliśmy wieczór przy herbacie. Mietek opowiadał o swoich przeżyciach a ja o swoich. Pani Zenia z dużym zainteresowaniem słuchała naszych życiowych przygód. Stwierdziła, że są w dużej mierze podobne i obaj mamy zdolności gawędziarzy.

Jej opanowanie, takt i mądrość wynikały między innymi stąd, że potrafiła zająć się mężem gdy był w stanie niedyspozycji po spożyciu paru toastów ponad miarę. Mietek lubił sobie wypić, kto zresztą nie lubi, ale nie zawsze wiedział kiedy przestać.

Nigdy się nie awanturował, nie był agresywny, wręcz przeciwnie. Czasem przypominały mu się jakieś krzywdy których doznał od życia, czasem rodzice i surowe samotne dzieciństwo. Skraplały mu się wtedy uczucia albo ponosiły tłumione nerwy. Często w takich momentach dawał wyraz swojej miłości do żony i córki.

Dzwonił do domu, coś paplał do słuchawki a Zenia zawsze potrafiła go uspokoić, chociaż wiem, że również była zdenerwowana, bo życie z pijanym mężem nie jest łatwe ani przyjemne.

W pierwszych dniach czerwca rozpoczęła się następna akcja lasy. Wylęgło się nowe pokolenie brudnicy mniszki i trzeba było wydać mu wojnę.

Latałem w tym samym rejonie co zeszłego roku. Z wojskowego lotniska w Przechlewie operowały 3 samoloty AN-2, każdy w swojej strefie i każdy dla innego nadleśnictwa. Mieszkaliśmy znowu w hotelu w Chojnicach, stołowali się „Pod Rybką” i utrzymywali towarzystwo ze znajomymi kelnerkami. Tylko teraz było nas sześciu.

Ja latałem z zastępcą szefa mechaników panem Jurkiem Szyłke. Mirek Błachuta latał w drugiej załodze z pilotem Jerzym Domańskim, przezywanym Korniszonem z powodu niskiego wzrostu. Trzecią załogę stanowili pilot Roman Dryja z mechanikiem Kaziem Kulakiem. Praca nad lasami i jeziorami południowych Kaszub trwała do końca czerwca. Przebiegała sprawnie, planowo i bez większych przygód, jeśli nie liczyć drobnych przypadków, bez których latanie byłoby nudne. Pewnego razu wiatr zniósł

smugę trującej mgły nad wodę zatoki jeziora i ryby w tym miejscu się potruły.

Szkoda ryb, ale to nie była moja wina. Podczas pracy z chemikaliami o wypadek nietrudno. Po zakończeniu akcji koledzy wrócili do swych czarterów, a ja do Gdańska. W lipcu przeszkolono mnie na typ samolotu PZL-101AS. Była to wersja Kruka wyposażona w duży silnik (od ANa), typu ASz-62 o mocy 1000KM. W ten sposób zwiększył się udźwig samolotu, ale też zmieniły się inne jego parametry i właściwości pilotażowe, dlatego wymagane było szkolenie jak na nowy typ.

Dla mnie praca w sezonie 1982 praktycznie się skończyła. PGRy nie otrzymywały zamówionych nwozów do jesiennych wysiewów i połowa samolotów poszła na stojanki, a załogi do domu. Tylko mechanicy mieli co robić przy naprawach, czynnościach okresowych i konserwacji maszyn.

Mirek Błachuta pracował z Korniszonem w czarterze Wytowno koło Ustki. Do morza mieli zaledwie 4 km, na Bornholm 130 km, a do Szwecji 200. Jedna godzina lotu do innego świata. Około godziny 6 przyjechał na lądowisko Mirek i oświadczył dozorczyńni, że musi przygotować samolot do ранnej pracy i dokonać oblotu technicznego.

Zatankował ANa do pełna i po rozgrzaniu oraz próbie silnika odkołkował na koniec lądowiska ustawiając się do startu. Tutaj do samolotu weszli umówieni pasażerowie. Przyjechali dwoma samochodami, żona Mirka z dwiema małymi córkami, mechanik z naszego oddziału Henryk Prokop z żoną i synem, oraz ich przyjaciel z rodziną.

W sumie było 12 osób. Wystartowali około 6:30 kierując się na północ. Lecieli nisko nad wodą aby nie wysledziły ich radary. Gdy za godzinę na lądowisko przyleciał pilot oni byli już daleko nad morzem. Należało zgłosić uprowadzenie samolotu. O tym, że była to ucieczka do wolności dowiedzieliśmy się z szwedzkiego radia i Wolnej Europy. W ten sposób wyjaśniła się zagadka do czego potrzebna była Mirkowi sztuka pilotażu ANa. W ucieczce tej i ja miałem swój skromny udział ponieważ nauczyłem Mirka zasad sterowania. Sterowanie jest tylko jednym z elementów umiejętności latania. Po starcie nasuwa się pytanie – co robić dalej?

Nie wiem, czy mieli ze sobą mapy i pojęcie o nawigacji. Bałtyk w kierunku północnym ciągnie się 300 kilometrowym korytarzem na przestrzeni ponad 1000 km.

Kończy go Zatoka Fińska i Botnicka, ale takiego zasięgu Antonow nie posiada. Na domiar złego zagubili się we mgle. Po kilku godzinach błędzenia dolecieli na resztkach paliwa do lądu. Niewiele brakowało a wyprawa zakończyła by się tragicznie. Państwo szwedzkie zaopiekowało się zbiegami i żaden z nich do kraju nie wrócił. Powrócił tylko Antek, którego sprowadził wysłany specjalnie pilot.

Ja w tym czasie spędzałem w domu urlop. Grażyna ukończyła Małachowiankę i rozpoczęła pracę w gminie jako referent pomocy socjalnej. Gosia otrzymała promocję do klasy II Liceum Plastycznego i wypoczywała na zasłużonych wakacjach.

Dom nasz wypełniała młodzież. Jest to przywilej lat, w których nie ma się jeszcze obowiązków rodzinnych, a nie jest się już dzieckiem. Dorastało kolejne pokolenie młodzieży bez perspektyw na przyszłość, w kraju szalejącego chaosu i anarchii, pogrążonego w letargu i ruinie gospodarczej, pełnego zamieszek przeobrażających się w otwarte walki uliczne w których padali zabici i było wielu rannych.

Władza gnijącego systemu prowokowała strajki i demonstracje aby mieć pretekst do dalszych represji. W sklepach nadal brakowało wszystkiego. Po kartkowy przydział mięsa ludzie stali nocami w długich kolejkach ponieważ nie dla wszystkich wystarczało. Podobnie było z innymi artykułami spożywczymi i przemysłowymi.

Artykuły gospodarstwa domowego, obuwie, odzież, sprzęt elektroniczny, wszędzie obowiązywały kolejki, zapisy na listy i talony. W tym samym czasie w Słupsku spłonęły magazyny wypełnione poszukiwanymi na rynku towarami. Nie wiem, czy był to wypadek czy celowe podpalenie aby ujawnić kulisy polityki. Ile było takich magazynów wie tylko Pan Bóg i partia. Stany Zjednoczone zastosowały wobec PRL sankcje gospodarcze polegające na wstrzymaniu sprzedaży artykułów rolnych.

Fakt ten był dla władzy partyjno – rządowej kolejnym pretekstem do eskalacji restrykcji wewnętrznych i wzmożonej propagandy politycznej. Z przykładami takiej działalności spotkałem się osobiście i opiszę je na następnych stronach. Teraz przedstawię inny rodzaj nieudolnych i groteskowych sy-

tuacji. Władza ludowa i wpadła na koncept, aby rolnikom hodującym świnie umożliwić zakup towarów przemysłowych, a przy okazji wyciągnąć od nich ciężko zarobione pieniądze. Za odstawioną trzodę chlewną chłop otrzymywał w gminie zaświadczenie na podstawie którego mógł dokonać zakupów na ściśle określonej sumie. Tak się złożyło, że mój teść prowadził hodowlę tuczników i 2 razy do roku odstawiał do punktu skupu setkę świń. Rolnika zawsze nabijano w butelkę drwiąc sobie z niego w żywe oczy. Za tony odstawionego żywca oferowano mu pralkę lub telewizor. Zupełnie jak powodzianom rower, gdyby jeszcze kajak, to może bym zrozumiał. Chłopi tej łaski nie potrzebowali, ale zawsze znalazł się ktoś kto talon wykorzystywał. Pan Rysiek, kolega z pracy mojej żony, poprosił ją aby wzięła od swego ojca takie zaświadczenie. Sprawa się nieco skomplikowała ponieważ talony za rok 1982 zostały już wykorzystane. Teść odstawił kolejną partię świń po nowym roku, ale ustawa prawna na ten rok jeszcze nie została przedłużona.

Gmina wydała zaświadczenie o odstawie żywca w formie zwykłego maszynopisu.

Tymczasem obowiązywał druk urzędowy z odpowiednim numerem do zaksięgowania. Podobne karykatury prawne i absurdy biurokratyczne mogli wymyśleć tylko urzędnicy przyśrubowani do swych stołków. Teraz też tak się dzieje bo chociaż zmieniła się nazwa to pod nowym szyldem działa stara biurokracja rodem z PRLu. Pan Rysiek w sklepie meblowym zakupił na podstawie tego zaświadczenia meble do pokoju gościnnego. Kasjerka w najlepszej wierze odnotowała nieszczerne zaświadczenie w specjalnej księdze i nikt niczego by się nie dopatrzył, gdyby wpisała jakiś numer. Rubryka w tym miejscu była pusta i to zwróciło uwagę kontroli. Na konto tego samego zaświadczenia żona kupiła sobie do pracy małe radio tranzystorowe.

Nazywało się Biwak, czy jakoś tak podobnie. Stało to urządzenie na oknie i brzęczało. Potem spadło i się potłukło. Żona obwiązała je sznurkiem i brzęczało nadal. Komisja odnalazła zaświadczenie i stwierdziła przestępstwo. Aresztowano całą szajkę, czyli jak to się mówi językiem prawniczym, grupę przestępczą.

Teścia za to, że wyhodował świnie i tym sposobem zasilil dewizami państwową kasę. Pana Ryśka za to, że za własne uczciwie zarobione pieniądze kupił sobie meble do domu. Żonę za pośrednictwo w przestępstwie, wzięła pismo od ojca i oddała koledze. Natomiast kasjerce, jako głównej sprawczynie przestępstwa, postawiono wszelkie możliwe paragrafy. To nic, że były one nieprawdziwe. PRLowska dewiza głosi: „dajcie człowieka a paragraf się znajdzie”. Specjaliści od paragrafów zdawali sobie sprawę z faktu, że na wadze czerwonej Temidy praktycznie nie ma nic.

Jak ukarać chłopca za to, że oddał kontyngent, albo robotnika, że za własne pieniądze kupił kartkowy przydział. W tych dniach objęto ustawą również transakcje zawarte w roku bieżącym. W czym więc problem? Za takie rzeczy nawet hitlerowcy nie karali. Aby zachować pozory należy koniecznie położyć coś temidzie na wadze. Dlatego uparli się wymusić zeznania przyznające się do korupcji.

Czego w zamian żądaliście? Co wam obiecał? Co otrzymaliście?

Takimi pytaniami nekali przesłuchiwanym straszac ich i ubliżając. Chamskie, wulgarne i ordynarne słowa kierowali do ludzi, którzy niczym na nie nie zasłużyli.

Czy pani wszystkie usługi robi po koleżeńsku i na ładne oczy? Jak ci kurwa dam w dupę to od razu się przyznasz!

W tej sytuacji żona nie wytrzymała nerwowo i popełniła błąd. Przyznała się do tego czego nie popełniła. Myślała, że cham da jej spokój gdy powie, że pan Rysiek obiecał zawieść ją przy okazji do córki do Koszalina. Śledczy natychmiast obliczył koszt taksówki do Koszalina i z powrotem i taką sumę określił jako łapówkę. Teścia po przesłuchaniu zwolniono gdyż nie dało się określić łapówki pomiędzy ojcem a córką.

Nawet sąd nie wiedziałby kto komu i za co miałby płacić. Żonie i panu Ryśkowi zagrożono procesem i wypuszczono. Zarekwirowano mu zakupione meble. Natomiast kasjerkę zamęczono. Biedna kobieta nie wytrzymała presji i podobno zmarła na serce w celi aresztu. Pozostawiła męża i kilkuletniego małego syna. Zbrodniczy system tworzył zbrodnicze prawa i zbrodniczych wykonawców. Sprawa ciągnęła się parę lat. W końcu zastosowano przepis o amnestii i umorzona ją.

Kilka dni temu czytałem w gazecie, że pewnej osobie wytoczono proces sądowy za 2 grosze niezapłaconego podatku. To jest dowód na mą tezę, że zmienił się tylko szyld.

Pierwszego kwietnia, na imieninach Grażyny, spotkało się grono jej przyjaciół. Żona upiekła jakiś sernik, ja postawiłem butelkę wina własnego wyrobu, do tego kawa, herbata i miła atmosfera. Około godziny 21 odchodzi ostatni pociąg do Płocka. Czas było zakończyć wieczór towarzyski i pożegnać się. Kilka osób było z Proboszczewic.

Ci wyszli wcześniej. Za nimi udali się na stację kolejową 3 koledzy. Na końcu szła para przyjaciół, Andrzej Pniewski i Wioletta Gralak. Gdy trójka chłopców weszła na stację podążająca za nimi para dochodziła do szosy. W tym czasie jechał radiowóz milicyjny. Milicjanci widząc dwoje młodych ludzi zatrzymali się i zażądali dokumentów. Andrzej wylegitymował się, ale Wioletta zostawiła u nas swoją torebkę z całą zawartością. Wykonując polecenie władzy chłopak przybiegł do nas do domu i w dwóch zdaniach powiedział co się stało. Wróciwszy na szosę nie zastał radiowozu ani koleżanki. Wioletta była bardzo ładną dziewczyną i Andrzej zdawał sobie sprawę co jej może grozić ze strony mundurowych opryszków. Nie tracąc zimnej krwi, rozsądku i czasu szybko zadzwonił z telefonu stacyjnego na posterunek MO w Płocku i powiedział o zajściu. Nadjechał pociąg i cała 4 udała się w drogę powrotną.

Tymczasem patrol wojenny, podległy radzie od ocalenia narodowego wywiózł dziewczynę w pola i postanowił zgwałcić. Czy gwałt nie zakończyłby się zabójstwem dla zatarcia śladów? To było bardzo prawdopodobne. Patrol składał się z kierowcy milicyjnej Nysy i funkcjonariusza z psem. Nyska zatrzymała się na bocznej drodze, kierowca wysiadł, a jego towarzysz przystąpił do ataku na przerażoną dziewczynę.

Porwał na niej sukienkę i bieliznę. Biciem chciał zmusić ją do uległości. Pies widząc swego pana w akcji rzucił się mu na pomoc. Kagańcem uderzył ją w twarz, rozcinając łuk brwiowy. Rana silnie krwawiła, ale napastnik nie zwracał na to uwagi.

Powalił ją na podłogę i usiłował rozewrzeć uda siniacząc przy tym jej prawie nagie ciało. Wioletta broniła się dzielnie, ale była bez szans wobec silnego mężczyzny.

Wtedy właśnie zadzwonił radiotelefon. Napastnik zmusił ją do milczenia a sam zgłosił się na wezwanie. Komendant musiał znać swych orłów i wiedział do czego mogą być zdolni, dlatego nie zbagatelizował zawiadomienia o uprowadzeniu. Z radia padło pytanie „Co zrobiliście z dziewczyną zabraną z Proboszczewic?”

„Odwieźliśmy ją do koleżanki u której była na imieninach”

Nie wiem czy komendant był tak naiwny aby uwierzyć w te kłamstwa, ale dalsze usiłowanie gwałtu stało się niemożliwe. Milicjant kazał się Wioletcie ubrać i obmyć zakrwawioną twarz. Domyślił się kto zawiadomił komendanta. Świadka należało uciszyć przez zastraszenie. W tym celu, na wyścigi z pociągiem, pośpieszyli na stację. Pociąg akurat wjeżdżał na peron. Ze zdziwieniem zobaczyli, że świadków było 4. Wypuścili Wiolettę i kazali odprowadzić ją do domu i nikomu nie mówić nic o incydencie. Spisali dane personalne chłopców, strasząc ich, że za szkalowanie władzy będą odpowiadać przed sądem. Na drugi dzień Grażyna pojechała do koleżanki zapytać co się stało. Zastała ją jeszcze w szoku, całą posiniaczoną i ranną. Matka Wioletty, pani Gralakowa, bała się i nie wiedziała co robić. Sprawą zajęła się moja żona. Jeszcze tego samego dnia poszła z dziewczyną do lekarza sądowego w celu dokonania obdukcji.

„Tylko nie mów Wioletto, że zrobili ci to milicjanci” – pouczyła ją.

Lekarz opisał obrażenia stwierdzając usiłowanie gwałtu. Następny etap to zgłoszenie do prokuratury. Tutaj sprawa nie poszła tak gładko. Prokuratora bardziej niż rozbój interesowało, dlaczego żona interesuje się tą sprawą. Najpierw próbował zajście bagatelizować, następnie nadać mu znamiona oszczerstwa władzy na tle politycznym. W końcu postanowił przesłuchać świadków i doprowadzić do konfrontacji. Wioletta od razu rozpoznała gwałciiciela wśród okazanych jej osób. Milicjant zaprzeczył wszystkiemu według zasady: „gdy złapią cię za rękę, mów, że to nie twoja ręka”

Cynicznie oświadczył, że była pijana i sama się im narzucała. Zabrali ją dlatego, że pijanej nie mogli zostawić w nocy na szosie. W radiowozie była agresywna i zachowaniem swym sprowokowała

psa. Na nic zdały się obdukcje, świadkowie, fakty. Prokurator sprawę umorzył. Oni byli bezkarni. Nie wiadomo ile podobnych spraw mieli na swoim sumieniu, ale myślę, że byli pod tym względem doświadczeni i wiedzieli, że nikt im niczego nie zrobi.

Pracy dla wszystkich nie było nadal. Siedziałem w domu będąc do dyspozycji ZUA. Sporadycznie wzywano mnie do Gdańska i powierzano wykonanie różnych bieżących zadań. Dwa dni latałem w Pruszczu, kilka dni w czarterze Kurowo, odprowadzałem samoloty do Warszawy, Olsztyna, Gdańska. Przez kilka dni zamgławiałem lasy koło Wielunia i przygotowywałem się do następnej akcji zagranicznej. Wykonałem badania lekarskie dopuszczające do pracy w tropikach, oraz szczepienia ochronne przeciwko ospie, cholercie i febrze. Najbardziej zagrożeni byliśmy malarią, ale na tę chorobę szczepionki nie było. Podobnie strzec się należało ameby i kilku innych chorób, które można było otrzymać gratis w Afryce. Wykonałem loty wprowadzające do akcji i czekałem. Lecieć miałem do Republiki Mali na czarnym łądzie, ale sprawa kontraktu i wylotu się przedłużała. W końcu maja wysłano mnie do Olsztyna na mgławienie tamtejszych lasów. Latałem z lotniska Dajtki. Znałem to lotnisko z ubiegłych lat, z okresu szybowcowych spacerów wśród chmur i studiów. Obecnie na jego drugim krańcu, od strony jeziora Ukielskiego była baza Olsztyńskiego Oddziału ZUA.

Pobudowano nowy budynek administracji i kierownictwa, duży hangar oraz szereg małych domków uroczym rozmieszczonych pośród drzew lasu leżącego między lotniskiem a jeziorem. Mieszkałem w jednym z tych domków. Śniadania i kolacje organizowałem sobie na miejscu z zakupionego prowiantu, na obiad jeździłem do miasta. Loty odbywały się rano i pod wieczór. Pracowałem na Aszokruku o znakach SP-WBA. Dnia 3 czerwca 1983 przeżyłem kolejną przygodę, która zakończyła się szczęśliwie tylko dzięki opiece Matki Boskiej. Technologia zabiegu mgławienia polega na tym, że ciecz robocza wydostaje się na zewnątrz przez wirujące bębny, które rozbijają ją na mgłę. Wydatek cieczy na 1 hektar wynosi tylko 2 litry. Skutkiem tego lot trwa około 1,5 godziny. Około 8 wystartowałem do 2 lotu w tym dniu.

Po kilkunastu minutach stwierdziłem, że coś grzeje mnie w plecy. Fotel pilota, tylna ściana kabiny i przylegające do niej części były gorące. Ja sam czułem się źle. Myślałem, że moje samopoczucie jest powodem wysokiej temperatury panującej w kabinie oraz dziwnego ogrzewania. Skąd ciepło z tyłu? Po stanowilem przerwać lot.

W tym czasie na lotnisku zaczęły latać szybowce i samoloty aeroklubu. Zgłosiłem przez radio do zwiadowcy, że mam awarię i chcę lądować z prostej nad lasu. Normalnie obowiązywałyby mnie krąg nadlotniskowy i lądowanie w wyznaczonej kolejności z zachowaniem procedury i łączności. Zwiadowca wstrzymał ruch na lotnisku dając mi zgodę na natychmiastowe lądowanie. Lądowałem w poprzek lotniska w kierunku na jego część północną zajmowaną przez ZUA.

Tam też znajdował się punkt załadowniczy chemikaliów i dyspozytor z nadleśnictwa.

Podchodząc do lądowania czułem, że dzieje się ze mną coś niedobrego. Zdażyłem jeszcze wyrównać przed przyziemieniem i całkowicie ująć gaz. Samolot po wytrąceniu prędkości zatrzymał się sam. Ja straciłem przytomność. Silnik pracował na małych obrotach. Nie wiem nawet gdzie się samolot zatrzymał. Mechanik podbiegł do samolotu, otworzył kabinę i wyłączył silnik. Mnie położono na trawie do przyjazdu karetki pogotowia ratunkowego. Pamiętam, że w pewnym momencie ktoś mną poruszał. Prosiłem, aby mnie nie szarpano i dano mi spokój, potem znowu nastąpiła przerwa w życiorysie. Obudziliśmy się w szpitalu. Nie wiem jak długo byłem nieprzytomny. Okazało się, że odpięła się od kadłuba blacha poszycia tuż przy kolektorze spalin. Skutkiem tego gorące spaliny zamiast wylatywać na zewnątrz zostały skierowane do środka kadłuba i nagrzewały jego wnętrze. Stąd przenikały do kabiny powodując zatrucie. Gdybym stracił przytomność podczas lotu samolot spaliłby się w lesie i nikt nie poznałby nawet przyczyny katastrofy.

Uznano by błąd pilota, jak zawsze w takich przypadkach. Gdybym stracił przytomność podczas lądowania lub na dobiegu przed ujęciem gazu, samolot rozbiłby się o przeszkody na końcu lotniska. Do tego drugiego przypadku brakowało kilku sekund. W podobnym wypadku zginął mój kolega Rysiek. Lecieli grupą na akcję zagraniczną. Na pierwszym odcinku drogi pomiędzy Warszawą a Krakowem kolega odłączył się od grupy i ciasnym krążeniem schodził do ziemi. Z krążenia przeszedł w korkociąg i spalił się w lesie, ja znowu miałem szczęście. Spaliny są silną trucizną. W ten sposób hitlerowcy po-

zbawiali życia więźniów w Palmirach. Spaliny, podobnie jak czad, pozostawiają w mózgu trwałe zmiany. Po zatruciu powinienem poddać się lekarskim badaniom kontrolnym, ale wtedy mój zagraniczny kontrakt zostałby anulowany. W moim interesie leżało zbagatelizowanie spawy i jak najszybszy powrót do pracy. Wieczorem zostałem wypisany ze szpitala na własną prośbę. Rano jak gdyby nigdy nic stawilem się do pracy. W trakcie lotów przyleciał z Gdańska pilot na zastępstwo, ale ja odesłałem go z powrotem, tłumacząc, że nic mi się nie stało i alarm został wyolbrzymiony. W Olsztynie pracowałem do połowy czerwca. Kontrakt w Mali nie doszedł do skutku, natomiast przyszła moja kolej pracy w Państwowych Zakładach Lotniczych na Okęciu. Podczas wakacyjnego urlopu odwiedziłem kolegów na lotnisku Aeroklubu Ziemi Mazowieckiej. W międzyczasie zaszły tu duże zmiany kadrowe. Major Mieczysław Goździński nie wykazał się na stanowisku kierownika.

Po 4 latach pełnienia tej funkcji został odwołany, a jego miejsce zajął Andrzej Wesołowski, prowadząc z powodzeniem aeroklub przez trudne lata przemian ustrojowych i gospodarczych. Szefem wyszkolenia został Edzio Połoński a instruktorami Leszek Lange i Sławka Piątek. Aeroklubem zarządzali moi niedawni uczniowie. Na lotnisku wykonałem na szybowcach kilkanaście lotów potrzebnych do przedłużenia ważności licencji.

Z dniem 15 września rozpocząłem z grupą kolegów pracę na produkcji. Zakwaterowano nas w hotelu przy ul. Częstochowskiej. Stąd tramwajem, ulicą Grójecką i aleją Krakowską dojeżdżało się na Okęcie. Moja praca polegała na obsłudze dużej walcarki do produkcji stalowych taśm nośnych. Innych kolegów zatrudniono w różnych wydziałach fabryki. Na terenie zakładu czynne były kioski i sklepy spożywcze. Korzystać z nich mogliśmy bez ograniczeń, kontaktując się ze sobą w miarę potrzeb i chęci. Pracowałem pod fachową opieką specjalisty, który pracował obok na walcarce innego typu i wykańczał taśmy wstępnie obrabiane przeze mnie. Nie żądano od nas wykonania wysokich norm ani wyścigu pracy. Od maszyny można było odejść aby coś zjeść lub napić się w kiosku, a nawet odpocząć.

Zwiedziłem inne wydziały i hale montażowe. Przyglądałem się próbom wytrzymałościowym poszczególnych elementów i całych samolotów. Interesowało mnie wszystko – spawanie duralu w atmosferze argonowej, wyłaczanie metalowych części przez potężne prasy, zgrzewanie, hartowanie, czy obróbka automatyczna przez zaprogramowane agregaty. Nie sposób wyliczyć wszystkich czynności technicznych i procesów produkcyjnych. W olbrzymich hangarach stały gotowe Wilgi, Kruki czy Orliki produkowane dla potrzeb szkoleniowych wojska. W socjalistycznym zakładzie produkcyjnym praca wykonywana była na półobrotach, to znaczy, że robotnicy mieli czas na wszystko i żadnym większym tempem się nie przejmowali.

Kioski i sklepy na terenie zakładu zawsze miały klientów. Najśmieszniej jednak wyglądała praca na nocną zmianę. Wystarczyło przyjść na czas i podbić na specjalnym urządzeniu zegarowym kartę pracy. Za godzinę wszyscy szli spać. Nie pracowała żadna maszyna, wygaszano nawet światła i tak do fajrantu.

W połowie listopada zakończyłem swą przygodę z produkcją samolotów. Na pożegnanie otrzymałem wspaniałą opinię. Kierownictwo wydziału informowało ZUA, że gdyby zaistniała konieczność zatrudnienia pilotów po raz drugi, oni chętnie widzieliby Wiesława Cygańskiego u siebie.

W grudniu odbywał się w Lisich Kątach kurs doskonalący zakończony egzaminami okresowymi KWT i KTP. Przeloty nad morzem wymagały umiejętności w posługiwaniu się kamizelką, łódką i tratwą ratunkową. Szkoleniem tym objęto cały personel latający ZUA. W końcu lata, gdy woda zatoki Gdańskiej była jeszcze niewystudzona, korzystając ze słonecznej pogody, zawieziono nas autobusem do Pucka. Tutaj przesiadliśmy się na statek i wypłynęliśmy na środek zatoki. Nadleciał samolot z naszego oddziału i zrzucił 2 tratwy ratunkowe. Wyglądały one jak duże beczki. Przy uderzeniu o powierzchnię wody osłony odpadły, a tkwiące w ich wnętrzu pontony napełniły się powietrzem. Naszym zadaniem było wyskoczyć ze statku do wody. Posługując się kamizelką ratunkową dopłynąć do gumowej łódki, takiego małego pontonu nadmuchiwanego powietrzem jak materac turystyczny. Tą łódką należało przepłynąć około 100 m i wejść na tratwę. Kilkunastoosobowa tratwa zaopatrzona była w słodką wodę, żywność, środki opatrunkowe i sygnalizacyjne. Jeszcze jedna zabawa i przygoda na pełnym morzu. Zaliczone szkolenie wpisywano nam w dokumentacji osobistej jako dowód posiadanych kwalifikacji. W następnym roku kwalifikacje te poszerzono o następne elementy na kursie w Wyższej Szkole Morskiej w Gdyni.

Zgodnie z postanowieniem konwencji międzynarodowej z roku 1978 o wymogach w zakresie wyszkolenia marynarzy, wydawania świadectw i pełnienia wacht, przeszkolono nas w zakresie technik ratunkowych. Szkolenie kończyło się egzaminem również z umiejętności pływania w zakresie objętym wymogami karty pływackiej. W ten sposób do swych uprawnień lotniczych dołączyłem jeszcze świadectwo marynarskie. Wkrótce czekały mnie dalsze morskie przygody.

Tuż po Nowym Roku 1984 rozpoczął się obóz kondycyjny w Wiśle. Na zgrupowanie pojechałem razem z żoną. Rejon Beskidów znałem z czasów swych pierwszych lotów szybowcowych na Żarze, ale wtedy poza pasmo najwyższych gór Beskidu Śląskiego nie wylatywałem. Szyndzielnia, Klimczok, Skrzyczne, Barania Góra, wszystkie te szczyty mają powyżej 1000 m wysokości. Wisła leży po ich zachodniej stronie. Teraz miałem okazję zobaczyć je z ziemi i z drugiej strony. Miasto Wisła posiada wiele ciekawych zakątków i uroczych widoków, a rzeka Wisła, która stąd bierze początek, trochę inaczej wygląda niż w Płocku. Organizatorzy obozu przygotowali nam wiele ciekawych wycieczek. W Cieszynie zwiedziliśmy zabytki miasta i przejście graniczne przez Olzę. Byliśmy w Istebnej, w Koniakowie w góralskiej chacie – muzeum Kawuloków. Miałem okazję pokazać żonie dawne szybowisko Żar, zaporę wodną Porąbka na Sole, zbocze Magóry po drugiej stronie zalewu Międzybrodzkiego, gdzie kiedyś przeżyłem niezapomnianą przygodę. Po starciu z Żaru, przy pomocy lin gumowych, przeleciałem na drugą stronę zalewu.

Tutaj na południowym stoku Magury znalazłem niewielkie noszenie żaglowe. Dotykając niemal wierzchołków sosen piałem się mozolnie metr po metrze w górę.

W pewnym momencie usłyszałem dziwny krzyk. Jakby echo dolatujące gdzieś z dołu. Ścieżką biegnącą po zboczu szła wycieczka młodych ludzi. Ja byłem zaledwie parę metrów nad nimi. Machali do mnie rękami, a ja w lotniczym pozdrowieniu przechyliłem się kilka razy ze skrzydła na skrzydło i poleciałem dalej. W Wiśle mieliśmy sporo różnych atrakcji. Pewnego dnia oglądaliśmy trening młodych chłopców na małej skoczni narciarskiej. Być może był między nimi przysły mistrz Adam Małyśz. Według wieku wszystko się zgadzało. W niedzielę wybraliśmy się do kościoła na mszę świętą. Duży, okazały kościół mieścił w swym wnętrzu tłum wiernych. Żona poszła na prawo a ja w drugą stronę. Zwróciłem uwagę, że wnętrze jest zbyt skromne jak na kościół rzymskokatolicki. Nie było tu żadnych obrazów ani dekoracji tylko duży krzyż i plansze z jakimiś numerami. Zorientowałem się, że jest to świątynia wyznawców kościoła ewangelickiego. Ostatecznie co za różnica?

Kościół bardziej czy mniej wystrojony służy temu samemu Bogu. A modlitwa?

Kiedyś gdy spodobała mi się dziewczyna westchnąłem „Panie Boże, gdyby kiedyś podobną zapoznać”. I Pan Bóg wysłuchał. Gdy zdawałem egzaminy z matematycznego rachunku prawdopodobieństwa i 4 zdających przede mną oblało, ja wchodząc na salę poprosiłem Pana Boga o pomoc, nie modlitwą, lecz zwykłym zdaniem w myślach. Nie ważne jest miejsce i forma. Ważna jest wiara, tego nauczyli mnie Arabowie. Po mszy, która wyglądała inaczej niż u nas, wróciłem z żoną do hotelu. Na drugą niedzielę znaleźliśmy kościół rzymskokatolicki niedaleko stacji kolejowej Wisła Głębcze. Kościół był mały i ludzi było dużo mniej niż w ewangelickim.

Ale czy to jest ważne?

13 stycznia przypadała 44 rocznica urodzin mojej żony. Wróciliśmy wszyscy z jakiejś wycieczki autokarowej. Była pora obiadu. Na stolówce, na naszym stoliku, stał tort z życzeniami urodzinowymi dla żony. Niespodzianka była całkowita. Posypały się życzenia. Tort zjedliśmy wszyscy, a dla nas została na pamiątkę kartka urodzinowa i miłe wspomnienia. Pozostało jeszcze podziękowanie organizatorom za pomysł, pamięć i zyczliwość. Obraz wspomnień byłby niepełny, gdybym nie wspomniał o przygodach narciarskich. Wyjątkowo narty założyła również moja żona. Nie szusowała oczywiście po zboczach jak wytrawny narciarz, ale na oślej łączce radziła sobie całkiem dobrze – brawo. Pobyt w Wiśle wspominam jako najprzyjemniejszy ze wszystkich pozostałych.

Rok 1984 zaczął się pomyślnie i ciekawie, wkrótce okazało się, że był to rok wielu niespodzianek i ważnych wydarzeń. Po powrocie do domu otrzymałem wezwanie aby stawić się w dyrekcji ZUA w związku z wylotem na akcję agrolotniczą do Syrii.

Należało załatwić jeszcze kilka spraw formalno – urzędowych. Dyrekcja ZUA mieściła się w Zakła-

dach Produkcyjnych na Okęciu, natomiast akcje zagraniczne organizowane były przez Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego „Pezetel”, które mieściło się w alei Stanów Zjednoczonych na warszawskim Grochowie.

Sprawy związane z handlem zagranicznym prowadzić mogły tylko przedsiębiorstwa do tego uprawnione. Pracownicy ZUA musieli zostać oddelegowani do pracy w PHZ

„Pezetel” i z tą firmą podpisać umowy, załatwić paszporty służbowe oraz bilety lotnicze do Egiptu. Nasza ekipa liczyła 18 osób i składała się z 6 pilotów, 6 mechaników, kierownika kontraktu, szefa technicznego, szefa pilotów, lekarza, szefa administracyjnego oraz specjalisty ds. zabiegów chemicznych. Samoloty mieliśmy otrzymać w Egipcie z bazy w Benha. Do Kairu odlecieliśmy samolotem LOTu nocą 27 stycznia 1984 roku. Przed budynkiem portu czekały na nas 2 mikrobusy i dyrektor ZUA pan Ryszard Leja, który tym razem kierował syryjskim kontraktem.

Przełom stycznia i lutego w Egipcie niczym nie przypomina naszej polskiej zimy.

Znikły upały, temperatura wahała się w granicach 20 stopni Celsjusza a niebo często przesłaniały obłoki. Podczas gdy u nas był środek zimy, tutaj panowało przyjemne ciepłe lato. Mieliśmy kilka dni czasu. Mechanicy przygotowywali samoloty do przelotu, a piloci jeździli samochodem po okolicy. Byliśmy nawet w Portsajdzie u Habiego. Luty to okres dojrzewania pomarańczy. Wszędzie było pełno dorodnych, smacznych i tanich owoców. W sklepie gdzie kupowałem pomarańcze zapakowano mi jabłka, były małe i nieapetyczne. Sprzedawca zdziwił się, że ja nie chcę tak luksusowego towaru prosto z eksportu, tylko wolę jakieś tam miejscowe pomarańcze.

Jak miałem mu wytłumaczyć, że w Bolandzie takich jabłek nawet zwierzęta nie chcą jeść, że na drzewach wiszą owoce kilkakrotnie większe i ładniejsze. Natomiast pomarańczy większość dzieci na oczy nie widziały. Raz w roku na Boże Narodzenie przyływał do portu jeden statek z pomarańczami, ale dostać ich w sklepie było prawie niemożliwe. Poza tym owoce te są kwaśne gdyż dojrzewają się w drodze, a nie na drzewach, nie wspominając nawet ile kosztują.

3 lutego o godzinie 10 wystartowaliśmy do pierwszego odcinka niezwyklej 9 dniowej podróży, przez morza, góry i pustynię. Przed startem otrzymaliśmy pieniądze, na rękę, w gotówce za całe 3 miesiące planowanej akcji. Pensja, diety i ryczałt hotelowy. W sumie ponad 3000 dolarów i trochę w funtach syryjskich na pierwsze podrózne wydatki. Od pierwszych chwil podróż była fascynującą i pełną wrażeń przygodą. Start z lądowiska w Benha z wąskiego krótkiego pasa obciążonymi samolotami, podobny był do startu z lotniskowca. Ustawiliśmy się w szeregu, dwa

ANy i cztery Aszo–Kruki. Każdy AN zabierał oprócz paliwa, sprzęt zapasowy i 6 osób.

Kruki załadowano wyposażeniem oraz dodatkowym paliwem w zbiorniku na chemikalia. Pierwsze startowały ANy. Kolejno kołowały na pas i odrywały się na jego końcu. Gdy opadł kurz startował następny. W powietrzu uformowaliśmy szyk i ponad zieloną deltą Nilu ruszyli do Aleksandrii. Następnego dnia pożegnaliśmy Aleksandrię udając się na Cypr do Larnaki. Była piękna słoneczna pogoda, granatowe spokojne morze i błękit nieba. Lecieliśmy na wysokości 2000 m. W dole białe grzywy fal i od czasu do czasu jakiś statek, jak mała łupinka pośród bezgranicznej przestrzeni.

Po 3 godzinach lotu na horyzoncie ukazała się linia brzegowa Cypru. Zniżyliśmy się do 200 m. Z tej wysokości jak na dłoni widać było pomarańczowe sady ciągnące się wzdłuż wyspy. Dowódcą naszej grupy, a zarazem szefem pilotów był kolega z gdańskiego oddziału ZUA instruktor pilot Zbyszek Kudzewicz. Posiadał on wysokie kwalifikacje lotnicze, biegle władał językiem angielskim i w tym języku prowadził korespondencję z kolejnymi portami w lotniczym ruchu kontrolnym. Informacje i polecenia przekazywał nam w języku polskim na ustalonej częstotliwości radiowej.

Oznajmił, że za 5 minut wchodzimy w krąg nadlotniskowy na pozycji z wiatrem, zmieniamy szyk na rozciągniętą kolumnę i pierwsze samoloty lądują z przelotem aby dać miejsce na pasie następnym za nimi. Skośowanie z pasa w kolejności za liderem.

Na stojankach ustawiliśmy się za amerykańskimi wojskowymi samolotami transportowymi. Nigdy takich maszyn z bliska nie widzieliśmy, toteż podeszliśmy aby zaspokoić naszą ciekawość. Samoloty te i helikoptery brały udział w walkach na Bliskim Wschodzie pomiędzy Izraelem a Syrią i Libanem o wzgórze Golan. Obecnie Amerykanie zabezpieczali rozejm pokojowy. W stanie napięcia politycznego

sprzęt wojskowy był strzeżony, a my, bądź co bądź, należeliśmy do bloku komunistycznego. Jeden z wartowników widząc grupę cywilnych osób kręcącą się przy wojskowym Dżambo – dziecie Boeing 747, podszedł do nas i coś zaczął tłumaczyć. Kazio Barszczewski, mechanik z ZUA Szczecin, wysłuchał go uważnie jakby rozumiał każde słowo. Na koniec odpowiedział: „Słusznie przyjacielu mówisz, tylko trochę niezrozumiałym językiem”. Wszyscy wybuchliśmy śmiechem a wartownik machnął ręką i odszedł. Z lotniska udaliśmy się do hotelu. Były tu kompletnie wyposażone apartamenty przystosowane do potrzeb rodzinnych. Apartament taki składał się z kuchni, salonu, osobnej sypialni dla dzieci i osobnej dla rodziców oraz pomieszczeń sanitarnych. W apartamentach takich mieszkaliśmy po 4.

Nie wiem jak to zostało załatwione, ale my z pieniędzy swoich za to nie płaciliśmy, natomiast żywił się we własnym zakresie. W mieście kupowaliśmy produkty żywnościowe i samodzielnie przyrządzaliśmy je w kuchni. Przyzwyczajonym do kartkowych przydziałów w PRLu trudno było uwierzyć w zastaną rzeczywistość, obfitość wszystkiego i stosunkowo niskie ceny. Fundowaliśmy sobie soczyste befsztyki, pieczywa, napoje, owoce. W jednym z olbrzymich supermarketów był ciąg stanowisk z różnymi gatunkami surowego mięsa. Kupiliśmy po kilogramie schabu na kotlety, ale zainteresowała nas leżąca obok słonina. Tutaj nikt jej nie kupował. Sprzedawca zdziwił się, że się o nią pytamy i powiedział, że sprzeda nam ją po 10 centów za kilogram. Rzuciliśmy się jak „głupi do sera”. Taka okazja na co dzień się nie trafia. Braliśmy po 5 kg a sprzedawca zadowolony, że schodzi mu kłopotliwy towar, dokładał gratis całe płyty o ogóle tego nie ważąc. Ostatniemu zabrakło słoniny więc dołożył mu sadło. Mietek Kruchowski, bo na niego trafiło, zdenerwował się.

Gdy sprzedawca zrozumiał, że nie o taki towar mu chodzi, odsunął drzwi dużej chłodni, w której na hakach wisiały rzędami świńskie tusze i odciał tyle słoniny ile Mietek dał rady zabrać. Świat zachodni był nieporównywalny z naszym.

Przepaści tej chyba nigdy nie da się zlikwidować. Słoninę przetopiliśmy na smalec ze skwarkami i zabraliśmy ze sobą do Syrii. W Larnace mieszkaliśmy 4 dni. Ulice miasta, zwłaszcza w dzielnicach willowych, wysadzone były drzewami pomarańczowymi. Dojrzałe owoce spadały na trawniki, ale wstyd je było podnieść skoro na stoiskach, straganach ulicznych i sklepach piętrzyły się prawie za bezcen.

W ogrodach stały piękne domy, a przed nimi samochody jakich się w Polsce nie widziało. Uroku miastu dodawała wielokilometrowa plaża z palmami i portem jachtowym. Za dużym szyldem z napisem „Marina Larnaca” wychodziły w morze pomosty do których przycumowano setki łodzi żaglowych i statków motorowych.

Na dalszą drogę zaopatrzyłem się w pomarańcze i 5 litrowy gąsiorek wspaniałego wina. 8 lutego odlecieliśmy do Latakii. Jest to miasto i duży port morski należący do Syrii. Tutaj zaczyna się Azja. Na Cyprze zafascynowały mnie dziko żyjące flamingi, w Latakii natomiast wielkie ilości strzelistych cyprysów i równie wysmukłe ażurowe konstrukcje budowli. Arabowie lubują się w misternych koronkach i wszędzie potrafią je tworzyć. Nowoczesny budynek portu lotniczego ozdobiony wymyślnymi ornamentami, wysokie minarety meczetów i okalające je tarasy, dawne pałace arystokracji, sprawiały wrażenie kunsztownych plecionek połączonych ze sobą figur i wzorów geometrycznych. Po 2 dniach pobytu w Latakii wystartowaliśmy do Damaszku. Strefę przybrzeżną oddzielało od reszty kraju pasmo górskie. aby je przeskoczyć należało wznieść się na wysokość ponad 1000 m.

Po drugiej stronie gór rozpościerała się pustynia syryjska, ale my lecieliśmy na południe, równoległe do pasma górskiego. Na prawo były sporne tereny Wzgórz Golan i góry Libanu, na lewo dziwne pojedyncze kopce stożków wulkanicznych.

Wyglądały one jak olbrzymie piaskowe babki, którym ktoś dla psoty porobił na wierzchołkach otwory kraterów. Wierzchołki te wznosiły się do wysokości naszego lotu. Był to widok niezwykle i ciekawy. 2,5 godziny lotu z prędkością 180 km/h

Daje odległość 450 km. To tak jakby przelecieć całą Polskę od gór aż do morza. Syria to jedna z pierwszych ludzkich cywilizacji, a jej stolica Damaszek historią swą sięga czasów biblijnego Egiptu. Na ziemi tej do dzisiaj przetrwały ślady pierwotnej kultury. Ruiny miast i świątyń fascynują ogromem i techniką wykonania, a liczą sobie przecież kilka tysięcy lat. Niezrozumiałe są fakty, w jaki sposób pierwotni ludzie mogli dokonać takich rzeczy. Może nie byli tacy pierwotni, a ich technika taka prymitywna jak

nam się wydaje. Widziałem mury obronne starożytnego Damaszku oraz pozostałości po świątyniach. Potężne kolumny dźwigające na sobie łuki i sklepienia praktycznie nie różnią się od dzisiejszych. Na środku pustyni syryjskiej widnieją ruiny starożytnej Palmyry. Było to miasto – państwo zbudowane na terenie kwitnącego kraju. Przecież na pustyni pałaców nie stawiano.

W czasach starożytnych zburzyli je Rzymianie, reszty dokonał czas i pustynia ogarniająca swym zasięgiem coraz większe tereny. Ostatni odcinek trasy z Damaszku do Kamyszli pokonaliśmy 12 lutego. Personel naziemny udał się na miejsce przeznaczenia autokarem, zwiedzając po drodze pozostałości prehistorycznej Palmyry i tereny biblijnego raj. Ziemie pomiędzy Tygrysem a Eufratem stanowiły kiedyś dawną Mezopotamię i były kolebką ludów, które stąd rozpoczynały wędrówki. Ja oglądałem je z wysokości 1000 m

Lecąc od Ziemi Świętej na północny wschód, 600 km ponad piaskami pustyni do zielonej krainy gdzie łączyły się granice Turcji, Iraku i Syrii. Stąd na horyzoncie zobaczyć można było ośnieżone szczyty wysokich gór. W połowie drogi przecięliśmy granatową wstęgę rzeki Eufrat. Miasto Kamyszli położone jest na granicy z Turcją, na dużej równinie urodzajnych ziem. Uprawia się tu wiele roślin spożywczych, ale przeważa pszenica. Celem naszych zabiegów miała być właśnie ochrona pszenicy przed chwastami. Oprysk drobnokroplisty herbicydami powodował oczyszczanie zboża z roślin dwuliściennych zapewniając zbiory przekraczające 70 kwintali z hektara, czyli prawie dwukrotnie więcej niż zbiera się w Polsce. Tak obfite plony możliwe były dzięki urodzajnej ziemi, ale w równej mierze dzięki specyficznym właściwościom klimatycznym.

Znamienną rzeczą jest fakt, że na obszarach wykorzystywanych rolniczo nie rosną żadne drzewa. Nie ma lasów, parków ani nawet sadów. Jak okiem sięgnąć rozpościerają się pola uprawne, wśród których gdzieniegdzie widnieją gliniane lepianki okolicznych wiosek. Ziemia nawodniona obficie w porze deszczowej w jakiś dziwny sposób przechowuje wilgoć przez kilka następnych miesięcy. Zasiane w grudniu zboża wschodzą, kwitną i dorastają bez deszczu. Są bujne i zielone. W kwietniu kłoszą się a w maju dojrzewają pod wpływem prażącego słońca. Podczas miesięcy letnich wegetacja roślin bez wody jest niemożliwa. Ogołocone pola zmieniają się w rozgrzany suchy ugór aż do następnej pory deszczowej. W styczniu zdarzają się przymrozki. W połowie lutego widziałem w przydomowych ogrodach Kamyszli drzewka pomarańczy z pokrytymi szronem owocami, widziałem lód w zbiornikach wodnych i piecyki gazowe w pokojach hotelowych, ale były to ostatnie zimne dni. Od połowy lutego zaczęliśmy regularną pracę nad polami. Poprzedziły ją loty testowe na szerokość smugi i wielkość kropli.

Każdy samolot rozpylał zabarwioną wodę nad wyłożonymi paskami papieru. Następnie paski te przekazywano do laboratorium, gdzie liczono ilość kropelek na 1cm kwadratowy powierzchni, badano równomierność pokrycia oraz procentową zawartość nieprawidłowych, zbyt dużych śladów. Regulowano prawidłowy wydatek cieczy i pracę dysz opryskowych. Gdy wszystkie parametry doprowadzono do zgodności z normami, przystąpiliśmy do zabiegów ochronnych. Z dnia na dzień było coraz cieplej. W oczach rosły zboża i chwasty. Pola opryskane w pierwszej kolejności były czyste. Pozostałe pokryły się żółto kwitającymi roślinami, które wyrastały ponad zboża i je głużyły. Po zabiegach chwast wędły i wysychały a pszenica szybko je przerastała. Poza pracą toczyło się normalne życie. Mieszkaliśmy w hotelu Hadaya w pokojach 2 osobowych. Ja mieszkalem z Jurkiem Domańskim – Korniszonem. Jurek był pilotem wojskowym w stopniu kapitana. Majorów i pułkowników też u nas nie brakowało ale wyższa szarża trzymała się bliżej kierownictwa. Kapitanowie nosa nie zadzierali i woda sodowa do głowy im nie uderzała, byli bardziej koleżeńscy i uczynni. Z Jurkiem zaprzyjaźniłem się już dawno, jedyną jego wadą było to, że zbyt dużo palił. Praktycznie papierosy przypalał jeden od drugiego.

Cały personel akcji składał się z ludzi szczerych, koleżeńskich i sympatycznych. stanowiliśmy po prostu bardzo zgrany zespół bez względu na stanowisko jakie kto piastował. Podczas przelotu zaprzyjaźniłem się z dwoma pilotami: Mietkiem Kruchowskim i Leopoldem Benduskim. Pierwszy był pułkownikiem wojska polskiego i synem pułku z okresu II wojny światowej. Polskim sierotą opiekował się oddział wojska na terenach Związku Radzieckiego. Nie oddali na dalszą tułaczkę po „nie-ludzkiej ziemi” lecz zabrali ze sobą. Z pułkiem Mietek przemierzył szlak wojenny i z pułkiem związał swe życie do czasu ukończenia szkoły oficerskiej i założenia własnej rodziny. Wśród wielu odznaczeń

wojskowych najbardziej cenił niepozorną odznakę syna pułku. Mietek latał w olsztyńskim ZUA, a mieszkała w Warszawie, żona jego była dentystką. Drugi kolega, Poldek Benduski był szefem pilotów w ZUA Szczecin. Namawiał mnie abym przeniósł się z Gdańska do Szczecina, ale ja byłem zżyty z Gdańskiem. Tutaj przyjęto mnie do pracy, tu wyszkolono i tu wszyscy byli mi życzliwi.

Pewnego razu po kolacji wstąpiłem do pokoju, w którym mieszkali obaj koledzy. Był z nimi kierownik kontraktu, a zarazem dyrektor naczelny ZUA pan Ryszard Leja. Panowie spędzali wieczór towarzyski przy rozmowie i butelce Metaxy. Widząc, że przyszedłem nie w porę, przeprosiłem i chciałem wyjść, ale dyrektor Leja zaprosił mnie do towarzystwa mówiąc, że wszystkich zna tylko mnie nie miał okazji jeszcze poznać. Coś trzeba było odpowiedzieć. Nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy, więc odpowiedziałem, że ja znam pana jako swojego kierownika ale pana ojca Wiktora Leję znałem bliżej. Zdaniem tym poruszyłem bardzo czułą strunę. Pan Ryszard swego ojca darzył wielkim szacunkiem i synowską miłością, był ciekaw skąd znałem jego tatę.

Pan Wiktor Leja był rzeczoznawcą KCSP i opiekował się sprzętem w Aeroklubie ZM Płocku. Ja często przylatywałem po niego samolotem do Warszawy, ponadto był członkiem komisji badającej mój wypadek szybowcowy i okazał mi dużą życzliwość. Gdy skończył pracę na Gocławku ja pomagałem przewieźć do domu jego okazałą bibliotekę. Podobnych spotkań było więcej. Pan Ryszard słuchał z dużą uwagą i zainteresowaniem. Rozmowa przybrała formę wspomnień. Między innymi zwierzył się nam, że jego ojciec był katolikiem i patriotą. Na łożu śmierci powiedział, że zgonu się nie boi, gdyż wie dokąd odchodzi, tylko martwi się o los swoich bliskich. Bynajmniej nie o stronę materialną, bo tę mają zabezpieczoną. Tutaj zakręciły mu się łzy. Nie wiedziałem jak się zachować więc zmieniłem temat. Powiedziałem, że wpadłem do nich jak z przysłowiową gębą na pączki, jeśli pozwolą to ja zrewanżuję się gąsiorkiem cypryjskiego wina. Przy winie rozmowa toczyła się dalej na różne tematy. W pewnej chwili pan Leja zwrócił się do mnie „Uważam – powiedział – że jesteś szlachetnym człowiekiem, dlatego proponuję bruderszaft”. Przyznam, że zbaraniałem. Wiedziałem, że nie odważę się być z dyrektorem na ty, jednak odmówić nie wypadało. Po spełnionym toaście szef zagadnął „Jaki masz samochód?”

Odpowiedziałem, że żadnego, gdyż pieniądze zbieram na budowę domu. „To zapewniam cię, że dom ten zbudujesz”.

Nie chciałem podlizywać się dyrektorowi, gdyż nie leży to w mojej naturze, nigdy też nie korzystałem z okazałych mi względów. Pan Leja wyczuł moje obiekcje, ponieważ był człowiekiem inteligentnym, a skromność z mojej strony potrafił docenić i uszanować. Podsumowanie naszej pracy w miesiącu lutym wykazało zbyt duże zużycie paliwa. Na odprawie z pilotami kierownik zwrócił uwagę, że w tym zakresie norm nie możemy przekraczać, ponieważ zawyża to koszty kontraktu i zmniejsza jego opłacalność. Zaaapelował też do naszej ambicji. Powiedział, że wszyscy jesteśmy instruktorami z dużym doświadczeniem i nie powinien nas uczyć w jaki sposób latać ekonomicznie. Ja podszedłem poważnie do tych uwag i od następnego dnia zmieniłem technikę latania. Lądowiska robocze mieliśmy wspinałe. Pasy startowe były szerokie, długie i równe. Nie było potrzeby wykorzystywać pełnej mocy silnika. Pola były przestronne bez żadnych przeszkód terenowych, zbędne więc było manewrowanie gazem. Zacząłem latać na parametrach optymalnych i ekonomicznych. W rezultacie miałem do końca kontraktu najniższe zużycie paliwa, a równocześnie największą ilość opryskanych feddanów. W nagrodę otrzymałem 50 dolarów premii udział w akcji zagranicznej w przyszłym sezonie. Norma zużycia paliwa na samolocie z silnikiem A Sz-62 wynosiła 190 litrów na godzinę lotu. Ja zmieściłem się w 145. Lataliśmy w różnych rejonach okręgu rolniczego Kamyszli.

Bazę główną mieliśmy na lądowisku komunikacyjnym ale samoloty pozostawały na podlądowiskach aby uniknąć codziennych zbędnych przelotów. Ja pracowałem razem z Mietkiem Kruchowskim w rejonach Tanureja, Kahtanija i Twojel. Pracą naszą kierowali dwaj inspektorzy arabscy. Obaj byli inżynierami lotniczymi. Eliasz

Baho studiował w USA, drugi, którego nazwiska nie znam, w ZSRR.

Eliasz mówił i myślał po angielsku, a jego kolega po rosyjsku. Oprócz wiedzy fachowej przejął sowieckie przekonania. Arabowie orientowali się w sytuacji politycznej Polaków, dlatego Eliasz ostrzegał

nas aby nie mówić niczego antybolszewickiego w obecności swego towarzysza. Obaj byli ludźmi sympatycznymi. Eliasz zaprosił nas kiedyś na kolację do restauracji. Zwierzył się, że chciałby pojechać do Polski aby ożenić się z Polką. W Kamyszli było kilkadziesiąt małżeństw Arabsko – Polskich. Polki cieszyły się tu opinią kobiet dużej urody. Drugi inspektor zaprosił nas na obiad do swego domu. Jest to ewenement w kulturze arabskiej, ale on był bardziej Rosjaninem niż Arabem. Opowiadał nam po rusku, że przy pomocy Związku Radzieckiego zbudują socjalistyczną Syrię, wolną od kapitalistyczno – kolonialnych obciążeń. Jego żona była nauczycielką. Nosiła się po europejsku i w niczym nie przypominała arabki z ulicy. Była to wszakże rodzina inteligencka. Lekarz naszej ekipy, pan doktor Malczyk, był asystentem kliniki urologicznej krakowskiej Akademii Medycznej. W Kamyszli spotkał arabskiego lekarza który kończył krakowską uczelnię i robił specjalizację z urologii pod częściową opieką doktora Malczyka. Obecnie obaj lekarze zaprzyjaźnili się i wspólnie pracowali w arabskim szpitalu. Dla naszego lekarza była to okazja dorobić do kontraktowej pensji, dla nas do spotkań towarzyskich i wysłuchania ciekawych opowieści z ust araba, który świetnie mówił po polsku oraz jego żony, krakowianki z pochodzenia.

Od nich dowiedzieliśmy się jak trudne i powikłane było życie w mieszanych, arabsko – polskich rodzinach. Oni stanowili udane małżeństwo, ale takich było niewiele. Często na ładowiskach odwiedzali nas właściciele ziemscy. Przeważnie była to starszyzna wiejska, ludzie dystyngowani, poważni, widać, że zamożni. Większość z nich była uzbrojona. Galabije przepasane pasem głównym i koalicyjka, do której przypięta była kabura z pistoletem. Broń posiadali również niektórzy robotnicy zatrudnieni przy załadunku. Często był to pistolet zatknięty za pas. Dla nas stanowiło to coś niezwykłego i niepojętego, dla nich było to rzeczą normalną jak chusta lub turban na głowie. Myślę, że gdyby Polakom udostępnić broń w takim stopniu, to za rok wystrzelali by się wszyscy. Dziki Zachód byłby przy tym spokojną prowincją. Starszyzna wiejska w podziękowaniu za naszą pracę ofiarowała nam młode jagnię. Był to dla nas prezent dość kłopotliwy. Mietek Kruchowski, który był wielokrotnie w krajach arabskich i potrafił się z nimi dogadać zaproponował aby gospodarze przyrządzili jagnię po swojemu i zaprosili nas do siebie na poczęstunek. Pomyśl spodobał się i na drugi dzień pojechaliśmy samochodem do wsi.

Pierwszą rzeczą która nas zdziwiła było to, że kazali pochować się wszystkim swym dziewczynom i kobietom. Czasami gdzieś zza rogu lepianki wyjrzała jakaś głowa zawinięta w szmaty, ale natychmiast znikła gdy któryś z nas spojrzał w jej stronę.

W izbie, do której nas zaproszono, nie było żadnych mebli. Na podłodze rozścielono dywany. Na ścianach również zawieszono dywany. Pod ścianami na podłodze siedzieli sposobem tureckim starsi mężczyźni w galabijach. Ja nie potrafiłem tak usiedzieć, co wywołało ogólną ale życzliwą wesołość. Za chwilę młodzi chłopcy wnieśli duży blaszany półmisek wypełniony plackami podobnymi do wielkich naleśników. Miały one średnicę około metra, ale cienkie były zaledwie na milimetr.

Nie wiem jak coś takiego można było upiec? Warstwa tych naleśników miała grubość prawie 10cm. Zagłębienie jakie się w niej utworzyło wypełniał sos mięsny i duże kawałki mięsa. Zmieściło się wszystko z jagnięcia, ale na środku półmiska na honorowym miejscu położono jego łeb. Wszyscy goście otoczyli półmisek kołem, rwali rękami, placki maczali w sosie i jedli z kawałkami mięsa. Mnie, Mietka i 2 mechaników posadzono pomiędzy sobą. Sąsiedzi podawali nam wybrane najlepsze kawałki i karmili nas jak dzieci. Przyznam, że zarówno sos, mięso jak i naleśniki były bardzo smaczne. Gdyby jagniąka przygotowano w hotelu nie miałyby to posmaku przygody i nigdy nie poznałbym obyczajów arabskiej wsi. Pracowaliśmy od rana do godzin popołudniowych. O godzinie 16 jechaliśmy do hotelu na obiad, a potem mieliśmy czas wolny. Można było pochodzić po mieście lub iść na suk. Suki arabskie to potężne bazyry wyładowane po brzegi różnym towarem. Setki straganów, a na nich wszystko co człowiek wymyślił. My na suku u kupców wymienialiśmy dolary na syryjską walutę. Bardzo nam się to opłacało. Za dolara w banku płacono 4 funty, natomiast na suku otrzymywaliśmy 20. Dzięki temu zaoszczędziliśmy ponad połowę pieniędzy, które otrzymaliśmy na początku akcji.

W Kamyszli splatały się ze sobą kultury, narodowości i religie. Miasto było syryjskie, ale mieszkali tu również Żydzi, Turcy, Ormianie i Kurdowie. Ludzie mieli broń, ale nikt do nikogo nie strzelał, wszyscy żyli nad podziw zgodnie. Katolickie kościoły stały obok meczetów i żydowskich synagog. Sklepy muzułmanów zamknięte były w piątki, żydowskie w soboty a katolickie w nie-

dziele. Po tym można było rozpoznać kto jest kim, ale nikogo to nie obchodziło. Katolicy, których jest tu duży procent udają się do Ziemi Świętej w różnym celu. Jadą do Grobu Pańskiego, do miejsca narodzenia, albo aby ochrzcić się sposobem Chrystusa w rzece Jordan. Datę chrztu i krzyż umieszczają na przedramieniu w formie tatuażu.

Kiedyś gdy jadłem kanapkę ze smalcem wytopionym w Larnace, podszedł do mnie Eliasz Baho i zapytał co jem. Powiedziałem, że świński tłuszcz. Prosił abym dał mu spróbować bo nigdy czegoś takiego nie jadł. Ostrzegłem go, że jest to potrawa zakazana dla muzułmanów. Pokazał mi wtedy krzyż na ręku i datę swego chrztu w Jerozolimie. Tatuaz podobny był do mojego, tylko nie posiadał mieczy. Gdy spróbował mojej kanapki, zdziwił się, że my jemy takie niedobre rzeczy. Z humorem dodał, jeżeli więcej potraw mamy tak niedobrych to on nie mógłby mieszkać w Polsce, chociaż nazwisko ma prawie polskie, wystarczy do Baho dopisać ski. Na drugi dzień pozdrowiłem go słowami: „Good Morning mr Bahoski, how are you”? Odpowiedział grzecznie, ale zaznaczył, że jest arabem i nazywa się Baho. Przeprosilem go „sorry”. Zawstydzilem się ponieważ zachowałem się nieładnie. Nazwisk się nie przekreśla..

W końcu marca pracowaliśmy na lądowisku Twojel tuż obok wioski. W pewnym momencie z wioski wyszedł kondukt pogrzebowy. Stanęliśmy wszyscy aby powagą chwili oddać cześć zmarłemu. Gdy kondukt przeszedł zapytałem kto i z jakiej przyczyny zmarł. Okazało się, że młodego mężczyznę użądlił skorpion. Powiedziałem, że nigdy skorpionia nie widziałem i nie wiem jak on wygląda. Zaraz go zobaczysz. Dwaj chłopcy wzięli dzbanek z wodą i zaczęli wlewać ją do niewielkiego otworu w ziemi. Po chwili coś zaczęło się w błocie poruszać. Kijem wygrzebano to coś, pośredniego między rakiem a pajakiem. Miało około 8 cm długości i prawie 6 cm szerokości pomiędzy szczypcami. Wyglądał groźnie z ogonem uniesionym w górę i kolcem jadowym na wierzchu. W ziemi takich otworów było więcej. Wygrzebano z nich kilka dużych okazów. Uwiązane na nitkach były bezradne, ale siebie nawzajem atakować nie chciały. Skorpiony wychodzą na żer nocą. W dzień śpią. Strach byłoby postawić tu nogę po ciemku. Efekt takiej nieuwagi właśnie przed godziną widzieliśmy. Zabawa ze skorpionami w Twojel praktycznie zakończyła naszą pracę na kontrakcie. 31 marca przeprowadziliśmy samoloty na lotnisko bazowe w Kamyszli.

Czekaliśmy na dalsze dyspozycje. Pomału szykowaliśmy się do drogi powrotnej.

Kucharz, który dbał o nas przez 2 miesiące, starszy sympatyczny pan, z pochodzenia Turek, dał każdemu w prezencie nasiona syryjskiej rzodkiewki. Rzodkiewka ta podobna była z wyglądu do naszej Polskiej. Okrągła czerwona z białym końcem. W smaku również była podobna. Nie byłoby w niej nic nadzwyczajnego gdyby nie jej rozmiar. Julian Tuwim pisząc dla dzieci swój wiersz o rzepce miał pewnie na myśli tą syryjską, bo w Polsce takie nie rosną. Nawet brukiew nie dorasta jej rozmiarów. Jedliśmy tę rzodkiewkę w plastrach do kanapek, marynowaną pokrojoną w duże kostki jako dodatek do mięs. Zachwycaliśmy się nią wszyscy, dlatego kucharz na pożegnanie kupił nam po paczusce nasion, ale w Polsce rosnąć nie chciała – nie ten klimat. Zostały tylko wspomnienia. Z ogarniętego wojną Libanu przemycano dla nas zamówiony wcześniej sprzęt elektroniczny audio – wizualny. Koledzy kupili japońskie kamery video, nowoczesne kolorowe telewizory, stereofoniczne magnetofony Hi-Fi o dużej mocy, magnetowidy, urządzenia jakie w Polsce długo jeszcze nie będą dostępne. Ja kupiłem swym dziewczynom piękny radiomagnetofon, dwukasetowy, japoński Sharp. Celnicy dostali po kilka dolarów i w ogóle nie zbliżali się do naszych samolotów.

Z Kamyszli do Damaszku wystartowaliśmy 12 kwietnia. Tak zaczęła się niezwykła droga powrotna, której każdy odcinek był odrębną, niezapomnianą przygodą. Dwa dni zabawiliśmy w Damaszku. 3 dnia pożegnaliśmy Syrię i ponad górami Libanu z kierunkiem na Cypr poleciliśmy ponad morzem.

W połowie drogi pogoda nagle zaczęła się pogarszać. Chmury stopniowo obniżały swój pułap, a my razem z nimi schodziliśmy na coraz niższą wysokość. Zaczął padać deszcz i zerwał się silny wiatr. Pułap chmur obniżył się do 100m, z granatowych robiły się prawie czarne, groźne i przerażające. Deszcz ograniczał widoczność. Widziałem tylko samolot przed sobą. Lecąc 20 m pod postrzępioną podstawą, znaleźliśmy się tylko 80m ponad rozszalałymi falami. Silny wiatr rozkołysał morze. Nie wiem jak wysokie mogą być fale sztormowe, dla mnie wydawały się ruchomymi szczytami gór. Widzę czeluść czarnej przepaści. Za moment przepaść wypełnia się, a w jej miejscu wyrasta czarna góra wody pędząca w stronę

samolotu. Dokąd uciekać? W chmury? Przecież jest nas 6, trzeba pilnować miejsca w szyku. Strach lecieć do przodu bo nie wiadomo co jest dalej. Może lepiej zawrócić?

Lider rozkazał całej grupie utworzyć krąg. 6 samolotów, jeden za drugim wirowało w ciasnym kręgu jak szybowce lub stado bocianów w kominie termicznym. W tym czasie lider łączył się z Larnacą na Cyprze i w zależności od podanej informacji meteo podejmował decyzję, lecieć dalej czy zawrócić. Po pewnym czasie w słuchawkach zabrzmiał jego głos. Panowie lecimy dalej. Niedługo front się skończy a nad Larnacą jest dobra pogoda. Znowu poleciliśmy przed siebie. Rozhuśtane grzbiety fal sprawiały wrażenie, że lada moment dosięgną samolotu i wciągną go w swoje objęcia. Nie byłoby najmniejszych szans na ratunek. W jaki sposób?

Jak marynarze mogą coś podobnego wytrzymać? Tego się nie da opisać aby opowiedzieć. Chyba w ten sposób śmierć bawi się z człowiekiem, drwiąc sobie z jego nerwów. Lot, który w normalnych warunkach powinien trwać niecałe 2 godziny, nam zajął ponad 3. Wkrótce deszcz przestał padać, a po przez porozrywane warstwy chmur zaczęło przeziarać słońce. Larnaca przywitała nas dobrą pogodą. Nazajutrz poleciliśmy na Rodos. Następne 3,5 godziny wiszenia nad falami, których po ostatniej przygodzie miałem serdecznie dość. Dzisiaj pogoda dopisywała. Było mi wesoło i przyjemnie. Jadłem soczyste pomarańcze, zakupiłem na Cyprze razem z gąsiorkiem wina. Wracalem do domu po udanej akcji. Wiozłem pieniądze przeznaczone na budowę i prezenty. W dole, 2 km pode mną płynął jakiś statek zostawiając za sobą na wodzie ślad, który marynarze nazywają „kilwater”.

Leciliśmy luźnym szykiem. Właściwie nie był to szyk, lecz rozciągnięta grupa turystów powracających z ciekawej wycieczki. Tylko czasami ktoś wtrącił jakieś zdanie na naszej częstotliwości: „1,2,3,4,5”

Tylko lider utrzymywał łączność z portem na Rodos, korzystając z odpowiedniego zakresu fali radiowej, powracając na naszą dla przekazania nam informacji.

Leciałem na pozycji 5. Przede mną dwa An – y, dwa Kruki i kolega z boku i nieco z tyłu. W pewnym momencie zauważyłem, że na prawym skrzydle furkocze jakaś taśma targana strugami powietrza. Co to może być?

Wcześniej jej tam nie było. Po chwili taśma zaczęła się wydłużać, a na dźwigarze skrzydła, w miejscu gdzie kończy się blaszany keson i zaczyna płócienne pokrycie, tworzy się dziwny ślad. Zaczyna się dziać coś bardzo niedobrego. Za kilka minut taśma została całkowicie zerwana, a na jej miejscu powstały niewielkie wybrzuszenia. Zrozumiałem, że odrywa się płócienne pokrycie skrzydła. Trzymają się jeszcze szycia wzdłuż żeber, ale i ich czas jest policzony. Sytuacja stała się dramatyczna, zwłaszcza, że wybrzuszenia zaczęły się powiększać i przybrały formę nadmuchanych balonów. Jeżeli płótno zostanie zerwane, co może nastąpić w każdej chwili, powtórzy się sytuacja z 11 lipca 1968 r, ale teraz nie mam spadochronu i nie mam gdzie lądować. Zmniejszyłem prędkość do minimalnej i powiadomiłem o sytuacji lidera. Grupa wyprzedziła mnie znacznie. szef zdecydował, że drugi AN zostanie ze mną i będzie mnie ubezpieczał. W wypadku wodowania zrzuci mi tratwę. Grupa leci dalej. Samolot mój zachowywał sterowność, chociaż różnicę sił aerodynamicznych trzeba było niwelować drążkiem sterowym. Gdybym miał gdzie wylądować nie ryzykowałbym dalszego lotu, ale byłem w sytuacji bez wyjścia.

Na małej prędkości, z duszą na ramieniu kontynuowałem lot, bo co mogłem innego zrobić. Szycia na żebrach jakoś się trzymały, ale krawędzie odklejonego płótna zaczęły się strzępić. Na horyzoncie ukazała się wyspa Rodos. Wytrzymać jeszcze 20 minut, może się uda. Udało się. Gdy spece od techniki obejrzeni porwane pokrycie skrzydła dziwili się, że nie zostało zerwane do końca. Klejenia i szycia na dźwigarze puściły a dużo słabsze na żebrach wytrzymały. Wyjaśniłem im dlaczego tak się stało. Otóż przyleciał, nie wiem skąd, taki jeden facet. Miał Male skrzydełka i świetlistą aureolę. Usiadł na skrzydle i trzymał odrywające się szmaty aż do samego lądowania. Chcecie to wierzyć. Jeśli nie uwierzycie, też się nie pogniewam. Mechanicy zespołowo pozszywali i pokleili porwane płótna i na rano samolot był gotów do startu. Nie ufałem zbyt prozorycznej naprawie, nie ufał jej także dyrektor Leja, gdyż przed lotem powiedział ”Cygański, jeśli doprowadzisz ten samolot do Warszawy, to nagroda cię nie minie.” Następnym etapem był odcinek Rodos – Saloniki, 700 km nad Morzem Egejskim, upstrzonym setkami wysp. Wiele z nich miało skaliste ściany, o które rozbijały się fale morza. Gdzieś na tych wodach, pośród tych wysp, toczyły się fascynujące przygody bohaterów Iliady i Odysei.

Nazwy znane z podręczników i lekcji szkolnych. Tutaj historia miesza się z mitologią i nie wiadomo co było prawdą a co fantazją. Lecimy nad wyspą Ikarą, u jej brzegów zginął wg legendy pierwszy lotnik. Ofiara młodzieżowej brawury i bezmyślności.

Wyspa jest rzeczywistością, a Ikar? Jeżeli nawet jest postacią zmyśloną to rzeczywisty jest symbol. Ilu podobnych Ikarów co rok znaczy swą krwią drogę podniebnych szlaków i pragnie dorównania ptakom. Po 4,5 godzinach lotu lądujemy w Salonikach. Tutaj świętujemy Wielkanoc 1984 r. Samoloty stoją zabezpieczone na lotnisku, a my po długiej, pełnej wrażeń podróży, wybieramy się na kolację.

Morski bulwar, uroczę uliczki, i piękne stylowe kamienice toną w ostatnich promieniach zachodzącego słońca i nastrojowym blasku ulicznych latarni. Kafejki wypełniają się ludźmi. Słychać dźwięki greckich melodii wygrywanych na strunach buzuki. Wieczór jest ciepły i przyjemny. Goście wypoczywają i bawią się na dworze. My również postanowiliśmy skorzystać ze stolików wystawionych na zewnątrz. Kelner zjawił się natychmiast. Grecka sałatka składa się głównie z pomidorów i cebuli, do tego pieczywo z masłem. Niby nic nadzwyczajnego, ale delikatny smak potrawa zawdzięcza wyśmienitym oliwkom. Do popicia zafundowaliśmy sobie rycynę. Nie ta polska na przeczyszczenie. Grecy mają wspaniałe orzeźwiający wino małej mocy. Na butelkach jest napisane „retzina”.

Nie wiem jak oni to wymawiają, myśmy czytali po swojemu. Wino to zawiera niewiele więcej alkoholu niż piwo, ale jest dużo smaczniejsze. Kiedy skończyliśmy kolację było już dość późno. Ulice prawie opustoszały. Przechodziliśmy koło nocnego lokalu, gdy uwagę naszą zwróciły mocno rozneglizowane panienki. Widząc za oknem sporą grupę mężczyzn wyszły do nas i usilnie zapraszały do środka. Nie były to córki Koryntu lecz panienki do towarzystwa. Zadanie ich polegało na zorganizowaniu gości i prowokowaniu do stawiania drinków. Wiadomo jaką opinią cieszą się Polacy i Rosjanie. Dziewczyny liczyły na łatwy i obfity połów. Przymilały się jak rozpieszczone kotki, próbowały sztuczek swego zawodu, jednak tym razem Polacy wykazali wyjątkową wstrzeźliwość. Może żal im było ciężko zapracowanych dolarów?

W Polsce miały one wartość 10 krotnie większą, nawet po wymianie na bony, czyli pierwyje europejskie rublodolary. Nazajutrz świąteczną niedzielą rozpoczynała się Wielkanoc. Gdyby nie święta z pewnością polecilibyśmy dalej następnego dnia.

Przymusowy odpoczynek bardzo nam się przydał. Zobaczyliśmy jak żyje zachodni świat i sami na krótko włączyliśmy się w jego nurt. W niedzielę od rana odbywała się olbrzymia procesja ulicami miasta. Były orkiestry, sceny z ostatnich godzin życia Chrystusa. Był Pan Jezus dźwigający krzyż, straż w historycznych rzymskich zbrojach i wielotysięczny tłum wiernych, którzy obecnością w pochodzie manifestowali swoje przywiązanie do kościoła. Nieważne czy jest to kościół obrządku greckiego, prawosławnego czy rzymskiego. Zasady wiary są te same. Po procesji poszliśmy zwiedzać miasto i coś przekąsić. Znaleźliśmy przytulną restaurację w stylu starej karczmy. Na honorowym miejscu stała duża dębowa beczka z drewnianym szpuntem i kranem. Kto chciał, mógł do konsumpcji, nalać sobie z beczki wina.

Wino było gratis i bez ograniczeń. Bardzo nam się to podobało i oczywiście chcieliśmy wszyscy. W karczmie tej stołowaliśmy się do dnia wylotu w dalszą drogę.

Pierwszy dzień po świętach przeznaczaliśmy na zakupy i upominki. Koledzy kupowali hurtem pomarańcze. Zawieźliśmy je na lotnisko i załadowaliśmy do samolotów. Pomarańcze te szybko zaczęły się psuć. Na każdym postoju wyrzucali po kilka kilogramów, do domu dowieźli zaledwie połowę. Ja kupiłem kilka kg różnych owoców na spróbowanie i problemów z nimi nie miałem. idąc ulicą napotkaliśmy sklep ze sprzętem RTV. Wieźliśmy ze sobą wspaniałe urządzenia tego typu, ale brakowało nam kaset. Tutaj wybór był duży. Sprzedawca, a zarazem właściciel sklepu, przemówił do nas poprawną polszczyzną. Zdziwienie nasze wzrosło niepomierne gdy powiedział nam, że w Polsce nigdy nie był a języka nauczył się w sklepie od polskich klientów. A mówią, że język polski jest trudny. Mimo wszystko trzeba mieć nieprzeciętne zdolności lingwistyczne aby nauczyć się obcego języka od klientów. Powiedziałem sympatycznemu panu jakie melodie podobają mi się najbardziej, a on wybrał mi kilka kaset, których z chęcią słucham do dzisiaj. Po 4 dniowym pobycie w Salonikach poleciliśmy do Sofii. Tym razem droga wiodła pomiędzy górami. Lecieliśmy jak zwykle na 2000 m, ale szczyty gór z prawej



Sudan 1988/89

strony wznosiły się jeszcze dużo wyżej. Przyklejone pokrycie skrzydła trzymało się dzięki Bogu i stres pomału zaczął mijać. Bułgaria to już socjalizm. Może nie tak rozpasany jak u nas, jednak ulice Sofii w niczym nie przypominały swobodnej atmosfery Salonik. Nawet pogoda nie była tak przyjazna. Zakwaterowano nas w dużym reprezentacyjnym hotelu o nazwie „Rodina”. Poszedłem z kolegą do miasta aby kupić coś na kolację. Zaczął siać drobny deszcz. Szare ulice i szarzy przechodnie. Wielu z nich niosło małe lampiony, otulając ręką płomień świecy aby nie zgasił go wiatr. Nigdy się z taką tradycją nie spotkałem. Przypuszczam, że miała ona związek ze Świętami Wielkanocnymi. W obrządku prawosławnym zapala się w kościołach czy cerkwiach świece z różnych okazji. Pewnie chodziło o to aby płomień poświęcony w cerkwi przenieść do domu. W sklepie spożywczym zastaliśmy niewielką kolejkę, ale zaopatrzenie było wystarczające. Ludzie kupowali towary bez kartek w niewielkich raczej ilościach. Rozmawiając z kolegą po polsku wtrąciłem uwagę o ewentualnych ograniczeniach i reglamentacji. Ekspedientka zrozumiała moje obawy. Obsługując innych klientów słuchała naszej rozmowy. Z nieukrywaną złością położyła przed nami dwie kostki masła i opryskliwie zapytała „Chcesz bolsze?”

W Sofii zabawiliśmy 3 dni. Gdy pogoda się poprawiła i odsłoniła pasma gór, poleciliśmy do Belgradu. Jugosławia, jako unia skłóconych ze sobą państw i państewek jeszcze stanowiła całość. Jeszcze na zboczach gór Wschodnio – Serbskich widniał napis złożony z olbrzymich białych liter, dobrze czytelnych z wysokości 2 km. Napis głosił, że: „Tito žive name”. Chyba w ten sposób Serbowie deklarowali wobec świata kontynuację polityki generała Józefa Bros Tito. Jednak najbliższa historia nie potwierdziła tych deklaracji. Twór generała Tito rozpadł się na części jak domek z kart.

W Belgradzie byliśmy 1 dzień.

Następnego dnia ponad Wielką Niziną Węgierską wzdłuż błękitnego Dunaju poleciliśmy do Budapesztu, wspaniałego miasta pełnego zabytków, gdzie każdy jego element jest dziełem sztuki. Stolica Węgier składała się właściwie z dwóch miast przedzielonych wstęgą Dunaju. Budę z Pesztem łączy szereg mostów, z których każdy wygląda inaczej, każdy posiada własny styl i bogatą

ornamentację. Znany jest wspaniały pałac parlamentu, którego misterna konstrukcja przegłębia się w wodzie rzeki, ale pałac ten nie jest wyjątkiem. Katedra, zamek królewski, liczne kościoły i pomniki, elementy baszt i murów miejskich. Wszystko wykonane jest tak, jakby głównym ich zadaniem była dekoracja miasta, podziw i fascynacja sztuką architektoniczną. Stary Budapeszt urzeka, ale nowoczesność również nie pozostaje w tyle. Trzy linie metra, każda na innym poziomie, gwarantują łatwą komunikację ze wszystkimi dzielnicami. Wszystkie linie krzyżują się w centrum na głównej stacji przesiadkowej. Wystarczy tylko ruchomymi schodami przejechać na inny poziom aby za kilkanaście minut znaleźć się w dowolnym krańcu miasta.

Zakwaterowaliśmy się w domu pani Ilony Mochaczi. Była to kobieta bardzo przystojna. Miała kruczoczarne włosy, zgrabną sylwetkę i ładną pogodną twarz. Dom swój stojący w ogrodzie i opleciony winoroślą, wynajmowała głównie polskim pilotom obsługującym kontrakty zagraniczne. Hotel ten prowadziła wspólnie z synem, dorosłym młodym mężczyzną, mówiącym dość dobrze po polsku. Atmosfera domu była wspaniała. Mieszkaliśmy tu jak u mamy, stołując się w pobliskich barach i restauracjach. Koszt noclegu był dużo niższy w stosunku do usług w hotelach państwowych. W pobliżu w stylowej piwnicy mieścił się przytulny bar restauracyjny. Posiadał on kilka pomieszczeń oddzielonych od siebie tylko gotyckimi łukami.

W niewielkiej salce popijaliśmy poobiednie piwo, w sąsiedniej, większej, ucztowało wesele. Muzykanci słysząc polską mowę, przyszli do nas aby zagrać nam piękne polskie ludowe melodie. Daliśmy im oczywiście po kilka forintów i zabawa rozkręciła się na całego. Wesele zaczęło bawić się na polską nutę. „Szła dziewczeczka do laseczka” śpiewali wszyscy, śmiesznie wymawiając słowa. Najlepiej wychodziło „tra – la – la „. Oni również wiedzieli, że „Polak – Węgier, dwa bratanki”.

Jednym słowem atmosfera była szampańska. W Budapeszcie zabawiliśmy 4 dni.

Spotkałem się tu z ciekawą formą sprzedaży odzieży przecenionej. Nie na sztuki, lecz hurtem na wagę, po kilka forintów za kilogram. Znowu kupiłem swoim dziewczynom jakieś bluzki jako prezenty podróżne.

Przedostatnim etapem podróży miał być odcinek drogi Budapeszt – Kraków, jednak pogoda zdecydowała inaczej.

Nad Słowacją dostaliśmy się pod niskie chmury, z ciągłym opadem drobnego deszczu. Tatry przykryte były tak jak kiedyś gdy lecieliśmy Kukuźnikami z Bratysławy do Nowego Targu. Wtedy lądowaliśmy w Prewidzy.

Obecnie trochę dalej na północ, na aeroklubowym lotnisku w miejscowości Martin.

Słowacy, tak jak wtedy, przywitani nas bardzo serdecznie. Zanim zakotwiczyliśmy na stojankach samoloty, przygotowali nam obiad w dużym salonie gościnnym. Skąd wzięli natychmiast gorące dania, pozostało tajemnicą sympatycznych gospodarzy. Nie wypadało się pytać, zwłaszcza, że podejmowali nas na swój koszt. Po obiedzie zaprosili nas na wieczorek towarzyski do piekielka, jak sami to określili.

W rogu salonu, za zasłoną z kwiatów doniczkowych, było dyskretne zejście do piwnicy. Piekielkiem okazała się długa sala bankietowa. Ściany i strop wsparty na kolumnach zwieńczonych łukami zbudowano z surowej czerwonej cegły. Umeblowanie stanowił długi stół i ławy. Środkową ścianę zajmował duży komin dopasowany do wystroju wnętrza. Oświetlenie sala zawdzięczało gustownym kinkietom z regulowanym natężeniem światła. Wnętrze sprawiało wrażenie Sali rycerskiej w jakimś średnio-wiecznym zamku. W kominku palił się już ogień, a na stołach stały rzędem butelki z piwem, winem i słonymi paluszkami na zakąskę.

Takiego przyjęcia i takiej scenerii nikt z nas się nie spodziewał. W ciepłych słowach przywitał gości kierownik aeroklubu, przedstawiając swoich etatowych pracowników.

Zwracano się do nas per „bracia Polacy”, co bardziej jeszcze umilało serdeczną atmosferę spotkania. W tej sytuacji nasi mechanicy przynieśli z samolotu stereofoniczny magnetofon i kasety z pięknymi greckimi melodiami. Gdy zabrzmiały dźwięki Greka Zorby, wszyscy utworzyli taneczny korowód splatając ramiona jak w znanym filmie. Tym miłym i niezapomnianym akcentem zakończyliśmy pełną wrażeń wyprawę po nasze złote runo. Nazajutrz pożegnaliśmy naszych przyjaciół i powróciliśmy do Krakowa, a po odprawie celnej i paszportowej do Warszawy.

Był dzień 1 maja 1984 r. Przeżycia i wspomnienia tamtego wieczoru zrodziły chęć posiadania podobnego piekielka we własnym domu. Na pewno nie na taką skalę, ale salonik, zieloną ściankę z żywych roślin i zejście do salki kominkowej postanowiłem wybudować.

Tym razem powrót taty był udany. Córy cieszyły się ze wspaniałego magnetofonu Sharp, a żona z 2 tysięcy dolarów, dzięki którym dom nasz przybrał realne kształty.

Z Proboszczewic do Gozdowa pobudowano nową szosę o nawierzchni asfaltowej. Droga ta przechodząc przez grunty mego teścia, oddzieliła od jego gospodarstwa działkę rolną o powierzchni 59 arów. Połowę działki stanowi niewielkie wzniesienie, drugą część mała dolina. Ukształtowanie i budowa geologiczna wskazują na pochodzenie polodowcowe i morskie. Piaszczysto – żwirowych wzgórz było tu więcej, ale wybrano je na potrzeby budowlane. W warstwach osadowych można spotkać wiele śladów życia sprzed milionów lat. Pod względem rolniczym ziemia ta jest niskiej jakości, jednak mają jedną zaletę, że są nasze. Działkę tę otrzymaliśmy od teścia w prezencie, pod warunkiem, że zdołamy pokonać biurokratyczne przepisy i wydzielić ją z gospodarstwa rolnego ojca. Sprawą zajęła się żona. Pierwsze veto postawiła nam gmina, argumentując swą decyzję tym, że nabyliśmy już wcześniej działkę budowlaną i druga nam jest zbędna. W odwołaniu od tej decyzji żona napisała, że nam nie chodzi o działkę budowlaną lecz małe gospodarstwo użytkowe. Wojewódzki Wydział Geodezji zażądał opinii z Ośrodka Postępu Rolniczego na temat, czy tak mały kawałek ziemi może być dochodowym gospodarstwem rolnym. Nie wiem jakich sposobów żona użyła, aby przekonać odpowiednie władze. Załącznikami do podania było parę paczek kawy i butelka koniaku z Pewexu.

W tym miejscu należy się wyjaśnienie, co oznacza to dziwne słowo. Nie ma go w słownikach i nikt już go nie używa. Odeszło w niebyt tak jak wiele pomysłów minionej epoki PRLu. Słowo to jest skrótem od nazwy Przedsiębiorstwo Eksportu Wewnętrzny. Słusznie można zauważyć, że jest to jakiś nielogiczny twór językowy, jakaś bzdura i nonsens. Eksport jest to wg słownika, wywóz za granicę towarów, kapitałów i usług. Eksportować można coś na zewnątrz. W gruncie rzeczy chodziło o to, aby wyciągnąć od ludzi zarobione przez nich dolary. W tym celu otwarto sklepy tylko dla tych klientów, którzy płacili zachodnią walutą wymienną.

Sklepy te, dobrze zaopatrzone, były jakby wizytówka krajów zza żelaznej kurtyny.

Nawet dziecko widziało różnicę, pomiędzy życiem na kartki, a życiem za dolary. Zaczęto dla humoru doszukiwać się analogii pomiędzy PRLem a USA. Podobieństwa były widoczne. W PRLu było 49 województw, a w USA 49 stanów. W PRLu za złotówki niczego się nie kupiło i w USA także. W PRLu jak w USA za dolary można było kupić wszystko. Tylko w jakim celu na banknotach drukowano, że są one prawnym środkiem płatniczym w Polsce, skoro prawo to było gwałcone przez samego ustawodawcę. Prawami władza się nie przejmowała. Był to tylko śniegowy bałwan, który mocno rozpuszczał się pod wpływem ciepłych powiewów wolności. Wojewódzki Ośrodek Postępu Rolniczego w Ogorzelicach wydał żonie opinię, że utworzone przez nią gospodarstwo rolne zdolne będzie do towarowej produkcji rolnej. Na tej podstawie Wydział Geodezji uchylił decyzje gminy i zezwolił na wydzielenie prawne naszej górki. Biuro notarialne spisało akt darowizny, a wydział ksiąg wieczystych Sądu Rejonowego w Płocku, zarejestrował nieruchomość pod numerem KW-46439. Teraz należało uzyskać zezwolenie na budowę.

Wszystkimi sprawami zajęła się żona, a ja musiałem po krótkim urlopie wracać do pracy.

W połowie maja samoloty i załogi były rozdysponowane, ale ZUA Mielec wystąpił z prośbą o wypożyczenie 1 pilota. Akurat ja znalazłem się pod ręką. Zaopatrzony w delegację służbową, zameldowałem się u szefa pilotów oddziału mieleckiego inst. Pilota Jerzego Krupy. Rozpoczynała się akcja lasy. W kierunku północno – wschodnim od Mielca rozciągały się olbrzymie kompleksy leśne. Pomiędzy Wisłą i Sanem, aż do Stalowej Woli rozpościera się Puszcza Sandomierska. Poza Sanem ciągną się Lasy Janowskie, bardziej na wschód Puszcza Solska. Ja miałem latać na północnym krańcu Puszczy Sandomierskiej w rejonie Stalowej Woli, w nadleśnictwie Rozwadów. Bazą operacyjną było lotnisko aeroklubu Stalowa Wola w miejscowości Turbia. Startując z Mielca do Turbi, podpadłem zawiadowcy lotniska panu Stocerczowi. Był on zdemobilizowanym pilotem wojskowym w stopniu majora. Nawykły do drylu wojskowego, podobną dyscyplinę zaprowadził

na podległym mu lotnisku. Wymagał stosowania ścisłej procedury w korespondencji radiowej podczas startu i lądowania. Zgodę na lot z rejonu kontroli, za pośrednictwem zawiadowcy otrzymałem, zlecenie wykonania lotu poświadczyłem.

Po zajęciu miejsca w samolocie rozpocząłem korespondencję:

- Mielec radio, tu Whisky, November Sierra ze stojanki ZUA, zezwól uruchomić silnik.
- November Sierra – uruchomić zezwalam.

Po rozgrzaniu silnika i wykonaniu proceduralnej próby zgłaszam ponownie:

- Mielec radio, November Sierra zezwól wykołować.
- November Sierra kołować zezwalam, zgłosić się przed pasem. Wiatr 280 stopni, 10 km/h, kierunek startu 270, ciśnienie QFE 749 przecinek 3.

– Zrozumiałem, rozpoczynam kołowanie.

– November Sierra, zakołować z powrotem na stojankę, wyłączyć silnik, zgłosić się do mnie.

Gdy stanąłem przed zawiadowcą, ten rzekł –Wiem, że na PGRowskich lądowiskach procedury korespondencji nie obowiązują, ale tutaj jest lotnisko fabryczne w ruchu nadzorowanym i każde słowo nagrywa się na taśmie magnetofonowej. Przepisów łamać nie wolno, a ja jestem tu po to, aby tego przestrzegać. Kolejność podawania danych jest ustalona, a pilot musi je powtórzyć. Chyba pilotowi zawodowemu i instruktorowi nie muszą tego tłumaczyć. Jeżeli pilot nie potrafi danych zapamiętać to powinien je zapisać, jeśli nie zdąży, poprosić o powtórzenie.

Przy ponownej próbie wyrecytowałem bezbłędnie:

- Wiatr 280, 10, QFE 749,3 zgłoszę przed pasem

Zgodnie z poleceniem poprosiłem:

- Mielec radio, November Sierra, zezwól na pas
- November Sierra, na pas zezwalam.

Pp wykołowaniu na pas i ustawieniu się do startu zapytałem:

- Mielec radio, November Sierra zezwól startować i po starcie w prawo na trasę.
- November Sierra, startować i w prawo zezwalam.
- November Sierra, w powietrzu o 10:45.

Potwierdziłem czas startu i zameldowałem:

- Mielec radio, November Sierra na kursie, wysokość 200, zezwól zakończyć łączność.
- November Sierra, do widzenia, koniec.

Dolatując do Turbii nawiązałem łączność:

- Turbia radio, tu Whisky November Sierra, jak słyhać?
- November Sierra, Turbia radio słyhać na 5.
- Turbia radio, November Sierra – Antonow ZUA z Mielca, zezwól w krąg do drugiego.
- November Sierra, w krąg zezwalam.
- November Sierra z wiatrem – kolejność 1.
- November Sierra na prostej. Lądować zezwalam. Na ziemi 11:25.

Po zakołowaniu na stojankę i zameldowaniu się u zawiadowcy poświadczyłem w zleceniu odbycie lotu, a po obiedzie spotkałem się z leśnikami z Rozwadowa.

Akcja chemicznych zabiegów ochronnych miała charakter naukowy. Kierował nią pan profesor, który z grupą studentów opracowywał dane i określał wyniki. Leśnicy zabezpieczali stronę techniczną. Mnie natomiast najbardziej obchodziła sprawa naprowadzania samolotu na kierunek. Okazało się, że nikt nie miał o tym, tak ważnym zadaniu, najmniejszego pojęcia. Przygotowano 2 traktory z chorągwiemi i puszczono je na leśne drogi pomiędzy wysokimi drzewami. Na nic zdały się moje sugestie o taką drobność jak 2 baloniki meteorologiczne. Pan profesor nie mógł zrozumieć jak można nie zauważyć traktora z chorągwią, przecież on jest większy od jakiegoś balonika. Nie docierało do niego, że balonik unosi się nad drzewami i jest widoczny z daleka. Natomiast schowany w lesie traktor tylko cudem można dojrzeć przy prędkości 160 km/h i tylko wtedy gdy przypadkiem nad niego się nadleci.

Koszt balonika jest nieporównywalnie mniejszy niż paliwo spalone niepotrzebnie przez traktory, nie mówiąc nawet o możliwości zatrucia ludzi procujących w atmosferze rozpylanych środków chemicznych.

Podobno wojsko nie wyraziło zgody na to aby w ręce cywilów powierzyć tak niebezpieczne środki bojowe jak balonik i gaz do jego napełnienia. Na odpustach i piknikach dzieci mogą się bawić takimi zabawkami. Dorosli, szczególnie naukowcy, mogliby zrobić z tego bombę.

Oczywiście, że jest to wierutna bzdura i kłamstwo. Chociaż kto wie?

W wojsku wszystko jest możliwe. Po raz kolejny potwierdza się moje przekonanie, że człowiek na stanowisku przeważnie dostaje małego rozumu, a jeżeli coś wymyśli, lub podejmie decyzję, to nie wiadomo czy śmiać się czy płakać. Gdybym chciał opisać wszystkie idiotyzmy z jakimi spotkałem się w życiu, to powstałby drugi taki pamiętnik. W głupocie i bezduszności wyróżniają się urzędnicy. Oni spoza swego biurka petenta nie widzą, im niższy szczebel władzy tym większa arogancja i zarozumiałość. Na pewno są wyjątki od tej zasady, ale podobno wyjątek nie przeczy regule. Z Proboszczewic do Płocka można było dojechać pociągiem lub autobusem PKS. Pracowników dowoziły specjalne autobusy pracownicze. Miejska komunikacja jeszcze tu nie docierała. Autobus jechał przez całe miasto, ale się nie zatrzymywał.

Wywoził ludzi na peryferie do stacji kolejowej. Pasażerowie błagali kierowcę, aby się zatrzymał i wysadził ich w mieście, gdyż tutaj mają sprawy do załatwienia, a nie na stacji. Początkowo niektórzy z kierowców zatrzymywali się na żądanie, ale wkrótce zostali przez dyrekcję ukarani. Wtedy wszyscy pasażerowie byli wywożeni poza miasto, aby autobusami miejskiej komunikacji linii nr 1 wracać tą samą drogą, tracić niepotrzebnie czas i pieniądze. Czy trudno było zrobić w mieście przystanek?

Z podobnymi przykładami spotkałem się również w swojej pracy. Pan profesor pod tym względem do wyjątków nie należał. Miał do mnie pretensje o to, że nie potrafię utrzymać idealnie równoległych kierunków kolejnych przelotów. Przecież flagowi są w lesie, a to, że ich nie widać to już jest problem pilota. Po tygodniu miałem dość pana profesora i jego pretensji. Moich uwag on w ogóle nie brał pod uwagę.

Jak prosty pilot może uczyć sławę naukową? Kiedyś w podobny sposób pokłóciłem się z kierownikiem gospodarstwa w Karścinie, panem Waśków. Gdy o godzinie 7 rozpoczynaliśmy z Mirkiem Błachutą pracę, na lądowisku było 5 przyczep z nawozami, tj na 20 lotów. Około godziny 10 nawozów zabrakło. Robotnicy pojechali do magazynów po nawozy. Za kilkanaście minut traktor przyciągnął pierwszą przyczepę. W tym czasie zjawił się kierownik Waśków.

Wystąpił do mnie z pretensją, dlaczego samolot nie lata? Że też sam nie potrafił odpowiedzieć sobie na tak oczywiste pytanie. Zdziwiłem się, ale odpowiedziałem grzecznie, że zabrakło nawozów. Przecież przyczepa pełna stoi, stwierdził filozoficznie. Jedna przyczepa to są zaledwie 4 loty. Ludzie ładują nawozy.

Gdyby pan latał to robotnicy ładowaliby do samolotu. Nie wiedziałem czy kpi sobie ze mnie czy mówi poważnie? Proszę pana – odpowiedziałem, jeżeli nie potrafi pan zabezpieczyć wystarczającej ilości nawozów, to dlaczego teraz czepia się mnie.

Kierownik coś zaczął bełkotać, a ja faktycznie się zdenerwowałem, chociaż należę do ludzi raczej opornych. Nerwową sytuację rozładował Mirek. Odciągnął mnie na bok i szepnął do ucha – Nie denerwuj się, ja mu za to żonę wyrucham

Parsknąłem śmiechem i złość natychmiast minęła. Pani Waśków pracowała w biurze kombinatu, gdy przy okazji poskarżyliśmy się jej, odpowiedziała ze stoickim spokojem – Jeszcze nie zorientowaliście się, że on jest głupi, a na to rady nie ma.

Swoją drogą dziewczyna była warta grzechu. Po zakończeniu akcji nad lasami i rozstaniu się z nadleśnictwem Rozwadów, polecono nam przebazować się do PGRu Jasice koło Ćmielowa w celu dalszej pracy w gospodarstwach rolnych. Pracowałem z mechanikiem pokładowym Staśkiem Ortyłem. Fajny był z niego chłopak, ale w ZUA tak już jest, że szybko zapoznajemy się, zaprzyjaźniamy i rozchodzimy każdy w swoją drogę. W tym czasie pracowaliśmy dla 3 kombinatów. Śmiłów koło Ostrowca Świętokrzyskiego, Ćmielów ze słynną fabryką porcelany oraz Czyżów koło Zawichostu. Kwatera i lądowisko było w Jasicach, stąd lataliśmy na podlądowiska robocze w poszczególnych zakładach. W Czyżowie znajdował się Ośrodek Postępu Rolniczego z dobrze rozbudowaną stacją naukowo – badawczą. Na wielu poletkach doświadczalnych prowadzono prace związane z uprawą nowych odmian roślin przemysłowych oraz wdrażaniem ich do produkcji towarowej. Szczególne sukcesy osiągnięto w uprawie soi. Jest

to roślina strączkowa podobna do fasoli, ale o większej zawartości białka. Z tego względu ceniona jest jako wysokobiałkowy komponent paszowy. Znane też są jej walory spożywcze. Gdy w ciągu kilku lat wyhodowano odmianę przystosowaną do naszych warunków klimatycznych wysiewano ją na wielohektarowe pola. Uprawa ta była oczkiem w głowie dyrektora SHRu. Dyrektor był młodym mężczyzną o zgrabnej sylwetce sportowca, przedsiębiorczym, energicznym a przy tym sympatycznym i serdecznym. Z każdym robotnikiem potrafił porozmawiać jak z przyjacielem. Niestety nie pamiętam jego nazwiska, chociaż niejednokrotnie zapraszał nas do swego gabinetu na herbatkę i lampkę wina. Rozmawialiśmy na temat warunków uprawy i osiągnięć.

Zauważyłem, że soja pięknie rośnie. Na całym polu ma jednakową ciemnozieloną barwę i dorodną budowę, jak bawełna w Egipcie. Soja rokuje dobry plon, ale równocześnie jest powodem nie lada kłopotu. Dyrektor zwierzył mi się w zaufaniu, że z tego powodu został wezwany do Wojewódzkiego Komitetu Partii, gdzie kategorycznie zakazano mu dalszych prac nad tą rośliną. Zabroniono mu też sprzedaży i jakiegokolwiek jej rozpowszechniania. Myślałem, że o komunizmie wiem dużo, jednak ten fakt był dla mnie niezrozumiały. Gdy kraj doprowadzono do ruiny, a obywateli do skrajnej rozpacz, zamiast ratować co się da, celowo niszczy się każdą inicjatywę i możliwość poprawy. Polityka taka stała się dla mnie bardziej zrozumiała gdy wysłuchałem podobnej relacji z ust dyrektora gospodarstwa w Jasicach.

Widziałem jak w PGRowskich oborach karmiono krowy kiszonym ziarnem kukurydzy. Piękne, dorodne ziarna złotego koloru i wielkości czereśni. W rozmowie z dyrektorem przyznałem się, że nigdy takiej dużej kukurydzy nie widziałem. Wyjaśnił mi, że podczas kiszenia ziarna napęczniały, kilkakrotnie zwiększając swą objętość, ale przed kiszeniem też były imponująco dorodne. Kukurydzę tę gospodarstwo wyprodukowało w nadmiarze, ale nie pozwolono jej sprzedać. Skarmić we własnym zakresie i nie pokazywać na zewnątrz. Dyrektor powiedział, że na południu Polski pewne odmiany kukurydzy udają się bardzo dobrze i zgromadzone zapasy wystarczyłyby na potrzeby całego kraju, ale tę produkcję się celowo wstrzymuje, nie wiadomo z jakiego powodu.

Zrozumiałem, że główną rolę odgrywa tu komunistyczna propaganda polityczna.

W związku z represjami wobec własnego narodu. Stany Zjednoczone nałożyły na Polskę sankcje gospodarcze. Była więc okazja aby nie dopuścić do jakiegokolwiek rozwoju a wina za katastrofalny stan obarczyć zachodnich kapitalistów.

Obnażyć ich wrogie oblicze i zniechęcić Polaków do USA. A może przy okazji przeleją swe uczucia na czerwonych braci spod znaku gwiazdy, sierpa i młota, odwiecznych przyjaciół Polski i narodu.. Według bolszewickiej historii już sam Lenin wypowiadał się za Polska wolną i niepodległą. Jeżeli fakty mówią co innego tym gorzej dla faktów.

Od 20 czerwca mieliśmy 2 tygodniową przerwę w pracy. Była więc okazja pojechać do domu. Córnka ukończyła III klasę liceum plastycznego, starsza pracowała w Urzędzie Gminnym. Maturę w Małachowiance otrzymał też mój siostrzeniec Darek Machowski, syn Hanki. Hania przeniosła się z Drohiczyzna do Płocka, ponieważ dużym sentymentem darzyła miasto i szkołę do której sama kiedyś uczęszczała.

Nie chciała też aby syn dorastał w atmosferze rodziny, która niczego nie mogła mu zaoferować poza stresem. Siostra uczyła w szkole, ale wyobcowana i osamotniona coraz częściej zaczęła uciekać w świat uludy. Zamknęła się w sobie, skazując siebie samą na nieprzerwany stres i chorobę. Wyrazy swych uczuć i marzeń wyraziła w wierszach, które pisała tylko dla siebie. Ja naruszę jej intymność i we wspomnieniach swych przytoczę fragmenty tej wstrząsającej poezji, gdyż w ten sposób mogę wyrazić swój żal po siostrze, której tak naprawdę wcale nie znałem. Darek zdał maturę i po wakacjach rozpoczął studia na Politechnice Warszawskiej, wykazując w czasie studiów swą dojrzałość, upór, pracowitość, zyskując tym samym moje najwyższe uznanie. Byłem na uroczystości wręczenia matur, przeżywając niezapomniane chwile i uczucia, które mnie w życiu ominęły. Człowiek często wraca myślami do swych lat szkolnych. Próbuje odnaleźć się w gronie dawnych kolegów, przeżyć namiastkę dawnych dni podczas zjazdów absolwentów, jednak czasu nie wróci. Matura zamyka nie rozdział, lecz pierwszy tom życia. Staje się symbolem czegoś niepowtarzalnego i nieosiągalnego, jak miniona młodość.

Po powrocie do Jasic pracowaliśmy jeszcze kilkanaście dni na reglonowanie rzepaków przed żniwami,

a po wykonaniu tej pracy nastąpiła kolejna, tym razem tygodniowa, przerwa w pracy.

W połowie lipca miało miejsce ważne wydarzenie rodzinne. Za mąż wychodziła Irena Kęsicka, najmłodsza z siostr mojej żony. Podobnie jak w dowcipnej piosence o młynarzu ze Zgierza, który miał 4 córki i każda chciała żołnierza. Kęsicki z Proboszczewic też miał 4 córki i każda z nich była piękna. Najstarszą wybrałem ja.

Nie skakała do góry aby złapać lotnika. Była na to zbyt dumna i honorowa.

To za nią uganił się chłopcy, a ona wybrała mnie, chociaż do dziś nie wiem dlaczego. Jej siostra Janka była podobna do mojej żony, tylko miała ciemniejsze włosy. Podobnie jak moja żona ukończyła technikum ekonomiczne i wkrótce zmieniła nazwisko na Wasilewska. Janek i Janina zamieszkali w Płocku. Trzecia z kolei, Hanka, była rasową blondynką o ślicznej okrągłej buzi, jasnej cerze i niebieskich oczach. Urodą nie ustępowała tej, która mnie oczarowała. Tylko po ukończeniu podstawówki nie chciała się dalej uczyć, a to uważam za błąd, gdyż brylantem staje się diament oszlifowany. Hanka wraz z mężem Luckiem odziedziczyła nazwisko Kaczmarek. Najmłodsza Irenka długo zwlekała z decyzją małżeństwa. Nie dlatego aby nie miała szczęścia jak jej odpowiedniczka z piosenki. Irenka długo przebiegała w chłopakach, dopóki nie trafiła na Marka Chrzanowskiego. Marek jest mężczyzną zaradnym, przedsiębiorczym i pracowitym. Z wykształcenia jest technikiem budowlanym o złotych rękach. W zawodzie swoim potrafi zrobić wszystko z dużą dokładnością i architektoniczna wyobraźnią. Jest przy tym człowiekiem sympatycznym, towarzyskim i rodzinnym. Ślub odbył się w kościele parafialnym w Proboszczewicach, natomiast wesele w wynajętym do tego celu specjalnym namiocie. Niezwykle pomieszczenie, niezwykle uroczystość i niezwykle sceneria. Namiot rozłożono na przygotowanej wcześniej podłodze z desek. W ten sposób powstała duża sala, w której z powodzeniem mieściło się ponad 100 osób.

Wystarczyło miejsca na ucztę weselną, na orkiestrę oraz do tańca. Potrawy gorące przygotowywano w kuchni domowej. Dekoracje wnętrza oraz oryginalne oświetlenie stwarzały niepowtarzalny urok i nastrój jakiejś zaczarowanej nocy. Bawiliśmy się do następnego dnia z zachowaniem wszelkich tradycji weselnych. Teść, który wszystko zorganizował i urządził, teraz pełnił obowiązki gospodarza i dbał aby gościom nie zabrakło jedła i napojów. Szefową kuchni była oczywiście teściowa. W przedhistorycznych dziejach Polski jest legenda o postrzyżynach u Piasta Kołodzieja i jego żony Rzepichy. Obserwując wystawne wesele, miałem wrażenie, że znajduję się na tamtej legendarnej uczcie. Gospodarność teściów i ich pracowitość dorównywała tamtej sprzed tysiąca lat. Może to wcale nie była legenda? Przecież pierwszy historyczny władca i twórca państwa polskiego miał ojca, dziada i pradziada. Dynastia Piastów nie zaczęła się od Mieszka I.

Za kilka dni powróciłem do pracy ale kombinat Jasice rozpoczął już małe żniwa i samolot nie był potrzebny. Małe żniwa to okres sprzętu rzepaku. Poprzedzają one o kilkanaście dni zbiór pozostałych zbóż. W tej sytuacji polecono nam wrócić do Mielca. W bazie wymieniono nam samolot i wysłano w zupełnie inny region Polski. Tym razem poleciliśmy na Śląsk Opolski do Olesna.

Nie jest to duże miasto, ale schludne i czyste. Zagospodarowane jest ono na styl niemiecki. Sposób zabudowy przypominał Szczecin i dzielnicę Pogodno. Środek Olesna stanowi kilka ulic z kamienicami budowanymi w dawnym stylu. Jest tu ładny dworzec kolejowy, duży kościół i trochę sklepów. Na obrzeżach przeważają domy jednorodzinne z ogrodami. Do Olesna przyjechaliśmy w przeddzień odpustu patronki tutejszej parafii Świętej Anny. Kościół pod jej wezwaniem jest drugim kościołem na terenie miasta i ewenementem na skalę całego regionu śląskiego, a może również kraju. Zbudowany całkowicie z drewna bez użycia gwoździ gdzieś poza granicami, został sprowadzony w to miejsce kilka wieków temu. Do dnia dzisiejszego jest on obiektem kultu religijnego dla Niemców opolskich. Odpust jest okazją pielgrzymki wielu ludzi do miejsca swej młodości oraz spotkania z rodzinami i przyjaciółmi, którzy tu zostali. Uroczystości odpustowe zorganizowano na placu przed kościołem gdyż wielotysięczny tłum by się wewnątrz nie zmieścił. Procesja toczyła się ulicami miasta przez parę godzin. Po obiedzie we wszystkich ogrodach rozpalono grille nieznane jeszcze w centralnych rejonach kraju, a przed domami i na ulicach stały samochody z niemiecką rejestracją.

Dyrektor i wielu pracowników PGRu opowiadało nam, że takie zjazdy odbywają się tu w dniu Świętej Anny każdego roku. W Oleśnie Śląskim, podobnie jak w poprzednich gospodarstwach, wykonywaliśmy

wyłącznie reglonowanie rzepaków. Zabieg ten polega na drobnokroplistym oprysku preparatem o nazwie „Reglone”. Zielone części rośliny ulegają szybkiemu wysuszeniu, a dojrzałe zboże gotowe jest do zbioru. Przy zabiegu tego rodzaju należy zachować szczególną ostrożność, ponieważ można zniszczyć sąsiednie uprawy. My reglonowanie robiliśmy tylko na pisemne zlecenie i odpowiedzialność kierownictwa gospodarstwa. Bałem się wykonywać te zabiegi, ponieważ sytuacji spornych i konfliktowych nie dało się uniknąć. Oprysk preparatem „Reglone” powinno wykonywać się przy kompletnej ciszy, ale takich warunków prawie nigdy nie ma. Zleciodawcy żądają od pilota często rzeczy niemożliwych.

Pola dojrzewającego rzepaku przerośnięte były kwitającym rumianem. Kombajny nie dały rady tego ścinać. Na wirujących cepach maszyn owijały się rośliny, z których płynął zielony sok i mieszał się z ziarnem. Dyrektor zdecydował się na oprysk przy wietrze 2m/s. Na sąsiednim polu rosły ziemniaki, dalej był las. Uprzedziłem go, że preparat zniszczy sąsiednią plantację. Dyrektor odpowiedział, że pewne straty są nieuniknione. Jeżeli się nie opryska to straci się rzepak. Strażki na słońcu zaczną pękać i wysypie się ziarno. Otrzymałem zlecenie na piśmie i deklarację o odpowiedzialności. W tej sytuacji wykonałem zabieg. Za 2 dni zapanowała piękna złota jesień. Sypały się nie tylko liści ale i igły sosen. Na polu ziemniaków rozpoczynały się przedwczesne wykopki. O tym jak silny jest to środek świadczy fakt jakiego doświadczyłem w Josicach. Po reglonowaniu rzepaku w Śmiłowie, mechanik dwukrotnie opłukał zbiornik wodą. Na przelot powrotny nalał do zbiornika 200l wody aby wylać ją podczas lotu. Na podejściu do lądowania uruchomiłem pompę opryskową i trzecie popłuczki po chemikaliach rozpyliłem w powietrzu na podejściu do lądowania resztę wylałem podczas kołowania. Wiatr zniósł smugę cieczy na rosnące poza lądowiskiem buraki. Rośliny zgubiły liście na pasie szerokości 20 m i długości 50 m. Była to bezsprzecznie moja wina wynikająca z niewiedzy. Groziło mi obciążenie finansowe, jednak burakom liście odrosły. W ten sposób udało mi się uniknąć kary. Gdyby roztwór był nieco silniejszy musiałbym zapłacić za spowodowanie szkody. Za zniszczenie ziemniaków odpowiadał właściciel który wydał zlecenie, ale nie omieszkał poskarżyć się na mnie w ZUA, co ujemnie wpłynęło na moją opinię. W Olesnie pracowaliśmy do połowy sierpnia.

Po odprowadzeniu samolotu do Mielca podziękowano mi za pracę i odesłano do Gdańska. Zaczął się okres żniw, czas urlopów i wypoczynku, a dla rolników czas intensywnej pracy, podsumowanie efektów całorocznego trudu.

Niewiele miałem okazji aby polatać na szybowcach. Warunkiem utrzymania ważności licencji było wykonanie minimum 5 lotów w czasie 3 godzin. Przepisy nakładały obowiązek posiadania pewnej minimalnej praktyki. W tym celu odwiedziłem lotnisko aeroklubu. Młoda kadra radziła sobie nieźle. Funkcję kierownika pełnił Andrzej Wesołowski, szefem szkolenia był Edek Połoński, instruktorami Leszek Lange i Sławka Piątek. Wszyscy oni byli moimi uczniami, ale pojawili się też nowi dobrzy piloci i instruktorzy: Krzysztof Pankowski, Jan Chrobociński i Zbigniew Rogulski. Ze starej kadry latali jeszcze koledzy Władek Błaszczak i Zygmunt Trębiński.

Na lotnisku wykonałem lot kontrolny i kilka lotów treningowych na Piracie. Nie sądziłem, że są to moje ostatnie loty szybowcowe. W planach miałem jeszcze zdobycie 3 diamentu, ale los pokierował inaczej.

Po zakończeniu urlopu skierowano mnie do pracy w kombinacie PGR Kleszczewo koło Starogardu Gdańskiego. Ten rejon Kaszub nazywano Kociewiem. Na miejscu czekał na mnie samolot AN-2 o znakach Whisky Majk Oskar oraz mechanik Mietek Nowaczyk. Kombinat składał się z 6 gospodarstw rolnych, pracy było więc pod dostatkiem gdyż po letnich zbiorach wszystkie pola czekały na nawozy i obróbkę jesienną. Mietek zdążył się już zaprzyjaźnić z kilkoma młodymi mężczyznami, a oni również przyjaźń tę traktowali jak zaszczyt. Męska przyjaźń opiera się głównie na szklanych filarach wypełnionych wódką lub piwem. Nie było tu imprez takich jak w Biesiekierzu, ale często wieczorem ktoś wpadał do nas na pogawędkę. Zwłaszcza gdy zaczęły się jesienne słoty i coraz krótsze dni. Jednym z częstych gości był młody i sympatyczny mężczyzna o przezwisku Raj. Przewisko to powstało z pierwszych liter imienia i nazwiska. Nie pamiętam jak ono brzmiało ale Raja znali wszyscy, chłopak dał się lubić. Kiedyś wraz z piwem przyniósł 3 kufle. Powiedział, że to na pamiątkę. Gdy za 2 miesiące się rozstaniemy, te kufle przypomną wam Raja i spędzone wieczory, miłe – prawda? Kufel dawno po-

tłukł się w domu, Raj, jeśli jeszcze żyje, jest już starszym panem, ale ja pamiętam go takim jak wtedy.

Do grona naszych przyjaciół zaliczali się też 2 kierowcy, zięć i teść. Młody miał lat około 30, teść nieco ponad 50. Ze łzami w oczach opowiedzieli nam dziwną i wstrząsającą historię ze swego życia. Sprawa wydarzyła się zeszłego roku w lecie, była więc świeża i szczególnie bolesna, gdyż czas rany jeszcze nie zagoił.

Swym smutkiem chcieli się z kimś podzielić, może będzie trochę łzej. Taka już jest natura ludzka, zwłaszcza gdy smutny wieczór budzi wspomnienie a kieliszek wódki skłoni do zwierzeń. Zimą stulecia Kleszczewo zostało zasypane i komunikacja ze światem przestała funkcjonować. Akurat wtedy żona i córka naszych gości zaczęła rodzić. Trzeba było jakimś cudem dostać się do szpitala w Starogardzie, 15 km po zasypanych śniegiem drogach. Obaj byli zawodowymi kierowcami i pracownikami PGR. Dyrektor kombinatu pozwolił posłużyć się ciężkim traktorem z pługiem odśnieżnym. Po wielu trudach udało się w końcu dojechać do miasta. Od tamtego dnia upłynęło 3,5 roku. Dzieciak chował się dobrze i wyrastał na piękną dziewczynkę o złotych włosach, błękitnych oczach i buzi aniolka. W Kleszczewie, podobnie jak w innych ośrodkach PGRowskich, pracownicy mieszkali w kilku nowo pobudowanych 3 piętrowych blokach. Było lato i dzieci bawiły się na podwórkach. Pod wieczór podwórka opustoszały, ale dzieciak do domu nie wrócił. Rodzice zaczęli go szukać, ale nikt nie wiedział co mogło się wydarzyć. Gdy poszukiwania nie dały rezultatu zawiadomiono milicję.

Przyjechała grupa poszukiwawcza z psem. Pies tropu nie podjął, a poszukiwania nadal pozostawały bez efektu. Około północy postanowiono przerwać akcję aby zgromadzić więcej ludzi, zaangażować więcej środków i rozpocząć poszukiwania rano. Młodzi rodzice spać nie poszli, co w takiej sytuacji jest rzeczą normalną, ale dziadek położył się do łóżka. Jak sam twierdził jeszcze nie usnął, bo sen przyjąć nie chciał. Za dużo myśli i przypuszczeń kłębiło się w głowie.

Proszę pana – tłumaczył mi – ja nigdy nie byłem gorliwym katolikiem i w prawdy objawione nie bardzo wierzyłem. Do kościoła też prawie nie chodziłem, ale to co zobaczyłem nie było snem ani wyobraźnią. Teraz wiem z całą pewnością i nikt niczego innego mi nie wmówi. Ten dzieciak nagle zjawił się przede mną. Stał jak żywy, jak ja przed panem i powiedział: dziadku, ja jestem w wersalce u pana... (tu wymienił imię). Był to młody mężczyzna mieszkający samotnie w sąsiednim bloku. Pobiegłem po zięcia i powiedziałem mu – chodź ze mną, ja wiem gdzie ona jest. Chłopak niczego nie podejrzewając otworzył nam drzwi. Odepchnąłem go na bok i podbiegłem do wersalki. W środku leżało ciało wnuczki. Jak się okazało została zgwałcona i zamordowana.

Pedofil i zbrodniarz uważał, że będzie bezkarny, że nikt nie będzie go podejrzewał ani u niego szukał, bo skąd i na jakiej podstawie. Gdy wszystko ucichnie, on pozbędzie się ciała i szukaj wiatru w polu.

Kiedyś zaprosił nas na kolację do swego domu kierownik gospodarstwa w Kleszczewie. Niby nic nadzwyczajnego, ale świadczy o atmosferze w pracy i stosunkach międzyludzkich. Pogoda od kilku dni była nielotna. Z niskich chmur siał deszcz i na kwaterę zajrzała nuda. Jesienią coraz częściej zdarzały się takie przerwy. Skorzystaliśmy z zaproszenia, w ten sposób w miłym towarzystwie upłynął długi wieczór. Kierownik zaprosił na kolację również dwie młode panie nauczycielki z miejscowej szkoły. Rozmawialiśmy na różne tematy. Aktualnie sytuacja polityczno – gospodarcza była skomplikowana i nadal niepewna. Walka solidarnościowej opozycji z władzą przybrała ostre formy protestów, a władza odpowiadała wzmożonymi represjami, uciekając się często do brutalnej przemocy. W ostatnich dniach października porwano i zamordowano księdza Jerzego Popiełuszkę. Mord ten zbulwersował nie tylko Polskę, ale odbił się echem na całym świecie, byli jednak ludzie, którzy rację przyznali stronie partyjno – rządowej i gangsterskiej sforcie oprawców z bezpieki i ZOMO. Do takich polityków należały obie moje dyskusantki. Nie było sensu wdawać się w jałowy spór polityczny, jednak nie chciałem utwierdzić ich w przekonaniu, że się z nimi zgadzam. Powiedziałem, że ja jako 18 letni chłopak walczyłem ze zniewoleniem. Za swoje patriotyczne przekonania byłem więziony, przeszedłem trzyletnią katorgę, ale jako nauczyciel starałem się wychować dzieci i młodzież zgodnie z duchem wiary. Obie panie były bardzo oburzone, gdy powiedziałem, że prowadząc drużynę harcerską organizowałem zbiórki z demonstracyjnym marszem do kościoła. Tak jak oddział Hubala w ciężkich czasach okupacji, jak moja drużyna, gdy

sam należałem do harcerstwa. Panie bąkały coś o lojalności wobec władzy, odpowiedziałem, że taką lojalność nazywa się kolaboracją.

Zdenerwowałem je ostatecznie pytaniem – czego one chcą nauczyć powierzone im dzieci?

W połowie listopada zaczął padać mokry śnieg. Liczne jeziora pokryły się cienkim lodem, po którym bezradnie błądziły dzikie łabędzie. Na pewno niedługo odlecą na brzeg Bałtyku, a za nimi polecę i ja. Czarter zakończyliśmy, zgodnie z umową, 30 listopada. Warunki na krótki, bo zaledwie 20 minutowy, przelot do Gdańska nastąpiły dopiero 6 grudnia. Kurs doskonalący w Lisich Kątach już się rozpoczął. Zakończyły go egzaminy kontrolne KWT i KTP w połowie grudnia. Dyrektor Leja nie zapomniał o danej mi obietnicy. Dowiedziałem się, że jestem planowany na akcję zagraniczną z listy warszawskiej dyrekcji ZUA. Tak zakończyłem pomyślny i bogaty w wydarzenia rok 1984, siódmy rok pracy agrolotniczej.

Rok 1985 zacząłem obozem kondycyjnym w Jastrzębiej Górze. Na obóz pojechałem razem z żoną. Jastrzębia Góra jest najbardziej wysuniętym na północ miastem Polski. Położona na przylądku Rozewie graniczy z Władysławowem skąd zaczyna się Mierzeja Helska, miejsce szczególne pod względem geograficznym i historycznym. W tamtych latach Jastrzębia Góra nie była tak rozbudowana jak obecnie. Dzisiaj jest atrakcyjnym miastem turystyczno – wypoczynkowym dorównującym wielu bałtyckim kurortom.

Wtedy była to praktycznie osada ze skąpym zapleczem turystycznym. Zasypana śniegiem wyglądała sennie i nieciekawie. Jedynym okazałym budynkiem był Dom Wczasowy, w którym zamieszkaliśmy. Spacerowane ośnieżonymi plażami dobre były na początku turnusu, wkrótce się znudziły. Organizowano nam wycieczki do Gdyni, teatru muzycznego w Gdańsku oraz na Hel. W Jednostce Wojskowej Marynarki Wojennej korzystaliśmy kilkakrotnie z basenu kąpielowego. Zdaliśmy egzamin na kartę pływacką. W gdyńskim porcie wojskowym zwiedziliśmy wnętrze okrętu podwodnego. Wrażenie nie potrafię opisać. Nie wiem jak bym się zachował w warunkach bojowych, zamknięty w stalowym pudle gdzieś głęboko pod wodą, wstrząsany wybuchami bomb głębinowych, narażony w każdej chwili na zatopienie.

Najgorsze jest bierne oczekiwanie, ono rodzi strach. W samolocie nigdy podobnych skojarzeń nie przeżyłem. Wycieczki uatrakcyjniały nam pobyt. Na zakończenie zorganizowano kulig do lasu na zimowe ognisko. Niektórzy koledzy byli z żonami. Paniom przygotowano miejsca w dużych saniach, my na małych saneczkach powiązanych kolejno jeden do drugiego. Dwa takie składy zaprzężone w parę koni wystarczyły do zabrania wszystkich. Zabawa była świetna a bigos gorący, kiełbaski z różną i kieliszek wódki smakowały wyśmienicie.

Bezpośrednio z obozu pojechałem z żoną do Koszalina odwiedzić córkę Gosię u państwa Góreckich. Wrażeniami z wczasów dzieliliśmy się przez 3 dni a pani Basia do wieczornej pogawędki podawała ciągle świeżą kawę. Nigdy wcześniej tylu kaw nie piłem. Wkrótce okazało się jak oplakane miało to skutki. Z Koszalina pojechałem do Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej (WIML) w Warszawie na komisje lotniczo – lekarską w celu przedłużenia ważności licencji. Lekarz kardiolog stwierdził mocno podwyższone ciśnienie krwi. Zawsze miałem prawidłowe, dlatego nagły skok go zaniepokoił. Należało określić przyczynę, a ja oczywiście nie przyznałem się do 3 dniowej libacji z nadużywaniem kawy. W WIML na miejscu był duży szpital z klinikami. Położono mnie na dwutygodniową obserwację kardiologiczną. Przez własną lekkomyślność zafundowałem sobie dodatkowy urlop w szpitalu. Ale to był dopiero pierwszy etap. Dwa tygodnie „tortur” nie wykryły niczego. Gdybym się lekarzom przyznał na pewno by się sprawa wyjaśniła i nie trzymano by mnie tak długo. W tej sytuacji szukali nie wiadomo czego. Ciśnienie wróciło do normy i niezachwiane utrzymywało się na jednakowym poziomie. Po 2 tygodniach powtórnie stanąłem przed komisją. Ponieważ sprawa mego ciśnienia nie została wyjaśniona dano mi pozytywne orzeczenie, ale tylko na miesiąc. Ponadto codziennie musiałem chodzić do Ośrodka Zdrowia na pomiary kontrolne i z poświadczonymi przez lekarza wynikami zgłosić się na powtórne badania. Licencje przedłużono mi tylko na miesiąc. Potem następny wyjazd do Warszawy i następna komisja. Tym razem dano mi orzeczenie na 2 miesiące i co drugi dzień miałem robić w ośrodku badania kontrolne.

W połowie marca rozpocząłem pracę w czarterze Różewo pomiędzy Piłą i Wałczem.

Bardzo uciążliwe było przerywanie pracy aby wykonać w ośrodku zleczone badania. Tyle fatygi i



Wieczór na Milos



Sofia



i dalej do Saloniki



Airport Saloniki



W drodze do Afryki

utrapienia przez kilka kaw. Otrzymałem życiową nauczkę aby się byle czym nie truć. Obrabiałem pola 2 kombinatów Różewa i Jarczewa. Pola te sąsiadowały ze sobą i przylegały do miejskich terenów Piły. Kwaterę i lądowisko mieliśmy w Różewie, ale większość lotów roboczych wykonywaliśmy z podładowisk w poszczególnych gospodarstwach. W tym czasie latał ze mną mechanik Sławek Olszewski. Zwano go Piaskowym Dziadkiem, ponieważ podobnie do tego z bajki, posiadał jasne włosy, tego samego koloru bujna brodę i wąsy. Był młodym mężczyzną, ale wyglądał jak pustelnik. Usposobienie miał bardzo łagodne i zycziwe.

Nigdy się nie złościł, zawsze był pogodny i uśmiechnięty. 13 kwietnia lataliśmy w miejscowości Doloszewo. Lądowisko położone było na niewielkiej górcie. W kierunku zachodnim teren łagodnie obniżał się ułatwiając start, ale 500 m dalej zaczynało się zbocze Dąbrowej Góry wznoszącej się stopniowo kilkaset metrów ponad poziom lądowiska. W połowie zbocza biegła linia wysokiego napięcia. Betonowe słupy podtrzymywały 3 przewody elektryczne grubości palca. Podobne do tych jakie ściałem w Egipcie. Antonow w linii lotu mierzy 6 m wysokości, natomiast druty wiszą niewiele wyżej. W terenie płaskim byłaby szansa zmieścić się pod drutami, ale pod zbocze nie da rady. Odległość 1000 m powinna wystarczyć do przelecenia ponad linią, tylko, że my wozimy dzisiaj „Kajnit”, wieloskładnikowy nawóz, ciężki jak kamień.

Z pełnym zbiornikiem samolot nie oderwie się nawet od ziemi. Oszacowałem ciężar na oko. 2/3 zbiornika powinno wystarczyć. Kazałem przerwać dalszy załadunek. Spojrzałem jeszcze raz w stronę linii. Facet, który nad morzem trzymał zerwane pokrycie, tym razem zadał mi pytanie. Co zrobisz jeśli się nie zmieścisz?

Może to była intuicja? Antonow nie posiada zrzutu awaryjnego. Zaryjesz nosem w ziemię. Zobaczymy! Z górki samolot oderwał się prawidłowo. Nad dolinką przeszedł na wznoszenie, ale w takim samym stopniu wznosiła się pod kołami ziemia. Wykonanie zakrętu z tą prędkością i na wysokości 2 m było niemożliwe. Przerwanie lotu i lądowanie pod stok również nie wchodziło w rachubę. Otworzyłem wysyp nawozów, ale wysiew ustawiony na małą dawkę nie gwarantował istotnego obniżenia ciężaru. Mimo to samolot powoli się wznosił, linia również była coraz bliżej. Już wiedziałem, że nad linią nie przejdę. Pozostał tylko gest rozpacz. Gdy zobaczyłem druty przed śmigłem oddałem wolant. Samolot zanurkował. Ułamek sekundy i zderzę się z ziemią. Pociągnąłem wolant do siebie. W tym czasie druty miałem już ponad głową. Samolot przechodząc na wznoszenie obniżył ogon na tyle, że statecznik pionowy przeszedł pod linią. Byłem 1 m nad ziemią, ale wysokość zaczęła zdecydowanie rosnać. Zamknąłem wysiew i poleciliśmy nad pole. Sławek powiedział, że był to majstersztyk ewolucji, jednak ja wiedziałem, że nie było to tylko moja zasługa. W grze znów wypadł orzeł dzięki facetowi, który z czyjegoś polecenia był zawsze przy mnie. Mam przed sobą jeden z ostatnich numerów gazety „Polityka”, a w nim olbrzymi artykuł pod tytułem „Raport o religii w szkołach”. Artykuł ten to wielki ateistyczny pamflet obrażający uczucia i wiarę. Między innymi, dla przykładu, autorka podaje czyjaś wypowiedź – Jestem ateistą żyjącym konformistycznie. Wykonuję te puste gesty bo tak łatwiej z dziadkami, babciami, rodzicami. Liczę na to, że ateizm stanie się powszechny i ludzie przestana udawać katolików.

A może, młody człowieku, gdy pożyjesz dłużej i zbierzesz chociaż część życiowego doświadczenia babci i dziadka, zastanowisz się czy to nie oni mieli czasem rację. Czy te puste gesty nie są czasem formą podziękowania za łaskę życia, komuś komu winienesz przynajmniej szacunek.

W połowie maja licencja znowu traciła ważność z powodu głupiej kawy i znowu poszedłem do WIML na badania. Tym razem otrzymałem orzeczenie na okres 4 miesięcy. Lekarze jeszcze nie ufali mojemu ciśnieniu, a ja nie starałem się niczego wyjaśniać. Przed wylotem do tropiku musiałem wykonać dodatkowe badania w Przychodni Chorób Morskich i Tropikalnych w Gdyni. Ostatniego maja odwołano mnie z czarteru z poleceniem wyjazdu do Warszawy w związku z wylotem na akcję zagraniczną do Egiptu. Najpierw wezwano Mie do Gdańska w celu załatwienia pary formalności. Oblatałem też przygotowany dla mnie samolot. Był to AszoKruk ze znakami SP-ZAY, w procedurze frazeologicznej Sierra Papa Zulu Alfa Janki.

Gdy ja załatwiałem sprawy w Gdańsku, a następnego dnia w domu pakowałem się do podróży, inny pilot odprowadził samolot do Warszawy na lotnisko Babice.

Czasu do wylotu pozostawało niewiele. 1 czerwca w Gdańsku, 2 w domu, 3 w Warszawie. W następnym dniu załatwiłem resztę formalności i przeprowadziłem swój samolot z Babc na Okęcie. 5 czerwca 1985 r. wystartowaliśmy grupą 5 samolotów w kolejną podróż przez góry i morza. Trasa niewiele różniła się od zeszłorocznej. Antonow lidera prowadził 4 AszoKruki. Ja leciałem na pozycji 3. Dlatego zdjęcia które wykonałem nie obejmują całej grupy. Pierwsze odcinki drogi Warszawa, Kraków, Budapeszt, Sofia, Saloniki zajęły nam tydzień trasa do Syrii prowadziła w lewo przez Rodos i Cypr. My lecieliśmy prosto na południe. Teraz następnym etapem była wyspa Milos na Morzu Egejskim. Inne grupy leciały przez sąsiednią Santorini. Obie wyspy miały kształt półksiężyca otwartego od strony zachodniej. Były to wygasłe wulkany, których kratery zalało morze. W ten sposób powstały atole z wejściem do portowej zatoki i oryginalna zabudowa miasta położonego na półkolistej wyspie. Miasto zajmowało tylko północną część księżyca. Na przeciwległym krańcu było lotnisko, resztę wyspy stanowiły skały, między którymi wiała się szosa łącząca lotnisko z miastem i portem. Łączność wysp ze stałym lądem zapewniała komunikacja promowa i lotnicza. Wyspy były namiastką turystycznego raj. Ew też nie brakowało ponieważ na plażach nudystów opalały się nie tylko piękne dziewczyny w stroju co najwyżej toples. Woda w morzu była zadziwiającej czystości. Stojąc na niewielkim molo można było obserwować dno jak gigantyczne naturalne akwarium. Na głębokości kilku metrów rosły dziwne wodorosty, wśród nich uwijały się kolorowe ryby i inne żyjące stwory. Co chwila wpływały i odpływały, jak małe łodzie podwodne, ryby ponad metrowej długości. Patrząc można było w nieskończoność, ale plaże, miasto i nabrzeżne kafejki też nęciły swym urokiem.

W jednej z nich zajęliśmy stoliki pod parasolami i racząc się zimnym piwem oglądali cuda natury przy promieniach zachodzącego słońca. Zdjęcia zatytułowałem „wieczór na Milos”. Opis zbyt techniczny, wystarczy popatrzeć. Rano pomiędzy labiryntem wąskich uliczek i białych domków pojechaliśmy na lotnisko. Z uroczego Milos do Iraklionu na Krecie lecieliśmy tylko godzinę. Kreta to dziedzictwo mitologicznego króla Minosa, potwora Minotaura, który pożerał dziewice, wyspa labiryntu, Dedala i Ikara. Stąd obaj uciekli na wykonanych z piór i wosku skrzydłach. Mitologia i stara grecka kultura. Przez wieki była drogowskazem i natchnieniem dla następnych pokoleń. Dzisiaj również trudno się jej oprzeć, zwłaszcza wtedy, gdy stanie jak żywa przed oczami. Wtedy człowiek nie wie, czy była to prawda czy bajka. Podobno w każdej bajce jest coś z prawdy. Po zatankowaniu samolotów poleciliśmy dalej. Przez morze do Aleksandrii. Jeszcze tego samego dnia, 14 czerwca, przelecieliśmy do Benha.

Samoloty zostały w bazie, a nas samochodem przewieziono do Damanhuru w rejonie Aleksandrii, gdzie mieliśmy wykonać usługi wynikające z kontraktu. Na razie jednak trzeba było poddać się 2 tygodniowej aklimatyzacji. Baza Damanhur była już całkowicie zagospodarowana. My przybyliśmy ostatni. Ponad 20 samolotów PZL 106 – AszoKruk, czekało na rozpoczęcie prac. Mechanicy dokonywali ostatnich przeglądów, piloci ćwiczyli loty wprowadzające WWA. Słońko doszło już do Zwrotnika Raka przechodzącego przez Egipt i grzało w makówy prosto z zenitu. Podczas dni wolnych jeździliśmy na plażę do Aleksandrii. Woda była podgrzewana i bardzo słona, a fale wysokie nawet przy bezwietrznej pogodzie. Po 2 tygodniach odbyłem programową praktykę w lotach WWA i sprowadziłem swój samolot z Benha do Damanhuru. Nadal był w kolorze biało – niebieskim, ale zamiast polskich znaków na stateczniku, namalowaną miał flagę egipską i litery SU – BIN. My również otrzymaliśmy dokumenty w języku egipskim. Władze wydały zarządzenie aby prace agrolotnicze prowadziły firmy egipskie. Prawo jest jak słup. Przeskoczyć go się nie da, ale obejść można z każdej strony. Powiedział to kiedyś minister Krawczyk w polskiej telewizji. Bazy podporządkowano ministerstwu rolnictwa egipskiego a samoloty i pilotów przemalowano. W ten sposób zostałem na jakiś czas Egipcjaninem z arabską licencją. Czego się nie robi dla władzy?

Od początku lipca zaczęliśmy ganiać nad polami bawełny, omijając palmy daktylowe i przeskakując druty. 10 dnia nieprzerwanej pracy latałem w rejonie Kherbety. Koło południa miałem już wykonanych 8 lotów w czasie ponad 4 godzin. Przed 9 lotem wynikła krótka przerwa spowodowana brakiem paliwa. Paliwo było już w drodze, należało tylko poczekać kilkanaście minut. Z jednego lotu obrabiało się kilka pól, nie wolno było się pomylić. Z mapy w ręku rozplanowałem kolejność zabiegów, zapamiętując teren i ułożenie pól dla łatwiejszej ich identyfikacji. W jednym miejscu 2 pola rozdzielał niewielki kanał. Poza

kanalem był już nie mój rejon. Ostatnie pole bawełny leżało przy lądowisku. Pomyślałem, że przed oczami inspektorów muszę popisać się kunsztem pilotażu. Lecieć niziutko, tylko muskając kołami wierzchołki roślin. Smuga musi być wyraźna i ciągła, a kolejne przejścia precyzyjne jak narysowane przy linii i niezachodzące na siebie. Zbiornik wypełniony chemikaliami grzał się w słońcu, zatankowane przez mechanika paliwo również.

Wystartowałem czując się rześki i wypoczęty. Stres, jaki towarzyszył mi w pierwszym dniu pracy dawno minał, a jego miejsce zajęła pewność siebie. Do pracy w Egipcie zdążyłem się przyzwyczaić i sądziłem, że żadne niebezpieczeństwo mi nie grozi. Bardzo się myliłem. Pierwsze pola odnalazłem bez trudu. Gdy opryskałem pole leżące po jednej stronie kanału i chciałem polecieć na następne, ludzie zgromadzeni poza kanałem zaczęli dawać mi znaki abym opryskał drugą część. Z mapy wynikało co innego, ale dlaczego pole oznakowano chorągiewkami i postawiono robotników?

Pole nie było duże, tylko parę przejść. Zrobiłem zejście, ludzie odeszli i stanęli z boku. Okazało się, że pola pomyliłem i długo nie mogli ustalić kto ma za to zapłacić. Po opryskaniu tej części poleciałem na bawełnę przy lądowisku. Po przeciwnej stronie, na polu zalanym wodą, rósł ryż. Wykonałem prawidłowe podejście i jak po sznurku pomknąłem dotykając kołami uprawy. Na końcu pola odciąłem dopływ cieczy i wyskoczyłem do góry na 50 m w proceduralnym zakręcie. Po wykonaniu zakrętu zacząłem podchodzić do drugiego przejścia, gdy nagle straciłem przytomność. Przypominam sobie, że w pewnym momencie odczułem jak samolot przechyla się ze skrzydła na skrzydło. Pomyślałem nawet, że pilot, który go prowadzi nie potrafi latać. Może było to tylko złudzenie, może faktycznie stery przejął drugi facet, który mi ciągle towarzyszył, ale jeszcze nie nauczył się latać Krukiem.

Potem czułem, że gdzieś mnie niosą, coś mnie boli. Na dobre obudziłem się w szpitalu późną nocą. Byłem obandażowany i pozszywany jak stare kalesony. Koło mnie był polski lekarz, który poinformował mnie o wypadku. Odpowiedziałem, że wiem co się stało, tylko nie potrafię wytłumaczyć dlaczego. Zatrutem się chemikaliami, ale w jaki sposób i kiedy, tego nie wiem. Lekarz powiedział, że niektóre fakty będę sobie przypominał dopiero później. Leżałem na jakiejś sali odgradzony parawanem od innych pacjentów. Rano przyszli z ministerstwa rolnictwa panowie aby mnie odwiedzić i zobaczyć jak się czuję. Byli bardzo sympatyczni, ubrani nie w galabije lecz elegancko skrojone garnitury. Przynieśli w prezencie duże pudełko ładnie zdobionych ciastek. Ciastka te oddałem potem pielęgniarce ponieważ ja jeść niczego nie mogłem i nie chciałem. Panowie zapytali jak się czuję.

Rozmawiali po angielsku. Tłumaczył lekarz. Odpowiedziałem, że dobrze, tylko jest mi przykro, że nie wykonałem powierzonej mi pracy. Gdy wyzdrowieję, a panowie poproszą mnie, to zadanie dokończę. Uśmiechnęli się i powiedzieli, że zaproszenie już mi składają. Życzyli, abym szybko doszedł do zdrowia. Do dziś się zastanawiam, czy polskich dygnitarzy ministerialnych stać by było na taki gest. Gdy podczas nawrotu urwał mi się film, tak jak kiedyś na karkonoskiej fali, samolot niesterowany zderzył się z ziemią pod kątem nie większym jak sądzę niż 30 stopni. Wskazuje na to stosunek wysokości do przebytej odległości, czyli tangens kąta zderzenia. Upadek nastąpił na polu ryżowym i miękki grunt zamortyzował uderzenie. O tym, że nie był to korkociąg świadczą części samolotu oderwane i rozrzucone na wprost przed siebie. Silnik leżał 50 m przed wrakiem, trochę bliżej zbiornik na chemikalia, następnie samolot ze złożonymi do przodu skrzydłami. Ja byłem przypasany. Podczas zderzenia pękły pasy plecowe a całą siłę przejęły pasy brzuszne. Twarzą uderzyłem w tablicę przyrządów. Połamałem nos i doznałem licznych obrażeń głowy. Jakiś drut wbił mi się pod gałką lewego oka. Tylko cudem uniknąłem ślepoty. Pasy brzuszne złamały mi kilka żeber, pękła miednica i uszkodził się staw biodrowy prawej nogi.

Ponadto miałem rany na rękach i nogach, rozbity prawy łokieć, lewe kolano i uszkodzona kostka prawej nogi. Oprócz obrażeń chirurgicznych bardzo groźne były powikłania neurologiczne spowodowane działaniem toksycznych środków chemicznych. Szans na dalsze latanie raczej mi nie wróżono. Arabowie pracujący na lądowisku wyciągnęli mnie z kabiny i nieprzytomnego ponieśli do karetki pogotowia, która przyjechała bardzo szybko. Musieli przenosić mnie przez szeroki kanał zanurzeni prawie po szyję w wodzie. Właśnie wtedy ból wybudził mnie z omdlenia, ale całkowitej przytomności nie przywrócił. Egipcscy lekarze korzystając z naturalnej narkozy, nie czekali aż się obudzę tylko natychmiast opatrzyli me rany i pozszywali.



Samoloty rolnicze i mój rozbity „Kruk”

Tylko nos wymagał operacyjnego nastawienia połamanych kości. Za 3 dni zrobili to pod narkozą. Po operacji zawieźli mnie na dużą ogólna salę. Gdy się obudziłem pozdrawiało mnie machaniem ręki ponad 20 osób. Zainteresowanie wzbudziłem z 2 powodów, jako Polak i jako lotnik. Wszyscy okazali mi sympatię, a gdy przeniesiono mnie do pojedynczego pokoju przychodzili w odwiedziny. Jeden z nich nakazał swej żonie, aby co dzień przynosiła mi świeżą herbatę. Początkowo obawiałem się, że mogę mieć z tego powodu nieprzyjemności. Cudzoziemiec i arabska kobieta, ale gdy wkrótce przyszła razem z mężem, uśmiechniętym i sympatycznym obawy moje zniknęły. Nie potrafiłem się z nimi rozmówić. W pewnych sytuacjach słowa są zbędne. W moim pokoju często gościły pielęgniarki. Przychodziły nie tylko w sprawach służbowych. Śmiały się, o czymś opowiadały, ale ja ich nie rozumiałem. Kiedyś lekarz, bardzo przystojny młody mężczyzna, zapytał czy rozumiem co do mnie mówią. Z kilkunastu angielskich słów wywnioskowałem sens zdania. Odpowiedziałem, że nie rozumiem. Śmieją się tak dlatego, że chcą pojechać do Polski jako moje żony. Wiadomo, że był to żart, ale trzeba było coś odpowiedzieć.

Powiedziałem, że wszystkie są piękne, ale ja mam żonę równie piękną, rasową blondynkę – sała sała Marilyn Monroe. Jako katolik nie mogę mieć więcej żon chociaż bym chciał. Widocznie zrozumiały, bo zaczęły się śmiać i odrzekły, że one także żartują, a za nadmierne spoufalanie się poniosłyby surowa karę łącznie ze mną. Przedstawiły mi się wszystkie, ale zapamiętałem tylko 2 imiona Leilla i Omajla.

Często odwiedzali mnie koledzy, ale najwięcej zawdzięczam kucharzowi. Był arabem i muzułmaninem. Gotował bardzo dobrze, według zasad polskiej kuchni. Codziennie przynosił mi obiad. Dzięki temu szybko wracałem do zdrowia i po 2 tygodniach pobytu w szpitalu w Kom Hamadzie postanowiono przewieźć mnie na dalsze leczenie do WIML – u. na lotnisku Okęcie czekała na mnie karetka i żona. W samolocie LOTu opiekował się mną kolega, który również wracał do kraju. Nie leżałem na noszach lecz wsparty na jego ramieniu pomału usiłowałem chodzić. Uszkodzony staw biodrowy postanowiono operować po uprzedniej konsultacji z profesorem ortopedii. Profesor zdecydował, że na operację będzie czas później. Na razie mam chodzić wsparty na 2 kulach. Nogi nie obciążać, lecz symulować pracę stawu tak jak przy normalnym chodzeniu. Pęknięcie powinno się zrosnąć, a ruchy

panewki stawowej maja nie dopuścić do przerostu tkanki kostnej i zablokowania stawu.

Na sąsiednim łóżku leżał wysoki i przystojny mężczyzna. Chorował na kamienie nerkowe. Był mężem lekarki pracującej w WIML – u a z wykształcenia doktorem chemii i nauczycielem akademickim, uprawiał również sporty hipiczne.

Mając spory nadmiar wolnego czasu rozmawialiśmy na różne tematy. Kiedyś zwierzyłem się, że z własnych winogron i innych owoców robie wino sposobem domowym na potrzeby rodziny, ale mam problem natury chemicznej. Według mnie tkwi tu oczywista sprzeczność. Chodzi mianowicie o pytanie, czy alkohol wytwarzany podczas naturalnej fermentacji jest trucizną, tak jak określają to liczne publikacje. Z jednej strony reklamuje się różne napoje nisko i wysoko alkoholowe, sprowadza się renomowane wina. Przecież alkohol oddestylowany z takiego wina jest bimbrem i trucizną. Koniak dla przykładu jest destylatem winnym a więc jest bimbrem.

Jest więc trucizną, czy nie jest? Czy podczas destylacji zmienia się jego skład chemiczny? Naukowiec odpowiedział mi krótko i węzłowato – w procesie fermentacji powstaje tylko alkohol etylowy. Metanol otrzymuje się na zupełnie innej drodze. Natomiast propaganda antybimbrowa ma na celu zastraszenie ludzi aby nie konkurowali z państwowym monopolem. Jeżeli nie wiadomo o co chodzi, to wiadomo, że chodzi o kasę. Pani doktor codziennie odwiedzała męża i w ten sposób się poznaliśmy. Podczas badań neurologicznych mających na celu stwierdzenie czy chemikalia uszkodziły system nerwowy, zamierzano wykonać mi punkcję kręgosłupa.

Pani doktor po przyjacielsku odradziła poddanie się temu zabiegowi. Powiedziała, że bez mojej zgody punkcji nie wykonają, a to nie jest bezpieczne a tym bardziej konieczne. Wykonano mi tomograf komputerowy i żadnych nieprawidłowości nie stwierdzono. Badania laryngologiczne wykazały znaczny ubytek słuchu i zaburzenia równowagi skompensowane odśrodkowo. Nie wiem co to znaczy i jaki ma związek z wypadkiem.

Gdy ja leżałem w szpitalu żona zajmowała się sprawami zezwolenia na budowę.

Gmina i tym razem podanie załatwiła odmownie. W Wojewódzkim Wydziale Geodezji pracowała szkolna koleżanka żony Zosia Szczodrowska. Tak się złożyło, że znałem się z jej mężem. Kiedyś razem uczyliśmy w szkole budowlanej. Dzięki tym znajomościom udało się zmienić decyzje naczelnika gminy, ale działkę nabytą wcześniej musieliśmy oddać rejentalnie córce Grażynie. W odwołaniu skierowanym do geodezji żona argumentowała prośbę w ten sposób, że mieszka kątem przy rodzinie, korzystając do czasu z łaski teściowej. Sama posiada małe gospodarstwo rolne lecz pracę na nim utrudnia odległość i brak możliwości dojazdu. Prosi o zezwolenie na pobudowanie własnego domu na własnej ziemi. Resztę załatwiła pani Zosia. Wiedziała do kogo z tym pójść i co dalej mówić. Żona nawiązała kontakt z panią architekt, która opracowała pełną dokumentację budowlaną. Mieliśmy działkę, mieliśmy zezwolenie i projekt. Teraz należało zgromadzić materiały, a to nie było łatwą sprawą. W Polsce brakowało wszystkiego, wapna, cementu, cegły. Tylko żwir i piasek był dostępny ponieważ występował na teściowej gospodarce.

W szpitalu przebywałem 2 miesiące. Nie znaczy to, że byłem już zdrowy. Chodziłem jeszcze o kulach i każdy źle postawiony krok powodował ból w biodrze. Po miesiącu zamieniłem kule na laskę. Mogłem już nawet wykonywać pewne prace. Przed Bożym Narodzeniem otrzymaliśmy zawiadomienie z wytwórni suporeksu w Solcu Kujawskim, że możemy odebrać zamówioną ilość pustaków pod warunkiem, że odbierzemy go własnym transportem w nieprzekraczalnym terminie do końca roku. Sprawa była bardzo pilna i okazyjna. Okazało się, że jakiś kontrahent wycofał się z zamówienia i dzięki temu otrzymaliśmy przydział poza kolejnością. Nikt przed nami nie był w stanie sprostać narzuconym warunkom. Pojechaliśmy z żoną do wytwórni osobiście zaraz po Świętach. Przed budynkiem stała długa, ponad kilometrowa kolejka samochodów ciężarowych oczekujących na załadunek. W biurze powiedziano nam, że ostatniego grudnia kończą się roczne rozliczenia i zamyka się bilans. Od 1 stycznia obsługiwani będą klienci z kolejki na rok następny i jeśli towaru nie zabierzemy to nie otrzymamy go w roku przyszłym. Poszliśmy prosić kierowców, ale wszyscy byli zajęci i nikt nie dał nam szans na najbliższe dni. Poszliśmy jeszcze raz do biura, ale nie chciano z nami nawet rozmawiać. Staliśmy z żoną na korytarzu smutni i bezradni. Przechodził koło nas jakiś pan, sympatyczny i elegancki. Za-

pytał czym się martwimy? Myślę, że był to ten facet, który pomagał mi w beznadziejnych sytuacjach, bo kogo innego obchodziłby czyjś problem? Kto inny zainteresowałby się parą obcych ludzi? Pan ten wysłuchał nas i powiedział: „Idźcie do dyrektora.”

Dyrektor okazał się człowiekiem wyrozumiałym i uczynnym. Wysłuchał nas z uwagą, następnie zadzwonił do biura i polecił urzędnicze, która nas wcześniej spławiła, aby przesunęła termin odbioru na 3 dni po nowym roku. Pani ta energicznie zaprotestowała, zaczęła stwarzać następne trudności. Dyrektor jej przerwał – Proszę ze mną nie dyskutować tylko wykonać polecenie.

Na wyznaczony termin umówiliśmy aż 3 kierowców olbrzymich Jelczów z przyczepami. Pustaki w ilości 3 000 sztuk kupiliśmy, a zlecenie odbioru otrzymali kierowcy. Za kilka dni samochody przywiozły suporeks do Proboszczewic. Żona zamówiła do pomocy 3 kolegów z pracy. Przyszedł też szwagier Lucek i Marek.

Brakowało jeszcze 2 pomocników. Żona wysłała mnie do sąsiada po jego 2 synów, z którymi wcześniej uzgodniła pracę przy rozładunku, ale ojciec chłopaków nie wyraził zgody. Powiedział, że synowie sami nie dadzą rady rozładować tylu ton ciężaru. Na moją uwagę, że jest 6 ludzi ze mną odparł ironicznie – Pan nawet jak był zdrowy to się do niczego nie nadawał.

Stare przysłowie mówi, że „wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi”. Pochwały za pracę miałem w więzieniu, w wojsku, na kursach szybowcowych, w pracy szkolnej, w fabryce PZL a nawet niedawno na akcji zagranicznej w Syrii. Myślałem, że się do czegoś nadaję i pracy się nie lękam, tymczasem sąsiad wyprował mnie z błędu. Na pewno wie on to od mojej najbliższej rodziny, przecież rodzina zna mnie najlepiej i wie, że jestem leń i nieudacznik. Kiedyś po kilku latach spotkaliśmy się. On szedł szosą a ja pracowałem przy utwardzaniu drogi dojazdowej. Wtedy sąsiad zweryfikował swe poglądy. Powiedział – Pan to zawsze musi coś robić.

Widzi pan sąsiedzie, znaczy, że się do czegoś nadaję. Na pewno nie zrozumiał aluzji, pewnie zapomniał. W sumie na chorobowym byłem 8 miesięcy. W pierwszej połowie marca 1986 r. stanąłem przed komisją lotniczo – lekarską celem określenia zdolności do dalszej pracy w powietrzu. Badanie przeszedłem ale neurolog bał się wziąć na siebie odpowiedzialności. Twierdził, że uraz neurologiczny może w każdej chwili objawić się pod postacią nagłych zaburzeń. Zadzwonił do komendanta WIML – u, przedstawił moją sytuację i swoje obiekcje oraz zażądał konsultacji z innym specjalistą.

Drugi lekarz powtórzył wszystkie badania łącznie z tomografią komputerową i też nie znalazł niczego niepokojącego. Decyzja przewodniczącego komisji zostałem dopuszczony do latania na okres 2 miesięcy. Wysłano mnie do czarteru Kurowo koło Łeby pod opieką instruktora Jana Matei. Po wykonaniu kilkunastu lotów z instruktorem na wznowienie nawyków zaliczyłem kontrole techniki pilotażu KTP na AN–ie i na Kruku i 27 marca rozpocząłem samodzielną pracę w czarterze Józefowo koło Złotowa. Obrabiałem jednocześnie pola w kombinacie Borucino niedaleko Okonka. Były to tereny zajęte przez bazy i poligony wojsk sowieckich. Latałem nad ich koszarami, zaglądałem niemal do okien. Żołnierze sowieccy czasem pracowali na PGR – owskich polach, ale ze mną się nie kontaktowali. Najprawdopodobniej mieli taki zakaz. Po pracy odlatywałem do Józefowa. Tam mieliśmy kwaterę, stołówkę i całą bazę. Pracowałem z mechanikiem Kazimierzem Paluszkiewiczem. W poprzednim czarterze Kazio miał manko w magazynie paliwowym. Z tego powodu prowadzenie magazynu paliwa powierzono mnie. Pracowało nam się bardzo dobrze gdyż Kazio był spokojnym człowiekiem i tak jak ja bezkonfliktowym. Po następnych badaniach lekarskich przedłużono mi ważność licencji na okres 3 miesięcy. Powróciłem do czarteru i latałem nadal.

W tym czasie żona rozpoczęła budowę domu. Załatwiła potrzebne materiały, w tym bardzo dobrą cegłę i zgodziła murarzy do pracy. Waldek Pawlak był z Proboszczewic, drugi murarz, Henryk Janowicz mieszkał w Płocku. Praca postępowała szybko. Na początku maja wykopano i zalano fundamenty. W czerwcu przytępiono do stawiania murów z cegły palonej. Od środka wykładano mur suporeksem. Przy budowie nieoceniona pomoc okazał nam teść. Prowadził nadzór budowlany, własnym transportem dowoził materiały oraz dał nam żwir i piasek.

W czerwcu Gosia ukończyła Liceum Plastyczne i złożyła dokumenty na studia do Gdańska. Maturem miała bardzo dobrą, przygotowanie artystyczne wyróżniające.

Wszyscy uważali, że zostanie przyjęta. Stało się jednak inaczej. Córka rozczarowała się i zniechęciła. Dostali się dużo słabsi i pod każdym względem gorsi, ale mieli lepsze poparcie i układy.

Gdy pod koniec czerwca przyjechałem do domu stała już pierwsza kondygnacja i zalewano werbunki pod drugą. Letni urlop i każdą przerwę w pracy wykorzystywałem na pomoc przy budowie. Do pomocy włączały się również obie córki.

W sierpniu przedłużono mi licencje do końca roku. Po wypadku pozostały już tylko blizny.

Do końca września murarze zakończyli prace a ich miejsce zajęli cieśle i blacharze.

Gosia po nieudanej próbie dostania się na studia plastyczne rozpoczęła pracę w Muzeum Mazowieckim w Płocku, a Grażyna przedstawiła nam swojego narzeczonego. Żona pracując w bazie produkcyjnej Instalacji miała okazję zakupić pewne materiały potrzebne do wyposażenia domu. Dyrektor poszedł jej na rękę i po ulgowych cenach, z jakich korzystali pracownicy, sprzedał wyposażenie do centralnego ogrzewania i instalacji wodno – kanalizacyjnej. Piec zakupiliśmy w Koszalinie przy pomocy pana Michała Góreckiego jeszcze wiosną, gdy Gosia była na stacji. Do końca listopada dom został wykończony łącznie z tynkami i wszystkimi instalacjami: centralne ogrzewanie, woda, światło i kanalizacja. Pozostało jeszcze wykopanie szamba i studni, ale z tym trzeba było wstrzymać się do wiosny.

Surowe mury i tynki należało podsuszyć aby nie dopuścić do zamarznięcia. W tym celu z nastaniem zimy uruchomiliśmy centralne ogrzewanie. Sami mieszkaliśmy jeszcze u mamy.

Praca w czarterze Józefowo dobiegała końca. W sezonie 1986 wykonałem ponad 2000 lotów w czasie 317 godzin. Wypadek pozbawił mnie licencji szybowcowej.

W czasie choroby i w okresie rekonwalescencji moja licencja szybowcowa utraciła ważność. Później nie miałem czasu ani możliwości aby spełnić wymagane warunki do jej wznowienia i tak już zostało. Ostatni diament, a zarazem najwyższe trofeum sportowe szybownictwa, pozostało w sferze wspomnień. Dopóki posiadałem licencję i wykonywałem kilka lotów rocznie, dopóty była nadzieja, teraz zrezygnowałem również i z tego. Latanie Agro było ekscytujące i obfitowało w liczne przygody, ale wrażenia te były zupełnie inne. Gdy wykonuje się tysiące lotów, z pozoru podobnych do siebie, popada się w rutynę i przestaje myśleć. Start, kilka przejść nad polem i lądowanie. Wszystkie czynności zautomatyzowane. Samolot lata sam, a uwagę i myśli pilota zajmują inne sprawy. Nawet na podejściu do lądowania, nawet podczas wyrównania i przyziemienia głowa zwrócona jest na bok ponieważ ktoś akurat przyjechał, przywieziono obiad lub dodatkowe przyczepy z nawozami. Latanie pod liniami wysokiego napięcia stało się normą, bynajmniej nie dla przyjemności lub brawury, lecz z potrzeby. Zamiast przerywać oprysk przed linią, a potem wykonywać poprzeczne krosy, prościej i prędzej jest przelecieć pod drutami. Do tego bardziej nadawał się Kruk niż Antonow. Obiad na pole przywożono gdy pracowaliśmy na dalszych podlądowiskach. Na lądowisku bazowym robiliśmy godzinna przerwę i szliśmy na stołówkę. Mechanik zablokował pasami drążek sterowy i założył ustalacze na lotki aby zabezpieczyć je przed wiatrem. Po obiedzie wskoczyłem do kabiny i zwolniłem zablokowane stery. Samolot był załadowany i stał gotowy do startu. Zanim przyjdą robotnicy ja zdążę wysypać nawóz na pole. Pełen gaz i start.

O tym, że mam zablokowane przez ustalacze lotki dowiedziałem się gdy chciałem wykonać pierwszy zakręt. Sytuacja stała się bardzo poważna i niebezpieczna.

Ubiegłego roku Antonow ze szczecińskiego oddziału ZUA wpadł do jeziora w podobnej sytuacji. Lepsze jezioro niż las, który był pode mną. Pierwsza zasada, nie wpadać w panikę. Na razie samolot leci po prostej. Pozbycie się nawozów gdzieś nad lasami nie było rzeczą trudną. Stopniowo je wysiałem, ale co robić dalej?

Model potrafi wykonać zakręt samym sterem kierunku, tylko, że samolot nie jest modelem, on ma zupełnie inne zasady stateczności. Wychylając sam ster kierunku wprowadzę Kruka w ślizg, z którego nie będę mógł go wyprowadzić. Było po żniwach i nie wszystkie rżyska zostały zaorane. Odleciałem od lądowiska bazowego około 10 km. Lasy się skończyły a przede mną złociło się w blasku słońca około 100 hektarowe rżysko. To jest jedyna okazja, druga taka może się nie trafić. Antonowem chyba bym się nie odważył, kapotaż byłby bardzo prawdopodobny. Kruk miał koła bardziej wysunięte do przodu, dzięki temu bardziej obciążony był ogon. Robiłem już Krukiem różne piruety na śliskiej nawierzchni i byłem pewien, że prędzej połamię podwozie niż przeleci na plecy. Rżysko może być miękkie ale na pewno jest

równe i bez przeszkód. Lądowanie odbyło się bez komplikacji. Nie wyłączyłem silnika, zdjąłem z lotek ustalacze i po prostej wystartowałem do lotu powrotnego. Nikomu oczywiście nie pochwaliłem się swoją bezmyślnością, nieuwagą i tym, że tona nawozów zamiast na pole poszła do lasu. Innym razem wykonywałem nawrót w kierunku na zbocze góry. Obciążony samolot i tylny wiatr spowodowały, że promień zakrętu okazał się większy niż moja odległość od zbocza. Zupełnie jak kiedyś Ś.P. Kazik Bera. W nadleśnictwie Manowo. Tylko on wtedy nie posiadał zrzutu awaryjnego. Gdy byłem pewien, że przed zboczem nie wyrobię, nacisnąłem przycisk zrzutu i nawozy w ciągu sekundy poszły w dół. Samolot pozbawiony ciężaru wyskoczył do góry, dodałem gazu i bezpiecznie ominąłem wysoka przeszkodę. Naraziłem gospodarstwo na pewną stratę, ale stawką w tej grze było życie.

Jesienią, gdy słoty, mgły i wiatry nie należały do rzadkości, a rośliny na polach domagały się pożywienia, przytrafiło mi się kilka razy błądzić we mgle i po omacku szukać lądowiska, albo przy podstawie chmur na wysokości 20 m robić slalom gigant pomiędzy drzewami. Mogłem w tych warunkach odmówić wykonywania lotów, ale często ambicja brała górę nad rozsądkiem, a ceną była tylko satysfakcja.

29 listopada zakończyłem pracę w czarterze Józefowo, a 6 grudnia powróciłem do Gdańska. W międzyczasie bazę ZUA przeniesiono z Pruszcza na lotnisko komunikacyjne Rębichowo. Od tej pory przyloty i odloty wymagały procedur jakich stosuje się w ruchu kontrolowanym. Jedynym ułatwieniem była łączność w języku polskim. Procedury te wyglądały następująco.

Rejon Kontroli Lotów z Bydgoszczy wydawał zgodę na loty w czarterach oraz na przeloty. Piloci aeroklubowi zamawiali z wyprzedzeniem 1 dnia. Piloci ZUA mieli prawo zgłaszać się godzinę przed planowanym lotem. Po otrzymaniu zgody na przelot obowiązywał 20 minutowy termin na start. Gdyby z jakiegoś powodu start się opóźniał należało powiadomić telefonicznie rejon i jeszcze raz poprosić o zgodę.

Po starcie nawiązywało się łączność radiową z Kontrolą Obszaru, następnie z Kontrolą Zbliżania. Dolatując do lotniska przechodziło się na łączność z wieżą.

Wywołując wieżę należało podać swoje znaki rozpoznawcze. W następnej kolejności typ samolotu, prędkość, wysokość, aktualna pozycję i czas przylotu. Gdy przestrzeń była zajęta, wieża kierowała do strefy oczekiwania, w przeciwnym razie polecała zgłosić się z widzialnością lotniska i dawała zgodę na wejście w krąg lub na lądowanie, określając kierunek pasa, warunki i kolejność lądowania. ZUA zajmowało prawą część południowej strony lotniska. Na początku pasa była droga do kołowania na stojanki dla naszych samolotów. Dalej były magazyny i duży hangar naprawczy.

Był też hotel pracowniczy dla mechaników i pilotów czasowo przebywających w bazie. Po przylocie i załatwieniu formalności mogłem wrócić do domu na okres Świąt i Nowego Roku 1987.

Na wykończenie prac budowlanych żona wzięła pożyczkę z banku Spółdzielczego. Kredyt wnosił jeden milion 300 tysięcy złotych na okres spłaty 27 lat. Jednak sytuacja gospodarcza w kraju zmusiła bank do jednostronnej zmiany warunków umowy. Postępująca inflacja a następnie hiper inflacja spowodowała, że wartość pieniądza obniżała się z miesiąca na miesiąc. Milion zdewałowal się do wartości 100\$. My ulokowaliśmy pożyczoną kwotę w materiałach budowlanych i w ten sposób uchroniliśmy się przed katastrofalną stratą. Moja teściowa, która ciężko zarobione pieniądze lokowała w książeczkach oszczędnościowych, za prace całego życia mogła sobie kupić buty. To się nazywa zło-dziejstwo. Obrabowano kraj i ludzi i nikt za to nie poniósł żadnej kary. Wkrótce miał nastąpić wielki rozbiór majątku narodowego, ale na początku roku 1987 nikt jeszcze nie zdawał sobie sprawy z tego do czego zdolny jest upadający system. W mentalności ludzkiej pokutowało przeświadczenie, że tak zwana własność społeczna jest faktycznie własnością niczyją, a skoro tak to niech ja diabli wezmą. Diabli się nie kwapili, ale komunistyczna nomenklatura szybko wyciągnęła łapę zasłaniając się kamuflażem prywatyzacji i powszechnego uwłaszczenia.

Zima tego roku była łagodna. Do połowy lutego odbyliśmy kurs doskonalący zakończony jak zwykle egzaminami i powróciłem do domu pracować przy dalszej budowie. Wykopałem własnoręcznie szambo, zaszalowałem deskami i zalałem betonem z kamieniami. Pomagały mi w pracy obie córki. Gdy beton stwardniał wykonałem welbunek stropu, przykryłem to wszystko grubo ziemią i szambo było gotowe do podłączenia kanalizacji. Z pracami wyrobiłem się do pierwszych dni kwietnia. W tym czasie wezwano mnie do Gdańska. Pierwszym etapem pracy było przeszkolenie na nową

wersje Kruka – PZL 106 – BR. Różnił się on tym od pozostałych konstrukcji, że posiadał inny typ konstrukcji skrzydła i silnik PZL – 3S z reduktorem obrotów. Po przeszkoleniu pojechałem do czarteru Jaraczewo położonego tuż przy zachodniej granicy miasta Piły. Kwaterę mieliśmy w mieście a lądowisko przylegało do lotniska wojskowego. Każdy start i lądowanie odbywały się na łączności z wieżą lotniska i za zgodą kontrolera wojskowego. Wkrótce przyzwyczaiłem się do tej współpracy i sobie nawzajem nie przeszkadzaliśmy.

Czasami gdy wojskowi ćwiczyli loty koszące na wysokości 50 m mnie zezwalano latać 20 m od ziemi. Latanie takie było ciekawe, emocjonujące i nie do pomyślenia w innym rodzaju lotów niż Agro. Układ taki mi odpowiadał. Mieszkałem w dużym mieście, miałem dobre połączenia komunikacyjne z domem i nie musiałem nudzić się gdzieś w PGRze podczas nielotnych dni. Kwatera nasza mieściła się na wojskowym osiedlu niedaleko lotniska. Właścicielem był młody student, który w okresie nauki przebywał w Poznaniu. Swoje mieszkanie wydierżawiał dla PGR – u na potrzeby agrolotników. Student był sierotą. Po śmierci matki opiekowała się nim ciotka pani Bartoszewska. Bartoszewscy mieszkali w drugim końcu miasta, ale wszystkie sprawy związane z mieszkaniem prowadziła ciotka w imieniu swego siostrzeńca. Z tego powodu byłem u nich częstym gościem. Przed wojną mieszkała ona jako młoda dziewczyna wraz z rodziną na Wschodnich Kresach. Rzeczy o których mi opowiadała są niewyobrażalne. Słowa więziennej piosenki mówią: „Kto z was nie przeżył ten nigdy nie zrozumie”. To co przeżyli Polacy w łapach sowieckiej bestii jest niemożliwe do zrozumienia. Słuchałem i patrzyłem jak płacze z powodu wspomnień.

Czasami dłużej opowiadać nie mogła. Gdy zaczęły się deportacje rodzin na Sybir zamknięto ją z rodzicami i siostrą w przepelnionym wagonie śmierci i powieszono w głąb nieludzkiej ziemi. Nie było czego jeść ani co pić. Im dalej na wschód tym było zimniej. Wkrótce zaczęły się mrozy i pierwsze trupy. Ludzie konali z głodu i z zimna. Na przystankach wyrzucano zwłoki i jechano dalej. U maszynistów w parowozie można było dostać „Kipiatok”, to znaczy gorącą wodę którą się można było troszeczkę rozgrzać. Rodzice nie wytrzymali trudów podróży. Wyrzuceni z wagonu, zostali gdzieś w śnieżycy w stepie. Wspomnienie czegoś takiego przyprawia o skurcz gardła, a to był dopiero początek. Została razem z młodą siostrą. Tylko ją miała na świecie. Podróż przeżyli tylko młodzi, zdrowi i silni. Tylko tacy byli potrzebni czerwonej władzy do pracy. „Nie rabortajesz nie kuszajesz”. Po paru tygodniach spędzonych w pociągu śmierci wyładowano transport w pustej tajdze.

Dalej pędzono ich na piechotę. W tym miejscu przypomina mi się stara pieśń, dzisiaj zupełnie zapomniana. Szkoda, bo to jest nasza historia, to życie naszych ojców i dziadków. Jeśli nie potrafimy zdobyć się na wdzięczność i szacunek zachowajmy przynajmniej wspomnienie. Pieśń tę śpiewała kiedyś moja Mama:

*„Silny wiatr wionął po pustym stepie
I śnieżną zamieć w obłoki wzbił
I biały tuman niesie przed siebie
Jak huraganu rześisty pył.*

*A na tym stepie szeroka droga
Jak szarfa z srebrnych uwita nić
Pieklęm wryta, czy z woli Boga
Tego odgadnąć daremnie chcieć*

*A po tej drodze na wichru fali
Pędzi kibitka w daleki świat
I tylko dzwonek słychać w oddali
Jak umarłego grobowy znak*

W kibitce widać postać młodzieńca

*Smutne lecz dumne oblicze słał
Na twarzy jego ślady rumieńca
Lecz i ten wkrótce już zaginać miał.*

*Wyrzwał z kibitki, potrząsnął głową
Nie dbał, że wzbudzi w kozaku gniew
Oczy swe zwrócił w stronę rodową
A z piersi tęskny popłynął śpiew*

*Już ja nie ujrzę swego siola
Ni ojca mego, ni matki mej
Ani też lubej, mego anioła
Nigdy, ach nigdy nie ujrzę jej*

*Przekłete lotry skuli mi dłonie
Lecz wolnej duszy nie mogą skuć
Zdejmcież kajdany, dajcie mi broń
Ja was nauczę jak wolność czuć*

*I silną dłonią wstrząsnął okową
Lecz ona głuchy wydała zew
Jeszcze raz spojrział w stronę rodową
I tymi słowy zakończył śpiew*

*Żegnaj ach żegnaj luba dziewico
Choć z Twoich objęć wyrwano mnie
Będę się tułał gdzieś za granicą
Da Bóg, że jeszcze ujrzemy się.”*

Nie wiem, czy dziewczyny gnane przez syberyjską tajgę, miały jakiejkolwiek nadzieje. Pozostawiono ich na otwartej przestrzeni, na mrozie pośród śnieżnych zasp, na skraju lasów. Pozostawiono też kilka łopat i siekier, po to aby mogli zbudować sobie szałas lub ziemianki. Ucieczki stamtąd nie było. Żywili się igliwiem sosen, łykiem kory i wygrzebanymi w śniegu korzonkami traw. Czy to można zrozumieć? Czytałem, że w chińskich wsiach w czasach Mao chłopci jedli ryżowe plewy zmieszane z gliną. Tego też nie potrafię sobie wyobrazić. Gdy pobudowano baraki ze ściętych sosen, a szpary zatkano mchem, suchymi liśćmi i szmatami, przywieziono im do połowy zgniłe i zmarznięte ziemniaki, ale za to pognano do pracy przy wyрубie lasu. Najgorsza była podobno pierwsza zima. Później otrzymali pomoc od Czerwonego Krzyża. Gdy skończyła się wojna ci, którzy przeżyli i mieli szczęście wrócić do Polski na Ziemię Odzyskane. Obie siostry miały to szczęście. Lata katorgi złączyły je szczególnymi więzami. Wyszły za mąż i każda z nich miała syna.

Gdy ja poznałem panią Bartoszewską wiosną 1987 roku, była ona już samotna starszą panią. Mieszkała wraz ze swym synem i opiekowała się siostrzeńcem.

Mówiła, że winna to była siostrze. Chłopaka darzyła matczyną miłością i pozwalała mu na wszystko. Miał o to pretensje do matki jej rodzony dorosły już syn.

Z ludźmi, którzy przeżyli piekło nieludzkiej ziemi spotykałem się kilkakrotnie. Ich opowieści były niesamowite i fascynujące, chociaż bardzo do siebie podobne.

Pewnego razu wracałem z czarteru do domu na urlop autobusem. Przy wejściu do samochodu ustąpiłem miejsca starszej pani. Była szczupła, niewysoka i całkiem siwa. Sprawiała wrażenie osoby dystyngowanej i szlachetnej. Tak się złożyło, że mieliśmy miejsca obok siebie. Wkrótce nawiązaliśmy rozmowę. Panią zaciekawił krzyż na moim przedramieniu i litery DZP. Nigdy przed nikim nie kryłem

swej antypatii do systemu zniewolenia i obłudy. Powiedziałem dlaczego noszę na ręku tatuaż. Zyskałem tym sympatię i zaufanie. Starsza pani wyznała, że ona również zawdzięcza temu systemowi wiele okropnych przeżyć. Zamieniłem się w słuch. Początkowo jej opowieści nie różniły się od wspomnień pani Bartoszewskiej.

Jesienią 1941 r. dotarła do tworzącej się armii gen. Andersa i została sanitariuszką. Opowiadała jak przebiegała rekrutacja i jak wyglądali ludzie którym udało się dotrzeć do zbawczego wojska. Wygłodzeni i schorowani nadawali się tylko na leczenie. Jeszcze dużo czasu musiało upłynąć zanim wynędzniała zbieranina stała się wojskiem. Ale o tym historia milczy. Ewakuacja armii do Iranu, okres rekonwalescencji, następnie szlak wędrówki przez Bliski Wschód, Egipt do Włoch już jako II Korpus Polski. Moja rozmówczyni przeszła cały ten szlak znaczony mogiłami.

Jako sanitariuszka brała udział w bitwie pod Monte Cassino. Pokazała mi legitymacje i krzyż pamiątkowy z tamtego okresu. Potem był powrót do kraju i szykany. Patrioci, którzy walczyli o Polskę byli tu niepotrzebni, oni byli wrogami władzy ludowej i jej protektorów. Czym wobec losów tych ludzi są moje wspomnienia. W jakiej skali można mierzyć ich walkę i tułaczkę przez kontynenty z naszymi dziecinnymi napisami na murach. Potraktujmy jednak moje zapiski jako ciąg dalszy, jako kontynuację przekonań w następnym pokoleniu. Jako mech, który porósł rozrzucone po świecie kości.

Kombinaty rolne Jaraczewo i Różewo graniczyły ze sobą a ich ziemie rozciągały się pomiędzy Piłą i Wałczem. Pracując w Różewie latałem w gospodarstwach należących do Jaraczewa, teraz było odwrotnie. Pracowałem z młodym mechanikiem Robertem Bzylem. Był to chłopak sympatyczny ale wielki bałaganiarz. Nie było mamy, która by po nim posprzątała, dlatego na kwaterze piętrzyły się porozwalane bezładnie jego rzeczy. Kuchnia zastawiona garnkami, zlew pełen niemytych naczyń.

Robert szybko znalazł sobie towarzystwo, urządził przyjęcia ale nie miał kto po nich posprzątać. Kiedyś przyjechał z Poznania siostrzeniec pani Bartoszewskiej.

Przeraził się widokiem swego mieszkania i poszedł nocować do ciotki. Wkrótce wymówił nam kwartę. Mój mechanik również podobnie postępował w pracy.

Tego dnia latałem na podładowisku w gospodarstwie Kotuń. Doloty na pola były dosyć dalekie. Paliwo należało tankować dosyć często, ale o sprawdzeniu stanu oleju zapomniał. Wszyscy mechanicy z którymi dotąd pracowałem byli sumienni i skrupulatni. Poziom oleju mierzyło się podobnie jak w samochodzie. W kabinie był tylko manometr ciśnienia jakie wytwarzała pompa olejowa. Byłem nad polem gdy manometr pokazywał zero. Powinienem natychmiast lądować, ale nie było gdzie.

Bez smarowania silnik powinien po kilku minutach ulec zatarciu. Sytuacja była bardzo groźna, Lada moment mogła skończyć się katastrofą. Zatarty silnik uległby zniszczeniu, a samolot pozbawiony ciągu spadłby na ziemię. Co można zrobić z wysokości kilkunastu metrów w razie awarii. Bez oleju daleko nie doleczę. Czy dociągnę do lądowiska? Dociągnąłem. Gdy przeskoczyłem drzewa przy szosie wyłączyłem silnik i lądowałem sposobem szybowcowym. W zbiorniku olejowym było tylko trochę brudnej piany. To były ostatnie sekundy.

W połowie czerwca odwołano mnie z czarteru Jaraczewo i polecono udać się do Jastrzębia Pomorskiego niedaleko znanego węzła kolejowego Laskowice. Szczegół ten nie byłby godny odnotowania gdyby nie kolejna przyгода mogąca skończyć się fatalnie.

W Jastrzębiu latałem AN-em 2 z mechanikiem Jurkiem Dunstem. Był on szczupłym zgrabnym chłopcem o ciemnych kręconych włosach, wzrostu około 170 cm i wieku dwudziestu kilku lat. Główną jego cechą było nadmierne zainteresowanie alkoholem.

Rodzaj trunku nieważny. Twierdził, że wódki dzielią się na 2 kategorie: dobre i bardzo dobre. Do dobrych zalicza się denaturat, autowidol ewentualnie woda brzoza po goleniu. Resztę stanowiły wódki bardzo dobre. W Jastrzębiu latałem głównie na opryski 0,5 m nad ziemią. Ja latałem a Jurek spał obok na drugim fotelu po wypiciu kilku piw. W pewnym momencie obudził się i zobaczył ziemię tuż pod kołami samolotu. Sadził, że samolot ląduje z nieprzestawionym skokiem śmigła. Nie namyślając się, automatycznie i podświadomie przestawił dźwignię skoku ma mały.

To zadziało tak jakby w samochodzie nagle wdepnął hamulce. Tylko szybki refleks uchronił nas przed zderzeniem z ziemią i kapotażem. Myślę, że znowu pomógł nam anioł stróż. Wysłałem Jurka aby

się przespał i sam latałem dalej. Po 10 dniach intensywnego latania powróciłem do Jaraczewa, do samolotu PZL 106 i Roberta Bzyla. Razem pracowaliśmy do połowy lipca. Potem odprowadziłem samolot do Gdańska i udałem się na długi półtoramiesięczny urlop.

W tym czasie żona zdołała załatwić wykopanie studni, doprowadzić do domu wodę poprzez pompę i hydrofor, przeprowadzić się do nowego domu i przygotować wszystko do wesela Grażyny. Kopanie studni nie obeszło się bez komplikacji. Na naszej górcie woda znalazła się dopiero na głębokości 13 metrów. Kopanie w piachu było trudne i niebezpieczne. Zespół, który podjął się tej pracy, skrzywił kanał wykopu do tego stopnia, że studnia groziła zawaleniem i przysypaniem pracujących na dole ludzi. Fachowcy mistrzami w swoim zawodzie nie byli, ale zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa i spapranej roboty. Studnie trzeba było zasypać wraz z 8 kręgami betonowymi, które spoczywają sobie gdzieś na dnie. Do pracy żona zamówiła inny zespół. Ci studnię wykopali, chociaż też niezupełnie prosto. Różnych robót wykończeniowych zostało jeszcze sporo do wykonania. Sam budynek gospodarczy przewidziany na przyszły rok był niebagatelną inwestycją. W domu brakowało jeszcze podłóg, parkietów i boazerii. Surowe ściany też wymagały wykończenia.

24 czerwca 1987 roku minęła 25 rocznica mego małżeństwa. Srebrne wesele jest ważnym wydarzeniem w życiu rodziny i miłą starą tradycją. Z życzeniami pospieszyli przyjaciele i krewni. Nie wypadało zbyć ich słowem dziękuję. Żona urządziła w nowym domu przyjęcie jubileuszowe. Było ono okazją do pochwalenia się i zaprezentowania dorobku naszej wspólnej 25 – letniej pracy. Niestety, ja jak zwykle byłem nieobecny. W rolę gospodarza domu wcielił się najmłodszy ze szwagrów, mąż Ireny, Marek Chrzastowski. Goście bawili się świetnie i to chyba było najważniejsze.

Ja przyjechałem dopiero za 3 tygodnie. Długi urlop poświęciłem na pracę przy domu.

Podobno tylko ten się nie myli, kto nic nie robi. Architekt rysując projekt zostawił niezagospodarowaną przestrzeń pod tarasem. Płyta tarasu oparta była na murowanych z cegieł kolumnach. Zbyt słabo uzbrojony beton nie wytrzymał obciążenia i taras mocno się wygiął. Gdy popadał deszcz niekiedy wypełniła się wodą i na tarasie utworzył się basen. Któryś z majstrów przebił płytę i woda spłynęła pod dom. Murarze już dawno wzięli pieniądze i zakończyli prace. Kłopot do rozwiązania pozostał dla nas. Wielu znawców doradzało jak naprawić usterkę. Przeważnie radzili aby wyburzyć taras i zbudować go od nowa. Właśnie w tym czasie przyjechałem na urlop. Z problemem poradziłem sobie sam. Potężnym lewarem podniosłem żelbetonową płytę i oparłem ją na stemplach. Pod tarasem wykopałem rowy pod dodatkowe fundamenty przedłużające główne mury nośne. Po zalaniu fundamentów betonem wymurowałem na nich ściany z cegieł. Na ścianach tych oparłem płytę tarasu. Uzbroiłem ją dodatkowo stalowymi rurami i zalałem betonem. Na wierzchu posyłem terakotę. W ten sposób wyprostowałem płytę tarasu i pod spodem zyskałem dodatkowe pomieszczenie, w którym założyłem warsztat do majsterkowania.

Poprawki po fachowcach zajęły mi miesiąc czasu. Nadszedł dzień ślubu i wesela mojej starszej córki. Żona na ten cel wynajęła remizę strażacką. W remizie była duża sala przydatna na przyjęcie weselne jak również do tańca.

W sąsiednim pomieszczeniu była kuchnia i magazyn. Remiza zaprojektowana została do takich celów i w niej odbywały się prawie wszystkie wiejskie wesela.

22 sierpnia 1987 r. młodzi podpisali w Urzędzie Stanu Cywilnego umowę kontraktacyjną, a następnie po południu tego samego dnia zawarli związek małżeński składając przed Panem Bogiem przysięgę wzajemnej miłości, wierności, poszanowania. Nie lekceważę formalności cywilnej. Człowiek żyje w społeczeństwie i praw społecznych musi przestrzegać. Normy prawne regulują stosunki międzyludzkie i wynikające z nich konsekwencje. Skoro człowiek na przestrzeni swojego życia odwołuje się do ustanowionych praw i na tej drodze szuka rozstrzygnięcia problemów rodzinnych, musi prawa te respektować w całej rozciągłości. Jednak przysięga przed Bogiem jest czymś zupełnie innym. Spisanie umowy prawnej, nawet pomiędzy osobnikami tej samej płci, czy opieki nad zwierzęciem nie jest jeszcze ślubem. Przysięgę złożoną wobec Boga może rozwiązać tylko Pan Bóg, a jeżeli człowiek chce go w tym wyręczyć musi liczyć się z konsekwencjami często bardzo surowymi, często decydującymi o całym życiu, i nieważne jest czy zdaje sobie z tego sprawę i czy w to wierzy. Przekonanie moje wypływa z osobistych prze-

żyć i wielu obserwacji, a nie z nic nieznaczącego zdaje mi się. Podniosła i uroczysta chwila przysięgi wzruszyła mnie. Zdałem sobie sprawę z tego, że pisklę wyfrunęło z gniazda i rozpoczęło własne samodzielne życie u boku kogoś do tej pory zupełnie obcego.

Młodzi założyli w tej chwili własną rodzinę i wszystko co zrobią zostanie zapisane na ich rachunek. Czy zbudują cicha przystań dla siebie i swych dzieci zależeć będzie tylko od nich. Do kościoła córka wchodziła jako Grażyna Cygańska za chwilę wyjdzie stąd jako pani Szenk. Zięć Janusz pochodzi z Wykowa, wioski pięknie położonej na prawym brzegu Wisły niedaleko Płocka. Z zawodu jest tokarzem i pracuje w Przedsiębiorstwie Eksploatacji Rurociągu Naftowego PERN. Jest człowiekiem poważnym i zrównoważonym, ponadto przystojnym mężczyzną. W każdej rodzinie bywają dni niepogody. Czasem jak w życiu zdarzy się burza, ale chodzi o to by wkrótce zapanowała pogoda i kompromis. Małżeństwo jest jak para koni zaprzęgniętych do jednego wozu. Skończyła się swoboda i hasanie na boki. Wóz trzeba ciągnąć wspólnie. Jeżeli to zrozumieją to i Pan Bóg im pomoże, czego z całego serca życzy im ojciec. Na wesele przybyli z Koszalina państwo Górecy i z Karlina Stefaniakowie. Przybyła rodzina pana młodego i panny młodej, ponadto grono przyjaciół i kolegów. Wesele, ostatni akord wolnego stanu przebiegało w atmosferze beztrudnej zabawy. Orkiestra grała różnorodne melodie, skoczne dla młodych i tradycyjne, sentymentalno – nastrojowe z czasów kiedy my sami byliśmy młodzi. Zmęczeni goście udali się na odpoczynek ale młodzi bawili się nadal. Rano przygasający żar zabawy rozgorzał z nową siłą. Janusz prowadził korowód wesoło śpiewając „Hej wesele, hej wesele tańcowało i grało i śpiewało ile tchu. Dla tego weseliska było mało i ziemi nawet nieba mało było mu”. Żonie swej zadedykował inną piękną piosenkę o cyganczce Zosi, której nie mógł poślubić. Były kiedyś melodie, których słuchało się z rozrzewnieniem w sercu i łezką w oku. Nawet dawne przyspiewki ludowe pełne sentymentu i uczucia, poza uroczystymi melodiami posiadały mądre i wzruszające słowa. Nie wiem czy ktoś jeszcze pamięta i potrafi zagrać pożegnalną pieśń weselną panny młodej

„Oj siadajże, oj siadajże na wóz kochanie.

Już nic tobie nie pomoże twoje płkanie.

Płkanie nic nie pomoże, 4 konie stoją w wozie pozakładane

Ja nie będę, ja nie będę jeszcze siadała.

Bom ja jeszcze swojej matce nie dziękowała.

Dziękuję ci droga matko

Żeś mnie wychowała gładko – więcej nie będziesz.

Jest to długa pieśń, gdyż osób i przedmiotów godnych podziękowania było więcej.

Byłem później na kilku weselach, ale muzycy jazzowi albo rockowi tamtych melodii nie grają. Kiedyś pamiętam wraz z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca grano „Kiedy ranne wstają zorze”. Jest to pieśń modlitewna związana z piękną tradycją podziękowania również Bogu. Po weselu młodzi zamieszkali z nami w nowym domu.

Za kilka dni skończył mi się urlop i wróciłem do Gdańska. Skierowano mnie do pracy innego rodzaju. Kilkanaście kilometrów na północ od Piły, wśród lasów położona jest miejscowość Krępsko. Tutaj na polanie o powierzchni kilkunastu hektarów nad rzeką

Gwdą założono agrolotniczą bazę leśną dla potrzeb lasów. W bazie stacjonowało 6 samolotów przystosowanych do gaszenia pożarów, 4 Dromadery, 1 Kruk BR i patrolowa Wilga. Ja latałem Wilgą na patrolu a równocześnie szkoliłem się w gaszeniu pożarów lasów. Co dzień po kilka godzin wisiałem w powietrzu ponad olbrzymimi kompleksami leśnymi wypatrując pożarów. Paliło się wszędzie i dookoła.

Wokół Piły w promieniu 100 km rozciągają się potężne lasy, w tym 2 puszcze, Notecka i Drawska. Obszar patrolowania ograniczały miasta Oborniki, Gorzów, Drawsko, Piła. Codziennie do pokonania były 2 trasy ponad 300 km. Gdy ja trasę obleciałem zmieniał mnie kolega, po nim znowu leciałem ja. Z trasy często trzeba było zbaczać aby obejrzeć źródło dymu i ewentualne zagrożenie. Białym dymem się nie przejmowałem, to chłopci palili słomę na polach. Gorzej gdy ponad lasem unosił się błękitny dym. To świadczyło, że pała się gałęzie sosen. Przeważnie spalali je robotnicy leśni po wyrębie drzew. Na pokładzie samolotów były po 2 radiostacje.

Jedna do łączności lotniczej, druga do kontaktu z nadleśnictwem. Decyzję w sprawie akcji gaśniczych podejmowali leśnicy po meldunku z powietrza i rozeznaniu w terenie. W przypadku pożaru podrywały się Dromadery. Każdy miał 1500 l wody. Ogień w zarodku gasiły bezbłędnie. Gorzej było gdy pożar się rozprzestrzenił.

Wtedy sytuacja wymagała współpracy z oddziałami straży pożarnej. Kilkakrotnie zdarzały się groźne pożary wymagające interwencji połączonych sił z ziemi i powietrza. Gdy ukończyłem szkolenie przeciwpożarowe latałem z wodą samolotem

PZL-106 BR. Zabierał on tonę wody, która rozlewał na większej powierzchni. Ale w gaszeniu skuteczniejsze były Dromadery. Kruk używany był rzadko, ja latałem głównie Wilgą na patrol. Kiedyś zauważyłem smugę błękitnego dymu wydobywająca się z pomiędzy drzew wysokiego lasu. Nieopodal zaczynał się brzeg jeziora. W tamtych rejonach dużo było pięknych jezior. Ogień rozpalali turyści.

Namoty stały nad wodą, a ognisko w lesie. Zameldowałem o sytuacji do nadleśnictwa. Gdy krążyłem nad ich głowami, machali do mnie przyjaźnie. Zapewne uważali, że chcę się zaprosić na kielbasę z ogniska i kieliszek wódki. Nie wiedzieli co ich czeka. Gdyby ogień rozpalili nad wodą nie alarmowałbym. Za chwilę przyleciał Dromader i 1,5 tonową bombą wodną zmiotł ognisko z powierzchni. Turyści uciekli.

W połowie października leśnicy zakończyli akcję agrolotniczą nad lasami. Wraz z jesiennymi deszczami zagrożenie pożarowe minęło. W tamtych latach Dromadery nasze gasiły pożary lasów we Francji, Hiszpanii i Portugalii. Grupy samolotów często prowadziła na akcje pani Pelagia Majewska, mistrzyni i czołowa pilotka szybowcowa świata. Podczas startu z lotniska w Lizbonie, w niewyjaśnionych okolicznościach jej Dromader przeszedł stromo na wznoszenie, utracił prędkość i spadł grzebiąc pilotkę na miejscu. Nie słyszałem aby osobę tak godną i szlachetną jaką była pani Majewska, w jakikolwiek sposób uhonorowano, zachowując pamięć po niej dla przyszłych pokoleń młodzieży lotniczej. Na zakończenie akcji w Krępsku, leśnicy urządzili pożegnalny bankiet z suto zastawionymi stolami i dużą obfitością trunków.

Ja jako jedyny zachowałem trzeźwość. Kiedyś w szpitalu na pytanie lekarza odpowiedziałem, że jestem abstynentem, nie palę i nie piję nawet kawy. Pan doktor odrzekł, że nie wiem co tracę. Możliwe. Po odprowadzeniu Wilgi do Gdańska pracowałem kilka dni w czarterze Borkowo niedaleko Pruszcza. W grudniu po kursie doskonalącym prowadzonym w Lisich Kątach i zaliczeniu egzaminów kontrolnych, wróciłem do Proboszczewic na pierwsze święta Bożego Narodzenia we własnym domu. Po Nowym Roku 1988 pojechaliśmy z żoną do Ustronia na obóz kondycyjny.

Ustron leży niedaleko Wisły u podnóża 2 gór, Równicy i Czantorii w paśmie Beskidu Śląskiego. Przez Czantorię przebiega granica państwa pomiędzy Polska i Czechosłowacją. W tamtych latach Czechy i Słowacja nie były jeszcze rozdzielone. Na szczyt Czantorii można dojechać wyciągiem krzesełkowym. Stąd rozciąga się widok na panoramę Beskidów.

Zima była łagodna, tylko w wyższych partiach gór leżał śnieg, niżej panowała pogoda wycieczkowo – spacerowa. Mieszkaliśmy w okazałym wielopiętrowym domu wczasowym Jaskółka. Domów takich w kształcie piramid pobudowano na stokach Równicy kilka. W sąsiednim mieszkali piloci z ZUA Olsztyn. Kiedyś na ulicy spotkałem Mietka Kruchowskiego w towarzystwie młodej i ładnej dziewczyny. Wyglądali oboje jak dziadek z wnuczką. Przechodziliśmy obok siebie więc trudno było się nie zatrzymać by wymienić kilka zdań. „Cześć Mieciu – cześć Wiesiu!”. Z Mietkiem zaprzyjaźniliśmy się podczas syryjskiej akcji, potem odwiedzał mnie w szpitalu. Nie widzieliśmy się od tamtej pory. Dziewczyna stała nieco z boku, a ja nie wiedziałem jak się zachować. Trudno było ja zlekceważyć więc powiedziałem aby przedstawił mnie swojej córce. To nie jest moja córka. Popelnilem gafę, dalej nie wnikałem w szczegóły. Jeżeli nie córka, nie wnuczka, żona na pewno nie – więc kto? Kolejna dziewczyna, która uczepliła się z jakiegoś powodu starszego pana. Sytuacja była niezręczna – jego wina, mógł mnie przedstawić. W Jaskółce była ładnie i przytulnie urządzona kawiarenka. Co wieczór spędzaliśmy tam czas razem z żoną. Przedłużenie kawiarenki stanowiła salka taneczna ciekawie udekorowana z nastrojowym oświetleniem. Mnie tance nie pociągały, ale żona bawiła się przy ładnych melodiach z grającej szafy. Czasami wypadało zatańczyć aby nie narazić się na dowcipne uwagi kolegów. Pewnego wieczoru do kawiarenki weszła grupa pilotów z Olsztyna, a wśród nich Krzysiek Machnacki. Nie widzieliśmy się

od czasu gdy pełnił on obowiązki kierownika plockiego aeroklubu. Przez te lata tematów nagromadziło się wiele. Uściskaliśmy się serdecznie i zajęli rozmowa na resztę wieczoru. Krzysiek przedstawił mnie swym kolegom jako swojego pierwszego instruktora, który pokazał mu jak należy trzymać drążek sterowy i jak się nim posługiwać. Jeden z ostatnich kursów na plockim lotnisku prowadziliśmy wspólnie. Krzysiek był wtedy początkującym instruktorem szybowcowym. W szkolonej przez niego grupie znalazła się śliczna dziewczyna Marzena Dumańska. Młody instruktor pilot jej zaimponował. Za rok młodzi się pobrali. Wesele urządzone im w ładnej i przestronnej świetlicy w środku pracowniczych ogródków działkowych. Miejsce było oryginalne, pełne zieleni i kwiatów. Koledzy z lotniska zakupili w prezencie pamiątkowym ładną lalkę podobna do jego żony. Wesele lotnika powinno zawierać jakiś akcent lotniczy. Postanowiliśmy te lalkę zrzucić z samolotu pod nogi młodej parze. Wystartowałem z Tadkiem Gozdanem na samolocie CSS-13. zrzut udał się celny. Lalka ubrana jak do ślubu wylądowała przed młodymi gdy wchodzili z gośćmi do Sali weselnej. Okazało się jednak, że ma rozbitą głowę. Laleczka rozbiła się o statecznik samolotu i wyglądała makabrycznie. Prezent nasz, który miał być miłą pamiątką okazał się złą wróżbą.

Gdy funkcje kierownika objął major Goździński, Krzysiek z żoną przenieśli się do Kętrzyna. Tam Marzena poznała przystojnego porucznika i małżeństwo rozpadło się jak lalka. Krzysiek zrezygnował z pracy w ośrodku szkoleniowym instytutu lotnictwa i przeniósł się do ZUA.

Obóz w Ustroniu dobiegał końca i powróciliśmy do swoich obowiązków.

Gosia zrezygnowała z pracy w Muzeum Mazowieckim. Wojewódzki Ośrodek Postępu Rolniczego w Ogorzelicach zaoferował jej wyższą pensję i tym skusił ją do siebie. Zaczęła pracować w WOPRze jako plastyk, malując głównie plansze reklamowe. W muzeum miała styczność ze sztuką przez duże S, tutaj była tylko chałtura i trochę większa pensja.

Ja zostałem zaplanowany na kolejną akcję zagraniczną do Sudanu. Do tego czasu latałem w czarterze Karsibór i Marcinkowice pomiędzy Wałczem a Mirosławcem.

W połowie lutego pojechałem do Karsiboru aby podpisać umowy czarterowe, obejrzeć kwaterę i lądowisko. Dyrektor kombinatu, pan Świerczyzna, sprawiał bardzo niesympatyczne wrażenie. Przyjął mnie z wyraźną nonszalancją. Oświadczył, że nie życzy sobie w czarterze żadnych przyjęć towarzyskich i wizyt różnych żon. Czasy lotów będą dokładnie mierzone aby uniemożliwić ich zawyżanie celem oszczędzania paliwa. Poza tym żąda pracy solidnej i zgodnej z terminami wyznaczonymi przez dyrekcję gospodarstwa. Na ultimatum dyrektora odpowiedziałem w podobnym stylu. Ja panie dyrektorze nie przyjechałem do Karsiboru na wczasy, lecz do pracy za którą otrzymuję zapłatę. To zobowiązuje mnie do sumiennego wykonywania swych powinności. Żona moja pracuje i nie ma czasu na jeżdżenie za mną do PGR-ów. Samochodu nie posiadam i nie jestem zainteresowany gromadzeniem benzyny. Natomiast czas pracy i warunki określają odrębne przepisy, których ja muszę przestrzegać. Jeżeli zaś chodzi o przyjęcia towarzyskie to oświadczam, że jestem abstynentem i w rejonie Karsiboru nie posiadam żadnych kolegów ani znajomych.

Lądowisko i pola pokrywała jeszcze gruba warstwa śniegu. Przyłot samolotu i rozpoczęcie prac uzależniliśmy od wezwania przez gospodarstwo. Samolot przebazowałem do Jaraczewa i czekałem na telegram. Pracę w czarterze rozpocząłem w 2 połowie marca. Dyrektor, zgodnie ze swoją zapowiedzią, wyznaczył chronometrażystę do zapisywania czasów startów i lądowań. Nam nie zdecydował się płacić za latanie po godzinach i w złych warunkach, dlatego my robiliśmy tylko tyle na ile zezwalały nam przepisy lotnicze. Wyglądało to mniej więcej tak.

Praca w PGRze zaczynała się o godzinie 7:00. Punktualnie, co do minuty, meldowałem się w sekretariacie u dyrektora i rozpoczynałem dzień pracy od telefonu do Rejonu Kontroli Lotów o zgodę na loty. Podawałem numer czarteru, znaki samolotu i nazwisko pilota. W tym czasie mechanik dokonywał przeglądu technicznego, tankował paliwo i olej oraz robił próbę silnika. Według przepisów czynności te nie mogły trwać krócej niż pół godziny. Lądowisko bazowe było małe i ledwo wystarczało na start i lądowanie pustym samolotem. Loty robocze wykonywaliśmy z podładowisk. Po załadowaniu nawozów wykołowywałem na start. Kruk w wersji A zabierał 700 kg ładunku wg instrukcji. W praktyce wszyscy zabierali tonę i samolot dobrze sobie z tym ładunkiem



Nad polami Sudanu.

radził, ale decyzję taka pilot brał na własną odpowiedzialność. Ja nie miałem interesu w tym aby samolot przeciążać.

Wręcz przeciwnie. Z ładunkiem 700 kg nie musiałem startować na pełnej mocy. W powietrzu również latałem na prędkościach minimalnych, oszczędzając w ten sposób paliwo. Zanim wykołowałem na miejsce startu i ustawiłem się pod wiatr upływały cenne minuty. Start wykonywałem tak aby nie lecieć w kierunku pola. Zakrety według procedury, najpierw wznoszenie do 50 m, potem odchylenie w prawo i zakręt o 180 stopni, wszystko na minimalnej prędkości. Po wysypaniu nawozów wykonywałem pełną rundę jak na prawdziwym lotnisku. Podchodziłem do lądowania z długiej prostej. Po skończeniu dobiegu ostrożnie kołowałem przez całe lądowisko na miejsce załadunku. W ten sposób lot, który mógł trwać 5–6 minut trwał dwa razy dłużej. Przepisy zezwalały na pracę maksimum 10 godzin. W tym 6 godzin lotu.

Po lotach mechanik musiał dokonać przeglądu maszyny w czasie nie krótszym niż 1 godzina, którą wliczało się do czasu pracy. Latanie kończyłem o godzinie 16:00 a pracę o 17:00. co kilka lotów robiłem krótka przerwę aby uzgodnić z chronometrażystą zapisane przez niego czasy. Przerwy te zabierały również godzinę z czasu pracy. Dyrektora krew zalewała i nie pomyślał, że wszystko to jest wynikiem jego własnych decyzji. Najpierw zażądał, aby samolot był o godzinie 7:00 już w powietrzu, odpowiedziałem, że jeśli zacznę pracę o godzinę wcześniej będę musiał zakończyć ją także o godzinę wcześniej. Konstytucja zapewniała mi 8 godzinny dzień pracy, ja co dzień pracuję 10 godzin. Dłużej nie mogę, gdyż ograniczają mnie przepisy lotnicze. W duchu natomiast pomyślałem: zapłać głabie jeden za nadgodziny a będziesz miał samolot od rana do nocy. Dyrektor skarżył się na mnie do kierownictwa ZUA. Przyjechał szef pilotów na kontrolę. Najpierw wysłuchał pretensji dyrektora, potem mnie. „

- Dlaczego nie możesz zgodzić się z dyrektorem?
- To on nie może zgodzić się ze mną i o wszystko ma pretensje.
- Ale podobno nie chcesz latać?
- Szefie, wystarczy zobaczyć Dziennik Pracy Samolotu. Sam dyrektor DPS podpisuje.

Szef kazał mi przynieść dziennik, a w nim co dzień po 10 godzin pracy i po 6 godzin nalotu.

– Ale Głowiński w Różewie wozi więcej nawozów.

– Dlatego, że ja zabieram 700 kg, a on tonę. Przecież nie muszę przeciążać samolotu.

Szef nie odpowiedział, tylko z dziennikiem poszedł jeszcze raz do dyrektora. Pokazując dziennik z podpisami dyrektora powiedział, że pilot dłużej pracować nie może.

– Ale on jak robi zakręt to znika za horyzontem – odparł dyrektor

Tym razem zdenerwował się szef i odpowiedział:

– Pilot wie jak robić zakręty.

W Marcinkowicach latałem zupełnie inaczej. Tutaj nikt nas nie kontrolował i nie miał pretensji. Dyrektor sam oświadczył, że będzie nam dopłacał za wywiezione tony nawozów. W takiej sytuacji opłacało nam się wykonywać loty jak najkrótsze i pracować bez ograniczeń łamiąc wszystkie przepisy na własną odpowiedzialność. Kiedyś dyrektor zaprosił nas na herbatę i zapytał czy nie moglibyśmy dać mu kanistra paliwa do samochodu pod warunkiem, że dopiszemy sobie minutę do każdego lotu. Odpowiedziałem, że otrzyma beczkę, ponieważ za dopisany czas on sam płaci. Umowa stanęła na tym, że będziemy mogli dopisać po 2 minuty aby beczka została również dla nas. W rezultacie takiej umowy loty były 2 krotnie krótsze niż w Karsiborze i nawozów wywoziłem 2 razy więcej. Wtedy opłaciło mi się zabierać tonę. Pierwszy różnicę zobaczył kierownik gospodarstwa w miejscowości Szwecja.

Był on z pochodzenia Niemcem prawie całkowicie spolszczonym. Wysoki, postawny około 60 letni mężczyzna. Szybko zorientował się gdzie leży problem. Powiedział, że dyrektor Świerczyna z nikim nie potrafi się zgodzić. Tymczasem on zapłaci nam za nadgodziny ze swego rozrachunku jeżeli zgodzimy się latać dłużej, aby opłaciło się to nam i gospodarstwu. Następnym był kierownik gospodarstwa Karsibór. W skład kombinatu wchodziły jeszcze gospodarstwa Jabłonowo, Górnica, Lubno, ale kierownicy tych zakładów bali się wychylać przeciwko dyrektorowi naczelnemu i sami na tym tracili. Ja latając u nich oszczędnie nie ponosiłem żadnych strat.

Pomiędzy Karsiborem a Szwecją leży miejscowość Golce. Tędy przebiegał jeden z odcinków historycznego Wału Pomorskiego. Tutaj w lasach widać było bunkry, okopy i umocnienia hitlerowskiej obrony, zaś w dolinach bagna, jeziora, płatanina trudnych do przejścia rzeczulek i strumieni. Stały też rozbite czołgi pozostawione tu na pamiątkę tamtych dni. Tylko z powietrza oglądając ten pas śmierci można sobie wyobrazić jaką wielką ofiarę trzeba było złożyć aby tereny te wyzwolić. Lecąc z Karsiboru do Marcinkowic przelatywałem ponad wodą jeziora Betyń. Miało ono około 10 km długości i 4 km szerokości. Takich zbiorników wodnych na Pojezierzu Wałęckim jest więcej. W samym Wałczu jest duże jezioro z ośrodkiem sportów wodnych w którym trenuje wioślarska kadra. Sam Karsibór jest typową PGR-owska wioską, gdzie oprócz starej poniemieckiej zabudowy, istnieje szereg nowych bloków dla rodzin pracowniczych. Latałem z mechanikiem Zdzichem Siekierzyńskim, człowiekiem spokojnym, małomównym ale bardzo inteligentnym. Posiadał on niedokończone studia politechniczne i wszystko potrafił zrobić. Szybko zaprzyjaźnił się z kilkoma bardzo kulturalnymi ludźmi u których miło spędziliśmy niejedną wieczór.

17 lipca wieczorem przyjechał kolega Zdzisiek Góra na podmianę. Ja miałem wracać do Gdańska w związku z wylotem do Sudanu. Nazajutrz rano poszliśmy razem do dyrektora aby pożegnać się i przedstawić nowego pilota. Dyrektor Świerczyna zamiast ucieszyć się z mojego odejścia wpadł w złość. Zaczął krzyzczeć, że pójdzie na skargę do dyrekcji ZUA ponieważ każdego pilota mu wkrótce zabierają skoro tylko zdąży zapoznać się z kombinatem i układem pól. Widocznie nie byłem taki zły jeśli zdenerwowało go moje odejście.

W Gdańsku wykonałem przewidziane programem WWA loty wprowadzające na Anie i pojechałem do domu spakować się i czekać na dalsze polecenia.

15 sierpnia kazano mi zabrać samolot z Gdańska i przebazować go do Warszawy. Umówiłem się z rodziną, że będę leciał nad Proboszczewicami. Koło domu zniżej się do poziomu szosy a zięć robi mi poźegnalne zdjęcie.

Z Gdańska wylecieliśmy 2 AN-ami w szyku. Ja jako prowadzący, kolega z boku nieco w tyle. Zięć nie wiedział o której godzinie będziemy lecieć i sprawę przegapił. Gdzieś pojechał i nie było go w domu.

Nad swym domem opuściłem szyk i zatoczyłem koło na wysokości 50 m. Ustawiłem się wzdłuż szosy i zszedłem na dół kołami nieomal dotykając asfaltu. Nikt na mnie jednak nie czekał. Dogoniłem kolegę i zająłem swoją pozycję. Po zameldowaniu się wieży na Okęciu polecono mi zgłosić się gdy będę nad Raszynem. Stąd widać już było lotnisko. Dostałem zgodę na lądowanie. Podkołowaliśmy obaj na stojanki PZL-a i ustawili w rzędzie przybyłych wcześniej AN-ów. 5 samolotów czekało na rozpoczęcie następnej pasjonującej przygody. Liderem był znowu Zbyszek Kudzewicz.

Dnia 19 sierpnie 1988 r. o godzinie 10:00 wystartowaliśmy do pierwszego odcinka Warszawa – Budapeszt. Lecieliśmy szykiem schody w prawo. Za liderem na 2 pozycji leciał Józef Orlewski z ZUA Szczecin, trzeci byłem ja, za mną jako 4 leciał pilot z Mielca Michał Golonka. Grupę zamykał starszy pan, którego nazwiska nie jestem pewien, zdaje mi się, że brzmiało ono Stankiewicz lub podobnie.

Pan ten posiadał olbrzymi przerost ambicji i od samego początku był wrogo nastawiony do Zbyszka Kudzewicza. Pretensje miał o wszystko ale głównie o to, że liderem wyznaczono Zbyszka a nie jego. On pełnił w tym przelocie funkcje wicelidera. Po swojej stronie miał Michała Golonkę. Zgodnie z tradycją polskiego piekła, grupa rozpadła się na dwie skłócone ze sobą części. Jeśli ktoś nie wie co oznacza termin „polskie piekło” powtórzę znaną anegdotę.

W piekle w różnych kotłach gotowały się dusze różnych narodowości. Przy każdym kotle stał wartownik z widłami. Tylko przy polskim nie było wartownika ponieważ gdy któraś z dusz chciała uciec, pozostałe wciągały ją do środka. Morał nasuwa się sam.

Trzeba było dobrze znać polską mentalność aby znaleźć takie porównanie.

Vice lider na każdym kroku podkreślał swoją ważność i deprecjonował kwalifikacje lidera. Wreszcie oświadczył, że on będzie leciał indywidualnie bo na to go stać. My natomiast musimy podporządkować się liderowi, gdyż taka jest jego funkcja. Wkrótce szyk rozpadł się na trojkę samolotów lecących razem i tylną dwójkę, która leciała jak chciała. Tylko przed lądowaniami powracała na miejsce. Lecieliśmy ustaloną trasą. Z Budapesztu do Sofii, z Sofii do Salonik, dalej na Rodos i do Aleksandrii. Lecieliśmy szykiem dość luźnym bo przelot grupowy to nie defilada. Zachowanie kolejności w grupie było potrzebne z różnych powodów, ale odstępy i odległości specjalnie nie pilnowaliśmy zwłaszcza nad morzem. To nie spodobało się lejącemu na 4 pozycji Michałowi i zaczął czepiać się mnie. Myślę, że szukał pretekstu do kłótni. Drwił ze mnie, że nie potrafię utrzymać się w szyku. Na nic zdały się moje tłumaczenia, że zwarty szyk jest nam niepotrzebny, że wystarczy zachować pozycję. Stał się nie do zniesienia gdy zapytałem dlaczego wymaga ode mnie dyscypliny której sam nie przestrzega. Zaczął mi ubliżać nawet w powietrzu przez radio. Nazwał mnie profesorkiem ze szkoły podstawowej, który przypadkowo zaplątał się w ZUA. Leciłem z mechanikiem Jurkiem Dunstem. Jurek radził aby dać mu za wygraną i trzymać się blisko Orlewskiego. Dlaczego mam mu ulec i podporządkować się jego kaprysom? Pomyśli, że się go boję i znajdzie inny pretekst do zaczepki.

W Aleksandrii zabawiliśmy 3 dni. Należało przygotować się do lotu przez pustynię.

Zaopatrzyć się w wodę do picia i żywność. Przed nami ponad 2000 km piachu i nagich skał. Nie będzie po drodze ani miast ani sklepów.

28 sierpnia wystartowaliśmy z Aleksandrii do Luksoru. Do Kairu lecieliśmy ponad uprawnymi polami Egiptu. Po minięciu piramid w Gizie były już tylko wypalone słońcem szare skały. Nasza 3 trzymała się razem, 2 pozostałe AN – y błędziły po niebie demonstrując swoją niezależność. Nie przeszkadzało to Michałowi w stosowaniu pod moim adresem złośliwych uwag i kpin. Po 4 godzinach lotu wylądowaliśmy na rozpalonym słońcem pasie lotniska. Po zakołowaniu na płytę postojową, poszliśmy do nowoczesnego portu. Powietrze prawie parzyło.

Nie było czym oddychać. Któryś z mechaników stwierdził, że tu się nie da żyć, nie wspominając nawet o pracy. Szliśmy całą grupą. Zwróciłem się do lidera z prośbą aby zamienił mnie z Michałem pozycjami na następnych odcinkach przelotu.

Jeżeli on będzie 3 a ja za nim, wtedy nie będę mu przeszkadzał. Zbyszek odpowiedział pytaniem – Czy ja mam do ciebie pretensję? Leć jak leciałeś.

– Słyszałeś Michał? A więc się ode mnie odpięrz.

Z lotniska udaliśmy się do hotelu, umyli, zjedli obiad i pod wieczór, gdy schłodziło powietrze, poszli

zwiedzać miasto. Luksor jest prastarą stolicą Egiptu. Tutaj na każdym kroku widać pamiątki sprzed tysięcy lat. Po drugiej stronie Nilu znajduje się „dolina królów”, miejsce spoczynku faraonów. Nieopodal wznoszą się świątynie Karnaku, największy na świecie kompleks sakralny. W samym Luksorze można podziwiać potężne posągi bóstw z czasów Mojżesza, kiedy Luksor nosił nazwę Teby.

Żeby to wszystko zwiedzić i zobaczyć potrzeba tygodnia, ale my tyle czasu nie mieliśmy. Nazajutrz trzeba było lecieć dalej. Następne 4 godziny lotu ponad pustynią Libijską, wschodnim krańcem Sahary do Wadi Halfy. Po 2 godzinach ujrzeliśmy olbrzymi zalew wodny ciągnący się na przestrzeni 400 km od Asuanu do Wadi halfy.

Tak zwane Morze Namera zaczyna się potężną tamą asuańska spiętrzającą wody Nilu i ciągnie się na terytorium Sudanu. Pomiedzy Asuanem a świątyniami Abu Simbel przekroczyliśmy Zwrotnik Raka, linie umowną, którą słońce ogrzewa z zenitu gdy zaczyna się nasze lato. Skoro słońce dojdzie do zwrotnika, zawraca z powrotem na południe. Teraz pionowo grzeje gdzieś w okolicach Chartumu, celu naszej wyprawy. Od Abu Simbel do Wadi halfy lecieliśmy ponad wodą na drugą stronę zalewu. Tutaj zaczynała się piaszczysta pustynia nubijska i terytorium Sudanu.

Minęliśmy Wadi Halfę, wielkie skupisko glinianych lepiarek, i poleciali w głąb pustyni na lądowisko. Nad glinianym miastem lider powiadomił o naszym przybyciu sudańskie przedstawicielstwo spółki „PZL–Sudana”, prosząc o paliwo i wodę do umycia się. Lądowisko okazało się wyrównanym pasem pustynnym. Posiadało naturalną twardą nawierzchnię, lekko przysypana piachem. Gdy my kolejno podchodziliśmy do lądowania, Stankiewicz i Golonka byli już na ziemi. Głupota ich nie opuszczała. Przez cały czas trzymali się razem. Nie poleciali za nami nad Wadi Halfę lecz od razu na lądowisko. Widocznie vice lider chciał się pochwalić jak dobrze zna teren i trasę. Godzinę po naszym lądowaniu przybyły samochody z beczkami paliwa i cysterna z wodą. Woda była ciepła i gliniasta, nabrana prosto z zalewu Namera, ale dla nas stanowiła dar niebios. Przywieźli ją czarni jak węgiel chłopcy. Tylko białe oczy i zęby świeciły im się na czarnych roześmianych twarzach. Wyglądali jak posmarowani pastą Kiwi i dodatkowo wyglansowani do połysku. Cały Sudan jest czarny. Spotkać tu można ludzi z całej Afryki, ale tak czarnych widziałem tylko w Wadi Halfie. Wszyscy byli sympatyczni wylewnie uprzejmi. Przywitani się serdecznie z nami. Widocznie my byliśmy dla nich Taką atrakcją jak oni dla nas.

Rozebrani do naga polewaliśmy się przywiezioną wodą, wiadrami prosto z cysterny.

Tak odświeżeni zjedliśmy obiad złożony z konserw, suchego prowiantu i przywiezionych ze sobą napojów. W Sudanie obowiązuje prohibicja, całkowity zakaz wyrobu, sprzedaży i spożywania alkoholu. Nie ma tu nawet piwa. Przepisy i zakazy są po to żeby je łamać. Ceny alkoholu przemycanego na czarny rynek osiągają zawrotne sumy. Nasi specjaliści od kontrabandy potrafili zarobić na tym biznesie duże pieniądze. Znałem pilota, który obładował AN–a alkoholem zakupionym w Grecji. W Sudanie sprzedał go zarabiając na czysto 5000\$. Następnie podziękował za pracę i wrócił do kraju. Zamknął sobie tym wyczynem drogę do pracy w ZUA, ale on twierdził, że swoje zarobił i na rozbiciu się o palmy lub druty wcale mu nie zależy.

Ja kupiłem na freeshopie (wolnocłowa sprzedaż w portach lotniczych) dwie butelki whisky Johnie Walker, ale koledzy wieźli pełne kartony tego specjału. Sprzedałem swe butelki na pierwszym postoju w Wadi Halfie uzyskując za nie ceną 10 krotnie wyższą. Koledzy woleli wstrzymać się ze sprzedażą licząc na większe przebicie w głębi kraju. Niektórzy cały zapas przepili sami. Pijaństwo rozpoczęło się już w Wadi halfie. W tropiku wieczór zapada wcześniej i gwałtownie. Tam cały rok trwa okres równonocy. O godzinie 6 wstaje słońce i zaczyna się dzień, a o 18 po parominutowym zmierzchu zapada rozgwieżdżona noc. Na lądowisku był tylko 1 budynek przeznaczony na nocleg dla lądujących tu załóg. W oknach zamiast szyb tylko druciane siatki. Łóżka polowe mieliśmy ze sobą. Zanim poszliśmy spać należało zjeść kolację. Ciepła noc, gwiazdy świecą jak w żadnym innym miejscu na ziemi. Ogień prymusa do grzania herbaty zamiast ogniska. W mroku nocy rzędem stoją samoloty. Nastrój jak na harcerskim biwaku. Taki wieczór drugi raz się nie zdarzy.

No i jak tu się nie napić, na zdrowie i na szczęście. Nawet i ja wypilem 1 kieliszek.

Koledzy na 1 nie poprzestali. Ktoś przyniósł butelkę, drugi mu się zrewanżował na zasadzie „dobre twoje, dobre i moje”. W końcu wypadła prawie butelka na głowę. Stefaniak, bardzo sympatyczny me-

chanik Michała Golonki przyniósł 2 słoiki świetnie przyrządzonych przez jego żonę ogórków marynowanych. Tak smakować może tylko coś orzeźwiającego na gorącej pustyni. Do dnia dzisiejszego, gdy mam okazję przekąsić marynowanym ogórkiem, przed oczami staje mi tamten wieczór, wyborny smak i młody mężczyzna, który niepotrzebnie zginął przez czyjąś głupotę. Gdy towarzystwo miało już trochę w czubie, Zbyszek Kudzewicz usiłował przerwać dalszą libację. Powiedział – Panowie proszę iść spać. Jutro wcześniej startujemy, gdyż w godzinach popołudniowych możemy napotkać burze piaskowe.

Zbyszek był nauczycielem, człowiekiem kulturalnym, grzecznym i subtelnym. Uważał, że słowo powinno wystarczyć. Ja poszedłem za jego radą, ale nieco wcześniej podszedł do mnie Jurek Danst i ostrzegł – Panie Wiesiu niech pan uważa na Golonkę, on chodzi z otwartym nożem i nie wiadomo co takiemu szajbusowi może przyjsć do głowy.

Podziękowałem Jurkowi i miałem się na baczności. Nie bałem się gdyż pijany awanturnik był ode mnie fizycznie słabszy. Nawet bym go do siebie nie dopuścił.

Jednak musiałem poczekać aż on uśnie pierwszy. Zamiast o godzinie 6 wystartowaliśmy o 10. golonka od samego początku zaczął się mnie czepiać. Powiedziałem do Jurka – Pokaże temu głabowi, że potrafię latać w szyku.

Przez kilkanaście minut będę leciał w parze z Orlewskim, potem przejdziemy na luz. Podszedłem blisko samolotu kolegi. Lewe skrzydło swojego samolotu wstawiłem pomiędzy prawe skrzydło i statecznik samolotu Józka. Moje śmigło wirowało tuż koło końcówki skrzydła sąsiedniego AN-a. taki lot wymagał dużej koncentracji, uwagi i natychmiastowej płynnej reakcji w sterowaniu płatowcem i silnikiem. Po 10 minutach lotu usłyszałem w słuchawkach głos vice lidera. Mówił do Golonki, ale słyszeli wszyscy. – I co, pokazał ci.

Na to Michał:

– A ja go pierdołę!

Były to niestety jego ostatnie słowa. Widocznie głupota sprzykrzyła się również Panu Bogu. Rozluźniłem nieco szyk, ale nadal trzymałem się blisko Józka. Nie myślałem nawet, że ten trening przyda mi się już za kilka minut. Lecieliśmy na wysokości 1200 m, gdy psuć się zaczęła widoczność. Otoczyła nas mgła gęstniejąca z każdą minutą.

Nie była to jednak mgła lecz piasek. Tutaj na wysokości ponad kilometra ziarenka pisku przybrały postać kurzu. W dole rozpętało się piekło. Włączyłem przyrządy do ślepego pilotażu, sztuczny horyzont, zakrętomierz, żyrobusołą. Lidera przestałem widzieć, tylko w słuchawkach rozległ się jego głos:

– Panowie, schodzimy na 500 m

Samolot Józka Orlewskiego widziałem tylko dlatego, że byłem zaledwie kilka metrów od niego. Ująłem gaz i z opadaniem 2m/s zniżaliśmy się obaj. Na wysokości 500 m lider wydał komendę dalszego zniżania do widoczności ziemi. Była to błędna decyzja gdyż tym spadaniem wchodziliśmy w najgęściejszą piaskową nawałnicę. Im bliżej ziemi tym zasłona stawała się gęściejsza i coraz bardziej brązowa. Orlewskiego przestałem już widzieć. Wiedziałem, że jest kilka metrów przede mną. Przecież nie zdematerializował się. Lada sekunda mogę zobaczyć jego stery przed sobą, lub zderzyć się zanim cokolwiek zobaczę. Za mną są jeszcze 2 samoloty. Każde zmniejszenie prędkości może spowodować, że dogoni mnie Michał lub vice lider.

Nie mogłem prowadzić samolotu wg przyrządów, gdyż musiałem patrzeć przed siebie aż do bólu w skroniach. Samolot cały czas wytracał wysokość, gdyż polecenie było zejść do widzialności ziemi. Czy wprawdzie zobaczę ziemię czy samolot kolegi?

Na razie niczego nie widziałem. Jurek wytrzymał sytuację po bohatersku. Ja nie miałem czasu się bać, byłem zajęty ratowaniem siebie, jego i samolotu. Natomiast on czekał biernie i zegnał się z życiem. W pewnym momencie zauważyłem przed sobą pofalowaną piaszczystą powierzchnię. Samolot pilotowany na wyczucie schodził do ziemi z dużym zwisem na lewe skrzydło. Już nie myślałem czy jest ktoś za mną lub przede mną. To była ostatnia sekunda. Pociągnąłem wolant do siebie równocześnie dodając gazu i wyprowadzając samolot ze zwisu. Przeleciałem może metr nad pofalowaną powierzchnią i straciłem ją z oczu. Teraz mogłem zająć się przyrządami, nie widziałem gdzie są inne samoloty. Jeżeli znajdują się nisko to ja pójdę wysoko. Nabrałem 500 m wysokości zanim zdecydo-

waleń się zawrócić. Do przodu nie było sensu lecieć, bez map w nieznanym terenie, w głąb pustyni. Odnajdę Wadi Halfę na brzegu olbrzymiego zalewu. W tym momencie usłyszałem w słuchawkach głos vice lidera. wzywał kto go słyszy. Odpowiedziałem, że wracam na ślepo do Wadi Halfy.

Wtedy odezwał się również Orlewski. Powiedział, że i on wraca. Stankiewicz zakomunikował, że utknął na pustyni. Samolot ma uszkodzony, ale załoga jest cała. Burza osłabiła ale nadal nic nie widać i sypie piach. Poprosił aby z Wadi Halfy zorganizować mu pomoc. Zaczęłem widzieć zarysy ziemi. Ujrzałem również około kilometra z boku samolot Orlewskiego. Nawiązaliśmy łączność. Naszej rozmowie przysłuchiwał się Kudzewicz. On nadal leciał nisko nad ziemią w tumanach piaskowej nawałnicy, ale wiedział już, że z tyłu jest lepiej. My w tym czasie wyszliśmy z burzy na zupełnie czystą przestrzeń. Odnaleźliśmy tor kolejowy łączący Wadi Halfę z Chartumem. Wtedy Kudzewicz postanowił zawrócić. Do Wadi Halfy przyleciał godzinę po nas. Gdy burza minęła poleciał jeszcze raz w pustynię na pomoc załodze uszkodzonego samolotu. Przed wieczorem przywiózł ich do Wadi Halfy całych i zdrowych. Samolot parę tygodni czekał na pustyni na naprawę prowizoryczną, przelot do bazy i remont główny. Wieczorem zawiadomiona nas również, że na pustyni leży wrak rozbitego samolotu. Ciało pilota wyrzucone na zewnątrz napoczęły sępy. Natomiast ciało mechanika zakleszczone między pogięte blachy trzeba wydobyć przy pomocy sprzętu do cięcia metali. Nigdy nie odczuwałem nawet cienia satysfakcji z powodu śmierci kolegi. Dzisiaj on, jutro mogę być ja. Należy zachować pokorę wobec losu i woli Pana Boga. Nasze nieporozumienie jest mało znaczącym incydentem. Rozeszli byśmy się w swoje strony i więcej się nie spotkali. Swoja droga dziwne jest, dlaczego rozbiły się obydwie samoloty, których piloci wykazywali głupotę, arogancję i brak poszanowania towarzyszy, ale dlaczego zginął niewinny szlachetny człowiek?

Za 2 dni poleciliśmy w dalszą drogę. Ja zabrałem Stankiewicza, a Orlewski jego mechanika. Przelatywaliśmy nad miejscem katastrofy. Widziałem z powietrza resztki An-a. pomachałem na pożegnanie skrzydłami, nie pogiętym blachom lecz duchowi kolegi. Tylko w ten sposób mogę wyrazić swoje uszanowanie. Starszy pan coś zaczął bełkotać, ale kazałem mu się zamknąć. Jego liderowanie zostało na pustyni.

W tym samolocie ja jestem liderem. Był dzień 1 września 1988 roku. Tego dnia pokonaliśmy 2 ostatnie odcinki trasy Wadi Halfa – stacja X, oraz Chartum. Do Chartumu prowadzi przez pustynię linia kolejowa. Co kilkadziesiąt kilometrów leży przy niej kolejna stacja. Wyposażenie takiej stacji stanowią 3 lub 4 okrągłe lepianki i nic więcej. Na stacji X przechowywano paliwo dla naszych samolotów. Ktoś tu jednak mieszkał i tego paliwa pilnował. Gdy wylądowaliśmy znalazło się kilku mężczyzn w galabijach. Ostrzegali nas, że nadciąga habub, tzn następna burza piaskowa. Na niebie pojawiły się charakterystyczne chmurki. Nam one nic nie mówiły, ale tubylcy dobrze się na nich znali. Po starciu wdrapaliśmy się na wysokość 2000m i habub przeszliśmy górą. Dogoniło nas tylko lekkie zamglenie, ale w dole pod nami nie było widać niczego. Teraz prowadziła nas wieża kontrolna lotniska w Chartumie. W stolicy Sudanu łączy się Nil Biały z Błękitnym. Stąd obie duże rzeki płyną jako jedna najdłuższa rzeka świata. Chartum położony w rozwidleniu rzeki zajmuje niższy poziom. Po jego lewej stronie na wyżynie leży Omdurman, największe skupisko lepianek na świecie. Od Chartumu na południe rozciągają się sudańskie obszary rolnicze. Położone na idealnej równinie pomiędzy Nilem Białym a Błękitnym – zajmują obszar ograniczony miastami Wad Medani, Senar, Kosti. Obszar ten ma ponad 200 km długości i ponad 100 km szerokości. Wewnątrz obszaru leży kilka miast mniejszych stanowiących ośrodki gospodarcze. W miastach tych rozlokowane są bazy agrolotnicze. Główna polską bazę założono w miejscowości Hasahejsa. W typowej lepiance przypominającej bardziej gliniany bunkier niż dom, mieściły się sypialnie, stolówka, kuchnia i biuro szefa kontraktu. Wszystko to było otoczone glinianym murem. Lotnisko, stojanki dla samolotów i warsztaty naprawcze położone były nad Nilem Błękitnym w uroczym zakolu jaki tworzyła rzeka. Bazy robocze rozsiane na przestrzeni terenów rolniczych posiadały po 6 samolotów. Ponadto nasze samoloty pracowały w odległych terenach pustynno – stepowych lub na sawannach gdzie zwalczały szarańczę. Praca ta była ciężka i niebezpieczna.

Z Chartumu przewieziono nas 150 km na południe do miasta Wad Medani celem zaaklimatyzowania się do sudańskich warunków. Temperatura była tu wyższa niż w Egipcie. W tym czasie miej-



Burza piaskowa

scowa TV notowała 46 stopni Celsjusza w cieniu, ale bardzo suche powietrze odparowywało pot lub wodę co powodowało, że człowiek pomimo wysokiej temperatury się nie pocił i miał lepsze samopoczucie. Ponadto nie było tu palm ani drutów. Były tylko rozległe pola bawełny poprzecinane Sieciami nawadniających kanałów. W Wad Medani mieszkaliśmy przez 10 dni w hotelu. Po tym czasie przydzielono nas do baz roboczych. Ja trafiłem do bazy Messalamija z lądowiskiem i dużym budynkiem mieszkalnym w Abd El Galil. Baza ta obrabiała pola przylegające do Nilu Błękitnego pomiędzy miastami Wad Medani i Hassahejsa.

Po wykonaniu obowiązkowych lotów wprowadzających rozpocząłem prace 14 września przy pięknej słonecznej pogodzie i temperaturze 46 stopni. Pola sudańskie charakteryzują się kilkoma niezwykle ciekawymi cechami. Są urodzajne ale potrzebują wody. W Egipcie wodę z kanałów na pola przelewano mechanicznie. Tutaj wystarczyło tylko otworzyć śluzę i woda płynęła sama zalewając pole do potrzebnego poziomu. Drugą wprost nieprawdopodobną cechą była równość powierzchni. Wszystkie pola były prostokątami o wymiarach 1350 x 280 m.

Liczyły sobie po 90 fedanów czyli prawie 40 ha każde. Zalane wodą wyglądały jak olbrzymie lustro, po których brodziły setki bocianów i żurawi. W jaki sposób można wyrównać 40 ha pole, aby ponad powierzchnią wody nie wystawała nawet bryłka ziemi, a przecież jeziora te miały zaledwie kilkanaście cm głębokości. Gdyby pole takie było jedno, mógłbym je sobie wyobrazić, ale pól takich były tysiące. Stanowiły one często bloki połączone ze sobą, porozdzielane tylko kanałami. Zdarzało się, że w jednym rzędzie leżało kilkanaście 90 fedanowych pól, wtedy na przelecenie w jednym kierunku brakowało w zbiorniku chemikaliów. Nie było tu żadnych drzew ani drutów. Praca była łatwa i przyjemna. Największym problemem była temperatura. Gdy blachy samolotu się nagrzały podczas krótkiego nawet postoju, wtedy parzyły. Do wnętrza wchodziło się jak do rozgrzanego pieca, trudno było oddychać. Po uruchomieniu silnika szybko się schładzały, a w powietrzu było już całkiem znośnie. Pot nie zalewał oczu i nie płynął po ciele. Mieszkaliśmy w przestronnych murowanych resthauzach. Środkowe pomieszczenia stanowiły sypialnie. Grube mury nie nagrzewały się tak szybko i w sypialni

panowała temperatura o kilka stopni niższa. Przyjemnie było tu odpocząć i skryć się przed palącym słońcem. Pobudkę w dni pracy mieliśmy o 4 rano, a właściwie nocą. Śniadanie, wyjazd na lądowisko i przygotowanie samolotów do pracy i start na podlądowisko robocze, odbywały się po ciemku. Tylko gwiazdy świeciły nad głową. Nisko nad horyzontem zobaczyć można było Gwiazdę Polarną a po przeciwnej stronie nieba Krzyż Południa.

Dzień rozpoczynał się wraz ze wschodem słońca. Na podlądowiskach lądowaliśmy wraz z pierwszymi jego promieniami. Gdy my rozpoczynaliśmy latanie wyganiano na pola bydło, wielbłądy, konie i zawsze opanowane osiołki. Inne zwierzęta ploszyły się na widok samolotu, a osioł stał spokojnie nawet wtedy gdy skrzydło samolotu przeleciało mu metr nad głową. O godzinie 13 wracaliśmy do bazy na obiad. Czarni kucharze poznali zasady polskiej kuchni i dobrze gotowali. Posiłki zawsze były smaczne i w wystarczających ilościach. Nawet ejsz sudański był dużo smaczniejszy niż egipski lub syryjski. Ejsz jest to arabski placek, rodzaj chleba, gdyż pieczywa takiego jak u nas tam nie znają. Natomiast roślin tam występujących nie znaliśmy my. Smaczna jest sudańska parzona czerwona herbata, parzona z kwiatów rośliny Karka – de.

Na szeroka skalę uprawia się również orzeszki ziemne. Surowe smakują jak fasola, ale po przypieczeniu nawet w ognisku nabierają wspaniałego smaku. Z orzeszków wytłacza się smaczny olej, którego można używać do różnych potraw, również do smażenia. Olej ten jest szczególnie zdrowy na wszelkiego rodzaju dolegliwości trawienne. Po obiedzie należało wejść do rozgrzanego pieco – kadłuba samolotu, uważając aby nie dotknąć ręką do blachy i jak najszybciej uruchomić silnik. Pracowaliśmy do 17–17:30 w zależności jak daleko było od podlądowiska do bazy.

Należało uważać aby nie dać się zaskoczyć nocy. W naszej szerokości geograficznej zmierzch trwa długo, tam zaledwie parę minut. Po kilku dniach pracy popełniłem taki 1 właśnie błąd, który mógł mnie bardzo drogo kosztować. Słońce było już nisko nad horyzontem, gdy uległem prośbom inspektorów aby wykonać jeszcze jeden lot.

Nie pomogły moje rady aby kijem podeprzeć słońce i w ten sposób powstrzymać je przed zachodem. Oprysk skończyłem gdy zaświeciły się pierwsze gwiazdy. Przysłowie mówi o egipskich ciemnościach, ale sudańskie są większe. Światło elektryczne jest tylko w miastach. Na wsiach każdy radzi sobie jak może. Przeważnie w użyciu są agregaty prądotwórcze napędzane silnikiem spalinowym, ale włącza się je tylko pomiędzy godziną 20 a 22. my w bazie mieliśmy swój agregat jednak dookoła była ciemność. Do bazy miałem 40 km drogi i nieokreślony bliżej kierunek lotu.

U góry świetlne punkty gwiazd. W dole jedna wielka czarna plama. Gdzie szukać lądowiska lub chociażby pola? Szef pilotów zaniepokojony brakiem 1 samolotu zaczął wołać mnie przez radio. Zdecydował się wysłać samolot w celu poszukiwania zguby. Odpowiedziałem, że jestem na dolocie i widzę kołujący na światłach samolot. Prosiłem aby zwolnił mi pas lądowania i nie wygaszał światel. Korespondencji naszej słuchał szef kontraktu w bazie Hassahejsa. Otrzymałem upomnienie i na tym skończyła się przygoda. Kolację jedliśmy przy świetle naszego agregatu. Po kolacji szliśmy przeważnie na taras na dachu resthauzu aby pogawędzić z kolegami i wypić kieliszek brandy przemyczonej z Egiptu i popatrzeć na rozgwieżdżone niebo. Potem opracowywaliśmy rozkład pracy w dniu następnym i szliśmy spać pod moskitiery obtykając je szczelnie aby w nocy nie zainteresował się nami skorpion lub żmija.

Jaszczurek, których było tu sporo, nie baliśmy się ponieważ one przychodziły tylko w gościnę i nikomu krzywdy nie robiły. Siedziały sobie grzecznie na ścianach stanowiąc oryginalną dekorację. Zjadały tylko groźne dla nas komary, ratując nas tym samym przed malarią. Aby zabezpieczyć się przed tą tropikalną chorobą łykaliśmy specjalne tabletki "Malarex", jednak one nie chroniły przed zakażeniem tylko łagodziły jej przebieg. Malaria jest nieuleczalną chorobą. W naszym klimacie się nie rozwija i stanowi obok głuchoty drugą chorobą zawodową agrolotnika. Czasami zawitała do nas w odwiedziny tarantula, duży jadowity pająk. Tego gościa należało się raczej wystrzeżać. Różnych atrakcji mieliśmy tutaj sporo. Często lądowiskami roboczymi były wąskie drogi dojazdowe lub groble pomiędzy kanałami. Pod koniec września szukano ochotników do zwalczania szarańczy. Oferowano trochę lepszy zarobek jako rekompensatę za pracę niebezpieczną i trudną. Warunki tej pracy były niezwykle ciężkie i prymitywne. Koledzy, którzy zgodzili się, wykonywali 1 względnie 2 loty wczes-



Baza Gamusi



nym rankiem gdy szarańcza była jeszcze na ziemi. Istniało niebezpieczeństwo spłoszenia owadów. W tej sytuacji samolot był bez szans. Zalepione okna i wloty powietrza powodowały zatrzymanie silnika i niemożliwość wylądowania bez widoczności zewnętrznej. W ten sposób rozbiło się w kamienistym terenie kilka samolotów. Po wykonaniu porannych lotów załogi koczowały w pustynnym stepie, pomiędzy rozgrzаныmi blachami kadłuba, bez możliwości umycia się, ochłodzenia, a nawet zjedzenia normalnego posiłku. Pożywienie składało się z konserw i ogrzanej słońcem wody w butelkach. Ile czasu można w ten sposób wytrzymać? Widziałem kilkukilometrową chmurę szarańczy. Około godziny 10 otrzymaliśmy ostrzeżenie o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Pracowałem 30 km na północ od lądowiska bazowego w Messalamiji. W tym czasie przyleciał do naszej bazy szef kontraktu pan Eugeniusz Doroszewicz. Wilga wpadła w chmurę szarańczy gdy była na podejściu do lądowania w Abd El Galil. Wylądował z trudem w ostatniej sekundzie. Samolot pokryty był żółtą kleistą mazią. Brygada mechaników przez parę godzin myła i doprowadzała go do porządku. Ja przerwałem pracę i czekałem na dalszy rozwój sytuacji. Po kilkunastu minutach zauważyłem ciemną zbliżającą się chmurę. Przeleciała obok, około kilometra od nas. Pojedyncze owady kilka dni latały po okolicy. Po lądowisku bazowym błakało się lub leżało martwych kilkaset dużych pasikoników o rozpiętości skrzydeł do 20 cm. Żarłoczne stworzenia pożerają wszystko co rośnie na ich drodze. Sudańczycy jedzą pieczoną szarańczę, ale ja tego nie widziałem. Nie widziałem również aby je łapano lub zbierano. Może gdzieś w biednych wioskach południowego Sudanu, gdzie żyją prymitywne i półdzikie plemiona. Sudańczycy z północy, którzy kulturę, wiarę i zwyczaje, przejęli od Arabów gardzą tymi plemionami nazywając ich Malakal. Kiedyś do naszej bazy przyszły 4 sudańskie dziewczyny z pobliskiej wioski. Wystrójone były w barwne długie suknie i chusty na głowach, ale twarze miały odkryte. Nikt nie palił się do podjęcia rozmowy z kilku oczywistych powodów. Nie dowiedzieliśmy się też po co przyszły. Posiedziały godzinę na ogólnej Sali, pośmiały się i poszły, więcej się nie pojawiły.

W połowie października uległem silnemu zatruciu chemikaliami. AN-2 wyposażony był w boczny zawór do załadunku substancji ciekłych. Jeden z robotników źle zapiął doprowadzający wąż i uszkodził zawór. Jurek Dunst powinien był sam nadzorować załadunek ale po prostu mu się nie chciało. Wszedł z jednym robotnikiem na dach samolotu i pokazał mu, że wąż można włożyć od góry bezpośrednio do zbiornika. Wszystko było dobrze dopóki vice mechanikowi nie sprzykrzyła się ta czynność. Na dach samolotu wysłał swego kolegę, ten nie wiedział gdzie włożyć końcówkę węża. Włożył ja nie do zbiornika lecz do kadłuba przez otwór po zdemontowanym wiatraku od mieszała. Ja siedziałem w kabinie gdy potężnym strumieniem buchnęły chemikalia pompowane pod ciśnieniem kilku atmosfer.

Zacząłem alarmować ale nikt nie wiedział o co mi chodzi. Dopiero jak biała ciecz zaczęła wylewać się z kadłuba przez drzwi zatrzymano pompę. Musiałem odkołować samolot do mycia. Mycie polegało na tym, że wiano do kadłuba kilka ton wody. Woda wypłynęła ale chemikalia pod podłogą zostały. Inspektorzy nadzorujący pracę oświadczyli, że jest „kulu klajs”. Wiedziałem, że nie jest „klajs” ale nie mogłem się z nimi kłócić. Po załadowaniu zbiornika chemikaliami wystartowaliśmy do kolejnego lotu. Pod wpływem grzejącego słońca trujące opary wypełniły wnętrze samolotu. Już po paru minutach poczułem się źle. Powiedziałem o tym Jurkowi, a on radził aby niezwłocznie powiadomić przez radio bazę. Szef pilotów kazał mi natychmiast przerwać lot i lądować na lądowisku, ja jednak wróciłem do bazy. Po wylądowaniu straciłem przytomność. Drugim samolotem odwieziono mnie do Hassahejsy pod opiekę lekarza. Obudziłem się w prowizorycznym szpitaliku, gdzie na sąsiednich łózkach leżeli półprzytomni chorzy na malarię. Sam byłem półprzytomny. Czułem się bardzo źle. Miałem silne zawroty głowy, ogólne osłabienie i zaburzenia równowagi. Gdybym stracił przytomność w powietrzu zginęlibyśmy obaj. Po wylądowaniu na podlądowisku zmarłbym zanim dowieziono by mnie do lekarza i zanim czarni inspektorzy zdecydowaliby się co robić. Znowu inicjatywę przejął anioł stróż.

Widok chorych na malarię był przerażający. Nie chciałem zostać wśród nich ani trochę dłużej, poza tym w polowym szpitaliku było bardzo gorąco. Prosiłem lekarza aby pozwolił mi wrócić do bazy na swoje przytulne łóżko w chłodniejszym resthauzie.

Tam prędzej wróć do zdrowia. Późnym popołudniem załadowano mnie na nosze i odwieziono do Messalamiji. Wieczorem przybyli inspektorzy zobaczyć jak się czuję.

Przez 3 dni czułem się fatalnie, potem coraz lepiej. Otrzymałem 10 dni zwolnienia lekarskiego, przez pierwsze 4 leżałem w łóżku. Po 10 dniach powróciłem do pracy.

W listopadzie nie było już tak dokuczliwych upałów. Zdarzały się coraz częstsze przerwy w pracy. Bawełna zaczęła dojrzewać a na jej miejsce siano pszenicę. W wolnych dniach urządzaliśmy wycieczki. Południowy kraniec terenów rolniczych stanowiły bazy Senar i Gamusi. Pierwsza leżała nad Nilem Błękitnym druga w pobliżu Białego. Obszar pomiędzy tymi bazami stanowiły suche nieużytki. Gdyby ten teren nawodniono Sudan zyskałby wiele kilometrów kwadratowych pól uprawnych. Wody jednak nie było, a tą która płynęła Nilem trzeba było dzielić się z Egiptem. Umowy stanowiły o tym ile wody może pobrać każde państwo. Na tej pustynnej przestrzeni widniała dziwna skalista góra. U jej podnóża leżała wioska tej samej nazwy. W czasach kiedy Sudan był kolonia brytyjska, Anglicy założyli tu fort obronny.

Do dzisiejszego dnia stoją wczepione w skały mury i umocnienia, dowód i pamiątka przemocy kolonialnej oraz buntu. U stóp góry skąpo porośniętej skalna roślinnością leżały 2 niewielkie stawy w których pojono wielbłądy i bydło. Na terenie fortu była oryginalna głęboka studnia obudowana kamieniami. Wyglądała jak wielka kamienna szyszka, nieopodal rósł prawdziwy potężny afrykański baobab. Zapewne od tej wody, góra i wioska otrzymały nazwę Gebel Moja, co w tłumaczeniu oznacza górę wodną. Skalisty stoki Gebel Moja wznosiły się na wysokość ponad 100 m. w dole leżała wioska, wypalona słońcem szara równina oraz tor kolejowy, jedyny na tych terenach, łączący resztę kraju z Chartumem. Jedyną również była szosa asfaltowa biegnąca wzdłuż Nilu przez Hassahejsę, Wad Medani, Senar, Kosty setki kilometrów gdzieś na południe do Renku, a może dalej. Wszystko było oryginalne i niezwykle. Jedną z dzielnic Wad Madani był Barakat, dzielnica pełna palmowych ogrodów, kwiatów i domów willowych budowanych w stylu europejskim. Na pewno kiedyś zamieszkiwali je decydenci angielskiej administracji, zresztą ślady tej kultury dominowały w całej Wad Madani, która po Chartumie była największym miastem tej części kraju.

Wzdłuż Nilu ciągnęły się parki z licznymi kawiarniami, w których można było dostać wszystko oprócz alkoholi. Były tu kościoły różnych wyznań, urzędy, sklepy i szkoły wyższe z dużą ilością studentów. Młodzież ta nosiła się po europejsku, dziewczyny nie zakrywały twarzy, ubrane w przewiewne kolorowe suknie, muślinowe szale i chusty, na nogach i rękach miały skarpety i rękawiczki z misternej koronki, nie zakładane lecz malowane. Nic dziwnego, że ludzie ci o swych ziomkach z Malakalu wypowiadali się jak o dzikusach. Miedzy północą a południem od lat trwała otwarta wojna domowa.

W ten sposób szczęśliwie doczekaliśmy Świąt Bożego Narodzenia. Wigilię wyprawiliśmy sobie we własnym zakresie. Było wszystko co potrzeba. Kolację świąteczną przygotował nam kucharz. Oplątek przysłano z kraju. Choinkę ustroiłiśmy z liści palmowych. Na nieczynnym kominku ustawiliśmy karty świąteczne przysłane z domu i dwie świece obok choinki. Śpiewaliśmy kolędy a świece się paliły, tylko stearyna spływała spod płomienia i zastygała na parapecie kominka. Może święta te nie były zbyt wesołe. Każdemu z nas brakowało rodziny i domu, ale był z nami ktoś niezwykle, gość o jakim nawet w snach nie mogliśmy marzyć. Gdy świece się wypaliły, na miejscu jednej z nich powstała dziwna figurka. Odlana była z zastygłej stearyny. Miała około 10 cm wzrostu. Ubrana w charakterystyczny płaszcz. Z głowy na ramiona zwieszała się chusta odsłaniając złożone przed sobą ręce. Na rękach leżało dziecko. Wszystkie proporcje były idealnie zachowane. Nie ulegało wątpliwości kto nas odwiedził w ten wigilijny wieczór. Aby nie być posądzonym o nadmiar wyobraźni poprosiłem kucharza. Był to młody czarny mężczyzna, przystojny i bardzo sympatyczny. Był muzułmaninem co w tym momencie miało istotne znaczenie. Pracując z Polakami od kilku lat lepiej mówił po polsku niż my po arabsku. Zapytałem go – Łorko, jak ci się zdaje, do kogo jest ta figurka podobna?

Chłopak chwilowo zaniemówił z wrażenia. Następnie przeciągając zgłoskę „y” wyszeptał:

– Mary.....ja!

Potwierdzenie z ust muzułmanina jest najlepszym dowodem jak realistyczna była ta postać. Innym dziwnym momentem tego zdarzenia był fakt, że zdjęcia figurki nie udały się. Coś na nich widać, ale nie to co my oglądaliśmy. Nazajutrz wybraliśmy się samochodem do bazy głównej w Hassahejsie na zaproszenie kierownictwa kontraktu. Przyjechał z Chartumu ksiądz misjonarz i odprawił uroczystą,

polową mszę świąteczną. Przylecieli również samolotami chłopcy z odległych baz. Tak uroczystych i wzruszających świąt chyba jeszcze nie przeżyłem. W Nowy Rok 1989 pojechaliśmy samochodem na mszę do Wad Medani. Odwiedziliśmy kilka kościołów zanim trafiliśmy do rzymskokatolickiego. Kościołem opiekowały się zakonnice z Włoch. Przyjęły nas bardzo uprzejmie ponieważ imię Polski za sprawą papieża głośnie było na świecie. Podczas mszy ksiądz przedstawił nas wszystkim zgromadzonym wzbudzając wśród nich duże zainteresowanie naszymi osobami, jako pilotami przybyłymi z kraju Jana Pawła II. Po słowach: „Przekażcie sobie znak pokoju”, wielu ludzi podchodziło do nas aby uściśnić nam rękę dając tym samym wyraz nie tylko religijnej tradycji lecz również sympatii dla naszego kraju. Po mszy siostry zakonne zaprosiły nas na herbatę prosząc o wpisanie się do księgi pamiątkowej parafii. W księdze tej widniał już podpis i słowa pani Pelagii Majewskiej. Siostry pamiętały ją jako osobę wielkiej szlachetności. Obiecały pomodlić się za jej pamięć i duszę. Po Nowym Roku zaczęliśmy latać na ochronę upraw pszenicy. Pracy dużo nie było, do tego klimat był nam bardziej przychylny. Styczeń w Sudanie wygląda tak jak nasze ciepłe lato, a do takiej pogody jesteśmy przyzwyczajeni. Do bazy Messalamiji przysłano do testowania nowy typ samolotu.

Był to Kruk ale z silnikiem turbośmigłowym nie stosowanym dotąd w naszym agrolotnictwie. Pilotem tego samolotu był Stefan Weker, znany mi z pracy w aeroklubie i w Kętrzynie. Stefan zrobił uprawnienia pilota doświadczalnego i teraz po kilkunastu latach spotkaliśmy się w Afryce. Kontrakt sudański dobiegał końca. Samoloty i pilotów sukcesywnie odsyłało do domu. Termin mojego odlotu nastąpił w dniu 1 lutego. Spakowaliśmy z Jurkiem Dunstem manatki, pożegnali kolegów i około godziny 10 wystartowali do Hassahejsy. Tu czekały na nas 4 ANy z innych baz, a wśród nich mój uczeń i kolega Krzysiek Machnacki. Nazajutrz odlecieliśmy grupą do Chartumu. Mój samolot nie chciał pogodzić się z powrotem do Polski. Rozumiem go doskonale. Komunizm wprawdzie się walił i władze polityczno – rządowe zdawały sobie z tego sprawę. Dlatego postanowiły zastosować taktykę spalonej ziemi. Zdecydowano się na podział władzy przy „okrągłym stole”, ale równocześnie dokonano kolejnego rozbioru. Tym razem nie chodziło o granice lecz o majątek narodowy. Najpierw w grudniu 88 roku uchwalono kilka ustaw o podejmowaniu prywatnej działalności. Następnie staraniem rządu czerwonego premiera Mieczysława Rakowskiego uchwalono ustawę o przejmowaniu na własność majątku państwowego przez osoby prywatne i spółki prywatno – państwowe. Takim sposobem markszystowsko – leninowscy wrogowie wszelkiej własności prywatnej, stali się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pierwszymi kapitalistami w obrabowanej Polsce. Do czego było więc wracać?

Samolot zaczął nagle prychać jak narowisty koń. Po starcie z Chartumu musieliśmy lądować w Atbarze, aby dokonać przeglądu. Nic nie pomogło. Do stacji X lecieliśmy wzdłuż Nilu, aby w przypadku awaryjnego lądowania nie szukać mnie na pustyniach. Lecieliśmy niewysoko, toteż miałem okazję obejrzeć słynne katarakty na Nilu.

Na stacji X nocowaliśmy w samolotach. Nocą było dość zimno. Następnego dnia pokonaliśmy 2 odcinki trasy do Wadi Halfy i Luksoru. Samolot prychał, ale leciał dalej. Może przeziębził się nocą na pustyni i kichał w gaźnik. Czasami detonacje były tak silne, że śmigło wyraźnie zwalniało obroty, a z pod maski ukazywał się dym.

Podczas tak nieregularnej pracy silnika występują duże momenty sił nadmiernie obciążające jego elementy. Czy silnik je wytrzyma? Jeżeli w końcu odmówi posłuszeństwa, czy zdołam bezawaryjnie wylądować? AN-2 to nie szybowiec.

Tyle godzin lotu pod psychiczną presją i w ciągłym zagrożeniu zmęczyło mnie.

Żeby dociągnąć do bazy egipskiej w Benha. Tam będzie możliwość znalezienia i naprawienia usterki. Wracając z powrotem była okazja jeszcze raz dokładniej przyjrzeć się miejscom, które w historii ludzkiej cywilizacji zajmują czołowe miejsca.

Gdy wybudowano tamę asuańską i zaczęto spiętrzać wody Nilu, zalanie groziło unikalnym świątyniom w Abu Simbel. 20 metrowej wysokości posągi wykute tysiące lat temu w litej skale należało pociąć na części i przenieść na wyższe stanowisko. Technika wykonania posągów i piramid jest zadziwiająca, ale pocięcie skalnych bloków i przestawienie ich jest równie zadziwiające i nie ustępuje rangą tamtym starożytnym technologiom. Obecnie posągi bóstw z Abu Simbel są symbolem zarówno dawnej kultury

jak i współczesnej cywilizacji. Za daleko było aby zrobić im zdjęcia z powietrza. Assuan również minęliśmy bokiem. Za to piramidy w Gizie sfotografowałem w różnych ujęciach. Mam satysfakcję, że kolorowe zdjęcia wykonałem własnoręcznie i do tego z lotu ptaka. Chyba niewielu pilotów może się pochwalić taka przygodą. Koledzy wykonali sporo unikalnych zdjęć w dolinie królów. Ja na razie żywię nadzieję, że zobaczę i tamte niezwykle zabytki. Teraz widziałem je tylko z powietrza i ze znacznej odległości. Do Aleksandrii przylecieliśmy 25 lutego około południa. Nie zaryzykowano ciągnąć przez morze uszkodzonego samolotu.

Grupa nazajutrz poleciała dalej a ja zostałem w Aleksandrii. Do Polski powróciłem za kilka dni samolotem LOTu. Jurek Dunst jako mechanik został ze swym AN-em prawie 2 miesiące dłużej. Okazało się, że trzeba wymienić silnik.

W domu czekało mnie kilka istotnych zmian.

Mój pierwszy wnuczek Michał ukończył pół roku i nieźle radził sobie z raczkowaniem.

Zięć ze szwagrem Luckiem wybudowali budynek gospodarczy. Żona zleciła specjalistycznej firmie założenie studni głębinowej ponieważ zaczęło brakować wody.

Odwiert wykonano w dniu istniejącej studni. W ten sposób zaoszczędzono na wierceniu kilkunastu metrów. Wodę znaleziono na głębokości 30 m. Jeden metr odwiertu kosztował milion ówczesnych złotych według cen sprzed denominacji.

Do tego należało doliczyć koszt materiałów i pompy głębinowej. Pochłonęło to niemal cały zarobek z Sudanu. Siostra moja Hania rozwiodła się z mężem. Machowscy sprzedali swój dom w Drohiczyźnie nad Bugiem i podzielili się pieniędzmi. Hania za swoją cześć kupiła niewielkie mieszkanie w Płocku przy ul. Krzywoustego i zamieszkała w nim razem z Kasią, która w tym czasie była uczennicą III klasy Małachowianki. Syn Hani Darek studiował na Politechnice Warszawskiej i własną pracą zarabiał na swe utrzymanie. Pracę otrzymywał za pośrednictwem spółdzielni studenckiej. Zaczepiony na linach wysoko nad ziemią mył okna w warszawskich wieżowcach. Hania była już bardzo ciężko chora. Rak nie dawał jej szans na dłuższe życie. Co pewien czas przebywała w szpitalu w Płocku lub w klinice onkologicznej Akademii Medycznej w Białymstoku. Wiedziała, że jej dni są policzone, a mimo to zachowała dziwną pogodę ducha. Może były to tylko pozory? Kilka razy odwiedziła mnie w nowym domu, kilka razy ja byłem u niej na Krzywoustego. Okazywała radość, ale w głębi duszy prawdziwe odczucia zachowywała tylko dla siebie. Nie chcąc się z nikim nimi dzielić przekazywała je na papier pisząc piękne wiersze o bardzo głębokiej treści, którą rozumiała tylko ona. W dedykacji dla siostry napisała: „Tobie jednak powiem skrycie, gdy już dni są policzone, człowiek tak się cieszy życiem.”

Chyba w tym zdaniu zawiera się tajemnica jej niby pogodnego nastroju.

Po powrocie z Sudanu wykorzystałem miesiąc urlopu, przedłużyłem licencje i stawiłem się do pracy. Badania lekarskie dopuściły mnie do pracy na okres całego roku. Komisja nie stawiała żadnych zastrzeżeń. Wysłano mnie powtórnie do czarteru Jaraczewo, tylko kwatere załatwiono w innym miejscu. Dom państwa Szymanów położony był na krańcu Piły koło stadionu sportowego. Ładna willa w ogrodzie posiadała 3 kondygnacje. My zajmowaliśmy najniższą. Warunki zakwaterowania były bardzo dobre.

Mieliśmy osobne pokoje sypialne. Wspólny pokój gościnny z telewizorem, wspólną kuchnię z pełnym wyposażeniem i wspólna łazienkę. Czasami ciszę wieczoru zakłócały nam odgłosy kłótni małżeńskiej dochodzące z wyższych kondygnacji. To państwo Szymanowie rozwiązywali swe rodzinne problemy. Ona była przystoją kobietą około 50 – ki. wysoka, zgrabna z czarnymi włosami, w stosunku do nas zawsze uprzejma i taktowna. On, starszy pan, niski, trochę puszysty i łysawy. Był lekarzem weterynarii. Po latach znudziła mu się młodsza o 10 lat żona i znalazł sobie kochankę. Na tym tle dochodziło do burzliwych dyskusji małżeńskich. Przez miesiąc latałem na samolocie Kruk, którego obsługiwał mechanik Zygmunt Stępniaak. Pochodził on z Warszawy. Żona jego, magister farmacji, pracowała w warszawskiej Polfie, ale Zygmunt w rejonie Trzcianki poznał młodą i ładną dziewczynę imieniem Wanda. Żona szybko wykryła romans, gdyż Zygmunt wcale się z nim nie ukrywał. Oświadczył, że gotów jest ożenić się z Wandą jeżeli otrzyma rozwód. W przeciwnym razie będzie miał 2 żony, jedną prawną, drugą faktyczną.

Pierwszą nazywał Słoneczkiem a drugą Gwiazdeczką. Dozorcynie na lądowisku szybko nazwały go

Księżycem, który obraca się pomiędzy Słoneczkiem a Gwiazdeczką. Pani Szyman, uczulona na małżeńskie zdrady, nie życzyła sobie, aby Zygmunt w jej domu przyjmował kochankę. Doszło do krótkiej utarczki słownej, po której Zygmunt zmienił kwatere. Ja pozostałem u Szymanów. Gdy z Egiptu powrócił Jurek Dunst, zmienił Stępniaaka w czarterze. Wymieniono mi również samolot. Znowu zaczęliśmy latać razem na AN–ie. W tym czasie dowództwo jednostki wojskowej w Pile załatwiło z PGR–em wysiew nawozów na trawę lotniska. Przeskoczyłem AN–em przez ogrodzenie i wylądowałem na pasie. Zanim przyciągnięto przyczepy z nawozami i sprzęt załadowniczy upłynęła prawie godzina. Oficer pełniący na wieży funkcje kierownika lotów zaprosił nas na herbatę. W ten sposób poznałem majora Wilkowskiego. Był on przystojnym mężczyzną o zgrabnej sylwetce sportowca i ujmującym sposobie bycia. Uprzejmy, towarzyski i bardzo pracowity. Miał około 40 lat. Jeszcze niedawno latał jako pilot na samolotach odrzutowych. Spisany przez komisję lekarską WIML – u przeniesiony został do służby naziemnej. Obecnie kierował lotami z wieży kontrolnej. Major Wilkowski posiadał w Pile własny jednorodzinny dom, który własnoręcznie zbudował. W ogóle był to człowiek niezwykle, inteligentny, skromny i bezpretensjonalny. Nie znam drugiego takiego przypadku aby człowiek wykształcony, dyplomowany oficer lotnik, swój wolny czas poświęcał jako murarz na budowie. Nie wiem dlaczego opuściła go żona, ale podobno „dziewczyny takie są”. Wilkowska zabrała z sobą 16 – letnią córkę, a 13–letniego syna zostawiła ojcu. Mieszkałem u Wilkowskiego na kwaterze i nigdy nie widziałem go zdenerwowanego. Synem opiekował się troskliwie. Jeśli był dobrym ojcem to musiał być również dobrym mężem. Często przyjeżdżali do niego z Poznania rodzice. Oboje bardzo zacni ludzie. Matka pomagała mu w prowadzeniu domu. Była bardzo czystą i schludną kobietą, prawdziwą mamą, dzięki której dom stawał się przytulnym rodzinnym gniazdem. Wiem, że tęsknił za żoną i nie posiadał innej kobiety, a czy mógłby wybaczyć jej zdradę? Tak się dziwnie złożyło, że znałem mężczyznę, dla którego Wilkowska rozbiła swoją rodzinę. Był to pan Szyman, u którego aktualnie byłem na kwaterze. To o nią Szymanowa kłóciła się ze swym mężem. Jaki ten świat jest mały.

W końcu kwietnia w sąsiednim czarterze Różewo odbył się pokaz zabiegów agrolotniczych dla dyrektorów kombinatów rolnych. W pokazie brał udział śmigłowiec, demonstrując swoje możliwości, Kruk do rozsiewania nawozów.

Kruk, jako samolot typowo rolniczy, wysiewał nawozy również niż Antonow. Brały też udział dwa Antki, jeden z aparaturą atomizerową do zamgławiania, drugi do oprysku grubokroplistego. Ten ostatni zabieg miałem demonstrować ja. Szef pilotów wyznaczył mnie nie dlatego, że byłem lepszy od innych. W ZUA wszyscy piloci byli dobrzy. Przeważającą ilość stanowili doświadczeni instruktorzy. Szef wybrał mnie ponieważ byłem najbliżej i nie opłacało się ciągnąć samolotu z daleka. Gdy nasi piloci pracowali na kontraktach zagranicznych, w kraju zabrakło agrolotników do wykonywania bieżących zabiegów. W tej sytuacji wynajęto kilka załóg ze Związku Radzieckiego. Jedna taka załoga pracowała w kombinacie Różewo. Składała się z pilota, mechanika pokładowego i mechanika naziemnego. Czasami spotykaliśmy się z nimi gdy pracowali na sąsiednich polach. Latali tak jak my na samolocie AN–2.

Porozumiewaliśmy się w języku rosyjskim, ale oni nie byli Rosjanami. Byli to Litwini służący w Armii Czerwonej. Od nich dowiedziałem się, że tam cywilnego lotnictwa praktycznie nie ma. Wszystko podporządkowane jest armii. Oni latali w barwach Aeroflotu, ale ta instytucja tylko pozornie była cywilna. Dziwili się, że u nas latają tacy starzy piloci. Gdybym ja był w Aeroflocie, miałbym stopień generała, odpowiednią do tego pensję i stanowisko. O swoich ludzi partia potrafi dbać. W słowach tych wyczułem pewna ironie i gorycz. Nie podejmowałem tematu politycznego. Wprawdzie był to już okres przełomu. Czerwcowe wybory parlamentarne w Polsce zakończyły epokę komunizmu, partia została wkrótce rozwiązana.

Michaił Gorbaczow, I Sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Bolszewików, wcielał w życie hasła pierestrojki i głośności. Były to próby ratowania upadającej komuny. Za kilka miesięcy Związek Sowiecki ostatecznie się rozpadł, a podległe mu republiki, w tym także Litwa, otrzymały wolność stając się niepodległymi państwami. Jednak dyskusja na te tematy z żołnierzami Krasnoj Armii wydawała się przedwczesna. Załoga litewska nie brała udziału w pokazie ponieważ umowy tego nie przewidywały. Samoloty biorące udział przyleciały poprzedniego dnia. Ja uzgodniłem z szefem pilotów,

panem Mieczysławem Dąbkowskim, że przylecę rano przed pokazem. Rano nad całym terenem zawisła gęsta mleczna mgła. Dyrektorzy zgromadzeni w Różewie po śniadaniu uczestniczyli w części teoretyczno – reklamowej. Wiedziałem, że pokaz nie odbędzie się przed ustąpieniem porannej mgły. Ale samoloty i ich załogi powinny być w komplecie, aby nie psuć nerwów organizatorom imprezy. Za to zresztą zapłacili. Odległość z Jaraczewa do Różewa wynosiła tylko 15 km. Teren znałem bardzo dobrze, gdyż od paru lat latałem nad nim prawie codziennie. Zdecydowałem się wystartować. Jurek miał do mnie zaufanie, gdyż razem przeżyliśmy nie jedną przygodę. Latałem na wysokości kilkunastu metrów, tuż ponad drzewami rosnącymi wzdłuż szosy. To one mnie prowadziły ponieważ dookoła była tylko mgła. Podobnie jak nad pustynią Sudanu. Tylko tam był brązowy tuman piachu, tutaj białe mleko. Widziałem w którym miejscu stoi komin gorzelni, jedyna przeszkoda na tym terenie. Oczekujący na lądowisku ludzie z szefem na czele, najpierw usłyszeli warkot silnika. Samolot zobaczyli gdy dotykał kołami ziemi. Litwini pokiwali ze zdziwienia głowami. Pilot zapytał mnie jak można latać w takich warunkach. Szef nie powiedział niczego, ani mnie nie pochwalił ani nie zgał. Pokaz odbył się wg ustalonego planu. Wszyscy uczestnicy otrzymali od firmy pamiątkowe nagrody.

W połowie lipca odprowadziłem samolot do Gdańska. Pożegnałem się z AN-em 2 i jego sympatycznym mechanikiem Jurkiem Dunstem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że jest to pożegnanie na stałe. Nalot na samolotach AN-2 zamknąłem liczbą 2409 godzin i 06 minut. Przesiadłem się na Kruka. Do Jaraczewa wróciłem samolotem

PZL-106 SP-ZBC z mechanikiem Zygmuntem Stępnikiem. On zamieszkał na swojej kwaterze, a ja nadal u państwa Szymanów. Po kilku dniach pracy otrzymaliśmy letni urlop. W PGR-ach rozpoczęły się żniwa. Jadąc do domu kupiłem w komisie używany wózek inwalidzki. Moja mama już nie mogła chodzić. Najwyżej kilka kroków po pokoju przy pomocy laski. Samochód nadal pozostawał w sferze planów. Aby pochwalić się mamie swym domem, na który tak długo czekała, postanowiłem zawieźć ją na wózku. Była bardzo wzruszona, prezentem, wycieczką której sama nie mogła już odbyć, a przede wszystkim domem. Miała w oczach łzy, chyba jedyne, które nie były wyrazem bólu. Krótkie to były chwile radości. Jej Hania była w płockim szpitalu i Bóg jedynie wie co obie czuły. Matka nie mogła jej nawet pożegnać.

Ja byłem u niej z ostatnią wizytą. Siostra przyjęła mnie z niezwykłą pogodą. Wstała z łóżka i wyszliśmy na dwór do szpitalnego parku. Siedząc na ławce rozmawialiśmy o różnych sprawach, a dookoła było ciepłe sierpniowe lato i dojrzały na drzewach pierwsze owoce wczesnych śliw. Nie mówiliśmy o chorobie i śmierci. Hania nie chciała rozczulać się nad sobą. Gdy podczas obchodu lekarz zadał jej stereotypowe pytanie: „Jak się pani czuje?”. Ona odpowiedziała, że dobrze.

Wszyscy na coś narzekali, wszystkich coś bolało, a ona czuła się dobrze. Po prostu nie chciała zawracać głowy lekarzowi w sytuacji beznadziejnej. W pewnym momencie twarz jej spoważniała i zwróciła się do mnie: „Wiesław, czy zaopiekujesz się Kasią gdy ja odejdę?” Zatkąło mnie. Nie wiedziałem co powiedzieć i jak się zachować. Powiedzieć „tak” oznaczało zgodzić się z jej śmiercią. Słowa nadziei były w ogóle nie na miejscu. „Bo widzisz, Darek skończył studia, ożenił się, mają dzieciaka. U nich Kasia nie znajdzie miejsca. Ojciec założył drugą rodzinę. Pasierbica macosze może tylko przeszkadzać. Wiesz jaki jest los sieroty. Ona jest jeszcze uczennicą, jeszcze dzieckiem. Nawet świadomość, że nie została sama będzie dużą ulgą”. Nie mogłem mówić, skinałem tylko głową – Obiecujesz?

– Obiecuję – odpowiedziałem, ale nie wierzyłem, że to się stanie.

Siostrę wkrótce odwieziono do kliniki onkologicznej w Białymstoku. Zmarła 25 września rano. Ja jednak jestem pewien, że zmarła 24 wieczorem.

Byłem w domu, gdy przyszła przypomnieć mi o mojej obietnicy. Gdy wieczorem chcieliśmy zapalić w domu światło, okazało się, że nie ma prądu. Początkowo myślałem, że wyłączyła go elektrownia lub stacja rozdzielcza, ale we wszystkich sąsiednich domach było widno. Awaria była więc tylko u nas. Przegłędając przewody elektryczne zauważyłem, że druty pomiędzy ostatnim słupem energetycznym a domem są splątane. Nigdy takie zdarzenie nie powtórzyło się w ciągu całego mego życia. Nawet w przypadku silnej i porywistej wichury, druty jednakowo kołysały się pod wpływem podmuchów nie dotykając do siebie. Wieczór był spokojny i ciepły.

Kto więc, w jakim celu i w jaki sposób mógł popłatać przewody pod napięciem.

Od razu pomyślałem, że jest to jakiś znak. Następnego dnia przyszło potwierdzenie moich przypuszczeń. Hania przed śmiercią opłaciła i załatwiła wszystkie formalności związane ze swym pogrzebem. Nie chciała nikomu sprawić kłopotu swoją osobą.

Pomyślała o wszystkim. Zakupiła miejsce na cmentarzu w Płocku i zleciła wymurowanie grobu. Z firma pogrzebowa załatwiła trumnę, przewóz ciała, ubranie i pogrzeb. Za pośrednictwem znajomej pielęgniarki opłaciła mszę świętą i katolicka formę ceremonii. Na miejsce swego wiecznego spoczynku wybrała cmentarz na skarpie wiślanej, gdyż jej romantyczna dusza to miejsce obdarzyła szczególnym sentymentem. W pogrzebie uczestniczyła liczna delegacja młodzieży i rady pedagogicznej ze szkoły w której pracowała. Dyrektor szkoły wygłosił nad trumną wzruszające słowa pożegnania, dając dowód, że w środowisku tym darzono ją sympatią i szacunkiem. Dużo było osób z bliższej i dalszej rodziny, koleżanki Kasi, znajomi i przyjaciele. Dużo było kwiatów, jak to na pogrzebie, ale rozpacz i ból przeżywała chyba tylko matka. Okrutny jest los który każe rodzicom chować swe dzieci. Naturalną rzeczą jest gdy płacze dziecko. Takie jest jego prawo. Ono krzykiem alarmuje o wszystkim. Dorosły płacze raczej rzadko, jest silny i sobie poradzi. Łzy starego człowieka bola najbardziej. Są one wyrazem krzywdy i bezradności. Ran po stracie dziecka nawet czas nie uleczy. Co może zrobić staruszka siedząca na inwalidzkim wózku? Łzy same płyną po policzkach, a usta bezgłośnie powtarzają „Moja Hania”. Hanię pochowano 28 września. Jeszcze tego wieczoru musiałem wracać do Jaraczewa, a następnego dnia od rana ganiałem nad polami jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Złota jesień barwiła okoliczne lasy i sady. Zaorane rżyska pokryły się świeżą zielenią wschodzących zbóż. Dni były coraz krótsze, chłodniejsze, bardziej zamglone.

Pracy było coraz mniej i coraz częściej wyjeżdżałem do domu czekając na telegram od agronoma kombinatu, pana Chorążyczewskiego. Podczas mego pobytu w Sudanie zięć razem ze szwagrem Luckiem pobudowali budynek gospodarczy.

Teraz należało go ocieplić od środka wykładając ściany cegła dziurawką. Pracując z murarzami poduczyłem się trochę ich zawodu i obecnie mogłem sprawdzić we umiejętności w praktyce. Do zimy budynek ociepliłem sam. Pracowałem z przerwami wzywany co kilka dni do PGR-u. przeważnie zabierał mnie Zygmunt Stępiak powracając z Warszawy. Po kilku dniach lotnych znowu następowała przerwa i wyjazd do domu. Zajęty pracą na wyścigi z zima zapomniałem o obietnicy danej siostrze. Kasia również do nas nie zaglądała. Mieszkała w Płocku przy ul Krzywoustego w mieszkaniu odziedziczonym po swojej mamie. Utrzymywała się z renty i przygotowywała do matury. Pozostawiona sama sobie nie dbała o regularne wyżywienie i nie miała na nie warunków. Była dziewczyną drobną i szczupłą o ładnej dziecięcej buzi i blond włosach. Przed czasem musiała stać się osobą dorosłą.

W końcu listopada zakończyłem pracę w czarterze i odleciałem do Gdańska. Następnie kurs doskonalący w Olsztynie, egzaminy KWT i KTP, Boże Narodzenie i Nowy Rok 1990 spędzony przy choince w rodzinnym gronie. Po Nowym Roku wyjechałem na obóz kondycyjny do miejscowości Porąbka Kobuznik w górskim paśmie Beskidu Małego, tuż u podnóża góry Żar, gdzie kiedyś latałem na szybowcach. Dawno temu, ile to już będzie lat? wtedy byłem chłopcem, dziś jestem starszym panem po 50 – tce z resztką włosów mocno przyprószonej siwizną.

Nie sadiłem, że jest to mój ostatni obóz kondycyjny. Zima tego roku była łagodna, śniegu nawet na lekarstwo. Co można robić zimą w górach bez śniegu? Trochę położyłem z kolegami po terenie i po 2 tygodniach nudy wróciłem do domu. W końcu stycznia zaliczyłem badania lekarskie w WIML-u, przedłużyłem ważność licencji na następny rok i od połowy lutego powróciłem do Jaraczewa. Kwaterę wynająłem u majora Wilkowskiego a mechanik Stasio Wargocki w sąsiedniej willi u jego kolegi.

Warunki mieszkaniowe mieliśmy bardzo dobre i niedrogie. Praktycznie za 2 kanistry zaoszczędzonej benzyny na miesiąc. Wyżywienie w restauracji w Jaraczowie za które płacił kombinat PGR. Zaprzyjaźniłem się z majorem Wilkowskim i wkrótce staliśmy się kolegami. To naprawdę był człowiek nie zwyczajny. Zaprzyjaźniłem się także z mechanikiem Staśkiem Wargockim. Praca upływała nam w przyjaznej i bezkonfliktowej atmosferze.

Jesień 1989 i wiosna 1990 roku to okres przełomowy w polityce i w sytuacji ogólnoswiatowej. Kata-

strofa gospodarcza i polityczna spowodowały rozpad imperium sowieckiego. Przyczyniły się do tego przewroty i rewolucje w krajach satelickich. Początkiem był niewątpliwie ruch solidarnościowy w Polsce, który przeniósł się falą do pozostałych krajów bloku komunistycznego. Zakończyło go zjednoczenie Niemiec i upadek „muru berlińskiego” jako symbolu zniewolenia.

Kres komuny stał się faktem. W Polsce odbył się ostatni zjazd partii, na którym PZPR została oficjalnie rozwiązana. Post komuniści utworzyli nowe ugrupowania polityczne. Powstało szereg rywalizujących ze sobą związków. Zamiast odbudowywać doprowadzony do ruiny kraj, zaczęły się przepychanki do przysłowiowego koryta, anarchia i dalsze pogłębienie biedy. Ja widziałem nasz kraj jako trupa, którego zre różne robactwo. Czy znajdzie się ktoś, kto potrafi go reanimować? Na arenie światowej rozpoczął się konflikt pomiędzy USA a Irakiem o złoża naftowe Kuwejtu. Wojna pod kryptonimem „wiosenna burza” wisiała na przysłowiowym włosku. W takiej sytuacji dowiedziałem się, że jestem typowany na kolejną akcję agrolotniczą do Sudanu. Nowe samoloty PZL-106 BR wysyłano drogą morską, gdyż przelot grup przez rejony ogarnięte konfliktem stał się niemożliwy.

Pracę w czarterze zakończyłem 30 maja. Polecono mi udać się do domu i czekać na wezwanie do Warszawy i wylot do Sudanu samolotem LOT. Wezwanie przyszło w połowie sierpnia. Byłem już spakowany, należało tylko pożegnać się z mamą.

Babcia spojrzała na mnie jakimś dziwnym wzrokiem i zapytała – Na jak długo wyjeżdżam?

– Na pół roku, wrócę w lutym 1991.

– To ja już nie doczekam – odpowiedziała.

W oczach jej zakręciły się łzy. Tak rzadko mnie widywała i tak krótko, zaledwie parę minut. Teraz żegnała mnie na zawsze i niczego nie mogła powiedzieć. Skąd wiedziała? Czy takie rzeczy można czuć albo przewidzieć? Kiedyś w taki sposób żegnał mnie stryj Cecho z Jagodnicy. Musiałem jechać. Powiedziałem tylko, że jak wrócę, kupię samochód i pojedziemy na Podlasie. Mama nic nie rzekła tylko patrzyła tymi załzawionymi oczami, jakby chciała zatrzymać mnie w pamięci, ale to ja zachowałem jej widok. Ilekroć wspomnę Matkę, zawsze widzę ją taka jak w tamtej ostatniej chwili.

Do Warszawy odwiózł mnie zięć Janusz. Towarzyszyły mi obie córki i żona.

Miejszem zbiórki był plac przed zakładem PZL-u. Wszystkie dokumenty były już przygotowane. Po podpisaniu umowy i odebraniu paszportu, rodzina odwiozła mnie do hotelu WIML i pojechała do domu. Rano, a właściwie nocą około godziny 3 autobusami przewieziono nas na lotnisko gdzie czekał już wycharterowany samolot TU-144. o godzinie 4 wystartowaliśmy do Kairu. Po zatankowaniu paliwa poleciliśmy do Chartumu. Cały lot trwał około 12 godzin. Gdy wylądowaliśmy w Chartumie było już ciemno. Jeszcze tego wieczoru przewieziono nas do znanego hotelu w Wad Medani. 2 tygodnie trwał okres aklimatyzacji. W tym czasie chodziliśmy na dłuższe spacery po mieście, delektowaliśmy się chłodnymi napojami na tarasie kawiarni, skąd roztaczał się uroczy widok na parki palmowe i Błękitny Nil. Wieczorami w hotelu oglądaliśmy filmy z kaset video. W Polsce technika ta była jeszcze nieosiągalna. Na suku kupiłem trochę pamiątek do domu. Widziałem jak czarny jubiler, na prowizorycznym warsztacie wyrabiał precyzyjną biżuterię ze złota. Warsztat wielkości średniego stołu stał przy ulicy. Palił się na nim ogień a mistrz w szarej galabiji topił złoty złom, spawał drobne elementy tworząc bransolety, kolczyki, pierścienie, zdobne łańcuszki i inne precjoza sztuki złotniczej. Nie przeszkadzało mu, że gapię się na jego pracę. Wyjęte z ognia elementy były szare, pokryte brudnym nalotem lub sadzą, ale po oczyszczeniu nabierały blasku słońca. Miał facet w palcach talent i nie bał się, że ktoś może go okraść. U nas byłoby to nie do pomyślenia. 2 tygodnie minęły szybko.

W pierwszych dniach września wykonałem w Messalamiji loty wprowadzające i odleciałem do bazy Gamusi. Akurat do Hassahejsy przyleciał z Gamusi kierownik bazy pan Leszek Banasiak. Gamusli leżało na zachodnim krańcu terenów rolniczych, w pobliżu Białego Nilu ponad 100 km od bazy Hassahejsa. Samemu ciężko byłoby mi znaleźć swój nowy rejon pracy, ale w parze z instruktorem Banasiakiem po niespełna godzinnym locie zauważyłem na horyzoncie 2 charakterystyczne skaliste góry i wysoki masz radiowy osady Gamusi. Lądowisko położone było około kilometra od miejsca naszego zakwaterowania. Przeważnie odległość tą pokonywaliśmy samochodami, ale gdy temperatura schłodziła się spacer wśród pól egzotycznych upraw był bardzo przyjemny. Na polach rosły różne ciekawe

rośliny i plantacje orzeszków ziemnych, niewysokie krzewy ostrej papryki, którą Sudańczycy nazywają szatą. Krzewy „szaty” wyglądały jak strojne choinki przyozdobione czerwonymi owocami. Szczególnie piękne były bordowe kwiaty karkade. Podobne do naszej malwy ale bardziej mięsiste. Kielichy kwiatów jakby wykonano z aksamitu. Wywar z suszonych kwiatów karkade był wspaniałym orzeźwiającym napojem, barwy intensywnie czerwonej i kwaskowym wiśniowym smaku. Krzaczki orzeszków ziemnych pokrywały się drobnymi żółtymi kwiatami.

Po przekwitnięciu pędy wrastały w ziemię i na nich zawiązywały się strączki z owocami. Do innych oryginalnych roślin należała trzcina cukrowa, sorgo, dura, proso chociaż zwykłej pszenicy też nie brakowało. Pierwsze miejsce wśród wszystkich upraw zajmowała bawełna. To dla niej tu przybyliśmy. Bawełna stanowiła główne bogactwo tej ziemi. Stąd biała wata wędrowała do wszystkich fabryk włókienniczych

na świecie. Dla jej ochrony budowano samoloty i wynajdywano różne środki chemiczne. Gdy nie było samolotów i chemii, tysiące dzieci ręcznie zbierało z pól żerujące szkodniki gniotąc je w palcach, którymi co chwila łamały trzymane na głowach placki aby zaspokoić głód. Budynek, w którym mieszkaliśmy podobny był do tego z Messalamiji. Duży, murowany resthauz wewnątrz którego były pomieszczenia socjalne. Sypialnie były na świeżym powietrzu na przestronnych tarasach, ogrodzonych dla bezpieczeństwa gęstą drucianą siatką. Dodatkowym zabezpieczeniem były moskitiery zakładane na łóżka. Zabezpieczać się trzeba było nie tylko przed komarami roznoszącymi malarię, ale również przed skorpionami, węzami, jadowitymi pajakami oraz małymi dokuczliwymi muszkami. Adam Kotlimowski, kolega z którym się zaprzyjaźniłem, nazwał je latającymi pokrzywami. Adam był mężczyzną wysokim i szczupłym. Miał około 40 lat. Pochodził z okolic Lublina. Pracował w ZUA Mielec, ale wcześniej latał na śmigłowcach w Świdniku.

Był dobrym kolegą i doświadczonym pilotem, ale w Afryce był po raz pierwszy i nie zawsze radził sobie z lataniem w tropiku. Miał 14 – letnią córkę która pisała do niego przepełnione tęsknotą i miłością listy. Adam wtedy wzruszał się i było mu ciężko.

Czytał mi jej listy i dzielił się swą troską. Zawsze to trochę lżej gdy można się komuś zwierzyć. Pocięszalem go jak umiałem. Mówiłem, że powinien czuć się szczęśliwy mając kogoś, kto go tak kocha. Mało jest dzieci darzących ojca takim uczuciem, wiem coś na ten temat. Wielu ludzi posiada rodziny, ale faktycznie są samotni.

Rodzynom potrzebna jest tylko ich praca i pieniądze, a nie oni sami. Ty jesteś potrzebny i oczekiwany. Wielu może pozazdrościć wychowania dziecka. To jest twoja zasługa i możesz być z siebie dumny. Kiedyś w początkowym okresie pracy latałem z Adamem na 1 podładowisku. Inspektor, bardzo surowy czarnoskóry inżynier o nazwisku Mołja, miał pretensje do Adama o niedokładnie wykonane zabiegi. Nie potrafił wymówić i zapamiętać naszych nazwisk, dlatego zwracał się do nas wg znaków rozpoznawczych naszych samolotów. Ja u niego nazywałem się ZULU Delata Bravo, a Adam Zulu Charlie Victor. Mołja zawiesił Adama w pracy i odesłał do bazy. Mnie natomiast obarczył całą dodatkową robotą.

Delta Bravo kląjs, Charlie Victor Misz kląjs – halost szprej.

Adam obawiał się, że odeśle go do kraju, czyli dostanie tak zwany stop order.

Kierownik Banasiak udobruchał inspektora. Obiecał mu, że pilot zostanie dodatkowo poinstruowany i wykona loty sprawdzające na Anie. Potem wszystko było dobrze.

Z Adamem lataliśmy do końca akcji. Kiedyś Adam ostrzegł mnie abym nie jadł orzechów ponieważ są one rakotwórcze. Nie wiem skąd mu to przyszło do głowy, ale sam palił papierosy jak lokomotywa i to nie było rakotwórcze. Dziwnie myślą ludzie, nawet ci inteligentni. Znam lekarzy, którzy palą nałogowo, co nie przeszkadza im przestrzegać swych pacjentów przed zgubnym wpływem nikotyny. Posiłki w bazie Gamusi przygotowywali nam 2 czarni kucharze. Szefem w kuchni był starszy o imieniu Kasa. Obaj byli sympatyczni i uczciwi jak przystało na prawdziwych wyznawców Islamu. Ale Kasa czasami potrafił coś zrobić tak aby Allah nie widział.

Mało jest muzułmanów pijących alkohol, ale się zdarzają. W Sudanie obowiązuje prohibicja jednak bimber, zwany tu aragą, można kupić pokątnie jeśli się ma znajomości. Kasa nie upijał się, ale kieliszek lub dwa lubił wypić. Zapytany przez nas jak godzi to z przykazaniami Allacha, powiedział, że pije tak



Kwiaty ciernistych krzewów



aby Allah go nie zobaczył. Przyzwyczaiłem się do pracy w Sudanie, do rozległych niczym nieograniczonych pól, do widoku rozlewisk, po których brodziły setki bocianów i żurawi. Gdy zaczynałem oprysk ptaki przenosiły się na sąsiednie pola. Patrzyłem na nie z sympatią jak na przyjaciół spotkanych na obczyźnie. Co drugi z nich urodził się i wychował w Polsce i za parę miesięcy do Polski powróci. Często w powietrzu można było spotkać się z sępem lub olbrzymim marabutem. Kiedyś wykonując oprysk nad polem bawełny zauważyłem tego ptaka tuż przed sobą. Chciałem go przeskoczyć, ale spłoszony marabut poderwał się z ziemi i zderzył się z samolotem. Ptak mógł ważyć ponad 20 kg. Uderzenie było tak silne, że rozerwało go na części, ale poważnemu uszkodzeniu uległa także pompa opryskowa samolotu zawieszona pod kadłubem. Kawałki mięsa dostały się między łopatki wiatraka i je wyłamały.

Niecodzienną przygodę, a raczej jedną w swoim rodzaju, przeżyłem na lądowisku podczas burzy piaskowej. Nie była wprawdzie tak silna jak na pustyni, nie mniej jednak dostarczyła mi wystarczającą moc wrażeń. Gdy zauważyłem ja nadciągającą z północno – zachodnich rejonów pustynnych chciałem wystartować i uciec do bazy 20 km na południe. Tu stała się rzecz dziwna. Silnik odmówił posłuszeństwa, zawsze działał niezawodnie, a teraz nie chciał zaskoczyć. Za parę minut było już za późno.

Obróciliśmy z mechanikiem samolot silnikiem pod wiatr i schowaliśmy się do kabiny. Robotnicy odjechali samochodem aby się gdzieś schować, my musieliśmy strzec samolotu. Uderzenie nawałnicy mogło unieść samolot do góry i rzucić go o ziemię.

Z pewnością tak by się stało, gdyby w kabinie nie było pilota. Trzymając Kruka na hamulcach kontrolowałem lotkami uderzenia wiatru, a sterem wysokości trzymałem na zerowym i ujemnym kącie natarcia. Po półgodzinnym zmaganiu z wichurą i piachem, burza zmieniła się w ulewę. Wiatr ucichł a miejsce kurzawy zajęły potoki lejącej się wody. Nam i maszynie nic się nie stało. Nie wiem jak wyglądała by sprawa gdybym zdołał wystartować a nie zdażył dolecieć do bazy. Po godzinie przyjechał do mnie samochód. Samolotem zaopiekowali się mechanicy. Wymienili rozrusznik i rano samolot był sprawny do pracy. Dalszą część tej przygody przeżyliśmy wracając po rozmoczonych bezdrożach. Gdyby nie napęd na 4 koła nikt z tego błota by się nie wygrzebał. Nie można również odmówić sprytu i umiejętności czarnemu kierowcy, który znał możliwości samochodu ale równie dobrze sposób jazdy po groblach między kanałami. Kierowcą był młody Sudańczyk, który pełnił funkcje brygadzysty w grupie robotników pracujących przy załadunku chemikaliów. Każda miejscowość posiada własne lądowisko, często była to droga przy kanale. Brygadzista musiał zorganizować dowóz sprzętu, paliwa i środków potrzebnych do pracy. Ludzie spali na lądowiskach w prowizorycznych szałasach, namiotach lub tylko pod moskitierami. Jedzenie szykowali sobie sami na ogniskach. Nowe lądowisko pilot musiał obejrzeć i zaakceptować, dlatego wiele kilometrów przejechaliśmy razem zwiedzając po drodze wsie i osady. Podejrzałem, że brygadzista był policjantem gdyż na posterunkach czuł się jak w domu, i wszędzie miał kolegów. Przedstawiał mnie lokalnej władzy a ci często z szacunkiem zapraszali do środka. Czasami przyjmowali mnie z wylewną serdecznością. Pamiętam jak raz dwóch czarnych wielkoludów w mundurach wzięło mnie pod ramiona, a ja idąc ledwo dotykałem nogami ziemi. Na posterunku na stole stał miska wypełniona jakimś jedzeniem. Wyglądało to jak placki lub gotowane mięso. Smak również miało nieokreślony. Do posterunku przylegała cela aresztu.

Siedział w niej może 12 – letni chłopiec, był przerażony. Pokłócił się z kolegą. Klótnia przerodziła się w bójkę. Uderzył kolegę kawałkiem deski i zabił. Teraz czeka na sędziego, rozprawę i surową karę. Jadąc przez sudańskie wioski wzbudzaliśmy duże zainteresowanie, zwłaszcza wśród dzieci, ale wszystkie zachowywały się bardzo grzecznie. Dorosli pozdrawiali nas. Wątpię czy w ten sposób zachowałyby się dzieci w Proboszczewicach gdyby zjawił się tu nagle murzyn.

W dniach 18 – 19 października pracowałem w bazie Messalamija na polach znanych sobie z poprzednich akcji. Gdy przyleciałam z Gamusi, nad terenem Hassahejsy zalegała mgła. Lądowisko w Abel El Gail znalazłem. Stąd wysłano mnie w rejon, z którego kiedyś wracałem po ciemku. Mgła podniosła się tworząc niskie porozrywane chmury. Im dalej na północ tym chmury były niższe. Zacząłem błądzić. Nie miałem map, zresztą w tych warunkach na niewiele by się zdały. Według czasu lotu orientowałem się, że odleciałem zbyt daleko. Poprzez porwane strzępy mgły dojrzałem jakieś samoloty, ale

nie były to Kruki ani ANy. Trafiłem do jakiejś obcej bazy agrolotniczej. Byłem nisko i nad nieznanym terenem. Jeżeli stoi tu gdzieś maszt radiowy lub inna przeszkoda, mogę się rozbić. Chyba do Chartumu też nie jest daleko. Wiedziałem, że z prawej strony musi być Nil Błękitny, lecąc wzdłuż rzeki kursem powrotnym znajdę Hassahejsę. Hassahejsa była już wolna od mgły. Za kilka minut odnalazłem lądowisko. Trochę sobie polatałem, ale wszystko dobrze się skończyło. Nikt nawet się nie zorientował, że przyleciałem pół godziny za późno, a ja nikomu nie chwalilem się swoją krajoznawczą wycieczką. Z bazy, którą widziałem we mgle, przyleciał do nas w odwiedziny samolot z 4 pilotami Agro na pokładzie.

Goście wypili herbatę, porozmawiali z tymi, którzy znali angielski i odlecieli.

Dowiedzieliśmy się, że oni w swojej firmie zarabiają po 4000\$. Dziwili się, że my godzimy się na pracę za 500\$. Ponadto mieszkają w hotelu z klimatyzacją i co miesiąc na tydzień wyjeżdżają do domu. My jeszcze jedną nogą staliśmy w socjalizmie.

W listopadzie zaczęto zbierać plony bawełny, a my mieliśmy więcej czasu dla siebie.

Sąsiednią bazą, odległą od nas o 40 km, był Matug. Kwatera agrolotników mieściła się na skraju miasta w niewielkim budynku z ogródkiem pełnym kwiatów. Do Matugu jeździliśmy po zaopatrzenie i na zakupy, a przy okazji odwiedzaliśmy kolegów w bazie. Znaliśmy się prawie wszyscy. Spotkałem tu Janka Nowińskiego z ZUA Szczecin. Mieszkałem z nim w jednym pokoju w Mansurze podczas akcji w Egipcie. Nowiński był utalentowanym portreciście. Po maturze został przyjęty do Akademii Sztuk Pięknych, jednak wybrał lotnictwo. Malował w wolnym czasie jako samouk, ale nie znam lepszego od niego artysty. Spotkałem też kolegę, Kidackiego z poprzedniej akcji sudańskiej i kilku innych chłopaków zapoznanych w trakcie lotniczych wędrówek. W tym czasie niektórym kolegom kończyła się ważność licencji KTP.

Na wniosek szefa kontraktu Ministerstwo Komunikacji ważność licencji przedłużało, a kontrolę techniki pilotażu wykonywało się na miejscu. Była okazja aby polatać po terenie i odwiedzić inne bazy. Instruktor Banasiak wyznaczył trasę KTP do Kosti lub Senaru. Kto chciał zabierał się na wycieczkę i w ten sposób piekło się 2 pieczenie na 1 ogniu. Kontrolowany pilot zaliczał egzamin, a my odwiedzaliśmy kolegów i poznawali życie w innych odległych bazach. Kosti leżało po 2 stronie Białego Nilu.

Rzeka w tym miejscu miała imponujące rozmiary. Dwa jej brzegi oddalone od siebie o parę kilometrów spinał most drogowo-kolejowy, jeden z nielicznych w całym Sudanie, a może pod względem długości również na świecie. Kosti jest dużym miastem i ważnym ośrodkiem przemysłowym. Mam z tego miasta pamiątki artystyczne wyrzeźbione w hebanie, oryginalnym i niezwykłym czarnym drzewie, czarnej Afryki. Kierowniczką tutejszej bazy agrolotniczej była w tym czasie znana instruktorka z aeroklubu warszawskiego pani Lidia Pazio, żona szefa pilotów ZUA.

Za parę dni poleciliśmy do Senaru, miasta położonego nad Błękitnym Nilem na południowym krańcu sudańskich obszarów rolniczych. Tutaj kilka lat temu zginął instruktor Ziomek Lewandowski, który szkolił mnie w lotach Agro. Gdy powróciliśmy do Gamusi nasi czarni robotnicy ustawili się w szereg i chórem zaczęli coś śpiewać. Nie zwracałem na nich uwagi, bo co mnie to obchodzi, niech sobie śpiewają po arabsku czy angielsku. Nie znam ani tego ani tamtego. Dopiero jeden z kolegów zapytał mnie czy wiem co oni śpiewają i dlaczego? Przyznam, że nie mam pojęcia.

Śpiewają happy birthday to you dla ciebie na urodziny. O kurczę!!!

Przecież to dzisiaj jest 2 grudnia. Ja zapomniałem a oni wiedzieli i pamiętali. Nie wiem kto był inspiratorem tego pomysłu, skąd wiedział kiedy się urodziłem? Nie wiedziałem jak się zachować. W sumie zachowałem się bardzo głupio. Wprawdzie podziękowałem: „Szukran” – po arabsku i „Thank you” – po angielsku, ale co dalej?

W Polsce postawiłbym wódkę, a tutaj? Zrobili mi nie lada niespodziankę. Najbardziej niezwykle i pamiętne urodziny w życiu. 55 lat to jest jubileusz, skromny, ale jakże wymowny. Czarni chłopcy wykazali życzliwość, pomysłowość i kulturę, a ja nawet nie uściśnałem im ręki. Mogłem postawić chociaż Coca-Colę. Wstydzę się za siebie do dzisiaj. Było, minęło, nie wróci. Ja swoje KTP odlatałem 6 grudnia do Matugu. Po drodze zobaczyliśmy ANa na plecach. Leżał na środku lądowiska z pogiętymi łopatami śmigła i zniszczonym statecznikiem pionowym. W bazie dowiedzieliśmy się, że to Kidacki popisał się klasycznym kapotażem. Nie wiem jak on to zrobił? W bazie już go nie było. Został odesłany do kraju.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. W tym czasie wojska Iraku wkroczyły do Kuwejtu. Dyktator Iraku Saddam Husajn aneksję tłumaczył tym, że Kuwejt był od dawna prowincją Iraku i powtórne zjednoczenie jest tylko odzyskaniem utraconych ziem. Sudańczycy opowiedzieli się po stronie Iraku. Tłumaczyli nam, że Saddam pokona Izrael i jego protektora Stany Zjednoczone, nie mieli co do tego żadnych wątpliwości. Wkrótce przyszło rozczarowanie i gorzyc porażki. Po Hussajnie pozostały tylko płonące szyby naftowe Kuwejtu, jednak konflikt przerodził się w wieloletnią wojnę partyzancką, z którą Stany Zjednoczone nie mogą poradzić sobie do dziś. W takiej sytuacji politycznej święta zapowiadały się skromnie i niewesoło.

Inspektor Mołja załatwił nam ponadprogramowy worek cukru. Nie będziemy mieli na wigilię na stole 12 potraw, za to będziemy mieli prawdziwy polski bimber. Dobry mechanik potrafi zrobić wszystko. Nasi byli dobrzy, dla nich wykonanie aparatury destylacyjnej to małe piwo. Problem cukru został rozwiązany. Postanowiliśmy jak jeden mąż ograniczyć słodzenie herbaty i karkade. Aby zdążyć z produkcją do wigilii należało natychmiast rozpocząć pracę. W temperaturze Sudanu zaciera fermentował jak burza. Trudności aprowizacyjne rozwiązywaliśmy również sami, wykonując własnoręcznie makaron i wypieki z przydzielonej nam mąki. Do pomocy przy zaopatrzeniu świątecznego stołu włączyli się obaj kucharze. Od rybaka kupiliśmy świeże ryby, prosto z Białego Nilu. Choinkę złożoną z liści palmowych ustroiłmy kartkami przysłanymi z domów. Kucharze nakryli do stołu, a my wypatrywaliśmy 1 gwiazdy. Gdy słońce chowało się za horyzont z poddasza naszego resthauzu zaczęły wylatywać jak co dzień setki nietoperzy. Wylatywały grupami i pojedynczo, duże i małe. Gdy ostatnie opuściły swoje legowisko i udały się na nocne łowy, zaświeciły pierwsze gwiazdy. Do stołu usiedli na nasze zaproszenie obaj kucharze.

Byli muzułmanami, ale nie przeszkadzało to im świętować razem z nami rocznicy urodzin Chrystusa. Myślę, że na tym polega szeroko pojęty ekumenizm, bo przecież Bóg jest jeden. W pierwszy świąteczny dzień po śniadaniu poleciliśmy do Hassahejsy na mszę. Przed mszą ksiądz słuchał spowiedzi, przystąpili chyba do niej wszyscy. Nie zauważyłem aby ktoś się uchylił. To też o czymś świadczy. Władze sudańskie szanują nasze święta i w tych dniach nigdzie w żadnej bazie nie organizowano pracy. Latanie na ochronę pszenicy wznowiliśmy dopiero po nowym roku. Wstawaliśmy jak zwykle o godzinie 4 rano, gdy nad horyzontem po południowej stronie nieba jasno świecił Krzyż Południa. Gwiazdozbiór ten złożony z 4 gwiazd ułożonych w kształcie krzyża spełnia taka sama rolę, jak u nas Gwiazda Polarna. Na półkuli południowej świeci on wysoko na niebie. W Sudanie jest widoczny nisko nad horyzontem i tylko na przełomie roku. Ostatnie loty wykonałem 29 stycznia. Latałem na polach przyległych do naszego resthauzu, a nawroty robiłem ponad nim. Toteż koledzy zrobili mi kilka pamiętkowych zdjęć na pożegnanie z Sudanem i pracą agrolotnika. Jak zwykle pracę na kontrakcie ograniczano stopniowo, aż do całkowitego jej zakończenia. Samoloty nasze pozostały w bazie głównej

PZL – Sudana w Hassahejsie, a załogi do kraju wracały samolotami niemieckich linii

Lufthansa. Z Gamusi do Hassahejsy odwiózł nas An-em kierownik bazy pan Lech Banasiak w dniu 1 lutego. Jeszcze tego dnia pojechaliśmy samochodem do Chartumu. Tutaj w przedsiębiorstwie PZL–Sudana wręczono nam bilety na samolot i dopełniono formalności związane z zakończeniem naszej pracy. W biurze pracowała między innymi sudańska dziewczyna niezwyklej urody. Nie sadyłem, że wśród czarnych dziewczyn można znaleźć takie piękności. Sylwetka modelki, ubiór wytwornej europejskiej damy i buzia czekoladowej lalki o rysach gwiazdy filmowej z Hollywood. Około 22 odwieziono nas na lotnisko. Wszyscy byliśmy ubrani w mundury lotnicze z dystynkcjami pilotów i mechaników. Stanowiliśmy kilkunasto osobową grupę zebrana z różnych baz. Po odprawie celno – paszportowej około północy podwieziono nas do samolotu Boeing 737. Niemiecka stewardesa widząc lotnika w mundurze z naszywkami kapitana, coś zaczęła mówić z miłym uśmiechem na ustach. Tu nastąpił kolejny obciach. Okazało się, że pan kapitan pilot jest w ogóle niegramotny. Po angielsku ani be, ani me ani kukuryku. Wstyd i kompromitacja, że też musiała do mnie zagadać, a nie do kolegi który był młodszy, przystojniejszy i znał angielski. Podobno życzyła mi przyjemnej podróży, ale ja wcale nie zwróciłem na nią uwagi. Gdybym się chociaż uśmiechnął i kiwnął głową, może w ten sposób uratowałbym część honoru. Trzeba było uczyć się angielskiego.



Ostatnie loty

Wnętrze samolotu wyglądało jak sala kinowa. Przestrzeń ponad 20 m długości i 5 m szerokości wypełniały wypełniały 33 rzędy foteli po 8 miejsc w każdym. Razem 264 miejsca pasażerskie oddzielone od siebie dwoma korytarzami, po których stewardesy na wózkach barowych rozwoziły dania gorące i napoje. Każde 4 rzędy posiadały własny monitor TV umieszczony nad środkowymi fotelami. Niezależnie od tego każdy fotel zaopatrzony był w słuchawki radiowe podłączone do systemu nadawczego różnych programów. Po starcie, gdy samolot osiągnął pułap 10 000 m pasażerowie otrzymali śniadanie. Po śniadaniu deser złożony z ciastek, herbaty, kawy i różnych napojów alkoholowych do wyboru i żadnych ograniczeń. Na półkach wózków barowych były wódki najlepszych światowych firm, koniaki, likiery, przeróżne wina i piwa. Wszystkie napoje serwowano w oryginalnych butelkach różnych rozmiarów w zależności od chęci i możliwości pasażera. Cała konsumpcja wliczona była w cenę biletów. W tej sytuacji można było stracić głowę. Nie dziwię się kolegom, którzy zaczęli tracić umiar. Jednym słowem było to urzeczywistnienie baśni o sezamie. W trakcie delektowania się najlepszymi trunkami podano 2 śniadanie. Ziemia tonęła jeszcze w ciemnościach, ale horyzont zaczynał świecić na czerwono. Stopniowo barwa nabierała jaśniejszego blasku, rozszerzając się i przechodząc do pomarańczowej i żółtej. Niebo również zaczynało blednąć zmieniając kolor z czarnego na granatowy i błękitny. Zaczynało świtać. Tu na wysokości 10 km świt następował szybciej. Ponad nami był mrok, a w samolocie nastał dzień 3 lutego 1991 roku. Gdy dzień z nieba zstąpił na ziemię stewardesa poleciła zapiąć pasy przed lądowaniem w Kairze. Postój trwał ponad godzinę. W tym czasie samolot został zatankowany paliwem, pobrano jedzenie dla pasażerów. Dosiadło się kilka osób.

Boeing 737 podobnie jak Airbus – 300 jest 2 silnikowym samolotem o napędzie odrzutowym. Posiadał ponad 30 m rozpiętość skrzydeł. Ma zasięg ponad 4000 km i zabiera oprócz 300 osób i kilku ton bagażu także 20 000 litrów paliwa. Dla porównania Boeing 747 zwany latającym słoniem Jumbo Jet posiada 4 silniki odrzutowe, ponad 70 m rozpiętości skrzydeł, 60 m długości, zasięg 10 000 km, prędkość 900 km/h i zabiera samego paliwa ponad 150 ton. Nasze Any i Kruki przy tych kolosach są małymi karłami. Jak małe pszczołki przy ptakach, tyle tylko, że ptaki miodu nie robią. O godzinie 8 wystartowaliśmy w

dalszą drogę. Celem podróży był Frankfurt nad Menem, duże miasto i olbrzymi międzynarodowy port lotniczy. Po starcie podano gorący obiad, a po nim znowu deser i napoje jakie kto chciał.

Lot był praktycznie nieprzerwaną uczta. Lecieliśmy wybrzeżem Adriatyku w stronę wschodnich Alp. Ośnieżone szczyty wysokich gór sprawiały niezapomniany widok. Z wysokości 10 km trudno było dojrzeć szczegóły, ale przecież nie o to chodziło. Przepaściste jary i nagie sterczące skały i z tej wysokości robiły wrażenie. W dolinach jakieś ośnieżone miasta. Czy to jeszcze Włochy czy może już Szwajcaria?

Znowu gorące jedzenie. Na kolacje jeszcze za wcześnie, ale tutaj czas biegnie z prędkością odrzutowca, a do lądowania została niepełna godzina. Frankfurt przywitał nas mgłą i śniegiem. Była godzina 14. na samolot do Warszawy mamy jeszcze 2 godziny czasu. Olbrzymi port, tysiące ludzi. Jakaś arabka ubrana w galabiję modli się tłukąc głową o posadzkę i wcale nie przeszkadza jej wielonarodowościowy tłum.

Gdy po świątecznej spowiedzi w Hassahejsie, ksiądz zlecił mi pomodlić się w intencji swoich bliskich, ja poszedłem wieczorem w ciemne ustronne miejsca gdzie świadkami mojej modlitwy mogły być tylko żmije i skorpiony. Ona nie wstydziła się modlić publicznie. Po 10 godzinnej libacji na pokładzie samolotu większość kolegów była delikatnie mówiąc w stanie wskazującym na spożycie. Ja jeden zachowałem absolutną trzeźwość. Ktoś mógłby powiedzieć – nie wiesz co straciłeś?

W porcie szokowało mnie wiele rzeczy – to był zupełnie inny świat chociaż oddzielony od Polski tylko granicą. Jednak najbardziej szokujące były ceny. Tutaj nie kupiłbym nawet guzika. O godzinie 15:30 ogłoszono samolot do Warszawy. Jak mizernie wyglądała LOT-owska Tutka 134 naprzeciw samolotów Lufthansy. Było mroczno, ciasno i trzęsąca się konstrukcja. Jedynym poczęstunkiem był cukierek do ssania podczas startu i lądowania. Warszawa nie była w takim stopniu przysypana śniegiem co Frankfurt. Panowała raczej łagodna zima. Wyciągnąłem ze swego bagażu płaszcz stanowiący część mego lotniczego munduru i udałem się na Dworzec Zachodni i na autobus do Płocka. Do Proboszczewic dotarłem około godziny 23 taksówką gdyż o tej godzinie innych środków lokomocji już nie było.

W domu czekał mnie cały szereg przykrych niespodzianek. Żona uległa wypadkowi i czekała ja operacja kolana. Późną jesienią jechała rowerem do swych rodziców.

Na polnej drodze z górki, koło ugrzęzło w piachu i żona straciła równowagę. Upadła tak nieszczęśliwie, że nastąpiło zerwanie więzadeł mięśnia trójgłowego i uszkodzenie łąkotki. Z bolącą nogą poszła do pracy. Na oblodzonych schodach się poślizgnęła i już nie mogła się podnieść. Przyjechało pogotowie i zabrano ją do szpitala. Prześwietlenie ukazało uszkodzenie kolana. Żona była na chorobowym i czekała na operację. Dzięki Bogdanowi Pawlickiemu została przyjęta na wykonanie zabiegu w warszawskim szpitalu MSW na Komarowa. Termin operacji wyznaczono na marzec 1991. na drugi dzień rano postanowiłem odwiedzić swoją mamę. Wtedy dopiero żona powiedziała mi, że mamy w domu nie znajdy. Umarła w tym czasie gdy ja szukałem we mgle lądowiska w rejonie Hassahejsy. Zmarła dnia następnego tj. 19 października 1990 roku przeżywszy 81 lat. Celowo mnie nie powiadamiali o śmierci matki aby nie powodować stresu podczas trudnej i niebezpiecznej pracy. Natychmiast pojechałem na cmentarz aby w samotności dokonać spóźnionego o ponad 3 miesiące pożegnania. Po wykorzystaniu 2 – tygodniowego urlopu pojechałem do WIML – u na badania lekarskie konieczne do przedłużenia ważności licencji. W myśl przepisów, pilotów którzy ukończyli 50 lat życia, poddawano co 5 lat wnikliwej obserwacji zdrowotnej. Na 2 tygodnie położono mnie w klinice kardiologicznej instytutu i co dzień poddawano innym badaniom. Gdy się ma 55 lat zaczynają się pewne problemy. U mnie stwierdzono znaczne obniżenie słuchu oraz nieprawidłowy test tolerancji glukozy. Na pytanie czy są to początki cukrzycy otrzymałem odpowiedź, że nie, ale muszę uważać i ograniczyć spożycie cukru.

Poza tym wszystkie wyniki mam w normie. Na komisji otrzymałem orzeczenie:

Zdolny do pracy w powietrzu jako instruktor – pilot samolotowy zawodowy II klasy.

Orzeczenie nie zawierało ograniczeń i posiadało maksymalny okres ważności 1 rok.

Uszczęśliwiony przedłużyłem ważność licencji i stawiłem się w oddziale ZUA Gdańsk gotów do pracy. Tutaj spotkała mnie następna niespodzianka. Okazało się, że pracy nie ma. Gospodarstwa rolne podobnie jak szereg przedsiębiorstw państwowych olbrzymich zakładów pracy, hut, kopalni i fabryk zostają poddane tak zwanej prywatyzacji. Wcześniej jednak postawione są w stan upadłości i bankructwa.



Powrót do domu nad piramidami



Powrót do domu - Alexandria

Stało się prawda oczywista, że rozkradziono majątek narodowy. Nie wiadomo co będzie z naszym zakładem. W tej sytuacji kto może niech ucieka na wcześniejszą emeryturę. Jeden warunek mam spełniony, 55 lat życia i ponad 30 lat pracy zawodowej. Drugi warunek to spisanie przez komisję lekarską. Ale ja dopiero co otrzymałem orzeczenie po wnikliwych badaniach i obserwacji. Jak teraz to odkręcić? Zakład jeszcze raz skierował mnie na badania okolicznościowe z opinią, że nie radzę sobie ze słuchem w korespondencji radiowej w lotniczym ruchu kontrolowanym. To Możę prowadzić do niebezpiecznej sytuacji. Lekarz laryngolog który niedawno dopuścił mnie do latania spytał zdziwiony:

- Proszę mi powiedzieć jasno i szczerze, o co się panu rozchodzi?
 - Na poprzedniej komisji pan doktor zadał mi pytanie – czy długo zamierzam latać?
- Odpowiedziałem, że jeżeli Pan pozwoli to chciałbym latać jak najdłużej.

Ale w obecnej sytuacji nie mam gdzie latać. Agrolotnicy są niepotrzebni i zwalniani z pracy. Ja postanowiłem przejść na emeryturę i potrzebna jest mi decyzja pana doktora o niezdolności do pracy w powietrzu.

- Czyli chce się pan spisać?
- Tak nie widzę innego wyjścia,
- Nie żal panu lat szkolenia, trudu, poświęcenia i zapalu?
- Żal panie doktorze i to bardzo, ale gdzie teraz pójde? I tak nie będę latał.
- To chce się pan spisać?
- Tak.

Pan doktor kilka razy zadawał mi to pytanie, kazał się zastanowić. Jemu żal było spisać na straty sprawnego pilota ponieważ wiedział ile kosztuje zdobycie licencji.

Ale ludzie, którzy doprowadzili nasz kraj do ruiny, a teraz go okradali mieli to gdzieś.

Oni wyrzucali na bruk setki tysięcy ludzi i wcale się tym nie przejmowali.

Ja w tym bałaganie miałem jeszcze jako takie zabezpieczenie. Otrzymałem świadectwo o niezdolności do pracy w powietrzu. Z dniem tym przestałem być pilotem. Teraz należało złożyć w niosek o emeryturę do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych.

Pamiętny dzień i niezapomniana data życiowego przełomu 23.05.1991 rok.

Jakże znamienne są słowa pieśni:

*„Góralu, czy ci nie żal, odchodzić od stron ojczystych.
Świerkowych lasów i hal i tych potoków srebrzystych”*

Mnie również chciało się płakać.

Ja również żegnałem się ze wszystkim czym żyłem przez tyle lat i czemu poświęciłem cały swój zapal.

Swą działalność lotniczą zakończyłem nalotem:

- na samolotach **5 058 h 25 min** w tym **3805 h 17 min** w lotach Agro
- na szybowcach **1 519 h 39 min** złota odznaka i 2 diamenty

Razem: 6 578 h 04 min